

John le Carre

Ludzie Smileya

Przek³ad Maciej Œwierkocki

Tytu³ orygina³u

SMILEYS PEOPLE

* * *

Dwa pozornie nie zwi¹zane ze sob¹ wydarzenia
zwiastowa³y

odwo³anie pana Georgea Smileya z jego problematycznej
emerytury.

T³em pierwszego z nich by³ Pary¿, a czasem akcji wrz¹cy
sierpieñ,

kiedy mieszkańcy tradycyjnie już porzucaj¹ miasto na pastwê

parz¹cego s³oñca i zat³oczonych turystami autokarów.

Tak więc pewnego sierpniowego dnia - konkretnie czwartego

sierpnia, dok³adnie o dwunastej, bi³ bowiem w³acenie zegar koœcielny, a chwilê wczesniej zabrzmia³ tak¿e dzwon w fabryce - w

dzielnicy znanej niegdyœ z licznej populacji biedniejszych emigrantów rosyjskich, z mroku starej hurtowni wy³oni³a siê nios¹ca torbê na zakupy krêpa kobieta oko³o piêædziesi¹tki, po czym jak zawsze pe³na wigoru i zdecydowania ruszy³a chodnikiem w

kierunku przystanku autobusowego. Ulica by³a szara i w¹ska,

spuszczone ¿aluzje, dwa ma³e hotels de passe i mnóstwo kotów. Nie

wiedzieæ czemu, by³o to miejsce odznaczaj¹ce siê jakimœ szczególnym spokojem. Hurtownia pozosta³a otwarta w czasie

wakacji, ponieważ składowano w niej łatwo psujące się towary.

Upaś zapaskudzony spalinami i nie oczyszczony najlichszym choæby

wietrzykiem uderzy³ kobietê jak fala gor¹ca bij¹cego z szybu windy, ale na jej twarzy o s³owiañskich rysach nie pojawi³y siê ¼adne oznaki niezadowolenia. Ani strój, ani budowa kobiety nie

sprzyja³y podejmowaniu wysi³ku w upalny dzieñ, by³a bowiem

doprawdy wyj¹tkowo niska i oty³a, musia³a siê zatem w³æciwie

toczyæ, ¼eby w ogóle posuwaæ siê do przodu. Jej czarna suknia o

koæcielnej surowoæci pozbawiona by³a zarówno wciêcia, jak równie¼

wszelkich innych ozdób z wyj¹tkiem pasemka bia³ej koronki wokó³

szyi i du¼ego, ³adnego metalowego krzy¼a na piersi, nie maj¹cego

jednak jakiejœ wiêkszej wartoæci.

Popękane buty, których noski podczas marszu skierowane
były
na zewnątrz, wygrywały srogi, grzechoczący werbel pomiędzy
domami
o spuszczonej szaluzjach. Sfatygowana torba, pełna już od
rana,
nadawała jej lekkiego przechyłu na prawą burtę i jasno
świadczyła
o tym, że kobieta przywykła do dźwigania ciężarów. Była w
niej
jednak również pewna wesołość. Siwe włosy upięte miała w
kok, ale
jeden niesforny kosmyk podskakiwał wciąż na jej czole w
rytm
kaczkowatych kroków. Brzowe oczy rozjaśniały iskierki
poczucia
humoru, a usta, osadzone nad boksterskim podbródkiem, w
każdej
chwili wydawały się gotowe uśmiechnąć z byle powodu.

Dotarłszy do przystanku, postawiła torbę na ziemi i prawą
ręką zaczęła masować sobie plecy w miejscu, w którym krzyż
styka

siê z krêgos³upem. Ostatnio czêsto wykonywa³a podobne zabiegi,

choæ przynosi³y jej niewielk¹ ulgê.

Wysoki sto³ek w hurtowni, gdzie pracowa³a jako kontrolerka,

pozbawiony by³ oparcia i jego brak dokucza³ kobiecie coraz bardziej.

- Do diab³a - zamrucza³a pod adresem doskwieraj¹cej jej czêœci cia³a.

Ukoñczy³a masaż i zaczê³a teraz trzepotaæ czarnymi ³okciami

jak stary miejski kruk, gotuj¹cy siê do lotu. - Do diab³a - powtórzy³a. A potem, kiedy nagle zda³a sobie sprawê, że jest obserwowana, odwróci³a siê na piêcie i podnios³a wzrok na jakiegoœ potêżnego mêtczyznê, wznosz¹cego siê za jej plecami

niczym wież¹a.

By³ jedyn¹ prócz niej osob¹ czekaj¹c¹ na autobus, a w tym momencie takż^e jedynym poza ni¹ cz³owikiem na ulicy.
Nigdy

przedtem z nim nie rozmawia³a, lecz jego wielka, o
niepewnym

wyrazie i spocona twarz by³a jej sk¹doe znana. Widzia³a j¹
wczoraj, widzia³a j¹ przedwczoraj, i chyba tak²e dwa dni temu
-

mój Bo²e, nie jest przecie² chodz¹cym pamiêtnikiem. Od trzech
lub

czterech dni ten s³aby, niespokojny olbrzym, czekaj¹cy na
autobus

czy krêc¹cy siê na chodniku przed hurtowni¹ sta³ siê dla niej
niejako symbolem ulicy; i to symbolem reprezentuj¹cy
pewien

szczególny typ cz³owieka, choæ nie umia³aby na razie
okreœliæ

jaki. Uwa²a³a, ²e wygl¹da na osaczonego - traque - podobnie
jak

wielu innych pary²an ostatnimi czasy. Widzia³a w ich
twarzach

tylę strachu; widzia³a strach, kiedy mijali siê na ulicy, nie
œmiej¹c siê pozdrowiæ.

Byæ mo²e by³o tak wszêdzie, sk¹d mog³aby wiedziæ. Ale
czu³a

też niejedyn raz, że ten mężczyzna jest ni¹ zainteresowany.
Zastanawia³a się, czy nie jest policjantem. Przysz³o jej nawet do
g³owy, żeby go o to zapyta^æ, miała bowiem ten
specyficzny,
miejski tupet w obcowaniu z ludźmi. Policję przywodzi³ jej
na
myśl zarówno ponury wygl¹d mężczyzny, jak również jego
przepony
garnitur i ca³kowicie zbędny p³aszcz przeciwdeszczowy,
zwisaj¹cy
mu z ramienia niczym strz^êp starego munduru. Jeżeli ma rację i
on
jest rzeczywiście policjantem, to - no, nareszcie ci idioci
zaj^êli się fał¹ kradzieży, które już od miesiący wprowadzaj¹ tak
strasliwy chaos w prowadzony przez ni¹ spis towarów.

Tym razem jednak nieznanomy przypatrywa³ się jej już od
d³uższej chwili. I teraz przygl¹da³ się jej bez przerwy.

- Mam nieszczęście cierpie^æ na bóle w plecach, monsieur
-

przyzna³a się w końcu swój¹ powoln¹ francuszczyzn¹ o
klasycznej

wymowie. - Plecy mam niedużę, ale ból jest nieproporcjonalnie

wielki. Czy jest pan lekarzem? Osteopat¹?

Patrz¹c na niego, pomyœla³a, że może jest chory i że jej
żarty s¹ nie na miejscu. Szyja i szczêka męczyzny mieni³y się
t³ustawym blaskiem, a w jego bladych oczach da³o się
zauważyæ

obsesję na w³asnym punkcie. Zdawa³o się, że spogl¹da poza ni¹
ku

jakimœ w³asnym problemom. Zamierza³a go zapytaæ: czy nie
jest pan

przypadkiem zakochany, monsieur? A może żona pana
zdradza?

Zastanawia³a się nawet, czy nie zaprowadziæ go do kafejki
na

szklankê wody albo tisane, gdy nagle mężczyzna odwróci³ się
od

niej, obejrza³ się, a nastêpnie spojrze³ ponad jej g³ow¹ w
przeciwnym kierunku. I wtedy pomyœla³a, że jest
naprawdê

wystraszony, nie tylko traque: że jest wprost sparaliżowany ze

strachu. A zatem może wcale nie jest policjantem, lecz
zodziejem, choć kobieta wiedziała, że do pewnej części różnica
między

nimi bywa bardzo niewielka.

- Nazywacie się Maria Andriejewna Ostrakowa? -
powiedziała

szybko, jak gdyby przerażało go to pytanie.

Mówił po francusku, ale domyśliła się od razu, że i dla
niego nie jest to język ojczysty; natomiast poprawny sposób,
w

jaki wymówił jej nazwisko wraz z patronimikiem, zwrócił
uwagę

kobiety na jego rzeczywiste pochodzenie. Natychmiast
rozpoznała

charakterystycznie złane głoski oraz tworzące je drgania języka i
wtedy z wewnętrznym dreszczem zidentyfikowała ów typ
człowieka,

którego przedtem nie potrafiła określić.

- A jeżeli tak, to kim pan jest, u licha? - spytała w
odpowiedzi, wysuwając dolną szczękę do przodu i przyglądając
mu

się gniewnie.

Przysun¹³ się o krok bliżej. Różnica wzrostu pomiędzy nimi stała się od razu absurdalna. Absurdalny był także stopień, w jakim twarz mężczyzny zdradzała jego odpychający charakter.

Spoglądając z dołu, Ostrakowa widziała równie wyraźnie jego

sąbość, jak i strach. Wilgotny podbródek olbrzyma zastygł w

jakimś grymasie, usta wykrzywiły się, by nadać mu wyraz siły, ale

ona wiedziała dobrze, że nieznajomy pokrywa tylko w ten sposób

nieuleczalne tchórzostwo. Wyglądał jak człowiek zbierający się na

odwagę przed dokonaniem jakiegoś bohaterskiego czynu, pomyślała.

Albo może przestępstwa.

Jest niezdolny do jakichkolwiek spontanicznych reakcji, przyszedł do niej do głowy.

- Urodziliście się w Leningradzie ósmego maja tysiąc

dziewięćset dwudziestego siódmego roku? - zapytał
nieznajomy.

Zdaje się, że odpowiedział twierdząco. Później nie był już
pewna. Zobaczyła, jak mężczyzna unosi wzrok i spogląda
na

nadjeżdżającym w stronę autobusu. Spostrzegła, że ogarnia go
granicznie z paniką niezdecydowanie, i pomyślała sobie - co
miało

się jeszcze okazać niemal aktem jasnowidztwa - że
nieznajomy

zamierza wpełznąć pod pojazd. Nie uczynił tego, ale
następnie

pytanie zadał już po rosyjsku - w dodatku brutalnym tonem,
typowym dla moskiewskiej władzy.

- W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku
udzielono

wam zezwolenia na opuszczenie Związku Radzieckiego w
celu

podjęcia opieki nad waszym chorym mężem, zdrajcą
Ostrakowem? A

także w pewnych innych celach?

- Ostrakow nie by³ zdrajc¹ - odpar³a, wpadaj¹c mu w s³owo. -
By³ patriot¹. - Unios³a instyktownie torbê, z ca³ej si³y
zaciskaj¹c d³oñ na r¹czce.

Nieznajomy zignorowa³ ten protest i bardzo g³oeno
mówi³

dalej, usi³uj¹c przekrzyczeæ ³oskot nadjeżdżaj¹cego autobusu: -
Ostrakowa, przywożê wam z Moskwy pozdrowienia od waszej
córki,

Aleksandry, a takżê od przedstawicieli pewnych oficjalnych
urzêdów! Chcê porozmawiaæ z wami w jej sprawie! Nie
wsiadajcie!

Autobus w³acenie podjecha³. Konduktor zna³ Ostrakow¹ i
wyci¹gn¹³ rêkê po jej torbê. Nieznajomy zni¹y³ g³os i doda³
jeszcze jedn¹, okropn¹ informacjê: - Aleksandra ma
poważne

problemy, wymagaj¹ce pomocy matki.

Konduktor krzykn¹³, żeby siê rusza³a. Wyraż³ siê z udawan¹
szorstkoœci¹, albowiem w ten sposób żartowali miêdzy sob¹.

-

Dalej, babciu!

Dziœ za gor¹co na mi³oœæ! Podaj torbê i jedŸmy! - wo³a³

konduktor.

W autobusie rozleg³ siê œmiech; potem ktoœ rzuci³
z³oœliwie:

starucha, ca³y œwiat musi na ni¹ czekaæ! Pocz³a, ¿e d³oñ
nieznajomego niezdarnie przesuwa siê po jej ramieniu, jak
gdyby

nieudolny krawiec usi³owa³ namacaæ guziki ubrania.

Wyrwa³a mu

siê. Usi³owa³a powiedzieæ coœ konduktorowi, ale nie
mog³a;

otworzy³a usta, zapomnia³a jednak, jak siê mówi. Uda³o siê jej
jedynie pokrêciæ g³ow¹. Konduktor znów coœ krzykn¹³, a
potem

¿achn¹³ siê i zamacha³ rêkami. Obelgi mno¿y³y siê: stara baba,
pijana jak kurwa ju¿ w po³udnie. Nie ruszaj^{1c} siê z miejsca,
Ostrakowa obserwowa³a, jak autobus znika, czeka³a, a¿ wróci
jej

znów ostroœæ widzenia, a serce zaprzestanie swych
szalonych

wybryków. Teraz mnie potrzebna jest szklanka wody,
pomyœla³a.

Przed silnymi sama się obronię. Boże, chroń mnie przed
s³abymi.

Posz³a w œlad za nim do kafejki, mocno utykaj¹c.
Dok³adnie

dwadzieœcia piêæ lat temu, w obozie pracy przymusowej,
z³ama³a

nogê w trzech miejscach na osuwisku wêglowym. Teraz,
czwartego

sierpnia - data nie usz³a bowiem jej uwagi - pod szczególnym
naciskiem otrzymanej od nieznajomego wiadomoœci dawna
œwiadomoœæ

kalectwa powróci³a.

By³a to ostatnia na ulicy, jeœli nie w ca³ym Pary¿u,
kafejka pozbawiona neonu oraz szafy graj¹cej i w dodatku
otwarta

w sierpniu - choœ by³y w niej za to stukocz¹ce i migocz¹ce od
œwitu do nocy stoliki do bagatelki.

Poza tym wype³nia³ j¹ zwyk³y, popo³udniowy gwar
rozmów o

wielkiej polityce, o koniach, i o tym wszystkim, o czym
gawêdz¹

zazwyczaj paryżanie; trio prostytutek jak zwykle mamrota^o
wy³cznie między sob¹, a do stolika w rogu, zarezerwowanego
za

pomoc¹ zat³uszczonej reklamy campari, zaprowadzi³ ich
m³ody,

posępny kelner w poplamionej koszuli.

Nast¹pi³a teraz nonsensownie banalna scena. Nieznajomy
zamówi³ dwie kawy, ale kelner zaprotestowa³, mówi¹c, że
w

po³udnie nie rezerwuje się najlepszego stolika w lokalu tylko po
to, żeby napić się kawy; patron musi przecież p³acić czynsz,
monsieur! Ostrakowa musia³a tłumaczyć, jako że nieznajomy
nie

zrozumia³ gwarowego potoku słów kelnera. Mę¹czyzna
zaczerwieni³

się, po czym zamówi³ dwa omlety z szynk¹ i frytkami i dwa
alzackie piwa, w ogóle nie pyta¹c Ostrakowej o zdanie.
Potem

uda³ się do toalety, żeby nabrać odwagi - najwidoczniej by³
pewien, że Ostrakowa nie ucieknie.

Przyczesa³ ry¹awe w³osy i mia³ już such¹ twarz, ale kiedy

wróci³, bij¹cy od niego odór przypomina³ kobiecie teraz, w zamkniętym pomieszczeniu, moskiewskie metro, moskiewskie tramwaje

i moskiewskie pokoje przes³uchañ. Ten jego krótki spacer z toalety do stolika potwierdzi³ obawy Ostrakowej znacznie dobitniej niż cokolwiek, co nieznajomy mógł³by jej powiedziećæ. By³

jednym z nich.

T³umiona pycha, œwiadomie brutalny wyraz twarzy, niezgrabny

ruch, jakim po³o³¿y³ ramiona na stole i z udan¹ niechêci¹ siêgn¹³ do koszyka po kawa³ek chleba, jak gdyby usi³owa³ zamoczyæ pióro w

ka³amarzu - wszystko to przywodzi³o jej na myœl najgorsze

wspomnienia z czasów, kiedy ¿y³a jako zhañbiona kobieta pod

presj¹ wrogiej biurokracji moskiewskiej.

- Tak - powiedzia³, jednocześnie zaczynaj¹c jeœæ chleb.

Wybra³ chrupi¹c¹ piêtkê. Takimi ³apami mógł³ j¹ rozerwaæ w jednej

chwili, wola³ jednak po damsku rozdrabniaæ chleb na okruchy

czubkami swych pulchnych palców, jak gdyby tak w³acenie naleŹa³o

jeœæ. Skubi¹c piêtkê, uniós³ nieco brwi i wygl¹da³ teraz, jakby uŹala³ siê nad sob¹: otom ja, obcy w obcym kraju. -Czy wiedz¹ tu,

Źe prowadziliœcie w Rosji niemoralne Źycie? - zapyta³ w koñcu.

-

A moŹe w mieœcie pe³nym kurew nikogo to nie obchodzi.

OdpowiedŹ mia³a na koñcu jêzyka: "To nie moje Źycie w Rosji

by³o niemoralne. To wasz system by³ niemoralny".

Nie odezwa³a siê jednak, zachowywa³a niez³omne milczenie.

Poprzysiêg³a juŹ sobie, Źe powœci¹gnie zarówno swój gwa³towny

charakter, jak i niewyparzony jêzyk, i teraz zmusza³a siê fizycznie do dotrzymania owej obietnicy, chwytaj¹c w palce miêkk¹

skórê po wewnêtrznej stronie przegubu i œciskaj¹c j¹ pod sto³em

przez rękaw z wóciek³¹, niezmienn¹ si³¹, podobnie jak setki
razy

przedtem, w dawnych czasach, kiedy takie pytania stanowiły
część

jej codziennego życia. "Kiedy mieliście ostatnio wiadomości
od

waszego męża, zdrajcy Ostrakowa? Wymieńcie nazwiska
wszystkich

osób, z którymi kontaktowaliście się przez ostatnie trzy
miesiące!" Gorzkim doświadczeniem okupiła także inne
lekcje

celestwa. Powtarzała je teraz w duchu, i choć w sensie
historycznym należały do czasów poprzedniego pokolenia,
to

obecnie wydawały się jej równie żywe i znaczące jak
wczoraj:

nigdy nie odpowiadaj grubiaństwem na grubiaństwo, nie pozwól
się

sprokować, nie próbuj być bąskotliwa ani dowcipna,
nie

ujawniaj swojej wyższości, nie okazuj inteligencji, nie
pozwól

porwaæ siê wœciek³oœci, rozpaczy albo fali nag³ej nadziei,
jak¹

mog³oby obudziæ jakieœ przypadkowe pytanie. Odpowiadaj
têpot¹ na

têpotê, szablonem na szablon. Ale g³êboko, g³êboko w
duszy

zachowaj te dwie tajemnice, które pozwalaj¹ ci znosiæ
wszelkie

upokorzenia: swoj¹ nienawioœæ do nich i nadziejê, ¿e pewnego
dnia,

kiedy niekoñcz¹cy siê szereg kropli wody zrosi ska³ê,
zmêczysz

ich i jakimœ cudem, sprokurowanym mimowolnie przez ich
w³asn¹,

gigantyczn¹ biurokracjê, uzyskasz wolnoœæ, której ci
odmawiali.

Mê¿czyzna wyci¹gn¹³ notes. W Moskwie by³yby to jej akta,
ale

tutaj, w paryskiej kafejce by³ to lœni¹cy, oprawny w czarn¹
skórê

notes; w Moskwie nawet wysoki urzêdник uwa¿a³by siê
za

szczęciarza, posiadaj¹c co² takiego.

Akta czy notes, wst²ep pozostawa³ bez zmian: - Urodzili²cie si²e jako Maria Andriejewna Rogowa ósmego maja tysi¹c dziewi²æset

dwudziestego siódmego roku w Leningradzie - powtórzy³.

-

Pierwszego wrze²enia tysi¹c dziewi²æset czterdziestego ósmego

roku, w wieku dwudziestu jeden lat, po²elubili²cie zdrajc²e Igora

Ostrakowa, kapitana piechoty Armii Radzieckiej, urodzonego z

matki Estonki. W tysi¹c dziewi²æset pi²ædziesi¹tym roku rzeczony

Ostrakow, stacjonuj¹cy wó²czas w Berlinie Wschodnim, dzi²e²ki

pomocy reakcyjnych emigrantów estońskich zbieg³ zdradziecko do

faszystowskich Niemiec, pozostawiaj¹c was w Moskwie.

Zamieszka³ w

Paryżu, gdzie przyj¹³ tak²e pó²niej francuskie obywatelstwo i

gdzie nadal utrzymywa³ kontakty z elementami antyradzieckimi. W

chwili jego ucieczki za granicê nie mieliœcie dzieci z tym cz³owiekiem. Nie byliœcie równie¿ w ci¹¿y. Prawda?

- Prawda - odpar³a.

W Moskwie odpowiedŸ brzmia³aby: "Prawda, towarzyszu

kapitanie" albo "Prawda, towarzyszu inspektorze", lecz we wrzaskliwej francuskiej kafejce tak oficjalny ton by³by nie na

miejscu. Straci³a czucie w fa³dzie skóry w przegubie. Zwolni³a uœcis³, pozwoli³a nap³yn¹æ krwi z powrotem, po czym chwyci³a

skórê w innym miejscu.

- Jako wspólniczkê w uciezce Ostrakowa skazano was na piêæ

lat odosobnienia w obozie pracy, ale zostaliœcie zwolnieni na mocy amnestii po œmierci Stalina, w marcu ty¹c dziewiêset

piêædziesi¹tego trzeciego roku.

Prawda?

- Prawda.

- Wróciwszy do Moskwy, zwrócił się z prośbą o wydanie wam zagranicznego paszportu na podróż do waszego męża do Francji, choć prawdopodobieństwo spełnienia tego życzenia było nikłe.

Prawda?

- Miała raka - powiedziała. - Gdybym nie wystąpiła z taką prośbą, oznaczałoby to lekceważenie moich obowiązków matczyńskich.

Kelner przyniósł omlety, frytki i dwa alzackie piwa, i Ostrakowa poprosiła go jeszcze o the citron: chciało jej się pić, ale nie miała ochoty na piwo.

Zwracając się do kelnera, próbowała wzrokiem i uśmiechem nawiązać z nim jakiś kontakt, ale zniechęciła ją jego chód; zrozumiała, że jest jedyną kobietą w lokalu oprócz tych trzech prostytutek. Przyciskając notes do boku, jak gdyby to był zbiór hymnów kościelnych, nieznajomy nabrał na widelec najpierw jeden

kêś, potem drugi, a Ostrakowa wzmocni³a jeszcze uœcisk
na

przegubie, bo imiê Aleksandry pulsowa³o w jej g³owie jak
nie

zabliŹniona rana i kobieta rozwaŹa³a tyŹi¹c rozmaitych
powaŹnych

problemów, mog¹cych wymagaæ natychmiastowej pomocy ze
strony

matki.

Nieznajomy jedz¹c, kontynuowa³ jednocześnie
prostackie

streszczenie dziejów jej Źycia. Czy jad³ dla przyjemnoœci, czy
teŹ dlatego, Źeby znów nie zwracaæ na siebie uwagi? W
koñcu

dosz³a do wniosku, Źe mêŹczyzna jest chorobliwym Źar³okiem.

- Tymczasem... - oznajmi³ jedz¹c.

- Tymczasem... - szepnê³a mimo woli Ostrakowa.

- Tymczasem pomimo udanej troski o waszego mêŹa,
zdrajcê

Ostrakowa - ci¹gn¹³ dalej nieznajomy z pe³nymi ustami -

wstąpiłcie w cudzoŹny zwi'zek z poznanym przez was w obozie

tak zwanym studente muzyki, Józefem Glikmanem, Źydem po czterech

wyrokach za antyspo'eczni' postawê. Zamieszkaliœcie u niego.

Prawda czy nie?

- By'am samotna.

- W rezultacie waszego zwi'zku z Glikmanem urodziliœcie w

szpitalu po'ozniczym imienia Rewolucji Pa'dziernikowej c'rkê

Aleksandrê. Œwiadectwo urodzenia podpisali Józef Glikman i Maria

Ostrakowa.

Dziewczynkê zarejestrowano na nazwisko Źyda Glikmana. Prawda

czy nie?

- Prawda.

- Tymczasem ponawialiœcie proœby o wydanie wam paszportu

zagranicznego. Dlaczego?

- Już mówi³am. Mój m¹ż by³ chory. Ponawianie próce³b by³o
moim

obowi¹zkiem.

Znów jad³, a czyni³ to w tak obrzydliwy sposób, że
Ostrakowa

widzia³a ca³y garnitur jego zepsutych zębów.

- W tyśi¹c dziewię¹set pię¹dziesi¹tym szóstym roku aktem
3aski wydano wam paszport pod warunkiem, że wasze
dziecko,

Aleksandra, pozostanie w Moskwie. Przekroczyli¹ście jednak
okres,

na jaki wydano wam zezwolenie na wyjazd, i pozostali¹ście
we

Francji, porzucaj¹c swoje dziecko.

Prawda czy nie?

Drzwi prowadz¹ce na ulicę oraz ociany kafejki wykonane
by³y

ze szk³a.

Przed lokalem zaparkowa³a wielka ciężarówka i w
cerodku

zrobi³o siê ciemno. M³ody kelner rzuci³ niemal na stó³ szklankê
z

herbat¹, nie patrz¹c nawet na Ostrakow¹.

- Prawda - powiedzia³a znowu, i tym razem uda³o siê jej
spojrzeæ na przes³uchuj¹cego j¹ mê¹czyznê; wiedzia³a, co
nast¹pi,

zmusza³a siê, ¹eby mu pokazaæ, ¹e przynajmniej w tej kwestii
nie

ma ¹adnych w¹tpliwoœci i niczego nie ¹a³uje. - Prawda -
powtórzy³a wyzywaj¹co.

- Warunkiem pozytywnego rozpatrzenia waszego podania
o

wjazd by³o podpisanie przez was zobowi¹zania wobec
Urzêdu

Bezpieczeñstwa, dla którego mieliœcie wykonywaæ pewne
zadania

podczas pobytu w Pary¹u. Po pierwsze, mieliœcie nak³oniæ
waszego

mê¹a, zdrajcê Ostrakowa, do powrotu do Zwi¹zku
Radzieckiego...

- Mia³am spróbowaa go nak³oniæ - odpowiedzia³a ze
s³abym

uœmiechem. - Nie móg³ siê jakoœ przekonaæ do tej propozycji.

- Po drugie, zobowi¹zaliœcie siê tak¿e do dostarczania informacji na temat dzia³alnoœci i charakterów osób nale¿¹cych do

rewan¿ystowskich emigracyjnych ugrupowa^ñ antyradzieckich.

Z³o¿yliœcie dwa bezwartoœciowe raporty, a potem ju¿ zupe³nie nic.

Dlaczego?

- Mój m¹¿ gardzi³ takimi ugrupowaniami i zerwa³ z nimi wszelkie kontakty.

- Mogliœcie nale¿eæ do nich bez niego. Podpisa¹liœcie dokument i zaniedba¹liœcie przyjête zobowi¹zanie. Tak czy nie?

- Tak.

- I dlatego pozostawiliœcie swoje dziecko w Rosji?
¿ydowi?

- eby opiekowaæ siê wrogiem ludu, zdrajc¹ stanu? Dlatego zaniedbujecie obowi¹zki?

Przekraczacie dozwolony czas, pozostajecie we Francji?

- Mój m¹¿ umiera³. By³am mu potrzebna.

- A wasze dziecko, Aleksandra? Jej nie byliście potrzebna?

Umieraj¹cy m¹ł jest ważniejszy od łyj¹cego dziecka?
Zdrajca?

Spiskowiec przeciwko ludowi?

Ostrakowa puęci³a swój przegub, z namys³em ujê³a szklankê
i

przygl¹da³a siê, jak naczynie wznosi siê ku jej twarzy, jak po
powierzchni herbaty p³ywa cytryna. Poza szklank¹ widzia³a
czyst¹,

mozaikow¹ pod³ogê, a jeszcze dalej ukochan¹, dzik¹ i łyczliw¹
zarazem twarz Glikmana namawiaj¹cego i zaklinaj¹cego j¹,
łeby

podpisa³a, łeby jecha³a, łeby przysiêg³a im wszystko, czego
zał¹daj¹. Wolnoœæ jednego cz³owieka to wiêcej nił
niewolnictwo

trojga ludzi, szepta³ Glikman; dziecko takich rodziców jak my
nie

ma w Rosji szans bez wzglêdu na to, czy wyjedziesz, czy
zostaniesz; wyjedŸ, a zrobimy co w naszej mocy, łeby do
ciebie

do³¹czyæ; podpisz wszystko, wyjedŸ, Ÿyj za nas wszystkich;
jeœli

mnie kochasz, wyjedŸ...

- To by^{3y} wci¹Ÿ jeszcze ciê¹kie czasy - powiedzia^{3a}
nareszcie takim niemal tonem, jak gdyby oddawa^{3a} siê
wspomnieniom. - Jest pan za m³ody. By^{3o} ciê¹ko, nawet po
œmierci

Stalina: wci¹Ÿ by^{3o} ciê¹ko.

- Czy przestêpca Glikman nadal do was pisze? - zapyta³ z
wy¹szocæci¹ nieznanym, tonem cz³owieka dobrze
poinformowanego.

- Nigdy nie pisa³ - sk³ama^{3a}. - Jak móg^{3by} pisaæ, on,
dysydent, cz³owiek podlegaj¹cy licznym ograniczeniom?
Decyzja o

pozostaniu we Francji naleŸa^{3a} wy³¹cznie do mnie.

Przedstaw siê w jak najgorszym œwietle, myœla^{3a}; zrób
wszystko, co moŸliwe, Ÿeby os³oniaæ tych, którzy pozostaj¹ w
ich
mocy.

- Nie mia^{3am} Ÿadnych wiadomoœci od Glikmana od chwili,
kiedy

dwadzieścia lat temu przyjecha³am do Francji - doda³a, sil¹c
siê

na odwagê.

Sk¹din¹d dowiedzia³am siê, że oburzy³a go moja
antyradziecka

postawa.

Nie chcia³ mnie wiêcej znaæ. W g³êbi ducha pragn¹³ siê
zmieniaæ ju¿ wtedy, kiedy go opuœci³am.

- Nie pisa³ nic o waszym dziecku?

- Nie pisa³ ani nie przesy³a³ ¿adnych wiadomoœci.

Mówi³am

ju¿.

- Gdzie jest teraz wasza córka?

- Nie wiem.

- Utrzymywa³a z wami jakieœ kontakt?

- Oczywiście, że nie. S³ysza³am tylko, że znalaz³a siê w

pañstwowym sierociñcu i przyjê³a inne nazwisko.

Przypuszczam, że

nie wie nawet o moim istnieniu.

Nieznajomy jedn¹ rêk¹ znów jad³, w drugiej trzyma³ notes.

Nabra³ pe³ne usta, po³u³ trochê, potem sp³uka³ jedzenie piwem.

Ale na jego ustach pozosta³ ucemieszek wy³szocœci.

- A teraz przestêpca Glikman nie ³yje - oœwiadczy³ nieznajomy, ujawniaj¹c swoj¹ ma³¹ tajemnicê. Wci¹³ jad³.

Wtem Ostrakowa zapragnê³a, ³eby dwadzieœcia lat zmieni³o siê

w dwieœcie. Wola³aby, ³eby mimo wszystko nigdy nie pochyla³a siê

nad ni¹ twarz Glikmana, wola³aby nigdy go nie kochaæ, nie troszczyæ siê o niego, nie gotowaæ mu, nie upijaæ siê z nim dzieñ

po dniu na jednopokojowym wychod³stwie, gdzie ³yli z ³aski

przyjació³, ignorowani przez s¹siadów, pozbawieni prawa do pracy

i w ogóle do wszystkiego poza muzykowaniem, uprawianiem mi³ocœci,

upijaniem siê i spacerami po lesie.

- Nastêpnym razem, kiedy któreœ z nas pójdzie do wiêzienia,

i tak j¹ zabior¹ - powiedzia³ kiedyœ Glikman. - Ale siebie mo¿esz

jeszcze uratowaæ.

- Zdecydujê, kiedy tam bêdê - odpar³a.

- Zdecyduj siê teraz.

- Kiedy tam bêdê.

Nieznajomy odsun¹³ pusty talerz i raz jeszcze uj¹³ w d³onie swój lœni¹cy, francuski notes. Przewróci³ kartkê, jak gdyby zbli¿a³ siê do nowego rozdzia³u.

- A teraz jeœli idzie o wasz¹ przestêpcz¹ córkê, Aleksandrê - zapowiedzia³ nieznajomy z pe³nymi ustami.

- Przemoc¹? - wyszepta³a.

Ku jej zdumieniu nieznajomy zacz¹³ cytowaæ nowy katalog

zbrodni i Ostrakowa ca³kowicie straci³a ju¿ kontakt z teraŃniejszoœci¹. Utkwi³a wzrok w mozaikowej pod³odze, widzia³a

skorupy langust i okruchy chleba.

Ale duchem znajdowa³a siê znowu w moskiewskim s¹dzie, gdzie

raz jeszcze rozgrywa³ siê jej proces. A jeœli nie by³ to jej proces, to by³ to proces Glikmana - chocia¿ nie, Glikmana tak¿e

nie. W takim razie czyj?

Przypomnia³a sobie rozprawy, na które chodzili oboje jako nieproszeni widzowie.

Procesy przypadkowych nawet przyjació³: ludzi, którzy kwestionowali posiadany przez w³adze absolutny monopol na

s³usznocæ; którzy czcili jakichœ niemo¿liwych do przyjêcia bogów;

albo malowali przestêpczo abstrakcyjne obrazy; albo publikowali

niebezpieczne politycznie wiersze mi³osne.

Gwarz¹cy w kawiarni goœcie przeistoczyli siê w rozwrzeszczan¹ milicyjn¹ klakê; stukot stolików do bagatelki, trzask ¿elaznych drzwi.

Takiego to a takiego dnia, za ucieczkê z pañstwowego sierocińca przy takiej to a takiej ulicy, tyle to a tyle miesiêcy domu poprawczego. Takiego to a takiego dnia, za obrazê

funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa tyle to a tyle
miesiący

dodatkowo za złe sprawowanie, a następnie tyle to a tyle lat
zesłania. Ostrakowa poczuła, jak skręca się jej w łokciu i
pomyślała, że chyba zwymiotuje. Wzięła w dłonie szklankę
z

herbatą i ujrzała na nadgarstku czerwone ślady po
uszczypleniach. Nieznajomy recytował dalej i Ostrakowa
usłyszała, że jej córkę skazano na kolejne dwa lata za
odmowę

podjęcia pracy w jakiejś tam fabryce, Boże dopomóż, a
dlaczego

miała się zgodzić?

Gdzie ona się tego nauczyła? - z niedowierzaniem pytała
samą

siebie Ostrakowa. Czego Glikman nauczył dziewczynkę w tym
krótkim

czasie, zanim mu ją zabrali, co ukształtowało ją na jego
podobieństwo i zniweczyło wszelkie wysiłki systemu?
Strach,

uniesienie i zdumienie walczy³y ze sob¹ w duszy Ostrakowej,
a_z

wreszcie co^æ, co powiedzia³ nieznajomy, zniweczy³o
ca³kowicie te

uczucia.

- Nie s³ysza³am - wyszepta³a po nieskończenie d³ugiej
chwili. - Jestem trochê rozkojarzona. Proszê, niech pan bêdzie
tak dobry i powtórzy to, co pan powiedzia³.

Powtórzy³, a ona podnios³a wzrok i wpatrywa³a siê w niego,
usi³uj¹c przypomnieæ sobie wszystkie sztuczki, przed którymi
j¹

niegdy^æ ostrzegano, ale by³o ich zbyt wiele, ona za^æ utraci³a
ju_z

swój spryt. Brakowa³o jej przebieg³o^æci Glikmana - jeżeli w
ogóle

j¹ kiedykolwiek mia³a - pozwalaj¹cej mu rozszyfrowywa^æ
ich

k³amstwa i uprzedza^æ ich posuniêcia. Wiedzia³a jedynie, _ze
aby

ocaliæ siebie i po³1czyæ siê znowu ze swym ukochanym
mê_zem,

popę³ni³a wielki grzech, grzech najwiêkszy, jaki pope³nia
mo¿e

matka. Nieznajomy zacz¹³ jej groziæ, ale tym razem
groŸby

wydawa³y siê pozbawione znaczenia. W przypadku gdyby
odmówi³a

wspó³pracy - mówi³ mê¿czyzna - kopia podpisanego przez
ni¹

zobowi¹zania wobec w³adz radzieckich trafi w rêce
francuskiej

policji. Kopie jej dwóch bezu¿ytecznych sprawozdañ
(sporzdzonych, jak dobrze wiedzia³, wy³¹cznie po to, ¿eby nie
dra¿niæ zbirów z wywiadu) zostan¹ rozprowadzone
pomiêdzy

pozosta³ych jeszcze w Pary¿u emigrantów - choæ Bóg jeden
wie, ¿e

niewielu ju¿ ich dzieæ pozosta³o! Dlaczego jednak trzeba by³o
a¿

szanta¿u, ¿eby nak³oniæ j¹ do przyjêcia podarunku o tak
nieoszacowanej wartoœci, kiedy wskutek jakiegoœ
niezrozumia³ego

aktu 3aski ten cz3owiek i ten system dawali jej szansê
wybawienia

siebie i swojego dziecka?

Zrozumia3a, 3e jej dzienne i nocne modlitwy zosta3y
wys3uchane, tysi1ce œwiec, tysi1ce 3ez.

Kaza3a mu to powt3rzyæ po raz trzeci. Zmusi3a go, 3eby
oderwa3 notes od swojej ry3awej twarzy, ujrza3a, 3e jego usta
unios3y siê w p33ucemiechu - i, choæ to idiotyczne, 3e
nieznajomy

pragnie jej rozgrzeszenia, co by3o jasne nawet w3wczas,
kiedy

powtarza3 swoje szalone, dane od Boga pytanie.

- Zak3adaj1c, 3e zdecydowano oczyœciaæ Zwi1zek Radziecki
z

takich aspo3ecznych i warcholskich element3w, czy
chcielibyœcie,

aby wasza c3rka Aleksandra przyjecha3a do was do Francji?

Jeszcze przez wiele tygodni po tym spotkaniu Ostrakowej
wydawa3o siê, 3e to wcale nie ona podejmuje wszelkie
skryte

dzia3ania, kt3re okaza3y siê jego nastêpstwem; 3e to nie ona

odwiedza potajemnie radzieck¹ ambasadê, wype³nia formularze,

podpisuje oœwiadczenia - certcats d hebergement -i w ogóle pokonuje ca³y ten mêcz¹cy szlak przez kolejne francuskie ministerstwa. Modli³a siê czêsto, ale konspiracyjn¹ postawê przybiera³a nawet przystêpuj¹c do modlitw, które dzieli³a miêdzy

kilka rosyjskich koœcio³ów prawos³awnych, tak aby w ¿adnym z nich

nie da³o siê zauwa¿yæ, ¿e cierpi na niewczesny atak pobo¿noœci.

Niektóre koœcio³y by³y po prostu prywatnymi domkami, rozrzuconymi

po piêtnastej i szesnastej dzielnicy, przyozdobionymi charakterystycznymi podwójnymi krzy¿ami ze sklejki i umieszczonymi na drzwiach starymi, rozmoczonymi przez deszcz

rosyjskimi og³oszeniami, których dawcy poszukiwali tanich

mieszkañ i oferowali lekcje gry na fortepianie. By³a w koœciele

Rosjanina Na Obczyźnie, w kościele Objawienia Œwiêtej
Dziewicy i

w kościele Œwiêtego Serafina z Sarowa. By³a wszêdzie.

Dzwoni³a do drzwi, dopóki ktos nie przyszed³, kościelny
albo

ubrana w czerñ kobieta o chorowitej twarzy; dawa³a im
pieni¹dze,

a oni pozwalali jej klêczeæ w wilgotnym ch³odzie przed
iluminowanymi œwiecami ikonami i wdychaæ gête kadzid³o
niemal do

upojenia. Czyni³a Wszechmog¹cemu obietnice, dziêkowa³a
Mu,

prosi³a Go o radê, pyta³a Go nawet, co On by uczyni³, gdyby
nieznajomy rozmawia³ z Nim w podobnych
okolicznoœciach,

przypomina³a Mu, ¿e i tak wywieraj¹ przecie¿ na ni¹ nacisk i ¿e
j¹ zniszcz¹, jeœli nie bêdzie im powolna. Jednocześnie jednak
dawa³ znaæ o sobie jej niepokromiony zdrowy rozs¹dek i
Ostrakowa

nieustannie zadawa³a sobie pytanie: dlaczego to w³acenie ona,
¿ona

zdrajcy Ostrakowa, kochanka dysydenta Glikmana, matka - jak dano

jej do zrozumienia - niesfornej i aspo³ecznej córki - dost¹piæ mia³a tak wyj¹tkowego przecie¿; rozgrzeszenia?

W ambasadzie radzieckiej, gdzie z³o¿y³a swoje pierwsze oficjalne podanie, potraktowano j¹ z takim szacunkiem, o jakim

nie æmia³aby nawet marzyæ; z szacunkiem nie nale¿nym

uciekinierowi, zdradzieckiemu szpiegowi czy wreszcie matce

niepohamowanej piekielnicy. Nie polecono jej niegrzecznie udaæ

siê do poczekalni, lecz zaprowadzono j¹ do pokoju przyjêæ, gdzie

m³ody i przystojny urzêdник okaza³ Ostrakowej iæcie zachodni¹

uprzejmoææ, a nawet pomaga³ jej odpowiednio sformu³owaæ podanie,

jeœli tylko zawodzi³o j¹ pióro b¹dŸ odwaga.

Nie opowiedzia³a o tej historii nikomu, nawet swoim

najbliższym - choć jej najbliżsi nie byli wcale tacy bliscy.

Ostrzeżenie ryżawego mężczyzny dniem i noc¹ d²wiêcza³o jej w

uszech: najmniejsza niedyskrecja, a nie wypuścimy waszej córki.

A poza tym do kogo, oprócz Boga, mog³aby siê zwrócić?
Do

swojej przyrodniej siostry, Walentyny, która wysz³a za m¹ż za sprzedawcê samochodów i mieszka³a w Lyonie? Na sam¹ myœl, ¿e

Ostrakowa zadaje siê z tajnym wys³annikiem z Moskwy,
Walentyna

popêdzi³aby po sole trze²wi¹ce. "W kafejce, Mario? W bia³y dzień,

Mario?" Tak, Walentyno, i to, co powiedzia³, jest prawd¹.
Mia³am

nieœlubn¹ còrkê z ²ydem.

Najbardziej przera³a j¹ nicooœ. Mija³y tygodnie; w ambasadzie powiedziano Ostrakowej, ¿e jej podanie rozpatrywane

jest z "przychyln¹ uwag¹"; w³adze francuskie zapewnia³y, ¿e

Aleksandra szybko uzyska francuskie obywatelstwo; ryży
nieznajomy

namówi³ j¹ do podania wstecznej daty urodzenia Aleksandry,
żeby

mog³a występować jako Ostrakowa, a nie jako Glikman;
mężczyzna

powiedzia³, że w³adze francuskie przyjm¹ to o wiele lepiej;
zdawa³o się, że tak w istocie jest, choć Ostrakowa nie
napomknę³a

nawet o istnieniu dziecka podczas swoich rozmów
naturalizacyjnych. A teraz nagle nie trzeba by³o już wypełniać
żadnych formularzy, pokonywać żadnych przeszkód,
Ostrakowa zaczę

czeka³a nie wiadomo na co. Na powrót ryżawego
nieznajomego? On

już nie istnia³. Omlet z szynk¹ i frytkami, trochę alzackiego
piwa i dwa kaw³ki kruchego pieczywa najwyraźniej
zaspokoi³y

wszystkie potrzeby mężczyzny. Nie mia³a pojęcia, jaki by³
jego

zwi¹zek z ambasad¹: kaza³ jej się tam udać i powiedzia³, że
bêd¹

jej oczekiwaæ; mia³ racjê.

Ale kiedy wspomnia³a im o "tym panu od was", a nawet kiedy

opisa³a go jako "tego blondyna, postawnego pana, który pierwszy

nawi¹za³ ze mn¹ kontakt", spotka³a siê jedynie z uœmiechniêtym

niezrozumieniem.

I tak stopniowo to, na co czeka³a, przestawa³o istnieæ. By³o to w³pierw przysz³oœci¹, potem przesz³oœci¹, a ona nie wiedzia³a

nawet, kiedy przeminê³o i nie zazna³a chwili spe³nienia. Czy Aleksandra przyby³a ju¿ do Francji?

Czy otrzyma³a dokumenty i pojecha³a dalej? A mo¿e gdzieœ siê

ukrywa?

Ostrakowa zaczê³a przypuszczaæ, ¿e jest to ca³kiem prawdopodobne.

Poddana nowemu dla niej poczuciu rozczarowania, nie mog¹c

znaleŹæ ukojenia, wpatrywa³a siê w twarze dziewcz¹t na ulicach i

zastanawia³a siê, jak teŹ moŹe wygl¹daæ Aleksandra. Kiedy wraca³a

do domu, niemal automatycznie spogl¹da³a na wycieraczkê w

nadziei, Źe zobaczy napisan¹ odrêcznie karteczkê, albo pneumatique: Mamo, to ja. Mieszkam w takim to a takim hotelu...

Telegram podaj¹cy numer lotu, przylatujê Orly jutro, dzieŹ wieczorem; a moŹe to nie Orly, tylko Charles de Gaulle? Nie zna³a

siê na pracy linii lotniczych, odwiedzi³a zatem biuro podróŹy, Źeby tylko zasiêgn¹æ informacji. Okaza³o siê, Źe w grê wchodzi¹

oba lotniska. RozwaŹa³a moŹliwoœæ poniesienia kosztów, zwi¹zanych

z za³oŹeniem sobie telefonu, Źeby Aleksandra mog³a do niej zadzwoniæ. Ale czego, na Boga, spodziewa³a siê po tylu latach?

Źzawych spotkañ z doros³ym juŹ dzieckiem, z którym nigdy nie by³a

razem?

Spóÿnionej o przesz³o dwadzieœcia lat odbudowy zwi¹zku,

który œwiadomie zlekcewa¿y³a? Nie mam do niej ¿adnego prawa,

surowo powtarza³a sobie Ostrakowa; mam tylko d³ugi i zobowi¹zania. Pyta³a w ambasadzie, ale nie wiedzieli nic wiêcej.

Twierdzili, ¿e formalnoœci zosta³y zakoñczone. To wszystko, co im

wiadomo. A gdyby Ostrakowa pragnê³a wys³aaæ córce pieni¹dze -

spyta³a przebiegle - na przyk³ad na bilety albo na wizê? Czy mogliby podaæ jej adres albo skierowaæ j¹ do urzêdu, który móg³by

odnaleŸæ Aleksandrê?

Tu nie poczta, powiedzieli. Ich niespodziewany ch³ód przestraszy³ Ostrakow¹. Wiêcej tam nie posz³a.

Potem z kolei zaczê³y j¹ niepokoiaæ tamte nieostre fotografie, które dali, ¿eby do³czy³a je do swoich podañ, Wszystkie zdjêcia by³y jednakowe.

Znała Aleksandrę wyjątkowo z tych odbitek. Właśnie teraz, że nie porobiła sobie kopii, ale nie przyszło jej to do głowy; przypuszczała niemiłosiernie, że niedługo pozna oryginał. Zresztą fotografii nie miała w ręku dłużej niż godzinę!

Z ambasady popędziła z nimi wprost do ministerstwa, a kiedy stamtąd wyszła, zdjęcia przedzierały się już przez kolejny głąszcz biurokratycznych przepisów.

Ale przyjrzała się im dobrze! Boże, jak ona przyglądała się tym fotografiom, nieważne, czy wszystkie były identyczne czy nie!

W metrze, w poczekalni ministerstwa, nawet na ulicy przed wejściem wpatrywała się uparcie w martwy wizerunek swojego

dziecka, z których się próbując w szarych cieniach bez wyrazu dojrzała choćby najmniejszy ślad ubóstwanego przez siebie

człowieka. Ale bez powodzenia. Jak dotąd zawsze, kiedy tylko

ośmielała się o tym rozmyślać, wyobrażała sobie, że rysy Glikmana

wypisane s¹ na twarzy dorastaj¹cej już córki równie wyraziście,

jak przedtem na twarzy noworodka. By³o chyba niemożliwe, żeby

mêłczyzna tak krzepki i energiczny nie zaszczepi³ dziecku piêtna

swej natury g³ęboko i na zawsze. A mimo to Ostrakowa nie

dostrzeg³a na fotografii ani celadu Glikmana. Obnosi³ siê ze swoim

żydowskim pochodzeniem niczym ze sztandarem. By³a to czêcaê jego

samotnej rewolucji. Nie by³ ortodoksem, w ogóle nie by³ religijny, a cichej pobożności Ostrakowej nie cierpia³ niemal tak

samo, jak sowieckiej biurokracji - a jednak kiedyœ połyczy³ od

Ostrakowej lokówki i wzorem chasydów zakrêci³ sobie pejsy, aby,

jak twierdzi³, uwidoczniaê wszystkim antysemityzm w³adz.

Ale w twarzy na zdjêciu Ostrakowa nie zdo³a³a rozpoznaê ani

kropki jego krwi, najmniejszej iskiereki jego ognia - chociaŹ ów
ogień, jak twierdzi³ nieznajomy, p³on¹³ w Aleksandrze z
niezwyk³¹

moc¹.

Nie zdziwi³abym siê, gdyby to zdjęcie przedstawia³o trupa,
myœla³a g³oœno Ostrakowa w swoim mieszkaniu. T¹ szczer¹
uwag¹ po

raz pierwszy da³a wyraz narastaj¹cym w niej w¹tpliwoœciom.

Haruj¹c w hurtowni i przesiaduj¹c samotnie d³ugimi
wieczorami w swoim maleńkim mieszkanku, ³ama³a sobie
g³owê, komu

mog³aby zaufaæ; kto nie przebaczy³by jej i zarazem nie
potêpi³;

kto umia³by dostrzec, co kryje siê za kolejnymi zakrêtami
drogi,

któr¹ wyruszy³a; a nade wszystko kto milcza³by i nie
zaprzepaœci³by jej szans na po³¹czenie siê z Aleksandr¹ -
przecieŹ groŹono jej za niedyskrecjê. AŹ wreszcie pewnej
nocy

Bóg, a moŹe wytêŹona pamiêæ, podsunê³a jej odpowiedŹ.
Genera³ -

pomyœla³a, siadaj¹c na ³ó¿ku i zapalaj¹c œwiat³o. Mówi³ jej o nim

sam Ostrakow. Te grupy emigranckie -powiada³ - to tragedia,

musisz ich unikaæ jak zarazy. Mo¿esz zaufaæ jedynie Genera³owi

Vladimirowi: stary drañ i kobieciarz, ale prawdziwy mêt¿czyzna, ma

kontakty i potrafi trzymaæ jêzyk za zêbami.

Jednak Ostrakow opowiada³ jej o nim jakieœ dwadzieœcia lat

temu, a przecie¿ nawet starzy genera³owie nie s¹ nieœmiertelni. A

poza tym -jaki Vladimir? Nie zna³a jego nazwiska, a nawet imiê

Vladimir - jak jej powiedzia³ Ostrakow - Genera³ przybra³ dopiero

w wojsku, albowiem jego prawdziwe estoñskie imiê nie brzmi³oby

odpowiednio w Armii Czerwonej. Mimo wszystko nastêpnego dnia

Ostrakowa poszła zasięgnąć języka do księgarni koło katedry
cew.

Aleksandra Newskiego, gdzie zwykle uzyskuje można by o
informacje

na temat topniejącej coraz bardziej rosyjskiej społeczności
Paryża.

Zdobyła nazwisko i nawet numer telefonu, ale nie adres.

Telefon okazał się wyznaczony. Ostrakowa udała się na pocztę,
obsypała urzędników pochlebstwami i uzyskała w końcu
ksiżkę

telefoniczną z pięćdziesiątego szóstego roku, w której znalazła

Ruch Na Rzecz Wolności Krajów Nadbałtyckich wraz z
adresem na

Montparnasse. Nie była głupia. Odszukała adres i okazało się,
że

wymieniono pod nim jeszcze co najmniej cztery inne
organizacje;

Grupa Rysk, Stowarzyszenie Ofiar Sowieckiego
Imperializmu,

Komitet Czterdziestu Ośmiu Na Rzecz Wolnej Litwy i
Taliński

Komitet Wolności.

Doskonale pamiętała uszczypliwe uwagi Ostrakowa o podobnych

ciach, choć w swoim czasie wiele dla nich przeszedł. Tak czy

inaczej udała się pod wskazany adres i zadzwoniła do drzwi; dom

przypominał jeden z tych jej kościółków: miała osobliwy wygląd i

sprawiła wrażenie pozamykanego na cztery spusty.

W końcu drzwi otworzył spozierający z wyższości stary biały ogwardzista, ubrany w krzywo zapięty sweter i wsparty na

łasce.

- Odjechali - powiedziała, wskazując łaskę w dół brukowanej ulicy. - Wyprowadzili się. Koniec. Zniszczyły ich większe organizacje - dodała ze cieniem. Ich było za mało, ugrupowań za

wiele, a ponadto sprzeczali się jak dzieci. Nic dziwnego, że

pokonano cara! - Stary biały ogwardzista nosił źle dopasowaną

sztucznie szczękę i poprzyklejane do czaszki rzadkie włoski, mające zasłoniąć wysiłek.

- A Generał? - zapytał. - Gdzie jest Generał? - yje czy może...

Stary Rosjanin uśmiechnął się wymuszenie i zapytał, czy chodzi o interesy.

- Ależ nie - odpowiedział sprytnie Ostrakowa, i pamiętając krótko o Generale opinię flirciarza przywołał na usta uśmiech

niechętej kobiety. Stary Rosjanin roześmiał się, grzechocząc

zębami. Roześmiał się znowu i powiedział:

- Ach, ten Generał! - Potem odszedł i wrócił z jakimś londyńskim adresem, odbitym fioletowym tuszem na kartoniku, który

wręczył Ostrakowej.

- Generał nie zmieni się nigdy - powiedział - bez wątpienia nawet w Niebie będzie ugania się za aniołami, próbując je poderwać.

I tej nocy, kiedy cała okolica pogrążyła się we śnie,

Ostrakowa usiad³a przy biurku swojego zmar³ego m³e¿a i
ze

szczeroci¹, któr¹ ludzie samotni zachowuj¹ dla obcych,
napisa³a

do Genera³a list, stosuj¹c francuski zamiast rosyjskiego, ¿eby
uzyskaæ jeszcze wiêkszy dystans. Napisa³a o swojej mi³oci
do

Glikmana i pociesza³a siê myœl¹, ¿e Genera³ kocha³ kobiety
równie

mocno, jak Glikman. Przyzna³a siê od razu, ¿e przyby³a do
Francji

jako szpieg i wyjaœni³a, w jaki sposób powsta³y te dwa
trywialne

sprawozdania, stanowi¹ce plugaw¹ cenê jej wolnoœci. Odby³o
siê to

a contre - coeur, jak napisa³a; zreszt¹ w raportach zawar³a
wy³¹cznie wymys³y i wybiegi, czyli nic.

Ale raporty owe, podobnie jak podpisane przez ni¹
zobowi¹zanie, jednak istniej¹ i w powa¿nym stopniu
ograniczaj¹

jej swobodê. Dalej pisa³a Genera³owi o swojej duszy i o

modlitwach zanoszonych do Boga po wszystkich
rosyjskich

kołecio³ach. Dni sta³y siê nierzeczywiste od czasu spotkania z
ry³awym nieznanym; Ostrakowa czu³a, że jej życie
pozbawione

zosta³o przyrodzonego wyjaœnienia, nawet jeœli mia³oby ono
byæ

bolesne. Nie zatai³a niczego, albowiem poczucie winy, jakie
mog³aby mieæ, nie odnosi³o siê do wysi³ków, maj¹cych na
celu

sprowadzenie Aleksandry na Zachód, lecz raczej do decyzji
pozostania w Pary³u i sprawowania opieki nad Ostrakowem,
dopóki

nie umrze - przecie³ potem Sowieci i tak nie pozwoliliby jej
wróciæ, bo wtedy i ona sta³a siê uciekinierk¹.

Generale - pisa³a - gdybym wszak³e musia³a stan¹æ dzie
przed

Stwórc¹ i wyznaæ mu, co kryje siê najg³êbiej w moim sercu,
to

powiedzia³abym Mu to samo, co dzie wyznajê panu. Moja
ma³a

Aleksandra rodzi³a siê w bólach. Zmaga³a siê ze mn¹ dniami i

nocami, a ja broni³am siê przed ni¹. Już w ³onie matki by³a dzieckiem swego ojca. Nie mia³am czasu, żeby j¹ kochaæ; zna³am j¹

jedynie jako ma³ego żydowskiego bojownika, podobnego do ojca. Ale

wiem jedno, Generale: dziecko na fotografii nie jest ani moje, ani Glikmana. Podrzucaj¹ mi do gniazda kuku³cze jajo, a choæ jest

w starej kobiecie coæ, co chcia³oby pozwoliæ siê oszukaæ, to jest

w niej te¿ coæ silniejszego, co nienawidzi ich za ich oszustwa.

Potem natychmiast zaklei³a list w kopercie, żeby go nie przeczytaæ i nie zmieniaæ zamiaru. Naklei³a na kopertê mnóstwo

znaczków, jak gdyby zapala³a œwiecê ku czci kochanka.

Dok³adnie przez dwa tygodnie po wys³aniu listu nic siê nie wydarzy³o, i to milczenie zgodnie z dziwn¹ kobiec¹ natur¹ stanowi³o dla niej niejaki¹ ulgê. Po burzy przyszed³ spokój, Ostrakowa uczyni³a tyle, ile mog³a, choæ nie by³o to wiele -

wyzna³a swoje s³aboœci, swoje zdrady i swój wielki grzech - reszta spoczywa³a w rêku Boga; i w rêku Genera³a. Nie przera³a³y

jej zak³ócenia w pracy francuskiej poczty. Widzia³a je raczej jako jeszcze jedn¹ przeszkodê, któr¹ ludzie kształtuj¹cy jej przeznaczenie bêd¹ musieli pokonaæ, jeœli starczy im po temu

silnej woli. Chodzi³a do pracy z przyjemnoœci¹ i przesta³ jej dokuczaæ krzy³, co potraktowa³a jako dobry omen. Zaczê³a nawet

znowu filozofowaæ.

Mówi³a sobie w ten czy inny sposób: albo Aleksandra jest ju³

na Zachodzie i dzieje siê jej lepiej - jeœli rzeczywiœcie by³a to Aleksandra - albo pozosta³a tam, gdzie by³a, i przynajmniej nie dzieje siê jej gorzej.

Stopniowo jednak inna cz¹stka duszy kobiety przejrza³a ten fa³szywy optymizm. Istnia³a trzecia mo³liwoœæ, któr¹ Ostrakowa

powoli zaczê³a uwa³æ za najgorsz¹ i zarazem najbardziej prawdopodobn¹: Ÿe pos³u³ono siê Aleksandr¹ dla jakichœ

z³owieszczych i niecnych celów; ¿e w jakiœ sposób zmuszaj¹ j¹ do

czegoœ, dok³adnie tak, jak kiedyœ zmusili j¹, Ostrakow¹, i ¿e wykorzystuj¹ jej odwagê i dobroœ, które przekaza³ jej ojciec, Glikman. Wtedy czternastej nocy Ostrakowa uleg³a silnemu atakowi

p³aczu i ze ³zami sp³ywaj¹cymi po twarzy przesz³a pó³ Pary¿a w

poszukiwaniu jakiegoœ otwartego koœcio³a, a¿ wreszcie dotar³a ni

mniej, ni wiêcej, tylko do katedry Aleksandra Newskiego. By³a

otwarta. Uklêk³a i przez d³ugie godziny modli³a siê do œw.

Józefa, który by³ w koñcu ojcem, opiekunem i patronem, którego

imiê nosi³ Glikman, choœ on wyszydzi³by zapewne to skojarzenie.

Nastêpnego dnia po tych duchowych wysi³kach jej modlitwa zosta³a

wys³uchana. Dosta³a list. Nie by³o na nim znaczka ani stempla. Na

wszelki wypadek poda³a tak²e adres do pracy i kiedy przysz³a do

hurtowni, list ju² na ni¹ czeka³, dostarczony prawdopodobnie w

nocy przez pos³a^ñca. By³ niepodpisany, bardzo krótki i pozbawiony

zarówno adresu, jak i nazwiska nadawcy.

Napisano go odrêcznie, podobnie jak list Ostrakowej, koturnow¹ francuszczyzn¹, rozci¹gniêtym pismem skreœelonym

starcz¹, w³adcz¹ d³oni¹, w której Ostrakowa natychmiast rozpozna³a d³o^ñ Genera³a.

Madame - brzmi³o to niczym rozkaz - list pani dotar³ bezpiecznie do pisz¹cego te s³owa. Zwolennik naszej sprawy

odwiedzi pani¹ wkrótce. Jest cz³owiekiem honoru, a sw¹ to² samoœæ

odkryje, wrêczaj¹c pani drug¹ po³ówkê za³czonej pocztówki.

Usilnie proszê, aby nie rozmawia³a pani z nikim o tej sprawie do chwili jego przyjazdu. Przybêdzie do pani do domu

pomiędzy ósm¹ a dziesi¹t¹ wieczorem. Trzykrotnie zadzwoni do

drzwi. Cz³owiek ów posiada moje pe³ne zaufanie. Proszê polegaa na

nim ca³kowicie, a uczynimy wszystko, Ÿeby przyjœaa pani z pomoc¹.

Choœ ogarnê³o j¹ uczucie ulgi, melodramatyczny styl autora listu w g³êbi duszy rozbawi³ nieco Ostrakow¹. Dlaczego nie moŸna

by³o po prostu dorêczyaa listu do mieszkania? - myœla³a, i czemu

mia³abym czuaa siê bezpieczna dlatego, Ÿe przys³a³ mi po³owê

angielskiej widokówki? Na kawa³ku pocztówki widaa by³o bowiem

fragment Piccadilly Circus, a kartka nie by³a rozciêta, lecz rozerwana w poprzek z rozmyœln¹ niedba³oœci¹.

Ku jej zdumieniu wys³annik Genera³a przyjecha³ jeszcze tego

wieczora.

Zadzwoni³ trzykrotnie, jak napisano w liœcie, ale z

pewności¹ wiedzia³, że jest w domu, musia³ widzieć, jak
wchodzi i

zapala świat³o, ponieważ us³ysza³a jedynie szczęk skrzynki
na

listy, znacznie g³ośniejszy niż zazwyczaj, a kiedy podesz³a do
drzwi, ujrza³a kawa³ek pocztówki leż¹cy na wycieracze, na
tej

samej wycieracze, na któr¹ spogl¹da³a tak często, wyczekuj¹c
z

utęsknieniem na jak¹o wiadomości o Aleksandrze, swej
córcie.

Podnios³a widokówkę i pobieg³a do sypialni po Biblię, w
której

leża³a jej po³owa kartki. I tak, kawa³ki pasowa³y do siebie, Bóg
by³ po jej stronie, Święty Józef wstawi³ się za ni¹. (Mimo
wszystko jakie to jednak absurdalne!) Kiedy otworzy³a
drzwi,

przemkn¹³ ko³o niej jak cień: wygl¹da³ niczym chochlik,
którego

czarny p³aszcz z aksamitnymi patkami na ko³nierzcu roztacza³
wokó³

aurę jakiejś operowej konspiracji. Jej pierwsz¹ myśl¹ by³o, że

przys³ali jej kar³a, aby schwyta³ olbrzyna.

Mia³ ³ukowate brwi, pobru¿d³on¹ zmarszczkami twarz
oraz

stercz¹ce nad spiczastymi uszami i podwiniête ku górze ró¿ki
czarnych w³osów, które zacz¹³ przyg³adzaæ drobnymi d³oñmi
przed

lustrem w przedpokoju, gdy tylko zdj¹³ kapelusz; by³ tak
po³yskliwy i æmieszny, ¿e przy innej okazji Ostrakowa
æmia³aby

siê w g³os z werwy, komizmu i nonszalancji tego cz³owieka.

Ale nie dzisiaj.

Natychmiast pojê³a, ¿e dzieæ wype³nia go powaga, która
zwykle

jest mu obca. Dzieæ, jak ogromnie zajêty handlowiec, który
wysiad³

w³aænie z samolotu, chcia³ jedynie robiæ interesy -
wyczuwa³a

bowiem równie¿, ¿e dopiero co przyby³ do miasta: by³ schludny
i

podró¿owa³ bez zbêdnego baga¿u.

- Czy mój list dotar³ do pani bez przeszkód? - Mówi³ szybko

po rosyjsku z akcentem estońskim.

- Myśla³am, że to by³ list od Genera³a - odpar³a,
mimowolnie

przyjmuj¹c wobec niego surowy ton.

- Dostarczy³em go w jego imieniu - powiedzia³ poważnie.

Grzeba³ w wewnętrznej kieszeni i Ostrakow¹ ogarn³o
straszne

przecucie, że podobnie jak ów olbrzymi Rosjanin
wyci¹gnie

stamt¹d łeni¹cy, czarny notes. Ale on zamiast tego wyj¹³
fotografi^ê i wystarczy³o jej tylko jedno spojrzenie: blada,
b³yszcz¹ca twarz o wyrazie gardz¹cym nie tylko ni¹, lecz
kobieco^œci¹ w ogóle; wygl¹d sugeruj¹cy pragnienie, którego
tamten

nie ^œmia³ zaspokoia^æ.

- Tak - powiedzia³a. - To ten nieznajomy.

Widz¹c, jak ro^œnie jego rado^œa, domyeli³a si^ê od razu, że
by³ kim^œ, o kim Glikman i jego przyjaciele mówili: "jeden z
naszych" - wcale nie musia³ by^æ ydem, wystarczy³o, że by³
dla

Glikmana cz³owiekiem z krwi i ko^œci.

Od tej chwili nazywa³a go w duchu Czarodziejem.
Pomyœla³a

sobie, ¿e ma kieszenie pe³ne sprytnych sztuczek, a w jego weso³ych oczach ukrywaj¹ siê magiczne iskierki.

Rozmawia³a z Czarodziejem przez pó³ nocy z takim natê¿eniem,

jak nigdy z nikim od czasu rozstania z Glikmanem. Przede wszystkim opowiedzia³a ca³¹ historiê jeszcze raz, prze¿ywaj¹c j¹ ponownie ze wszystkimi szczegó³ami, i ku swojemu cichemu

zdzumieniu odkry³a, jak wielu informacji nie uwzglêdni³a w liœcie,

który Czarodziej wydawa³ siê znaæ na pamiêæ. Wyjaœni³a mu naturê

swoich uczuæ, swoje ³zy, swój okropny wewnêtrzny nie³ad: opisa³a

prostactwo jej przepoconego drêczyciela. By³ taki niekompetentny

-powtarza³a w zadumie - jak gdyby robi³ to pierwszy raz - nie by³o w nim ¿adnego sprytu ani pewnoœci siebie. Jakie to dziwne

myśleæ o Szatanie jako o partaczu! Opowiedzia³a o omlecie
z

szynk¹ i frites, i o alzackim piwie, i Czarodziej æmia³ siê;
powiedzia³a mu o swym przeczuciu, ¿e jest to mê¿czyzna
wstydlivy

i pe³en kompleksów - przeciwieñstwo lowelasa - i ma³y
Czarodziej

na ogó³ przytakiwa³ jej uprzejmie, jak gdyby on i tamten
ry¿awy

cz³owiek znali siê dobrze od dawna. Zgodnie z tym, co jej
przykaza³ Genera³, zaufa³a Czarodziejowi ca³kowicie;
podejrzeñ

mia³a ju¿ powy¿ej uszu.

Pomyœla³a póŹniej, ¿e rozmawia³a z nim tak szczerze, jak
niegdyœ z Ostrakowem, kiedy byli jeszcze m³odymi
kochankami w jej

rodzinnym mieœcie i nocami, gdy wydawa³o im siê, ¿e mog¹ siê
ju¿

nigdy nie zobaczyæ, przywierali do siebie pomimo
trwaj¹cego

oblê¿enia, szepcz¹c w takt huku nadci¹gaj¹cych armat; albo tak

jak z Glikmanem, kiedy oczekiwali na 3omot do drzwi,
oznaczaj¹cy

dla niego kolejny powrót do wiêzienia. Przemawia³a do
jego

uwa¿nego i rozumiej¹cego spojrzenia, do skrywanego w nim
ciemiechu,

do cierpienia, o którym wiedzia³a od razu, ¿e stanowi lepsz¹
czêœæ jego nieszablonowej i byæ mo¿e aspo³ecznej natury. I
gdy

tak rozmawiali, kobieca intuicja stopniowo podpowiada³a
Ostrakowej, ¿e ona rozbudza w nim namiêtnoœæ -ale tym
razem nie

by³a to mi³oœæ, lecz ostra i szczególna nienawioœæ, która
ka¿demu

jego pytaniu nadawa³a uczucie i moc. Nie wiedzia³a
dok³adnie,

czego lub kogo nienawidzi³, ale lêka³a siê o ka¿dego, nie tylko o
ry¿awego nieznanego, kto móg³by œci¹gn¹æ na siebie ¿ar
gniewu

maleñkiego Czarodzieja.

Jak pamiêta³a, namiêtnoœæ Glikmana by³a namiêtnoœci¹
ogóln¹,

bezsenn¹, wymierzon¹ po prostu przeciwko
niesprawiedliwości,

skierowan¹ niemal na chybi³ trafi³ przeciw całemu szeregowi
jej

bardziej lub mniej istotnych przejawów. Tymczasem
namiętność

Czarodzieja by³a niczym pojedynczy snop świat³a,
skierowany na

określony punkt, którego Ostrakowa nie umia³a jednak
dostrzec.

W każdym razie jest faktem, że nim Czarodziej wyszed³ -
mój

Boże, pomyśla³a, już prawie znów pora do pracy -
Ostrakowa

opowiedzia³a mu wszystko, co tylko mog³a mieć do
powiedzenia, on

natomiast zbudzi³ w niej uczucia, które przez lata całe, aż do
tej nocy, należa³y jedynie do przeszłości. Pomimo całej
zawiesłości

swojego stosunku do Aleksandry, do samej siebie i do jej obu
nieżyjących mężczyzn, zdoła³a uprzątaj¹c w oszromieniu talerze
i

butelki, wybuchn¹æ œmiechem na myœel o swojej kobiecej naiwnoœci.

- Przecie¿ ja nawet nie znam jego nazwiska - powiedzia³a g³oœno, drwi¹co krêc¹c g³ow¹. - "Jak mogê siê z panem skontaktowaæ? - zapyta³a, gdy wychodzi³. - Jak mogê pana

uprzedziaæ, jeœli on wróci?" Czarodziej odrzek³, ¿e nie bêdzie mog³a tego uczyniaæ. Ale gdyby w sprawie nast¹pi³ jakieœ prze³om,

mo¿e napisaæ znów do Genera³a na jego angielskie nazwisko i na

inny adres. - Pan Miller - powiedzia³ powa¿nie, wymawiaj¹c nazwisko z francuska, i wrêczy³ jej wizytówkê z wypisanym rêcznie

drukowanymi literami londyñskim adresem. - Ale proszê zachowaæ

ostro¿noœæ. Niech pani u¿ywa okrê¿nych sformu³owañ.

Przez ca³y ten dzieñ i przez wiele nastêpnych Ostrakowa na pierwszym planie pamiêci przechowywa³a obraz odchodz¹cego

Czarodzieja, który opuszcza j¹ i rusza w dó³ s³abo œewietlon¹

klatk¹ schodow¹. Jego ostatnie, żarliwe spojrzenie, pe³ne stanowczoœci i uniesienia: "Przyrzekam pani¹ uwolniaæ.

Dziêkujê za wezwanie mnie pod broñ". Drobna, bia³a d³oñ, zsuwaj¹ca siê po szerokiej porêczy schodów bieg³a wci¹¿ w ko³o i

w ko³o po zmniejszaj¹cym siê okrêgu po¿egnania, niby chusteczka

powiewaj¹ca z okna poci¹gu, a¿ wreszcie zniknê³a ca³kowicie w

mroku tunelu.

* * *

Drugie z wydarzeñ, które przyczyni³y siê do powrotu Georgea

Smileya z emerytury, mia³o miejsce kilka tygodni póŹniej, wczesn¹

jesieni¹ tego samego roku: jednak¿e wcale nie w Pary¿u, lecz w

starodawnym, wolnym, hanzeatyckim mieœcie Hamburgu, teraz niemal

œmiertelnie powalonym eksplozj¹ w³asnego dobrobytu;
pozostaje

jednak prawd¹, ¿e nigdzie lato nie odchodzi tak piêknie, jak na
z³otych i pomarañczowych brzegach jeziora Alster, którego
jak

dot¹d nie uda³o siê nikomu osuszyæ ani zalaæ cementem. Nie
trzeba

dodawaa, ¿e George Smiley nigdy nie ogl¹da³ owych
têsknych,

jesiennych wspania³oœci. Owego dnia Smiley z takim
przekonaniem,

na jakie by³o go tylko staæ, mozoli³ siê zapamiêtaæ przy
swoim

ulubionym stoliku w Bibliotece Londyñskiej na St. Jamess
Square,

mog¹c przez rozsuwane okno przygl¹daæ siê z czyteln
parze

wrzecionowatych drzew. Jedyne zwi¹zek Smileya z
Hamburgiem, na

jaki wtedy by³by w stanie siê powo³aæ - choæ nigdy potem
nie

próbowa³ tego uczynia^e - dotyczy³ parnaskiego obszaru
niemieckiej

poezji barakowej. Smiley pracowa³ bowiem w³acenie nad
monografi¹

pewnego germańskiego barda, nazwiskiem Opitz, lojalnie
usi³uj¹c

odróżnia^e w jego twórczości prawdziw¹ namiętność od
mêcz¹cej

literackiej konwencji epoki.

W Hamburgu by³o wtedy parê minut po jedenastej rano, a
drózkê prowadz¹c¹ na nabrzeże zdobi³y cętki s³ońca i
suchych

liści. Nad spokojnymi wodami Alster wisia³a rozjarzona
mgie³ka,

przez któr¹ iglice na wschodnim brzegu wygl¹da³y jak
rozmażane na

wilgotnym horyzoncie zielone plamy.

Nad wod¹ krz¹ta³y siê czerwone wiewiórki,
przygotowuj¹ce

zapasy na zimê.

Jednakże stoj¹cy na brzegu drobny i cokolwiek

anarchistycznie wygl¹daj¹cy m³odzieniec w dresie i trampkach

wcale nie obserwowa³ zwierzt i w ogóle nie zaprz¹ta³ sobie nimi

g³owy. Jego pust¹ twarz zaciemni³ dwudniowy zarost, a zaczerwienione oczy ch³opaka utkwione by³y w nadp³ywaj¹cym

w³acenie parowcu. Pod lew¹ pach¹ m³odzieniec trzyma³ jak¹œ

hambursk¹ gazetê, ale ktoœ tak spostrzegawczy jak George Smiley

zauwa³y³by od razu, że nie by³o to wydanie dzisiejsze, lecz wczorajsze. W prawej d³oni œciska³ pleciony koszyk na zakupy,

który pasowa³by raczej do przysadzistej pani Ostrakowej ni¿ do

tego wiotkiego, rozczochranego ch³opaka wygl¹daj¹cego tak, jak

gdyby lada moment mia³ rzuciæ siê do jeziora. Z koszyka wychyla³y

siê pomarañcze, na których spoczywa³a ¿ó³ta koperta Kodaka z

napisem w języku angielskim. Poza tym nabrzeże było puste,
a

mgiełka unosząca się nad wodą pogłębiała jeszcze
osamotnienie

mołodego człowieka. Towarzyszył mu jedynie rozkład kursów
parowca

i archaiczne, pamiętające czasy wojny ogłoszenie informujące,
jak

należy ratować niedoszłych topielców; jednakże myśli
chłopaka

krążyły wyłącznie wokół otrzymanych od Generała instrukcji,
które

powtarzał sobie nieustannie niczym modlitwę.

Parowiec zgodnie podążył do brzegu i chłopak wskoczył
na

podobnie jak dziecko w tanecznej zabawie - grad kroków,
potem

bezruch, dopóki znów nie zaczęła grać muzyka. Dniem i nocą
przez

dwie doby nie myślał o niczym, tylko o tej chwili: teraz.

Prowadził samochód, czujnie wpatrywał się w drogę i
pomiędzy

pojawiaj¹cymi siê przelotnie postaciami żony i córki
widzia³

też oczami wyobraŹni wszystkie elementy tego nieszczęsnego
planu,

które mog³y zakończyæ siê niepowodzeniem. Wiedzia³, że
posiada

talent do prowokowania katastrof. Podczas rzadkich przerw na
kawê

przepakowywa³ i rozpakowywa³ pomarańcze kilkanaście razy,
k³ad¹c

kopertê to wzd³uż, to znów w poprzek koszyka - nie, ten k¹t jest
lepszy, bardziej odpowiedni, tak bêdzie ³atwiej po ni¹ siêgn¹æ.

Na peryferiach miasta zaopatrzy³ siê w drobne, aby starczy³o
mu

dok³adnie na bilet - a gdyby konduktor zatrzyma³ go na chwilê
i

wda³ siê z nim w pogawêdkê? Czasu na zrobienie tego, co
mia³

zrobiæ, by³o przecież tak ma³o! Nie powie ani s³owa po
niemiecku,

przemycela³ to sobie. Bêdzie mamrota³, ucemiecha³ siê,
zachowa

powœci¹gliwoœæ i bêdzie przeprasza³, ale nie odezwie siê.
Chyba

¿e powie kilka s³ów po estoñsku -mo¿e jakieœ zdanie z Biblii,
zapamiêtane z luterañskiego dzieciñstwa, jeszcze zanim
ojciec

kaza³ mu nauczyæ siê rosyjskiego. Ale teraz, kiedy owa
chwila

by³a ju¿ tak blisko, ch³opak dostrzeg³ pewn¹ lukê w swym
planie.

Co bêdzie, jeœli wspó³pasa¿erowie przyjd¹ mu z pomoc¹?
W

wielojêzycznym Hamburgu, oddalonym od Wschodu ledwie o
kilka mil,

szeœciu przypadkowych ludzi mo¿e znaæ szeœæ rozmaitych
jêzyków!

Lepiej siedzieæ cicho, z obojêtn¹ min¹.

Szkoda, ¿e siê nie ogoli³. Wola³by mniej rzucaæ siê w oczy.

Nie patrzy³ na nikogo, znalaz³szy siê w g³ównej kabinie
parowca.

Wzrok mia³ spuszczone: "Unikaj kontaktu wzrokowego"

-

rozkaza³ Genera³.

Konduktor gawêdzi³ z jak¹œ starsz¹ pani¹ i nie zwraca³ uwagi na ch³opca.

Zak³opotany, czeka³, usi³uj¹c sprawiaœ wra¿enie opanowanego.

Pasa¿erów by³o oko³o trzydziestu. Wydawa³o mu siê, ¿e wszyscy

mê¿czyŸni i kobiety, ubrani jednakowo w zielone p³aszcze i

zielone, filcowe kapelusze, nastawieni byli do niego nieprzychylnie. Nadesz³a jego kolej i m³odzieniec wyci¹gn¹³ wilgotn¹ d³oñ. Jedna marka, jedna piêædziesiêcio-fenigówka, kilka

mosiê¿nych dziesi¹tek. Konduktor przyj¹³ pieni¹dze bez s³owa.

Ch³opak niezdarnie, na oœlep ruszy³ miêdzy siedzeniami w stronê

rufy. Brzeg zacz¹³ siê oddalaæ.

Podjezrewaj¹, ¿e jestem terroryst¹, pomyœla³. Rêce mia³ powalane olejem silnikowym i ¿a³owa³ teraz, ¿e go nie zmy³.
Byæ

może mam go też na twarzy. "B¹d^Ÿ nijaki - powiedzia³
Genera³. -

Nie zwracaj na siebie uwagi. Nie ucemiechaj się i nie popatruj
koso. B¹d^Ÿ normalny". Sprawdzi³, która godzina, próbuj¹c
wykonaæ

tê czynnoœæ moŹliwie powoli. Lewy rêkaw podwin¹³ juŹ
wczeœniej,

Źeby ods³oniaæ zegarek. Pochylaj¹c się, choæ nie by³ wysoki,
ch³opak dotar³ wreszcie na rufê, os³oniêt¹ jedynie
baldachimem.

By³a to kwestia sekund. JuŹ nie dni czy kilometrów; nawet
nie
godzin.

Sekund.

Sekundnik jego zegarka min¹³ z drŹeniem szóstkê. Gdy
dosiêgnie jej ponownie, ruszasz. Wia³a bryza, ale ch³opak
niemal

tego nie spostrzeg³. Jego najwiêkszym zmartwieniem by³
czas.

Wiedzia³, Źe kiedy jest przejêty, zupe³nie traci poczucie czasu.

Obawia³ siê, ¿e nim siê zorientuje, sekundnik dwukrotnie obiegnie

sw¹ trasê, zmieniaj¹c jedn¹ minutê w dwie. W czêœci rufowej

wszystkie miejsca by³y wolne. Skierowa³ siê gwa³townie w stronê

ostatniej ³awki, obiema rêkami trzymaj¹c na brzuchu kosz z pomarańczami i jednocześnie œcisakaj¹c pod pach¹ gazetê: to ja,

odbierzcie moje sygna³y.

Czu³ siê jak g³upiec. Pomarañcze zdecydowanie zbyt wyraŹnie

rzuca³y siê w oczy. Niby dlaczego, na Boga, nieogolony m³odzieniec w dresie mia³by dŹwigae kosz pomarañczy i wczorajsz¹

gazetê? Z pewnoœci¹ ca³y statek zwróci³ na niego uwagê!

"Kapitanie - ten m³ody cz³owiek - tam - to zamachowiec! W koszu

ma bombê, chce nas porwaæ albo zatopiæ prom!" Plecami do niego,

ramiê przy ramieniu sta³a oparta o reling jakae para, wpatruj¹ca

siê w mg³ê. Mê¿czyzna by³ niezwykle drobny, ni¿szy ni¿
kobieta.

Nosi³ czarny p³aszcz z aksamitnym ko³nierzem. Oboje nie
zwracali
na niego uwagi.

"Usi¹dŸ tak daleko z ty³u, jak tylko to mo¿liwe, i pamiêtaj,
¿ebyœ siedzia³ tu¿ przy przejœciu" - mówi³ Genera³. Usiad³,
modl¹c siê, ¿eby uda³o siê za pierwszym razem i ¿eby nie
trzeba

by³o stosowaæ ¿adnych awaryjnych rozwi¹zañ. "To dla
ciebie,

Beckie" - wyszepta³ cichutko, myœl¹c o swojej córce i
przypominaj¹c sobie s³owa Genera³a. Pomimo swojego
luterañskiego

pochodzenia nosi³ na szyi drewniany krzy¿, który kiedyœ
podarowa³a mu matka, zas³ania³ go jednak zamek bluzy. Czemu
ukry³

krzy¿? ¿eby Pan Bóg nie przejrza³ jego podstêpów? Nie
wiedzia³.

Chcia³ znowu jechaæ, po prostu jechaæ i jechaæ, dopóki nie
padnie

ze zmęczenia albo nie znajdzie się bezpiecznie w domu.

"Nie rozglądaj się" - przypomni sobie słowa Generała. Nie wolno było mu patrzeć nigdzie, tylko przed siebie: "Jestem biernym partnerem. Ty masz jedynie stworzyć okazję, to wszystko.

Żadnego hasła, nic; tylko koszyk, pomarańcze, ósma koperta i gazeta pod pach". Nigdy nie powinienem się na to zgodzić, pomyślał. Narazam Beckie, moją córkę. Stella nigdy mi tego nie

wybaczy. Stracę obywatelstwo, ryzykuję wszystkim. Zrób to w imię

naszej sprawy - powiedziało Generało. Generale, nie istnieje dla mnie taka sprawa: nie jest moja, to byłaby twoja sprawa, byłaby to także sprawa mojego ojca, i w końcu dlatego wyrzuciłem pomarańcze

za burtę. Ale nie uczynię tego.

Kładąc gazetę obok na zbitej z deseczek ławce zauważył, że papier przesłknął potem - tam, gdzie go ociskał, spływały smugi

druku. Popatrzył na zegarek.

Sekundnik zatrzyma się na dziesiętce. Stan! Minęło

piętnaście sekund od chwili, kiedy ostatnio na niego patrzyłem
-

to po prostu niemożliwe! Szalone spojrzenie na brzeg
przekonało

go, że znajdowali się już na środku jeziora, Ponownie
popatrzył

na zegarek i zobaczył, jak sekundnik mija jedenastkę.

Grupa, pomyślał, uspokój się. Pochylił się nieco w prawo
i

udawał, że czyta gazetę, jednocześnie cały czas trzymając
przed

oczami tarczę zegarka. Terrorysty. Nic, tylko terrorysty,
pomyślał czytając nagłówki po raz dwudziesty.

Nic dziwnego, że pasażerowie uważają mnie za jednego z
nich.

Grossfahndung. To oznacza u nich szeroko zakrojone
poszukiwania. Zdumiało go, że pamięta aż tyle z
niemieckiego.

"Zrób to w imię naszej sprawy." Koszyk z pomarańczami u jego
stóp

przechylał się niebezpiecznie. "Gdy wstaniesz, postaw koszyk
na

³awce, ¿eby zaj¹æ sobie miejsce" - powiedzia³ Genera³. A co bêdzie, je¿eli koszyk siê przewróci? W wyobraŸni ujrza³ tocz¹ce

siê po ca³ym pok³adzie pomarañcze i le¿¹c¹ pomiêdzy nimi do góry

nogami ¿ó³t¹ kopertê, wszêdzie zdjêcia, a na wszystkich Beckie.

Sekundnik mija³ w³acenie szóstkê. Ch³opak wsta³. Teraz. By³o mu

zimno w brzuch. Obci¹gn¹³ bluzê, ¿eby siê okryæ, i niechc¹cy ods³oni³ drewniany krzy¿ od swojej matki. Zapi¹³ zamek. "Nie

spiesz siê. Nie przygl¹daj siê niczemu. Udawaj marzyciela - mówi³

Genera³. -Twój ojciec nie waha³by siê ani chwili - powiedzia³. - Ty te¿ siê nie zawahasz".

Ostro¿nie podniós³ i postawi³ koszyk na ³awce, przytrzyma³ go obiema rêkami, nachyli³ go nieco ku ty³owi, aby nadaæ mu

jeszcze wiêksz¹ stabilnoœæ, a potem sprawdzi³ jeszcze, czy wszystko jest w porz¹dku. Zastanawia³ siê, co zrobiæ z

"Abendblattem". Zabraæ go czy zostawiæ tam, gdzie le¿y? A mo¿e

jego ³¹cznik wci¹¿ jeszcze nie dostrzeg³ sygna³u? Wzi¹³ gazetê i wsadzi³ j¹ sobie pod pachê.

Wróci³ do g³ównej kabiny. Na rufê przysz³a jakaæ para, pewnie ¿eby zaczerpn¹æ powietrza, starsi ludzie, bardzo spokojni.

Tamci pierwsi byli seksowni, nawet widziani z ty³u - drobny mê¿czyzna, ³adnie zbudowana dziewczyna, szczup³oææ ich obojga.

By³o im dobrze w ³ó¿ku, wystarczy³o na nich popatrzeæ. Ale ci

tutaj wygl¹dali mu na policjantów; ch³opak by³ pewien, ¿e mi³oææ

fizyczna nie dostarcza³a im ¿adnej przyjemnoæci. Gdzie kr¹¿¹ moje

myæli? -zauwa¿y³ ob³¹kañczo. Wokó³ mojej ¿ony Stelli, brzmia³a

odpowiedŸ. Wokó³ d³ugich, rozkosznych uœciszków, których mo¿emy

ju¿ nigdy nie zakosztowaæ.

Niespiesznie, tak jak mu przykazano, ruszy³ w kierunku
wydzielonego na pok³adzie miejsca, gdzie siedzia³ pilot.
łatwo

by³o mu nie patrzeæ na nikogo; pasa¿erowie siedzieli zwrócen
do

niego plecami. Dalej wstêp dla pasa¿erów by³ zabroniony.
Pilot

siedzia³ na wysokim pomoœcie po jego lewej rêce. "PodejdŸ
do

okienka pilota i podziwiaj widoki. Pozostañ tam dok³adnie
minutê".

Dach kabiny obni¿a³ siê w tym miejscu; ch³opak musia³ siê
pochyliæ.

Drzewa i budynki poruszaj¹ce siê za szyb¹. Zobaczy³ sun¹c¹
obok ósemkê bez sternika, a potem skiff z samotn¹ bogini¹ o
blond

w³osach. Pomnikowe piersi, pomyœla³. Chcia³ wydaæ siê
jeszcze

bardziej obojêtny i postawi³ nogê na skraju pomostu dla pilota.

Dajcie mi kobietê, pomyœla³ z rozpacz¹ w krytycznym
momencie:

Dajcie mi moj¹ Stellê, senn¹ i pe³ⁿ¹ po¹dzania w p³ósmroku
wczesnego ranka. Lew¹ rêkê opar³ na relingu, zegarek ca^{3y}
czas

mia³ przed oczami.

- Nie czyœcimy tu butów - warkn¹³ pilot.

Ch³opak pospiesznie opuœci³ stopê na pok³ad. Teraz wie, ¿e
znam niemiecki, pomyœla³ i poczu³, jak twarz zak^{3u3}a go ze
wstydu. Ale i tak przecie¿ wiedz¹, myœla³ g³upawo, no bo
dlaczego

inaczej mia³bym przy sobie niemieck¹ gazetê?

By^{3a} ju¿ pora. Ch³opak wyprostowa³ siê ponownie,
odwróci³

niedu¿o za szybko i uda³ siê w powrotn¹ drogê na miejsce, przy
czym

nie by^{3o} ju¿ sensu pamiêtaæ o tym, ¿eby nie przygl¹daæ siê
mijanym ludziom, poniewa¿ to oni wpatrywali siê w niego,
z

dezaprobat¹ przygl¹daj^{1c} siê jego dwudniowemu zarostowi,
dresowi

i dzikiemu wyrazowi jego twarzy. Wzrok ch³opaka opuszcza³
oblicze

jednego pasażera tylko po to, żeby natrafiać zaraz na twarz następnego.

Pomyśla³ sobie, że nigdy dot¹d nie spotka³ jeszcze takiego niemego chóru wrogoœci.

Dres znów rozchyli³ mu siê na brzuchu, ukazuj¹c pasmo czarnych w³osów.

Stella pierze w zbyt gor¹cej wodzie, pomyśla³. Raz jeszcze obci¹gn¹³ bluzê i wyszed³ na powietrze, obnosz¹c siê ze swoim krzykiem niczym z orderem.

I wtedy niemal jednocześnie wydarzy³y siê dwie rzeczy.
Oto

tuż ko³o koszyka na ³awce zobaczy³ znak, którego szuka³;
wykonany

¿ó³t¹ kred¹ i jaskrawy niby kanarek bieg³ przez dwie deszczu³ki, informuj¹c go o tym, że przekazanie przesy³ki zakończy³o siê sukcesem. Na ten widok wype³ni³o go poczucie wielkoœci, czegoœ

podobnego nie dozna³ jeszcze nigdy w ¿yciu, wyzwolenie doskonalsze od tego, którego mog³aby dostarczyæ mu kobieta.

"Dlaczego musimy to robić właśnie tak? - pyta Generał -

dlaczego to wszystko musi być tak skomplikowane?"

"Ponieważ

przedmiot ów jest jedyny w swoim rodzaju na świecie -
odparł

Generał. - To skarb nie posiadający odpowiednika. Jego utrata
byłaby tragedią dla wolnego świata".

"I to mnie wybrał na swojego kuriera, pomyślał z dumą
chłopiec, choć w głębi duszy nadal uważał, że starzec co
nieco

przesadza. Spokojnie podniósł ów kopertę, wsunął ją do
kieszeni bluzy, zapisał zamek i przejechał palcem wzdłuż
spojenia

sprawdzając, czy wszystkie zakamarki znajdują się na
właściwych

miejscach.

Dokładnie w tej samej chwili zdał sobie sprawę z tego, że
jest obserwowany. Kobieta przy relingu wciąż stała plecami
do

niego i chłopak znów spostrzegł, że ma bardzo zgrabne biodra i

nogi. Ale jej mąż, seksowny towarzysz w czarnym płaszczu

odwrócił się całkiem ku niemu, a wyraz jego twarzy pozbawił

chłopca wszelkich doznawanych wcale przyjemnych uczuć.

Tylko raz widział taką twarz, było to wówczas, kiedy w ich pierwszym angielskim domu, w pokoju w Ruislip umierał jego

ojciec, zaledwie kilka miesięcy po przybyciu do Anglii. Nigdy

przedtem nie widział u nikogo podobnej rozpaczliwej, równie

powagi i bezbronności. Ponadto, co było jeszcze bardziej niepokojące, wiedział - tak jak i Ostrakowa - że była to rozpacz wypaczająca naturalny układ rysów jego twarzy, twarzy komika -

czy też Czarodzieja, jak chciał Ostrakowa. Rozpalone, pełne wściekłego błądzenia spojrzenie męża nieznajomego o ostrym

obliczu stanowiło także jawny wyraz jego komedianckiej duszy.

"Chłopcze, pojęcia nie masz, co tam niesiesz. Strzeż tego za cenę życia!" Parowiec zatrzyma się. Byli na drugim brzegu.

Chwyciwszy koszyk chłopak zeskoczy na ląd i niemal biegnąc,

potrąca zaafetowanych zakupami ludzi to na tej, to znów na innej

bocznej uliczce, prowadzącej nie wiadomo dokąd.

W drodze powrotnej, kiedy kierownica objęła mu rękę, a w uszach rozbrzmiewała mocna gama silnika, chłopak widział

twarz na mokrej szosie i wraz z upływem godzin zastanawiał się,

czy na skutek emocji, spowodowanych przekazaniem przesłanki, nie

pojawiła się ona jedynie w jego wyobraźni.

Najprawdopodobniej

w rzeczywistości by ktoś zupełnie inny, myślał próbując się

uspokoić. Jedną z tych grubych dam w zielonym filcowym kapeluszu

- albo nawet konduktor. By³em za bardzo zdenerwowany,
powiedzia³

sobie. W decyduj¹cym momencie odwróci³ siê ku mnie
nieznany

mê¹czyzna, spojrze³ na mnie, a ja od razu dorobi³em mu ca³¹
historiê, uroi³em sobie nawet, że to mój umieraj¹cy ojciec.

Doje¹d¹aj¹c do Dover by³ już niemal przekonany, że uda
mu

siê przesta^æ rozmyœla^æ o tym mê¹czyŃnie. Przeklête
pomara^ñcze

wyrzuci³ do kosza na œmieci, a w kieszonce jego bluzy
bezpiecznie

spoczywa³a k³uj¹ca go spiczastym rogiem i ó³ta koperta i tylko
to

siê teraz liczy³o. A wiêc stworzy³ sobie pewne teorie dotycz¹ce
cichego wspólnika? Lepiej o nich zapomnie^æ.

A gdyby nawet, przez czysty przypadek, mia³ racjê, i gdyby
by³a to tamta pusta, gro^Ńna twarz - no to co z tego? Tym
bardziej

nie nale¹zy lecie^æ w tej sprawie z jêzorem do Genera³a,
którego

troska o bezpieczeństwo miała w sobie coś z
natchnionego

uniesienia jasnowidza. Myślał o Stelli stała się dla niego bolesną
potrzebą. Jego posiadanie zaostrzało się wraz z każdą hałaśliwą
miłą. Wciąż jeszcze trwało wczesny poranek. Wyobraziła sobie,
że

budzi ją pieszczotami; zobaczyła, jak jej zaspany ucieniem
powoli

przeradza się w namiętność.

Smileyą wezwano jeszcze tej samej nocy. Dziwne -
choć

uważała, że na tym późnym etapie swego życia wcale nie
sypia

dobrze, to telefon stojący koło jego łóżka dzwonił chyba
bardzo

długo, zanim go odebrała. Wróciła do domu prosto z biblioteki,
a

następnie spożyła lichego obiadu w pewnej włoskiej restauracji na
Kings Road, dokąd na wszelki wypadek wzięła ze sobą
Podróże

Oleariusza. Później pojechała do siebie na Bywater Street i z

pocewiêceniem cz³owieka, który nie ma nic lepszego do roboty,

zasiad³ ponownie do pracy nad swoj¹ monografi¹. Po dwóch

godzinach otworzy³ butelkê czerwonego burgunda i wyp³owê,

s³uchaj¹c jakiejœ kiepskiej sztuki radiowej. Zapad³ w drzemkê,

zmaga³ siê z niespokojnymi snami, ale w chwili, kiedy us³ysza³

g³os Lacona, odniós³ wra¿enie, ¿e wywlekaj¹ go z ciep³ego, ukochanego miejsca, w którym pragn¹³ nie niepokojony pozostaæ na

zawsze. A ponadto wydawa³o mu siê, choæ w rzeczywistoœci krz¹ta³

siê ¿wawo, ¿e ubiera siê niezwykle powoli; zastanawia³ siê, czy

tak w³acenie reaguj¹ starzy ludzie, dowiedziawszy siê o czyjejs

œmierci.

* * *

Zna³ go pan osobiście, czyż nie tak, sir? - celowo
ociszonym

g³osem zagadn¹³ z szacunkiem nadinspektor policji okręgu. -
A

może nie powinienem pytać?

Przebywali razem już od kwadransa, lecz by³o to pierwsze
pytanie nadinspektora. Przez moment zdawa³o się, że Smiley
nie

s³yszy, ale jego milczenie nie by³o obraźliwe, posiada³
bowiem

dar spokoju. A poza tym dwóch mężczyzn przypatruj¹cych
się

nieboszczykowi musz¹ przecież³¹ czyæ jakieœ wiêzy
koleżeństwa. Na

Hampstead Heath pozosta³a jeszcze godzina do świtu,
ociekaj¹ca

wod¹, mglista, niczyja godzina, ani zimna, ani ciep³a, o niebie
zabarwionym przez poewiatê Londynu na pomarańczowo i
drzewach

łoni¹cych niczym przeciwdeszczowe p³aszcze. Stali ramiê w
ramiê w

bukowej alei; nadinspektor wyższy o g³owê od Smileya:
m³ody,

przedwzecie posiwia³y olbrzym, mo¿e nieco bufonowaty,
ale

odznaczaj¹cy siê charakterystyczn¹ delikatnoœci¹ olbrzymia,
która

czyni³a go z natury przyjacielskim.

Smiley zaciska³ swe pulchne d³onie na brzuchu niby
burmistrz

przed symbolicznym grobowcem ofiar wojny i patrzy³
wy³¹cznie na

cia³o, le¿¹ce u jego stóp w œwietle latarki nadinspektora. Daleki
spacer najwyraŹniej pozbawi³ go tchu, poniewa¿ dysza³
nieco,

przygl¹daj¹c siê zmar³emu. Z otaczaj¹cej ich ciemnoœci
dobiega³

skrzek policyjnych nadajników, pracuj¹cych w eterze nocy.

Oprócz latarki nie by³o w pobli¿u ¿adnego innego Źród³a
œwiat³a; nadinspektor rozkaza³ wszystko wygasiaæ.

- Pracowa³em z nim, to wszystko - wyjaœni³ Smiley po
d³u¿szej przerwie.

- Dano mi to do zrozumienia, sir - powiedzia³ nadinspektor.

Czeka³ z nadziej¹, ale nie pad³o ju¿ ani jedno s³owo. "Nawet siê do niego nie odzywaj - powiedzia³ mu zastêpca cz³onka komisji

rz¹dowej (Wydzia³ Operacyjno - Œledczy). - Wcale go nie widzia³eœ, to dwóch innych facetów. Poka¿ mu, czego chce, i sp³aw

go. Szybko". Jak dot¹d nadinspektor œciœle wype³nia³ to polecenie. Wedle w³asnej oceny dzia³a³ z prêdkoœci¹ œwiat³a.

Fotograf fotografowa³, lekarz wystawi³ œwiadectwo zgonu,

patolog zbada³ cia³o in situ w ramach wstêpu do póŹniejszej sekcji zw³ok - a wszystko to odby³o siê z poœpiechem obcym

zwyyczajnemu biegowi rzeczy i tylko dlatego, ¿eby przygotowaæ

szlak dla goszcz¹cego u nich amatora, jak go nazywa³ zastêpca

cz³onka komisji rz¹dowej (Wydzia³ Operacyjno - Œledczy).
Jak

zauważył nadinspektor, amator przybył z pomp
przysługujc

strażnikowi odczytującemu liczniki parkingowe, po czym on
sam

osobiście galopem oprowadził go po całej trasie.

Obejrzeliby ślady stóp i odtworzyli drogę, którą przebył dotąd
starzec.

Nadinspektor dokonał rekonstrukcji zbrodni na tyle, na ile w
tych okolicznościach pozwalały mu zdolności, a nadinspektor
był

uzdolnionym człowiekiem.

Teraz znajdowali się niczym w kąpieli, w miejscu, gdzie
aleja zakręcała i gdzie falująca mgła stawała się najgęstsza. W
snopie światła latarki trup był centralnym punktem całego
świata.

Leżała twarz do ziemi z rozpostartymi niczym skrzydła
ramionami,

jak gdyby ukrzyżowano go na drzewie, a plastikowa pacha
podkreślała jeszcze jego martwość. Były to zwłoki
męczycy

starego, ale o ciele, które wiele bojowało, znosiło liczne

przeciwności i pozostało nadal szerokie w barach. Biały
włosy

starzec ostrzyżony miał na głowie, a jego była, silna dłoń wciśnięta
dzierżyła masywną łaskę. Ubrany był w czarny płaszcz i
kalosze.

Obok na ziemi leżał czarny beret, czarny był również i wir
wokół głowy zmarłego. Nieopodal poniewierały się jakieś
drobne

pieniądze, chusteczka do nosa i mały scyzoryk, będący chyba
raczej sentymentalną pamiątką niż praktycznym narzędziem.

"Najprawdopodobniej zaczęli go przeszukiwać, a potem
zrezygnowali, sir" - powiedział mu nadinspektor. -

"Najprawdopodobniej przeszkodzono im, panie Smiley". I
Smiley

zastanawia się, jak to jest, kiedy dotykasz ciepłego jeszcze
ciała człowieka, którego wścieknie zastrzelili.

- Chciałbym jeszcze przyjrzeć się jego twarzy,
nadinspektorze - powiedział Smiley.

Tym razem to nadinspektor się ociąga. - Jest pan tego
pewien, sir? - W jego głosie pobrzmiewało zakłopotanie. -
Istnieje

lepsze metody identyfikacji zwłok, naprawdę.

- Tak. Tak, nie wątpię - rzekł Smiley z przekonaniem, jak gdyby poświęcił tej sprawie wiele namysłu.

Nadinspektor zawołał cicho w stronę drzew, gdzie pośród

samochodów z wygaszonymi światłami stali jego ludzie niby

następne pokolenie, oczekujące na swoją kolej.

- Wy tam. Hall. Sierżancie Pike. Do mnie na jednej nodze i odwrócić denata.

- Szybko - powiedziała zastępca członka komisji rządowej (Wydział Operacyjno-Leczący).

Z cienia wysunęło się dwóch mężczyzn. Starszy nosił czarną

brodę. Sięgające im do łokci rękawice chirurgiczne połykały

upiorną szarość.

Byli ubrani w niebieskie kombinezony i wysokie po uda gumowe

buty.

Brodacz kucnął i ostrożnie rozwijał plastikową pachtę,

natomiast młodszy konstabl położył dłoń na ramieniu zmarłego,
jak

gdyby chciał go obudzić.

- To nie wystarczy, chociaż - przestrzegł go nadinspektor
już o wiele ostrzejszym tonem.

Chociaż szarpnął mocniej, brodaty sierżant pomógł mu i
ciało

obróciło się niechętnie; jedna ręka zwisała sztywno, druga
wciąż

ściskała łaskę.

- Chryste - powiedziała konstabl. - Niech to jasna cholera -
zakrył sobie dłoń usta. Sierżant chwycił go za ramię i
odciągnął na bok. Usłyszeli, jak tamten wymiotuje.

- Nie przepadam za politykami. - Ciągłe wpatrzony w ziemię
zwierzył się bez związku Smileyowi. - Nie przepadam za
politykami i

nie przepadam za politykami. Moim zdaniem, większość z
nich to

licencjonowani szaleńcy.

Szczerze mówiąc, dlatego wstąpiłem do policji. - Wylasta

mg³a wi³a siê dziwnie w nieruchomym œwietle jego latarki. -
Nie

wie pan przypadkiem, co to by³o?

Nie widzia³em takiej rany od piêtnastu lat.

- Obawiam siê, ¿e balistyka to nie moja dzia³ka - odpar³

Smiley po kolejnej chwili namys³u.

- No tak, przecie¿ pan siê tym raczej nie zajmuje, prawda?

Ju¿ siê pan napatrzy³, sir?

Smiley najwyraŹniej wcale siê jeszcze nie napatrzy³.

- Ludzie spodziejaj¹ siê na ogó³ strza³u w piersi, prawda,
sir? - zauwa¿y³ bystro nadinspektor. Wiedzia³, ¿e swobodna
pogawêdka mo¿e rozluŹniaæ czasem atmosferê przy takich
okazjach. -

Ładna, okr¹glutka kula, pozostawiaj¹ca gustowny otwór Tego
zwykle

oczekuj¹ ludzie. Ofiara delikatnie opada na kolana w takt
pieœni

chórów niebiañskich. Myœlê, ¿e to wp³yw telewizji.

Tymczasem, jak s³ysza³em od kolegów z wojska, porz¹dna
kula

urywa dzisiaj rękê albo nogê. - Nadinspektor przybra³ teraz
nieco

bardziej praktyczny ton. - Czy on nosi³ jakie³ w¹sy, sir?

Sierżant dostrzeg³ na górnej szczêce ołady zarostu.

- W¹s wojskowy - powiedzia³ Smiley po d³ugiej przerwie i
ze

wzrokiem ca³y czas utkwionym w ciele starca kciukiem oraz
palcem

wskazuj¹cym nakreœli³ z roztargnieniem jakie³ kszta³t na
swojej

w³asnej wardze. - Panie nadinspektorze, czy móg³bym
obejrzeæ

zawartoœæ jego kieszeni?

- Sierżancie Pike.

- Sir!

- Zarzuæcie tê p³achtê z powrotem i powiedzcie panu
Murgotroydowi, ¿eby przygotowa³ w furgonetce to, co
tamci

zostawili mu w kieszeniach. Na jednej nodze - doda³ z
przyzwyczajenia.

- Tak jest!

- I chodźcie tutaj. - Nadinspektor delikatnie ujął sierżanta pod ramię. - Powiedzcie młodemu konstablowi Hallowi, że nie może

mu zakazać wymiotować, ale nie będzie tolerować wulgarnego języka.

- Tak się złożyło, że nadinspektor był na swoim terenie pobojnym

chrześcijaninem i wcale go nie obchodziło, czy ktoś o tym wie czy

nie. - Tędy, panie Smiley - dodał, odzyskawszy swój spokojniejszy

ton.

W miarę jak szli w górę alei skrzek odbiorników radiowych zanikł, a zamiast niego usłyszeli pomruk miasta i krzyki wściekle nad ich głowami gawrony. Nadinspektor maszerował radośnie,

trzymając się lewej strony odgródzonej linami strefy policyjnej.

Smiley spieszył za nim. Pomiędzy drzewami stała zaparkowana

furgonetka bez okien, tylne drzwi były otwarte, a w środku paliło

siê przyæmione œwiat³o. Weszli i usiedli na twardych ³awkach.
Pan

Murgotroyd mia³ siwe w³osy i nosi³ szary garnitur. Kucn¹³
przed

nimi z plastikowym workiem, wygl¹daj¹cym jak
przezroczysta

poszewka na poduszkê. Worek mia³ u góry wêze³, który
pan

Murgotroyd rozwi¹za³. Wewn¹trz telepa³y siê jakieœ
mniejsze

paczuski. Pan Murgotroyd wyjmowa³ je, nadinspektor
zaœ

odczytywa³ nalepki w œwietle latarki, po czym
pokazywa³

poszczególne przedmioty Smileyowi.

- Jedna zdarta skórzana portmonetka o kontynentalnym
wygl¹dzie.

Po³owa w lewej kieszeni marynarki, po³owa na zewn¹trz.
Widzieliœcie panowie monety wokó³ cia³a - siedemdziesi¹t
dwa

pensy. To wszystkie pieni¹dze, jakie mia³ przy sobie. Czy on
w

ogóle nosi³ portfel, sir?

- Nie wiem.

- Przypuszczamy, że po³akomili siê na portfel, wziêli siê do portmonetki, a potem uciekli. Pêk kluczy od domu i ró¿nych innych, prawa spodni...

Ci¹gn¹³ dalej, ale uważne spojrzenie Smileya nie z³agodnia³o.

Niektórzy ludzie udaj¹, że posiadaj¹ pamięæ, a inni j¹ po prostu maj¹. Dla nadinspektora pamięæ stanowi³a lepsz¹ po³owê inteligencji, ceni³ j¹ najwy¿ej ze wszystkich w³adz intelektu i wiedzia³, że Smiley j¹ ma. - Jedna karta biblioteczna z biblioteki dzielnicowej w Paddington na nazwisko V. Miller, jedno czêœciowo opró¿nione pude³ko zapa³ek swan vesta, lewa p³aszcza.

Jedna karta pobytu obcokrajowca, numer jak w raporcie, tak¿e na

nazwisko Vladimir Miller. Jedna fiolka jakichœ tabletek, lewa p³aszcza. Na co mog¹ byæ te tabletki, wie pan cokolwiek na ten

temat, sir? Nazywaj¹ siê sustac, cokolwiek mia³oby to
znaczyæ,

braæ dwa do trzech razy dziennie?

- Serce - powiedzia³ Smiley.

- I rachunek na sumê trzynastu funtów, wystawiony przez
Straight and Steady Minicab Service, przedsiębiorstwo
taksówkowe
z Islington, North.

- Mogê zobaczyć? - zapyta³ Smiley i nadinspektor
wyci¹gn¹³

rêkê tak, Ÿeby Smiley móg³ odczytaæ datê i nazwisko kierowcy,
J.

Lamb, fantazyjnie podkreœelone i wypisane banalnym
charakterem

pisma.

Kolejne zawini¹tko zawiera³o laseczkê Ÿó³tej, cudem nie
po³amanej kredy szkolnej. Jej w¹ski koniec by³ usmarowany
na

br¹zowo, jak gdyby na skutek pojedynczego poci¹gniêcia,
grubszy

koniec pozosta³ natomiast nietkniêty.

- Na jego lewej d³oni jest te¿ ¿ó³ty py³ kredowy - rzek³ pan Murgotroyd, który odezwa³ siê po raz pierwszy. Mia³ cerê barwy szarego kamienia.

Równie¿ jego g³os by³ szary i ¿a³obny, jak g³os grabarza. - Myœlelicemy nawet, ¿e mo¿e gdzieœ uczy³ - doda³ pan Murgotroyd, ale Smiley celowo, b¹dŸ te¿ przez nieuwagê, nie odpowiedzia³ na zasugerowane przez Murgotroyda pytanie, nadinspektor zaoe nie podj¹³ tej kwestii.

I jeszcze jedna bawe³niana chusteczka, któr¹ podawa³ teraz pan Murgotroyd, gdzieniegdzie czysta, gdzieniegdzie zakrwawiona, starannie zaprasowana w ostry trójk¹t, przeznaczony do górnej kieszonki marynarki.

- Myœlelicemy, ¿e mo¿e sied³ na przyjêcie - powiedzia³ pan Murgotroyd, tym razem bez ¿adnej nadziei.

- Operacyjno - Ćledczy na linii, sir! - zawo³a³ jakie³os z przodu furgonetki.

Nadinspektor bez s³owa znikn¹³ w ciemnoœciach, pozostawiaj^{1c}

Smileya na pastwê przygnêbionego spojrzenia pana Murgotroyda.

- Pan jest jakimœ specjalist¹, sir? - spyta³ pan Murgotroyd, poddawszy swego goœcia ponurym i d³ugim oglêdzinom.

- Nie. Nie, obawiam siê, ¿e nie - rzek³ Smiley.

- Home Office, sir?

- Niestety, tak¿e nie - powiedzia³ Smiley, potrzeb¹saj^{1c} ¿yczliwie g³ow¹, co w jakie³ sposób uzupe³nia³o oszo³omienie pana

Murgotroyda.

- Moi prze³o¿eni obawiaj¹ siê nieco o prasê, panie Smiley - powiedzia³ nadinspektor, wsuwaj^{1c} znowu g³owê do wnêtrza

furgonetki. - Zdaje siê, ¿e ju¿ tu jad¹, sir.

Smiley szybko wygramoli³ siê z samochodu. Stanêli w alei twarz¹ w twarz.

- By³ pan bardzo uprzejmy - powiedzia³ Smiley. - Dziêkujê.

- To dla mnie zaszczyt - odpowiedzia³ nadinspektor.

- Nie pamiêta pan przypadkiem, w której kieszeni
znajdowa³a

siê kreda? - spyta³ Smiley.

- Lewa p³aszczka - odrzek³ nadinspektor z niejakim
zdumieniem.

- A jak go tamci obszukiwali - mo¿e mi pan powiedzieæ
jeszcze raz, jak to siê dok³adnie pana zdaniem odby³o?

- Nie mieli czasu albo nie uwa¿ali za stosowne go odwróciæ.
Uklêkli przy nim, wyci¹gnêli mu portfel, potem zwinêli
portmonetkê.

Porozrzucali przy tym parê rozmaitych przedmiotów. Ale
wtedy

mieli ju¿ dosyæ.

- Dziêkujê - powiedzia³ znowu Smiley.

I w chwilê póŹniej znikn¹³ pomiêdzy drzewami z wiêksz¹
swobod¹ ni¿ mog³aby to sugerowaæ jego przysadzista postaæ.
Ale

przedtem nadinspektor szeroko oświetli³ latark¹ jego twarz;
nie

uczyni³ tego wcześniej ze względów podyktowanych
roztropności¹.

Za to teraz rzuci³ przenikliwe, profesjonalne spojrzenie na to
legendarne oblicze, choćby i po to, aby na starość móc
opowiedzieć wnukom, jak to George Smiley, by³y szef
wywiadu,

wówczas już w stanie spoczynku, pojawi³ się
niespodziewanie

pewnej nocy, żeby rzucić okiem na tego jakiegoś tam
obcokrajowca,

zmar³ego w wielce paskudnych okolicznościach.

To w³łaściwie nie by³a pojedyncza twarz, pomyśla³
nadinspektor. "W każdym razie nie wtedy, gdy tak
podświetli³em j¹

od do³u, nie wprost.

To raczej ca³y szereg twarzy. Raczej mieszanina różnych
wieków, różnych starań i ludzi. A nawet, myśla³
nadinspektor,
różnych wiar".

- Najlepszy fachowiec, jakiego zna³em - powiedzia³
niedawno

nadinspektorowi przy jakim^o przyjacielskim kufelku piwa
stary

Mendel, jego dawny zwierzchnik. Mendel by³ na emeryturze,
jak

Smiley. Ale wiedzia³, co mówi, i wcale nie lubi³
Rysunkowych

bardziej niż nadinspektor - w^ocibscy, w wiêkszo^oci
lalusiowaci

amatorzy, a w dodatku niezszerzy. Ale nie Smiley. Smiley
jest

inny, powiedzia³ Mendel. Smiley jest najlepszy. To po prostu
najlepszy oficer operacyjny, jakiego Mendel kiedykolwiek
spotka³,

a stary Mendel wiedzia³, co mówi.

Opactwo, zdecydowa³ nadinspektor. Oto czym by³ -
opactwem.

Wplecie to w swoje kazanie, kiedy znów nadejdzie jego
kolej.

Opactwo, budowane w rozmaitych stylach, w r^ożnych epokach i
wedle

różnych przekonań. Im dłużej myśla³, tym bardziej podoba³a mu się

ta metafora. Wypróbuje ją na żonie, kiedy przyjdzie do domu: człowiek jako budowla Boga, kochanie, ukształtowana d³oni¹

przedwieczn¹, nieskończona w swej różnorodności i w swych

d¹żeniach... Ale w tym momencie nadinspektor powoła¹gn¹³ swoją

retoryczn¹ wyobraźnię. A może mimo wszystko nie, pomyśla³.
Może

bujasz w ob³okach ociupinkę za wysoko, przyjacielu.

W twarzy Smileya by³o jeszcze coś, czego nadinspektor nie

zdo³a³ zbyt szybko zapomnieć. Rozmawia³ potem o tym ze starym

Mendelem; zreszt¹ rozmawia³ z nim potem o różnych rzeczach.

Wilgoć. Pocz¹tkowo s¹dzi³, że to rosa - ale jeżeli by³a to rosa, to czemu twarz nadinspektora jest sucha jak pieprz? To nie by³a

rosa i nie by³ to smutek, o ile nie myli³o go przeczucie.

By³o to coœ, co od czasu do czasu przytrafia³o siê samemu inspektorowi i nawet najtwardszym z jego ch³opaków; niczym sokó³

wypatrywa³ tego stanu, który zwykle ogarnia³ ich znienacka.

Na

ogó³ w zwi¹zku ze sprawami m³odocianych, kiedy nagle pojmuje siê

bezsens tego wszystkiego - znêcanie siê nad dzieæmi, napady

rabunkowe, gwa³ty na niemowlêtach. I nie za³amujesz siê wtedy,

nie bijesz siê w piersi i nie wyprawiasz ¿adnych podobnych historii. Nie. Przyk³adasz po prostu rêkê do twarzy, okazuje siê, ¿e jest mokra, i wtedy zastanawiasz siê, po jak¹ cholerê Chrystus zadawa³ sobie tyle trudu, ¿eby umrzeæ, je¿eli rzeczywiœcie kiedykolwiek umar³.

A kiedy ow³adnie tob¹ taki nastrój, powtarza³ nadinspektor z lekkim dreszczem, najlepszym wyjœciem jest wzi¹æ sobie ze dwa dni

wolnego i zabraæ ¿onê do Margate, bo inaczej zanim siê spostrze¿esz, staniesz siê za szorstki wobec swoich ludzi - wiêc

dla swego własnego dobra.

- Sierżancie! - zawołał nadinspektor. Zamajaczyła przed nim brodata postać. - Wściekniecie ówiatła i przywróćcie wszystko do

porządku - rozkazał. I poproszenie inspektora Hallowesa, żeby się

tu pokazał; chcę, żeby coś dla mnie zrobił. Na jednej nodze.

tworzyli mu drzwi, zwalnialić sąńcuch, wypytywali go zwiędle i z

przejściem - nawet zanim wzięli od niego paszcz. Czy przy zwłokach znaleziono jakiegó kompromitujące materiały, George?

Które wskazywałyby na zwińzek z nami? Mój Boże, aleó tam dżugo

zabawił! Pokazali mu, gdzie może się umyć, zapominajć, że

przecież wie. Posadzili go w fotelu i Smiley utkwił w nim, skromny i niepotrzebny, podczas gdy Oliver Lacon, szef rzłdowego

departamentu do spraw służb wywiadowczych, przemierzał wytarty

dywan tam i z powrotem jak człowiek niepokojony
wyrzutami

sumienia, Lauder Strickland powtarza³ znowu to samo przez
stary

telefon z tubk¹ piêtnastu ró¿nym osobom na piêtnacie
ró¿nych

sposobów:

Wiêc daj mi z powrotem ten kontakt w policji, natychmiast,
kobieto -³asi³ siê b¹dŹ terroryzowa³ ludzi w zale¿noœci od ich
rangi i si³y wp³ywów.

Nadinspektor, wydawa³o siê, zdarzy³ siê ca³e ¿ycie temu, ale
w rzeczywistoœci od tamtej pory minê³o dziesiæ minut.

Mieszkanie

znajdowa³o siê nieca³e dwieœcie jardów od Hampstead Heath
na

ostatnim piêtrze spiralnego, edwardiañskiego domu, i
pachnia³o

starymi pieluszkami oraz stêch³ym dymem papierosowym.

Wizje

rozdartej twarzy Vladimira miesza³y siê w umyœle Smileya
z

bladymi twarzami obecnych tu żywych ludzi, jednak oemieræ
nie by³a

teraz dla niego szokiem, a potwierdza³a jedynie, że kurczy siê
jego w³asne istnienie; że żyje, nie maj¹c szans. Siedzia³, nie
robi¹c sobie żadnych nadziei.

Siedzia³ jak stary cz³owiek na wiejskiej stacji kolejowej,
obserwuj¹cy przejeżdżaj¹ce ekspresy. Obserwuj¹cy je
mimo
wszystko. I pamiêtaj¹cy dawne podróże.

Oto jak wygl¹da ka¿da krytyczna sytuacja, pomys³a³;
plebejska gadanina o niczym. Jeden wisi na telefonie, drugi nie
żyje, trzeci kr¹ży tu i tam. Nerwowa bezczynnoœæ
zwolnionego
tempa.

Rozejrza³ siê, próbuj¹c skupiaæ uwagê na gnij¹cych wokó³
rzeczach. Wyszczerbione gaœnice, zezwolenie ministerstwa
pracy.

K³uj¹ce, br¹zowe poplamione kanapy. Ale mieszkania -
kryjówki w

przeciwieñstwie do starych genera³ów nie umieraj¹ nigdy,
pomys³a³. Nawet nie znikaj¹.

Spoczywa³a przed nim na stole nieporęczna aparatura szpiegowskiej goęcinnoęci, maj¹ca wskrzesiæ przybysza, którego

wskrzesiæ ju¿ nie mo¿na.

Smiley sporz¹dzi³ listê. W wiaderku z roztopionym lodem butelka stolicznej, ulubiony gatunek Vladimira. Œledzie solone,

nadal spoczywaj¹ce w puszcze. Kupione na sztuki ogórki kiszane,

nieco ju¿ zeschniête. Obowi¹zkowy bochenek razowca. Jak ka¿dy

Rosjanin, którego zna³ Smiley, stary nie móg³ w³acęciwie piæ bez

niego wódki. Dwa kieliszki od Marksa & Spencera, mog³yby byæ

czystsze. Nienaruszona paczka rosyjskich papierosów: gdyby

przyszed³, wypali³by wszystkie; nie mia³ przy sobie papierosów,

kiedy zgin¹³.

Vladimir nie mia³ przy sobie papierosów, powtórzy³ Smiley,
i

jakby zaj¹kn¹³ siê w myœlach. Zaw¹za³ róg chusteczki na supe³ek.

Jego zadumê przerwa³ jakœ brzêk. "To m³ody Mostyn upuœci³ w

kuchni talerz. Lauder Strickland odwróci³ siê przy telefonie i poprosi³ o ciszê, ale cisza zapad³a ju¿ ponownie. A tak na marginesie, to co ten Mostyn przygotowuje w kuchni?

Obiad? Ćniadanie? Ciasto kminkowe na pogrzeb? A czym by³

Mostyn?

Kim by³ Mostyn? Smiley uœcisn¹³ jego dr¿¹c¹, wilgotn¹ d³oñ i

od razu zapomnia³, jak wygl¹da, wiedzia³ tylko tyle, ¿e by³ bardzo m³ody. A jednak z jakiegoœ powodu Mostyn by³ mu znany,

choæby jako typ cz³owieka. Mostyn to nasz smutek, zdecydowa³

arbitralnie Smiley.

Lacon raptownie zatrzyma³ siê w pó³ kroku.

- George! Wygl¹dasz na zmartwionego. Nie przejmuj siê.
Nie

zawiniłemy w tej sprawie. Nikt z nas nie zawinił!

- Ja się nie martwię, Oliverze.

- Wyglądasz tak, jakbyś sobie wyrzuty. Widzę przecie!

- Kiedy ginę agenci... - powiedziały Smiley, ale nie dokończyła zdania, a zresztą Lacon i tak nie mógł na niego czekać.

Znow odszedł, wędrowiec mający jeszcze przed sobą wiele mil.

Lacon, Strickland, Mostyn, myślała Smiley, a wokół nadal roznosił

się terkot szkockiego akcentu Stricklanda, który pochodził z Aberdeen. Totumfacki z ministerstwa, spec z Cyrku i jakiego wypłoszony chłopak. Dlaczego nie są to prawdziwi ludzie? Dlaczego

nie oficer, prowadzący Vladimira, ktokolwiek to jest? Czemu nie

ich szef, Saul Enderby?

Z czasów, kiedy był w wieku Mostyna, powrócił do niego dwa

wersy Audena: "Uczcijmy cz³owieka pionowego, jeżeli
umiemy,

choć, cenimy jedynie poziomego".

Czy tak jakoś.

A czemu Smiley? - myśla³. A nade wszystko, dlaczego
ja?

Akurat ja, kiedy dla nich jestem bardziej niez³ywy niż stary
Vladimir.

- Panie Smiley, napije się pan herbaty, czy czegoś
mocniejszego?

- zawo³a³ Mostyn z otwartych drzwi kuchni. Smiley
zastanawia³ się, czy on jest zawsze taki blady.

- Pan Smiley napije się tylko herbaty, dziękuj³, Mostyn! -
wypali³ Lacon, wykonuj¹c gwa³towny zwrot w ty³. - Po
doznanym

szoku herbata jest o wiele bezpieczniejsza. Z cukrem, prawda,
George? Cukier przywraca utracon¹ energi³. Czy to by³o
makabryczne, George? To naprawdę musia³o być dla ciebie
straszne.

Nie, to nie by³o straszne, to by³a prawda, myśla³ Smiley.

Został zastrzelony, a ja widziałem go martwego. Może ty też powinieneś go zobaczyć.

Najwyraźniej nie mogłem pozostawić Smiley'a samego, Lacon
znów

przeszedł przez pokój i przyglądał mu się sprytnymi, nic nie rozumiejącymi oczami. Był istotnie młodszy, gwałtowny, ale
pozbawiony

energii, o okropnie postarzałych młodzieńczych rysach i
nabrzmiętym, chorobliwym rumieniu wokół szyi, gdzie
koszula

ocierała skórę. W religijnym świetle, między wschodem
słońca a

porankiem, jego czarna kamizelka i biały kołnierzyk
połyskiwały

nieczym sutanna.

- Prawie się z tobą nie przywitałem - poskarżył się Lacon,
jak gdyby to była wina Smiley'a. - George. Stary przyjacielu.
Mój

Boże.

- Cześć, Oliver - powiedział Smiley. Lacon jednak nie
poruszył się; wpatrywał się w niego z góry, swobodnie głośnie

przechylili³ na bok jak dziecko, przygl¹daj¹ce siê jakimuœ
owadowi. Smiley powtórzy³ sobie w pamiêci alarmuj¹cy telefon
od

Lacona, otrzymany przed dwiema godzinami:

- Nag³y wypadek, George. Pamiêtasz Vladimira? George,
œpisz?

Pamiêtasz starego Genera³a, George? Mieszka³ kiedyœ w
Pary¿u?

- Tak, pamiêtam Genera³a - odpowiedzia³. - Tak, Oliverze,
pamiêtam Vladimira.

- Potrzebny nam ktoœ z jego przesz³oœci, George. Ktoœ,
kto

zna³ jego zwyczaje, kto móg³by go zidentyfikowaæ,
zatuszowaæ

mo¿liwy skandal.

Jesteœ nam potrzebny, George. Teraz. George, obudŸ siê.

Próbow³a. Próbow³a te¿ prze³o¿yæ s³uchawkê do ucha, na
które

lepiej s³ysza³, i usi¹œæ na zbyt wielkim dla niego ³ó¿ku. Le¿a³
rozwalony na zimnym miejscu, opuszczonym przez ¿onê,
poniewa¿ z

tej strony sta³ telefon.

- Mówisz, że zosta³ postrzelony? - powtórzy³ Smiley.

- George, dlaczego nie s³uchasz? Œmiertelnie postrzelony.

Dzisiejszego wieczora. George, na litoœæ bosk¹, obudŸ siê, jesteœ nam potrzebny!

Lacon znów odskoczy³ od niego, skubi¹c swój sygnet, jak gdyby pierœcieñ by³ za ciasny. Potrzebujê ciê, myœla³ Smiley,

patrz¹c jak Lacon siê krêci. Kocham ciê, nienawidzê ciê, potrzebujê ciê. Takie apokaliptyczne stwierdzenia przypominają mu

Annê, kiedy brakowa³o jej pieniêdzy albo mi³oœci.

J¹drem zdania jest podmiot, pomyœla³. Nie czasownik, a juŸ na pewno nie dope³nienie. To ego, domagaj¹ce siê swojego poŸywienia.

"Do czego jestem im potrzebny?" - myœla³ znowu. "Eby ich

pocieszyæ?

Daæ im rozgrzeszenie? Co oni takiego uczynili, że potrzebna

jest im moja przeszłość do zadocęuczynienia ich przyszłości?" W

końcu pokoju Lauder Strickland podniósł ramię w faszystowskim

pozdrowieniu, zwracając się do Władcy.

- Tak, Szefie, jest teraz u nas, sir... Powiem mu, sir...

Oczywiście, sir...

Przekazę... Tak, sir...

Dlaczego tajemny świat tak pociąga Szkotów? Smiley nie po

raz pierwszy w swej karierze zastanawia się nad tym.

Mechanicy

okrętowi, zarządcy w koloniach, szpiecy... To heretycka, szkocka

historia przyciąga ich do rozmaitych kociów, zdecydowa.

- George! - To Strickland, nagle znacznie głośniej
wykrzyknął imię Smiley'a niczym rozkaz. - Sir Saul chce ci
swe

najcieplejsze, osobiste pozdrowienia, George - Odwrócił się z
uniesionym wciętym ramieniem. - W jakiejś spokojniejszej
chwili

wyrazi ci sw¹ wdzięcznoœæ w nieco w³acéciwszy sposób. - I
powrót

do telefonu: - Tak, Szefie, jest ze mn¹ tak¿e Oliver Lacon, a
jego odpowiednik w Home Office pertraktuje w tej chwili z
dyrektorem Departamentu Policji w kwestii naszego
dawnego

zainteresowania zmar³ym oraz w sprawie przygotowania
oficjalnej

proœby do prasy.

Dawnego zainteresowania, zauwa¿y³ w myœlach Smiley.
Obiekt

dawnego zainteresowania z odstrzelon¹ twarz¹ i bez papierosów
w

kieszeni. ³ó³ta kreda. Smiley otwarcie przypatrzy³ siê

Stricklandowi: ohydny zielony garnitur, wyszczotkowane buty
ze

œwiñskiej skóry udaj¹cej zamsz. Jedyna zmiana, jak¹ w nim
dostrzega³, to rdzawy w¹s, nawet w po³owie nie tak wojskowy
jak

w¹s, który nosi³ Vladimir przed œmierci¹.

- Tak, sir, "zamar³a sprawa o znaczeniu czysto

historycznym", sir. - Strickland mówi³ dalej do s³uchawki.
Rzeczywiście zamar³a, pomyśla³ Smiley.

Zamar³a, wygas³a, wygaszona. - Tak dok³adnie brzmi to
określenie - ci¹gn¹³ dalej Strickland. - I Oliver Lacon proponuje
zastosowaæ je s³owo w s³owo w proœbie do prasy. Dobrze
mówiê,

Oliverze?

- O charakterze czysto historycznym - poprawi³ go Lacon ze
z³oœci¹. Nie o znaczeniu historycznym. Tego nie chcemy w
¿adnym

wypadku "Historycznego znaczenia". - Przedefilowa³
majestatycznie

wszerz pokoju pod pretekstem obejrzenia sobie przez okno
nadchodz¹cego dnia.

- A wiêc Enderby nadal jest szefem, Oliverze? - zapyta³
Smiley pleców Lacona.

- Tak, tak, to nadal Enderby, twój stary przeciwnik, w
dodatku czyni cuda - zareplikowa³ niecierpliwie Lacon.
Poci¹gn¹³

zas³onê, wyrywaj¹c j¹ z ¿abek. - Nie jest w twoim stylu, to

prawda - a dlaczego mia³oby byæ inaczej? To typ atlantycki. -

Próbow³ si³¹ otworzyæ jedno skrzyd³o okna. -Mówiê ci,
nie³atwo

pracowaæ pod takimi rz¹dami. - Raz jeszcze szarpn¹³
wœciekle

klamkê. Wokó³ kolan Smileya rozhula³ siê lodowaty powiew.

-

Trzeba sobie nogi uchodziæ. Mostyn, gdzie ta herbata? Zdaje
siê,

¿e czekamy ju¿ ca³¹ wiecznoœæ.

Ca³e ¿ycie, pomyœla³ Smiley.

Poprzez odg³os wspinaj¹cej siê na wzgórze ciê¿arówki
us³ysza³ znów Stricklanda, bezustannie rozmawiaj¹cego z
Saulem

Enderby.

- Myœlê, ¿e jeœli chodzi o prasê, to nie nale¿y go
przesadnie bagatelizowaæ. W takiej sprawie jak ta,
najwa¿niejsza

jest nijakoœæ. Tu niebezpieczne jest nawet spojrzenie przez
pryzmat jego ¿ycia prywatnego.

Chcemy pozbawiæ tê sprawê jakiegokolwiek znaczenia dla

wydarzeñ bie¿¹cych. Ale¿ tak, to prawda, prawda, Szefie, racja...

- I nudzi³ tak w kó³ko, wazeliniarski, ale i czujny.

- Oliver - zacz¹³ Smiley, straciwszy cierpliwoœæ. - Oliver, pozwól, ¿e...

Ale Lacon mówi³, nie s³ucha³:

- Jak tam Anna? - zapyta³ niejasno, stoj¹c przy oknie i opieraj¹c³ okcie na parapecie. - Rozumiem, ¿e jest z tob¹, i tak dalej? Nie w³óczy siê nigdzie, co? Bo¿e, jak ja nienawidzê jesieni.

- Dziêkujê, dobrze. Jak tam... - bez skutku usi³owa³ przypomnieæ sobie imiê ¿ony Lacona. - Odesz³a ode mnie, cholera.

Uciek³a z tym swoim parszywym instruktorem jazdy konnej, niech j¹

szlag trafi. Zostawi³a mnie z dzieæmi. Dziewczyny s¹ na szczêœcie

w internacie. - Lacon opar³ siê na rêkach i utkwi³ wzrok w jaœniej¹cym niebie. - Czy to jest Orion, ten tam, wetkniêty

pomiędzy kominy jak piłka golfowa?

A to kolejna oemieræ, zauwa¿y³ ze smutkiem Smiley,
pozostaj¹c

na chwilkê myœlami przy rozbitym ma³¿eñstwie Lacona.
Przypomnia³

sobie prost¹, ³adn¹ kobietê i ca³y ³añcuszek córek, je¿d¿¹cych na
kucykach w ogrodzie ich niestylowego domu w Ascot.

- Przykro mi, Oliverze - powiedzia³.

- A niby dlaczego? To moja ¿ona, nie twoja. W mi³oœci
ka¿dy

dzia³a na w³asn¹ rêkê.

- Proszê zamkn¹æ okno! - zawo³a³ Strickland, ponownie
wykrêcaj¹c jakiœ numer. - Zrobi³a siê tu u mnie cholerna
Arktyka!

Lacon zatrzasn¹³ okno ze z³oœci¹ i wyszed³ z powrotem na
œrodek pokoju.

Smiley spróbowa³ po raz drugi:

- Co tu siê dzieje, Oliverze? Do czego jestem wam
potrzebny?

- Przede wszystkim jesteœ jedyn¹ osob¹, która go zna³a.
Strickland, skoñczy³eœ ju¿? Jest jak ci spikerzy na lotniskach.

Nigdy nie kończ¹.

Możesz nie wytrzymaæ, Oliverze, pomysla³ Smiley, dostrzeg³szy ch³ód w oczach Lacona, gdy ten stan¹³ pod œwiat³o.

Dosta³æ za swoje, pomysla³ z nieoczekiwanym wespół³czuciem. Obaj dostaliæmy.

Tajemniczy Mostyn wy³oni³ siê z herbat¹ z kuchni: szczery, nowoczenie wygl¹daj¹cy dzieciak w rozkloszowanych spodniach i z

grzyw¹ kasztanowych w³osów. Widz¹c jak stawia tacê, Smiley

umiejscowi³ go nareszcie w odniesieniu do w³asnej przesz³oæci.

Anna mia³a kiedyœ takiego kochanka, by³ z Wells Theological

College. Podwozi³a go kiedyœ gdzieœ na autostradzie M4 i

twierdzi³a póŹniej, Œe ocali³a ch³opaka przed popadniêciem w

homoseksualizm.

- W której sekcji pracujesz, Mostyn? - cicho spyta³ go Smiley.

- W Ćmietniku, sir. - Przykucn¹³ na wysokoœæ sto³u, wykazuj¹c azjatyck¹ uniżonoœæ. - W zasadzie od pañskich czasów,

sir. To rodzaj banku operacyjnego. G³ównie nowicjusze oczekuj¹cy

na zagraniczne placówki.

- Rozumiem.

- S³ucha³em pana wyk³adów w ⁻³obku w Sarratt, sir. Na kursie

dla nowych pracowników. Prowadzenie agenta w terenie. Najlepsze

zajêcia, jakie mieliœemy przez te dwa lata.

- Dziêkujê.

Ale Mostyn nadal wpatrywa³ siê w niego cielêcym wzrokiem.

- Dziêkujê - powiedzia³ znów Smiley, jeszcze bardziej zaintrygowany.

- Z mlekiem czy z cytryn¹, sir? Cytryna by³a dla niego - doda³ cicho na stronie, jak gdyby chc¹c poleciaê j¹ w ten sposób.

Strickland od³o¿y³ s³uchawkê i zacz¹³ manipulowaæ przy pasku

od spodni, luzuj¹c go i zaciskaj¹c na przemian.

- Tak, dobrze, musimy z³agodziaæ prawdê, George! - rykn¹³ naraz Lacon, sk³adaj¹c jakby wyznanie osobistej wiary. - Okolicznoœci mog¹ czasem sprawiaæ, ¿e ludzie niewinni zdaj¹ siê

byæ winni. Z³otego wieku nie by³o nigdy. Jest tylko z³oty œrodek.

Musimy o tym pamiêtaæ. Wypiszcie to sobie kred¹ na lusterkach do

golenia. ¯ó³t¹, pomyœla³ Smiley.

Strickland chodzi³ marynarskim krokiem po pokoju:

- Ty. Mostyn. Nigel, m³odzieñcze. Ty, sir!

W odpowiedzi Mostyn podniós³ na niego swoje smutne, br¹zowe

oczy.

- Nie podawaj prasie absolutnie ¿adnych informacji - ostrzeg³ go Strickland pocieraj¹c w¹sy wierzchem d³oni, jak gdyby

zarost albo rêka by³y mokre. - S³yszysz? Rozkaz z góry. Do

spotkania nie dosz³o, wiêc nie musisz wype³niaæ karty spotkania

ani niczego w tym rodzaju. Nie musisz nic robiæ, trzymaj tylko

buziê na k³ódkê. Rozumiesz? Rozliczysz siê z kosztów jak ze

zwyczajnych wydatków z kasy podrêcznej. Bezpoœrednio przede mn¹.

adnych notatek do akt. Rozumiesz?

- Rozumiem - powiedzia³ Mostyn.

- I ¿adnych szeptów na uszko tym dziweczkom z Rejestracji,

bo i tak siê o tym dowiem. S³yszysz? Daj nam herbaty.

Cocê zasz³o w duszy Georgea Smileya, kiedy us³ysza³ tê rozmowê. W bezkszta³tej nieokreœlonoœci owych dialogów, w

potwornoœci tamtej sceny na Heath uderzy³a go pewna szokuj¹ca

prawda. Pocz³, jak cocê szarpie go w piersi i mia³ wra¿enie, ¿e chwilowo utraci³ kontakt z tym pokojem i z tymi trzema

nawiedzonymi ludźmi, których w nim napotka³. Spotkanie?
Spotkanie

pomiędzy Mostynem a Vladimirem? Boże jedyny, pomyśla³
rozwi¹zuj¹c

kwadraturę tego ob³¹kanego ko³a. Panie zachowaj, chroń nas i
miej

nas w swej opiece. Mostyn by³ oficerem prowadz¹cym
Vladimira! Ten

starzec, ongić nasza duma, a oni oddaj¹ go pod opiekę tego
nieotrząskanego ch³opca. Kolejne szarpnięcie, jeszcze bardziej
gwa³towne, gdy zdumienie zmiot³ wybuch skrywanej furii.
Poczu³,

że trzês¹ mu siê wargi, coœ œcisnê³o go za gard³o,
powstrzymuj¹c

s³owa i kiedy Smiley zwróci³ siê do Lacona, jego okulary
wygl¹da³y jak zaparowane od gor¹ca:

- Oliverze, zastanawiam siê, czy nie powiedzia³byœ mi
nareszcie, co ja tu robiê - us³ysza³ sam siebie,
przedstawiaj¹cego tê propozycjê po raz trzeci, g³osem ledwie
donoceniejszym ni¿ pomruk.

Wyci¹gn¹³ rękê i wyj¹³ wódkê z wiaderka. Nikt nie zg³osi³

zamówienia, więc Smiley zdj¹³ zakrêtkê i strzeli³ sobie lufê.

Lacon nawet teraz dygota³, zastanawia³ siê, strzela³ oczami, zwleka³.

W œwiecie Lacona pytania bezpoœrednie by³y szczytem z³ego smaku, ale bezpoœrednie odpowiedzi by³y jeszcze gorsze. Zaskoczony w pó³ gestu na œrodku pokoju, sta³ przez chwilê, wpatruj^{1c} siê w Smileya z niedowierzaniem.

Na wzgórze niepewnie wspina³ siê samochód, przynosz^{1c} wieœci z rzeczywistego œwiata za oknem. Lauder Strickland siorba³ swoj¹ herbatê.

Mostyn energicznie moœci³ siê na sto³ku od fortepianu, pozbawionym instrumentu. A Lacon gwa³townymi gestami móg³ jedynie szukaæ s³ów niejasnych na tyle, by mog³y ukryæ swoje w³œciwe znaczenie.

- George - powiedzia³. O okno uderzy³y strugi deszczu, ale

nie zwróci³ na to uwagi. - Gdzie jest Mostyn? - zapyta³.

Mostyn jeszcze nie usadowi³ się wygodnie, kiedy wymkn¹³ się

cichaczem z pokoju za potrzeb¹. Us³yszeli g³oęny niczym orkiestra

dęta huk spuszczonej wody i gulgotanie we wszystkich rurach

budynku.

Lacon podniós³ d³oń i przesun¹³ j¹ wzd³uż nabrzmi³ych na szyi płam.

Rozpocz¹³ niechętnie:

- Trzy lata temu, George, zacznijmy od tego, wkrótce potem, jak opuści³ę Cyrk, twój następc³a, Saul Enderby, twój godny

następc³a, ulegaj¹c naciskowi zaniepokojonego Gabinetu, zaniepokojonego, czyli nowo uformowanego, zdecydowa³ się na

daleko id¹ce zmiany w praktycznej dział³alności wywiadu.

Przedstawiam ci tu t³o, George - wyjaśni³, przerywaj¹c sam sobie.

- Robiê to, poniewa¿ jesteœ tym, kim jesteœ, w imiê minionych

czasów, a tak¿e... - dŸgn¹³ palcem w szybê - z powodu tego, co za

oknem.

Strickland porozpina³ sobie kamizelkê i le¿a³ teraz, podrzemuj^{1c} jak najedzony do syta pasażer w pierwszej klasie

nocnego samolotu.

Jednak jego ma^{3e}, czujne oczka œledzi^{3y} ka¿dy krok Lacona.

Drzwi otworzy^{3y} siê i zamknê^{3y} za Mostynem, który powróci³ na

swoj¹ grzêdê na sto³ku.

- Mostyn, spodziewam siê, ¿e tego nie s³yszysz. Mówiê o wa¿nych, bardzo wa¿nych sprawach politycznych. Jedn¹ z takich

daleko id¹cych zmian, George, by^{3a} decyzja o utworzeniu miêdzyresortowego Komitetu Kierowniczego. Mieszanego komitetu - i

ukszta³towa³ go w powietrzu d³oñmi - ludzie czêœciowo z

Westminster, częściowo z Whitehall, w tym zarówno przedstawiciele

Gabinetu, jak i głównych klientów Whitehall, Znani jako Mędrcy.

Ale usytuowani - George - usytuowani pomiędzy bractwem z

wywiadu a Gabinetem. W charakterze kanału, filtra, hamulca.

-

Ramię Lacona pozostało wyciągnięte, rozdawało owe metafory niczym

karty. - żeby patrzeć Cyrkowi na ręce. - żeby sprawować kontrolę,

George. Odpowiedzialność i czujność są w interesie bardziej

otwartego rządu. Nie podoba ci się. Widz to po twojej minie.

- Ja jestem poza tym wszystkim - odpowiedział Smiley. - Nie

czuję się powołany do wydawania ocen.

Naraz Lacon przybrał zatrwożony wyraz twarzy i zniżył swój

ton tak, że zdawało się być bliski rozpaczy.

- Trzeba ich s³yszeæ, George, tych naszych nowych w³adców!

Trzeba s³yszeæ, jak oni mówi¹ o Cyrku! Do diab³a, jestem dla nich

popychad³em: wiem o tym, codziennie to samo! Szyderstwa.

Podejrzenia.

Nieufnoœæ na ka¿dym kroku, nawet ze strony tych ministrów,

którzy powinni byæ m¹drzejsi. Jak gdyby Cyrk by³ jakimœ

osamotnionym, narowistym zwierzêciem przechodz¹cym ich pojêcie.

Jak gdyby wywiad brytyjski by³ czymœ w rodzaju firmy pozostaj¹cej

w ca³kowitym posiadaniu konserwatystów. Jak gdyby wcale nie by³

ich sprzymierzeñcem, lecz niezale¿n¹ i mij¹ w ich socjalistycznym

gnieŸdzie. Znów mamy lata trzydzieste. Czy wiesz, ¿e oni zaczêli

nawet na nowo ca³¹ t^ê dyskusj^ê o Brytyjskim Akcie o Wolnoœci

Prasy na wzór amerykański? - e to wysz^{3o} od cz^{3onków} Gabinetu?

Otwarte przes^{3uchania}, ró[¿]ne rewelacje, a wszystko dla publicznej

rozrywki? By^{3byœ} wstrz^{1œniêty}, George. Zasmuci^{3byœ} si^ê. Pomyœl,

jak co^ê takiego odbi^{3oby} si^ê cho^æby tylko na morale ludzi. Czy

Mostyn kiedykolwiek wst^{1pi³by} do Cyrku, gdyby wszystkiemu

nadawano tyle rozg^{3osu} w prasie i w ogó^{le} wsz^êdzie? Wst^{1pi³byœ},

Mostyn?

Pytanie g^{3êboko} chyba ugodzi^{3o} Mostyna, poniewa[¿] jego ponure

oczy, których ciemny kolor podkreœla^{3a} dodatkowo niezdrowa cera,

sta^{3y} si^ê jeszcze bardziej ponure. Ch^{3opak} przytkn¹³ kciuk i palec wskazuj^{1cy} do ust, nie odezwa³ si^ê jednak.

- O czym to ja mówi^{3em}, George? - zapyta³ Lacon, nagle

zupełnie rozkojarzony.

- Mędrcy - powiedzia³ współczuj¹co Smiley.

Lauder Strickland rzuci³ z kanapy swój własny opiniê na temat tego ci³a:

- Tacy z nich mędrcy jak ze mnie chiñski cesarz. Kupa lewicowych handlarzy flanel¹. Kieruj¹ za nas naszym życiem. Mówi¹

nam, jak mamy prowadziæ swój sklep. Daj¹ nam po³apach, jeżeli

nie zgadzaj¹ siê rachunki.

Lacon spojrze³ na Stricklanda z wyrzutem, ale mu nie zaprzeczy³ - Jednym z mniej kontrowersyjnych zadañ Mêdrców,

George - jednym z ich pierwszych obowi¹zków - na³o¿onych na nich

specjalnie przez naszych w³adców - i uciwiêconym we wspólnie

sporządzonym statucie - by³o przeprowadzenie inwentaryzacji.

Spisanie œwiatowych zasobów Cyrku i zestawienie ich z rozs¹dnymi,

współczesnymi celami naszych działań. Nie pytaj mnie, co to jest

dla nich różny, współczesny cel. To wielce sporna kwestia. Nie

może być jednak nielojalny. - Teraz powróci do swego tekstu. -W

każdym razem wiedz, że w ciągu sześciu miesięcy dokonano spisu i

zaraz potem obcięto nam fundusze. - Urwa, przypatruj się

Smileyowi. - Słuchasz mnie, George? - zapytany zopotany

głosem.

Ale w tym momencie nie można było stwierdzić, czy Smiley w

ogóle słucha kogokolwiek. Jego ciężkie powieki niemal się zamknęły, a też czesa jego oczu, który nadal było widać, przesłaniały grube soczewki okularów.

Siedział wyprostowany, ale głowa opadała mu ku przodowi, a

jego pulchny podbródek oparł się na piersi.

Lacon wahał się jeszcze przez chwilę, a potem ciągnął dalej:

- W wyniku obcięcia funduszy - czy jeżeli wolisz, w wyniku

inwentaryzacji - dokonanej przez naszych Mędrców - pewne tajne

operacje zostały ipso facto zakazane. Verboten, Zgadza się?

Wyciągnięty na kanapie Strickland wypowiedział niewypowiedziane zaklęcia:

- Ąadnych kolarzy. Ąadnych s³odkich pu³apek. Ąadnych podwójnych. Ąadnych prowokowanych uciezek na Zachód. Ąadnych

emigrantów. Nic, kurwa.

- Co takiego? - powiedziała Smiley, jak gdyby wyrwany z głębokiego snu. Ale tak bezpośrednio postawienie sprawy nie

przypadło do gustu Laconowi, który s³owa Stricklanda puścił mimo

uszu.

- Lauder, proszę, unikajmy nadmiernych uproszczeń. Dochodźmy

do wniosków organicznie. Myślenie konceptualne to tutaj sprawa

podstawowa, A zatem Mêdrcy u³o¿yli kodeks. - Lacon zwróci³ siê

ponownie do Smiley'a. -Katalog zakazanych praktyk. Zgadza siê? -

Ale Smiley raczej czeka³, ni¿ s³ucha³. - Obejmowa³ on ca³y zakres

dzia³añ: wykorzystanie i wykorzystywanie agentów, nasze prawa do

po³owów w krajach Wspólnoty albo brak takich praw - wszystko.

Pods³uchiwacze, inwigilacja za granic¹, operacje pod fa³szyw¹ flag¹ - odwa¿nie podjête gigantyczne zadanie. - Ku zdumieniu

wszystkich z wyj¹tkiem samego siebie Lacon splót³ palce razem,

wykrêci³ d³onie ku do³owi i z wyzywaj¹cym staccato zachrzêœci³

koœciami w stawach.

Ci¹gn¹³ dalej:

- Na tej ich liœcie zakazów - a jest to instrument brutalny,

George, ¿adnego poszanowania dla tradycji - umieszczono tak¿e

takie praktyki, jak klasyczne wykorzystywanie podwójnych agentów.

To jakaś obsesja, z przyjemności¹ stwierdzili w swoich konkluzjach nasi nowi władcy. Dawne zabawy w kolarza - polegaj¹ce

na werbowaniu i wykorzystywaniu po drugiej stronie szpiegów

naszych przeciwników - które w twoim czasie stanowi³y ulubion¹

rozrywkę kontrwywiadu - te gry, George, zostały dzisiaj w zbiorowej opinii Mędrców uznane za zdezaktualizowane. Nieekonomiczne. Zrezygnowaś z nich.

Kolejna ciężarówka posuwa³a się z hukiem w dół albo może w

górze wzgórza. Słyszeli, jak jej koła obijaj¹ się o krawężnik.

- Chryste - zamrucza³ Strickland.

- Czy też, na przykład - uderzam znów na oślep - nadmierne

zainteresowanie grupami uchodźców politycznych.

Tym razem nie pojawi³a się żadna ciężarówka: jedynie głęboka, oskarżycielska cisza, pod¹aj¹ca jej ciałem. Smiley

siedzia³ tak jak przedtem, s³ucha³ nie oceniaj¹c, skupiony tylko na Laconie, s³ysza³ go z wyrazistości¹ w³oeci¹ niewidomym.

- Grupy uchodźców, jeżeli chcesz wiedzieć - mówi³ dalej Lacon

- czy raczej tradycyjne kontakty Cyrku z nimi - Mędrcy wol¹ je

określać mianem zależności, ale s¹dzê, że to odrobinkê za mocne;

polemizowa³em z nimi, jednak zlekceważono mnie - więc owe grupy

uznano za prowokacyjne, podlegaj¹ce, działaj¹ce przeciwko

odprężeniu. Kosztowny na³óg. Ci, którzy zadaj¹ się z nimi, narażaj¹ się na ekskomunikê. Mówiê serio, George. Oto, dok¹d

zaszlicemy. Oto miara ich w³adzy. Pomyśl tylko.

Lacon otworzy³ ramiona takim gestem, jak gdyby chciał obnażyć pierce na atak Smileya i sta³ tak, przygl¹daj¹c mu się z góry jak przedtem, a w tle szkockie echo Stricklanda powtórzy³o

raz jeszcze tê sam¹ prawdê bardziej brutalnie.

- Grupy wyrzucono na oemietnik, George - powiedzia³
Strickland.

Co do jednej. Rozkazy z góry. ĩadnych kontaktów, nawet
na
dystans.

Nawet z bohaterskimi artystami Vladimira. Na pi¹tym
piêtrze

maj¹ specjalne archiwum, zamkniête na dwa spusty. ĩaden
oficer

nie ma do niego dostêpu bez pisemnego zezwolenia Szefa.
Kopia

tygodniowych wydatków do wgl¹du Mêdrców. Burzliwe czasy
nasta³y,

George. Mówiê, jak jest, burzliwe czasy.

- Spokojnie, George - ostrzeg³ z załenowaniem Lacon,
który

us³ysza³ coœ, co do tamtych nie dotar³o.

- Cóż za kompletny nonsens - powtórzy³ rozmyœlnie Smiley.

Podniós³ g³owê i wbi³ wzrok w Lacona, jak gdyby
podkreœlaj¹c

otwartość swojego sprzeciwu. - Vladimir nie był kosztowny. I
nie

był naszym nałogiem. A już w żadnym razie nie był
nieekonomiczny.

Wiesz doskonale, że mierzył go nasze pieniądze.
Musielibyśmy

wcisnąć mu je się, bo inaczej umarłby z głodu. A jeżeli chodzi
o

podleganie - o działalność przeciwko odprężeniu,
cokolwiek

miałoby to znaczyć - to istotnie od czasu do czasu należało
trzymać go w ryzach, jak większość dobrych agentów, ale
gdy

przychodziło co do czego, przyjmował nasze rozkazy niczym
jagnię.

Był jego wielkim zwolennikiem, Oliverze. Wiesz również
dobrze

jak ja, ile był wart.

Cichość głosu Smiley'a nie była w stanie ukryć
pobrzmiwania w nim napięcia. A Lacon nie omieszkał
również

zauważa niebezpiecznych plamek rumieńców na jego policzkach.

Lacon ostro zwrócił się do najsłabszego uczestnika spotkania:

- Mostyn, spodziewam się, że szybko zapomnisz o tym wszystkim. Słyszysz? Powiedz mu, Strickland.

Strickland skwapliwie wypełnił polecenie:

- Mostyn, stawisz się dzień rano u Gospodarzy dokładnie o pierwszej trzydzięci i podpiszesz w mojej obecności i osobiście

przez mnie ułożone zaświadczenie o przebyciu szkolenia!

- Tak jest, sir - powiedziało Mostyn po nieco przydługiej przerwie. Lacon dopiero teraz odpowiedział Smileyowi:

- George, podziwiam tego człowieka. Nigdy jego Grupa. To

jest zasadnicza różnica. Człowieka, tak. Pod wieloma względami

była to bohaterska postać. Ale nie towarzystwo, które przy sobie

trzyma: marzyciele, niechlujne księżka. Ani nie te wtyczki w

Centrum Moskiewskim, które tak ciep³o przygarniali do piersi.

Nigdy. Nie mo¿esz zaprzeczyæ, ¿e Mêdrcy maj¹ w tej sprawie racjê.

Smiley zdj¹³ okulary i zacz¹³ je czyœciæ koñcem krawata.
W

bladym œwietle przedzieraj¹cym siê teraz przez zas³ony jego pulchna twarz zdawa³a siê wilgotna i bezbronna.

- Vladimir by³ jednym z najlepszych agentów, jakich kiedykolwiek mieliœmy - powiedzia³ œmia³o Smiley.

- Dlatego, ¿e by³ twój? - zadrwi³ Strickland za plecami Smileya.

- Dlatego, ¿e by³ dobry - warkn¹³ Smiley i wokó³ zapad³o przestraszone milczenie, podczas gdy Smiley dochodzi³ do równowagi. - Ojciec Vladimira by³ Estoñczykiem i zagorza³ym

bolszewikiem, Oliverze - podj¹³ Smiley ju¿ spokojniejszym tonem.

- Wykonywa³ wolny zawód, by³ prawnikiem.

Stalin odp³aci³ mu siê za jego lojalnoœæ, morduj¹c go w którejœ z czystek.

Vladimir urodzi³ siê jako Valdomar, ale manifestuj^{1c}
przywi¹zanie do Moskwy i do rewolucji zmieni³ nawet swoje
imiê na

Vladimir. Wci¹¿; chocia³ im wierzyæ, mimo tego, co uczynili z
jego

ojcem. Wst¹pi³ do Armii Czerwonej i tylko dziêki ³asce Boga
sam

nie zgin¹³ w czystce. Walczy³ jak lew, wojna przynios^{3a} mu
awans,

a kiedy siê skoñczy^{3a}, Vladimir czeka³ na wielk¹ rosyjsk¹
liberalizacjê, o której marzy³, i na wolnoœæ dla swojego narodu.

Nie nadesz^{3a} nigdy. Zamiast tego sta³ siê œwiadkiem
bezwzglêdnych represji, stosowanych w jego ojczyŹnie przez
rz^{1d},

któremu s^{3u}¿y³. Do obozów pos³ano dziesi¹tki tysiêcy
Estoñczyków,

jego rodaków, w tym kilkoro krewnych Vladimira. - Lacon
otworzy³

usta, ¿eby mu przerwaæ, ale zaraz rozs¹dnie zamkn¹³ je z
powrotem. - Ci, którzy mieli szczêœcie, uciekali do Szwecji i
do

Niemiec. Chodzi tu o rozerwan¹ na kawa³ki populacjê z³o¹on¹
z

oko³o miliona trze¹wo myœl¹cych, ciê¹ko pracuj¹cych ludzi.
Pewnej

nocy zaoferowa³ nam w rozpaczy swoje us³ugi. Nam,
Brytyjczykom. W

Moskwie. Od tej pory przez trzy lata szpiegowa³ dla nas z
samego

serca stolicy.

Codziennie ryzykowa³ dla nas wszystko.

- I nie potrzeba dodawaæ, ¿e to nasz George go prowadzi³ -
warkn¹³ Strickland, usi³uj¹c nadal sugerowaæ, ¿e ta
okolicznoœæ

niejako dyskwalifikowa³a Smileya. Ale Smileya nie mo¹na
by³o

powstrzymaæ. Siedz¹cy u jego stóp m³ody Mostyn s³ucha³
niczym w

transie.

- Je¹eli pamiêtasz, to nawet daliœmy mu medal, Oliverze.
Oczywiêcie nie po to, ¿eby go nosi³ albo w ogóle posiada³.
Ale

gdzieś na kawałku pergaminu, na który pozwalano mu czasami

spojrzeć, znajdował się podpis przypominający niezwykle

podpis
naszego Monarchy.

- To już historia, George - zaprotestował albo Lacon. - To nie jest dzień dzisiejszy.

- Przez trzy długie lata Vladimir stanowił najlepsze, jakie kiedykolwiek mieliśmy, źródło informacji o sowieckich

możliwościach i zamiarach; i to podczas nasilenia zimnej wojny.

Był blisko ludzi z ich wywiadu i donosił nam także na ten temat.

A potem pewnego dnia podczas służbowej wizyty w Paryżu skorzystał

z szansy i został, i Bogu dzięki, że tak się stało, bo w przeciwnym wypadku zostałby zastrzelony o wiele wcześniej.

Lacon nagle przestał cokolwiek rozumieć.

- Co masz na myśli? - zapytał. - Jak to wcześniej? O czym ty

mówisz?

- Mam na myśli to, że w tamtych czasach Cyrkiem rzdzi³
w

znacznej mierze agent Centrum Moskiewskiego - odpowiedzia³
Smiley

z bezbrzeżn¹ cierpliwości¹. - To najczystsze szczęście, że Bill
Haydon przypadkiem rezydowa³ za granic¹, kiedy Vladimir
pracowa³

dla nas. Jeszcze trzy miesi¹ce i Bill rozwali³by go na kawa³ki.

Lacon nie znalaz³ żadnej odpowiedzi, więc zast¹pi³ go
Strickland.

- Bill Haydon to, Bill Haydon tamto - szydzi³. - Tylko
dlatego, że³¹czy³o ciê z nim co³ więcej... - Mia³ zamiar
kontynuowaæ, ale rozmyśli³ siê. - Haydon jest martwy, do
diab³a -

zakończy³ nagle - podobnie jak ca³a tamta epoka.

- Jak Vladimir - powiedzia³ cicho Smiley i wtedy ponownie
nast¹pi³a przerwa w obradach.

- George - zaintonowa³ uroczycie Lacon, jak gdyby
poniewczasie odnalaz³ w³acziwe miejsce w swoim
modlitewniku. -

Jesteœmy pragmatykami, George. Przystosowujemy siê. Nie jesteœmy

stra¿nikami œwiêtego ognia.

Proszê ciê, polecam ci, abyœ o tym pamiêta³.

Milcz¹cy choœ stanowczy Smiley nie zakoñczy³ jeszcze nekrologu starca; dobrze wiedzia³, ¿e nikt nigdy nie uhonoruje Genera³a w taki sposób.

- Kiedy siê ujawni³, zacz¹³ rzeczywicie traciæ na wartoœci, podobnie jak ka¿dy by³y agent - ci¹gn¹³ dalej.

- Nie inaczej - dopowiedzia³ Strickland sotto voce, pó³g³osem.

- Pozosta³ w Pary¿u i ca³ym sercem odda³ siê ba³tyckiemu ruchowi na rzecz niepodleg³oœci. Dobra, to by³a przegrana sprawa.

Tak siê sk³ada, ¿e po dzieœ dzieñ Wielka Brytania dejure nie uznaj¹ sowieckiej aneksji trzech pañstw nadba³tyckich - nie chodzi i o to. Byæ mo¿e nie wiesz, Oliverze, ale Estonia utrzymuje najzupe³niej legalne poselstwo oraz Konsulat Generalny

na Queens Gate. Jak widać, nie mamy nic przeciwko popieraniu

przeigranych spraw, kiedy s¹ już przegrane z krete sem. Nie wczecniej. - Smiley raptownie zaczerpn¹³ powietrza. - No i istotnie, zorganizowa³ w Paryżu Grupê Ba³tyck¹, która rozpad^{3a}

siê, tak jak zawsze rozpadaæ siê bêd¹ grupy uchodŹców politycznych wraz z ich przegranymi sprawami. - Pozwól mi mówiaæ,

Oliverze, rzadko zajmujê duŹo czasu - Mój drogi - powiedzia³

Lacon i zaczerwieni³ siê. - Zajmij tyle czasu, ile tylko chcesz - doda³, t³umi^{1c} kolejny jêk ze strony Stricklanda.

- Jego grupa podzieli^{3a} siê, by^{3y} spory. Vladimir spieszy³ siê i chcia³ po³¹czyæ wszystkie jej od³amy pod jednym kierownictwem. Poszczególne frakcje mia^{3y} jednak swoje w³asne,

Źywotne interesy i nie wyraża^{3y} na to zgody. Odby^{3a} siê rozstrzygaj^{1ca} bitwa, rozbito parê ³bów i Francuzi wyrzucili go z kraju. Zabralicemy go do Londynu razem z jego dwoma porucznikami.

Na staroœæ Vladimir powróci³ do luterañskiej religii swych przodków, zamieniaj¹c marksistowskiego Zbawiciela na chrzeœcijañskiego Mesjasza.

Zdaje mi siê, ¿e i do tego mielibyśmy ich zachêcaæ. Chocia¿ mo¿e nie nale¿y to ju¿ do zasad naszej polityki. Teraz go zamordowano. Rozmawialibyśmy o przesz³oœci, oto jest przesz³oœæ

Vladimira. No wiêc dlaczego tu jestem?

Dzwonek nie móg³ zabrzmieæ w korzystniejszej chwili.
Lacon

by³ nadal czerwony na twarzy, a Smiley ponownie czyœci³ swoje

szk³a. Akolita Mostyn z szacunkiem zwolni³ drzwi z ³añcucha i

wpuœci³ do œrodka wysokiego pos³añca - motocyklistê, wymachuj¹cego pêkiem kluczy, trzymany w odzianej w rêkawicê

d³oni. Mostyn z szacunkiem wrêczy³ klucze Stricklandowi, który

podpisa³ ich przyjêcie i odnotowa³ ten fakt w swoim dzienniku.

Pos³aniec wyszed³, rzuciwszy przeci¹g³e, a nawet tkliwe spojrzenie na Smileya, którego, pomimo specjalnego stroju, jaki

mia³ motocyklista, drêczy³y wyrzuty sumienia, ¿e, choæ powinien,

nie rozpozna³ ch³opaka. Ale Smiley musia³ rozstrzygn¹æ bardziej

nagl¹ce problemy.

Strickland bez ¿adnego szacunku cisn¹³ klucze w otwart¹ d³oñ Lacona.

- Dobrze, Mostyn, opowiedz mu - zagrzmia³ nagle Lacon.

-

Opowiedz mu to w³asnymi s³owami.

* * *

Mostyn siedzia³ dziwnie nieruchomo. Mówi³ cicho. Lacon

wycofa³ siê w róg pokoju, ¿eby go dobrze s³yszeæ, i splót³ d³onie

pod nosem niczym sędzia. Strickland natomiast siedział sztywno,

jakby po kłopotliwej, i podobnie jak sam Mostyn wydawał się oledziać

jego sowa w poszukiwaniu ewentualnych uchybień.

- Vladimir zatelefonował dzie do Cyrku w porze lunchu, sir

-

zaczynał Mostyn, pozostawiając pewną niejasność co do tego, do kogo

odnosiło się owo "sir". - Tak się złożyło, że to ja byłem w rzeczywistości oficerem dyżurnym Ćmietnika i odebrałem telefon.

Strickland poprawił go z nieprzyjemnym poćpiechem:

- To znaczy wczoraj. Bądź dokładny, dobrze?

- Przepraszam, sir. Wczoraj - powiedział Mostyn.

- No to uważaj - ostrzegł go Strickland.

Mostyn objaśnił, że do obowiązków dyżurnego oficera Ćmietnika należała w rzeczywistości tylko służba podczas przerwy na

lunch oraz sprawdzanie biurek i koszy na oemiec przed zamknięciem. Personel Ćmietnika był zbyt niedoświadczony, aby

pe³nia nocn¹ s³u¿bê, odbywali zatem jedynie dy¿ury w porze lunchu

i wieczorami.

- A Vladimir - powtórzy³ - skontaktowa³ siê z nami w³aczenie w

porze lunchu, u¿ywaj¹c linii ratunkowej.

- Linii ratunkowej? - zapyta³ zdumiony Smiley. - Obawiam

siê, ¿e niezupe³nie rozumiem.

- To taki system, który stosujemy, nawi¹zuj¹c kontakt z martwymi agentami, sir - odpowiedzia³ Mostyn, a potem dotkn¹³

palcami skroni i wymamrota³: -O mój Bo¿e. - Po chwili zacz¹³ od

nowa - Mam na myœli agentów, którzy zakończyli ju¿ karierê, ale

s¹ wci¹¿ jeszcze op³acani, sir - powiedzia³ ze smutkiem.

- A wiêc on zadzwoni³, a ty odebra³eœ telefon - powiedzia³ ¿yczliwie Smiley. - O której to by³o?

- Dok³adnie o pierwszej piêtnaœcie, sir. Ćmietnik przypomina

trochę jakby czytelniê gazet na Fleet Street. Stoi tam dwanaoecie

biurek i kojec szefa sekcji pod œcian¹, oddzielony od nas szklanym parawanem. Linia ratunkowa znajduje siê w zamkniêtej

budce, a klucz do niej ma zazwyczaj szef sekcji. Ale podczas lunchu oddaje go dyżurnemu. Otworzy³em budkê i us³ysza³em jakio

cudzoziemski g³os mówi¹cy "halo".

- Pospiesz siê, Mostyn - warkn¹³ Strickland.

- Odpowiedzia³em "halo", panie Smiley. Nie mówimy nic

wiêcej. Nie podajemy numeru. Ten cz³owiek powiedzia³: "Gregory

wzywa Maksa.

Mam dla niego piln¹ wiadomoœæ. Proszê natychmiast daæ mi

Maksa".

Zapyta³em, sk¹d dzwoni, taki jest zwyczaj, ale on powiedzia³ tylko, że ma dużo drobnych.

Ustalenie, spod jakiego numeru jest do nas telefon, nie leży

w naszych kompetencjach, a poza tym i tak trwa to zbyt d³ugo.

Ko³o telefonu linii ratunkowej jest elektryczny selektor, zawieraj¹cy wszystkie pseudonimy.

Kaza³em mu poczekaæ i wystuka³em na klawiaturze imiê

"Gregory". To nastêpna rzecz, jak¹ robimy, spytawszy o to, sk¹d

dzwoni¹. Selektor wyœwietli³ odpowiedŸ:

"Gregory to Vladimir, by³y agent, by³y genera³ radziecki, by³y przywódca Grupy Ryskiej". Potem sprawdzi³em akta. Wystuka³em

"Maks" i odnalaz³em pana, sir. - Smiley lekko skin¹³ g³ow¹. -

"Maks równa siê Smiley". Potem wystuka³em "Grupa Ryska" i okaza³o

siê, ¿e by³ pan ich ostatnim proboszczem, sir.

- Ich proboszczem? - zapyta³ Lacon, jak gdyby odkry³ w³acenie

jak¹œ herezjê. - Smiley ich ostatnim proboszczem, Mostyn? Co u

licha...

- Myślałem, że już to wszystko słyszałeś, Oliverze - powiedzia³ Smiley, żeby mu przerwać.

- Znam tylko istotę sprawy - odpar³ Lacon. - W sytuacjach krytycznych nale¿y zajmowaæ siê jedynie kwestiami zasadniczymi.

Nie spuszcza³c oka z Mostyna, Strickland swoim sprasowanym

szkockim akcentem udzieli³ Laconowi ¿¹danej informacji.

- Takie organizacje jak Grupa tradycyjnie już posiada³y dwóch oficerów prowadz¹cych. Listonosza, który wykonywa³ dla nich rozmaite podstawowe prace, i proboszcza, stoj¹cego ponad bijatyk¹. Zastêpowa³ im ojca -powiedzia³ i niedbale skin¹³ g³ow¹ Smileyowi.

- A kogo wyznaczono na ostatniego listonosza, Mostyn? - zapyta³ Smiley, ca³kowicie lekcewa¿¹c Stricklanda.

- Pana Esterhasea, sir. Pseudonim Hektor.

- I on go nie poprosi³? - Smiley zada³ pytanie, ponownie nie zwracaj¹c najmniejszej uwagi na Stricklanda.

- S³ucham, sir?

- Vladimir nie prosi³ do telefonu Hektora? Swojego listonosza?

Prosi³ mnie. Maksa. Tylko Maksa. Jeste³ tego pewien?

- Chcia³ rozmawia³ tylko i wy³cznie z panem, sir - powiedzia³ z przej³ciem Mostyn.

- Robi³ce notatki?

- Linia ratunkowa jest automatycznie nagrywana, sir. Jest tak³e pod³czona do zegara, dzi³ki czemu znamy dok³adnie czas trwania rozmowy.

- Niech ci³ szlag trafi, Mostyn, to sprawa poufna - wypali³ Strickland. -Pan Smiley mo³ze sobie by³ naszym wybitnym eksp³pracownikiem, ale nie nale³zy ju³ do rodziny.

- I co zrobi³ce potem, Mostyn? - zapyta³ Smiley.

- Obowi³zuj³ce instrukcje dawa³y mi bardzo niewielk³ mo³liwo³ce manewru, sir - odpar³ Mostyn, raz jeszcze, podobnie jak

Smiley, okazuj³c Stricklandowi zamierzone lekcewa³enie. - Zar³wno

"Smiley", jak i "Esterhase" znajdowali się na liście zwłoki, co oznacza, że skontaktować się z nimi można tylko przez pięte

piętro. Szef mojej sekcji wyszedł na lunch i miał wrócić nie wcześniej niż piętnaście po drugiej. - Mostyn nieznacznie wzruszył ramionami. - Grałem na czas. Powiedziałem mu, żeby

zadzwoić jeszcze raz o wpół do trzeciej.

Smiley zwrócił się do Stricklanda.

- Zdawało mi się, że powiedziałeś, iż wszystkie akta dotyczące emigrantów znalazły się pod specjalnym nadzorem?

- Tak jest.

- Czy na karcie selektora nie powinna pojawiać się jakaś tego rodzaju informacja?

- Powinna się znaleźć, ale się nie znalazła - odpowiedział Strickland.

- W tym rzecz, sir - zgodził się Mostyn, mówiąc tylko do Smileya. - Na razie nic nie wskazywało na to, że Vladimir albo

Grupa s¹ w jakimœ sensie zakazani. S¹dz¹c na podstawie karty,

Vladimir sprawia³ wraŹenie zwyczajnego, emerytowanego agenta,

dopominaj¹cego siê o forsê.

Przypuszcza³em, Źe chce trochê pieniêdzy albo potrzebuje towarzystwa, albo coœ w tym rodzaju. Wielu takich nam siê trafia.

Pomyœla³em sobie, Źe najlepiej bêdzie zostawiæ go szefowi sekcji.

- Który pozostanie bezimienny, Mostyn - powiedzia³ Strickland. - Zapamiêtaj to sobie.

W tym momencie przysz³o Smileyowi do g³owy, Źe powœci¹gliwoœæ Mostyna i sposób, w jaki przez ca³y czas mówi³, z

obrzydzeniem omijaj¹c z daleka jak¹œ niebezpieczn¹ tajemnicê,

mog³y mieæ coœ wspólnego z chêci¹ os³oniêcia niedba³ego

prze³oŹonego. Ale kolejne s³owa Mostyna uciê³y te domys³y,

ponieważ stan¹³ wręcz na g³owie, żeby dać do zrozumienia, iż to

w³aczenie jego szef ponosi za wszystko ca³kowit¹ odpowiedzialność.

- Sêk w tym, że szef mojej sekcji wróci³ z lunchu dopiero o trzeciej piêtnaście, więc kiedy Vladimir zadzwoni³ o wpó³ do

trzeciej, musia³em go znowu sp³awiæ. By³ wœciek³y - powiedzia³

Mostyn. - Vladimir, znaczy siê.

Spyta³em, czy tymczasem móg³by³m coœ dla niego zrobiæ, a on powiedzia³:

"Znajd³ Maksa. Po prostu znajd³ mi Maksa. Powiedz mu, że

skontaktowa³em siê z pewnymi przyjació³mi, a poprzez przyjació³

tak³e z s¹siadami". Na karcie by³o kilka notatek dotycz¹cych jego

szyfru s³ownego i zrozumia³em, że "s¹siad" oznacza radziecki

wywiad.

Twarz Smileya powlek³a siê kamienn¹ obojêtnoœci¹.
Poprzednie

napiêcie zniknê³o ca³kowicie.

- I o tym wszystkim, jak nale¿a³o, zameldowa³eœ szefowi
sekcji o trzeciej piêtnaœcie?

- Tak, sir.

- Da³eœ mu taœemê do przes³uchania?

- Nie mia³ jej czasu wys³uchaæ - powiedzia³ bezlitoœnie

Mostyn. - Musia³ bezzw³ocznie wyjechaæ na d³ugi weekend.

Uparta lakonicznoœæ Mostyna sta³a siê tak ostra, ¿e
Strickland najwyraŹniej uwa¿a³ za stosowne uzupe³niæ
powsta³e

luki.

- Tak, naturalnie, nie ulega kwestii, ¿e jeœli szukamy koz³a
ofiarnego, to ten szef sekcji Mostyna zrobi³ z siebie
piramidalnego g³upca, to w ogóle nie ulega kwestii - oznajmi³
bystro Strickland. - Zapomnia³ pos³aæ po papiery Vladimira -
które by oczywiêcie nie nadesz³y. Zapomnia³ zapoznaæ siê
z

obowi¹zuj¹cymi aktualnie wytycznymi postępowania z emigrantami.

Zdaje się, że uleg³ ponadto poważnemu atakowi weekendowej

gor¹czki i ani jednym s³owem nie powiadomi³ nikogo o miejscu

swojego pobytu na wypadek, gdyby okaza³ się nam potrzebny. Niech

Bóg ma go w swojej opiece w poniedział³ek rano, s³owo daj³. O tak.

No, dalej Mostyn, przecie³ czekamy, ch³opcze.

Mostyn pos³usznie podj¹³ opowiadanie.

- Vladimir po raz trzeci i ostatni zadzwoni³ o trzeciej czterdzieści trzy, sir - powiedzia³ jeszcze wolniej niż poprzednio. Powinien zadzwoni³ za kwadrans czwarta, ale pope³ni³

dwuminutowy falstart. W tym czasie Mostyn otrzyma³ już pobie³ne

instrukcje od szefa swojej sekcji i powtórzy³ je teraz Smileyowi.

- Nazwa³ to nudziarsk¹ robot¹. Mia³em się dowiedzie³, czy

staruszek naprawdę czegoś chce, jeżeli tak, to czego, a
gdyby

wszystkie inne sposoby zawiodły, miałem umówić się z nim
na

spotkanie, żeby go uspokoić. Miałem postawić mu drinka,
poklepać

po ramieniu i nie obiecywać niczego poza tym, że przekażę
dalej

każdą wiadomość.

- A "siedzi"? - zapytał Smiley. - Dla szefa twojej sekcji
nie stanowili problemu?

- Uważa chyba, że należeli do odgrywanej przez agenta
komedii, sir.

- Rozumiem. Tak, rozumiem. - Ale na przekór tym słowom
oczy

Smileya przez chwilę pozostawały całkowicie zamknięte. -
Jak

wyglądała rozmowa z Vladimirem za trzecim razem?

- Z tego co mówi, wynikało, że ma to być spotkanie
natychmiastowe albo nic, sir. Zgodnie z instrukcją
wypróbowałem

na nim wszystkie alternatywy: "Niech pan napisze nam list -
czy

chce pan pieniędzy? Z pewnością¹ może to poczekać do
poniedziałku³"

- ale wtedy wrzeszcza³ już na mnie przez telefon. "Spotkanie
albo

nic. Dzień wieczorem albo nic. Regu³y Moskiewskie.

Nalegam na Regu³y Moskiewskie. Powiedz Maksowi..."

-

Przerywaj¹c sam sobie, Mostyn uniós³ głowê i nie mrugaj¹c
powiekami odwzajemni³ się Lauderowi Stricklandowi
wrogim

spojrzeniem.

- Co mia³być powiedzieć Maksowi? - spyta³ Smiley,
szybko

przerzucaj¹c wzrok to na jednego, to na drugiego z nich.

- Rozmawialiemy po francusku, sir. Karta mówi³a, że
francuski jest jego ulubionym obcym językiem, a ja mam
tylko

czwórkê z rosyjskiego.

- Nieistotne - rzuci³ Strickland.

- Co mia³byœ powiedziećæ Maksowi? - nalega³ Smiley.

Oczy Mostyna znalaz³y sobie jak¹œ plamê na pod³odze o metr

czy dwa od jego stóp. - Chodzi³o mu o to: "Powiedz Maksowi, ¿e

chcê koniecznie Regu³ Moskiewskich".

- To wa¿ne, George. - Lacon, który przez kilka ostatnich minut siedzia³ : jak na niego dziwnie cicho, wtr¹ci³ siê teraz do rozmowy. - To nie Cyrk rozpocz¹³ tê sprawê. To on. By³y agent. To

on naciska³, on przej¹³ inicjatywê.

Gdyby zgodzi³ siê na nasze propozycje, gdyby sformu³owa³

swoje informacje na piœmie, to wszystko wcale nie musia³oby siê

staæ. Zgotowa³ sobie ten los wy³¹cznie sam. Chcê, ¿ebyœ dobrze to

zrozumia³, George.

Strickland zapala³ nowego papierosa.

- A zreszt¹, do nag³ej krwi, kto kiedy s³ysza³ o Regu³ach

Moskiewskich w oerodku Hampstead? - zapyta³ Strickland,
gasz^{1c}

zapa^{3kê} machniêciem d^{3oni}.

- Rzeczywiœcie, krwi - powiedzia³ cicho Smiley.

- Koñcz ju¿, Mostyn - zakomenderowa³ Lacon, oblewaj^{1c}
siê

szkar^{3atnym} rumieñcem.

- Uzgodnili godzinê - podj¹³ na nowo Mostyn
drewnianym

g^{3osem}, wpatruj^{1c} siê teraz w lew¹ d^{3oñ}, jak gdyby chcia³ z niej
wyczytaæ swoje przeznaczenie. - O dziesi^{1tej} dwadzieœcia, sir.

Przyjêli Regu^{3y} Moskiewskie i tradycyjne metody
kontaktowe,

które Mostyn ustali³ ju¿ przedtem, jeszcze po po^{3udniu},
korzystaj^{1c} z indeksu spotkañ Œmietnika.

- A jak dok^{3adnie} wygl^{1daj}1 tradycyjne metody kontaktowe?

-

spyta³ Smiley.

- Spotkanie zeszytowe, sir - odpowiedzia³ Mostyn. - Tak
jakbym znów odbywa³ ca^{3y} kurs przygotowawczy w Sarratt, sir.

Intymność szacunku Mostyna sprawiła, że Smileyowi
zrobiło

się ciasno.

Nie chciał być bohaterem tego chłopca, nie chciał, by
pieścił go jego głos, jego spojrzenie, jego sir. Nie był
przygotowany na klaustrofobiczny podziw ze strony tego
obcego
człowieka.

- Jest na Hampstead Heath taki blaszany pawilon, dziesięć
minut drogi od East Heath Road, górujący nad boiskiem leżącym
po

południowej stronie drogi, sir. Znakiem bezpieczeństwa była
nowa

pinieszka, wpięta wysoko w pierwszą drewnianą podpórki po
lewej

stronie, patrzcie od wejścia.

- A odpowiedź? - zapytał Smiley.

Ale odpowiedź już znał.

- Kreska wykonana żółtym kredą, sir - powiedziała Mostyn. -
Słuchaj, że żółty kolor był czymś w rodzaju firmowego znaku
Grupy,

jeszcze z dawnych czasów. - Przyj¹³ taki ton, jak gdyby jego
relacja dobiega³a już końca. - Wpi¹³em pineskê, wróci³em tutaj i
czeka³em. Kiedy siê nie pojawi³, pomyœla³em:

Có¿, jeœli ma bzika na punkcie zakonspirowanego
dzia³ania,

bêdê musia³ pójœæ z powrotem do pawilonu i sprawdzæ
jego

kontrsygna³, bo wtedy dopiero bêdê wiedzia³, czy jest w pobli¿u
i

czy proponuje odwo³aæ siê do planu rezerwowego".

- A co to mia³o byæ?

- Nale¿a³o podjechaæ samochodem w pobli¿e stacji metra
na

Swiss Cottage o jedenastej czterdzieœci, sir. Mia³em
w³aœnie

wyjœæ, ¿eby siê rozejrzeæ, kiedy zadzwoni³ pan Strickland,
kaza³

mi zostaæ na miejscu i czekaæ na dalsze rozkazy. - Smiley
myli³

siê s¹dz¹c, ¿e ch³opak już skończy³. Zdawa³o siê, ¿e Mostyn

zapomnia³ o wszystkich z wyj¹tkiem siebie samego i z
wolna

pokrêci³ swoj¹ kszta³tn¹ g³ow¹. - Nawet go nie spotka³em -
powiedzia³ zdumiony. - By³ moim pierwszym agentem, nawet
go nie

spotka³em i nigdy siê nie dowiem, co usi³owa³ mi powiedzieæ.
Mój

pierwszy agent nie żyje.

To nie do wiary. Przynios³em mu nieszczę³cie. - Mostyn
zamilk³, ale d³ugo krêci³ jeszcze g³ow¹.

Lacon ze swej strony dorzuci³ szybkie postscriptum:

- No cóż, Scotland Yard ma już dzisiaj komputer, George.
Patrol na Hampstead znalaz³ cia³o, ogrodi³ miejsce zdarzenia, i
kiedy tylko nazwisko wprowadzono do komputera, to zapali³o
siê

jakie³ tam œwiat³ko... pojawi³o siê mnóstwo cyferek czy
co³

takiego. Dziêki temu zorientowali siê natychmiast, że ten
cz³owiek by³ na naszej specjalnej liście obserwacyjnej.

Potem

wszystko szło już jak z płatka. Komisarz zadzwonił do Home

Office, z Home Office zadzwonili do Cyrku...

- A ty zadzwoniłeś do mnie - powiedziała Smiley. -
Dlaczego,

Oliverze?

Kto zaproponował, żebyś wtajemniczył mnie w tę sprawę?

- Czy to ważne, George?

- Enderby?

- Dobrze, skoro nalegasz, tak, to był Saul Enderby. George,
posłuchaj mnie.

Nadeszła nareszcie chwila Lacona. Kwestia została
postawiona, choć jeszcze wcale nie zdefiniowana.
Zapomniano o

Mostynie. Lacon stanął nad postacią siedzącego Smileya
i

przypisywał sobie prawa starego przyjaciela.

- George, sprawy stoją tak, że mógłbym teraz iść do
Mędrców

i powiedzieć: "Przeprowadzę dochodzenie i ręce Cyrku
są

czyste". Mogê tak powiedzieæ. "Cyrk nie popiera³ ani tych ludzi,

ani ich przywódcy.

Przez ca³y rok nie op³acano go i nie udzielano mu pomocy!"

Zupe³nie szczerze. Cyrk nie jest w³aœcicielem jego mieszkania ani

samochodu, nie p³aci za niego czynszu, nie ³o¿y na wykszta³cenie

jego bachorów, nie posy³a kwiatów jego kochance i nie ma ¿adnych

dawnych - i po¿a³owania godnych - kontaktów ani z nim, ani z jemu

podobnymi agentami. Genera³ zwi¹zany by³ jedynie z przesz³oœci¹.

Prowadz¹cy go oficerowie zeszli ze sceny na dobre - ty i

Esterhase, obaj jesteœcie starzy, skreœleni z ewidencji. Mogê to

powiedzieæ z rêk¹ na sercu. Mêdrcom, a i samemu ministrowi,

je¿eli bêdzie trzeba.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedzia³ Smiley, udaj¹c

g³upiego. -Przecie¿ Vladimir by³ naszym agentem. Usi³owa³ nam

przekazaæ jak¹œ informacjê.

- Naszym by³ym agentem, George. A sk¹d wiesz, ¿e chcia³ nam

przekazaæ jak¹œ informacjê? Nie dawaliœmy mu instrukcji. Mówi³,

¿e to pilne - wspomina³ nawet o wywiadzie radzieckim - wielu

by³ych agentów tak robi, wyci¹gaj¹c czapki po datek!

- Ale nie Vladimir - powiedzia³ Smiley.

Jednak sofistyka stanowi³a wy³¹czn¹ domenê Lacona. By³ urodzonym sofist¹, oddycha³ sofistyk¹, umia³ w niej lataæ i p³ywaæ, nikt w Whitehall nie by³ w tym lepszy od niego.

- George, nie mo¿emy ponosiæ odpowiedzialnoœci za ka¿dego

by³ego agenta, który lekkomyœlnie wybiera siê na nocny spacer w

coraz bardziej niebezpiecznym, nie zabudowanym rejonie Londynu. -

Lacon wyci¹gn¹³ ręce w b³agalnym geœcie. - George. Co z tego

bêdzie? Wybieraj. Ty wybieraj. Z jednej strony, Vladimir domaga

siê z tob¹ pogawêdki. Emerytowani kumple -rozmowy o dawnych

czasach - dlaczego by nie? A Ÿeby zdobyæ trochê forsy Genera³

udaje, Ÿe ma coœ dla ciebie. KaŸdy z nas móg³by tak post¹piæ.

Udaje, Ÿe posiad³ jak¹œ bezcenn¹ informacjê. Dlaczego by nie? Oni wszyscy tak robi¹. W tej kwestii mój minister nas poprze. Nie trzeba œcinaæ Ÿadnych g³ów, obêdzie siê bez ataków

z³oœci i bez hysterii w Gabinetcie. On nam pomoŸe.

Oczywiœcie nie bêdzie sprawy tuszowa³. Ale zda siê na swoje

poczucie rozs¹dku. JeŸeli z³apiê go w odpowiednim nastroju, byæ

moŸe zdecyduje, Ÿe w ogóle nie ma sensu niepokoiaê Mêdrców.

- Amen - odezwa³ siê jak echo Strickland.

- Ale z drugiej strony - upiera³ siê Lacon, mobilizuj¹c ca³¹

sw¹ si³ê przekonywania w celu zadania ostatecznego ciosu -
gdyby

sprawa siê wyda³a, George, a minister wbi³by sobie do g³owy,
¿e

korzystamy z jego pomocy, aby usun¹æ œlady po jakiejœ
bezprawnej,

poronionej przygodzie - znów spacerowa³, przemierzaj¹c
wymaginowane trzêsawisko - i gdyby nast¹pi³ skandal, a
dowiedziano by, ¿e Cyrk - twoje dawne miejsce pracy, któr¹
wci¹¿

kochasz, jestem tego pewien - jest aktualnie zwi¹zany z
notorycznie rewan¿ystowskim ugrupowaniem
emigracyjnym -

niesta³ym, gadatliwym, ostro sprzeciwiaj¹cym siê odprê¿eniu -
o

rozmaitych anachronicznych maniach - bêd¹cy kaczem z
najgorszych

dni zimnej wojny - archetypem tego wszystkiego, czego
polecili

nam unikaæ nasi mocodawcy - Lacon znów znalaz³ siê w rogu
pokoju,

nieco poza krêgiem œwiat³a - i gdyby wysz³o na jaw, ¿e
ktoœ

zgin¹³, George, i ¿e próbowano zatuszowaæ sprawê, bo bez
w¹tpienia tak by to okreœlili - i towarzyszy³by temu rozg³os - no
c¿, móg³by to byæ o jeden skandal za du¿o. Nasza praca,
George,

to nadal dziecko s³abe, chorowite, a ponadto w rêkach tych
nowych

ludzi tak¿e nad wyraz wra¿liwe. W obecnym stadium
swego

odrodzenia mog³oby umrzeæ na przeziêbienie. A jeœli umrze,
to

twoje pokolenie wcale nie bêdzie najmniej winne. Masz
obowi¹zki,

tak jak i my wszyscy. Lojalnoœæ.

Obowi¹zki wobec czego? - zastanawia³a siê ta czêœæ
duszy

Smiley, która zdawa³a siê czasem graæ wobec pozosta³ych
rolê

widza. Lojalnoœæ wobec kogo? "Bez zdrady nie ma
lojalnoœci",

lubi³a mu powtarzaæ Anna w czasach ich m³odoœci, kiedy
usi³owa³

jeszcze protestowaæ przeciwko jej zdradom.

Przez chwilê nikt siê nie odzywa³.

- A broñ? - zapyta³ w koñcu Smiley tonem cz³owieka
sprawdzaj¹cego jak¹œ teoriê. - Jak to wyt³umaczysz, Oliverze?

- Jaka broñ? Nie by³o ¿adnej broni. Zosta³ zastrzelony.

Pewnie przez swoich kumpli, jak znam ich intrygi. - e nie
wspomnê

tu o apetycie Genera³a na cudze ¿ony.

- Tak, zosta³ zastrzelony - zgodzi³ siê Smiley. - Strzelono
mu w twarz.

Z niezmiernie bliskiej odleg³oœci. Kul¹ dum-dum. I
przeszukano go pobie¿nie. Zabrali mu portfel. To wersja policji.

Ale nasza wersja brzmi³aby inaczej, prawda, Lauder?

- W ¿adnym wypadku - powiedzia³ Strickland, patrz¹c na
niego

groŹnie poprzez chmurê papierosowego dymu.

- W ka¿dym razie moja by³aby inna.

- No to s³uchamy, George - powiedzia³ szczodrobliwie Lacon.

- Broñ, z której zabito Vladimira, to standardowe narzêdzie mordu Centrum Moskiewskiego - powiedzia³ Smiley. -
Ukryte w

aparacie fotograficznym, w aktówce, gdziekolwiek. Kula dum -
dum

wystrzelona zostaje z najbli¿szej odleg³oœci. ¯eby unicestwiæ,
ukaraæ i zniechêciaæ innych. Je¿eli dobrze pamiêtam, to by³o
kiedyœ nawet coœ takiego w Sarratt, w czarnym muzeum ko³o
baru.

- Ci¹gle tam jest. Makabra - powiedzia³ Mostyn.

Strickland ³askawie pos³a³ Mostynowi paskudne spojrzenie.

- Ale¿, George! - zawo³a³ Lacon.

Smiley czeka³ wiedz¹c, ¿e w takim stanie Lacon móg³by
przekonaæ nawet Big Bena.

- Ci ludzie, ci emigranci - a ten nieszczêсны facet by³
jednym z nich -czy¿ oni nie pochodz¹ z Rosji? Czy¿ po³owa z
nich

nie by³a w kontakcie z Centrum Moskiewskim - za nasz¹ wiedz¹
lub

bez? A taka broń - nie mówiê oczywiście, że masz rację - w
ich

ceście może być tak pospolita jak chleb.

Nawet bogowie próżno walcz¹ z g³upot¹, pomysła³ Smiley:
ale

Schiller zapomnia³ o biurokratach. Lacon zwróci³ się teraz do
Stricklanda.

- Lauder. Jest jeszcze ważna sprawa tej procy do prasy. -
To by³ rozkaz. - Może mógł³być spróbowaæ z nimi jeszcze
raz,
zobaczyæ, jak daleko to zasz³o.

Strickland pos³uszenie przedrepta³ bez butów przez pokój i
wykrêci³ numer.

- Mostyn, może powinienæ wynieæ te rzeczy do kuchni?
Nie

chcemy chyba zostawiaæ niepotrzebnych celadów, co?

Ponieważ Mostyn też zosta³ odprawiony, Lacon i Smiley
nagle
zostali sami.

- Tak albo nie, George - powiedzia³ Lacon. - Trzeba
posprz¹taæ.

Musimy udzieliæ wyjaœnienie politykom, zreszt¹ czy ja wiem?

Poczta.

Mleko. Przyjaciele. Wszyscy znajomi, jakich miewaj¹ tacy ludzie. Nikt siê na tym nie zna tak dobrze jak ty. Nikt. Policja obieca³a daæ ci fory. Nie bêd¹ opieszali, ale zachowaj¹ pewien przemyœlany porz¹dek w dzia³aniach i pozwol¹, ¿eby postêpowanie

toczy³o siê swoim normalnym trybem. - Nerwowym skokiem Lacon

zbli¿y³ siê do krzes³a Smileya i przysiad³ niezdarnie na porêczy.

- George. By³eœ ich proboszczem. Doskonale. Proszê, ¿ebyœ

odprawi³ nabo¿eństwo. Chcia³ ciebie, George. Nie nas. Ciebie.

Strickland przerwa³ im ze swojego miejsca przy telefonie:

- Prosz¹ o podpis na tej proœbie, Oliverze. Chcieliby, ¿eby to by³ twój podpis, je¿eli nie masz nic przeciwko temu.

- Dlaczego nie Szefa? - zapyta³ ostro¿nie Lacon.

- Uwa¿aj¹, ¿e waga twojego bêdzie ociupinkê wiêksza, jak mi

siê wydaje.

- Poproœ, Ÿeby chwilê poczeka³ - powiedzia³ Lacon i gestem

przypominaj¹cym ruch wiatraka wsadzi³ rêkê do kieszeni. - Mam ci

daæ klucze, George? - Potrze¹sn¹³ nimi przed twarz¹ Smileya. - Pod

pewnymi warunkami.

Dobrze? - Klucze trzê³y siê nadal. Smiley wpatrywa³ siê w nie i pyta³ moŸe:

"Jakie warunki?", a byæ moŸe po prostu tylko patrzy³; w³œciwie nie by³ w nastroju do rozmowy. Rozmyœla³ o Mostynie, o zaginionych papierosach; o telefonach dotycz¹cych s¹siadów; o agentach bez twarzy; o œnie. Lacon liczy³.

Przypisywa³ ogromne znaczenie numerowaniu kolejnych akapitów. - Po pierwsze, jesteœ osob¹ prywatn¹ i dzia³asz w interesie Vladimira, nie naszym.

Po drugie, naleŸysz do przesz³oœci, nie do teraŸniejszoœci,

i tak też będziesz się zachowywać. Do wyciszonej przeszłości.

Polejesz wodę oliwą, nie będziesz jej młoci. I oczywiście stumiesz swoje dawne zawodowe zainteresowanie tym czowiekiem, bo

twoje zainteresowanie znaczy nasze.

Czy mogę dać ci klucze na takich warunkach? Tak? Nie?

W drzwiach do kuchni stał Mostyn. Zwracał się do Lacona, ale

jego uczciwe oczy zerkały nieustannie w stronę Smileya.

- O co chodzi, Mostyn? - zapytał Lacon. - Pospiesz się -

Przypomniałem sobie notatkę na karcie Vladimira, sir. Miała być w

Tallinie. Zastanawiałem się, czy nie należałoby jej zawiadomić.

Pomyślałem, że powinienem panom o tym powiedzieć.

- Karta znów nie jest zbyt ciska - powiedziała Smiley, odwzajemniając spojrzenie Mostyna. - Ona była z nim w Moskwie, kiedy uciekła, aresztowano ją i wywieziono do obozu pracy przymusowej. Tam też umarła.

- Pan Smiley musi robiæ to, co uwaŹa w takich wypadkach za

stosowne - odezwa³ siê szybko Lacon, staraj¹c siê nie dopuœciaæ do

kolejnego wybuchu. Upuœci³ klucze w biern¹ d³oñ Smileya. Nagle

wszyscy siê uaktywnili.

Smiley na nogach, Lacon przeszed³ juŹ p³ó³ pokoju, Strickland

wyci¹ga³ juŹ ku niemu s³uchawkê telefonu. Mostyn przeœlizn¹³ siê

do ciemnego przedpokoju i zdj¹³ z wieszaka p³aszcz Smileya.

- Co jeszcze powiedzia³ ci Vladimir przez telefon? - zapyta³ cicho Smiley, wsuwaj¹c ramiê w rêkaw.

- Powiedzia³: "PrzekaŹ Maksowi, Źe chodzi o Piaskowego

Dziadka. Powiedz mu, Źe mam dwa dowody i mogê przynieœæ je ze

sob¹. MoŹe wtedy zechce siê ze mn¹ zobaczyæ". Powiedzia³ to

dwukrotnie. To by³o na taœmie, ale Strickland skasowa³.

- Czy wiesz, co Vladimir chcia³ przez to powiedzieæ?
Mów

cicho.

- Nie, sir.

- Nie by³o nic na karcie?

- Nie, sir.

- Czy oni wiedz¹, o co mu chodzi³o? - zapyta³ Smiley, szybko
wskazuj¹c g³ow¹ Stricklanda i Lacona.

- Myœlê, ¿e mo¿e Strickland wie. Nie jestem pewien.

- Czy Vladimir naprawdê nie pyta³ o Tobyego Esterhasea?

- Nie, sir.

Lacon koñczy³ ju¿ rozmowê przez telefon. Strickland przej¹³
s³uchawkê i dalej rozmawia³ sam. Widz¹c Smileya przy
drzwiach,

Lacon skoczy³ ku niemu przez ca³y pokój.

- George! Dobry cz³owieku! Niech ci siê wiedzie! S³uchaj,
chcia³bym kiedyœ pogadaæ o twoim ma³¿eñstwie.

Seminarium bez

tajemnic. Liczê, ¿e zdradzisz mi wszystkie tajniki swej sztuki,

George.

- Tak. Musimy się spotkać - powiedzia³ Smiley.

Popatrzy³ na niego i zobaczy³, że Lacon kręci g³ow¹.

Dziwaczne postscriptum do tego spotkania przeczy jego konspiracyjnej atmosferze. Standardowa sztuka Cyrkowa wymaga, by

w domach s³u¿¹cych jako kryjówek zainstalowane by³y ukryte

mikrofony. Swoim dziwnym zwyczajem agenci milcz¹co wyrażaj¹ na to

zgodê, chocia¿ nie powiadamia ich siê o pods³uchu, a prowadz¹cy

ich oficerowie udaj¹ tylko, że robi¹ jakieœ notatki.

Przygotowuj¹c spotkanie z Vladimirem, Mostyn jak najbardziej

prawid³owo w³¹czy³ pods³uch w oczekiwaniu na przybycie starego, a

wskutek powsta³ej potem paniki nikomu nie przys³o do g³owy, żeby

wy³¹czyæ mikrofony. W drodze rutynowej procedury nagrane taœmy

trafi³y do sekcji transkrypcji, gdzie w dobrej wierze utrwalono

je w postaci tekstów, które dotarły następnie do ręk masowego czytelnika Cyrku. Kopie otrzymali pechowy szef Ćmietnika,

Sekretariat oraz szef działu Osobowego, Operacji i Finansów.

Bomba wybuchła jednak dopiero wtedy, gdy jedna z odbitek

wylądowała w skrytce Laudera Stricklanda - niczemu niewinni

odbiorcy tekstu musieli pod presją najrozmaitszych straszliwych

gróŃb zaprzysięć, że dochowają tajemnicy. Jakoœ nagrania jest

doskonała. Słychać niespokojne kroki Lacona i rzucane przez

Stricklanda sotto voce uwagi na stronie, niektóre z nich wulgarne. Mikrofonom umknęło tylko wzburzone wyznanie Mostyna w przedpokoju.

Mostyn zresztą nie odegra już żadnej roli w tej sprawie.

Kilka miesięcy później na własną prośbę zrezygnował z pracy;

kolejny punkt na krzywej wskaźnika zwolnień, które ostatnio tak

bardzo wszystkich niepokoiły.

* * *

To samo niepewne światło, które powitało Smileyę, kiedy z

ulgą wychodziła z mieszkania - kryjówki na wieże powietrze

poranka w Hampstead, powitała także Ostrakow, chociaż paryska

jesień zaszła już dalej i na nagich drzewach trzymała się zaledwie kilka ostatnich liści, przypominających ściereczki do

kurzu. Podobnie jak Smileyowi, i jej także noc nie przyniosła odpoczynku. Wstała w ciemności, ubrała się starannie, a ponieważ

poranek zdawa³ siê zimniejszy, zaczê³a medytowaæ, czy nadszed³

ju¿ dzieñ, w którym nale¿y wyci¹gn¹æ zimowe buty, jako ¿e okrutne

przeci¹gi w hurtowni najbardziej dawa³y siê we znaki jej nogom.

Wci¹¿ niezdecydowana wyjê³a buty z szafy, wytar³a je i nawet

wypucowa³a, ale nadal waha³a siê, czy je za³o¿yæ czy nie. Zawsze

tak by³o, kiedy musia³a siê zmagaa z jakimœ powa¿nym problemem:

mniejsze k³opoty stawa³y siê wtedy nie do rozwi¹zania.

Rozpoznawa³a wszelkie objawy tego stanu, czu³a, jak siê zbli¿aj¹, ale nic na to nie mog³a poradziæ. Zapomina³a, gdzie po³o¿y³a torebkê, partaczy³a ksiêgowanie w hurtowni, zatrzaskiwa³a drzwi od swojego mieszkania, nie maj¹c przy sobie

klucza, a potem musia³a wzywaæ tê star¹, g³upi¹ dozorczyniê, madame la Pierre, posapuj¹c¹ i wyci¹gaj¹c¹ szyjê jak koza w g¹szczu pokrzyw.

Kiedy ogarnia³ j¹ ten nastrój, z³atwoœci¹ mog³a wsi¹œæ w
z³y autobus - po piêtnastu latach jazdy t¹ sam¹ tras¹ - i
wyl¹dowaæ wœciek³a w nie znanej sobie okolicy. W koñcu
wci¹gnê³a

buty i mamroc¹c pod swoim adresem ró¿ne wyzwiska, jak
"kretynka"

albo "stara idiotka", wziê³a sw¹ ciê¿k¹ torbê na zakupy,
przygotowan¹ jeszcze poprzedniego wieczoru, a potem
wyruszy³a na

codzienny szlak, mijaj¹c jak zwykle po drodze trzy sklepy, nie
wchodz¹c tym razem do ¿adnego z nich i zastanawiaj¹c siê,
czy

traci zmys³y czy nie.

Oszala³am. Nie oszala³am. Ktoœ próbuje mnie zabiæ,
ktoœ

próbuje mnie ochraniaæ. Jestem bezpieczna. Jestem w
œmiertelnym

niebezpieczeñstwie.

I tak w kó³ko.

W ci¹gu czterech tygodni od czasu, kiedy Ostrakowa
przyjê³a

swojego estońskiego spowiednika, zauważyła w sobie wiele zmian, i

za większość z nich żywiła dlań wdzięczność. To, czy się w nim

zakochała, nie było istotne: pojawił się w sam porę, a jego piracka natura obudziła w niej chęć sprzeciwu wścieknie wtedy,

kiedy pragnienie owo niemal już wygasło. Rozpromieniła ją na nowo,

a miała w sobie wystarczająco dużo z podwórzowego kocura, żeby

przypomnieć jej zarówno Glikmana, jak i w ogóle mężczyznę; nigdy

nie była szczególnie cnotliwa. A w dodatku - myślała sobie - ponieważ Czarodziej jest przystojny, zna kobiety i wkracza w moje

życie uzbrojony w zdjęcie mojego ciemięcy z postanowieniem

zlikwidowania go - to byłoby po prostu nieskromności, jakem

samotna, stara wariatka, gdybym się w nim z miejsca nie zakochała.

Jednak bardziej niż czary imponowała jej jego powaga.
"Nie wolno pani niczego upiększać" - powiedziała z niezwykłym u niego ostrości¹, kiedy dla zabawy lub urozmaicenia pozwalała sobie odejść nieco od tej wersji zdarzeń, którą przedstawiła w liście do Generała. "Niech pani nie popełni błędu i nie sędzi, że niebezpieczeństwo minęło, tylko dlatego, że poczuła się pani swobodniej".

Przyrzekła się poprawiać.

"Niebezpieczeństwo jest absolutne - powiedziała na odchodnym.

- I nie leży w pani mocy zwiększyć je lub zmniejszyć".

Mówiono jej już niegdyś o niebezpieczeństwie, ale kiedy mówił o nim Czarodziej, uwierzyła mu.

- Czy niebezpieczeństwo zagraża mojej córce? - pytała. - Czy zagraża Aleksandrze?

- Pani córka nie odgrywa w tej historii żadnej roli. Może być pani pewna, że ona nic nie wie o tym, co się tutaj dzieje.

- A więc kto znajduje się w niebezpieczeństwie?

- My wszyscy, którzy znamy tę sprawę - odpowiedzia³ w momencie, kiedy Ostrakowa radośnie przyzwoli³a, żeby w drzwiach

choć raz padli sobie w objęcia. - A przede wszystkim pani.

A teraz, od trzech - a może dwóch? a może dziesięciu dni? - Ostrakowa mog³aby przysi¹c, że niebezpieczeństwo otacza ją niczym

armia cieni wokó³ 3oła ciemności. Niebezpieczeństwo absolutne; nie

leż^ao w jej mocy zwiększyć je lub zmniejszyć. I w ten sobotni

poranek spostrzeg³a je znowu, kiedy wymachuj¹c ciężk¹ torb¹, sz³a

pow³ócz¹c nogami w wypucowanych zimowych butach: znów ci sami

dwaj mę¹czy¹ni, cęledz¹cy j¹, choć to weekend. Twardzi mę¹czy¹ni.

Twardsi niż ten ry¹zy nieznajomy. Mę¹czy¹ni, którzy przesiaduj¹ w

centrali, przys³uchuj¹c się przes³uchaniom. I nie odzywaj¹ się

nigdy ani jednym słowem. Jeden z nich szedł pięć metrów za
niem,

drugi znajdował się po drugiej stronie ulicy, nieco z przodu, i w
tej właśnie chwili mijają wejście do sklepu tego próżniaka
Merciera, handlarza artykułami gospodarstwa domowego,
którego

zielono - czerwona markiza wisiała tak nisko, że stanowiła
zagrożenie nawet dla kogoś postury tak skromnej jak
Ostrakowa.

Z początku, kiedy odemili się ich spostrzec, powiedziały
sobie, że są to ludzie Generała. Było to w poniedziałek albo
może

w piątek? Generał Vladimir przysłał mi ochroniarzy, myślała
z

niemałym zdumieniem i na najbliższy niebezpieczny
poranek

obmyślała sobie przyjacielskie gesty, jakie wykona, aby
wyrazić

tym ludziom swój wdzięczność: pośle im żaskawie
porozumiewawcze

uśmiechy, kiedy nikt nie będzie widział; przygotowuje i zanieś
im

zupê, by pomóc im zabiæ czas, trawiony na czuwaniu w bramach.

Dwóch wielkich, potêżnych ochroniarzy dla jednej starej kobiety,

myœla³a Ostrakowa. Ostrakow mia³ racjê: Genera³ to prawdziwy

mêżczyzna! Drugiego dnia uzna³a, że oni w ogóle nie istniej¹ i że

jej pragnienie powo³ania ich do życia jest jedynie projekcj¹ pragnienia ponownego spotkania z Czarodziejem: szukam jakichœ

³¹cz¹cych mnie z nim wiêzi, myœla³a; nie potrafi³am siê zmusiaæ do

umycia kieliszka, z którego pi³ wódkê, ani do poprawienia poduszek, na których siedzia³, pouczaj¹c mnie o niebezpieczeństwie.

Ale trzeciego - a mo¿e by³o to pi¹tego dnia? - zajê³a inne, bardziej surowe stanowisko wobec swoich domniemanych obroñców.

Przesta³a udawaæ ma³¹ dziewczynkê. Ka¿dego dnia, kiedy wychodzi³a

rano z domu, żeby sprawdzić jak będzie dostawa do hurtowni,
opuszcza

z swych abstrakcji, wychodzi prosto na ulice Moskwy, które
a

za dobrze zapamięta z lat spędzonych z Glikmanem.
Sabo

oświetlona, brukowana droga była opustoszała, jedynie
dwadzieścia

metrów od jej domu stał jakiś czarny samochód.

Najprawdopodobniej zaparkował dosłownie przed chwilą.
Nieco

później Ostrakowej zdawało się, że widziała, jak samochód
staje;

przywiózł zapewne wartowników na służbę.

Staje raptownie, w momencie wtedy, gdy wychodziła. I gasi
światła.

Ruszyła śmiało chodnikiem. "Jest pani w
niebezpieczeństwie"

- powtarzała - w niebezpieczeństwie jesteśmy my wszyscy,
którzy

znamy tę sprawę".

Samochód jecha³ za ni¹.

Uważaj¹, że jestem kurw¹, pomyśla³a pysza³kowato, jedn¹
z

tych starszych, co to sprzedaj¹ swój towar wczesne rano.

Nagle jej jedynym zamiarem sta³o się wejść do
kościo³a.

Jakiegokolwiek.

Najbliższy kościół prawosławny znajdowa³ się o
dwadzieścia

minut drogi dalej; by³ tak maleńki, że modlitwa w nim
przypomina³a seans spirytystyczny - już sama bliskość
Ewangelii

Rodziny zapewnia³a odpuszczenie grzechów.

Ale dwadzieścia minut to ca³e życie. Kościołów innych
niż

prawosławne z zasady unika³a - by³y odstępstwem od jej
poczucia

przynależności narodowej.

Jednak tego ranka, gdy włók³ się za ni¹ samochód, odrzuci³a
swoje uprzedzenia i da³a nura do pierwszego napotkanego po
drodze

koecio³a, który okaza³ siê nie tylko katolicki, ale w dodatku nowoczesny. Ostrakowa wys³ucha³a wiêc dwukrotnie ca³ej mszy,

odprawionej w niepoprawnej francuszczyŹnie przez ksiêdza -

robotnika, cuchn¹cego czosnkiem, a nawet jeszcze gorzej.

Ale

kiedy wysz³a, mêt³czyzn nigdzie nie by³o widaæ i tylko to siê liczy³o - choæ po przyjœciu do hurtowni musia³a przyrzec, t³e

zostanie dodatkowo dwie godziny d³u³t³ej, t³eby naprawiaæ straty,

jakie wyrz¹dzi³a przedsiêbiorstwu, spóŹniaj¹c siê do pracy.

Potem przez trzy - a moŹe piêt³e dni - nie dzia³o siê nic.

Ostrakowa utraci³a zdolnoœæ liczenia zarówno pieniêdzy, jak i

czasu. Trzy dni czy piêt³e, nigdy nie istnia³y. To tylko

jej sk³onnoœæ do upiêt³szania, jak mówi³ Czarodziej, jej g³upi

obyczaj dostrzegania w rzeczach czegoœ wiêcej, spogl¹dania w oczy

zbyt wielu ludziom, nadawania wydarzeniom zbyt szerokiego

wymiaru. Aż do dzieła, kiedy tamci wrócili. Tylko że dzisiaj by³o

mniej wiêcej piêædziesi¹t tysiêcy razy gorzej, poniewa¿ dzisiaj by³o teraz, a ulica by³a tak pusta, jak ostatniego czy te¿ pierwszego dnia œwiata; cz³owiek, który znajdowa³ siê piêæ metrów

za ni¹, zbli¿a³ siê coraz bardziej, a przez ulicê przechodzi³ do niego mê¿czyzna stoj¹cy dotychczas pod oburzaj¹co niebezpieczn¹

markiz¹ Merciera.

To, co sta³o siê póŹniej, powinno by³o wedle znanych Ostrakowej opisów i wyobra¿eñ rozegraæ siê b³yskawicznie. Oto

dumnie idziesz sobie ulic¹, a tu po chwili w powodzi œwiata³ i jêku syren ktoœ unosi ciê na otoczony przez chirurgów w ró¿nokolorowych maskach stó³ operacyjny. Albo znajdujesz siê w

Niebie, przed obliczem Wszechmog¹cego, mamroczc jakieœ wymówki

dotyczące grzeszków, których tak naprawdę nie użyjesz; i -
jeżeli

Go w ogóle rozumiesz - których nie użyje także On. A w
najgorszym razie odzyskujesz przytomność i jako lekko
rann

odwoż cię do mieszkania, a nudna przyrodnia siostra
Walentyna

rzuca wszystko, robić wielką scenę, żeby przyjechać z Lyonu
i

bez ustanku zrzędziać nad tobą przy ójku. Żadna z tych
ewentualności nie okazała się prawdziwa.

To, co się stało, odbyło się z powolnością podwodnego
baletu. Mężczyzna, który zbliża się do niej, siedzi teraz po jej
prawej stronie, czyli znajduje się pomiędzy Ostrakow a
mijanymi

przez nią domami. W tej samej chwili człowiek, który
przeszedł

przez ulicę, pojawił się po jej lewej ręce, krocząc nie po
chodniku, lecz idąc rynsztokiem i ochlapując ją niechcący
wczorajszą deszczówką.

Zgodnie ze swoim feralnym zwyczajem spoglądania
ludziom w

oczy, Ostrakowa przyjrza³a siê nieproszonym towarzyszom i
ujrza³a

twarze, które pozna³a ju¿ kiedyœ i które zna³a na pamiêæ. To
oni

œcigali Ostrakowa, zabili Glikmana, i jej osobistym zdaniem
od

wieków mordowali naród rosyjski w imiê cara, Boga albo
Lenina.

Odwróci³a siê od nich i zobaczy³a, ¿e pust¹ ulic¹ w jej kierunku
posuwa siê wolno czarny samochód, który jecha³ ju¿ za ni¹
w

drodze do koœcio³a. Uczyni³a zatem to, co planowa³a uczyniæ
przez

ca³¹ noc, kiedy le¿a³a, czuwaj¹c i puszcza¹c wodze fantazji.

W³o¿y³a do torby stare ¿elazko z dusz¹, kawa³ z³omu, który
kupi³

kiedyœ Ostrakow - umieraj¹cy nieszczêœnik ubzdura³ sobie,
¿e

bêdzie mó³³ dorobiæ kilka franków na handlu starociami.
Torba

zrobiona by³a z mocnej skóry w zielono - br¹zowe ³aty.

Szarpnê³a

r¹czki i z ca³ej si³y zamachnê³a siê na id¹cego rysztkiem

mê¿czyznê, celuj¹c w krocze, w najbardziej znienawidzony punkt

jego cia³a. Mê¿czyzna zakl¹³ - nie us³ysza³a, w jakim jêzyku -i

opad³ na kolana. W tym miejscu jej plan zawiód³. Nie spodziewa³a

siê, ¿e tak¿e z jej drugiej strony znajdzie siê jakieœ bandzior, i

potrzebowa³a nieco czasu, aby odzyskaæ równowagê i zamierzyæ siê

ponownie na drugiego mê¿czyznê. Ten jednak nie pozwoli³ jej tego

uczyniaæ. Uj¹³ Ostrakow¹ niczym pêkaty worek, który w istocie

przypomina³a, po czym uniós³ w powietrze. Ujrza³a, jak torba

wypada z jej d³oni i us³ysza³a brzêk ¿elazka, spadaj¹cego na

pokrywê studzienki œciekowej. Wci¹¿ spogl¹daj¹c w dół, zobaczy³a

swe nogi, tañcz¹ce dziesiêæ centymetrów nad ziemi¹, jak gdyby

powiesi³a siê jak jej brat Niki, którego stopy wygl¹da³y dok³adnie tak samo, wsparte o siebie niczym stopy g³uptaka. Zauwa¿y³a, ¿e nosek jej lewego buta zosta³ zadrapany podczas walki.

Ramiona napastnika zacisnê³y siê jeszcze mocniej wokó³ jej piersi i Ostrakowa zastanawia³a siê, czy pêkn¹ jej ¿ebra, zanim siê udusi. Pocz³a, jak mê¿czyzna odci¹ga j¹ w ty³ i pomyœla³a, ¿e zamierza wrzuciæ j¹ do samochodu, który z du¿¹ szybkoœci¹ nadje¿dzi³a³ teraz ulic¹: s¹dzi³a, ¿e chc¹ j¹ porwaæ. Przerazi³o j¹ to przypuszczenie.

Nic poza œmierci¹ nie mierzi³o jej w tej chwili tak, jak myœl, ¿e te œwinie zabior¹ j¹ z powrotem do Rosji i tam wystawi¹ na powoln¹, doktrynaln¹, wiêzienn¹ œmieræ, która jej zdaniem z pewnoœci¹ zabra³a Glikmana. Wrywa³a siê z ca³ych si³, uda³o siê jej nawet ugryŹæ mê¿czyznê w rêkê. Ujrza³a kilku gapiów, równie

przerażonych jak ona. A potem zdała sobie sprawę, że samochód

wcale nie zwalnia i że ci ludzie mają zupełnie inne zamiary: nie chcą jej porwać; chcą ją zabić.

Mężczyzna rzucił ją.

Obróciła się, ale nie upadła, i kiedy auto skręciło nagle, żeby ją uderzyć, Ostrakowa podziękowała Bogu i

wszystkim świętym, że zdecydowała się w końcu założyć zimowe

buty, ponieważ przedni zderzak walił ją z tyłu w tyłki, a kiedy ponownie uderzała swoje stopy, znajdowały się na wysokości jej

twarzy, a nagie uda kobiety rozchyliły się jak do porodu.

Przez chwilę leciała w powietrzu, potem zderzyła się z ziemią wszystkim naraz - głową, kręgosłupem, piętami - a potem

toczyła się dalej po bruku niczym serdelek.

Samochód przejechał obok i Ostrakowa usłyszała, jak auto staje z piskiem opon; zastanawiała się, czy nie wrzucił wstecznego

biegu i nie przejad¹ jej znowu. Spróbowa³a się poruszyæ, ale by³a

zbyt senna. Dobieg³y j¹ jakieœ g³osy i trzask zamykanych drzwi

samochodowych, s³ysza³a te¿ oddalaj¹cy siê ryk silnika, a wiêc albo auto odje¿d¿a³o, albo traci³a s³uch.

- Nie dotykajcie jej - powiedzia³ jakieœ g³os.

Nie dotykajcie, pomyœla³a.

- To brak tlenu - us³ysza³a siebie. - Podnieœcie mnie na nogi i wszystko bêdzie w porz¹dku.

Dlaczego u licha powiedzia³a coœ takiego? A mo¿e to tylko

jej myœli?

- Aubergines - powiedzia³a. - Dajcie mi aubergines. Sama nie wiedzia³a, czy mówi o zakupach, czy o policjantkach drogowych,

które w gwarze paryskiej zwano w³acenie aubergines, czyli bak³a¿any.

Potem jakieœ kobiecie d³onie nakry³y j¹ kocem i rozpoczê³a siê gwa³towna galijska k³ótnia o to, co nale¿a³oby uczyniæ dalej.

Chcia³a zapytaæ, czy ktoœ zapamiêta³ numer rejestracyjny.
Ale

by³a naprawdê zbyt senna, ¿eby siê tym przejmowaæ, a poza
tym

brakowa³o jej tlenu, którego pozbawi³ j¹ ca³kowicie upadek.
Przed

jej oczami pojawi³ siê obraz postrzelonych ptaków,
widzianych

niegdycie na rosyjskiej wsi, trzepocz¹cych siê bezradnie na ziemi
i

czekaj¹cych, a¿ dopadn¹ je psy. Generale, pomysla³a, czy
otrzyma³

pan mój drugi list? Si³¹ woli odp³ywaj¹c w nieœwiadomoœæ
zmusza³a

i b³aga³a Genera³a, by go przeczyta³ i odpowiedzia³ na
zamieszczon¹ w nim gor¹c¹ proœbê.

Generale, niech¿e przeczyta pan mój drugi list.

Napisa³a go tydzieñ temu w chwili rozpacz¹. I w chwili
rozpacz¹ wys³a³a go wczoraj.

* * *

S¹ takie wiktoriańskie domy w pobliżu Paddington Station, które pomalowane na bia³o wygl¹daj¹ z zewn¹trz równie piêknie jak

luksusowe transatlantyki, natomiast w œrodku s¹ ciemne jak grobowce. Tamtego sobotniego poranka domy przy Westbourne Terrace

lœni³y równie jasno, jak wszystkie domy w okolicy, ale droga

wewnêtrzna wiod¹ca do budynku, w którym mieszka³ Vladimir,

zablokowana by³a z jednego koñca stosem gnij¹cych materacy, z

drugiego zaœ strzaskanym bomem, przypominaj¹cym s³up graniczny.

- Dziêkujê, wysi¹dê tutaj - powiedzia³ uprzejmie Smiley i odprawi³ taksówkê przy materacach.

Przyjecha³ prosto z Hampstead. Bola³y go kolana. Grecki kierowca zrobi³ mu podczas jazdy wyk³ad o Cyprze i Smiley z

grzeczności klęczą³ niemal na tylnym siedzeniu, żeby
dos³yszeæ

taksówkarza przez³oskot silnika.

Vladimir, powinniemy lepiej ciê traktowaæ, pomyœla³
przygl¹daj¹c siê zaœmieconym chodnikom i ubogiemu
praniu,

zwieszaj¹cemu siê z balkonów. Cyrk powinien okazaæ
wiêcej

szacunku swojemu pionowemu cz³owiekowi.

Sprawa dotyczy Piaskowego Dziadka, pomyœla³. Powiedz
mu, ¿e

mam dwa dowody i mogê je przynieœæ ze sob¹.

Wiedzia³, ¿e wczesnym rankiem³atwiej niepostrze¿enie
wyjœæ

z domu, ani¿eli wejœæ, szed³ wiêc powoli. Na przystanku
autobusowym uformowa³a siê niewielka kolejka. Mleczarz
i

gazeciarz rozpoczêli ju¿ swój obchód. Eskadra zawieszonych
w

lotach mew z wdziêkiem oczyszcza³a przepe³nione œmietniki.
Jeœli

mewy ci¹gn¹ do miasta, pomyśla³, to czy go³êbie polec¹ nad morze?

Przechodz¹c przez drogê wewnêtrzn¹, zobaczy³ jakieœ sto metrów

dalej motocyklistê parkuj¹cego swego rumaka z czarn¹, urzêdowo

wygl¹daj¹c¹ przyczep¹. By³o coœ w postawie tego cz³owieka, co

przypomina³o mu owego wysokiego pos³añca, który przyniós³ klucze

do mieszkania - nawet z daleka da³a siê w nim dostrzec podobna

niewzruszonoœæ; pe³na szacunku czujnoœæ niemal wojskowej natury.

Trac¹ce liœcie drzewa orzechowe ocienia³y kolumnow¹ klatkê

schodow¹, a Smiley obserwowa³ przezornie pokryty bliznami kocur.

W³acéciwy dzwonek znajdowa³ siê najwyzej z trzydziestu

pozosta³ych, Smiley jednak nie nacisn¹³ go, lecz pchn¹³ po prostu

dwuskrzyd³owe drzwi, które otworzy³y siê a¿ nazbyt ³atwo,
ods³aniaj¹c w œrodku identyczne, ponure korytarze,
pomalowane

bardzo b³yszcz¹c¹ farb¹, ¿eby dokuczyæ autorom graffiti. Dalej
bieg³y wy³o¿one linoleum schody, skrzypi¹ce niczym
szpitalny

wózek. Pamiêta³ to wszystko.

Nic siê nie zmieni³o i nic ju¿ siê nie zmieni. Nigdzie nie
by³o prze³icznika œwiata³ i na schodach robi³o siê tym
ciemniej,

im wy¿ej wchodzi³ Smiley. Dlaczego mordercy Vladimira nie
ukradli

mu kluczy? - zastanawia³ siê czuj¹c, jak z ka¿dym krokiem
uwieraj¹ go w udo. Byæ mo¿e nie by³y im potrzebne.

Byæ mo¿e mieli ju¿ swój w³asny komplet. Dotar³ na
pó³piêtro

i precysn¹³ siê obok luksusowego wózka dzieciennego.
Us³ysza³

wycie psa, poranne wiadomoœci w jêzyku niemieckim i odg³os
wody,

spuszczanej we wspólnej toalecie. Usłysza dziecko wrzeszczące
na

matkę, potem odgłos klapsa i wrzeszczącego na dziecko
ojca.

"Powiedz Maksowi, że sprawa dotyczy Piaskowego Dziadka".

Wokół unosi się zapach curry, taniego, smażonego tłuszczu i
środka dezynfekującego. Ale czuła by tak samo woń zbyt
wielu

niezamierzonych ludzi stoczonych w skłpej ilości powietrza. To
też

pamięta. Nic się nie zmieniło.

Nie doszłoby do tego, gdybyśmy go lepiej traktowali,
myśla

Smiley.

Zbyt łatwo zabija się lekceważonych, przyszedł mu do
głowy

nieświadomie zbłądła myśl z opinii Ostrakowej. Pamięta
dzień,

kiedy go tu przyprowadzili, proboszcz Smiley i Toby
Esterhase,

listonosz. Pojechali po niego na lotnisko Heathrow.

Wszechmocny

Toby, z niejednego pieca chleb jad³, jak sam o sobie mawia³.
Toby

pêdzi³ jak wiatr, ale nawet wtedy o ma³o siê nie spóŸnili.

Samolot juŸ wyl¹dowa³. Pognali ku barierce, a on juŸ tam
sta³: majestatyczny, srebrzyocie posiwia³y, góruj¹cy
nieruchomo

nad przep³ywaj¹cym obok niego pospólstwem w tymczasowym
korytarzu

wiod¹cym z hali przylotów.

Pamiêta³ ich namaszczony uœcisk: "Maks, stary
przyjacielu,

to naprawdê ty?" "To ja, z³czyli nas znowu". Pamiêta³, jak
Toby

ukradkiem prowadzi³ ich od ty³u rozleg³ymi korytarzami
urzêdu

imigracyjnego, poniewaŸ poirytowani francuscy policjanci
przed

deportacj¹ skonfiskowali staremu dokumenty.

Pamiêta³ wspólny lunch u Scotta, stary by³ tak
podekscytowany, Ÿe nie móg³ nawet piæ, ale za to
wspaniale

rozprawia³ o przysz³oœci, której, jak wszyscy wiedzieli, nie mia³: "Znów bêdzie jak w Moskwie, Maks. Mo¿e nadarzy siê nawet

okazja schwytania Piaskowego Dziadka". Nastêpnego dnia poszli

poszukaæ mieszkania, "¿eby daæ panu kilka mo¿liwoœci, Generale",

jak wyjaœni³ Toby Esterhase. By³o Bo¿e Narodzenie i bud¿et

przesiedleniowy zosta³ ju¿ wyczerpany. Smiley odwo³a³ siê do

Dzia³u Finansów Cyrku. Naciska³ Lacona i Departament Skarbu, ¿eby

przygotowaæ dodatkowy kosztorys, ale na pró¿no. "Haust

rzeczywistoœci sprowadzi go na ziemiê - oznajmi³ Lacon.

Wp³yñ na niego, George. Od tego jesteœ". Ich pierwszym haustem rzeczywistoœci by³ salon jakiejœ dziwki w Kensington,

drugim mieszkanie z oknami wychodz¹cymi na dworzec przetokowy

ko³o stacji Waterloo.

Westbourne Terrace by³ trzeci, i kiedy wchodzili na górê tymi samymi skrzypicymi schodami, Toby na czele, starzec zatrzyma³ siê nagle, odchyli³ sw¹ wielk¹, pokryt¹ sieci¹ ¿y³ek g³owê ku ty³owi i teatralnie zmarszczy³ nos: "Ach, wiêc jeeli zg³odniejê, wystarczy, ¿e stanê tylko w korytarzu, poci¹gnê nosem i od razu zaspokojê g³ód, oœwiadczy³ sw¹ niewyraŹn¹ francuszczyzn¹. W ten sposób bêdê móg³ nie jeœæ przez ca³y tydzieñ".

Nawet Vladimir zrozumia³ wtedy, ¿e idzie w odstawkê na dobre.

Smiley powróci³ do teraŹniejszoœci. Kontynuuj¹c sw¹ samotn¹

wspinaczkê zauwa¿y³, ¿e kolejne piêtro by³o niezwykle muzykalne.

Spoza jednych drzwi s³ychaæ by³o dŹwiêki puszczonej na ca³y

regulator muzyki rockowej, a zza drugich s¹czy³ siê Sibelius i zapach bekonu.

Smiley wyjrza³ przez okno i pomiêdzy drzewami orzechowymi

zobaczy³ dwóch krêc¹cych siê podejrzenie mêtczyzn, którzy musieli

pojawiaæ siê na dole ju¿ po jego przyjeŹdzie. Tak postêpuje zespó³, pomysla³. Zespó³ wystawia czujki, podczas gdy pozostali.

Wchodzi¹ do œrodka. Jaki to zespó³, to ju¿ inna kwestia.

Moskiewski? Zespó³ nadinspektora? Saula Enderbyego?

Nieco dalej siedz¹cy na swej maszynie wysoki motocyklista czyta³ zdobytego sk¹dœ brukowca.

Otworzy³y siê boczne drzwi i wysz³a z nich starsza kobieta w koszuli nocnej, trzymaj¹ca na ramieniu kota. Jeszcze zanim odezwa³a siê do niego, Smiley wyczu³ w jej oddechu zapach

wypitego wczoraj wieczorem alkoholu.

- Jesteœ w³amywaczem, kochasiu?

- Obawiam siê, ¿e nie - odpar³ Smiley ze œmiechem. - Po prostu goœciem.

- Mimo wszystko mi³o jest siê podobaa, prawda, kochasiu?

- Z całą pewnością - odrzekł uprzejmie Smiley.

Schody na ostatnim piętrze były strome i bardzo wąskie, oświetlone światłem wpadającym do środka przez odrutowane okienko

w nachylonej ukosie pości dachu. Na górze znajdowało się dwoje

drzwi; były zamknięte i bardzo wąskie. Na drzwiach na wprost

umieszczono wizytówkę: MR V.

MILLER, TŁUMACZENIA. Smiley przypomniał sobie kłótnię na

temat pseudonimu Vladimira, kiedy ten miał zostać londyńczykiem i

nie zwracał na siebie uwagi. Nazwisko "Miller" nie stanowiło

problemu. Z jakiejś przyczyny staremu Miller zdaje się przypadł

do gustu. "Miller, cest bien - zdecydował. Podobają mi się Miller,

Maks. Ale Mr był zupełnie do niczego.

Vladimir nastawał na Generała, potem obiecał zgodzić się na

Pu³kownika. Ale Smiley jako proboszcz okaza³ siê w tej kwestii

nieprzejednany: uzna³, że Mr oznacza o wiele mniej k³opotów niż

fa³szywy stopieñ w niew³acéciwej armii.

Zastuka³ æmia³o wiedz¹c, że delikatne pukanie wzbudza zainteresowanie czêœciej niż g³oœne. Odpowiedzia³o mu tylko echo

i nic wiêcej. Nie s³ysza³ kroków ani żadnego urwanego nagle

dŸwiêku. "Vladimir"! - zawo³a³ przez skrzynkê na listy jak stary

przyjaciel, który wpad³ z wizyt¹.

Spróbowa³ jednego klucza yale od kompletu i zamek zaci¹³ siê; spróbowa³ innego i ten zaskoczy³.

Smiley wszed³ do œrodka i zamkn¹³ drzwi czekaj¹c, a¿ otrzyma

uderzenie w ty³ g³owy, wola³ mieæ bowiem roztrzaskan¹ czaszkê niż

odstrzelon¹ twarz.

Krêci³o mu siê w g³owie i zda³ sobie sprawê, ¿e
powstrzymuje

oddech. Ta sama bia³a farba, zauwa¿y³; dok³adnie ta sama
wiêzienna pustka. Ta sama dziwna cisza, jak w budce
telefonicznej; ta sama mieszanina obcych zapachów.

Stalioemy tu, przypomniam³ sobie Smiley - w trójkê, tamtego
popo³udnia.

Toby i ja jak holownicy, ci¹gn¹ce miêdzy sob¹ stary
pancernik.

Mieszkanie na dachu - powiada³y papiery przedstawiciela
agencji handlu nieruchomoœciami.

- Beznadziejne - oœwiadczy³ swoj¹ wêgiersk¹
francuszczyzn¹

zawsze zabieraj¹cy g³os jako pierwszy Toby Esterhase, który
odwróci³ siê, ¿eby otworzyæ drzwi i wyjœæ. - Znaczy to jest
po

prostu straszne. Znaczy powinienem by³ tu najpierw przyjœæ
i

wszystko obejrzeæ, idiota ze mnie -powiedzia³ Toby, gdy
Vladimir

sta³ wci¹¿ nieporuszony. - Generale, proszê przyj¹æ moje

przeprasiny. To po prostu obraŹliwe.

Smiley dorzuci³ parê s³ów otuchy od siebie: - Wystaramy ci siê o coœ znacznie lepszego, Vladi; musimy tylko zachowaæ cierpliwoœæ.

Ale wzrok starca utkwiony by³ w oknie, tak jak teraz wzrok Smileya, patrz¹cego na rozkwitaj¹cy za parapetem szalony las kalenic, kominów i spadzistych dachów. I nagle Vladimir opuœci³

sw¹ ciê¹ k¹ ³apê w rêkawiczce na ramiê Smileya:

- Lepiej zachowaj pieni¹dze, Źeby strzelaæ do tych œwiñ w Moskwie, Maks - poradzi³.

Ze sp³ywaj¹cymi mu po policzkach ³zami i z tym samym

zdecydowanym ucemiechem Vladimir nadal wpatrywa³ siê w moskiewskie

kominy; i w swoje gasn¹ce marzenia o ponownym Źyciu pod rosyjskim

niebem.

- On reste ici - zakomenderowa³ wreszcie, jak gdyby zajmowa³

pozycje obronne w ostatnim okopie.

Wzd³u¿ jednej œciany ustawiona by³a maleñka otomana,

kuchenka sta³a na parapecie. Smiley pozna³ po zapachu szpachlówki, ¿e stary sam odnawia³ mieszkanie, zamalowuj¹c

wilgotne plamy i wype³niaj¹c dziury w œcianach.

Na stole, przy którym jad³ i pisa³, znajdowa³ siê stary remington i dwa sfatygowane s³owniki. Robota translatorska,

pomyœla³: tych parê dodatkowych groszy, tucz¹cych jego pensjê.

Smiley wyprostowa³ siê na ca³¹ swoj¹ skromn¹ wysokoœæ i zacz¹³

odprawiaæ tak dobrze mu znane ceremonie ¿a³obne nad zmar³ym

szpiegiem.

Na sosnowej komódce ko³o ³ó¿ka le¿a³a estoñska Biblia. Smiley najpierw sprawdzi³, czy nie wyciêto w jej stronicach jakichœ otworów, a potem potrz¹sn¹³ ksi¹¿k¹ do góry nogami w

poszukiwaniu skrawków papieru albo fotografii.

Wyci¹gn¹wszy szufladê komódki znalaz³ w niej fiolkê patentowych pastylek na odm³odzenie steranych seksem osób i trzy

czerwonoarmiejskie odznaczenia za odwagê, przymocowane do

chromowego prêta. No to tyle, jeżeli idzie o jego incognito, pomysla³ Smiley i zastanawia³ siê, jak u licha Vladimir i jego liczne kochanki radzili sobie na tak maleńkim ³óku. U wezg³owia

wisia³a rycina, przedstawiaj¹ca Marcina Lutra, obok kolorowy

obrazek zatytu³owany "Czerwone dachy starego Tallina", który

Vladimir musia³ wyci¹æ z jakiegoœ pisma i nakleia^æ na kawa³ek

tektury. Kolejny obraz przedstawia³ wybrze³e Kazari, a trzeci wiatraki i ruiny zamku. Smiley zajrza³ za ka³dy z nich. Jego uwagê zwróci³a lampka nocna. Nacisn¹³ prze³¹cznik, a ponieważ nie

zapali³o siê œwiat³o, wy³¹czy³ lampkê z kontaktu, wykrêci³

żarówkę i zaczął grzebać w drewnianej podstawie, ale bez rezultatu. Przepaliła się żarówka, pomyślał.

Przerzucił, nieoczekiwany krzyk nakazał mu rzucić się pod

cecianę, ale kiedy się pozbierał, zrozumiał, że to tylko kolejne stado tych lądowych mew: okoliczne kominy obsiadła cała kolonia

ptaków. Przechylił się przez parapet i wyrzucił znów na ulicę. Dwa

podejrzane typy zniknęły. Idź na górę, pomyślał: już nie mam nad

nimi przewagi. To wcale nie są policjanci, pomyślał; to mordercy.

Motocykl z czarną przyczepą stał porzucony przez kierowcę.

Zamknij okno, rozmyślaj o tym, czy istnieje jakaś specjalna

valhalla dla umarłych szpiegów, gdzie Vladimir i on mogliby się

spotkać i wszystko naprawić; wmawia sobie, że dłużej żyć i że ta

chwila jest równie dobra, jak każda inna, żeby skończyć życie.

Ale ani przez chwilę w to nie wierzy³.

Szuflada sto³u mie³oci³a kartki czystego papieru, zszywacz, obgryziony o³ówek, kilka gumek aptekarskich i nie zap³acony

rachunek telefoniczny za ostatni kwarta³ na siedemdziesi¹t osiem

funtów, co by³o sum¹ dziwnie wysok¹, zwa³żywszy skromny poziom

życia Vladimira. Otworzy³ zszywacz i nic w nim nie znalaz³.

Rachunek w³o³ży³ do kieszeni, żeby go pó³żniej przejrzeć, i szpera³

dalej, choć wiedzia³, że prawdziwe przeszukanie zaj³ęby trzem

ludziom kilka dni, zanim mogliby stwierdzić z pewnością, i³

odnale³li to, co by³o do odnalezienia. Jeżeli szuka³ czegoś szczególnego, to może notatnika z adresami albo pamiętnika, albo

czegoś, co jako pamiętnik s³u³ży³o, choćby mia³ to być jedynie

skrawek papieru. Wiedzia³, że starzy szpiecy, nawet ci najlepsi,

zachowywali się czasem jak starzy kochankowie; zaczęli się z

wiekami oszukiwać w obawie, że opuszczają ich siły.

Udawali, że wszystko pamiętają¹, ale potajemnie usiłowali zachowywać swoje męskie charaktery i potajemnie robili sobie

notatki, czasami jakimś domowym szyfrem, tak jakby nie wiedzieli,

że rozwiązanie go jest kwestią¹ godzin lub minut dla każdego, kto

zna się na tej zabawie. Nazwiska i adresy³¹ czników, subagencji.

Nie istniało dla nich nic nowego. Procedura kontaktowa, miejsca

i godziny spotkań, pseudonimy, numery telefonów, nawet kombinacje

do sejfów zapisywane jako numery kart ubezpieczeniowych albo daty

urodzin. W swoim czasie Smiley widział³, jak narażano w ten sposób

całe siatki, ponieważ jakiego agent nie ośmia³ już dłużej ufać swojej górze. Nie wierzył³, żeby Vladimir tak postąpił³, ale

kiedyœ musia³ byæ przecie¿ pierwszy raz.

"Powiedz mu, ¿e mam dwa dowody i mogê przynieœæ je ze sob¹...".

Sta³ w pomieszczeniu, które starzec zapewne nazwa³by sw¹

kuchni¹: kuchenka na parapecie, w³asnej roboty maleñka spi¿arka z

otworami wentylacyjnymi. My, mê¿czyŹni, którzy sami sobie

gotujemy, jesteœmy na wpó³ zwierzêtami, myœla³ Smiley,

przegl¹daj¹c obie pó³ki, wyci¹gaj¹c patelniê i rondel, myszkuj¹c poœród papryki i tureckiego pieprzu. W ka¿dym innym miejscu w

mieszkaniu - nawet w ³ó¿ku - mo¿na odci¹æ siê od œwiata, czytaæ

ksi¹¿ki, k³amaæ, ¿e samotnoœæ jest najlepsza. Ale w kuchni oznaki

ludzkiej nie-samowystarczalnoœci s¹ wyj¹tkowo przeraŹliwe. Pó³

bochenka razowego chleba.

Pó³ p^êta taniej kie³basy. Pó³ cebuli. Pó³ litra mleka. Pó³ cytryny. Pó³ paczki herbaty. Pó³ Źycia. Otwiera³ wszystko, co da³o si^ê otworzyæ, sondowa³ nawet palcem papryk^ê. Znalaz³ gdzieœ

obluzowany kafelek i oderwa³ go zupe³nie, odkr^êci³ teŹ drewnian¹

r¹czk^ê patelni. W³acenie mia³ otworzyæ szaf^ê, kiedy znów si^ê

zatrzyma³, jakby nas³uchiwa³, ale tym razem powstrzyma³o go coœ,

co zobaczy³, nie coœ, co us³ysza³.

Na spiŹarce leŹa³ ca³y karton gauloises caporal, ulubionych papierosów Vladimira, kiedy nie móg³ akurat dostaæ swoich

rosyjskich. Z filtrem, zauwaŹy³, czytaj¹c rozmaite napisy. Wolne

od c³a. Filtre. Exportation i made in France. Pude³ka w celofanie. Wzi¹³ je do rêki. Brakowa³o jednej paczki z dziesi^êciu. W popielniczce leŹa³y trzy pety tego samego gatunku.

A w powietrzu, teraz, kiedy poci¹gn¹³ nosem, unosi³ si^ê poza

zapachem jedzenia i szpachlówki w¹t³y aromat francuskich papierosów.

I ¹żadnych papierosów w kieszeni, przypomni³ sobie Smiley.

Trzymaj¹c w d³oniach niebiesk¹ paczkê i obracaj¹c j¹ wko³o, próbowa³ poj¹æ, co ona oznacza. Instynkt - a mo¹że raczej jakie³

podskórny zmys³, który mia³ siê dopiero uzewnêtrzniæ - sygnalizowa³ natarczywie, że z tymi papierosami jest chyba co³

nie tak. Nie chodzi³o o ich wygl¹d. Nie chodzi³o o to, że s¹ wypchane mikrofilmami, materia³ami wybuchowymi, kulami dum - dum

czy podobnymi zabawkami.

By³o po prostu co³ dziwnego w tym, że le¹ sobie tutaj, w³acenie tutaj i nigdzie indziej. Cewie¹utkie, nie zakurzone, brak

jednej paczki, trzy papierosy wypalone.

I ¹żadnych papierosów w kieszeni.

Pracowa³ teraz szybciej, pragn¹³ ju¹ wyjœæ. Mieszkanie znajdowa³o siê za wysoko. By³o za puste i prze³adowane. Narasta³o

w nim poczucie, że coś jest nie w porz¹dku. Dlaczego nie odebrali

mu kluczy? Otworzy³ szafê. By³y w niej zarówno ubrania, jak i

papiery, ale ani jednych, ani drugich Vladimir nie mia³ zbyt wiele. Papiery stanowi³y g³ównie odbite na powielaczu pisemka w

jêzyku rosyjskim, angielskim i, jak przypuszcza³ Smiley, w jednym

z jêzyków ba³tyckich. Odkry³ te¿ teczkê z listami z dawnej kwatery g³ównej Grupy w Paryżu oraz plakaty z napisami:

PAMIÊTAJCIE O ŁOTWIE, PAMIÊTAJCIE O ESTONII,
PAMIÊTAJCIE O

LITWIE, przeznaczone zapewne do uż³ytku podczas publicznych

demonstracji. Ponadto Smiley znalaz³ pude³ko żó³tej kredy, brakowa³o kilku kawa³ków. I ukochan¹ kurtkê Vladimira, która

zsunê³a siê z wieszaka i leża³a na pod³odze. Byæ może spad³a,

kiedy Vladimir zbyt gwa³townie zatrzasn¹³ szafê.

Ale Vladimir, on, taki próżny? - myśla³ Smiley. Tak dbaj¹cy o swój wojskowy wygl¹d? A porzuca w nie³adzie swój¹ najlepsz¹ kurtkê na pod³odze w szafie.

A może to jakæ bardziej nieuważna d³oñ zapomnia³a odwiesiaæ

j¹ z powrotem?

Smiley podniós³ kurtkê, obszuka³ kieszenie, a potem powiesi³

j¹ w szafie i z hukiem zamkn¹³ drzwi, żeby zobaczyæ, czy spadnie.

Spad³a.

Nie zabrali kluczy, nie przeszukali mieszkania, myśla³.

Zrewidowali Vladimira, ale zdaniem nadinspektora przeszkodzono im.

"Powiedz mu, że mam dwa dowody i mogê je przynieœæ ze sob¹".

Powróci³ w okolice kuchni i stan¹wszy przed spiżark¹ ponownie przygl¹da³ siê z uwag¹ leż¹cej na górze niebieskiej paczce. Potem zajrza³ jeszcze do kosza na zbêdne papiery. Potem

znów do popielniczki, staraj¹c się wszystko zapamiêtaæ. Potem do

kub³a na œmieci, licz¹c na to, ¿e tam mo¿e w³acenie znajduje siê

pognieciona paczka papierosów, której brakowa³o w kartonie.

Nie by³o jej w œmieciach, co nie wiadomo czemu sprawi³o mu

przyjemnoœæ.

Pora wracaæ.

Ale na razie nie wychodzi³, jeszcze nie teraz. Jeszcze przez kwadrans nastawiaj¹c uszu, Smiley ry³ i sondowa³, podnosi³ i przestawia³ ró¿ne przedmioty, poszukuj¹c jakiejœ obluzowanej

klepki albo swej ulubionej wnêki za pó³kami. Ale tym razem nie

pragn¹³ niczego znaleŹæ. Chcia³ tylko potwierdзиа nieobecnoœæ

czegoœ. Dopiero wtedy, kiedy w miarê mo¿liwoœci nabra³ ju¿

odpowiedniego przekonania, wyszed³ cicho na schody i zamkn¹³ za

sob¹ drzwi. Piêtro niżej napotka³ pomocnika listonosza z opask¹

Poczty G³ównej na rêkawie, wy³aniaj¹cego siê z bocznego korytarza. Smiley delikatnie z³apa³ go za ³okieæ.

- Jeceli ma pan coœ do mieszkania 6B, to mogê oszczêdziæ panu

wspinaczki - powiedzia³ uniżenie Smiley.

Listonosz pogmera³ w torbie i wydoby³ z niej br¹zow¹ kopertê. Stempel by³ paryski, sprzed piêciu dni, z piêtnastej dzielnicy. Smiley wsun¹³ kopertê do kieszeni. Na kolejnym piêtrze

znajdowa³y siê drzwi, zaopatrzone w otwieran¹ jedynie od wewn¹trz

zapadkê. Prowadzi³y na schody przeciwpoz¹arowe.

Smiley zapamiêta³ je sobie, id¹c na górê. Drzwi pchniête ust¹pi³y i Smiley zszed³ po paskudnych, betonowych schodach,

przechodz¹c dalej przez wewnêtrzny dziedziniec w kierunku

opustosza³ych bloków i rozmyœlaj¹c nadal o nurtuj¹cym go

niedopatrzaniu. Dlaczego nie przeszukali jego mieszkania?

-myśla³. Centrum Moskiewskie, jak każda duża biurokratyczna

organizacja, ma ustalone metody działania. Decydujesz się zabić

człowieka. A zatem obstawiasz jego dom, obstawiasz trasę jego

powrotu, wysy³asz zespół³, mający dokonać zabójstwa i mordujesz

go. Oto klasyczny sposób. A zatem dlaczego nie przeszukać także

jego mieszkania? Pokoju Vladimira, kawalera, mieszkającego w domu

bez przerwy rojącym się od obcych? Dlaczego nie wysłali ludzi,

kiedy wyszedł³? Ponieważ wiedzieli, że ma to przy sobie, pomyśla³

Smiley. Skąd to pobię³ne, zdaniem nadinspektora, obszukanie

cia³a?

Przypuścimy, że nikt im nie przeszkadza³, więc może znaleźli

to, czego szukali?

Przywo³a³ taksówkê i poda³ kierowcy adres:

- Bywater Street w Chelsea proszê, gdzieœ przy Kings Road.

JedŸ do domu, myœla³. WeŸ k¹piel, przemyœl to sobie.

Ogól

siê.

Powiedz mu, Ÿe mam dwa dowody i mogê je przynieœæ ze sob¹.

Naraz Smiley pochyli³ siê do przodu, zastuka³ w oddzielaj¹c¹ go od kierowcy szybê i rzuci³ mu inny adres. Gdy zawracali, jad¹cy za nimi wysoki motocyklista z piskiem opon zatrzyma³

pojazd, zszed³ z siode³ka i z namaszczeniem wmanewrowa³ swój

wielki czarny motor z przyczep¹ na biegn¹cy w przeciwnym kierunku

pas ruchu. Lokaj, pomyœla³ obserwuj¹cy go Smiley.

Lokaj tocz¹cy wózek z herbat¹. Zgiêty w ³uk motocyklista z rozpostartymi ³okciami jecha³ za nimi niczym oficjalna eskorta na

obrzeżach Camden Town i dalej na wzgórze, wciż
zachowujc

przepisow¹ odleg³oœæ. Taksówka stanê³a, Smiley pochyli³ siê,
żeby

zap³aciæ. I wtedy ciemna postæ z wyci¹gniêtym ramieniem o
piêæci

zaciœniêtej w wojskowym pozdrowieniu przedefilowa³a
uroczyœcie

obok nich.

* * *

Sta³ u wylotu alei, przypatruj¹c siê szeregom buków, które
niczym ustêpuj¹ca pola armia odsuwa³y siê od niego, pogr¹żaj¹c
we

mgle. Ciemnoœæ odesz³a niechêtnie, pozostawiaj¹c za sob¹
domowy

pó³mrok. W³aœciwie móg³by już zapacææ zmierzch; pora
podwieczorku

w starym, wiejskim domu.

Latarnie po obu stronach drogi paliły się jak w tęczowej ciemności i nie oświetlały niczego. Powietrze było ciepłe i ciężkie. Smiley spodziewał się, że będzie tu jeszcze policja i odgradzony teren. Spodziewał się dziennikarzy i ciekawskich gapiów. To się w ogóle nie stało, powiedziało sobie, ruszając w górę zboczem wzgórza. Ledwie stądnął odszedł, a Vladimir z łaską w dłoni wesoło dźwignął się na nogi, starł z twarzy ohydny makijaż i oddalił się w podskokach wraz z kolegami aktorami na kufel piwa w komisariacie policji.

Z łaską w dłoni, powtórzył Smiley, przypominając sobie coś, co powiedział mu nadinspektor. W lewej czy prawej dłoni? Na lewej ręce też ma złoty pierścionek, powiedział pan Murgotroyd w furgonetce. Na kciuku, na wskazującym i na środkowym. Szedł dalej, aleja wokół ciemniała i gęstniała mgła.

Dwadzieścia metrów wyżej brzoze słońce tliło się wolno
niczym

ognisko w swoim własnym dymie. Ale tu, na dole w kotlinie,
zbiła

się zimna i gęsta mgła, a Vladimir był mimo wszystko martwy
jak

gaz. Zobaczył ślady opon tam, gdzie parkowały
samochody

policyjne. Dostrzegł brak zeschniętych liści i nienaturalnie czysty
żwir. Co oni zrobili? - pomyślał. Spukali go wodą? Zmiotli
liście do plastikowych worków?

Zmęczenie ustąpiło nieobecnej dotąd i zagadkowej jasności
umysłu.

Szedł dalej alej, życzył Vladimirowi dobrego dnia i dobrej
nocy, wcale nie czując się z tego powodu jak głupiec, i myślał
intensywnie o kredzie, francuskich papierosach oraz
Regulacjach

Moskiewskich, szukał jednocześnie blaszanego pawilonu w
pobliżu

boiska. Rozważ wszystko po kolei, powtarza sobie.

Rozważ wszystko od początku. Zostaw gauloises na półce.

Dotar³ do miejsca, w którym przecina³y siê œcie¿ki i
przekroczy³

je, id¹c wci¹¿ pod górê. Po jego prawej rêce pojawi³y siê s³upki
bramek, a dalej za nimi zielony pawilon ze skorodowanej
blachy

¿elaznej, najprawdopodobniej pusty. Ruszy³ wszere boiska,
woda

przeleka³a mu do butów. Z ty³u za domkiem bieg³ stromy
nasyp

ziemny, pobru¿d¿ony dzieciêcymi œlizgawkami w b³ocie.
Smiley

wspi¹³ siê na nasyp, zanurzy³ w zagajnik i wspina³ siê wy¿ej.

Mg³a nie wdar³a siê pomiêdzy drzewa i skończy³a siê, gdy
tylko

Smiley stan¹³ nad urwiskiem.

Nadal nikogo nie by³o widaæ. W drodze powrotnej zszed³
do

pawilonu przez lasek. Pawilon okaza³ siê po prostu
zwyk³ym

pude³kiem z blachy, otwartym z jednej strony na boisko.
Jedyny

mebel stanowi³a tu twarda, drewniana ³awa, pociêta no¿ami i

zdobiona wyrzniętymi w deskach napisami, a jedynym lokatorem by³a

wyci¹gniêta na ³awie, twarz¹ do ziemi, jakœ postac z kocem na

g³owie i wystaj¹cymi spod niego z drugiej strony butami.
Smiley

by³ ciekaw, czy i ten cz³owiek ma odstrzelon¹ twarz. Dach podtrzymywa³y dÿwigary, a ³uszcz¹c¹ siê zielon¹ farbê o¿ywia³y

szczerze wyznania natury moralnej:

"Punk niszczy. Spo³eczeñstwo go nie potrzebuje". To stwierdzenie kosztowa³o go chwilê wahania. Ale¿ potrzebuje,

chcia³ odpowiezieæ Smiley; spo³eczeñstwo jest zwi¹zkiem ró¿nych

mniejszoœci. Pineska znajdowa³a siê dok³adnie tam, gdzie pozostawi³ j¹ Mostyn, na wysokoœci g³owy doros³ego cz³owieka,

wpiêta wedle najlepszych zasad obowi¹zuj¹cego w Sarratt porz¹dku.

Mosiê¿ny ³epek jej Cyrkowego egzemplarza pozosta³ równie

nowy i nie zauważony jak ch³opak, który j¹ tam umieœci³.

"IdŸ na spotkanie, mówi³, nie ma ¿adnego niebezpieczeñstwa".

Regu³y Moskiewskie, pomys³a³ znów Smiley. Moskwa, gdzie

wys³anie listu na bezpieczny adres mog³o zaj¹æ agentowi trzy dni.

Moskwa, gdzie wszystkie mniejszoœci s¹ punkowe.

"Powiedz mu, ¿e mam dwa dowody i mogê je przynieœæ ze sob¹".

Kredowe potwierdzenie odbioru przez Vladimira bieg³o blisko

pieski; wij¹ca siê jak robak po ca³ym s³upie ¿ó³ta odpowiedŸ.

Mo¿e stary niepokoi³ siê deszczem, pomys³a³ Smiley. Mo¿e obawia³

siê, ¿e woda rozmyje jego znak.

A mo¿e w zdenerwowaniu przycisn¹³ kredê zbyt mocno, tak jak

zostawi³ swoj¹ kurtkê, le¿¹c¹ na pod³odze. "Spotkanie albo nic... powiedzia³ Mostynowi -... Dzieœ wieczorem albo nic... Powiedz mu,

„Je mam dwa dowody i mogę je przynieść ze sobą...” Mimo wszystko

tylko ktoś szalenie spostrzegawczy mógłby zauważyć pineskę czy

też ów óty znak, choć by on tak wyraźny.

Ale nawet wtedy nie powinno to wzbudzić niczyich podejrzeń,

ponieważ w Hampstead Heath ludzie nieustannie zostawiają sobie w

podobny sposób bileciki i różne wiadomości, i nie każdy z tych

ludzi okazuje się szpiegiem.

Czasem to dzieci, czasem wóczędzy, czasem osoby wierzące

w Boga albo organizatorzy charytatywnych wycieczek, czasem

ludzie, którym zginęło jakieś zwierzę, a czasem ci, którzy szukają zniszczenia w miocie i muszą ogłaszać swoje potrzeby

ze szczytu wzgórza. I w żadnym wypadku nie wszystkim z nich

odstrzela się twarzą z bardzo bliskiej odległości zabójczą bronią

Centrum Moskiewskiego.

A jaki by³ cel potwierdzenia odbioru? Kiedy Smiley z za
londyńskiego biurka odpowiada³ ca³kowicie za sprawę
Vladimira,

opracowano w Moskwie specjalne znaki dla agentów,
mog¹łych w

każdej chwili znikn¹æ: by³y to ga³zki krzewów z³amane na
œcieżce, która zawsze mog³a okazaæ siê ostatni¹ drog¹ tych
szpiegów. Nie widzê niebezpieczeństwa i zgodnie z
instrukcj¹

zd¹żam na umówione spotkanie - brzmia³a ostatnia i tak
feralnie

nieprawdziwa wiadomoœæ Vladimira dla œwiata Źywych.

Opuœciwszy blaszany domek, Smiley cofn¹³ siê nieco
wzd³uż

drogi, któr¹ przyszed³. Skrupulatnie odtwarza³ w myœlach
podan¹

mu przez nadinspektora rekonstrukcjê ostatniej wycieczki
Vladimira, wykorzystuj¹c przy tym swoj¹ pamiêæ niczym
archiwum.

- Te kalosze to dar od Boga, panie Smiley - oœwiadczy³

nabożnie nadinspektor - firma North British Century, podeszwa
w

romby, sir, i prawie nie używane. Gdyby było trzeba, można by
go

śledzić nawet w tłumie kibiców piłkarskich. - Podam
panu

oficjalną wersję - dodał szybko nadinspektor, ponieważ mieli
mało

czasu. - Gotów, panie Smiley?

- Gotów - powiedział Smiley.

Nadinspektor zmienił ton. Rozmowa to jedno, a dowody
drugie.

W trakcie swoich wywodów co jakiś czas oświetlał latarką
wilgotny

żwir na odgrodzonym linami obszarze. Wykładał z użyciem
latarni

magicznej, pomysłał Smiley; w Sarratt robiłby notatki.

- Jest tu, teraz schodzi ze wzgórza, sir. Widzi pan?

Normalny krok, wdzięczne ruchy palców i pięt, wszystko jasne
jak

na dłoń. Widzi pan, panie Smiley?

Pan Smiley widzia³.

- A ten celad laski, sir, widzi pan, trzyma³ j¹ w prawej r^êce?

Smiley zobaczy³ i to, Ÿe obita gum¹ laska pozostawia³a przy co drugim kroku g³êboki otw³or w ziemi.

- Ale kiedy go zastrzelono, lask^ê trzyma³ oczywi^æcie w lewej d³oni, prawda? Pan teŸ to zauwaŸy³, sir, jak uda³o mi si^ê spostrzec. Czy wie pan przypadkiem, któr¹ nog^ê mia³ chor¹, sir, jeœli w og³ole mia³ jakieœ problemy z nogami?

- Praw¹ - powiedzia³ Smiley.

- Ach. Zatem najprawdopodobniej nosi³ zwykle lask^ê u prawego boku.

Prosz^ê tu, na d³o³, t^êdy, sir. Prosz^ê spojrze^æ, wci¹Ÿ id¹c normalnie - doda³ nadinspektor, w zdenerwowaniu pope³niaj¹c

niezwyk³y w jego ustach gramatyczny b³d. Jeszcze przez pi^êæ

krok³ów regularne romboidalne celady bieg³y nie naruszone w blasku

latarki nadinspektora. Teraz, przy świetle dziennym, Smiley dostrzega ledwie ich smętne pozostałości. Zatar je deszcz, ślady innych stóp i ślady opon bezprawnie przejeżdżających wtedy rowerzystów.

Ale noc¹, podczas latarniowego przedstawienia nadinspektora,

Smiley widział je wyraźnie, tak wyraźnie jak owinięte w plastik

ciasto, leżące w kotłowni poniżej, gdzie ślad się urywał.

- Tak - oświadczył z zadowoleniem nadinspektor i zatrzymał

się, a stojek światła latarki spoczył na kawałku rozoranej ziemi.

- Mówi pan, że w jakim on jest wieku, sir? - zapytał nadinspektor.

- Nic nie mówię, ale przyznawa się do sześćdziesięciu dziewięciu.

- I pewnie do przebytego niedawno ataku serca, jak mniemam.

Tak, sir.

A więc najpierw przystan¹³. Raptownie. Proszę mnie nie

pytaæ, dlaczego, mo¿e ktoœ go zaczepi³. Ja s¹dzê, ¿e coœ us³ysza³. Za plecami. Proszê zwróciæ uwagê, jak skraca siê krok,

proszê zwróciæ uwagê na u³o¿enie stóp w chwili, kiedy wykonywa³

pó³obrót, ogl¹da³ siê przez ramiê czy coœ w tym rodzaju.

W ka¿dym razie odwraca siê, dlatego powiedzia³em za plecami.

I cokolwiek zobaczy³ czy te¿ nie, cokolwiek us³ysza³ czy te¿ nie

- postanawia bieç. I rusza, niech pan popatrzy. - Nadinspektor zachêca³ Smileya z niespodziewanym entuzjazmem sportowca. -

Szerszy krok, piêty prawie wcale nie dotykaj¹ ziemi. Zupe³nie inny œlad, biegnie ile si³. Widaæ nawet, gdzie odpycha³ siê lask¹, ¿eby zyskaæ dodatkowe oparcie.

Przygl¹daj¹c siê œladom przy œwietle dziennym, Smiley nie

mia³ ¿adnej pewnoœci, ¿e widzi gwa³towne, rozpaczliwe znaki

gumowej ga³ki, wrzynaj¹cej siê w ziemiê wpierw pionowo,
potem pod

k¹tem, ale widzia³ je wczorajszego wieczora - a w myœlach
ogl¹da³

je ponownie dziœ rano.

- Problem polega na tym - zauwa³y nadinspektor,
przybieraj¹c ponownie styl mówcy na sali s¹dowej - ¿e to, co
go

zabi³o, znajdowa³o siê z przodu, prawda? Wcale nie z ty³u.

I tak, i nie, myœla³ teraz Smiley, posiadaj¹cy przewagê
minionych godzin. Podprowadzili go, pomyœla³, próbuj¹c
bezskutecznie przypomnieæ sobie, jak nazywano tê technikê
w

gwarze Sarratt. Znali trasê Genera³a i podprowadzili go.
Straszak

z ty³u pêdzi obiekt przed siebie, a nie zauwa³ony strzelec krêci
siê z przodu czekaj¹c, a¿ obiekt sam wpadnie mu w rêce. Bo i
mordercze zespo³y Centrum Moskiewskiego zna³y tê prawdê, i¿
nawet

najbardziej doœwiadczeni agenci godzinami obawiaj¹ siê o
swoje

plecy, o boki, o przejeżdżaj¹ce i nie przejeżdżaj¹ce samochody, o ulice, przez które przechodz¹, i o domy, które odwiedzaj¹. Ale w

decyduj¹cej chwili nie udaje im się rozpoznać niebezpieczeństwa,

zagl¹daj¹cego im prosto w twarz.

- Wci¹ż biegnie - powiedzia³ nadinspektor, posuwaj¹c się stopniowo w dó³ wzgórza i podchodz¹c do cia³a. - Widzi pan, że

jego krok wyd³uż¹a się nieco, ze wzglêdu na wiêksze nachylenie

zbcza? Staje się też chaotyczny, widzi pan? Nogi rozbiegaj¹ mu

się we wszystkie strony. Biegnie o życie.

Dos³ownie. A laskê trzyma ci¹gle w prawej d³oni. Widzi pan,

jak się teraz krêci, im bliż¹ej urwiska? Straci³ orientacjê, i nic dziwnego. Otóż w³acenie.

Proszê to wyjaœniaæ, jeżeli pan potrafi Œwiat³o latarki pad³o na plamê kilku zbitych ko³o siebie œladów, piêciu lub szeœciu, na

bardzo małej przestrzeni, na skraju trawnika, pomiędzy dwoma

wysokimi drzewami.

- Znowu przystan¹³ - oznajmi³ nadinspektor. - No, może niezupełnie, może po prostu się waha³. Niech mnie pan nie pyta, dlaczego. Może tylko Ÿle st¹pn¹³.

Może ba³ się znaleźć tak blisko drzew. Może chwyci³ go ból

serca, jeżeli, jak pan twierdzi, nie domaga³. A potem rusza dalej tak samo jak przedtem.

- Z lask¹ w lewej d³oni - powiedzia³ cicho Smiley.

- Ale dlaczego? Sam sobie zadaję to pytanie, sir. Może wasi ludzie znaj¹ na nie odpowiedź. Dlaczego? Czyby znów co

us³ysza³? Przypomnia³ co sobie? Dlaczego - jeżeli ucieka, aby

ratować życie - dlaczego mia³by przystawać, dreptać w miejscu jak

kaczka, przek³adać laskę do drugiej ręki i wtedy dopiero uciekać

dalej? Prosto w objęcia mordercy, który go w końcu zastrzeli³.
No

oczywiście, chyba że ten osobnik z ty³u wyprzedzi³ go,
może

wybieg³ spomiędzy drzew, może zrobi³ taki ³uk? Ma pan jakieś
inny

pomys³ na wyjaśnienie tej zagadki, panie Smiley?

I z tym pytaniem brzmia¹cym wci¹ę w uszach Smileya
dotarli

nareszcie do CIA³, unoszącego się jak embrion pod plastikow¹
powierzchni¹ p³achty.

Ale teraz, następnego ranka, Smiley nie schodzi³ do
kotlinki.

Najlepiej jak umia³ próbowa³ ustawiać swoje stopy w
przemoczonych butach dok³adnie na ka¹żdym ze ośladów,
usi³uj¹c

naśladować ruchy, które mógł³ wykonywać stary. A ponieważ
Smiley

czyni³ to wszystko w zwolnionym tempie i sprawia³
wrażenie

niezwykle skoncentrowanego, dwie obserwujące go damy w spodniach, spacerujące nieopodal ze swoimi wilczurami, uznają go za zwolennika nowej mody w jakiejś wschodniej sztuce walki, a co za tym idzie, za człowieka szalonego.

Najpierw Smiley postawił stopy koło siebie i skierował palce w dół z boku. Potem wysunął naprzód lewą nogę i odwrócił prawą

stopę, kierując palce w stronę miodziutkiego zagajnika. W trakcie

tej czynności w celach za nogą w naturalny sposób przesunęło się

także jego ramię i instynkt podpowiedział Smileyowi, że byłoby to

dla Vladimira odpowiedni moment, aby przesuwać łaskę do lewej

ręki. Ale dlaczego? Jak pytał nadinspektor, po co w ogóle przekładać łaskę? Po co, w tak wyjątkowej chwili życia, z powagą

przekładać łaskę z prawej ręki do lewej? Na pewno nie po to, żeby

siê broniaë -jak pamiêta³ Smiley, Vladimir by³ praworêczny.
-eby

siê broniaë, po prostu mocniej uchwyci³by laskê. Albo œcisn¹³by
j¹

w obu d³oniach, jak pa³kê.

Mo¿e zrobi³ to po to, ¿eby oswobodziaë praw¹ rêkê? Ale w
jakim celu?

Smiley poczu³, ¿e jest obserwowany, niespodziewanie
obejrza³

siê za siebie i spostrzeg³ dwóch ma³ych ch³opców w
blezerkach,

którzy przystanêli, ¿eby przypatrzeæ siê okr¹glutkiemu
cz³owieczkowi w okularach, wyczyniaj¹cemu jakieœ cuda
nogami.

Smiley niczym nauczyciel popatrzy³ na nich tak groÿnie, jak
tylko

potrafi³, i ch³opcy pospiesznie odeszli.

Po co chcia³by uwolniaë praw¹ rêkê? - powtarza³ Smiley. I
dlaczego mia³by zaraz potem znowu uciekaæ?

Vladimir odwróci³ siê w prawo, powtarza³ Smiley, raz
jeszcze

myœli przekszta³caj¹c w czyn. Vladimir odwróci³ siê w prawo. Sta³

twarz¹ do zagajnika, prze³o¿y³ laskê do lewej rêki. Jak twierdzi³ nadinspektor, przez chwilê sta³ nieruchomo. Potem pobieg³ dalej.

Regu³y Moskiewskie, pomyœla³ Smiley, przygl¹daj¹c siê swojej

prawej rêce. Powoli wsun¹³ j¹ do kieszeni p³aszczka. By³a pusta, podobnie jak prawa kieszeñ Vladimira.

Mo¿e chcia³ zanotowaæ jak¹œ wiadomoœæ? - Smiley dra¿ni³

samego siebie teori¹, w któr¹ nie bardzo wierzy³. Na przyk³ad kred¹? Czy¿by rozpozna³ swojego przeœladowcê i chcia³ zapisaæ

gdzieœ kred¹ jego nazwisko albo zostawiæ jak¹œ znak? Ale na czym?

Na pewno nie na tych mokrych pniach.

Nie na glinie, nie na opad³ych liœciach, nie na ¿wirze.

Rozejrzawszy siê wokó³, Smiley zda³ sobie sprawê z doœæ

niezwykłego charakteru otoczenia. Oto tu, pomiędzy dwoma

drzewami, na samym skraju alei, w miejscu, gdzie męga stawała się

najgęstsza, Smiley był niemal niewidoczny. Aleja opadała, owszem,

a dalej biegła pod górę. Jednak droga także zakręcała i z miejsca, gdzie stał Smiley, na linii wzroku po obu stronach

leżały drzewa i gęszcz młodych krzaków. Smiley z rosnącym

zadowoleniem spostrzegł, że na całym szlaku ostatniej, szalonej

podróży Vladimira - na szlaku, który dobrze znał, pamiętał, bo chadzał nim przedtem na podobne spotkania - uciekający człowiek

był w tym wacenie miejscu niewidoczny dla osób znajdujących się

zarówno z tyłu, jak i z przodu.

I zatrzyma się.

Uwolni swój praw dłoń.

Wzrocy j - powiedzmy - do kieszeni.

Po lekarstwo na serce? Nie. Podobnie jak kredê i zapa³ki, Vladimir trzyma³ pastylki w lewej kieszeni, nie w prawej.

Po coœ - powiedzmy - czego nie by³o ju¿ w kieszeni, kiedy znaleziono cia³o.

A zatem po co?

"Powiedz mu, ¿e mam dwa dowody i mogê je przynieœæ ze

sob¹... Mo¿e wtedy zechce siê ze mn¹ zobaczyæ... Gregory wzywa

Maksa. Mam coœ dla niego, proszê..." Dowody. Dowody zbyt cenne,

¿eby wys³aaæ je poczt¹. Vladimir coœ przyniós³. Przyniós³ dwa

"cosie". Mia³ je w kieszeni, nie tylko w g³owie.

I gra³ wedle Regu³ Moskiewskich. Regu³, które wbijano mu do

g³owy od dnia, kiedy zosta³ zwerbowany jako uchodŹca polityczny.

Ni mniej, ni wiêcej, a przez samego Smileya, który sta³ siê te¿ od razu jego oficerem prowadz¹cym. Regu³, które wymyœlono dla

jego ocalenia; i dla ocalenia jego siatki. Smiley poczu³, że zdenerwowanie ościska go w łoż³dku jak md³oœci. Regu³y Moskiewskie

powiadaj¹, że jeżeli masz przy sobie przesy³kê, to musisz także opracowaæ metodê pozbycia siê jej. Wszystko jedno, jak jest ukryta b¹d^ÿ zamaskowana - czy to w postaci mikrofotografii czy

pisma tajemnego, czy nie wywo³anego filmu, czy w jakieœ inny z

setek ryzykownych, wymyœlnych sposobów - musi to byæ pierwsza i

najdrobniejsza rzecz, która wpada w rêkê, rzecz, która nie zwróci

uwagi, kiedy j¹ wyrzucisz Jak fiolka pe³na pigu³ek, pomyœla³, uspokajaj¹c siê nieco. Jak pude³ko zapa³ek.

Jedno pude³ko zapa³ek swan vesta, czêœciowo zużytych, lewa

p³aszczka, przypomnia³ sobie. Zapa³ki palacza, pamiêtaj.

A w mieszkaniu - kryjówce, myœla³ nieustêpliwie Smiley zadrêczaj¹c siê, czeka³a na niego na stole paczka papierosów, ulubiony gatunek Vladimira.

A przy Westbourne Terrace na spiżarce leżało dziewięć paczek

gauloises caporal. Dziewięć z dziesięciu.

I nie miał papierosów w kieszeni. Jak powiedziałyby dobry nadinspektor, ten nie miał przy sobie ani jednego papierosa.

A

w każdym razie nie wtedy, gdy go znaleziono.

A więc jak brzmi nasza przesłanka, George? - Smiley zapytał

o sam siebie, naśladując Lacona, oskarżycielsko wymachując palcem

przed swoją nieruchomą twarzą - jak brzmi przesłanka?

Przesłanka,

Oliverze, jak na razie powiada, że palacz, nałogowy palacz,

znajdujący się w stanie poważnego napięcia nerwowego,

wybiera się

na potajemne, decydujące spotkanie zaopatrzone w zapalniczki, ale bez

pustej choćby paczki papierosów, mimo iż wiadomo, że miał ich

cały zapas. A zatem to mordercy znaleźli i zabrali ów dowód czy

też dowody, o których mówi³ Vladimir, albo - albo co?
Albo

Vladimir w porê prze³o_çy³ laskê z prawej do lewej rêki. I w porê

w³o_çy³ praw¹ rêkê do kieszeni. A nastêpnie wyj¹³ j¹ w porê akurat

w tym miejscu, gdzie pozostawa³ niewidoczny. I pozby³ siê dowodu

lub dowodów, zgodnie z Regu³ami Moskiewskimi.

Zaspokoiwszy pragnienie uporz¹dkowania wydarzeñ w logicznym

ci¹gu, George Smiley ostro_çnie wkroczy³ w wysok¹ trawê, prowadz^{1c} do lasku. Nogawki spodni natychmiast przemok^{3y} mu do

kolan. Przez ponad pó³ godziny prowadzi³ poszukiwania, b³¹dz^{1c} po

omacku wœród listowia i traw, cofaj^{1c} siê po w³asnych œladach,

przeklinaj^{1c} swoj¹ nieudolnoœæ, rezygnuj^{1c} i zaczynaj^{1c} od nowa,

odpowiadaj^{1c} na zadawane przez przechodniów rozmaite g³upawe

pytania, od wulgarnych po przesadnie troskliwe.

Napotka³ nawet dwóch buddyjskich mnichów z pobliskiego

seminarium, ubranych w pow³óczyste, szafranowe szaty, wi¹zane

buty z cholewkami i robione na drutach we³niane czapeczki.

Zaoferowali mu pomoc, ale Smiley grzecznie odmówi³. Znalaz³ dwa

po³amane latawce i poka³Ńn¹ liczbê puszek po coca-coli. Znalaz³

kolorowe i czarno - bia³e skrawki kobiecych cia³, powyrywanych z

jakichœ czasopism. Znalaz³ czarny, sportowy but i resztki starego, spalonego koca. Znalaz³ cztery puste puszki po piwie i cztery puste paczki po papierosach, tak stare i przesi¹kniête wod¹, ¿e odrzuci³ je ju¿ na pierwszy rzut oka. A na ga³êzi, w rozwidleniu, w miejscu, w którym styka³a siê z pniem, znalaz³ pi¹t¹, a w³acéciwie dziesi¹t¹ paczkê papierosów, która nie okaza³a siê pusta; by³a to stosunkowo sucha paczka gauloises caporal, pochodz¹ca ze strefy wolnoc³owej, ukryta wysoko na drzewie.

Smiley siêga³ po ni¹, jak po zakazany owoc, ale jak zakazany owoc

papierosy wci¹¿ pozostawa³y niedostêpne. Podskoczy³, ¿eby je

pochwyciæ, i poczu³, jak pêka mu skóra na plecach: ostre, obezw³adniaj¹ce rozdarcie tkanki, piek¹ce i k³uj¹ce go jeszcze wiele dni póŸniej. Powiedzia³ g³oœno "cholera" i rozmasowa³ sobie

bol¹ce miejsce, jak mog³aby to zrobiæ Ostrakowa. Dwie maszynistki

id¹ce do pracy doda³y mu otuchy chichotami. Smiley znalaz³ jakieœ

patyk, str¹ci³ paczkê z drzewa i otworzy³ j¹. W œrodku pozosta³y

jeszcze cztery papierosy.

A za nimi na wpó³ zakryte i os³oniête sw¹ w³asn¹ celofanow¹ skórk¹ le¿a³o coœ, co Smiley od razu rozpozna³, ale czego nie œemia³ nawet dotkn¹æ wilgotnymi i rozdygotanymi palcami. Nie œemia³

nawet obejrzeæ znaleziska, dopóki nie oddali³ siê z owego

przerażającego miejsca, gdzie Vladimir poniósł śmierć, a
gdzie

jak gdyby nigdy nic szwendały się teraz chichoczące
maszynistki i

buddyjscy mnisi.

Ja mam jeden dowód, oni mają drugi, pomyślał.
Podzielił się

się spadkiem starca z jego mordercami.

Nie zważając na ruch, Smiley schodził w skrytym chodnikiem
ze

wzgórza, aż dotarł do South End Green, gdzie miał nadzieję
znaleźć jakiegoś kawiarnię, w której podano by mu herbatę.
Żadna nie

była jeszcze otwarta o tak wczesnej porze, Smiley usiadł więc
na

ławce naprzeciwko kina i przyglądał się starej, marmurowej
fontannie oraz dwóm czerwonym budkom telefonicznym,
jednej

paskudniejszej od drugiej. Padał ciepły kapucieniczek; paru
właścicieli sklepów rozwijało już markizy; w delikatesach

przyjmowano w³aczenie dostawê chleba. Smiley siedzia³ przygarbiony,

a mokre koñce ko³nierza jego p³aszczã k³u³y go w nieogolone

policzki za ka¿dym razem, kiedy odwraca³ g³owê. "Na litoœæ bosk¹,

p³acz - krzyknê³a kiedyœ Anna, rozwœcieczona pozornym spokojem

Smileya po œmierci kolejnego z jego przyjaci³. - Jak mo¿esz

kochaæ ¿ywych, je¿eli nie op³akujesz umar³ych?" Teraz siedzia³ na

³awce i obmyœlaj¹c swój nastêpny krok, Smiley poda³ jej odpowiedŸ, której wtedy nie uda³o mu siê znaleŸæ. - Mylisz siê -

powiedzia³ z roztargnieniem. - Szczerze op³akujê zmar³ych i w tej

chwili odczuwam g³êboki ¿al po œmierci Vladimira. Ale kochanie

¿ywych sprawia mi niekiedy pewne trudnoœci.

Sprawdzi³ obie budki i w drugiej telefon dzia³a³. Jakimœ

cudem spis telefonów od S do Zet pozosta³ nienaruszony, a co by³o

jeszcze dziwniejsze, przedsiêbiorstwo przewozowe Straight and

Steady z Islington North zap³aci³o za wyró¿nienie w ksi¹¿ce nazwy

firmy t³ustym drukiem. Wykrêci³ numer i kiedy zabrzmia³ sygna³,

Smiley wpad³ w pop³och, ¿e nie pamiêta nazwiska osoby, która

podpisa³a rachunek, znaleziony w kieszeni Vladimira.

Roz³oczy³ siê, odzyskuj¹c swoje dwa pensy. Lane? Lang?

Zadzwoni³ jeszcze raz.

Znudzony kobiecy g³os odpowiedzia³ œpiewnie:

- Straight - and - Stead - ee Kiedy - i - dok¹d - proszê?

- Chcia³bym rozmawiaæ z panem J. Lambem, jednym z waszych

kierowców - powiedzia³ uprzejmie Smiley.

- Niestety, ¿adnych rozmów prywatnych na tej li-niii - zaœpiewa³a kobieta i od³o¿y³a s³uchawkê.

Zadzwoni³ po raz trzeci. To wcale nie rozmowa prywatna,

powiedzia³ rozdrażniony, nieco już pewniejszy siebie. Chce,
żeby

wozi³ go pan Lamb, i nie chce nikogo innego. - Proszê mu
powiedzieæ, że to daleka podróż. Stratford - on - Avon - rzuci³
na chybi³ trafi³. - Proszê powiedzieæ, że chcê jechaæ do
Stratford. Sampson, odpar³ Smiley, kiedy kobieta domaga³a
siê

jakiegoœ nazwiska. Sampson przez p.

Powróci³ na swoj¹ ³awkê, żeby czekaæ dalej.

Zadzwoñiæ do Lacona? Po co? Popêdziæ do domu,
otworzyæ

paczkê, obejrzeæ jej bezcenn¹ zawartoœæ? By³a to pierwsza
rzecz,

któr¹ Vladimir wyrzuci³, pomysla³ Smiley: w szpiegowskim
fachu

najpierw rozstajemy siê z tym, co najbardziej kochamy. I tak
trafi³em lepszy towar ni¿ oni. Naprzeciwno Smileya usadowi³a
siê

para staruszków. Mê¿czyzna nosi³ sztywny, filcowy kapelusz
z

szerokim rondem i wygrywa³ pieceni wojenne na blaszanym gwizdku.

Jego żona ucemiecha³a się bezmyślnie do przechodniów.
Smiley

przypomnia³ sobie o br¹zowej kopercie z Paryża i otworzy³ j¹,
by

nie napotkać wzroku kobiety.

Co spodziewa³ się znaleźć? Może rachunek albo objaw
jakiegoś

kaca z czasów, kiedy stary mieszka³ jeszcze we Francji. Albo
jedno z tych powielonych wezwań bitewnych, które
emigranci

wysy³aj¹ sobie niczym kartki cewi¹teczne.

Jednakże nie by³ to rachunek ani żaden okólnik, tylko list
prywatny: szczególnego rodzaju prośba. By³ nie podpisany i
bez

adresu zwrotnego.

Napisano go odręcznie po francusku, w wielkim
pośpiechu.

Smiley zapozna³ się już z jego treścią¹ i odczytywa³ w³acenie list

po raz drugi, kiedy przed kinem, wychodz¹c z pocelizgu,
zatrzyma³

siê szaleńczo pstrokaty ford cortina, prowadzony przez ch³opaka
w

sweterku polo. Smiley na powrót schowa³ list do kieszeni,
przeszed³ przez ulicê i podszed³ do wozu.

- Sampson przez p? - krzykn¹³ impertynencko przez okno
ch³opak i zamasyœcie otworzy³ od wewn¹trz tylne drzwi
samochodu.

George wgramoli³ siê do œrodka. Zapach p³ynu po goleniu
zmieszany

ze stêch³ym zapachem papierosów. Smiley trzyma³ w
d³oni

dziesiêciofuntowy banknot tak, Ÿeby by³ dobrze widoczny.

- Móg³by pan wy³¹czyæ silnik? - poprosi³ Smiley.

Ch³opak us³ucha³, ca³y czas przygl¹daj¹c mu siê w lusterku.

Mia³ kasztanowe w³osy, uczesane w stylu afro. Bia³e,
starannie

utrzymane d³onie.

- Jestem prywatnym detektywem - wyjaœni³ Smiley. - Wiem,
Ÿe

wielu z nas spotykacie zapewne w swojej pracy i że jesteśmy dla

was nie lada utrapieniem, ale chętnie zapłacę za kilka drobnych informacji. Podpisz pan wczoraj rachunek na sumę trzynastu

funtów. Pamiętaj pan klienta?

- Wysoki gość. Obcokrajowiec. Siwe włosy. Utyka.

- Stary?

- Bardzo. Miała laskę i w ogóle.

- Skąd pan go zabrał? - zapytał Smiley.

- Z restauracji Cosmo, Praed Street, o wpół do jedenastej rano - powiedział chłopak, celowo bełkotliwie.

Praed Street znajdowała się o pięć minut drogi od Westbourne

Terrace.

- A dokąd go pan zawiózł, jeżeli można wiedzieć?

- Do Charlton.

- Charlton w południowo - wschodnim Londynie?

- Kościół jakiegoś świętego przy Battle - of the Nile Street. Chodziło mu o pub o nazwie Przegrana - aba.

- 'aba?

- Znaczy Francuz.

- Tam wysiad³?

- Godzina postoju, potem z powrotem na Praed Street.

- Stawaliœcie gdzieœ jeszcze?

- Raz w sklepie z zabawkami w tamt¹ stronê, raz przy budce telefonicznej wracaj¹c. Gooœæ kupi³ drewnian¹ kaczkê na kó³kach. -

Ch³opak odwróci³ siê i wspieraj¹c brodê na oparciu siedzenia, lekcewa¹co roz³o¹y³ rêce pokazuj¹c, jak du¹a by³a zabawka.

-

'ó³ta - powiedzia³. - A telefon by³ miejscowy.

- Sk¹d pan wie?

- Chyba po¹yczy³em mu dwupensówkê, nie? Potem wróci³ i

po¹yczy³ jeszcze dwie dziesi¹tki, tak na wszelki wypadek.

- Zapyta³em, gdzie dzwoni, ale powiedzia³ tylko, ÷e ma du¹o drobnych, powiedzia³ Mostyn.

Smiley poda³ ch³opakowi dziesiêæ funtów i uj¹³ klamkê.

- Mo¹e pan powiedzieæ w firmie, ÷e siê nie pojawi³em.

- Mogê powiedzieæ, co mi siê kurde podoba, nie?

Smiley szybko wygramoli³ siê z auta i ledwie zdo³a³
zamkn¹æ

drzwi, nim ch³opak odjecha³ z t¹ sam¹ zatrwa³aj¹c¹ prêdkoœci¹,
co

przedtem. Stoj¹c na chodniku, Smiley dokoñczy³ powtór¹
lekturê

listu i teraz dobrze go ju³ zapamiêta³. Kobieta, pomyœla³ ufaj¹c
swemu pierwszemu wra³zeniu. Myœli, ³e umrze. No c³o³,
wszyscy tak

myœl¹ i maj¹ w dodatku racjê. Symulowa³ przed sob¹
obojêtnoœæ i

roztargnienie. Ka³dy cz³owiek posiada tylko pewne
kwantum

wspó³czucia, twierdzi³, a ja swoje ju³ na dzieæ wyczerpa³em.
Ale

list mimo wszystko go przestraszy³ i rozbudzi³ w nim na
nowo

przekonanie, ³e ma do czynienia ze spraw¹ nie cierpi¹c¹ zw³oki.

Generale, nie chcia³abym, ³eby to zabrzmia³o dramatycznie,
ale jacyœ ludzie obserwuj¹ mój dom, i nie s¹dzê, aby byli to moi

lub pañscy przyjaciele. Dzieœ rano odnios³am wra¿enie, ¿e chc¹

mnie zabiæ. Czy nie móg³by pan raz jeszcze pos³aaæ do mnie

czarodziejskiego przyjaciela?

Mia³ to i owo do ukrycia. Do zabezpieczenia, jak uparcie powiadali w Sarratt. Jecha³ kilkoma autobusami, przesiadaj¹c siê

wielokrotnie, rozgl¹daj¹c siê, drzemi¹c. Czarny motocykl z przyczep¹ nie pojawi³ siê wiêcej;

Smiley nie zauwa¿y³, ¿eby œledzi³ go ktoœ inny. W sklepie

papierniczym na Baker Street kupi³ du¿e pude³ko z tektury, kilka

gazet, papier pakowy i rolkê taœmy klej¹cej. Papierosy Vladimira

wraz z listem Ostrakowej schowa³ do pud³a, które wymoœci³

uprzednio gazetami. Paczkê zawin¹³ w papier i lepka taœma

spl¹ta³a mu palce. Nigdy nie umia³ daæ sobie rady z taœm¹

samoprzylepn¹.

Wypisa³ na wierzchu swoje nazwisko: "Do odebrania".
Odprawi³

taksówkê ko³o hotelu "Savoy", gdzie wraz z
jednofuntowym

banknotem powierzy³ pakunek szatniarzowi w męskiej szatni.

- Za lekka na bombê, prawda, sir? - zapyta³ szatniarz,
przyk³adaj¹c ÷arzem ucho do pude³ka.

- Nie by³bym tego taki pewny - odpar³ Smiley i obaj
mê¹czy³ni roze¹mieli siê serdecznie.

"Przeka¹ Maksowi, ÷e chodzi o Piaskowego Dziadka".
Vladimir,

myœla³ w zadumie Smiley, jaki by³ drugi dowód?

* * *

Niski horyzont wype³nia³y d³łwigi i gazometry; leniwe
kominy

bluzga³y brunatno¹ó³tym dymem prosto w deszczowe chmury.
Gdyby to

nie by³a sobota, Smiley pojecha³by komunikacj¹ miejsk¹, ale
w

soboty gotów by³ prowadziæ, choæ z silnikiem spalinowym
¿y³

zawsze w atmosferze wzajemnej nienawiœci. Rzekê
przekroczy³ na

Vauxhall Bridge, pozostawiaj¹c Greenwich z ty³u. Wyjecha³
na

p³aski, podzielony przez zaborców teren portowych doków.
Pióra

wycieraczek dygota³y, ale do wnêtrza jego smutnego,
angielskiego

samochodzika wype³za³y du¿e krople deszczu. "Ca³y czas
prosto,

szefie" -poinformowa³y go jakieœ posêpne dzieciaki,
szukaj¹ce

schronienia na przystanku autobusowym. Ogoli³ siê i wyk¹pa³,
ale

nie spa³. Rachunek telefoniczny Vladimira przes³a³
Laconowi,

prosz¹c o ustalenie wszystkich mo¿liwych po³¹czeñ w trybie

pilnym. Podczas jazdy zachowa³ jasnoœæ umys³u, ale ulega³
³atwo

anarchistycznym zmianom nastroju. Ubrany by³ w br¹zowy,
tweedowy

p³aszcz, w którym zazwyczaj podró¿owa³. Po¿eglowa³ wokó³
ronda,

wspi¹³ siê na jakieœ wzniesienie i nagle znalaz³ siê przed
wspania³ym, edwardiañskim pubem, ozdobionym
szyldem,

wyobra¿aj¹cym wojownika o czerwonej twarzy. Battle - of the
-

Nile Street bieg³a st¹d pod górê ku sp³achetkowi zdeptanej
trawy, gdzie sta³ zbudowany z g³azów i krzemiennych
³upków

koœció³ œw. Zbawiciela, g³osz¹cy s³owo bo¿e rozpadaj¹cym
siê

wiktoriañskim magazynom. Jak g³osi³ afisz, w nastêpn¹
niedzielê

kazanie mia³a wyg³osiæ cz³onkini Armii Zbawienia w randze
majora;

przed plakatem sta³a ciê¿arówka z gigantyczn¹,
karmazynow¹

przyczep¹ o d³ugości sześćdziesięciu stóp i bocznych okienkach

udekorowanych proporczykami dru³yn pi³karskich oraz zagranicznymi

nalepkami rejestracyjnymi. Ci³arówka by³a największym obiektem w

zasięgu wzroku, większym nawet od ko³cio³a.

Gdzie³ z ty³u dobieg³ go odg³os najpierw zwalniaj¹cego obroty, a potem znów przyspieszaj¹cego silnika motocyklowego, ale

Smileyowi nie chcia³o si³e nawet obejrze^æ. Znajoma eskorta

towarzyszy³a mu a³ z Chelsea; strach, jak osobi³cie g³osi³ w kazaniach w Sarratt, zawsze jednak pozostaje kwesti¹ wyboru.

Eciejka zaprowadzi³a Smileya na cmentarz bez grobów. Jego obwód

stanowi³y szeregi kamieni zwornikowych, w œrodku sta³a dzieci³e

drabinka i trzy nowe domy o standardowej konstrukcji. Pierwszy

dom nazwano Syjonem, drugi w ogóle nie miał nazwy, trzeci nazywał się

Numer Trzeci. Wszystkie miały szerokie okna, ale Numer Trzeci

posiadał koronkowe zasłony i kiedy Smiley pchnął furtkę, zobaczył

na piętrze tylko jakiegoś cień. Z początku zastygł w bezruchu, ale po chwili skurczył się i znikł, jak gdyby jakaś wessała go w podłogę, i Smiley przez moment zastanawiał się z przerażeniem,

czy nie był w rzeczywistości przypadkiem świadkiem kolejnego morderstwa.

Zadzwonił do drzwi i w środku wybuchły dźwięki anielskich

kurantów. Drzwi wykonane były z falistego szkła. Smiley przyłożył

oko do szyby i udało mu się dostrzec brązową wykładzinę na schodach oraz coś, co wyglądało na wózek dziecięcy.

Zadzwonił ponownie i usłyszał przeraźliwy krzyk. Wrzask

stawał się coraz głośniejszy i Smiley myślał najpierw, że to

dziecko, potem, że kot, a potem, że czajnik z gwizdkiem.
Wycie

brzmiało przez chwilę na swej najwyższej nucie, a później
urwało

się nagle, jak gdyby ktoś zdjął czajnik z ognia, albo jak gdyby
para zdmuchnęła gwizdek. Smiley obszedł dom od tyłu.
Wszystko

wyglądało tak samo jak od frontu, jedyną różnicę stanowiły
rury

kanalizacyjne, ogródek warzywny i małe staw dla złotych
rybek,

wykonany w specjalnie wylanej w tym celu płytce betonowej.
W

stawie nie było wody, a co za tym idzie, nie było w nim także
rybek, ale w betonowej misie leżała na boku łódka, drewniana
kaczka. Miała rozchylony dziób i szeroko otwarte oczy,
zwrócone

ku niebu, a jej dwa kółka wciąż się obracały.

- Gdzieś kupiła drewnianą kaczkę na kółkach - powiedziała
kierowca taksówki i odwróciła się, żeby pokazać swymi
białymi

d³oñmi, jak du¿a by³a ta zabawka. - ´ó³ta.

Tylne drzwi zaopatrzone by³y w ko³atkê. Smiley zastuka³ cichutko i poruszy³ klamkê. Drzwi uchyli³y siê, Smiley wszed³ do

cerodka i ostro¿nie zamkn¹³ je za sob¹. Znalaz³ siê w pomywalni

naczyñ, prowadz¹cej do kuchni, w której pierwsz¹ spostrze¿on¹

przez niego rzecz¹ by³ zdjêty z ognia czajnik z cienk¹ smug¹ pary, s¹cz¹c¹ siê z milcz¹cego gwizdka. Na tacy sta³y ponadto dwie fili¿anki, dzbanuszek z mlekiem i czajniczek do herbaty.

- Pani Craven?! - zawo³a³ cicho Smiley. - Stella?

Przeszed³ przez jadalniê, stan¹³ w korytarzu na br¹zowej wyk³adzinie obok dzieciêcego wózka i w myœlach uk³ada³ siê z

Bogiem; nigdy wiêcej œmierci, nigdy wiêcej Vladimirów, a bédê Ciê

czci³ przez resztê moich dni.

- Stella? To ja, Maks - powiedzia³.

Pchn¹³ drzwi do salonu, Stella siedzia³a w rogu na obszernym

fotelu pomiędzy fortepianem a oknem i przypatrywała mu się z

zimną determinacją. Nie była przestraszona i mogłoby się wydawać,

że pała nienawiści do Smiley'a.

Miała na sobie długą, azjatycką suknię i była bez makijażu.

Trzymała na piersi dziecko; nie wiedziała i nie pamiętała, chłopca czy dziewczynkę. Przykryła mu buziem dłoń, żeby nie hałasowało,

przygarnęła do ramienia zmierzwił główkę dzieciaka i przyglądała się ponad nim Smileyowi z wyzywającym lekceważeniem.

- Gdzie Villem? - zapytała.

Powoli uniosła rękę i Smiley spodziewał się, że dziecko wrzuci, ale ono tylko przyglądało mu się na powitanie.

- On ma na imię William - powiedziała cicho. - Zapamiętaj to sobie, Maks. To jego wybór. William Craven, Brytyjczyk do szpiku kości.

Nie Estończyk, nie brytyjski Rosjanin. - Była piękna

kobiet¹, czarnow³os¹ i nieruchom¹. Siedz¹c tak w rogu i
trzymaj¹c

dziecko, wygl¹da³a jak gdyby r^êka malarza uwieczni³a jej
posta^æ

na ciemnym tle p³ótna.

- Chc^ê z nim porozmawia^æ, Stello. Nie wymagam,
¿eby

cokolwiek dla mnie robi³. Mo¿e nawet b^êd^ê móg³ mu pomóc.

- Ju¿ to gdzie^æ kiedy^æ s³ysza³am, prawda? Nie ma go.
Do

pracy poszed³, tam gdzie jego miejsce.

Smiley prze³kn¹³ te s³owa.

- W takim razie co jego ci^ê¿arówka robi na ulicy? - spyta³
³agodnie.

- Pojecha³ do bazy. Przys³ali po niego samochód.

Smiley prze³kn¹³ i to.

- W takim razie dla kogo jest ta druga fili¿anka w kuchni?

- Pojecha³ do bazy. Przys³ali po niego samochód.

Smiley poszed³ na gór^ê. Nie próbowa³a go zatrzyma^æ.
Na

wprost by³y jakieœ drzwi, po lewej i po prawej stronie
równie¿,

jedne i drugie otwarte, te prowadzi³y do pokoju dziecka, tamte
do

g³ównej sypialni. Drzwi na wprost by³y zamkniête, a kiedy
Smiley

zapuka³, nie by³o odpowiedzi.

- Villem, tu Maks - powiedzia³. - Muszê z tob¹
porozmawiaæ,

proszê ciê. Potem sobie pójdê i zostawiê ciê w spokoju,
przysięgam.

Powtórzy³ to raz jeszcze s³owo w s³owo, a póŹniej zszed³ po
stromych schodach z powrotem do salonu. Dziecko zaczê³o
znowu

g³oœno krzyczeæ.

- Mo¿e zrobi³abyœ tej herbaty - zaproponowa³ Smiley,
wykorzystuj¹c przerwê w p³aczu dzieciaka.

- Nie bêdziesz rozmawia³ z nim sam, Maks. Nie pozwolê,
¿ebyœ

go znów otumani³ jak idiotê.

- Nigdy tego nie robi³em. Nie na tym polega³o moje zadanie.

- Nadal ma o tobie jak najlepszą opinię. To mi wystarczy.

- Chodzi o Vladimira - powiedz Smiley.

- Wiem, o co chodzi. Dzwonili przez pół nocy, nie?

- Kto?

- Gdzie jest Vladimir? Gdzie Vladi? Za kogo oni mają

William? Za Kubę Rozpruwacza? Nie słysza i nie widzia

Vladimira już Bóg wie jak długo. Och Beckie, kochanie, b'dyć

cicho - Przeszła przez pokój, znalazła pod stertą brudnej bielizny puszkę herbatników i się wcisnęła dziecku ciastko do buzi. - Zazwyczaj nie zachowuj się w ten sposób.

- Kto o niego pyta? - nalega zgodnie Smiley.

- Mikhel, a który by inny? Pamiętasz Mikhela, naszego asa Radia Wolności, mianowanego premiera Estonii, konika

sprzedającego bilety na wyścigach?

Trzecia rano, akurat Beckie wyrzyna się z łebek, dzwoni ten pieprzony telefon.

To Mikhel po swoim dyszy w s³uchawkê: "Gdzie Vladi,

Stella?

Gdzie nasz Wódz?" Mówiê mu: "Przecie¿ ty jesteœ stukniêty.

Myœlisz, ¿e trudniej pods³uchaæ rozmowê telefoniczn¹, kiedy

ludzie mówi¹ szeptem? Jesteœ kompletnie nienormalny, mówiê. -

Zajmij siê wyœcigami konnymi i rzuæ tê politykê.

- Dlaczego by³ taki zaniepokojony? - zapyta³ Smiley.

- Dlatego, ¿e Vladi by³ mu winien pieni¹dze. Piêædziesi¹t funciaków.

Pewnie przegrali je na wyœcigach, nie pierwszy to przegrywaj¹cy koñ, na jakiego stawiali. Obieca³ przynieœæ Mikhelowi pieni¹dze i zagraæ z nim w szachy. W œrodku nocy,

uwa¿asz. Oprócz tego, ¿e to patrioci, to cierpi¹ tak¿e na bezsennoœæ. Nasz wódz siê nie pokaza³. Dramat. "A sk¹d do cholery

William mia³by wiedzieæ, gdzie on jest? - pytam. - IdŸ spaæ.
I

kto znowu dzwoni godzinê póŸniej? Dysz¹c jak przedtem? Nasz
major

Mikhel, bohater Estoñskiej Kawalerii Królewskiej, stuka
obcasikami i przepasza. By³ w dziupli Vladimira, wali³ w
drzwi,

dzwoni³. Nie ma nikogo w domu. "S³uchaj, Mikhel, mówiê, tu
go nie

ma, nie ukrywamy go na strychu, nie widzieliemy go od
czasu

chrztu Beckie, nie mieliemy z nim kontaktu. Jasne?

William dopiero co przyjecha³ z Hamburga, musi siê wyspaæ
i

nie mam zamiaru go budziaæ".

- Wiêc znów od³oŸy³ s³uchawkê - domyœli³ siê Smiley.

- A diab³a tam. Przyczepi³ siê jak rzep. "Villem jest
ulubieñcem Vladiego", powiada. Jakim ulubieñcem? - mówiê.
Chyba

tylko o wpó³ do czwartej na wyœcigach w Ascot. S³uchaj, do
jasnej

cholery, idŸ spaæ.

"Vladimir zawsze mi powtarza³, Ÿe jeœli coœ bêdzie nie w porz¹dku, powinienem iœæ do Villema", mówi. I co chcesz, Ÿeby

zrobi³ Villem? - pytam. Pojecha³ do miasta ciêŸarówk¹ i razem z

tob¹ dobija³ siê do drzwi Vladimira? O Jezu!

Posadzi³a dziecko na krzeœle. Dziewczynka z zadowoleniem

skuba³a tam swoje ciasteczko.

Rozleg³ siê odg³os zatrzaœniêtych gwa³townie drzwi, a potem

by³o s³ychaæ, jak ktoœ szybko zbiega po schodach.

- William juŸ siê w to nie wdaje, Maks - ostrzeg³a Stella, patrz¹c prosto na Smileya. - Nie zajmuje siê polityk¹, nie jest juŸ s³ugusem i przebola³ juŸ fakt, Ÿe jego tatuœ by³ mœczennikiem. Jest teraz duŸym ch³opcem i musi staæ na w³asn

ych nogach. Jasne? Pytam, czy to jasne?

Smiley przeszed³ w koniec pokoju, Ÿeby odsun¹æ siê jak najdalej od drzwi.

Villem, ubrany nadal w dres i sportowe buty, wszed³ zdecydowanym krokiem do œrodka. By³ m³odszy od Stelli o jakieœ

dziesiêæ lat i zdawa³ siê zbyt drobny, by nawet samemu sobie

zapewniæ bezpieczeñstwo. Przycupn¹³ na krawêdzi kanapy,

przygl¹daj¹c siê z napiêciem to Smileyowi, to znów swojej ðonie,

jak gdyby zastanawia³ siê, które z nich poderwie siê pierwsze.

Jego wysokie czo³o by³o nienaturalnie bia³e pod ciemnymi, zaczesanymi do góry w³osami. Ogoli³ siê i jego twarz wydawa³a siê

teraz pe³niejsza, przez co wygl¹da³ jeszcze m³odziej. Namiêtne,

br¹zowe oczy Villema nabieg³y krwi¹ wskutek zmêczenia d³ug¹

jazd¹.

- Czeœæ, Villem - powiedzia³ Smiley.

- William - poprawi³a go Stella.

Villem z zaniepokojeniem skin¹³ g³ow¹, przystaj¹c na obie formy.

- Czeœæ, Maks - powiedzia³ Villem. Jego d³onie odnalaz³y siê

na kolanach i splot³y ze sob¹. - Jak leci, Maks? Gra muzyka, co?

- S¹dzê, ¿e dotar³y ju¿ do ciebie ostatnie wieœci o Vladimirze - powiedzia³ Smiley.

- Wieœci? Jakie wieœci, proszê?

Smiley nie spieszy³ siê. Obserwowa³ go, wyczuwaj¹c w nim

zdeenerwowanie.

- Znikn¹³ - ca³kiem beztrosko odpowiedzia³ wreszcie Smiley.

- Podobno jego przyjaciele dzwonili do ciebie o skandalicznej porze.

- Przyjaciele? - Villem rzuci³ Stelli poddañcze spojrzenie.

- Starzy emigranci, pij¹ herbatki, graj¹ w szachy ca³ymi dniami, polityka?

Gadaj¹ o szalonych marzeniach? Mikhel nie jest moim przyjacielem, Maks.

Mówi³ szybko, zdradzaj¹c zniecierpliwienie w stosunku do obcego jêzyka, który tak kiepsko zastêpowa³ mu jêzyk ojczysty.

Smiley natomiast rozmawia³ tak, jakby mia³ przed sob¹
jeszcze

ca³y dzień.

- Ale Vladi jest twoim przyjacielem - zaprotestowa³. - A
przedtem by³ przyjacielem twojego ojca. Mieszkali razem w
Paryżu.

Towarzysze broni.

Razem przyjechali do Anglii.

Odparowuj^{1c} silny cios, jaki stanowi^{3o} to stwierdzenie,
drobne cia^{3o} Villema przeobrazi^{3o} się w burzê gestów. Jego
d^{3onie}

roz³¹czy^{3y} się i kreœli^{3y} w powietrzu wœciek^{3e} pó³kola, a
kasztanowate w^{3osy} unios^{3y} mu się na g^{3owie} i zaraz potem
opad^{3y}

znów na p^{3ask}.

- Oczywiście Vladimir by³ przyjacielem ojca. Dobrym
przyjacielem.

I chrzestnym ojcem Beckie, w porz¹dku? Ale nie w
polityce.

Już nie. - Spojrza³ na Stellê, oczekuj^{1c} jej poparcia. - Ja, ja

jestem William Craven. U mnie angielski dom, angielska żona,

angielski dzieciak, angielskie nazwisko. W porządku?

- I angielska praca - wtrąca cicho Stella, obserwuj Willema. - Dobra praca. Wiesz jak zarabiam, Maks? Kupimy dom.

Moje auto, w porządku?

Było coś w zachowaniu Villema - może potoczność jego

wymowy albo siła protestu - co zwróciło uwagę jego żony, albowiem

Stella przygląda mu się teraz równie uważnie jak Smiley.

Dziecko trzyma z roztargnieniem, niemal bez żadnego zainteresowania.

- Kiedy go ostatnio widziałeś, William? - zapytał Smiley.

- Kogo, Maks? Widziałem kogo? Nie rozumiem cię, proszę.

- Powiedz mu, Bill - nakazała Stella swemu mężowi ani na moment nie spuszczać z niego oka.

- Kiedy ostatnio widziałeś Vladimira? - powtórzył cierpliwie Smiley.

- Dużo czasu, Maks.
 - Tygodnie?
 - Oczywiście. Tygodnie.
 - Miesiące?
 - Miesiące. Sześć miesięcy. Siedem. Na chrzcie. On był ojciec chrzestny, my robiliśmy przyjęcie. Ale żadnej polityki.
- Milczenie Smiley'a wywoływało nienaturalnie nerwową atmosferę.
- I nie widział go od tamtej pory? - zapytał w końcu.
 - Nie.
 - O której William wróci wczoraj do domu?
 - Wczesnie - odpowiedziała Stella.
 - Jak wczesnie, o dziesiątej rano?
 - Być może. Nie było mnie. Pojechałam odwiedzić matkę.
 - Vladimir przyjechał tu wczoraj taksówką - wyjaśnił Smiley,
- nadal zwracając się tylko do Stelli. - Przypuszczam, że spotka się z Williamem.
- Nikt nie przyszedł Villemowi z pomocą, ani Smiley, ani jego

żona.

Nawet dziecko zamarło w bezruchu.

- W drodze do was Vladimir kupił zabawki. Taksówka czekała

godzinę na ulicy i potem zabrała go z powrotem do Paddington,

gdzie mieszka Generał - powiedział Smiley, wciąż bardzo uważajcie,

żeby operować czasem teraz niejszym.

Villem odzyskał nareszcie głos.

- Vladi chrzestny ojciec Beckie - zaprotestował, znów wymachując rękami, ponieważ powstała groźba, że jego angielszczyzna zupełnie go zawiedzie. - Stella go nie lubiła, więc

musi tu przychodzić jak zrodziej, w porządku? Przynosi Beckie

zabawkę, w porządku? To już przestępstwo, Maks?

Prawo jest, że stary człowiek nie może córce chrzestnej zabawek przynosić?

I znów ani Stella, ani Smiley nie odezwali się. Oboje czekali, kiedy nastąpi nieuniknione zdarzenie.

- Vladi stary człowiek, Maks. Kto wie, kiedy znów zobaczy swoją Beckie? Jest przyjaciel rodziny - Nie tej rodziny - powiedziała Stella. - Już nie.

- Był przyjaciel mojego ojca. Towarzysz. W Paryżu razem zwalczał bolszewizm. Więc przynosi Beckie zabawka. Czemu nie,

proszę? Czemu nie, Maks?

- Mówi mi, że sam kupi tę pieprzoną kaczkę - powiedziała Stella.

Położyła rękę na piersi i zapinając guzik, jak gdyby w ten sposób chciała przerwać Villemowi.

Villem raptem zwrócił się bezpośrednio do Smileya:

- Stella nie lubi starego, w porządku? Boi się, że politykowi z nim będzie więcej, w porządku? Więc nie mówię Stelli.

Jedzie zobaczyć się z matką w szpitalu Staines, a kiedy jej nie ma, Vladi wpada z matką odwiedzić Beckie, czemu nie, w

porządku? - Zerwał się na równe nogi w rozpaczy, wywijając rękami

w geœcie obezw³adniaj¹cego sprzeciwu. - Stella! - zawo³a³. -
Pos³uchajcie mnie. Wiêc Vladi nie wraca wczoraj wieczorem
do
domu?

Tak mi przykro, proszê. Ale to nie moja wina, w porz¹dku?
Maks, ten Vladi to stary cz³owiek. Samotny. Wiêc mo¿e raz
znalaz³

sobie kobietê. W porz¹dku? Nie mo¿e z ni¹ wiele zrobiæ, ale
przyjemnoœæ mu sprawia choæby jej towarzystwo. By³ z tego
powodu

s³awny, jak mnie siê zdaje. W porz¹dku? Czemu nie?

- A wczœniej? - zapyta³ Smiley po nieskoñczeniu d³ugiej
przerwie.

Villem zdawa³ siê nie rozumieæ i Smiley jeszcze raz
wycedzi³

pytanie:

- Widzia³eœ siê wczoraj z Vladimirem. Przyjecha³ taksówk¹
i

przywióz³ Beckie ¿ó³t¹, drewnian¹ kaczkê. Na kó³kach.

- Oczywiêcie.

- Œwietnie. Ale wczœniej, nie lic¹c wczorajszego dnia,

kiedy go ostatnio widzia³eœ?

S¹ pytania ryzykowne, s¹ instynktowne i s¹ te¿ takie, jak to ostatnie, które opieraj¹ siê na proroczym przeœwiadczeniu, bêd¹cym czymœ wiêcej ni¿ instynkt i czymœ mniej ni¿ wiedza.

Villem otar³ usta wierzchem d³oni.

- Poniedzia³ek - powiedzia³ nieszczêliwym g³osem. -
Widzê

go poniedzia³ek. Dzwoni do mnie, spotykamy siê. Oczywiście.

Stella szepnê³a:

- Och, Williamie - unios³a wyprostowane dziecko ku górze
niczym ma³ego ¿o³nierza, i spuœci³a wzrok na w³ochaty,
sznurowy

dywan, czekaj¹c a¿ uspokoj¹ siê walcz¹ce w niej uczucia.

Zadzwoni³ telefon. Villem skoczy³ ku niemu jak
rozwœcieczone

dziecko, podniós³ s³uchawkê, cisn¹³ j¹ z powrotem na wide³ki,
rzuci³ aparat na ziemiê i kopniakiem znów str¹ci³ z niego
s³uchawkê. Potem usiad³.

Stella zwróci³a siê do Smileya:

- Chcê, ¿ebyœ sobie poszed³ - powiedzia³a. - Chcê, ¿ebyœ

st¹d wyszed³ i nigdy nie wróci³. Proszê ciê, Maks. Teraz.

Przez chwilê Smiley wydawa³ siê rozważaæ tê propozycjê ca³kiem serio.

Spojrza³ dobrodusznie na Villema; potem popatrzy³ na Stellê.

Nastêpnie poszpera³ w wewnêtrznej kieszeni i wyci¹gn¹³ z³o³ony egzemplarz pierwszego w tym dniu wydania "Evening

Standard", który wrêczy³ Stelli, nie Villemowi, miêdzy innymi

dlatego, że domyœla³ siê, iż Villem siê za³amie.

- Obawiam siê, że Vladi znikn¹³ na dobre, Williamie - powiedzia³ tonem pe³nym szczerego çalu. - Pisz¹ o tym w gazetach.

Zosta³ zastrzelony.

Policja bêdzie zadawaæ wam pytania. Muszê wiedzieæ, co siê

sta³o, i poradziæ wam, co macie mówiaæ.

Wtedy Villem powiedzia³ po rosyjsku coœ rozpaczliwego i

Stella, poruszona nie tyle s³owami, co raczej brzmieniem jego

głosu, zostawiła jedno ze swych dzieci i poszła utulić drugie, tak jakby Smiley w ogóle nie było w pokoju.

Siedziała więc przez chwilę całkiem sam, rozmyślając o nieczytelnym przed wykonaniem pozytywnie negatywnie Vladimira,

spoczywającym w pudełku w hotelu "Savoy" wraz z anonimowym listem

z Paryża, z którym Smiley nie był w stanie nic zrobić.

Rozmyślała

też o drugim dowodzie, zastanawiała się, co by to mogło być i jak

to stary przenosił. Przypuszczała, że może Generał umieścić go w

portfelu; ale w gruncie rzeczy był przekonany, że nigdy się tego nie dowie.

Villem trzymała się dzielnie, jak gdyby uczestniczył już w pogrzebie Vladimira. U jego boku siedziała Stella, trzymając dłoń

na jego dłoni, a dziecko zwane Beckie leżało na podłodze i spało.

Od czasu do czasu w trakcie przemowy Villema po jego
bladych

policzkach bezwstydnie sp³ywa³y ³zy.

- Innym nie dajê nic - powiedzia³ Villem. - Vladiemu
wszystko. Kocham ten cz³owiek. - Villem rozpocz¹³ raz jeszcze:

-

Po œmierci mego ojca Vladi sta³ siê dla mnie ojciec. Czasem
mówiê

mu nawet: mój ojciec.

Nie wujek. Ojciec.

- Mo¿e zaczniemy od tego poniedzia³ku - zaproponowa³
Smiley.

- Od pierwszego spotkania.

- Vladi zadzwoni³ - powiedzia³ Villem. - Po raz pierwszy od
wielu miesiêcy on czy ktoœ inny z Grupy nawi¹za³ z nim
kontakt.

Vladi ni st¹d, ni zow¹d zadzwoni³ do Villema do bazy akurat
wtedy, gdy Villem rozmieszcza³ ³adunek w samochodzie i
sprawdza³

w biurze miêdzynarodowe dokumenty przewozowe przed
odjazdem do

Dover. - Tak by³o umówione - powiedzia³ Willem - tak ustalono

niegdy³ w Grupie. Nie zajmowa³ siê ju³ tymi sprawami, tak jak i w

pewnym sensie oni wszyscy, ale gdyby by³ kiedy³ pilnie potrzebny,

mo³na by³o go z³apaæ w poniedzia³ek rano w bazie, nie w domu, ze

wzglêdu na Stellê. Vladi by³ ojcem chrzestnym Beckie i jako ojciec chrzestny móg³ dzwoniaæ do domu o ka³dej porze. Ale nie w

interesach. Nigdy.

- Pytam siê: Vladi, czego chcesz? S³uchaj, jak siê masz?

Vladimir by³ w budce telefonicznej na ulicy, na której pracowa³ Willem.

Chcia³ z nim natychmiast rozmawiaæ w cztery oczy. Wbrew

wszelkim zarz¹dzeniom pracodawców Willem podjecha³ po niego na

rondo i Vladimir towarzyszy³ mu pó³ drogi do Dover: na czarno,

czyli nielegalnie. Stary miał ze sobą wiklinowy koszyk z pomarańczami, ale Villem nie był w nastroju, żeby wypytywać go o

to, dlaczego objucza się tyloma funtami owoców.

Początkowo Vladimir mówi o Paryżu, o ojcu Villema i o

wielkiej, wspólnej walce; potem wspomina o matce przysądze,

jak mógłby mu wyświadczyć Villem. Matka przysądza w imię dawnych

czasów. W imię Grupy, której tak wielkim bohaterem był nigdy

jego ojciec.

- Mówi mu: Vladi, niemożliwa jest dla mnie ta przysądza.

Obiecuję Stelli: to niemożliwe.

Dziś Stelli cofnęła się i kobieta siedziała teraz sama, rozdarta pomiędzy chęcią dodania otuchy Villemowi po śmierci

starego i bólem z powodu niedotrzymania przez niego obietnicy.

- Tylko mała przysądza - nalega Vladimir. - Mała, bez

problemu, bez ryzyka, ale bardzo dla naszej sprawy użyteczna:
to

twój obowiązek, Villem. - Potem Vladi wyj¹³ zdjęcia, które
zrobi³

Beckie na chrzcie.

By³y w 6³tej kopercie Kodaka, odbitki w jednej przegródce,
owinięte w celofan negatywy w drugiej, a do opakowania
przymocowany by³ jeszcze niebieski kwit z zak³adu
fotograficznego, wszystko czyste jak ³za.

Podziwiali przez chwilę zdjęcia i wtem Vladimir powiada:

- To dla Beckie, Villem. To, co robimy, robimy dla Beckie.

S³ysz¹c, jak Villem to powtarza, Stella zacisnę³a pięści, a
kiedy znów unios³a wzrok, wygl¹da³a stanowczo i jakby
nieco

starzej, z wysepkami drobniutkich zmarszczek pod oczami.

Villem ci¹gn¹³ dalej swój¹ opowieść:

- Potem Vladimir mówi: Villem. W ka³dy poniedzia³ek
je³dzisz

do Hanoweru i do Hamburga, wracasz w pi¹tek. Jak d³ugo
jeste³ w

Hamburgu?

Na co Villem odpar³, że tak krótko, jak to możliwe, w zależności od tego, ile czasu zajmuje nowy za³adunek, czy towar

dostarczany jest pośrednikowi, czy odbiorcy, o której godzinie

przyjecha³ i ile godzin wpisa³ już w sw¹ kartę drogow¹. W zależności od tego, jaki ma ³adunek w drodze powrotnej i czy w

ogóle wiezie jakiego towar. Pad³o jeszcze wiele podobnie trywialnych pytań i Villem przytacza³ je teraz Smileyowi: gdzie

Villem cepi po drodze, gdzie je - i Smiley zrozumia³, że stary w dość potworny sposób robi³ to, co na jego miejscu uczyni³by on

sam; a mianowicie zapêdza³ Villema do narożnika, zmuszaj¹c go do

udzielania odpowiedzi przed wymuszeniem na nim pos³uszeństwa.

Dopiero potem, ucywaj¹c całego swego wojskowego i rodzinnego

autorytetu, Vladimir wyjaceni³ Villemowi, czego od niego chce:

- Powiada do mnie: Villem, zabierz dla mnie te pomarańcze do

Hamburga. WeŹ ten koszyk. Po co? - pytam. Generale, czemu

zabieram ten koszyk? Wtedy daje mi pięćdziesiąt funtów. W razie

nagłej potrzeby, powiada mi. W razie nagłej potrzeby, oto pięćdziesiąt funtów. Ale dlaczego zabieram ten koszyk? - pytam. O

jak tu nagle chodzi potrzebę, Generale?

Wówczas Vladimir wyrecytował Villemowi instrukcje, obejmujące plany awaryjne i nie przewidziane wypadki - uwzględniające nawet konieczność spędzenia za granicą dodatkowej

nocy za owe pięćdziesiąt funtów - i Smiley spostrzegł, że stary nalegał na Reguły Moskiewskie, dokładnie tak samo, jak podczas

rozmowy z Mostynem, i że jak zawsze brał pod uwagę zbyt wiele

możliwości; im bardziej posuwał się w latach, tym częściej pisał

siê w gmatwaniu swoich w³asnych planów. Villem mia³
po³o¿yæ

¿ó³t¹ kopertê Kodaka ze zdjêciami Beckie na pomarañczach
i

nastêpnie przejeæ na przód kabiny - co te¿ Villem, jak
opowiedzia³, uczyni³. Koperta stanowi³a skrzynkê
kontaktow¹;

sygna³em œwiadczy¹cym o tym, ¿e umieszczono w niej
wiadomoeæ, mia³

byæ znak wykonany kred¹, ¿ó³t¹ jak koperta, bo to tradycja w
naszej Grupie, powiedzia³ Villem.

- A znak bezpieczeñstwa? - spyta³ Smiley. - Znak, który
powiada:

Nie jestem œledzony?

- To hamburska gazeta z wczoraj - odpar³ szybko Villem, ale
przyzna³, ¿e w tej kwestii poró¿ni³ siê nieco z Vladimirem,
pomimo nale¿nego mu szacunku jako wodzowi,
Genera³owi i
przyjacielowi ojca.

- Powiada mi: Villem, nieœ tê gazetê w kieszeni, Aleja
mówiê

mu: Vladi, patrz na mnie, proszę, mam tylko dres, bez kieszeni.

Więc on mówi: Villem, w takim razie nieœ gazetê pod pach¹.

- Bill - wykrztusi³a z groz¹ Stella. - Och, Bill, pieprzony g³upi idioto. -Zwróci³a siê do Smileya. - No bo dlaczego po prostu nie wrzucili tego czegoœ do pieprzonej skrzynki pocztowej,

¿eby mieæ to z g³owy?

Bo to by³ negatyw, a wedle Regu³ Moskiewskich dopuszczalne

s¹ tylko negatywy. Bo Genera³ panicznie ba³ siê zdrady, myœla³

Smiley. Wszêdzie wêszy³ zradê, we wszystkich dooko³a. I mia³

racjê, jeœli to œmieræ jest ostatecznym sêdzi¹.

- Uda³o siê? - z wielk¹ delikatnoœci¹ zapyta³ wreszcie Smiley. - Uda³o siê przekazaæ przes³kê?

- Oczywiœcie. Wspaniale siê uda³o - skwapliwie zgodzi³ siê Villem i pos³a³ Stelli wyzywaj¹ce spojrzenie.

- A czy nie orientujesz siê przypadkiem, kto móg³ byæ twoim

³icznikiem podczas tego spotkania?

Z niema³ym wahan¹iem i po licznych zach^êtach, tak^êe ze
strony

Stelli, Villem opowiedzia³ i o tym: mówi³ o cz³owieku o
pustej

twar^zy, wygl¹daj¹cej tak rozpaczliwie i przypominaj¹cej mu
jego

ojca; o ostrzegawczym spojrz^{en}iu, które naprawd^ê dostrzeg³
albo

które sobie wyimaginowa³, poniewa^ê by³ taki zdenerwowany.
Mówi³ o

tym, ^êe kiedy ogl¹da czasem w telewizji pi³k^ê no^zn¹, co nale^zy
do

jego ulubionych zaj^êæ, kamera rejestruje niekiedy czyj¹æ
twarz

lub grymas, pozostaj¹cy w pami^êci przez ca³¹ reszt^ê meczu,
nawet

je^zeli nie widzi si^ê tej osoby powtórnie - i mówi³, ^êe tak
w³aczenie by³o z twarz¹, któr¹ zobaczy³ wtedy na parowcu.
Opisa³

ro^zki stercz¹cych w³osów i koñcami palców nakreœli³
g³êbokie

bruzdy na swoich gładkich policzkach. Opisał drobnie
posturę

mężczyzny, a nawet jego seksowność - powiedziała, że zna się
na

tym. Twierdziła, że miała wrażenie, jakoby ten człowiek go
ostrzegał, ostrzegał go, żeby pilnował jakiegoś bezcennego
przedmiotu. On sam patrzyłby w ten sposób - powiedziała Stelli
z

nieoczekiwanym gestem tragedii - gdyby wybuchła kolejna
wojna i

trzeba byłoby walczyć, a on musiałby powierzyć Beckie
opiecz

obcego mężczyzny. Dało to sygnał do kolejnych żez, pojednań
i

lamentów nad śmiercią starego, przy czym niemała rolę
nieuchronnie odegrało tu również następne pytanie Smiley.

- A zatem przywiozłaś cóż kopertę z powrotem i oddałaś
mu

już wczoraj, kiedy Generał przyszedł z kaczką dla Beckie? -
podsunął Smiley, jak umiał najdelikatniej, ale uprzedził jeszcze

spora chwila, Zanim z chaosu wy³oni³a siê jakaœ
zrozumia³a

opowieœæ.

By³o jego zwyczajem, ci¹gn¹³ Villem, ¿e w pi¹tki przed
przyjazdem do domu spa³ kilka godzin w bazie w
samochodzie, po

czym goli³ siê i pi³ herbatê z ch³opakami, ¿eby móc wróciæ
do

swoich w przyzwoitej formie, a nie roztrzêsiony i w z³ym
nastroju. By³a to sztuczka, której nauczy³ siê od starszych
kolegów; nie nale¿y spieszyæ siê do domu, mówi³, cz³owiek
potem

tylko tego ¿a³uje. Ale wczoraj by³o inaczej, a poza tym - Villem
zacz¹³ nagle stosowaæ monosylabowe zdrobnienia - Stell
zabra³a

Beck do szpitala, ¿eby zobaczyæ siê z mamci¹, Wiêc on choæ
raz

przyjecha³ wprost do domu, zatelefonowa³ do Vladimira i poda³
mu

has³o, które wczœœniej miêdzy sob¹ uzgodnili.

- Gdzie zatelefonowa³eœ? - zapyta³ Smiley, przerywaj¹c

miêkko Villemowi.

- Do mieszkanie. Powiedzia³ mi: Dzwoni tylko do mieszkanie.

Nigdy do biblioteka. Mikhel to dobry cz³owiek, ale nie jest poinformowany.

Nied³ugo, ci¹gn¹³ dalej Villem, Vladimir przyjecha³ do niego radio - taxi, co nie zdarza³o siê przedtem, i przywióz³ kacz³kê dla Beck. Villem da³ mu Źó³t¹ kopertê ze zdjêciami, Vladimir zaniós³ je do okna i odwrócony ty³em do Villema bardzo powoli,

jak gdyby to by³y œwiêtoœci z koœcio³a, po kolei ogl¹da³ je pod

œwiat³o, a Ź najwyraŹniej znalaz³ negatyw, którego szuka³, po czym

przygl¹da³ mu siê jeszcze bardzo d³ugo.

- Tylko jeden? - zapyta³ szybko Smiley, znów myœl¹c o dwóch

dowodach. - Jeden negatyw?

- Oczywiœcie.

- Co to by³o, jedna klatka, czy jeden film?

Klatka: Villem by³ tego pewien. Jedna ma³a klatka. Tak,

trzydzieści pięć milimetrów, jak w jego własnej automatycznej

agfie. Nie, nie udało mu się zobaczyć, co to było, tekst czy może

coś innego. Widział jedynie Vladimira, to wszystko.

- Vladi było czerwony, Maks. Szaleństwo na twarzy, Maks, oczy

mu świeciło. To był stary człowiek.

- A w drodze - powiedziała Smiley, przerywając opowieść

Villema, żeby zadać mu zasadnicze pytanie. - A w drodze do domu z

Hamburga ani razu nie przyszedł ci do głowy, żeby zajrzeć do

koperty?

- To była tajemnica, Maks, Tajemnica wojskowa.

Smiley spojrzał na Stellę.

- Nie zrobiłby tego - powiedziała w odpowiedzi na nie wypowiedziane pytanie, - Jest na to za uczciwy.

Smiley dał wierzyć jej słowom.

Villem podj¹³ opowiadanie na nowo. Vladimir schowa³
kopertê

do kieszeni, zabra³ Villema do ogrodu i dziêkowa³ mu,
œciskaj^{1c}

jego d³oñ obur^{1c}z i mówi^{1c} mu, że uczyni³ coœ wielkiego i
wspania³ego; że Villem jest synem swego ojca, że jest nawet
lepszemu od niego i o³nierzem - że naleŹy do
najprzedniejszego

estoñskiego gatunku ludzi solidnych, niezawodnych i
sumiennych;

że dziêki tej fotografii bêd¹ mogli sp³aciæ wiele d³ugów i
powaŹnie daæ siê we znaki bolszewikom; że to zdjêcie jest
dowodem, dowodem, który nie moŹe spotkaæ siê z
obojêtnoœci¹. Nie

wspomnia³ jednak, co to za dowód -powiedzia³ tylko, że Maks
go

zobaczy, uwierzy i wszystko sobie przypomni.

Villem nie ca³kiem rozumia³, dlaczego musieli udaæ siê do
ogrodu, ale s¹dzi³, że stary w zdenerwowaniu przestraszy³ siê
pods³uchu, poniewaŹ mówi³ nieustannie o zachowaniu
ostroŹnoœci.

- Odprowadzam go do furtki, ale nie taksówka. Powiada, że
mnie nie wolno do taksówka. Villem, ja stary, mówi do mnie.
Po

rosyjsku rozmawiamy. Może trupem padnę w przyszłym
tygodniu. Kogo

to obchodzi? Dzień wygraliśmy wielką bitwę. Maks wielce
będzie z

nas dumny.

Uderzony trafnością ostatnich słów Generała, Villem z
ogniem

tyłcem się w oczach z wściekłości porwał się znów na nogi.

- To Sowietci - zawołał. - To szpiegi sowieckie, Maks, one go
zabiły.

Bo za dużo wie.

- Tak jak i ty - powiedziała Stella, a potem zapadło
niezręczne i długie milczenie. - Tak jak i my wszyscy - dodała,
spoglądając na Smileya.

- Tylko tyle powiedziała? - zapytał Smiley. - Nic więcej, na
przykład o wartości tego, co zrobię? Tylko że Maks
uwierzy?

Villem pokręcił głową.

- A o tym, że istnieją jakieś inne dowody?

- Nic - powiedziało Villem - nic więcej.

- Nic, co tłumaczyłoby, w jaki sposób najpierw skontaktował

się z Hamburgiem, jak poczynił niezbędne ustalenia? Czy brali

w tym udział inni członkowie Grupy? Pomyśl, proszę.

Villem myślał, ale bez rezultatu.

- Komu oprócz mnie mówiłeś o tym, Williamie? -
zapytał

Smiley.

- Nikomu, Maks, nikomu - Nie miał na to czasu -
powiedział

Stella.

- Nikomu. W drodze w szoferce spałem, oszczędzam
dziesięć

funtów dziennej diety. My dom za te pieniądze kupuję. Nikomu
nie

mówię w Hamburgu. Nikomu nie mówię w bazie.

- A Vladimir mówi o tym komuś - komuś, kogo
znasz,

oczywiście?

- Z Grupy to nikomu, tylko Mikhelowi, co by³a konieczna, ale

też nie wszystko. Ja się go pytam: Vladimir, kto wie ja to robię dla ciebie?

Tylko Mikhel maleńk¹ odrobinkę, powiada. Mikhel mi pieni¹dz

pożycza, fotokopiarkę mi pożycza, to mój przyjaciel. Ale nawet

przyjacielom nie można ufać. Wrogów bardzo się nie boję, Villem.

Ale wielce boję się przyjaciół³.

Smiley zwróci³ się do Stelli:

- Jeżeli policja w ogóle was odwiedzi - powiedzia³. - Jeżeli przyjad¹, to będą¹ najwyżej wiedzieli, że Vladimir by³ tu wczoraj.

Dorw¹ tego taksjarza, tak jak ja.

Stella przygl¹da³a mu się swymi wielkimi, przebieg³ymi oczami.

- No więc? - zapyta³a.

- No więc nie mówcie im nic więcej. Wiedz¹ tyle, ile

wiedzieæ powinni.

Gdyby odkryli coœ wiêcej, mog³oby to wprawiaæ ich w zak³opotanie.

- Ich czy ciebie? - spyta³a Stella.

- Vladimir przyjecha³ tu wczoraj zobaczyæ Beckie i przywieŸæ

jej prezent. To wasza bajeczka, jak opowiada³ przedtem William.

Vladimir nie wiedzia³, ¿e zabra³æ dziecko na spotkanie z twoj¹ matk¹. Zasta³ Williama, pogadali o starych czasach i pospacerowali po ogrodzie. Nie móg³ czekaæ zbyt d³ugo, bo

przyjecha³ taksówk¹, wiêc wyszed³, nie zobaczywszy siê ani z

tob¹, ani ze swoj¹ córk¹ chrzestn¹. To wszystko.

- A ty by³eœ u nas? - Stella nadal nie spuszcza³a z niego wzroku.

- Je¿eli bêd¹ o mnie pytali, to tak. Przyjecha³em dzisiaj, ¿eby przekazaæ wam niedobre nowiny. Policji wcale nie przeszkadza, ¿e Villem by³ cz³onkiem Grupy. Dla nich liczy siê

tylko teraz niejszoææ.

Smiley znów zainteresowa³ siê Villemem.

- Powiedz, czy przywioz³eæ Vladimirowi coæ jeszcze? -
zapyta³. - Oprócz tego, co znajdowa³o siê w kopercie? Mo¿e
jakie

podarunek? Coæ, co lubi³, a czego sam nie móg³ sobie kupiaæ?

Villem skoncentrowa³ siê ze wszystkich si³, zanim udzieli³
Smileyowi odpowiedzi.

- Papierosy! - wykrzykn¹³ niespodzianie. - Na statek kupi³em
mu francuskie papierosy w prezencie. Gauloises, Maks. On
bardzo

lubi gauloises caporal, z filtrem. Oczywiście.

- A piêædziesi^{1t} funtów, które po¿yczy³ od Mikhela? - spyta³
Smiley.

- Ja odda³. Oczywiście.

- Wszystko?

- Wszystko. Papierosy by³y prezent. Maks, ja kocham tego
cz³owieka.

Stella odprowadzi³a go do drzwi, a przy drzwiach Smiley
³agodnie uj¹³ j¹ za rêkê i wywiód³ kilka kroków w g^{31b} ogrodu,

¿eby jej m¹¿ nie móg³ ich us³yszeæ.

- Jesteœ staroœwiecki - powiedzia³a. - Cokolwiek robicie, wczesniej czy póŹniej jedna ze stron bêdzie musia³a przestaæ.

Jesteœ jak tamci z Grupy.

- B¹dŸ cicho i s³uchaj - powiedzia³ Smiley. - S³uchasz?

- Tak.

- Williamowi z nikim nie wolno rozmawiaæ na ten temat. Z kim

lubi sobie pogadaæ w bazie?

- Z ca³ym œwiatem.

- Zrób, co mo¿esz. Czy dzwoni³ ktoœ jeszcze oprócz Mikhela?

Mo¿e jakaœ pomy³ka? Ktoœ zadzwoni³, a potem od³o¿y³ s³uchawkê?

Myœla³a chwilê, póŹniej pokrêci³a g³ow¹.

- Czy ktoœ was nachodzi³? Domokr¹¿ca, ankieter rynkowy,

misjonarze g³osz¹cy jak¹œ religiê. Tapicer. Nikt? Jesteœ pewna?

Kiedy mu siê tak przygl¹da³a, w jej wzroku pojawi³y siê

jakby oznaki pe³nego zrozumienia i uznania. Potem znów pokrêci³a

g³ow¹, odmawiaj¹c mu siebie jako wspó³niczki, o któr¹ prosi³.

- Trzymaj siê od nas z daleka, Maks. Ty i wy wszyscy. Bez wzglêdu na to, co by siê mog³o wydarzyæ, obojêtnie jakie nieszczêœcie. Jest ju¿ doros³y.

Proboszcz nie jest mu wiêcej potrzebny.

Patrzy³a, jak odchodzi, byæ mo¿e po to, ¿eby siê upewniaæ, ¿e

naprawdê odje¿dzi³a. Podczas jazdy przez chwilê myœl o spoczywaj¹cym w pude³ku negatywie Vladimira mêczy³a go niczym

myœl o ukrytych pieni¹dzach - zastanawia³ siê, czy zdjêcie jest nadal bezpieczne, czy nie powinien zbadaæ go dok³adnie albo

wykonaæ odbitki, poniewa¿ przeniesiono je przecie¿ przez wrogie

pozycje z nara¿eniem ¿ycia. Ale kiedy zbli¿a³ siê do rzeki, zaprz¹ta³y go ju¿ inne myœli i cele. Omijaj¹c Chelsea, w³czy³ siê do posuwaj¹cego siê na pó³noc sobotniego ruchu ulicznego, na

który sk³ada³y siê g³ównie m³ode rodziny w starych samochodach.

Oraz jakie³ motocykl z czarn¹ przyczep¹, wiernie wisz¹cy Smileyowi

na ogonie przez ca³¹ drogê a¿ do samego Bloomsbury.

* * *

Wolna Biblioteka Ba³tycka mieœci³a siê na trzecim piêtrze nad zapylym antykwariatem, specjalizuj¹cym siê w literaturze

spirytystycznej. Maleñkie okna biblioteki wygl¹da³y z ukosa na

frontowy dziedziniec British Museum. Smiley dotar³ na miejsce

krêconymi, drewnianymi schodami, mijaj¹c w trakcie mozolnej

wspinaczki kilka starych, sporz¹dzonych rêcznie tabliczek, obci¹¿aj¹cych podtrzymuj¹ce je pineski, oraz stos br¹zowych

kartonów po artykułach toaletowych, należących do
właścicieli

położonego obok sklepu chemicznego. Znalazłszy się na górze
i

stwierdziwszy, że brak mu tchu, Smiley rozśladnie odczekał
moment

przed naciśnięciem dzwonka. W tym stanie chwilowego
wyczerpania

nawiedziła go pewna halucynacja. Zwidywało mu się
mianowicie, że

nieustannie odwiedza jedno i to samo wysoko położone
miejsce:

mieszkanie - kryjówkę w Hampstead, mansardę Vladimira
w

Westbourne Terrace i teraz ten cichy zaułek z lat
pięćdziesiątych, niegdys punkt zborny tak zwanego
Pospolitego

Ruszenia z Bloomsbury. Wyobraził sobie, że wszystkie te
mieszkania stanowi jedno i to samo miejsce, jakiego poligon
badawczy dla nieokreślonych jeszcze ludzkich cnót. Iluzja
prysła

i Smiley zadzwonił trzy razy krótko, raz długo, zastanawiając

siê, czy nie zmienili przypadkiem sygna³u, choæ w³acœciwie w to

w¹tpi³; ponadto niepokoi³ siê wci¹¿ o Villema albo mo¿e o Stellê,

albo o dziecko. Us³ysza³ skrzypi¹ce gdzieœ blisko klepki pod³ogowe i odgad³, ¿e ktoœ obserwuje go przez judasza z odleg³oœci najwy¿ej trzydziestu centymetrów. Drzwi otworzy³y siê

szybko i Smiley wszed³ do ponurego holu, gdzie zamknê³y go w

uœcisiku dwa ¿ylaste ramiona. Pocz³u gor¹co bij¹ce od tego cia³a,

pot i dym z papierosów oraz nie ogolon¹ twarz, przyciskaj¹c¹ siê do jego twarzy - lewy policzek, prawy policzek, jak gdyby wrêczali mu order -i jeszcze raz lewy policzek jako oznaka szczególnej czu³oœci.

- Maks - zaszemra³ Mikhel g³osem, który sam w sobie stanowi³

requiem. - Przyszed³eœ. Cieszê siê. Mia³em nadzieję, ale nie œmia³em siê spodziewaæ. Mimo wszystko na ciebie czeka³em.

Czeka³em dzień ca³y aż do tej chwili. Kocha³ ciê, Maks.
By³eœ

najlepszy. Zawsze tak mówi³. By³eœ dla niego natchnieniem.
Mówi³

mi. By³eœ wzorem.

- Przykro mi, Mikhel - powiedzia³ Smiley. - Naprawdê mi
przykro.

- Tak jak nam wszystkim, Maks. Tak jak nam wszystkim.

Nieutuleni.

Ale jesteœmy Ÿo³nierzami.

By³ zwinny, lekko przygarbiony i szczup³y, jak przysta³o na
by³ego majora kawalerii, którym mieni³ siê byæ. W jego
brunatnych

oczach, zaczerwienionych wskutek nocnego czuwania, moŸna
by³o

dostrzec pewien smutek, z którym by³o mu ca³kiem do
twarzy.

Ubrany by³ w czarny blezer, zwisaj¹cy z ramion niczym
peleryna,

oraz wyglansowane czarne buty, które istotnie mog³y s³uŸyæ
do

konnej jazdy. Jego siwe włosy obcięte były z wojskową precyzją,

włosy miały gęsty, lecz starannie przystryżony. Na pierwszy rzut oka jego twarz wydawała się młodsza i tylko uważne spojrzenie

na popękanej w niezliczone, małe rowki skórze pozwalało

określać rzeczywisty wiek Mikhela.

Smiley poszedł z nim do biblioteki. Zajmowała cała szerokość

domu; nisze dzieliły ją na pomieszczenia przeznaczone dla trzech

nieistniejących krajów:

Litwy, Łotwy i oczywiście Estonii - w każdej zaś niszy stał stół z flagą i kilka innych stolików, na których wyłożono szachownice, ale nikt nie grał tam w szachy i nikt też nie czytał; w bibliotece w ogóle nie było nikogo z wyjątkiem postawnej, mniej więcej czterdziestoletniej blondyny w spódnicy

mini i w krótkich skarpetkach, sięgających kostek. Jej włosy,

choæ ciemniej¹ce przy skórze w³osy, spiête by³y z ty³u w
obfity

kok, którego w³acécicielka na wpó³ le¹c ko³o samowara,
czyta³a

jakieœ pismo turystyczne, gdzie przedstawiono na zdjêciu las
brzozowy zim¹. Mikhel podszed³ do niej, przystan¹³ i
prawdopodobnie zamierza³ dokonaæ prezentacji, ale na
widok

Smiley a twarz kobiety zap³onê³a niew¹tpliwym i g³êbokim
gniewem.

Spojrza³a na niego, jej usta wygiê³y siê w pogardliwym
grymasie,

a potem odwróci³a wzrok w stronê zasnutego deszczowymi
smugami

okna. Policzki kobiety b³yszcz³a³y od p³aczu, a pod jej
przes³oniêtymi ciê¹kimi powiekami oczyma widaæ by³o
oliwkowe

siñce.

- Elwira równie¹ bardzo go kocha³a - zauwa¹zy³
wyjaœniaj¹co

Mikhel, kiedy kobieta nie mog³a ju¹ ich s³yszeæ. - By³ dla niej

jak brat.

Szkoli³ j¹.

- Elwira?

- Moja żona, Maks. Po wielu latach stali³emy si³e ma³ż³eństwo.

Opiera³em si³e. To nie zawsze jest dobre w naszej robocie. Ale jestem jej winien to zabezpieczenie.

Usiedli. Wokó³ nich na ³ecianach wisia³y wizerunki m³czenników zapomnianych ruchów niepodleg³o³eciowych. Ten ju³ w

więzieniu, sfotografowano go przez druty. Tamten z kolei martwy -

i jak w przypadku Vladimira odci¹gni³ęto prze³ecierad³o, ³eby

ods³oni³æ jego zakrwawion¹ twarz. Trzeci ³emieje si³e, na g³owie ma

workowat¹ czapk³e partyzanta i trzyma w d³oniach karabin o d³ugiej

lufie. Z drugiego końca pokoju dobieg³ ich odg³os niewielkiej eksplozji, a potem soczyste rosyjskie przekleństwo. To Elwira, po³owica Mikhela, rozpala³a samowar.

- Przykro mi - powtórz³ Smiley.

"Wrogów siê nie bojê, Villem - pomysla³ Smiley. - Ale wielce

obawiam siê przyjació³".

Siedzieli w osobistej niszy Mikhela, któr¹ nazywa³ swym biurem. Na stole obok staromodnego telefonu sta³a wysoka maszyna

do pisania firmy Remington, taka sama jak ta w mieszkaniu Vladimira. Ktoœ musia³ ich kiedyœ kupiaæ ca³e mnóstwo, pomysla³

Smiley. Ale centralny punkt pomieszczenia stanowi³o wysokie,

rêcznie rzeŹbione krzes³o z toczonymi spiralnie nógkami i wyhaftowanym z ty³u na oparciu herbem królewskim. Mikhel usiad³

sztynno na krzesle, kolana i buty z³1czone razem, zastêpczy monarcha zbyt ma³y jak na swój tron. Zapali³ papierosa, którego

trzyma³ pionowo, od do³u. W górze wisia³ nad nim ca³un tytoniowego dymu, dok³adnie tam, gdzie Smiley zawsze go pamiêta³.

W koszu na oemiecì le¿a³o kilka porzuconych egzemplarzy pisma

"Sporting Life".

- By³ wozdem, Maks, by³ bohaterem - oœwiadczy³ Mikhel.

-

Musimy spróbowaaæ wykorzystaaæ jego przyk³ad i odwagê. -
Przerwa³,

jak gdyby spodziewa³ siê, ¿e Smiley zanotuje tê wypowiedŸ
z

zamiarem jej póŸniejszej publikacji. - W takich wypadkach
rzecz¹

naturaln¹ jest zadaæ sobie pytanie, jak mo¿liwe jest dalsze
dzia³anie. Kto wart jest tego, by iœæ w jego œelady? Kto
posiada

jego postawê, jego honor, jego poczucie przeznaczenia?

Na szczêœcie nasz ruch wci¹¿ trwa. Jest wiêkszy ni¿
jakakolwiek jednostka, a nawet jakiegokolwiek ugrupowanie.

Smiley s³ucha³ wypolerowanych zdañ Mikhela, patrzy³ na
jego

wypolerowane buty i ze zdumieniem zastanawia³ siê, ile ten

człowiek ma lat. Przypomniał sobie, że Rosjanie zajęli Estonię
w

roku tysięcznym dziewięćset czterdziestym. Jeżeli Mikhel był
wówczas

oficerem kawalerii, to nie może mieć teraz ani dnia mniej niż
sześćdziesiąt lat. Usiłowałam przeczytać w całości resztę
burzliwej

biografii Mikhela: druga droga, wiedząca przez zagraniczne,
wojny,

pozbawione zaufania brygady narodowe, wszystkie
rozdzieliły

historii obecne w tym drobnym ciele. Był ciekaw, ile lat liczył
sobie buty.

- Opowiedz mi o jego ostatnich dniach, Mikhel -
zapropozowała

Smiley. - Czy był aktywny do końca?

- Bardzo aktywny, Maks, aktywny pod każdym względem.
Jako

patriota. Jako człowiek. Jako przywódca.

Elwira z równie jak poprzednio pogardliwie miała postawiła

przed nimi herbatę, dwie filiżanki, cytrynę i małe
marcepanowe

ciasteczka. Jej sposób poruszania się był zastanawiający,
korysa pynn timer biodrami z nutką posępnego wyzwania.
Smiley

próbował przypomnieć sobie także i jej życiorys, ale nie umiał
go

jednak odtworzyć, a może po prostu nigdy go nie znał.

Był dla niej jak brat, pomyślał. Szkoła. Ale co z jego
własnego życia ostrzegło go już dawno temu, żeby nie
wierzył

żadnym wyjaśnieniom, a zwłaszcza wyjaśnieniom miłości.

- A jako członek Grupy? - zapytał Smiley, kiedy zostali
sami. - Też był aktywny?

- Zawsze - powiedziała ponuro Mikhel.

Nastąpiła krótka pauza, podczas której z uprzejmości czekali
na siebie wzajemnie, a żeby któryś z nich poprowadził
rozmowę.

- Jak myślisz, Mikhel, kto to zrobił? Czy ktoś go zdradził?

- Maks, wiesz równie dobrze jak ja, kto go zabił. Wszyscy

ponosimy ryzyko. Wszyscy. Wezwanie może nadejść w każdej chwili.

Ważne, żeby być na to przygotowanym. Jeżeli chodzi o mnie, jestem

gotów, jestem przygotowany. Jeżeli odejdę, Elwira

ma zabezpieczoną przyszłość. To wszystko. Dla bolszewików my,

wygnañcy, pozostajemy wrogiem numer jeden.

Anatema. Niszcz nas tam, gdzie tylko mogliście. Wciście. Tak jak kiedyś zniszczyli nasze wioski, nasze wsie, nasze szkoły i naszą kulturę. I mają rację, Maks.

Mają rację, że się nas boją. Bo pewnego dnia ich pokonamy.

- Ale czemu wybrali akurat ten moment? - zaproponowałam zgodnie

Smiley po tym cokolwiek rytualnym oświadczeniu. - Mogli zabijać

Vladimira już dawno temu.

Mikhel wyjął paskie, blaszane pudełeczko z przymocowanymi

do niego dwoma maleńkimi wa³eczkami, wygl¹daj¹cymi jak magiel,

oraz paczkê grubych bibu³ek papierosowych. Poliza³ brzeg bibu³ki,

u³o³z³ j¹ na wa³kach i nasypa³ tytoniu. Trzask, magiel przekrêci³ siê, i oto na srebrnej powierzchni le³a³ gruby, lu³no ubity skrêt. W³a³enie mia³ go zapalia^æ, kiedy nadesz³a Elwira i odebra³a

Mikhelowi papierosa. Skrêci³ sobie nowego i i schowa³ pude³eczko

do kieszeni.

- Chyba ³e Vladi co^æ knu³, jak przypuszczam - ci¹gn¹³ dalej

Smiley po tych teatralnych manipulacjach. - Chyba ³e ich w jaki^æ

sposób sprowokowa³; co jak go znam, jest ca³kiem mo³liwe.

- Kto to mo³e wiedzie^æ? - powiedzia³ Mikhel i uwa³nie wydmuchn¹³ dym ponad ich g³owami.

- Jeceli ktokolwiek, to chyba tylko ty. Vladimir na pewno ci siê zwierza³.

By³e^æ jego praw¹ rêk¹ przez przesz³o dwadzie^æcia lat.

Najpierw w Pary³u, potem tutaj. Nie mów mi, ³e ci nie ufa³ -

powiedzia³ chytrze Smiley.

- Nasz przywódca by³ skrytym cz³owiekiem, Maks. Na tym polega³a jego si³a. Musia³ byæ taki. To by³a wojskowa koniecznoœæ.

- Ale nie by³ chyba skryty wobec ciebie? - naciska³ Smiley swym najbardziej przypochlebnym tonem. - Wobec swojego paryskiego adiutanta.

Swego aide - de - camp. Swego zaufanego sekretarza. Ej¿e, jesteœ dla siebie niesprawiedliwy.

Mikhel na tronie pochyli³ siê nieco ku przodowi i po³o¿y³ sw¹ drobn¹ d³oñ dok³adnie na sercu. W jego niskim g³osie pobrzmiewa³ teraz jeszcze g³êbszy ton.

- Maks. Nawet wobec mnie. Nawet wobec Mikhela pod koniec.

Chcia³ mnie ochroniaæ. Oszczêdziaæ mi niebezpiecznych informacji.

Powiedzia³ mi nawet: Mikhel, bêdzie lepiej jeœli ty - nawet ty - nie bêdziesz wiedzia³, co zwymiotowa³a przesz³oœæ. Zaklina³em go.

Na próżno. Któregoś wieczoru przyszed³ do mnie. Tutaj.
Spa³em na

górze. Zadzwo³ni³ w ten nasz specjalny sposób: Mikhel,
potrzebujê

piêædziesiêciu funtów.

Wróci³a Elwira, tym razem z pust¹ popielniczk¹, i kiedy
stawia³a j¹ na stole, Smiley odczu³ przyp³yw zdenerwowania
jak

niespodziewane dzia³anie narkotyku. Zdarza³o mu siê
przeçywaæ coæ

podobnego, kiedy prowadzi³ samochód, oczekuj¹c kraksy, która
nie

mia³a nast¹piæ. I zdarza³o mu siê to przeçywaæ z Ann¹, kiedy
patrzy³, jak wraca z jakiegoæ rzekomo niewinnego spotkania
i

wiedzia³ - po prostu wiedzia³ - çe wcale nie by³o niewinne.

- Kiedy to by³o? - zapyta³, gdy Elwira znowu wysz³a.

- Dwanaæcie dni temu. Tydzieñ licz¹c od zesz³ego
poniedzia³ku. Po sposobie jego zachowania pozna³em od razu,
çe

sprawa jest powaçna.

Nigdy przedtem nie prosi³ mnie o pieni¹dze. Generale -
powiadam do niego. Szykujesz spisek. Powiedz mi, o co chodzi.
Ale

on krêci tylko g³ow¹.

S³uchaj -mówiê mu - jeżeli to spisek, pos³uchaj mojej rady i
id^ÿ do Maksa.

Odmówi³.

Mikhel, powiada. Maks to dobry cz³owiek, ale utraci³
zaufanie do naszej Grupy. Chcia³by nawet, Ÿebyœmy ju^z
zaprzestali

walki. Ale kiedy z³owiê ju^z tê grub¹ rybê, któr¹ mam nadzieję
schwytaæ, to pójdê wtedy do Maksa, za¹dam zwrotu naszych
kosztów

i byæ mo^ze jeszcze wielu innych rzeczy.

Ale uczyniê to dopiero potem, nie teraz. Tymczasem nie
mogê

przecie^z prowadziæ interesów w brudnej koszuli. Mikhel,
proszê.

Po^zycz mi piêædziesi¹t funtów. To najwa^zniejsza misja w
ca³ym

moim życiu. Sięga daleko w naszą przeszłość. Dokładnie
jego

sowa. Miałem w portfelu pięćdziesiąt funtów -na szczęście
tego

dnia dokonałem udanej inwestycji - i daję mu pieniądze.

Generale - mówi. Niech pan weźmie wszystko, co mam.
To, co

należy do mnie, należy do ciebie. Proszę - powiedziało Mikhel i
chciał podkreślić swój gest - albo może chciał nadać mu
znaczenie -

zaciągnął się głęboko swoim ósmym papierosem.

W brudnym oknie powyżej Smiley dostrzegł odbicie
Elwiry,

stojącej na środku pokoju i przysłuchującej się rozmowie.
Mikhel

zauważył ją także i marszczył brwi, chociaż nawet żonie srogie
spojrzenie, ale wydawało się, że nie chce lub nie może
nakazać

jej odejść.

- To bardzo pięknie z twojej strony - powiedziało Smiley po
odpowiedniej przerwie.

- To by³ mój obowi¹zek, Maks. Z serca p³yn¹cy. Nie znam innego prawa.

Ona gardzi mn¹ za to, że nie pomog³em staremu, pomyœla³

Smiley. Dopuœcili j¹ do tajemnicy, wiedzia³a o wszystkim, a teraz

gardzi mn¹ za to, że nie pomog³em mu, kiedy mnie potrzebow³. By³

dla niej jak brat, przypomnia³ sobie. Szkoli³ j¹.

- A ta wizyta u ciebie, ta proœba o fundusze operacyjne - powiedzia³ Smiley. - Spad³a jak grom z jasnego nieba? Nie dzia³o

siê wczœniej nic takiego, co wskazywa³oby na to, że Vladimir

szykuje coœ wielkiego?

Mikhel znów zmarszczy³ brwi, zwleka³, i by³o jasne, że nie przejmowa³ siê zbytnio pytaniami.

- Mo¿e jakieœ dwa miesi¹ce temu Vladimir dosta³ list - powiedzia³ ostro¿nie Mikhel. - Tutaj, na ten adres.

- Dostawa³ tak ma³o listów?

- Ten list by³ szczególny - powiedzia³ Mikhel z podobn¹

przezorności¹, co poprzednio i Smiley nagle zda³ sobie sprawę,
że

jego rozmówca znalaz³ się w miejscu, które oficerowie oledczy
z

Sarratt nazywali rogiem przegrywaj¹cych, ponieważ Mikhel
nie

wiedzia³ - mógł³ się jedynie domyślać - czego Smiley zdo³a³
się

już przedtem dowiedzieć. A zatem Mikhel będzie
zazdroceni

ujawnia³ swoje informacje w nadziei, że może uda mu się
określić

si³ę ręki Smileya w trakcie rozmowy.

- Od kogo by³ ten list?

Mikhel odpowiedzia³ jak zwykle na nieco inne pytanie.

- List by³ z Paryża, Maks, d³ugi, wiele stron, pisany
odręcznie.

Zaadresowany do Genera³a osobiście, nie na nazwisko
Miller.

Do r¹k w³asnych Genera³a Vladimira. Na kopercie napisane by³o
po

francusku: "Do r¹k w³asnych".

Przyszed³ list, zamkn¹³em go u siebie w biurku; o jedenastej jak zawsze wchodzi Vladimir: Oddajê ci honory, Mikhel. Możesz mi

wierzyæ, że czasami nawet sobie salutowaliśmy. Podajê mu list,

siada - Mikhel wskaza³ tê czêœæ pokoju, gdzie przebywa³a Elwira -

siada, otwiera go niedbale, jak gdyby niczego siê po nim nie spodziewa³, i widzê, jak staje siê stopniowo coraz bardziej przejêty.

Zatopiony w lekturze. Rzek³bym urzeczony. Rozogniony nawet.

Mówiê coœ do niego. Nie odpowiada. Znów siê odzywam - znasz go

przeciej - w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Poszed³ siê przejœæ.

Powrócê - powiedzia³.

- List zabra³ ze sob¹?

- Naturalnie. Mia³ zwyczaj spacerowaæ, kiedy musia³

przemycieæ jak¹œ nies³ychanie wa¿n¹ sprawê. Gdy wróci³,

zauwa¿y³em, ¿e jest niezwykle podniecony. Spiêty. Mikhel. Wiesz,

jak on mówi³. Wszyscy musieli s³uchaæ.

Mikhel, weŸ fotokopiarkê. W³ó¿ do niej dla mnie trochê papieru. Muszê skopiowaæ pewien dokument. Spyta³em go, ile chce

kopii. Jedn¹. Pytam go, ile stron. Siedem. Stañ proszê piêæ kroków ode mnie, kiedy bêdê pracowa³ przy kopiarce, powiada. Nie

mogê wci¹gaæ ciê w tê sprawê.

Mikhel ponownie wskaza³ w³œciwe miejsce, jak gdyby

dowodzi³o ono absolutnej prawdziwoœci tej historii. Czarna kopiarka sta³a na osobnym stole niby stara lokomotywa parowa,

pe³na rolek i otworów, przez które wlewa siê rozmaite chemikalia.

Genera³ nie zna³ siê na maszynach, Maks.

Przygotowa³em mu urz¹dzenie - sta³em wtedy tutaj - o, tak -

i wykrzykiwa³em polecenia na ca³y pokój. Kiedy skończy³,
posta³

chwilê nad schn¹cymi kopiami, a potem z³o³ł³y³ je i schowa³
do

kieszeni.

- A orygina³?

- Orygina³ te³ schowa³ do kieszeni.

- A zatem nigdy nie czyta³e³ tego listu? - powiedzia³ Smiley
z niewyra³Ńnym wespół³czuciem.

- Nie, Maks. Ze smutkiem muszê przyznaæ, że nie.

- Ale widzia³e³ kopertê. Mia³e³ j¹ u siebie, żeby oddaæ list
Vladimirowi, kiedy przyjdzie.

- Mówi³em ci, Maks. List by³ z Pary³ła.

- Z której dzielnicy?

Znów wahanie. - Z piêtnastej - powiedzia³ Mikhel. -
Wydaje

mi siê, że z piêtnastej. Mieszka³o tam niegdye wielu naszych
ludzi.

- A data? Móg³bye j¹ jakoe bli³ej okreœliæ? Powiedzia³e³,
że

by³o to mniej wiêcej dwa miesi¹ce temu.

- Na pocz¹tku wrzeœnia. Powiedzia³bym, Ÿe na pocz¹tku wrzeœnia. Mo¿e pod koniec sierpnia. Gdzieœ tak szeœæ tygodni temu.

- Adres na kopercie by³ tak¿e napisany odrêcznie?

- Tak, Maks. Odrêcznie.

- Jakiego koloru by³a koperta?

- Br¹zowego.

- A kolor atramentu?

- Chyba niebieski.

- By³a zapieczêtowana?

- Proszê?

- Czy koperta by³a zapieczêtowana woskiem albo mo¿e wzmocniona tacem¹ samoprzylepn¹? Czy by³a tylko zwyczajnie zaklejona?

Mikhel wzruszy³ ramionami, jak gdyby takie szczeg³y nie mog³y go obchodziæ.

- Ale nadawca umieścił chyba na kopercie swoje nazwisko?

-

Smiley naciska go delikatnie.

Jeżeli tak, to Mikhel nie miał zamiaru tego potwierdzić.

Przez chwilę Smiley pozwolił swoim myślom błądzić wokół

ukrytej w szatni w "Savoyu" brązowej koperty i zawartej w niej

żarliwej prośby o pomoc. Dzieło rano wydawało mi się, że chcę

zabić. Czy nie mógłby mi pan raz jeszcze przysłać swego czarodziejskiego przyjaciela? Paryski stempel, pomyślał.

Piętnasta dzielnica. Po pierwszym liście Vladimir podał nadawcy

swój adres domowy, myślał Smiley. Tak jak podał Villemowi swój

telefon do domu. Po pierwszym liście Vladimir chciał

pewność, że dalsza korespondencja nie trafi do Mikhela.

Zadzwonił telefon i Mikhel odebrał go natychmiast, rzucając krótkie "tak"? Potem już tylko sucha.

- Dla mnie obstaw kaźd¹ moŹliwoœæ po pi¹tce -
zamrucza³,

odk³adaj¹c s³uchawkê z w³adcz¹ godnoœci¹.

Smiley przeszed³ teraz do zasadniczego celu swojej wizyty i
bardzo uwaŹa³, Źeby pod¹Źaæ dalej z maksymaln¹ rezerw¹.
Pamiêta³,

Źe Mikhel, który przy³iczaj¹c siê do Grupy w ParyŹu zwiedzi³
juŹ

wczesniej po³owê aresztów œledczych w Europie Wschodniej,
mia³ w

zwyczaju zwalniaæ, kiedy go popêdzano, i w swoim czasie w
ten

sposób doprowadzi³ oficerów w Sarratt niemal do szaleñstwa.

- Czy mogê ciê o coœ zapytaæ? - powiedzia³ Smiley,
wybieraj¹c drogê okrêŹn¹ w stosunku do g³ównego
kierunku

dochodzenia.

- Proszê.

- Czy Vladimir zosta³ tutaj tego wieczoru, kiedy przyszed³
poŹyczyæ od ciebie pieni¹dze? Zrobi³eœ mu herbatê?
MoŹe

zagrałicie w szachy?

Móg³być mi nieco bliżej opisać ten wieczór?

- Grałicemy w szachy, ale nie byliemy skoncentrowani. On
by³

przejęty, Maks.

- Mówi³ coś więcej o tamtej grubej rybie?

Smutne oczy sentymentalnie zlustrowa³y Smileya.

- Proszê, Maks?

- Gruba ryba. Operacja, któr¹, jak twierdzi³, planowa³.

Ciekaw jestem, czy nie rozwin¹³ jakoś tego tematu.

- Nic. Zupe³nie nic. By³ absolutnie tajemniczy.

- Czy mia³oś wrażenie, że sprawa dotyczy jakiegoś
obcego

kraju?

- Wspomina³ tylko, że nie ma paszportu. Zrani³o go -
mówiê

ci to otwarcie, Maks - bola³o go, że Cyrk nie ufa³ mu na tyle,
aby wyrobiæ mu paszport.

Po tylu latach s³u³by z takim poœwiêceniem - to go bola³o.

- Chodzi³o o jego w³asne dobro, Mikhel.

- Maks, ja to rozumiem całkownie. Jestem młodszy, jestem człowiekiem oświatowym, elastycznym. Generał bywa niekiedy impulsywny, Maks.

Podjmowaliśmy czasem z konieczności pewne kroki, mające

określone jego zapędy, nawet ci z nas, którzy go podziwiali. Ale

dla człowieka jako człowieka było to niepojęte. Po prostu obelga.

Smiley usłyszała za sobą głośny tupot stóp Elwiry, która ciężkim krokiem z pogardą powróciła w swój róg pokoju.

- A kto zdaniem Vladimira miałby za niego podróżować?
-

zapytała Smiley, ponownie nie zwracając na nią uwagi.

- Villem - powiedziała Mikhel z widoczną dezaprobatą. - Nie mówi mi tego wprost, ale zdaje mi się, że wysyła Villema. Takie

mało wrażenie. Nie pojedzie Villem. Generał Vladimir z dumą

mówi³ o m³odości i szlachetności Villema. A także o jego ojcu.

Zrobi³ nawet odniesienie historyczne. Mówi³ o wprowadzeniu nowego

pokolenia, które mia³oby pomóc³ krzywdy starych.

By³ bardzo wzruszony.

- Dok¹d go pos³a³? Czy Vladi wspomina³ o tym w jakikolwiek

sposób?

- Nie mówi mi. Powiada tylko: Villem ma paszport, to odważny

ch³opak, dobry Ba³t, zrównoważony, może podróżować, ale trzeba go

jednak ochraniać. Nie wnikam w to. Nie wtykam nosa w nie swoje

sprawy. To nie w moim stylu. Wiesz o tym.

- Mimo to wyrobi³ę sobie chyba jakieś zdanie na ten temat -

powiedzia³ Smiley. - Zawsze tak jest. Przecież nie ma znowu tylu

miejsc na świecie, gdzie mógł³by swobodnie pojechać.

Zw³łaszcza za

pięćdziesiąt funtów.

A poza tym jest jeszcze praca Villema, prawda? Nie mówi

już o jego żonie. Nie mógł tak po prostu nie stąd, nie zow wyskoczyć gdzieś sobie, kiedy mu przyszeła ochota.

Mikhel wykonał bardzo wojskowy gest. Wydrwiał wargi, wyrcał

niemal w całość na drugą stronę, po czym dwoma palcami zaczął

bezlitośnie miotać swój nos.

- Generał prosi mnie jeszcze o mapy - powiedziało w końcu. -

Wahałem się, czy mam ci o tym powiedzieć. Jesteś jego

proboszczem, Maks, ale nie jesteś człowiekiem naszej sprawy. A

jednak mam do ciebie zaufanie, powiem ci.

- Jakie to były mapy?

- Mapy uliczne. - Skinął głową w stronę półek, jak gdyby wzywał je do siebie. - Plany miast: Gdańska, Hamburga, Lubeki, Helsinek. Wybrzeża północnego.

Prosi³em: Generale, sir. Prosz^ê pozwolia^æ mi pomóc:
mówi³em.

Prosz^ê.

Jestem pana pomocnikiem do wszystkiego. Mam prawo.
Vladimir.

Prosz^ê mi pozwolia^æ pomóc. Odmówi³. Chcia³, ζ eby to
pozosta³o jego
prywatn¹ spraw¹.

Regu³y Moskiewskie, pomysla³ znowu Smiley Mnóstwo
map i

tylko jedna z nich jest istotna. I raz jeszcze, jak zauwa³y³

Smiley, Vladimir zastosowa³ odpowiednie œrodki wobec
zaufanego

adiutanta, a³eby ukry^æ przed nim prawdziwy cel swoich
dzia³a^ñ.

- Potem wyszed³?

- Tak jest.

- O której?

- By³o pó³Ÿno.

- Jak pó³Ÿno?

- Druga. Trzecia. Mo³e nawet czwarta. Nie jestem pewien.

Smiley poczuł, że wzrok Mikhela unosi się ponad jego ramię, zmierza gdzieś dalej i pozostaje tam, i wtedy instynkt, którym jak sięga pamięci zawsze kierował się w życiu, nakazał mu zapytać:

- Czy Vladimir przyszedł sam?

- Oczywiście, Maks. Kogo miałby przyprowadzić?

Przerwał im brzęk naczyń, ponieważ w drugim końcu pokoju

Elwira niezdarnie zabrała się na powrót do wypełniania swoich

domowych zajęć.

Ociemliwszy się spojrzał na Mikhela w tym właśnie momencie,

Smiley spostrzegł, że Mikhel przygląda się jej z wyrazem twarzy,

który był mu znajomy, ale którego przez ułamek sekundy nie umiał

określić: wyglądał na zrozpaczonego i zarazem pełnego czułości,

na cz³owieka rozdartego pomiêdzy zale¿noœci¹ i obrzydzeniem.
A¿

nagle z ohydñ¹ empati¹ Smiley zorientowa³ siê, ¿e patrzy w
twarz

o oczach równie przekrwionych jak oczy Mikhela, ¿e patrzy w
twarz

samemu sobie, tak jak czyni³ to ju¿ tylekroæ w ³adnych,
poz³acanych lustrach Anny w domu na Bywater Street.

- Co zatem zrobi³eœ, skoro nie pozwoli³ ci pomóc? - zapyta³
Smiley z t¹ sam¹ udan¹ niedba³oœci¹. - Siedzia³eœ, czytaj¹c do
póŸnego wieczora? Gra³eœ w szachy z Elwir¹?

Br¹zowe oczy Mikhela przygl¹da³y mu siê przez chwilê,
umknê³y gdzieœ w bok i znów na niego spojrze³y.

- Nie, Maks - odpar³ z ogromn¹ kurtuazj¹. - Da³em mu te
mapy. Pragn¹³ pozostaæ z nimi sam na sam. W¹czy³em mu
dobrej
nocy. Spa³em ju¿, kiedy wyszed³.

Ale Elwira pewno nie spa³a, pomysla³ Smiley. Czeka³a
na
szkolenie u swego zastêpczego brata. Aktywny jako patriota,
jako

człowiek, jako przywódca, powtarza Smiley. Aktywny pod każdym

względem.

- Jak często kontaktowaliście się od tamtej pory? - zapytał Smiley i Mikhel powrócił nagle do wczorajszego dnia. Nic się nie

działo aż do wczoraj, powiedział.

- Wczoraj po południu zadzwoniłem do mnie. Maks, przysięgam, że od wielu lat nie słyszałem go tak podekscytowanego. Był szczęśliwy, powiedziałbym nawet, że nie

posiada się z radości. Maks, on był zachwycony.

Miał mnie odwiedzić tego wieczoru. Zeszłego wieczoru. Może i

powinno, ale miał mi przynieść te pięćdziesiąt funtów.

Generale,

mówi do niego. Co to jest pięćdziesiąt funtów? Jest pan zdrowy?

Bezpieczny? Proszę mi powiedzieć. Mikhel, byłem na rybach i

jestem szczęśliwy. Nie k³adŸ siê spaæ, powiada. Bêdê o jedenastej

albo troszkê póŸniej. Przyniosê pieni¹dze. Muszê tak¿e wygraæ z

tob¹ w szachy, ¿eby ukoiaæ nerwy. Nie k³adê siê spaæ, robiê herbatê, czekam na niego.

I czekam. Maks, jestem ¿o³nierzem, nie bojê siê o siebie.

Ale ba³em siê o Genera³a, ba³em siê o tego starca, Maks.

Dzwoniê

do Cyrku, nag³y wypadek. Odk³adaj¹ s³uchawkê. Dlaczego?

Maks,

dlaczego to zrobi³eœ?

- Nie by³em tego dnia na s³u¿bie - powiedzia³ Smiley bacznie obserwuj¹c Mikhela, na ile tylko pozwala³a mu ostro¿noœæ.

-

Mikhel, powiedz mi -zac¹³ Smiley.

- Maks.

- Jak myœlisz, co Vladimir zamierza³ uczyniaæ po waszej rozmowie telefonicznej, kiedy zadzwoni³ przekazaæ ci dobre nowiny

- a przed przyjœciem do ciebie, kiedy to mia³ ci zwróciaæ

pięćdziesiąt funtów?

Mikhel nie waha się.

- Przypuszczam oczywiście, że pójdzie do Maksa -
powiedzia. - Złowi swój grub ryb. Teraz pójdzie do
Maksa,

zajda zwrotu kosztów, przedstawi mu wspaniałe
wiadomości.

Oczywiście - powtórz, patrz Smileyowi w oczy nieco
zbyt

otwarcie.

Oczywiście, pomyśla Smiley; a ty co do minuty
wiedzia,

kiedy wyjdzie z domu, i co do metra zna trasę, którą będzie
szed do mieszkania w Hampstead.

- Więc nie pojawi się, zadzwoni do Cyrku, a my nie
udzieliliśmy ci pomocy - podj Smiley. - Przepraszam. Co
zrobi potem?

- Dzwoni do Villema. Po pierwsze dlatego, żeby się
dowiedzieć, czy nic mu się nie stało, a także po to, żeby
zapytać, gdzie jest nasz Generał. Ta jego angielska żonka

zwymyœla³a mnie. W koñcu poszed³em do niego do domu. Nie chcia³em

- to by³o najœcie - jego Ÿycie osobiste to jego Ÿycie osobiste - ale poszed³em. Zadzwonil³em do drzwi. Nie otwiera³.

Wróci³em do

domu. Dzieœ rano o jedenastej dzwoni Jurij. Nie czyta³em wczesnych

wydañ wieczornych gazet, nie przepadam za angielskimi gazetami.

Jurij je czyta³.

Nasz przywódca Vladimir zgin¹³ - zakoñczy³ Mikhel.

U jego boku stanê³a Elwira. Na tacy przynios³a dwa kieliszki wódki.

- Proszê - powiedzia³ Mikhel. Smiley wzi¹³ kieliszek, Mikhel uj¹³ drugi.

- Za Ÿycie - powiedzia³ bardzo g³oœno Mikhel i wypil³. Ÿzy nap³ynê³y mu do oczu.

- Za Ÿycie - powtórzy³ Smiley. Elwira tymczasem obserwowa³a

ich obu.

Posz³a razem z nim, pomys³a³ Smiley. Zmusi³a Mikhela,
¿eby

poszed³ do mieszkania starego, zaci¹gnê³a go pod drzwi.

- Mówi³eœ o tym komuœ, Mikhel? - zapyta³ Smiley,
kiedy

Elwira znów wysz³a.

- Jurijowi nie ufam - powiedzia³ Mikhel, wydmuchuj¹c nos.

- Powiedzia³eœ mu o Villemie?

- Proszê?

- Wspomina³eœ mu o Villemie? Zasugerowa³eœ w
jakikolwiek

sposób, ¿e Villem by³ byæ mo¿e zwi¹zany z Vladimirem?

Takiego grzechu Mikhel najwyraŹniej nie pope³ni³.

- Nie powinieneœ ufaæ w tej sprawie nikomu - powiedzia³

Smiley nieco bardziej oficjalnym tonem, jak gdyby szykowa³
siê

ju¿ do wyjœcia. - Nawet policji. Takie s¹ rozkazy. Policja nie
mo¿e wiedzieæ, ¿e Vladimir tu¿ przed œmierci¹ podejmowa³
jakieœ

dzia³ania operacyjne. Jest to istotne dla bezpieczeñstwa.

Zarówno

waszego, jak i naszego. A poza tym nie zostawi³ ci już żadnej wiadomości? Na przykład jakiejś informacji dla Maksa?

"Powiedz Maksowi, że chodzi o Piaskowego Dziadka", pomyśla³.

Mikhel uśmiechem wyrazi³ swój żal.

- Czy Vladimir wspomina³ ostatnio o Hektorze, Mikhel?

- Hektor nie mógł³ mu się do niczego przydać.

- Vladimir tak powiedział³?

- Maks, proszę. Nie mam nic przeciwko Hektorowi osobicie.

Hektor to Hektor, nie jest dżentelmenem, ale w naszej pracy musimy korzystać z ludzi rozmaitego pokroju. Tak mówi³ Genera³.

Nasz przywódca był³ starym człowiekiem. Hektor - powiada Vladimir.

Hektor jest do niczego.

Nasz dobry listonosz Hektor jest jak banki w City. Ludzie twierdzą¹, że kiedy pada, bank odbiera ci parasol. Taki sam jest nasz listonosz Hektor. Proszę.

To mówi Vladimir. Nie Mikhel. Hektor jest do niczego..

- Kiedy to powiedzia³?
- Mówi³ tak kilka razy.
- Niedawno?
- Tak.
- Jak niedawno?
- Mo¿e dwa miesi¹ce temu. Mo¿e mniej.
- Po tym, jak dosta³ list z Pary¿a, czy przedtem?
- Potem. Bez w¹tpienia.

Mikhel jako d¿entelmen odprowadzi³ go do drzwi, choœ
Toby

Esterhase d¿entelmenem nie by³. Elwira pal¹c papierosa
siedzia³a

na swoim miejscu przy samowarze nad tym samym zdjêciem
brzozowego

lasu. Kiedy Smiley j¹ mija³, us³ysza³ bêd¹cy ostatnim wyrazem
jej

pogardy coœ jakby syk, wydany przez nos lub usta - albo jedno
i

drugie.

- I co wy teraz poczniecie? - zapyta³ Mikhela tak, jak pyta

się zazwyczaj ludzi, którzy utracili kogoś bliskiego. K¹tem
oka

Smiley dojrza³, jak na d⁵więk tego pytania Elwira unios³a
g³owê i

jak palce jej d³oni rozpostar³y się na stronicy pisma.

Uderzy³a go ostatnia myśl:

- I nie pozna³ość charakteru pisma? - dopytywa³ się Smiley.

- Charakteru czyjego pisma, Maks?

- Na liście z Paryż²a, I naraz nie mia³ już czasu, żeby
czekać na odpowied⁵; naraz mia³ już doość wszelkich
wybiegów.

- Do widzenia, Mikhel.

- Jed⁵ ostrożnie, Maks.

G³owa Elwiry ponownie zniknê³a wśród brzoź.

Nigdy się nie dowiem, pomyœla³ Smiley, schodz¹c szybko
po

drewnianych schodach. Nie dowie się nikt z nas. Czy by³
Mikhelem

Zdrajc¹, nienawidz¹cym starca, dziel¹cego z nim jego kobietê, i
3akn¹cym tak d³ugo odmawianej mu korony? Czy by³
bezinteresownym

oficerem i dżentelmenem Mikhelem, wiernym na zawsze s³ug¹? A

mo¿e, jak tyle innych lojalnych s³ug, by³ jednym i drugim?

Myœla³ o jego dumie kawalerzysty, równie delikatnej jak ka¿da s³abostka ka¿dego bohatera. Myœla³, ¿e by³ dumny ze swej

pozycji stró¿a i satrapy Genera³a.

Myœla³ o jego poczuciu krzywdy z powodu wykluczenia go z

gry. I znów o jego dumie - jak¿e wiele posiada³a odcieni. Ale jak

szeroki by³ jej zasiêg?

Czy obejmowa³a na przyk³ad mo¿liwoœæ szlachetnej s³u¿by dwóm

panom? Panowie, s³u¿y³em wam obu wiernie, powiada idealny

podwójny agent u schy³ku swego ¿ycia. I to powiada z dum¹,

pomyœla³ Smiley, który zna³ takich agentów bardzo wielu.

Myœla³ o siedmiostronicowym liœcie z Pary¿a. Myœla³ o drugim

dowodzie.

By³ ciekaw, dok¹d powêdrowa³a fotokopia - mo¿e do To
byego?

Zastanawia³ siê, gdzie mo¿e znajdowaæ siê orygina³. A kto
pojecha³ do Pary¿a? - myœla³.

Je¿eli Villem pojecha³ do Hamburga, to kim by³ ma³y
Czarodziej?

Smileya ogarnê³o potworne zmêczenie. Uderzy³o go jak
atakuj¹cy nieoczekiwanie wirus. Czu³ je w kolanach, w
biodrach, w

ca³ym swoim osuwaj¹cym siê na ziemiê cieie. Ale szed³ dalej,
jego

umys³ odmawia³ bowiem odpoczynku.

* * *

Ostrakowa ledwie mog³a chodziæ, ale tylko na tym jej
zale¿a³o. Móc chodziæ i czekaæ na Czarodzieja. Nic sobie
nie

z³ama³a. Nic sobie nie z³ama³a, choœ kiedy j¹ k¹pali, jej ma³e
beczu³kowate cia³o stawa³o siê coraz bardziej posiniaczone i
plamiste, niby mapa syberyjskich z³ó¿ wêglowych.

A jej biedny krzy¿, który dokucza³ Ostrakowej w hurtowni,
wygl¹da³ ju¿ tak, jak gdyby wszystkie po³¹czone tajne armie
Rosji

Sowieckiej kopa³y kobietê z jednego koñca Pary¿a na drugi:
mimo

to nic sobie nie z³ama³a.

Przeœwietlili ka¿dy kawa³ek jej cia³a, w poszukiwaniu
oznak

wewnêtrznego krwotoku obmacywali j¹ jak po³eæ
podejrzanego o

nieœwie¿oœæ miêsa. Ale w koñcu obwieœcili ponuro, ¿e
Ostrakowa

pad³a ofiar¹ cudu.

Mimo wszystko chcieli j¹ zatrzymaæ w szpitalu. Chcieli j¹
uspokoiaæ, pomóc jej wyjœæ z szoku - zatrzymaæ j¹ choæby na
jedn¹

noc. Policja odszuka³a szeœciu œwiadków, podaj¹cych
siedem

rozmaitych wersji zdarzenia (Czy samochód był szary, czy niebieski? Czy numery rejestracyjne były marsylskie, czy też pochodziły z zagranicy?). Policja odebrała jedno drugie zeznanie

od Ostrakowej i zagroziła, że powróci po następne.

A jednak Ostrakowa wypisała się na własną prośbę.

Czy ma pani choć dzieci, które mogłyby się pani opiekować?

- pytali.

- Ależ mam ich całkiem mnóstwo - odparła Ostrakowa. Córki, które zaspokoją każdą jej zachciankę, synów, którzy dopomogą jej

schodzić i wchodzić na schody. Ma ich wiele - tylu, ilu tylko zapragnęła. Aby przypodobać się pielęgniarkom, Ostrakowa wymyśliła

nawet życiorysy swoich dzieci, chociaż huczało jej w głowie jak w

wojskowym bębnie. Posłała też kogoś po ubranie. To, które miała

na sobie, było w strzępach i sam Pan Bóg oblał się chyba

rumieńcem, widz¹c, w jakim stanie j¹ odnaleziono. Poda³a
im

fa³szywy adres, jak również fa³szywe nazwisko; nie życzy³a
sobie

żadnego dalszego ci¹gu, żadnych odwiedzin. I kiedy tego
wieczoru

wybi³a szóstą, Ostrakowa w jakiegoś niepojęty sposób, wy³cznie
si³

woli, sta³a się jeszcze jednym bladym by³ym pacjentem,
schodz¹cym

ostrożnie i boleśnie po rampie wielkiego, czarnego
budynku

szpitala, aby na nowo wkroczyć w świat, który tego samego
dnia

do³oż³ przecię wszelkich starań, żeby pozbyć się Ostrakowej
na

zawsze. Sz³a w butach, poobijanych podobnie jak ona, w
butach,

które podobnie jak ona jakimś tajemniczym zrz¹dzeniem
losu

uniknę³y zag³ady; w skrytości ducha Ostrakowa by³a
niezwykle

dumna, że kamasze tak skutecznie os³oni³y jej nogi.

Nadal nosi³a te buty, niby w mundurze siedzia³a w nich
znów

w pó³mroku swego mieszkania. W mocno sfatygowanym
fotelu

Ostrakowa zмага³a siê cierpliwie ze starym wojskowym
rewolwerem i

próbow³a poj¹æ, jak siê go, do diab³a, ³aduje, jak siê odwodzi
kurek i jak siê strzela.

Stanowi³a jednoosobow¹ armiê. Zostae przy ¿yciu: to by³ jej
jedyny cel i im d³u¿ej uda³oby siê jej zachowaæ ¿ycie, tym
wspanialsze by³oby zwyciêstwo. Pozostae przy ¿yciu,
dopóki

Genera³ nie przyjedzie albo nie przyœle jej swojego
Czarodzieja.

Uciekaæ przed nimi jak Ostrakow? Cóż, uczyni³a to
przecie¿.

Drwiæ z nich, jak Glikman, zapêdziaæ ich w kozi róg, gdzie
nie

mieliby wyboru, jak tylko rozmyœlaæ nad swoj¹ w³asn¹
pod³oœci¹?

Lubi³a s¹dzia^e, ζ e niegdyc^e post^epowa³a w ten w³acenie spos^ob.
Ale

przetrwaa^e, co nie uda³o si^e ζ adnemu z jej m^e ζ czyn^o; uczepia^e
si^e

ζ ycia, wbrew wszelkim wysi³kom bezdusznego,
nieogarnionego

wszech^ewiata brutalnych funkcjonariuszy; by^e dla nich
cierniem w

ka ζ dej godzinie dnia tylko dlatego, ζ e ζ yje, oddycha, je, porusza
si^e i pozostaje przy zdrowych zmys³ach - oto, zdecydowa³a

Ostrakowa, zaj^ecie godne jej ambicji, wiary i jej dw^och
mi³o^eci.

Z w³aceciwym jej po^ewi^eceniem, nie czekaj¹c wprowadzi³a
sw^oj plan

w ζ ycie. Pos³a³a ju ζ t^e g³upi¹ dozorczyⁿi^e po zakupy; niemoc
fizyczna mia³a swoje plusy.

- Prze ζ y³am ma³y atak, madame la Pierre. - Nie wyjawi³a
jednak starej kozie, czy by³ to atak serca, w¹troby, czy tajnej
policji radzieckiej. - Polecono mi uzyska^e kilkutygodniowe
zwolnienie z pracy i wypoczywa^e.

Jestem skrajnie wyczerpana, madame - s¹ takie chwile, kiedy

człowiek pragnie być zupełnie sam. Ach, proszę to przyjąć,
madame, nie jest pani tak chciwa i wścibska, jak inni. -
Madame

la Pierre zmięka w pięci banknot i obejrza jeden z jego
rogów,

zanim upchnę pieniądze gdzieś na brzuchu. - I proszę
posuchać,

madame, gdyby ktoś o mnie pytał, proszę oddać mi
przysługę i

powiedzieć, że wyjechałam. Nie będę paliła światła od
strony

ulicy. Nam, kobietom wrażliwym, należy się trochę
spokoju,

prawda? Ale, madame, proszę zapamiętać, kim są goście
i

powiadomić mnie o tym: czy był to ktoś z gazowni, czy
ludzie z

jakiejś instytucji dobroczynnej. Proszę mówić mi o
wszystkim.

Chcę wiedzieć, że wokół mnie toczy się życie.

Dozorkownicy nabrała przekonania, że Ostrakowa
niewłaściwie

oszalała, ale jej pieniądze nie nosiły piętna szaleństwa, pieniądze za to były tym, co dozorczyńcy lubili najbardziej; a ponadto ona sama była przecież szalona.

W ciągu kilku godzin Ostrakowa stała się jeszcze bardziej przebiegła niż w Moskwie. Przyszedł na górę młody dozorczyńcy -

złódź, gorszy nawet od tej starej kozy - ale zachęcany dalszymi datkami przymocował jej świączek do drzwi wejściowych. Jutro

zaprowadzi judasza, również za odpowiedni zapłatą.

Dozorczyńcy

przyszedł, że - za odpowiedni zapłatą - będzie odbierał jej pocztę i dostarczał ją na górę tylko w pewnych określonych

godzinach - dokładnie o jedenastej rano i o szóstej wieczorem, dwa krótkie dzwonki. Ostrakowa wyrwała w drugiej toalecie maleńki

wentylator i teraz, kiedy tylko chciała, mogła stać na krześle wyglądać na podwórko i obserwować wszystkich, którzy wchodziłi i

wychodzili z domu. Wysłała do hurtowni zawiadomienie, że jest

niedysponowana. Nie zdążyła przesunąć swego dwuosobowego łóżka,

ale wzięła poduszki i puchowiczków i pościeliła otomanę,

ustawiając ją tak, że skierowana była niczym torpeda przez otwarte drzwi salonu ku drzwiom wejściowym do mieszkania;

wystarczyło teraz, żeby położyć się na otomanie, celując butami

w ewentualnego intruza, i mogła do niego strzelać wzdłuż linii

swoich nóg. Jeżeli nie odstrzeli sobie własnej stopy, zaskoczy go

już w pierwszej chwili, kiedy będzie usiłowała wtargnąć do ośrodka:

dobrze to sobie obmyśliła. W pulsującej głowie słyszała szum, a

kiedy poruszała nią zbyt gwałtownie, jej oczy zachodziły mgłą; miała też wóciek gorczki i chwilami niemal traciła

przytomności. Ale obmyśliła wszystko, wydała odpowiednie

polecenia, i dopóki nie przyjdzie Generał albo Czarodziej, będzie znów jak w Moskwie, - Jesteś zdana sama na siebie, ty

stara, głupia babo - powiedziała na głos.

- Nie masz nikogo poza sobą, na kim mogłabyś polegać, bierz

się więc do roboty.

Na podłodze ktoś szukał po jednej fotografii Glikmana i Ostrakowa, pod kocykiem ukryła natomiast ikonę z Matką

Boską. Tak wyposażona Ostrakowa rozpoczęła swoją pierwszą noc

wartość, modliła się do całej armii świętych, w tym oczywiście do

Świętego Józefa, aby raczyli zeznać jej zbawiciela, Czarodzieja.

I nikt, stukając w rury, nie przekaże mi żadnej wiadomości, pomyślała.

Nie zbudź mnie nawet obelgi więziennego strażnika.

* * *

Wci¹ż trwa³ ten sam dzień; bez końca, bez snu. Przez jakieś
czas po wyjściu od Mikhela George Smiley szed³ tam, gdzie go
nogi

nios³y, nie wiedz¹c dok¹d, zbyt zmęczony, zbyt
podenerwowany,

żeby bezpiecznie prowadzić samochód, lecz sprawny na tyle,
aby

pilnować swych pleców, aby nieznacznie, lecz nagle odwrócić
się i

zaskoczyć ewentualnych wrogów.

Œpi¹cy, przemoczony Smiley czeka³, aż uspokoj¹ się jego
myśli, próbuj¹c wyrwać się z niespokojnego ci¹gu
dwudziestoczworgodzinnego maratonu. Dopad³o go nabrzeże
Tamizy i

pub przy Northumberland Avenue, nazywa³ siê chyba
Sherlock

Holmes, Smiley uraczy³ siê tam du¹ whisky medytuj¹c, czy
nie

zadzwo¹niæ do Stelli - czy nic jej siê nie sta³o?

Zdecydowa³ jednak, ¹æ nie ma to sensu - przecie¹ nie bêdzie
móg³ do nich dzwoniæ co wieczór i pytaæ, czy Villem i
Stella

jeszcze ¹yj¹. Powêdrowa³ dalej, a¹ znalaz³ siê wreszcie w Soho,
które w sobotnie wieczory by³o jeszcze paskudniejsze ni¹
zazwyczaj. Zwymyœlaj Lacona, pomyœla³. Za¹ daj ochrony
dla tej

rodziny. Ale wystarczy³o spróbowaa¹ wyobraziæ sobie podobn¹
scenê,

¹eby przekonaæ siê, ¹æ jest to poroniony pomys³. Jeœli Cyrk
nie

przyj¹³ na siebie odpowiedzialnoœci za Vladimira, to tym
bardziej

nie bêdzie odpowiadaæ za Villema. A poza tym, na litoœæ
bosk¹,

jak mo¹na przydzieliæ zespó³ opiekunów kierowcy
ciê¹arówki,

jeżdżąc na długich trasach po Europie?

Jedyną pociągów było dla Smiley'a przypuszczenie, że
zabójcy

Vladimira najprawdopodobniej znaleźli to, czego szukali;
nie

trzeba było im nic więcej. Ale co z tymi kobietami w Paryżu? Co z
autorkami owych dwóch listów?

Idź do domu, myślała. Dwukrotnie udawała, że telefonuje
z

budki, obserwując chodnik. Wszedł raz w cielec uliczki i wrócił
tym

samą drogą, szukając jakiegoś zamazanego śladu, czyichś
oczu,

unikających jego wzroku.

Zastanawiała się, czy nie wynająć pokoju w hotelu. Robiła to
czasami, żeby mieć spokój w nocy. Czasami własny dom był
dla

niego zbyt niebezpieczny. Pomyślała o negatywie; czas
otworzyć

pudełko. Instynkt ciągnął go ku Cambridge Circus i Smiley
odbił

ostro na wschód, powracaj¹c znów do swego samochodu.
Pewny już

teraz, że nikt go nie oledzi, pojecha³ do Bayswater, trzymaj¹c
siê z dala od swej utartej trasy, ale i tak wci¹ż spogl¹da³
uwaga¹nie w lusterko. Od pakistańskiego handlarza
artyku³ami

żelaznymi, który sprzedawa³ najrozmaitsze towary, kupi³
dwie

plastikowe miski i prostok¹tny kawa³ek szyby o wymiarach
dziewięć

na trzynaście centymetrów; a potem trzy domy dalej w
tanim

sklepie chemicznym naby³ jeszcze dziesięć arkuszy
powlekanego

papieru drugiej klasy tej samej wielkości oraz kieszonkow¹
latarkę dziecięc¹ z kosmonaut¹ na r¹czce i czerwonym filtrem,
zsuwanym na obudowę żarówki za pomoc¹ niklowego
guziczka.

Starannie wybieraj¹c drogę, pojecha³ z Bayswater do hotelu
"Savoy", zajeżdżaj¹c od strony nabrzeża. Nadal by³ sam. W
mêskiej

szatni pe³ni³ swe obowi¹zki ten sam szatniarz i nawet pamiêta³ jeszcze ich wczesniejsze ÷arty.

- Ci¹gle czekam, ÷e wybuchnie - powiedzia³ Smileyowi, oddaj¹c mu pude³ko. - Zdawa³o mi siê, ÷e s³yszê jak tyka, no i w ogóle.

Przy drzwiach wejœciowych do mieszkania wci¹÷ tkwi³y na

swoich miejscach maleñkie ko³ki, które Smiley umieœci³ tam przed

wyjazdem do Charlton. W oknach s¹siadów zobaczy³ wieczorne

œwiat³o sobotnich œwiec i gadaj¹ce g³owy; ale u niego w domu

zas³ony by³y zasuniête, tak jak je zostawi³, a w korytarzu w g³êbokich ciemnoœciach, które Smiley natychmiast rozproszy³,

powita³ go tylko zgrabny szafkowy zegar Anny.

Choæ by³ œmiertelnie zmêczony, metodycznie przyst¹pi³ do

pracy.

Na pocz¹tku wrzuci³ do kominka trzy kawa³ki
³atwopalnego
koku, zapali³ je, zasypa³ szufelk¹ bezdymnego wêgla i
rozstawi³
w poprzek paleniska nale¹c¹ do Anny pokojow¹ suszarkê
do

bielizny. Zamiast ubrania roboczego przywdzia³ stary
kuchenny

fartuch, na wszelki wypadek mocno zawi¹zuj¹c pasek na
swym

wydatnym brzuchu. Spod schodów wydoby³ rulon zielonej
tkaniny do

zaciemnienia okien i kuchenn¹ drabinkê, któr¹ zabra³ do
piwnicy.

Zas³oni³ okno, wróci³ na górê, zdj¹³ papier z pude³ka,
otworzy³ je i... nie, to nie by³a bomba, tylko list i paczka
wymiêtych papierosów, w której tkwi³ negatyw Vladimira.
Wyj¹³ go,

zszed³ znów do piwnicy, zapali³ czerwon¹ latarkê i zabra³ siê do
roboty, choæ Bóg jeden wie, ¿e nie mia³ najmniejszych
zdolnoœci,

jeœli idzie o wywo³ywanie zdjêæ, i móg³ - przynajmniej

teoretycznie - uzyskaæ odbitki o wiele szybciej, dziêki pomocy

Laudera Stricklanda i w³asnej sekcji fotograficznej Cyrku.
Albo

móg³ te¿ po prostu daæ film któremukolwiek z szeœciu kupców,
jak

nazywa siê w ¿argonie wywiadowczym wybranych,
wykwalifikowanych

wspó³pracowników, zobowi¹zanych w razie potrzeby rzuciæ
wszystko

i nie zadaj¹c ¿adnych pytañ, s³u¿yæ Cyrkowi swoimi
umiejêtnoœciami.

Jeden z takich kupców mieszka³ nawet w odleg³oœci
rzutu

kamieniem od Sloane Square; poczciwina, specjalizuj¹cy siê
w

zdjêciach œlubnych.

Wystarczy³by dziesiêciominutowy spacer i naciœniêcie
dzwonka

u drzwi, by mieæ gotowe odbitki za pó³ godziny. Ale Smiley
nie

skorzysta³ z us³ug kupca, wola³ samodzielnie, z trudem i

niedoskonale wywo³ywaæ stykow¹ fotografiê w zaciszu swego

w³asnego domu, nie zwracaj¹c uwagi na dzwoni¹cy na górze telefon.

Wola³ metod¹ prób i b³êdów naœwietlaæ negatyw pod pokojow¹

lamp¹ zbyt d³ugo lub zbyt krótko. U³ywaæ nieporêcznego kuchennego

minutnika, który tyka³ i mrucza³. Wola³ pochrz¹kiwaæ i kl¹æ z

irytacji, pociæ siê w ciemnoœci i zmarnowaæ co najmniej szeœæ

arkuszy papieru, zanim wywo³ywacz w misce wytworzy³ ledwie w

po³owie jakoœciowo dostateczny obraz, który Smiley na trzy minuty

umieœci³ zaraz w utrwalaczu. Wyp³uka³ zdjêcie. Przetar³ je obrusem, niszczy¹c go chyba bezpowrotnie; nie by³ tego pewien.

Zabra³ odbitkê na górê i za pomoc¹ spinacza powiesi³ na suszarce.

A miłośników uderzających symboli zainteresuje
zapewne

historyczny fakt, że pomimo łatwopalnego koksu ogień
niemal

całkiem wygasł, ponieważ węgiel składa się głównie z
wilgotnego

żużlu i George Smiley musiał na czworakach rozdmuchiwać na
nowo

promienie. Mógł zatem pomyśleć (choć nie przyszło mu to do
głowy,

rozbudzona ponownie ciekawość zniweczyła bowiem
jego

introspektywny nastrój), że wykonuje czynności dokładnie
przeciwnie

poleceniu Lacona, który przecież nakazywał mu przygaszać
ogień.

Kiedy odbitka wisiała już bezpiecznie nad dywanem,
Smiley

podszedł do cęlicznego, intarsjowanego biurka, w którym
Anna z

krêpując otwartości trzymała swoje rzeczy. Na przykład
kartkę

papieru listowego, na którym napisała tylko jedno słowo:

"Ukochany", bo może nie była pewna, do którego ukochanego

ostatecznie napisać. Na przykład tekturowe zapiski z restauracji,

w których nigdy nie było, i listy pisane charakterem, którego nie znała.

Spomiędzy takich bolesnych bibelotów Smiley wyciągnęła duże,

wiktoriańskie szkło powiększające z rączką z masy perłowej,

którego Anna używała, odczytując hasła do nie kończonych nigdy

krzyżówek. Był przemęczony i dlatego kolejno podejmowanych

przez niego czynności pozbawiona była może logiki, albowiem

uzbrojony w lupę Smiley nastawił następnie pył Mahlera, który

dostał niegdyś w prezencie od Anny, i usadowił się w skórzanym

fotelu, wyposażonym w mahoniowy blat na kółki, mający poruszać

się na brzuchu, zgodnie z ruchami siedzącego, podobnie jak taca,

na której podaje się posiłki do stołu. Znowu poczuł się ciężko zmęczony i nierozważnie pozwolił sobie na zamknięcie

oczu, słuchając muzyki, ciekawych niekiedy z fotografii kropli

wody, i niechętnego trzaskania ognia.

Kiedy ze strachem obudził się trzydzieści minut później, odbitka była już sucha, a płyta Mahlera obracała się milcząco na talerzu gramofonu.

Przyglądał się bacznie zdjęciu, jedną ręką podtrzymując okulary, drugą powoli przesuwając szkło powiększające nad odbiteką.

Na fotografii widać było grupkę ludzi, ale nie było to zebranie polityczne ani party na basenie, ponieważ nikt spośród

zgromadzonych nie miał na sobie kostiumu kąpielowego.

Grupa

składała się z kwartetu, dwóch kobiet i dwóch mężczyzn,

spoczywaj¹cych na pikowanych kanapach wokó³ zastawionej butelkami

i papierosami ³awy. Kobiety by³y nagie, m³ode i ³adne.

Niewiele

lepiej przyodziani m³czy³ni le³eli wyci¹gni³eci ko³o siebie,

dziewcz³ta natomiast owin³y si³e s³u³bi³ecie wokó³ swoich

partnerów. Œwiat³o na zdj³ciu by³o md³e i niesamowite, i cho³e

Smiley nie zna³ si³e zbyt dobrze na tych sprawach, to jednak doszed³ do wniosku, ³e fotografi³e wykonano na szybkim filmie,

poniewa³ na odbitce wida³e by³o równie³ ziarno. Kiedy si³e nad tym

zastanowi³, przypomni³a³y mu si³e ogl¹dane a³ nazbyt cz³sto zdj³cia

branych przez terrorystów zak³adników, Tyle tylko, ³e czworo

ludzi na jego fotografii zaj³tych by³o sob¹, podczas gdy zak³adnicy wpatruj¹ si³e zwykle w obiektyw, jak gdyby to by³a lufa

karabinu. W poszukiwaniu tak zwanych informacji operacyjnych

zaj¹³ się teraz prawdopodobnym umiejscowieniem aparatu i

zdecydowa³, że musia³ znajdowa^æ się gdzieś wysoko ponad g³owami

fotografowanych osób. Leża³y jak gdyby po^ærodku jakiego^æ lochu, a

obiektyw aparatu spogl¹da³ na nich w d^ó³. Niżej na pierwszym

planie bieg³ w poprzek kadru bardzo czarny cień - by^æ może by³a

to balustrada, może parapet okienny, a może po prostu rami^ê kogo^æ

stoj¹cego z przodu. Wygl¹da³o na to, że pomimo dogodnego punktu

obserwacyjnego obiektyw o^æmieli³ się wysun¹æ powyżej linii wzroku

jedynie do po³owy.

Tu Smiley wysnu³ swój pierwszy ostrożny wniosek. By³ to

krok, wprowadzie niewielki, ale Smiley zbyt wiele wielkich kroków

miał już na głowie.

Krok techniczny; no, powiedzmy, skromny krok techniczny.

Wszystko wskazywało na to, że fotografia była, jak powiadano

w jego fachu, kradziona.

A co więcej, skradziono ją z zamiarem przyciśnięcia, czyli szantażowania kogoś. Ale kogo? I w jakim celu?

- Tak. Oliver? - zapytał ostrożnie Smiley.

- Ach, George. Próbowałem dozwonić się do ciebie. Mam

nadzieję, że wrócisz bez przeszkód?

- Skąd? - zapytał Smiley.

Lacon wolał nie odpowiadać na to pytanie.

- Pomyślałem sobie, że jestem ci winien telefon, George. Rozstaliśmy się w kwaśnych humorach. Byłem arogancki. Za dużo mam roboty.

Przepraszam. Jak leci? Skończył? Załatwione?

W tle Smiley s³ysza³, jak córki Lacona paplaj¹ o tym, ile wynosi czynsz za hotel na Park Lane. Dosta³ je na weekend, pomyœla³ Smiley.

- Znów rozmawia³em z Home Office - ci¹gn¹³ dalej Lacon
œciszonym g³osem, nie czekaj¹c wcale na odpowiedŸ. - Maj¹
ju¿
raport patologa i mo¿na oddaæ cia³o. Wolelibyœmy, ¿eby
jak
najszybciej dokonaæ kremacji.

Myœla³em, ¿e gdybym poda³ ci nazwê firmy, zajmuj¹cej
siê

tymi sprawami, mo¿e móg³byœ powiadomiæ zainteresowane
osoby. To

oczywiœcie nic zobowi¹zuj¹cego. Widzia³eœ sprawozdanie
prasowe?

Jak ci siê podoba³o? Ja myœlê, ¿e by³o w sam raz. Dok³adnie
ten

ton, o jaki chodzi³o.

- Wezmê o³ówek - powiedzia³ Smiley i raz jeszcze zacz¹³
grzebaæ w szufladzie, dopóki nie znalaz³ zawieszzonego na
kawa³ku

rzemienia plastikowego przedmiotu w kształcie gruszki, który
Anna

nosiła czasami na szyi. Otworzył go nie bez trudności, a
potem

zapisał to, co mu dyktował Lacon: firma, adres, znów firma i
jeszcze jeden adres.

- Masz? Powtórzysz mi? A może ty mi to przeczytasz, żeby
upewnić się podwójnie?

- Dziękuję, wszystko zanotuję - powiedziała Smiley.
Dopiero teraz zaczęła mu, że Lacon jest pijany.

- A więc mamy randkę, nie zapomnij. Seminarium na
temat

małżeństwa bez żadnych tajemnic. Traktuj cię w tej sprawie
jak

starszego kolegę. Jest tu na dole całkiem przyzwoita restauracja,
w której podają befsztyki, i kiedy ty będziesz mnie pouczać, ja
ci postawię ekspresowy obiad. Masz tam swój dzienniczek?
Wpiszmy

coś do niego.

Pełen zadowolonych przeczących Smiley uzgodnił z nim
wreszcie

jakiego termin. Choć całe życie spędzi na wymyślaniu kłamliwych

historyjek, nadal nie umiał wymówić się od zaproszenia na obiad.

- I nic nie znalazłeś? - zapytał Lacon już nieco ostrożej.

- żadnych przeszkód, haczyków, nowych punktów zaczepienia.

Burza

w szklance wody, tak jak podejrzewaliśmy, nie?

Przez głowę Smileya przeleciało wiele odpowiedzi, ale nie widział możliwości zrobienia użytku z żadnej z nich.

- Co z tym rachunkiem telefonicznym? - spytał.

- Z rachunkiem telefonicznym? Z jakim rachunkiem?

Aaa,

chodzi ci o jego rachunek. Zapamiętaj i przycełij mi dowód wpłaty.

Nie

ma problemu.

Albo lepiej wycełij go pocztą Stricklandowi.

- Wysłałem go już tobie - mówi cierpliwie Smiley. -

Prosiłem, żebyś sprawdził wszystkie możliwe numery, z którymi się

czy.

- Natychmiast się tym zajmę - odparł askawie Lacon. -
Co

jeszcze?

- Nie. Nie, chyba nie. Już nic.

- Wyćpij się. Siedz po godzinie, musisz być skonany.

- Dobranoc - powiedziała Smiley.

Z łup Anny w swej pulchnej garści Smiley powrócił do
przerwanych badań. Na podłodze domniemanego lochu leżała
chyba

biały dywan; pikowane kanapy ustawione wzdłuż
zwieszających się

po obwodzie pomieszczenia zasłon tworzących podkrowie. Z tyłu
widać

były pokryte tapicerką drzwi i zrzucone przez obu mężczyzn
ubrania - marynarki, krawaty, spodnie - rozwieszane ze
szpitalną

schłodności. Na stole stała popielniczka i Smiley usiłował
odczytać widniejący na jej brzegu napis. Po dłuższych
manipulacjach szkłem powiększającym tkwił w Smileyu
były

filolog podpowiedzia³ mu, ¿e jest to niepe³na (lub domniemana)

forma s³owa z³o¿onego z liter A - C - H - T -nie wiedzia³ jednak,

czy jest to czêœæ jakiegoœ d³u¿szego s³owa, czy te¿ samoistny

wyraz, mog¹cy miêdzy innymi oznaczaæ osiem lub uwaga. Nie wysila³

siê zreszt¹ zbytnio, aby siê tego dowiedzieæ, wola³ bowiem na razie zachowaæ zdobyte informacje g³êboko w pamiêci, dopóki jakieœ

nowy kawa³ek uk³adanki nie pozwoli mu ich wreszcie wykorzystaæ.

Zadzwoni³a Anna, Byæ mo¿e raz jeszcze zapad³ w drzemkê, bo

wydawa³o mu siê potem, ¿e wcale nie us³ysza³ telefonu, tylko od

razu jej g³os, kiedy powoli podnosi³ do ucha s³uchawkê: George,

George, jak gdyby wo³a³a go przez d³ugi czas, a on dopiero teraz

zebra³ si³y i zdoby³ siê na to, ¿eby jej odpowiedzieæ.

Rozmowę rozpoczęli jak obcy sobie ludzie, tak jak zaczęli się zwykle kochać.

- Jak się masz? - spytała.

- Dziękuję, świetnie. A ty? Co mogę dla ciebie zrobić?

- Mówię serio - naciskała Anna. - Jak się masz? Chcę wiedzieć.

- Powiedziam przecież, że mam się świetnie.

- Dzwoniłam dziś rano. Dlaczego nie odbierałaś?

- Nie było mnie w domu.

Zapadło drugie milczenie, gdy Anna zastanawiała się nad tym mizernym wymówką. Nigdy nie przejmowała się telefonami. Z jej

punktu widzenia nie służyły do załatwiania pilnych spraw.

- Pracowałaś?

- Pewna administracyjna sprawa dla Lacona.

- Wczeczenie zaczyna ostatnio administrować.

- Rzuciła go ona - wyjaśni Smiley. - adnej odpowiedzi.

- Zawsze mówiła, że powinna to zrobić - ciągnęła dalej

Smiley. - Mówiła, że powinna się szybko wycofać, zanim stanie

się kolejn¹ gejsz¹ w s³u^łbie państwowej.

- Zmieni³am zdanie. On jej potrzebuje.

- Ale ona, jak s¹dzê, nie potrzebuje jego - zauwa^ły³ Smiley,
ucieka¹c w akademicki ton.

- Niem¹dra kobieta -. Powiedzia³a, po czym znów zapad³o
d³ugie milczenie, tym razem za spraw¹ Smileya, który
rozmy^ła³ o

ca³ych górach nie chcianego wyboru, jaki oferowa³a mu Anna.

Byæ znowu razem, jak czasami mówi³a.

Zapomnieæ o ranach, o liœcie jej kochanków; zapomnieæ
Billa

Haydona, który zdradzi³ Cyrk, którego cieñ wci¹ł pada³ na jej
twarz, kiedy wyci¹ga³ do niej rêce, którego wspomnienie nosi³
w

sobie jak nieustanny ból.

Jego przyjaciel Bill, kwiat ich pokolenia, trefniœ, czarodziej, obrazoburczy konformista; Bill, urodzony oszust, którego poszukiwanie ostatecznej zdrady zaprowadzi³o do
s³ł^łka z

Rosjanami i z Ann¹. Zainscenizowaæ kolejny miodowy
miesi¹c,

polecieæ na po³udnie Francji, jadaæ razem posi³ki, kupowaæ ciuchy

i podejmowaæ wszystkie te dzia³ania na niby, w które bawi¹ siê

zakochani.

I na jak d³ugo? Ile czasu minie, zanim wyblaknie jej uœmiech, nim sposêpnieje jej wzrok, a ich mityczny zwi¹zek zmusi

j¹ do leczenia mitycznych dolegliwoœci gdzieœ z dala od niego?

- Gdzie jesteœ? - zapyta³.

- U Hildy.

- Myœla³em, Ÿe w Kornwalii.

Hilda by³a rozwódk¹ swobodnych obyczajów. Mieszka³a w

Kensington, jakieœ dwadzieœcia minut drogi st¹d.

- A gdzie ona jest? - zapyta³, pogodziwszy siê juŸ z t¹ wiadomoœci¹.

- Wysz³a.

- Na ca³¹ noc?

- Jak znam Hildê, to raczej tak. Chyba Ÿe przyprowadzi go do

domu.

- W takim razie musisz bawić się sama, najlepiej jak potrafisz - powiedziała Smiley, ale jeszcze kiedy mówi usłyszała, jak Anna szepce:

- George.

Serce Smileya ogarnęła głęboki i gwałtowny strach. Spojrzała na fotel i na pulpicie zobaczyła odbitkę, leżącą obok jej szafka powiększającego; w nagłym przypływie wspomnień odtworzyła

sobie wszystko to, co przez cały ten nie skończony dzień szeptała

i podpowiadała mu pamięć; usłyszała werbel swojej przeszłości,

wzywający go do podjęcia jeszcze jednego wysiłku, do uzewnętrznienia i rozwiązania konfliktu, który kierował jego życiem.

"Przekaż Maksowi, że chodzi o Piaskowego Dziadka".

Smiley

zrozumiała z pewnością i jasnością, którą zawdzięczamy czasem

g³odowi, zm^êczeniu i zak³opotaniu, ζ e Anna nie powinna mieæ
nic

wspólne³ z tym, co musi zrobiaæ on.

Choæ stan¹³ zaledwie u progu tej sprawy to wiedzia³, mimo
wszystko wiedzia³, ζ e wbrew wszelkiemu prawdopodobieñstwu
teraz,

kiedy by³ ju ζ w powa ζ nym wieku, otrzyma³ szansê
powtórzenia

wszystkich odwo³anych niegdyc³ w jego ζ yciu zawodów i
wziêcia w

nich udzia³u. Jeæli tak by³o, to w tych samotnych
poszukiwaniach

nie powinien przeszkadzaæ mu nikt, ζ adna Anna, ζ aden
fa³szywy

spokój, ζ aden parszywy œwiadek jego czynów. Przedtem
nie

wiedzia³, o co mu chodzi. Teraz ju ζ tak.

- Nie mo ζ esz - powiedzia³. - Anno? Pos³uchaj. Nie mo ζ esz
tu

przyjechaæ. To nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek
wyborem.

Chodzi o sprawy czysto praktyczne. Nie wolno ci przyjechaæ.

-

W³asne s³owa brzmi³y dla niego dziwnie.

- No to ty przyjedŸ do mnie - powiedzia³a.

Od³oŸy³ s³uchawkê. Pomyœla³, Ÿe bêdzie p³akaæ, a potem

wyjmie notesik z adresami, Ÿeby sprawdziæ, kto z Pierwszej Jedenastki, jak ich nazywa³a, móg³by j¹ pocieszyæ zamiast niego.

Nala³ sobie porcyjkê whisky - wyjœcie Lacona. Poszed³ do kuchni,

zapomnia³, po co i powlók³ siê dalej do gabinetu.

Po wodê sodow¹, pomyœla³. Za póŸno. Obejdzie siê. Chyba

zwariowa³em, pomyœla³. Goniê widma, tam nic nie ma. Pewien

zgrzybia³y Genera³ mia³ marzenie i zgin¹³ za nie. Przypomnia³ sobie Wildea: "Sprawa nie musi byæ koniecznie s³uszn¹ tylko

dlatego, Ÿe ktoœ odda³ za ni¹ Ÿycie".

Przekrzywi³ siê jeden z obrazów. Wyprostowa³ go, przesun¹³

-
za duŹo, za ma³o, za kaŹdym razem odchodzi³ od œciany.

"PrzekaŹ

Maksowi, Źe chodzi o Piaskowego Dziadka". Wróci³ na fotel
do

swoich prostytutek, przez lupê Anny wpijaj^{1c} w nie wzrok z
zaciek³œoci¹, która w innej sytuacji bez w¹tpienia nakaza³aby
im

pierzchn^{1æ} pod opiekê swych alfonsów.

Rekrutowa^{3y} siê widocznie spoœród najwyŹszych
warstw

przedstawicielek swego zawodu, by^{3y} bowiem œwieŹe,
m³ode i

zadbane. Wydawa^{3o} siê, choœ moŹe by³ to zbieg okolicznoœci,
Źe

ktœ wybiera³ te panienki tak, aby zdecydowanie róŹni^{3y} siê
od

siebie. Dziewczyna z lewej strony by^{3a} zgrabn¹, a nawet

klasycznie zbudowan¹ blondynk¹ o d³ugich udach i
wysoko

osadzonych, drobnych piersiach, natomiast jej
ciemnow³osa

towarzyszka odznacza³a się roz³o³ystymi biodrami,
przysadzist¹

figur¹ i p³omiennymi rysami twarzy Euroazjatki. Jak
zauwa³y³,

blondynka nosi³a kolczyki w kształ³cie kotwic, co zda³o mu
siê

nieco dziwne, albowiem jego ograniczone do³wiadczenie w
tych

sprawach mówi³o, że kobiety zwykle najpierw zdejmuj¹
w³acenie

kolczyki. Wystarczy³o, żeby Anna wysz³a bez nich z domu, a
ju³

zamiera³o mu serce. Poza tym nie mia³ nic szczególnie
ciekawego

do powiedzenia o jakiej z dziewcz¹t, tote³ prze³kn¹wszy
kolejny

du³y ³yk czystej whisky zwróci³ ponownie uwagê na m³ê³czyzn,
bo to

oni, prawdê mówi¹c, zainteresowali go od samego
pocz¹tku.

Podobnie jak dziewczyny, wyraźnie się od siebie różnili, ale ponieważ byli znacznie starsi, dzielce ich różnice wydawały się

być głębsze i zarazem czytelniejsze. Mężczyzna obejmujący

blondynkę miał jasne włosy i na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie ciepłego, natomiast człowiek tulący do siebie ciemną dziewczynę miał nie tylko smagłą cerę, lecz także śliski, a nawet lewentyński temperament wypisany na twarzy wraz z

zaraźliwym uśmiechem, który stanowił jedyny sympatyczny szczegół,

element zdjęcia. Mężczyzna o jasnych włosach był szeroki i zwalisty, ciemny mężczyzna był drobny i bystry na tyle, by być

trefnisiem tamtego: ot, taki mały diabełek z małymi twarzami i wystającymi z uszu różkami.

Nagle zdenerwowanie, we wspomnieniach urastające zapewne do

roli przecucia, kazało Smileyowi zająć się najpierw blondynem.

Tors miał krzepki, ale nie atletyczny, kończyny ciężkie, nie zdradzały się jasną cerą i włosy podkreślały jeszcze jego korpulentność. Ręce blondyna były grube i niezgrabne - jedna z

nich wkładała się w pachwinę dziewczyny, druga zaś obejmowała ją

w pasie. Smiley powoli przesunął szczeroką powiększoną nad jego

obnażoną pierś i dotarł do gowy. Jak ktoś kiedyś zowieszczę

napisał, w wieku lat czterdziestu człowiek ma nareszcie taką twarz, na jaką sobie zasłużył, ale Smiley wcale nie był tego taki pewien. Znał poetyckie dusze skazane na dożywotnie więzienie za

kratami surowych twarzy i recydywistów o aparycji anioła. Jednak

niewiele można było wyczytać z tej twarzy, a poza tym obiektyw

nie uchwycił jej w jakiejś szczególnie pięknej wyrazie chwili.

Jeżeli chodzi o charakter, to twarz tego człowieka zdawała się

podzielona na dwie części: niższ¹, ęci¹gnięć¹
uemieszkiem

prymitywnego entuzjazmu, kiedy z otwartymi ustami dzieli³
się

jak¹œ uwag¹ ze swoim towarzyszem, i wyższ¹, zdominowan¹
przez

parę ma³ych, bladych oczu, wokó³ których nie pojawi³y się
żadne

oznaki uciechy czy entuzjazmu, a które spogl¹da³y ze swego
ciastowatego otoczenia z zimn¹, nieruchom¹
dobrotliwoęci¹

dziecka. Nos mia³ p³aski, fryzurę, utrzyman¹ w
œrodkowoœuropejskim stylu.

Chciwy, powiedzia³aby Anna, która z upodobaniem
wydawa³a

ostateczne wyroki na ludzi zaraz po zapoznaniu się z ich
zdjęciami w prasie. Chciwy, s³aby, bezwzględn¹. Unikaę
go.

Szkoda, że nie oceni³a tak Haydona, pomysla³; w kaŹdym razie
nie

we w³ęciwym czasie.

Wróci³ do kuchni, obmy³ sobie twarz i wtedy przypomni³o
mu

siê, że przyszed³ po wodê do whisky. Sadowi¹c siê znów w
fotelu,

skierowa³ lupê na drugiego mê¿czyznê, na trefnisia. Whisky
nie

pozwala³a mu zasn¹æ, ale i usypia³a go jednocześnie. Dlaczego
nie

zadzwoi jeszcze raz? - pomyœla³.

Pojadê do niej, je¿eli zadzwoni. Ale w rzeczywistoœci
koncentrowa³ siê na tej drugiej twarzy, twarzy natarczywego
wspólnika, poniewa¿ jej znajomy wygl¹d nie dawa³ mu
spokoju,

podobnie jak przedtem Ostrakowej i Villemowi.

Przygl¹da³ siê jej i opuœci³o go zmêczenie; zdawa³ siê
czerpaæ z niej energiê. Jak mówi³ dzie rano Villem, niektóre
twarze znamy jeszcze, zanim je ujrzymy; inne widzimy tylko raz
i

potem pamiêtamy je przez ca³e ¿ycie; jeszcze inne
ogl¹damy

codziennie i nie zapamiêtujemy ich w ogóle. A jak jest z t¹

twarz¹?

Jak u Toulouse - Lautreca, myśla³ Smiley, przygl¹daj¹c się
zdz¹ęciu w zadumie - twarz uchwycona w chwili, gdy
wzrok

poch³oniętego jak¹o erotyczn¹ zapewne zabaw¹ m¹ęczyzny
odp³yn¹³

gdzieo w bok. Annie od razu przypad³by do gustu; by³ w nim
pewien

niebezpieczny rys, który lubi³a.

Twarc uchwycona, gdy jakio zab³¹kany okruch oewiat³a
dziennego rozpali³ jej wychudzony, postrz¹ępiony policzek.
Twarc

pobru¹d¹ona, pe³na dolin i gór, o zniszczonym przez te same
sztormy czole, nosie i szcz¹ęce.

Twarc jak u Toulouse - Lautreca, wyrazista i porywcza.

Twarc

kelnera, w ¹adnym razie nie biesiadnika. Z³o¹æ goreje w
niej

naj¹ywiej za zas³on¹ s³u¹alczego u¹emiechu.

Ta strona jego charakteru ju¹ by się Annie tak nie podoba³a.

Smiley zostawi³ zdj¹ęcie, oci¹ęale i niezgrabnie powsta³,

żeby nie zasnąć, po czym j¹³ z trudem chodził po pokoju,
bezsukutecznie próbując jakoś umiejscowić tę twarz,
zastanawiając

się, czy nie poniosła go wyobraźnia. Niektórzy ludzie są jak
stacje przekazyńnikowe, myśla³. Niektórzy ludzie -
rozpoznajesz

ich, a oni niby przyrodzony dar przynoszą ci swój
przeszłość.

Niektórzy ludzie są samą intymnością.

Przystan¹³ przy biurku Anny, żeby popatrzeć znowu na
telefon. Jej telefon. Haydona i jej. Jej i wszystkich innych.
Trimline, pomyśla³.

A może Slimline? Dodatkowe pięć funtów dla Poczty
za

w¹tpliw¹ przyjemność ogl¹dania jego niemodnych,
futurystycznych

kształtów. Telefon mojej ładaczniczki, mówi³a o nim.
Cichutki

świergot dla moich malutkich mi³ości, donośny ryk dla
wielkich.

Smiley zda³ sobie sprawê, że dzwoni. Dzwoni³ już od
d³uższego

czasu, œwiergocz¹c cichutko dla malutkiej mi³oœci.
Odstawi³

szklankê, wpatruj¹c siê wci¹ż w terkocz¹cy telefon.
Przypomnia³

sobie, że kiedy s³ucha³a muzyki, stawia³a go czêsto na
pod³odze

pomiêdzy p³ytami. K³ad³a siê z nim razem tam, tam dalej,
przy

kominku, unosz¹c niedbale udo, na wypadek gdyby Smiley
jej

zaprag¹³. Id¹c spaæ, wy³¹cza³a aparat i zabiera³a ze sob¹, żeby
dodawa³ jej otuchy w nocy. Smiley wiedzia³, że gdy siê
kochaj¹,

jest dla niej jedynie namiastk¹ tych wszystkich mê¹czyzn,
którzy

nie zadzwonili.

Namiastk¹ Pierwszej Jedenastki. Nawet Billa Haydona,
 chocia¹

on już nie 1y³.

Telefon zamilk³.

Co ona teraz robi? Próbuje Drugiej Jedenastki? Byæ piêkn¹
Ann¹ to jedno, powiedzia³a mu niedawno; ale byæ piêkn¹ Ann¹
w

moim wieku, to nied³ugo bêdzie inna sprawa. A byæ
brzydalem w

moim wieku to jeszcze inna sprawa, pomysla³ z
wœciek³oœci¹

Smiley. Chwyci³ odbitkê i ze œwie¿ymi si³ami zabra³ siê znów
do

jej badania.

Cienie, myœla³. Smugi œwiat³a i ciemnoœci, za nami,
przed

nami, którzy wlecemy siê w³asnymi drogami. Rogi diabe³ka,
rogi

szatana, cienie tak znacznie wiêksze od nas. Kto to jest? Kim
by³? Pozna³em go kiedyœ. Nie, odmówi³em. Ale je¿eli
odmówi³em, to

sk¹d go znam? O coœ b³aga³, mia³ coœ do sprzedania - wiêc co,
by³

z wywiadu? Ze snów? Ju¿ teraz rozbudzony, Smiley wyci¹gn¹³
siê na

kanapie - wszystko, byle tylko nie iœæ na górê do ³ó¿ka.

Trzymaj¹c przed sob¹ zdjęcie, zacz¹³ posuwaa¹ siê z trudem
po

galeriach swojej zawodowej pamiêci, unosz¹c lampê ku na
wpó³

zapomnianym portretom najrozmaitszych szarlatanów,
producentów

z³ota, fa³szery, poœredników, domokr¹¿ców, chuliganów,
otrów i

czasem bohaterów, graj¹cych drugoplanowe role poœród
niezliczonych aktorów, których zna³; szuka³ tej jednej
uœwiêconej

twarzy, która niczym tajny udzia³owiec ujawni³a siê na ma³ej
stykowej odbitce, aby dokonaæ aborda¿u jego chwiejnego
sumienia.

Snop œwiat³a lampy zamigota³, zawaha³ siê, powróci³. Zwiod³a
mnie

ciemnoœæ, pomyœla³. Pozna³em go w pe³nym œwietle.

Zobaczy³ upiorn¹, rozœwietlon¹ neonami hotelow¹
sypialniê:

cicha muzyka z g³oœeników, kwiciasta tapeta i ten ma³y
nieznajomy

przycupnięty z ucemieszkiem w rogu i nazywaj¹cy go Maksem.
Ma³y

ambasador - ale jak¹ reprezentuj¹cy sprawę, jaki kraj?

Przypomnia³ sobie p³aszcz z aksamitnymi patkami i ma³e,
twarde

d³onie, podskakuj¹ce w jakimś w³asnym tańcu. Przypomnia³
sobie

namiętne, rozeømiane oczy, otwieraj¹ce się i zamykaj¹ce
oewie₂e

usta, ale nie s³ysza³ s³ów. Ogarnę³o go poczucie straty,
chybienia celu, obecności jakiegoś innego cienia,
majacz¹cego

niewyraŹnie podczas ich rozmowy.

Byæ mo₂e, pomyœla³. Wszystko byæ mo₂e. Byæ mo₂e
Vladimira

rzeczywiœcie zastrzeli³ jakieœ zazdrosny m¹₂, pomyœla³
Smiley i

wtedy dzwonek do drzwi krzykn¹³ jak sêp, odezwa³ się dwa
razy.

Jak zwykle zapomnia³a klucza, pomyœla³. I ju₂ by³ w
korytarzu, mocuj¹c się z zamkiem. Zda³ sobie sprawę, że jej
klucz

i tak nie przyda³by siê na nic; zamkn¹³ drzwi na ³añcuch, jak Ostrakowa. Ci¹gn¹³ ³añcuch, nie czuj¹c palców i wo³a³:

- Anno! zaczekaj! - Z trzaskiem przesun¹³ blokadê w korytku i us³ysza³, jak zadzwoni³ echem ca³y dom. - Ju³, ju³! - krzykn¹³.
- Zaczekaj!

Nie odchod³!

Z rozmachem otworzy³ szeroko drzwi, chwiej¹c siê na progu,
sk³adaj¹c sw¹ pulchn¹ twarz w ofierze nocnemu powietrzu i po³yskliwej, czarnej postaci z kaskiem pod pach¹, stoj¹cej przed nim niczym stra³nik œmierci.

- Nie chcia³em pana zaniepokoiæ, sir, naprawdê - powiedzia³ nieznajomy.

Smiley kurczowo trzyma³ siê framugi i móg³ jedynie gapiæ siê

na intruza. By³ wysoki i krótko ostrzy³ony, a w jego oczach widaæ

by³o nie proszon¹ lojalnoœæ.

- Ferguson, sir. Pamiêta mnie pan, sir? Fergusona?

Prowadzi³em fundusz transportowy dla latarników pana Esterhase.

Czarny motocykl z przyczep¹ sta³ zaparkowany z ty³u. Jego mi³o³enie wypolerowana blacha b³yszcza³a w oświetle latarni.

- My³o³la³em, że sekcja latarników zosta³a rozwi¹zana - powiedzia³ Smiley, wpatruj¹c się nadal w Fergusona.

- To prawda, sir. Muszê z żealem powiedzieæ, że rozpêdzono j¹

na cztery wiatry. Koleżeńska atmosfera, duch w naszej gromadzie,

wszystko przepad³o na zawsze.

- Wiêc kto ciê teraz zatrudnia?

- W³o³eciwi³ie nikt, sir. Można by powiedzieæ, że nieoficjalnie. Ale tak czy inaczej ci¹gle jestem jeszcze po stronie anio³ów.

- Nie wiedzia³em, że s¹ w³o³ród nas jacy³o³ anio³owie.

- No nie, to prawda, sir. Zawsze powtarzam, że ludzie s¹ omylni.

Szczególnie w dzisiejszych czasach. - Poda³ Smileyowi jak¹o³

br¹zow¹ kopertê. -Powiedzmy, ¿e to od pañskich przyjació³. O ile

wiem, chodzi o jakiœ rachunek telefoniczny, o który siê pan dopytywa³. W zasadzie nasza wspó³praca z Pocz¹ uk³ada siê

dobrze. Dobranoc, sir. Przepraszam, ¿e przeszkodzi³em.

Pora chyba uderzyæ w kimono, prawda? Zawsze powtarzam, ¿e

ma³o jest na œwiecie dobrych ludzi.

- Dobranoc - powiedzia³ Smiley.

Ale jego goœæ oci¹ga³ siê nadal, jak gdyby oczekiwa³ napiwku. - Pan rzeczywicie mnie pamiêta³, prawda, sir? To by³a

tylko chwilowa luka, nie?

- Oczywicie.

* * *

Zamykaj¹c drzwi spostrzeg³, ¿e na niebie pojawi³y siê

gwiazdy. Jasne gwiazdy, pokryte opuchlizn¹ rosy. Smiley zadygota³, wyj¹³ jeden z wielu fotograficznych albumów Anny i

otworzy³ go w po³owie. Kiedy podoba³a jej siê jakæ fotka, mia³a

zwyczaj wtykaæ za ni¹ negatyw. Wybra³ zdjêcie ich obojga w Cap

Ferrat: Anna w kostiumie k¹pielowym, on roztropnie okryty. Wyj¹³

negatyw i w³o_zy³ na jego miejsce negatyw Vladimira.

Sprz¹tn¹³ odczynniki i pozosta³y sprzê^t, po czym wsun¹³ odbitkê do dziesi¹tego tomu wydanego w tysi¹c dziewiê^æset

sze^ædziesi¹tym pierwszym roku Oxford English Dictionary - pod

literê W, jak wczoraj.

Otworzy³ kopertê Fergusona, znu_zony spojrze³ na jej zawarto^æ, zobaczy³ notatki oraz s³owo Hamburg, a potem wrzuci³

to wszystko do szuflady biurka.

Jutro, pomysla³; jutro to kolejna zagadka. Wpe³z³ do ³ó_zka,

jak zwykle niepewny, po której stronie ma spać. Zamkn¹³ oczy
i,

tak jak przewidywa³, pytania natychmiast zaczę³y
bombardowaæ go

szalonymi, nieskoordynowanymi salwami.

Dlaczego Vladimir nie pyta³ o Hektora? - pomyœla³ po raz
setny.

Dlaczego stary porówna³ Esterhasea alias Hektora do
banków w

City, które odbieraj¹ ludziom parasole, kiedy pada deszcz?

"Przekaż Maksowi, że chodzi o Piaskowego Dziadka".

Zadzwońæ do niej? Narzuciæ ubranie i popędziæ tam,
żeby

przyjê³a go jak sekretnego kochanka, który chy³kiem wymyka
siê z

domu przed œwitem?

Za póŹno. Już jest zajêta.

Nagle straszliwie jej zapragn¹³. Nie móg³ znieœæ otaczaj¹cej
go pustki, w której nie by³o Anny. Têskni³ za jej drż¹cym
cia³em,

kiedy krzycza³a, nazywaj¹c go swoim jedynym,
prawdziwym,

najlepszym kochankiem, kiedy mówi³a, że nigdy nie zechce
nikogo

innego. Kobiety s¹ samowolne, George - powiedzia³a mu
kiedyœ, gdy

leżeli w rzadkim u nich spokoju.

Więc kim ja jestem? - zapyta³, a ona odpar³a: Moj¹ wol¹. A
kim by³ Haydon?

Rozeœmia³a siê i powiedzia³a: Moj¹ anarchi¹.

Zobaczy³ znowu maleñk¹ fotografiê, odbit¹ podobnie jak
wizerunek ma³ego nieznanego w jego s³abn¹cej pamiêci.
Ma³y

cz³owiek o wielkim cieniu. Przypomnia³ sobie przedstawiony
przez

Villema opis drobnej postaci na hamburskim promie: różki
stercz¹ych w³osów, pobru¹dżona twarz, ostrzegawczy
wzrok.

Generale, pomyœla³ chaotycznie, czy nie móg³by pan raz
jeszcze

przys³aæ mi swego czarodziejskiego przyjaciela?

Byæ mo¿e. Wszystko byæ mo¿e.

Hamburg, pomysla³. Wskoczy³ szybko z ³ó¿ka i
na³o¿y³

szlafrok. Z powrotem przy biurku Anny powa¿nie zabra³ siê
do

pracy, chc¹c siê dowiedzieæ, dlaczego Vladimir przekroczy³
swoje

telefoniczne konto, opisane kaligraficznym charakterem
pisma

przez jakiegoœ pocztowego urzêdnika. Wzi¹³ kartkê papieru
i

zacz¹³ notowaæ na niej daty i uwagi.

Fakt: na pocz¹tku wrzecenia Vladimir otrzymuje list z Pary¿a
i zabiera go Mikhelowi.

Fakt: mniej wiêcej w tym samym czasie przeprowadza
kosztown¹

i niezwyk³¹ jak na niego zamiejscow¹ rozmowê z Hamburgiem,
któr¹

zamawia przez centralê, prawdopodobnie dlatego, aby móc
póŸniej

domagaæ siê zwrotu kosztów.

Fakt: trzy dni później, ósmego, Vladimir przyjmuje na swój koszt rozmowę z Hamburga za dwa funty i osiemdziesiąt pensów;

numer telefonu, długość trwania rozmowy, dokładna godzina;

telefonowano z tego samego numeru, pod który dzwonił trzy dni

wcześniej Vladimir.

Hamburg, pomyślał Smiley, ponownie wracając myślami do

diabełka na zdjęciu. Ciągły ruch na ścieżkach na koszt Vladimira ustał dopiero trzy dni temu; dziewięć telefonów, ogółem za dwadzieścia jeden funtów, wszystkie z Hamburga. Ale kto

telefonował do Vladimira? Z Hamburga? Kto?

I nagle sobie przypomniał.

Mając niewyraźne postaci w hotelowym pokoju, ogromnym

cieniem diabełka był sam Vladimir. Widział, jak stoi obok siebie, obaj w czarnych płaszczach, olbrzym i karzełek. Ten paskudny hotel z muzyką i kręciastą tapetą znajdował się w

pobliżu lotniska Heathrow, a owa Ÿle dobrana para przylecia³a

w³acenie na jakieœ spotkanie w takiej chwili w Ÿyciu Smileya, gdy

nieoczekiwanie zaczê³a zanikaæ jego zawodowa to¿samooœæ. Maks,

jestecie nam potrzebny. Daj nam szansê, Maks.

Podniós³ s³uchawkê, wykrêci³ numer w Hamburgu i us³ysza³ z

tamtej strony mêski g³os, wypowiadaj¹cy po niemiecku tylko jedno

s³owo, tak.

Potem zapad³a cisza.

- Chcia³bym mówiæ z Herr Dieterem Fassbenderem - powiedzia³

Smiley, wybieraj¹c pierwsze lepsze nazwisko. Czasem niemiecki by³

drugim jêzykiem Smileya, a czasem pierwszym.

- Nie ma tu Ÿadnego Fassbendera - odpowiedzia³ po chwili ch³odno ten sam g³os, jak gdyby jego w³aœciciel sprawdza³ coœ w

tym czasie. W tle Smiley usłyszała cichą muzykę.

- Mówi Leber - nalega Smiley. - Muszę pilnie porozmawiać z

Herr Fassbenderem. Jestem jego wspólnikiem.

Kolejna pauza.

- To niemożliwe - kategorycznie odpowiedziała po chwili
głos,

a potem mężczyzna odłożył słuchawkę.

To nie prywatny dom, myślała Smiley, zapisuj się
pośpiesznie

swoje wrażenia - rozmówca miał zbyt wiele osób do wyboru.
To

także nie biuro, bo w jakim biurze gra dyskretna muzyka, a
poza

tym nie ma przecież biur czynnych w sobotę o północy.
Hotel?

Możliwe, ale w najskromniejszym nawet hotelu po prostu
z

repcji i wykazałoby choć minimum uprzejmości.

Restauracja? Zbyt tajemnicza, zbyt dobrze strzeżona - a
ponadto przedstawiłoby się chyba, odbierając telefon?

Nie ³cz poszczególnych kawa³ków uk³adanki na si³ê,
przestrzeg³ samego siebie. Magazynuj je. Cierpliwoœci. Ale
jak

mo³e zachowaæ cierpliwoœæ, gdy ma tak ma³o czasu?

Wróci³ do ³ó³ka, otworzy³ ksi¹¿kê Rural Rides Cobbetta i
zacz¹³ czytaæ, rozwa³aj¹c obok innych powa³nych spraw
swoje

poczucie civitas i zastanawiaj¹c siê, jak wiele lub jak ma³o
zawdziêcza Oliverowi Laconowi: Twój obowi¹zek, George.
Ale kto

móg³by byæ na serio cz³owikiem Lacona? - zada³ sobie
pytanie.

Kto kruche argumenty Lacona móg³by traktowaæ jako
cesarsk¹

nale³noœæ?

- Ci¹gle ci emigranci. Raz dobrzy, raz Ýli - zamrucza³
g³oœno Smiley.

Mia³ wra³enie, ¿e musia³ przez ca³e swoje zawodowe
¿ycie

wys³uchiwaæ podobnych b³azeñstw, oznaczaj¹cych rzekomo
wielkie

zmiany w rz¹dowej doktrynie; oznaczaj¹cych powoeci¹gliwoœæ
albo

samopoœwiêcenie, bêd¹ce zawsze kolejnym powodem
bezczynnoœci.

Widzia³, jak Whitehall zadziera kieckê, a potem znów j¹
opuszcza,

widzia³, jak rozpina i zaciska pasek, rozpina i zaciska. By³
œwiadkiem, ofiar¹, a mo¿e i mimowolnym prorokiem
fa³szywych

kultów lateralizacji, paralelizmu, separatyzmu, operacyjnej
dewolucji, a ostatnio integracji, je¿eli dobrze pamiêta³ pokrêtne
wyjaœnienia Lacona. Ka¿d¹ modê obwo³ywano nowym
panaceum: Teraz

zwyciê¿ymy, teraz machina zadzia³a. Za ka¿dym razem
koñczy³o siê

to skomleniem i znajomym angielskim ba³aganem, w
którym z

perspektywy czasu Smiley widzia³ samego siebie jako
wiecznego

moderatora. Zachowywa³ wyrozumia³oœæ w nadziei, ¿e
zachowaj¹ j¹

tak¿e i inni, ale przeliczy³ siê. Mordowa³ siê w garderobie,

podczas kiedy na scenie występowali prymitywniejsi od
niego

aktorzy. Ba, nadal występuj¹. Jeszcze pięć lat temu Smiley nie
przyzna³by siê do podobnych uczuæ. Ale dzieæ, na zimno
spogl¹daj¹c

w swoje serce wiedzia³, że siê nie podporz¹dkowa³ i że byæ
może w

ogóle podporz¹dkowaæ siê nie umia³; że krêpowa³y go jedynie
wiêzy

w³asnego umys³u i poczucia godnoœci. Zarówno w
ma³żeñstwie, jak i

w s³użbie pañstwowej. Zainwestowa³em życie w instytucje
-

pomyœla³ bez celu - i wszystko, co mi zosta³o, to ja sam.

I Karla, przys³o mu do g³owy; mój czarny Graal.

Nic nie móg³ na to poradziæ; gor¹czkowe myœli nie dawa³y
mu

spokoju.

Patrzy³ przed siebie w mrok i wyobrazi³ sobie, że stoi przed
nim Karla, rozpadaj¹cy siê i formuj¹cy na nowo w
ruchomych

cêtkach ciemnoœci.

Zobaczy³, ¿e taksuj¹ go br¹zowe uwa¿ne oczy, tak jak wtedy, sto lat temu w mroku celi œledczej w Delhi: oczy, które z pocz¹tku wydawa³y siê wra¿liwe i przyjazne, a potem powoli

twardnia³y niczym ciek³e szk³o, stawa³y siê kruche, nieelastyczne. Zobaczy³ samego siebie wstêpuj¹cego na zapylony

pas startowy lotniska w Delhi i krzywi¹cego siê pod uderzeniem

indyjskiego gor¹ca, bij¹cego ze smo³owanej nawierzchni: Smiley

alias Barraclough albo Standfast, czy jak tam siê w tym tygodniu

nazywa³ - nie pamiêta³. W ka¿dym razie by³ to Smiley z lat szeœædziesi¹tych, komiwoja¿er, jak go nazywali, który z ramienia

Cyrku przeczesywa³ œwiat, przedstawiaj¹c warunki przesiedlenia

oficerom Centrum Moskiewskiego, maj¹cym ochotê daæ drapaka.

Centrum przeprowadza³o w³acenie jedn¹ ze swoich okresowych
czystek

i lasy roi³y siê wprost od radzieckich oficerów operacyjnych,
boj¹cych siê wróciæ do domu. Smiley, bêt¹cy mêt¹em Anny i
koleg¹

Billa Haydona, Smiley, którego ostatnie z³udzenia
pozostawa³y

wci¹ł nienaruszone. Lecz mimo to Smiley juł bliski
wewnêtrznego

kryzysu, poniewał w tym w³acenie roku Anna straci³a serce
dla

pewnego tancerza baletowego: kolej Haydona mia³a dopiero
nadejœæ.

Wci¹ł w ciemnoœci sypialni Anny na nowo przeływa³
pe³n¹

dŸwiêku klaksonów i stukotu jazdê do wiêzienia, widzia³
rozcemiane dzieciaki, uwieszone tylnego zderzaka ich jeepa,
wozy

zaprzêt¹one w wo³y, wieczne indyjskie t³umy i chaty na
brunatnym

brzegu rzeki. Wyczuwa³ zapach ³ajna i nieustannie tl¹cego siê

ognia -ognia s³u¹cego do gotowania i oczyszczenia; ognia do

kremacji zmar³ych. Zobaczy³, jak poch³ania go żelazna brama

starego więzienia i ujrza³ idealnie odprasowane brytyjskie mundury strażników, brn¹cych ku niemu po kolana w wię³niach:

- Têdy, wasza mi³oœæ, sir. Bêdzie pan ³askaw pod¹żaa³ za nami, ekscelencjo.

Europejski więzieñ, używaj¹cy nazwiska Gerstmann.

Drobny, siwy cz³owiek o br¹zowych oczach, ubrany w czerw¹

perkalow¹ tunikê; w której przypomina³ ostatniego ocala³ego kap³ana jakiegoœ wymar³ego kultu.

Rêce mia³ skute kajdanami:

- Proszê je zdj¹æ i przynieœæ mu papierosy - powiedzia³ Smiley.

Wiêzieñ, zidentyfikowany przez Londyn jako agent Centrum

Moskiewskiego, oczekuj¹cy obecnie na deportacjê do Rosji. Nic nie

znaczący, jak się wydawało, żołnierz zimnej wojny, który
wiedzia - wiedzia z całą pewnością - że powrót do
Moskwy

oznacza obóz, pluton egzekucyjny albo jedno i drugie; że
wpadł w

ręce wroga znaczyło w oczach Centrum, samemu stać się
wrogiem: i

wcale nie było istotne, czy sypał, czy też zachowywał
tajemnicę.

Przyjechał do nas, powiedział mi Smiley przez żelazny
stół.

Przyjechał do nas, a daliśmy ci życie.

Pojedź do domu, a oni dadzą ci śmierć.

Wtedy w więzieniu Smileyowi pocięły się ręce. Panował
straszliwy upał.

Zapał sobie - proszę, weźmij moją zapalniczkę, powiedział
Smiley. Była złota, z wygrawerowanym napisem. Prezent od
Anny,

mając wynagrodzić jakiegoś jej występki. Najukochańszemu
Georgeowi

od Anny. Lubiła powtarzać, że są miłośnicy wielkie i małe, ale t

inskrypcj¹ przyzna³a :mu prawo do obu rodzajów mi³ooci.
Uczyni³a

to chyba tylko raz, w³acenie przy tej okazji.

Przy³¹cz siê do nas, powiedzia³ Smiley. Ratu³ siê. Nie masz
prawa odmawiaæ sobie ocalenia. Smiley powtarza³ znajome
argumenty

najpierw mechanicznie, potem z pasj¹, a na stó³ pada³y jak
deszcz

krople jego potu. Przy³¹cz siê do nas. Nie masz nic do stracenia.

Ci, którzy ciê kochaj¹ w Rosji, ju³z przepadli. Twój powrót tylko
pogorszy ich sytuacjê. Przy³¹cz siê do nas. B³agam. Pos³uchaj,
pos³uchaj naszych argumentów, naszej filozofii.

I wci¹¿ na pró¿no oczekiwa³ jakiegokolwiek reakcji na swoje
coraz bardziej rozpaczliwe proœby. Czeka³, a¿ zamrugaj¹
br¹zowe

oczy, a¿ jego surowe usta wypowiedz¹ przez fale
papierosowego

dymu choæby jedno s³owo: tak, przy³¹czê siê do was. Tak,
zgodzê

siê z³o¿yæ dok³adne sprawozdanie.

Tak, przyjmê wasze pieni¹dze, wasze obietnice azylu za

granic¹ i możliwoœæ spêdzenia reszty Źycia w roli uciekiniera politycznego. Czeka³, aŹ oswobodzone z kajdan rêce przestan¹

bawiæ siê bez przerwy zapalniczka¹ Anny, dla Georgea od Anny z

mi³oœci¹.

JednakŹe im gorêcej zaklina³ go Smiley, tym milczenie Gerstmanna by³o coraz bardziej dogmatyczne. Smiley wciska³ mu

odpowiedzi, ale Gerstmann nie mia³ na ich poparcie Źadnych pytañ.

Jego zdecydowanie stopniowo stawa³o siê przeraŹaj¹ce.

Przygotowa³

siê na szubienicê; wola³ zgin¹æ z r¹k przyjació³, niŹ Źyæ jedzc¹ z rêki wroga. Nastêpnego ranka rozjechali siê ku pisanemu im

losowi: Gerstmann odlecia³ do Moskwy, wbrew wszelkiemu

prawdopodobieñstwu wyszed³ ca³o z czystki i odt¹d powodzi³o mu

siê znakomicie.

Natomiast Smiley powróci³ z wysok¹ gor¹czk¹ do Anny i jej w¹tpliwej ju¹ mi³oeci; a potem dowiedzia³ siê, że Gerstmann to nikt inny jak Karla, oficer, który zwerbowa³ i prowadzi³ Billa Haydona, który s³u¹y³ mu rad¹ i wepchn¹³ go do ³ó¹ka Anny - tego samego, w którym teraz le¹a³ - pragn^{1c} zm¹ciæ wzrok Smileya, coraz wyraŹniej dostrzegaj¹cego powa¹niejsz¹ zradê Billa, spiskuj¹cego przeciw organizacji i jej agentom.

Czego teraz chcesz ode mnie, Karla, mycela³ Smiley, próbuj^{1c} przewierciæ wzrokiem ciemnoeci. "Przeka¹ Maksowi, że chodzi o Piaskowego Dziadka".

Piaskowy Dziadku, dlaczego mnie budzisz, skoro powinieneœ raczej mnie usypiaæ?

Uwiêziona w swoim paryskim mieszkaniu, umêczona duchowo i

cieleœenie Ostrakowa nie mog³aby zasn¹æ nawet, gdyby chcia³a.
Nie

pomog³yby jej wszystkie czary Piaskowego Dziadka.
Przewróci³a siê

na bok i jej nadwerê¿one ¿ebra odezwa³y siê boleœenie, jak
gdyby

wci¹¿ uciska³y je ramiona mordercy, usi³uj¹cego wepchn¹æ
Ostrakow¹ pod samochód. Spróbowa³a po³o¿yæ siê na plecach,
ale o

ma³o nie zwymiotowa³a z powodu bólu w krzy¿u. W pozycji
na

brzuchu piersi rozbola³y j¹ tak jak wtedy, gdy jeszcze przed
wyjazdem próbowa³a karmiæ Aleksandrê. Ostrakowa
nienawidzi³a tych

ludzi.

To kara boska, powtarza³a bez wiêkszego przekonania.
Dopiero

rano, kiedy z pistoletem na kolanach usiad³a znów w fotelu,
budz¹cy siê œwiat na godzinê lub dwie uwolni³ j¹ od
niespokojnych
myœli.

* * *

Galeria mieœci³a siê na tak zwanym przez handlarzy dzie³ sztuki nieprzyzwoitym koñcu Bond Street. W poniedzia³ek rano

Smiley pojawi³ siê na progu sklepu, zanim jeszcze jakikolwiek

szanuj¹cy siê marszand w ogóle wsta³ z ³ó³ka.

Niedziela up³ynê³a mu w tajemniczym spokoju. Bywater Street

budzi³a siê póŸno, podobnie jak Smiley. Pamiêæ s³u¿y³a mu podczas

snu, a i potem ujawnia³a siê ³agodnymi przeb³yskami oœwiecenia w

ci¹gu dnia. Czarny Graal przybli¿y³ siê nieco, przynajmniej jeœli chodzi o pamiêæ. Telefon nie zadzwoni³ ani razu, a lekki, lecz uporczywy kac pozwala³ Smileyowi przez ca³y czas utrzymaæ siê w

kontemplacyjnym nastroju. Na przekór rozszkowi Smiley zapisa³

się kiedyś do pewnego klubu w pobliżu Fall Mall, gdzie wczoraj w

cesarskiej samotności spoży³ na lunch befsztyk i nerki w cieście.

Potem nakaza³ szwajcarowi przynieść z klubowego sejfu swój¹

szkatu³kę, z której dyskretnie wyj¹³ kilka niezbyt legalnych drobiazgów, w tym wystawiony na nazwisko Standfast swój stary

brytyjski paszport s³u³bowy, którego jakoś nigdy nie uda³o mu się

oddać gospodarzom Cyrku; międzynarodowe prawo jazdy; a także

poka³Yn¹ kwotę we frankach szwajcarskich, bez w¹tpienia b^{êd¹}cych

jego w³asności¹, jawnie zachowan¹, jednakże wbrew ustawie o

kontroli wymiany walutowej.

Wszystkie te przedmioty spoczywa³y teraz w kieszeni Smileya.

Galeria odznacza³a siê ocelepiaj¹c¹ bia³oœci¹, podobnie jak
wywieszane w kuloodpornych witrynach p³ót³na: biel na bieli
z

najdelikatniejszymi tylko zarysami meczetu lub katedry œw.
Paw³a

- a mo¿e by³ to Capitol w Waszyngtonie, zarysowany palcem
w

gêstej farbie? Pó³ roku temu wisz¹cy tu nad chodnikiem szyld
g³osi³: Kawiarnia pod Wêdruj¹cy³ œlimakiem. Dziœ napis
brzmia³:

ATELIER BENATI, GOUT ARABE, PARIS, NEW YORK,
MONACO, a wywieszane

dyskretnie na drzwiach menu zawiera³o miêdzy innymi
nazwy

specjalnoœci nowego szefa zak³adu: Islam classique -
moderne.

Konceptualna dekoracja wnêtrz. Dostarczamy umowy. Sonnez.

Smiley zrobi³ to, o co go proszono; rozleg³ siê przeraŹliwy
brzêczyk i szklane drzwi uchyli³y siê. Znad bia³ego biurka
przezornie przygl¹da³a mu siê na wpó³ uœpiona, zu¿yta
platynowa

blondynka.

- Chcia³bym siê tylko rozejrzeæ - powiedzia³ Smiley.

Jej oczy z wolna wznios³y siê ku islamskiemu niebu.

- Ma³a czerwona plamka znaczy, że sprzedane -
wycedzi³a.

Wrêczy³a Smileyowi wypisan¹ na maszynie listê cen,
westchnê³a, po

czym wróci³a do swego papierosa i horoskopu.

Przez kilka chwil nieszczęśliwy Smiley, wlok¹c nogi za
sob¹,

chodzi³ od jednego p³ótna do drugiego, aż wreszcie znów
przystan¹³ przed dziewczyn¹.

- Chcia³bym, jeżeli to możliwe, zamieniaæ s³ówko z
panem

Benati - powiedzia³.

- Och, obawiam siê, że signor Benati jest teraz niezmiernie
zajêty. Tak to juź jest, kiedy prowadzi siê miêdzynarodowe
interesy.

- Može mog³aby mu pani powiedzieæ, że przyszed³ pan
Angel -

zaproprowowa³ w ten sam nieoemia³y sposób Smiley. - Tylko tyle.

Angel, Alan Angel. Pan Benati mnie zna.

Usiad³ na jakiejœ esowatej kanapie. By³a wyceniona na dwa

tysi¹ce funtów i pokryta ochronn¹ p³acht¹ plastiku, który szeleœci³ przy kaŹdym ruchu.

Smiley us³ysza³, jak dziewczyna podnosi s³uchawkê i wzdycha.

- Jakioœ anio³ do ciebie - wycedzi³a tym swoim seksownym

g³osem. -Angel, anio³, tak jak w Raju, rozumiesz?

W chwilê póŹniej Smiley schodzi³ juŹ gdzieœ w ciemnoœæ po

spiralnych schodach. Zszed³ na sam dó³ i czeka³. Rozleg³ siê trzask i pó³ tuzina punktowych reflektorów oœwietli³o puste miejsca na œcianach, na których powinny wisieæ obrazy.

Otworzy³y

siê drzwi i ukaza³a siê w nich nieruchoma postae wytwornie

ubranego mężczyzny. Gęste, siwe włosy miał zawadiacko zaczesane

do tyłu. Nosił czarny garnitur z kamizelką i buty z gumowymi,

baletowymi sprzączkami. Kamizelka była na niego zdecydowanie za

szeroka. Prawą stronę trzymał w kieszeni marynarki, ale ujrzawszy

Smiley'a, wyjął ją stamtąd powoli i wycelował wprost w niego, jak

jakby niebezpieczną broń.

- Ach, pan Angel - zauważył z wyraźnym
centro-europejskim

akcentem, spoglądając ku schodom, by sprawdzić, czy ktoś
ich

przypadkiem nie słyszy. - Cóż za przyjemność, sir. Ile to
czasu

minęło. Proszę, proszę wejść.

Uściśnuli sobie dłonie, przez cały czas zachowując
w sobie

rezerwę.

- Witam, panie Benati - powiedziała Smiley, przechodząc za

nim do jednego, a potem drugiego pokoju w amfiladzie. Tu pan

Benati zamkn¹³ drzwi i delikatnie opar³ się o nie plecami, pragn^{1c} być może w ten sposób zapobiec ewentualnej ingerencji z

zewn¹tr. Potem przez chwilę obaj milczeli, wol^{1c} przygl¹dać się

sobie w ciszy, wynikaj¹cej z wzajemnego szacunku.

Pan Benati mia³ br¹zowe, ruchliwe oczy, które nigdzie nie zatrzymywa³y się d³ugo ani bezcelowo. Pokój przypomina³ nieco

obskurny buduar: by³ tam szezlong i różowa umywalka w k¹cie.

- Jak interesy, Toby? - spyta³ Smiley.

W odpowiedzi na to pytanie Toby Esterhase pos³a³ Smileyowi

specyficzny ucemiec i w specyficzny sposób potrz¹sn¹³ sw¹ ma³¹

d³oni¹.

- Mielicemy szczęście, George. Dobry pocz¹tek, fantastyczne

lato.

Natomiast jesień, George - znów ten sam gest - jesień,
powiedzia³bym, idzie raczej niemrawo. Trzeba być z zapasów,
jak

wielb³d. Kawy? Dziewczyna robi.

- Vladimir nie żyje - powiedzia³ Smiley po kolejnej dłuższej
przerwie. -Zastrzelili go na Hampstead Heath.

- Szkoda. To ten stary? Szkoda.

- Oliver Lacon poprosi³ mnie, żebym posprzą³ta³.
Pomyśla³em

sobie, że powinienem z tob¹ pogadać, skoro ty by³o³e³
listonoszem

Grupy.

- Jasne - powiedzia³ uprzejmie Toby.

- A więc wiedzia³e³? O jego śmierci?

- Przeczyta³em w gazetach.

Smiley rozejrza³ się po pokoju. Nigdzie nie by³o widać
żadnych gazet.

- Domyślasz się, kto mógł³ to zrobić? - spyta³ Smiley.

- W jego wieku, George? Można by powiedzieć, u
schy³ku

pe³nego rozczarowañ ¿ycia? Bez rodziny, bez perspektyw.
Grupa

gdzieœ siê rozpierzcha: uzna³em, ¿e sam to zrobi³.
Oczywiêcie.

Smiley przysiad³ ostro¿nie na szezlongu i wzi¹³ niewielk¹,
br¹zow¹ statuetkê tancerki, stoj¹c¹ na stole. Toby bacznie go
obserwowa³.

- Czy nie powinna mieæ swojego numeru, je¿eli to Degas?

-

zapyta³ Smiley.

- Degas to nie³atwa sprawa, George. Trzeba wiedzieæ, z
czym

ma siê do czynienia.

- Ale ten jest autentyczny? - spyta³ Smiley, jak gdyby
naprawdê go to interesowa³o.

- Ca³kowicie.

- Sprzedasz mi go?

- Co takiego?

- Ot tak, z akademickiej ciekawoœci. Jest na sprzeda¿? Nie
potraktowa³byœ mnie powa¿nie, gdybym chcia³ go kupiæ?

Lekko zajęnowany Toby wzruszy³ ramionami.

- George, tu chodzi o grube tysi¹ce, jeżeli wiesz, co mam na myœli. To prawie roczna emerytura.

- Kiedy tak naprawdę mia³œce ostatnio do czynienia z siatk¹ Vladiego? -zapyta³ Smiley, stawiaj¹c rzeÿbê z powrotem na stole.

Toby nie spieszy³ siê z odpowiedzi¹.

- Z siatk¹?! - zawo³a³ w koñcu z niedowierzaniem. -
Powiedzia³œce siatk¹, George? - Ćmiech odgrywa³
zazwyczaj
niewielk¹ rolê w repertuarze Tobyego, ale teraz uda³o mu siê
wydobyæ z siebie krótki, nerwowy chichot. -Tê szalon¹
Grupê
nazywasz siatk¹? Dwudziestu stukniêtych Ba³tów, przecieki jak
z
dziurawego garnka, i to ju¿ ma byæ siatka?

- Musimy ich jakoœ nazywaæ - zaproponowa³ spokojnie
Smiley.

- Jasne, musimy. Ale nie siatk¹, dobra?

- Wiêc jak brzmi twoja odpowiedÿ?

- Jaka odpowiedÿ?

- Kiedy ostatnio mia³eœ do czynienia z Grup¹?
- Wiele lat temu. Zanim mnie wyrzucili. Wiele lat temu.
- Ile lat temu?
- Nie wiem.
- Trzy?
- Mo¿e.
- Dwa?
- Chcesz przyprzeæ mnie do muru, George?
- Chyba tak. Tak.

Toby ze smutkiem pokiwa³ g³ow¹, jak gdyby spodziewa³ siê

tego od samego pocz¹tku:

- Zapomnia³eœ ju¿, George, jak to z nami by³o u latarników?

Jak bardzo bylicemy przemêczeni? Jak ja i moi ch³opcy odgrywalicemy

listonoszy dla po³owy wszystkich siatek w Cyrku? Pamiêtasz? Ile

spotkañ, ile aresztowañ tygodniowo? Dwadzieœcia, trzydzieœci?

Raz, jak by³ dobry sezon, czterdzieœci? IdŸ do Rejestracji,

George, Jeżeli stoi za tob¹ Lacon, id^Ź do Rejestracji, wyci¹gnij
sobie akta i posprawdzaj karty spotka^ñ. Wtedy wszystko
zrozumiesz. Nie przychod^Ź tutaj ³apaæ mnie za s³ówka,
je[¿]eli

wiesz, co mam na my^{eli}. Degas. Vladimir, nie podobaj¹ mi siê
te

pytania.

Przyjaciel, dawny szef, mój w³asny dom; to mnie nieco
wyprowadza z równowagi, jasne?

Poniewa[¿] ta przemowa trwa³a znacznie d³u[¿]ej, ni[¿] siê
spodziewali, Toby przerwa³, jak gdyby czekaj¹c, [¿]e Smiley
wyja^{eni}

mu za chwilê powody jego gadatliwo^{eci}. Post¹pi³ krok do
przodu i

roz³o[¿]y³ rêce w b³agalnym ge^{eci}.

- George - powiedzia³ z wyrzutem. - Nazywam siê Benati,
dobra?

Smileya ogarnê³o przygnêbienie. Ponuro przypatrywa³ siê
wy^{eci}wiechtanym katalogom, porozrzucanym po dywanie.

- Nie nazywam siê Hektor, a ju[¿] na pewno nie Esterhase -

naciska³ Toby. - Mam alibi na kaźdy dzieñ roku: ukrywam siê przed

moim agentem bankowym. Myœlisz, ¿e chcê na³o¿yæ sobie pêtłê na

szyjê? Ci emigranci, a mo¿e i policja. To ma byæ przes³uchanie,

George?

- Znasz mnie, Toby.

- Jasne. Znam ciê, George. Chcesz zapa³ki, ¿eby mi przypaliæ

stopy?

Wzrok Smileya utkwiony by³ nadal w katalogach.

- Vladimir dzwoni³ do Cyrku na krótko przed œmierci¹.
Mówi³,

¿e chce nam przekazaæ pewne informacje.

- Ten twój Vladimir by³ starym cz³owikiem, George - nie ustêpowa³ Toby, który jak na gust Smileya zbyt ostro protestowa³.

- S³uchaj, takich facetów jak on jest ca³e mnóstwo. Bogaty ¿yciorys, zbyt d³ugo op³acany; starzej¹ siê, dostaj¹

rozmiękczania mózgu, pisz¹ jakiegoś ob³¹skane wspomnienia i wszędzie

wiesz¹ ogólnowiatowe spiski, rozumiesz?

Smiley bezustannie przygl¹da³ się katalogom, wspar³szy sw¹okr¹g³¹ g³owę na zacięniętych pięćciach.

- Dlaczego w³acniwie o tym mówisz, Toby? - zapyta³ krytycznie. - Nie nad¹żam za twoim tokiem myślenia.

- Co to znaczy, dlaczego o tym mówisz? Starzy uciekinierzy, starzy szpiegowie bywaj¹ odrobinę stuknięci. S³ysz¹ g³osy, rozmawiaj¹ z ptaszkami. To normalne.

- A Vladimir s³ysza³ g³osy?

- Sk¹d mogę wiedzieć?

- O to cię w³acnie pytam, Toby - wyjaśni³ rozs¹ownie Smiley,

zwracaj¹c się w stronę katalogów. - Mówi³em, że Vladimir miał³ dla

nas jakiegoś informacje, a ty mi na to odpowiedzia³eś, że dosta³ rozmiękczania mózgu, Ciekaw jestem, sk¹d wiedzia³eś. O tym

rozmiękczaniu. Ciekaw jestem, czy masz gdzieś wiadomości,

dotyczy¹ce jego stanu zdrowia umys³owego. I dlaczego lekcewa²ysz

to, co Vladimir mó³g³by mie^æ do powiedzenia. To wszystko.

- George, grasz w bardzo star¹ gr^ê. Nie przekr^êcaj moich s³ów.

Dobrze?

Chcesz mnie pyta^æ, pytaj. Prosz^ê bardzo. Ale nie przekr^êcaj moich s³ów.

- To nie by³o samobójstwo, Toby - powiedzia³ Smiley, nie patrz¹c na niego. - To z ca³¹ pewno^æci¹ nie by³o samobójstwo. Wierz mi, widzia³em cia³o. I nie by³ to tak²e zazdrosny m¹; chyba ²e zaopatrzony w narz^êdzie zbrodni stosowane przez Centrum

Moskiewskie. Jak to my je nazywali^æmy, te rewolwery? Nieludzczy

zabójcy, prawda? No i Moskwa tego w³acenie u²y³a.

Nieludzkiego zabójcy.

Smiley znów popad³ w zadum^ê, ale tym razem, nawet je^æli by³o

ju² za pó³no, Toby wykaza³ ze swej strony tyle sprytu, ²eby

czekaæ w milczeniu.

- Widzisz, Toby, kiedy Vladimir zadzwoni³ do Cyrku, prosi³ Maksa.

Innymi s³owy, mnie. Nie swego listonosza, czyli ciebie. Nie Hektora.

Prosi³ proboszcza, którym by³em ja, na dobre i na z³e.
Wbrew

wszelkim zwyczajom, wbrew zasadom s³u¿bowym, wbrew tradycji.

Nigdy przedtem tak nie postêpowa³.

Oczywiêcie nie by³o mnie, wiêc zaproponowali mu zastêpstwo,

m³odego g³uptasa nazwiskiem Mostyn. To zreszt¹ niewa¿ne, bo w

koñcu i tak siê nigdy nie spotkali.

Ale czy mo¿esz mi wyjaœniæ, dlaczego Vladimir nie prosi³ o

Hektora?

- O rany, George. Gonisz widma. Sk¹d mam wiedzieæ, dlaczego

nie prosi³ o mnie? Co to, raptem stajemy siê odpowiedzialni za

b³edy innych?

Co to ma znaczyæ?

- Pok³óci³ee siê z nim? O co?

- Dlaczego mia³bym siê k³óciæ z Vladimirem? Robi³ siê dramatyczny, George. Ci starcy tacy siê staj¹ na emeryturze. -

Toby urwa³, jak gdyby ta uwaga mia³a dotyczyæ tak³e s³abostek

Smileya. - Nudz¹ siê, têskn¹ za prac¹, chc¹, ³eby ich dopieszczæ, wiêc wymyœlaj¹ od czasu do czasu jakieœ bajeczki.

- Ale nie wszyscy z nich gin¹, prawda, Toby? W tym w³acenie

problem: przyczyna i skutek. Jednego dnia Toby k³óci siê z Vladimirem, drugiego dnia Vladimir ginie od kuli z radzieckiego

rewolweru. W jêzyku policyjnym to siê nazywa dziwny zbieg

okolicznoœci. Zreszt¹ w naszym jêzyku te³.

- Czyœ ty zwariowa³, George? Jaka k³ótnia, do jasnej cholery? Ju³ ci mówi³em: nigdy w ³yciu nie k³óci³em siê ze starym

- Mikhel twierdzi, że się kłóciły.

- Mikhel? Chodzisz gadać z Mikhelem?

- On powiada, że stary miał do ciebie wielki żal. Powtarza

mu ciągle:

Hektor jest do niczego. Cytował dokładnie słowa
Vladimira.

Hektor jest do niczego. Mikhel był bardzo zdziwiony.
Vladimir

zawsze wysoko cię cenił i Mikhel nie miał pojęcia, co takiego
zaszło między wami, że stosunek Vladimira do ciebie uległ
tak

znacznej zmianie. Hektor jest do niczego.

Czemu był do niczego, Toby? Dlaczego Vladimir zapisał
do

ciebie tak niechętnie?

Wolałbym, żeby policja nie dowiedziała się o niczym. Dla
dobra nas wszystkich.

W tym momencie gracz w Tobym Esterhas obudził się już
jednak

całkowicie. Toby dobrze wiedział, że w sąsiedztwie, podobnie
jak w

bitwie, nie można zwyciężyć. Można tylko ponieść porażkę.

- To jakże nonsens, George - oświadczy³ raczej z żalem niż z

bólem. -Chodzi mi o to, że mnie oszukujesz, przecież to jasne jak

słońce.

Rozumiesz?

Jakże staruch buduje zamki na lodzie, a ty chcesz od razu lecieć na policję?

Czy po to Lacon cię wynaj¹³? Masz posprzą¹tać? George?

Tym razem dłuższa cisza spowodowa³a, że Smiley podj¹³chyba

jak¹oś decyzję, bo kiedy znów się odezwa³, jego głos brzmi³ tak,

jak gdyby pozosta³o mu już bardzo niewiele czasu. Mówi³ z

ożywieniem, a nawet z pewn¹ niecierpliwośc¹.

- Vladimir przyszed³ zobaczy³ się z tob¹. Nie wiem dok³adnie

kiedy, najdalej kilka tygodni temu. Spotka³o³ się z nim albo może

rozmawialiście przez telefon; dzwoniliście z budki do budki
albo

zastosowaliście jak inne metody, nieważne. Prosi, żebyście

dla niego zrobili. Odmówiliście. Dlatego chcia rozmawiać z
Maksem,

kiedy dzwoni do Cyrku w piątek wieczorem.

Uzyska już odpowiedź od Hektora, a odpowiedź
brzmi

"nie". To dlatego Hektor był do niczego. Odmówiliście mu.

Tym razem Tobie nie próbowa przerywać.

- I chcia bym ci jeszcze powiedzieć, że boisz się czegoś -
podj dalej Smiley, staraj się nie patrzeć na wypchaną kieszonkę
marynarki Tobiego. -Wiesz akurat tyle o śmierci Vladimira,
by

sądzi, że jego zabójcy mogliby zamordować i ciebie. Nie
byście

nawet pewien, czy przyszedł wścieciwy pan Angel. - Przerwał,
ale

Tobie nie poruszy się. Smiley przybra teraz spokojniejszy ton. -

Pamiętasz, co mówiliśmy w Sarratt, Toby: że informacja, z którą

nie ma co robić, to strach? Ten taki strach trzeba szanować?

Szanuj swój strach, Toby. Chcę wiedzieć o nim coś więcej.

Skąd się wziął? Czy powinienem go dzielić? To wszystko.

Toby Esterhase stał przy drzwiach, przycisnął swe małe dłonie do ścian i z najwyższą uwagą przypatrywał się badawczo

Smileyowi, nie zmieniając ani na moment wyrazu twarzy. Jego

głębokie, pytające spojrzenie zdawało się nawet sugerować, że

niepokoји się raczej o Smileya niż o siebie.

Zrobił z zaciśniętym miną jeden krok w głąb pokoju, potem drugi, ale wahał się, jak gdyby odwiedzał chorego przyjaciela w

szpitalu. Dopiero wtedy, przybierając postawę lekarza stojącego przy łóżku pacjenta, odpowiedział na przedstawione mu zarzuty

niezwykle przenikliwym pytaniem, które przypadkowo zadawa³ sobie

przez ostatnie dwa dni sam Smiley.

- George. B¹dŸ tak dobry i odpowiedz mi. Kto tu w³æciwie

mówi?

George Smiley? Oliver Lacon? Mikhel? Kto mówi, co? - Nie

uzyskawszy natychmiastowej odpowiedzi, Toby podszed³ do obitego

at³asem, lepi¹cego siê od brudu sto³ka i usadowi³ siê na nim wymuskany niczym kocur, opieraj¹c d³onie na kolanach. - Bo jak na

osobê urzêdow¹, zadajesz cholernie nieoficjalne pytania. Mam

wraŸenie, Ÿe zachowujesz siê raczej nieoficjalnie.

- Widzia³eœ siê z Vladimirem i rozmawia³eœ z nim. Co siê

sta³o? - zapyta³ Smiley, ani na jotê nie zbity z tropu tym atakiem. - Opowiedz mi o tym, a powiem ci, kto mówi.

W najdalszym rogu sufitu znajdowa³ siê p³at po¿ó³k³ego szk³a

o powierzchni mniej wiêcej jednego metra kwadratowego.

Igraj¹ce

na szybie cienie by³y odbiciami stóp przechodniów na ulicy.

Z

niewiadomej przyczyny Toby utkw³ wzrok w tym w³acenie dziwnym

punkcie i zdawa³o siê, ¿e szuka tam odpowiedzi wyœwietlonej na

ekranie niczym jakaœ instrukcja.

- Vladimir przekaza³ mi sygna³ alarmowy - powiedzia³ Toby

dok³adnie takim samym tonem, jak poprzednio, nie zwierzaj¹c siê i

nie ustêpuj¹c. Jednak¿e moduluj¹c g³os, uda³o mu siê zawrzeæ w

swojej wypowiedzi nutkê przestrogi.

- Poprzez Cyrk?

- Poprzez moich znajomych - powiedzia³ Toby.

- Kiedy?

Toby poda³ datê. Dwa tygodnie temu. Spotkanie nadzwyczajne.

Smiley zapyta³, gdzie siê odby³o.

- W Muzeum Nauki - odpar³ Toby w przyp³ywie œwie³ej pewnoœci

siebie. - Kafajka na ostatnim piêtrze, George. Piliœmy kawê i podziwialiœmy zwisaj¹ce z dachu stare samoloty. Doniesiesz o tym

wszystkim Laconowi, George? Nie przejmuj siê, dobrze? Proszê

bardzo. Nie mam nic do ukrycia.

- Przedstawi³ ci jak¹œ propozycjê?

- Jasne. Przedstawi³ mi propozycjê. Chcia³, ¿ebym siê zabawi³ w latarnika. ¿ebym zosta³ wielb³¹dem. To taki nasz ¿art z

dawnych, moskiewskich czasów, pamiêtasz? Zabraæ przesy³kê,

przenieœæ j¹ przez pustyniê, dostarczyæ na miejsce. Toby, nie mam

paszportu. Aidez - mois. Mon ami, aidez - moi.

Wiesz, jak on mówi³. Jak de Gaulle. Tak go nazywaliśmy:
Ten

drugi Genera³.

Pamiętasz.

- Co mia³o^e przewie³?

- Nie określi³ tego dok³adnie. Jakie³ ma³y dokument, nie
trzeba by³o go nawet ukrywa^e. Tylko tyle mi powiedzia³.

- To chyba du³o jak na kogo^e, kto tylko wystawia czu³ki i
bada sytuacj^e.

- No, i¹da³ te³ cholernie du³o - powiedzia³ spokojnie Toby i
czeka³ na kolejne pytanie Smiley'a.

- Dok¹d trzeba by³o jecha^e? - zapyta³ Smiley. - To te³ ci
powiedzia³?

- Do Niemiec.

- Których?

- Naszych. Na pó³noc.

- Przypadkowe spotkanie? Nie u³zywana czy u³zywana
skrzynka

kontaktowa? Jak to si^e mia³o odby^e?

- W trasie. Kaza³ mi jechaæ poci¹giem z Hamburga w kierunku

pó³nocnym. Przesy³kê mia³em otrzymaæ w poci¹gu; gdybym siê

zgodzi³, poda³by szczegó³y.

- Sprawa za³atwiana prywatnie. Ani Cyrku, ani Maksa?

- To by³a tymczasem bardzo prywatna sprawa, George.

Smiley ostro¿nie dobiera³ s³owa.

- A wynagrodzenie za twój trud?

W odpowiedzi Tobyego pobrzmiewa³ powa¿ny sceptycyzm.

- Gdybyœmy zdobyli ten dokument... Tak to nazywa³, dobra?

Dokument.

Wiêc gdybyœmy zdobyli ten dokument i gdyby okaza³ siê

autentyczny, a Vladimir przysiêga³, ¿e jest autentyczny, to natychmiast zdobylibyœmy sobie miejsca w Raju.

Najpierw

pokazujemy dokument Maksowi i opowiadamy mu ca³¹ historiê. Maks

wiedzia³by, jakie to nies³ychanie wa¿ne, jak wielkie posiada dla

nas znaczenie. Maks miał nas wynagrodzić. Awanse,
podarunki,

odznaczenia. Maks umieściłby nas w Izbie Lordów. Jasne.
Problem

polega na tym, że Maks poszedł w odstawkę, o czym Vladimir
nie

wiedział, a Cyrk stał się zastępcą skautów.

- A wiedział, że Hektor też poszedł w odstawkę?

- O tyle o ile, George.

- Co to ma znaczyć? - Po chwili mruczył coś za różnicą,

Smiley unieważnił jednak swoje pytanie i znów na dłuższą
chwilę

popadł w zamyślenie.

- George, daj sobie spokój z tym celedztwem - powiedział
żarliwie Toby. - Posłuchaj mojej rady, daj spokój - powiedział i
czekał.

Być może Smiley wcale go nie usłyszał. W
chwilowym

oszołomieniu rozważał skalę popełnionego przez Tobyego
błądu.

- Rzecz w tym, że go przegnał - powiedział pod nosem

Smiley, patrz¹c wci¹ przed siebie. - Zwróci³ siê do ciebie o pomoc, a ty zatrzasn¹³eœ mu drzwi przed nosem. Jak mog³eœ to

zrobiæ, Toby? I to ty, w³acenie ty?

Toby s³ysz¹c te wyrzuty, poderwa³ siê wœciekle na nogi; zreszt¹ niewykluczone, ¿e o to przede wszystkim Smileyowi

chodzi³o. Tobyemu zab³ys³y oczy, policzki pokry³y siê rumieñcem,

a drzemi¹ca w nim dot¹d wêgierska dusza obudzi³a siê teraz na

dobrze.

- A chcia³byœ moje wiedzieæ, dlaczego? Chcesz wiedzieæ,

dlaczego powiedzia³em: Vladimir, id³ do diab³a, zej³d³ mi z oczu,

niedobrze mi siê robi na twój widok? Chcesz wiedzieæ, kim jest

ten jego kontakt? Kim jest ten zaszyty gdzieœ w pó³nocnych

Niemczech magik z garncem z³ota, które w jedn¹ noc uczyni z nas

milionerów? Chcesz wiedzieć, jak on się nazywa? Otto
Leipzig,

przypominasz sobie przypadkiem takie nazwisko?

Wielokrotny

zdobywca naszej nagrody Mendy Roku? Łgarz, kupczyk
informacji

kramarz, oszust, maniak seksualny, alfons i recydywista?

Pamiętasz tego wielkiego bohatera?

Smiley zobaczył znów kraciaste łeciany tamtego hotelu i
okropne grafiki, przedstawiające pana Jorrocksa na tropie
zwierza

na polowaniu; zobaczył dwie postacie w czarnych płaszcach,
karła

i olbrzyma, i pokrytymi cętkami ogromną dłoń Generała,
spoczywającą

na drobniutkim ramieniu jego podopiecznego. Maks, to jest
mój

dobry przyjaciel, Otto.

Przyprowadziłem go, żeby sam ci o wszystkim
opowiedział.

Smiley słyszał nieustanny huk lądujących i startujących na

lotnisku Heathrow samolotów.

- S³abo - powiedzia³ spokojnie Smiley. - Tak, s³abo, ale wydaje mi siê, ¿e przypominam sobie niejakiego Otto Leipziga.

Opowiedz mi o nim.

Pamiêtam, ¿e mia³ chyba doœæ sporo ró¿nych nazwisk. Zreszt¹

tak jak my wszyscy, prawda?

- Mia³ ich ze dwieœcie, ale ostatecznie zosta³ przy nazwisku Leipzig.

Wiesz dlaczego? Leipzig we wschodnich Niemczech; podoba³o mu

siê tamtejsze wiêzienie. Taki z niego w³acenie stukniêty b³azen.

Pamiêtasz mo¿e informacje, którymi handlowa³? - Toby s¹dzi³, ¿e

przej¹³ inicjatywê i sta³ teraz nad siedz¹cym biernie Smileyem, zalewaj¹c go z góry potokiem s³ów: - George, nie pamiêtasz nawet

tych nieprawdopodobnych i totalnych bzdur, które rok po roku ta

menda, używaj¹c piętnastu rozmaitych nazwisk, wciska³a naszym

zachodnioeuropejskim placówkom, przede wszystkim niemieckim? Nie

pamiętasz naszego eksperta od nowego porz¹dku spo³ecznego w

Estonii?

Naszego najważniejszego Źród³a informacji o transportach radzieckiej broni, wyp³ywaj¹cej z Leningradu? Naszego pods³uchu w

Centrum Moskiewskim, ba, nawet naszego g³ównego stró³a Karli? -

Smiley nie poruszy³ siê. - Nie pamiętasz, jak wyko³owa³ choæby

naszego berlińskiego rezydenta na dwa tysi¹ce marek, wciskaj¹c mu

artyku³ 3ywcem przepisany ze "Sterna"?

Jak wodzi³ za nos tego starego Genera³a, przysysa³ siê do niego niczym pijawka i papla³ ci¹gle: my, rodacy, Ba³towie?

Generale, mam dla pana klejnoty królewskie, tylko nie wystarczy

mi na bilet lotniczy? Rany boskie!

- Ale nie wszystko, co mówi³, by³o jednak ³garstwem, Toby

-

zaoponowa³ ³agodnie Smiley. - Pamiêtam, że przynajmniej
w

niektórych sprawach jego informacje okaza³y siê kilkakrotnie
ca³kiem wartoœciowe.

- Takie przypadki mo³esz policzyæ na jednym palcu
jednej
rêki.

- Na przyk³ad jego materia³ z Centrum Moskiewskiego?
Chyba
nigdy nie z³apalicemy go tam na oszustwie, co?

- No dobra. Wiêc Centrum podrzuca³o mu od czasu do
czasu
jakieœ och³apy, żeby Leipzig móg³ nam potem wciskaæ te
swoje

brednie Na litoœæ bosk¹, przecie³ tak w³aœnie gra podwójny
agent.

Smiley mia³ chyba ochotê o tym podyskutowaæ, ale szybko
siê

rozmyœli³.

- Rozumiem - powiedzia³ w koñcu, jak gdyby ju¿ uleg³. -
Tak,

rozumiem, o co ci chodzi. Wtyczka.

- Menda, nie ¿adna wtyczka. Trochê szpiega, trochê ¿ajdaka.

Poœrednik. ¿adnych zasad, ¿adnych skrupu³ów. Bêdzie
pracowa³

dla ka¿dego, kto posmaruje mu ¿apê.

- Zrozumi³em - powiedzia³ ponuro Smiley tym
samym

przegranym tonem. - I oczywiœcie zamieszka³ sobie teraz
w

pó¿nocnych Niemczech, tak?

Gdzieœ ko³o Travemunde.

- Otto Leipzig nigdy sobie nigdzie nie zamieszka³ - rzek³ z
pogard¹ Toby. - George, ten facet jest w³óczêg¹, kompletnym
degeneratem.

Ubiera siê jak Rotszyld, a ma tylko kota i rower. Wiesz,
gdzie on ostatnio pracowa³, ten wielki szpieg? By³ nocnym
stró¿em

w jakimś parszywym magazynie w Hamburgu. Daj sobie z nim spokój.

- Mia³ też wspólnika - powiedzia³ Smiley, jak gdyby to by³o tylko mgliste, niewinne wspomnienie. - Tak, to też teraz sobie przypominam. Jakiegoś imigranta, Niemca z NRD.

- Gorzej niż Niemca: Saksończyka. Nazwisko Kretschmar, imię Claus.

Pisane przez C, nie pytaj mnie, dlaczego. Wiesz, że ci faceci nie maj¹ ani krzty logiki. Claus też by³ mend¹. Razem kradli, zajmowali się sutenerstwem, fa³szowali raporty.

- To by³o dawno temu, Toby - wtr¹ci³ cicho Smiley.

- No i co z tego? Stanowili ma³żęństwo doskona³e.

- W takim razie myślê, że musia³o się rozpa^æ - powiedzia³

do siebie na stronie Smiley.

Ale by^æ może tym razem Smiley przesadzi³ ze sw¹ udawan¹

³agodności¹, a może Toby po prostu zbyt dobrze go zna³, bo w jego

bystrych, węgierskich oczach zapali³o się naraz ostrzegawcze

ćwiate³ko, a dobrotliwy wyraz twarzy zm¹ci³a podejrzliwa zmarszczka. Cofn¹³ się i przygl¹daj¹c się uważnie Smileyowi, g³adzi³ z namys³em swoje nieskazitelnie bia³e w³osy.

- George - powiedzia³. - S³uchaj, kogo ty chcesz oszukaæ, co?

Smiley nie odpowiedzia³. Wzi¹³ tylko do rêki rzeÿbê Degasa, podniós³ j¹, odwróci³ i odstawi³ na miejsce.

- George, pos³uchaj mnie choæ raz. Proszê. Dobrze, George?

Mo¿e choæ raz ja ci zrobiê wyk³ad.

Smiley spojrze³ na niego, potem odwróci³ wzrok.

- George, mam u ciebie d³ug. Musisz mnie wys³uchaæ. Dobra,

wyci¹gn¹³eæ mnie kiedyœ z rynsztoka w Wiedniu, kiedy by³em

jeszcze tylko œmierdz¹cym gnojkiem. By³em Leipzigiem.

Degeneratem. Za³atwi³eæ mi pracê w Cyrku. Wiele przeÿylicemy

razem, mogliemy ze sob¹ konie kraceæ. Pamiêtasz pierwsz¹
zasadê,

obowi¹zuj¹c¹ przy przejœciu w stan spoczynku? Āadnej
lewej

roboty. Nie bawiæ siê Źadnymi starymi sprawami.
Āadnych

prywatnych dzia³añ, nigdy? Pamiêtasz, kto g³osi³ tê zasadê?
W

Sarratt? Na korytarzach? George Smiley. Jak koniec, to
koniec.

Opuœæcie Źaluzje i idŹcie do domu. A teraz co ci nagle
przysz³o

do g³owy? Chcesz graæ w koci, koci ³apci z takim b³aznem o
piêciu

twarzach, jak Otto Leipzig, i ze starym, zidiocia³ym
Genera³em,

który nie Źyje, ale nie chce siê po³oŹyæ do trumny? Co to ma
byæ?

Ostatnia szarŹa kawalerii na Kreml? Jesteemy skoñczeni,
George.

Nie mamy prawa. JuŹ nas nie potrzebuj¹. Daj spokój. -
Zawaha³

siê, nagle zrobi³o mu siê g³upio. - No dobrze, Anna i Bill
Haydon

zaleŸli ci wtedy za skórê.

W dodatku jest jeszcze Karla, a Karla by³ moskiewskim
szefem

Billa. George, to siê robi bardzo prymitywne, rozumiesz?

Opuœci³ ramiona i wpatrywa³ siê w siedz¹c¹ przed nim
nieruchom¹ postac.

Powieki Smiley'a zamknê³y siê niemal zupe³nie. G³owa
opad³a

mu na piersi, policzki obwis³y, a wokó³ jego ust i oczu pojawi³y
siê g³êbokie bruzdy.

- Nigdy nie podwaŸylicemy tych jego raportów o Centrum

-

powiedzia³ Smiley, jak gdyby w ogóle nie s³ysza³ ostatnich
s³ów

Tobyego. - Pamiêtam dok³adnie, ¿e nie. Ani raportów
dotycz¹cych

Karli. Vladimir mia³ do niego bezwzglêdne zaufanie. My
tak¿e,

jeœli chodzi o materia³y z Moskwy.

- George, a kto kiedykolwiek podważył jakiego raport o Centrum? Co? No dobrze, od czasu do czasu ktoś stamtąd ucieka i

mówi: To bzdura, a to może jest i prawda. A gdzie potwierdzenie,

gwarancje? Gdzie twarde podstawy, jak sam mówiłeś? Jakiego facet ci

wciska, że Karla zbudował w³aczenie na Syberii nowe przedszkole dla

szpiegów. No i kto powie, że tak nie jest? Trzymaj się ogólników,

wtedy trafisz bez pudła.

- Dlatego w ogóle go tolerowaliśmy - ci¹gn¹³ dalej Smiley, jak gdyby nic nie s³ysza³. - Tam, gdzie chodzi³o o wywiad sowiecki, Leipzig gra³ uczciwie.

- George - powiedzia³ miêkko Toby, krêc¹c g³ow¹. - ObudŸ

siê. Publicznoœæ ju¿ posz³a do domu.

- Opowiesz mi teraz ca³¹ resztê, Toby? Powiesz mi dok³adnie,

co mówi³ Vladimir? Dobrze?

I wreszcie Toby w imię przyjacieli niechętnie zrobił mu prezent i opowiedział wszystko otwarcie i szczerze, jak człowiek, który przegrał.

Rzeźba, której autorem był może Degas, przedstawiała baletnicę z uniesionymi nad głową ramionami. Jej ciało wygięte

było ku tyłowi, usta rozchyliły się w ekstazie, i nie ulegało kwestii, że bez względu na to, czy jest to kopia, czy też oryginał, można było dopatrzeć się w postaci baletnicy powierzchownego, lecz niepokojącego podobieństwa do Anny Smiley

wziął znowu rzeźbę i obracał ją powoli w dłoni, przypatrując się statuetce to z tej, to z tamtej strony, nie wydając jednak jakiegokolwiek zdecydowanej oceny.

Toby powrócił na swój atlasowy stolik. W oknie pod sufitem

widział był cienie kroczących radośnie stóp.

Toby i Vladimir spotkali się w kafejce Muzeum Nauki na piętrze aeronautycznym. Vladimir był wielce podekscytowany i

wci¹ trzyma³ Tobyego za ramiê; nie podoba³o mu siê to,
rzucali

siê ludziom w oczy.

Vladimir powtarza³, że Leipzigowi uda³o siê dokonaæ
rzeczy

niemożliwej. To wielka wygrana, jedna szansa na milion,
Toby;

Otto Leipzig z³owi³ tê grub¹ rybê, o której zawsze marzy³
Maks,

za³atwi³ nam rekompensatê w pe³nym wymiarze, jak to
okreœli³

Vladimir. Gdy Toby doœæ kwaœno zapyta³ go, jakiego
rodzaju

rekompensatê ma na myœli, Vladimir nie móg³ lub nie
chcia³

odpowiedzieæ: Zapytaj Maksa, nalega³. Zapytaj Maksa, jeœli mi
nie

wierzysz, powiedz mu, że to wielka wygrana.

- To co to za interes? - zapyta³ Toby, który wiedzia³, że
jeœli w sprawê zamieszany jest Otto Leipzig, najpierw
przychodzi

rachunek, a towar dopiero dużo, dużo później. Ile chce ten nasz

wielki bohater?

Toby przyzna³, że by³o mu trudno ukryć swój sceptycyzm - co

sprawi³o, że spotkanie od samego początku przebiega³o w niedobrej

atmosferze. Vladimir przedstawi³ warunki. Leipzig chciał im sprzedać pewn¹ historię, ale miał³ również materialne dowody na

to, że historia owa jest prawdziwa. Przede wszystkim chodzi³o o

jakieś dokument, który Leipzig nazywa³ vorspeise, czyli zak¹sk¹.

Istnia³ także drugi dowód, a mianowicie list, znajduj¹cy się w posiadaniu Vladimira. Sam¹ historię można by³o odtworzyć na

podstawie innych materia³łów, które Leipzig odda³ gdzieś na

przechowanie. Dokument wykazywa³, w jaki sposób Otto dowiedzia³

się o całej sprawie, natomiast autentyczność samych
materiałów

nie podlegała podobno dyskusji.

- A kto był bohaterem tej historii? - zapytał Smiley.

- Tego nie ujawnię - odparł krótko Toby. - Nie ujawnię

bohatera Hektorowi. Wciągnij w to Maksa i wtedy Vladimir
ujawni

bohatera. Ale tymczasem Hektor ma się zamknąć i
posłusznie

wykonywać wszystkie polecenia.

Przez chwilę wydawało się, że Toby rozpocznie zaraz
kolejną

znieważającą przemowę.

- George, posłuchaj, ten stary był przecież kompletnie
stuknięty - zaczął. - Otto Leipzig robił go po prostu w konia. -

Toby zobaczył teraz twarz Smileya, tak skupioną i niedostępna,
że

zadowolony się już tylko przedstawieniem niesłychanych
zupnie

żądał Otto Leipziga.

- Vladimir musi osobiście dostarczyć dokument Maksowi,

obowiązują cały czas Reguły Moskiewskie, żadnych pośredników,

żadnej korespondencji. Poczynili już nawet pewne przygotowawcze

kroki telefonicznie...

- Chodzi o telefony na linii Londyn - Hamburg? - przerwał Smiley tonem, który świadczy o tym, że byłoby to dla niego nowa i

nieprzyjemna informacja.

- Stosowali szyfr słowny, jak mi powiedział Vladimir. Starzy kumple, znaj się na chytrych sztuczkach. Ale z dowodem żadnych

sztuczek nie będzie, powiada Vladi. żadnych telefonów, listów,

kontaktów; muszą mieć wielbłąda i koniec. Vladi ma bzika na

punkcie bezpieczeństwa, dobra, wiemy już o tym. Od tej pory

obowiązują jedynie Reguły Moskiewskie.

Smiley przypomina³ sobie swój sobotni telefon do Hamburga i
zacz¹³ siê znów zastanawiaæ, gdzie Otto Leipzig urz¹dzi³ sobie
centralê telefoniczn¹.

- Kiedy ju¿ Cyrk wyrazi zainteresowanie - ci¹gn¹³ dalej Toby
- wyp³aci Leipzigowi zaliczkê w wysokoœci piêciu tysiêcy
franków
szwajcarskich. George. Piêæ tysiêcy franków. Tylko na
pocz¹tek.

- eby wejœæ do gry. A dalej - uwa¿aj dobrze, George - dalej
Otto

Leipzig ma zostaæ odstawiony samolotem gdzieœ w
bezpieczne

miejsce w Anglii na przes³uchanie. Jezu, George, nigdy w
¿yciu

nie s³ysza³em takich idiotyzmów. Chcesz wiêcej? Jeœli po
przes³uchaniu Cyrk zdecyduje siê kupiaæ materia³y, bêdzie
musia³

zap³aciaæ... chcesz wiedzieæ, ile?

Smiley chcia³.

- Piêædziesi¹t tysiêcy franków szwajcarskich. Mo¿e

podpiszesz mi czek?

Toby czeka³ na okrzyk zdumienia, ale nic takiego nie nast¹pi³o.

- Wszystko dla Leipziga?

- Jasne. To by³y jego warunki. A zreszt¹ kto inny móg³by byæ

tak stukniêty?

- O co prosi³ Vladimir dla siebie?

Chwila wahania.

- O nic - odpar³ z niechêci¹ Toby. Po czym, jak gdyby nie chcia³ ju¿ o tym wiêcej mówiaæ, da³ siê znów porwaæ fali oburzenia. - Basta. Czyli wszystko, co ma teraz zrobiaæ Hektor, to

polecieæ na w³asny koszt do Hamburga, wsi¹œæ do jad¹cego na

pó³noc poci¹gu i byæ zaj¹cem w jakiejœ zwariowanej, podstêpnej

grze, któr¹ zorganizowa³ sobie Otto Leipzig z Niemcami z NRD, z

Rosjanami, Polakami, Bu³garami, Kubañczykami i jako cz³owiek

nowoczesny bez wątpienia także z Chińczykami. Powiedzia³em mu:

uwaj, George, powiedzia³em: Vladimir, stary przyjacielu, przepraszam, pos³uchaj mnie choæ raz, Powiedz mi, na Boga, co to

mo¿e byæ takiego wa¿nego, ¿eby Cyrk by³ gotów zap³aciæ piêæ

tysiêcy franków ze swego bezcennego donosicielskiego funduszu za

jedno wszawe przes³uchanie Otto Leipziga?

Nawet Maria Callas w ¿yciu tyle nie dosta³a, a mo¿esz mi wierzyæ, do cholery, ¿e ona œpiewa o wiele lepiej ni¿ Otto. Vladi

trzyma mnie za ramiê. O, tak. - Toby chwyci³ swój w³asny biceps.

- I œciska mnie tak, jakby to by³a pomarañcza.

Wierz mi, stary mia³ jeszcze trochê krzepy. PrzywieŸ mi ten dokument, Hektor. Mówi po rosyjsku. W muzeum jest bardzo cicho,

wiêc wszyscy przystaj¹, ¿eby go pos³uchaæ. Mia³em z³e przeczucia.

Vladimir szlocha. Na litoœæ bosk¹, Hektor, jestem starym
cz³owikiem. Nie mam nóg, nie mam paszportu, nie mam
nikogo, komu

móg³bym zaufaæ, oprócz Otto Leipziga. JedŸ do Hamburga i
przywieŸ

mi ten dokument. Maks mi uwierzy, kiedy go zobaczy, Maks
ma

wiarê. Próbujê go pocieszyæ, podpowiedzieæ mu to i owo.

Powiadam mu, Ÿe emigranci s¹ ostatnio Ÿle widziani, Ÿe
zasz³y zmiany polityczne, Ÿe mamy nowy rz¹d. Radzê mu:
Vladimir,

jedŸ do domu, pograj sobie w szachy. Wpadnê kiedyœ do
biblioteki,

moŸe zagramy partyjkê. A on mi na to:

Hektor, ja to zacz¹³em. To ja kaza³em Leipzigowi
zorientowaæ
siê w sytuacji.

Ja mu pos³a³em pieni¹dze na przygotowanie gruntu,
wszystko,
co mia³em.

By³ juŸ starym, smutnym cz³owikiem. By³ zniedo³ê;nia³y.

Toby przerwa³, ale Smiley nawet nie drgn¹³. Esterhase wsta³,
podszed³ do kredensu, nala³ dwie szklaneczki niezwykle
pod³ej

sherry i jedn¹ z nich postawi³ na stole ko³o rze³by Degasa.

- Zdrowie - powiedzia³ Toby i wypi³, lecz Smiley nie
poruszy³ siê i teraz. Jego inercja podsyci³a gniew Tobyego. -
No

wiêc ja go zabi³em, dobrze, George? Niech bêdzie, ¿e to
wina

Hektora. Hektor jest osobiœcie i ca³kowicie odpowiedzialny
za

œmieræ starego. No, tylko tego by³o mi potrzeba. -Toby
wyci¹gn¹³

przed siebie ramiona otwartymi d³oñmi ku górze. - George.

Porad³ mi, George. Wiêc na podstawie tej bajeczki
mia³em

nieoficjalnie jechaæ do Hamburga bez obstawy, bez ¿adnej
opieki?

Wiesz, gdzie jest granica NRD? Dwa kilometry od Lubeki?
Mniej?

Pamiêtasz? W Travemunde trzeba trzymaæ siê lewej strony
ulicy,

żeby przez pomy³kê nie uciec z Niemiec. -Smiley nie rozeœmia³

siê. - A gdybym jakimœ cudem wróci³, powinienem zawiadomiæ

Georgea Smileya, iœæ z nim do Saula Enderbyego, zapukaæ do

tylnych drzwi jak w³óczêga i powiedzieæ: Wpuœæ nas, Saul, mamy

gor¹ce i ca³kowicie wiarygodne informacje od Otto Leipziga, kosztuj¹ tylko piêæ szwajcarskich patyków i wedle skautowskiego

prawa dotycz¹ spraw absolutnie zabronionych? To mia³em zrobiæ,

George?

Smiley wyci¹gn¹³ z wewnêtrznej kieszeni wymiêt¹ paczkê angielskich papierosów. Wyj¹³ z pude³ka wykonan¹ w domu stykow¹

odbitkê i bez s³owa po³oży³ j¹ na stole przed nosem Tobyego.

- Kim jest ten drugi facet? - zapyta³ Smiley.

- Nie wiem.

- Czy to nie ten jego wspólnik, Saksończyk, z którym
niegdyœ

krad³?

Kretzschmar?

Toby pokrêci³ przecz¹co g³ow¹ i nadal wpatrywa³ siê w
zdzêcie.

- No wiêc kim jest ten drugi? - zapyta³ znów Smiley.

Toby zwróci³ mu fotografiê.

- George, pos³uchaj mnie, proszê - powiedzia³ cicho. -

S³uchasz?

Może s³ucha³, może nie. Na razie wsuwa³ dzêcie z
powrotem

do paczki z papierosami.

- Nie wiesz, ¿e w dzisiejszych czasach ludzie fa³szuj¹ takie
rzeczy? To bardzo proste. Jeœli chcê umieœciaæ czyj¹œ g³owê
na

karku innej osoby i dysponujê odpowiednim sprzêtem, to
ca³a

operacja nie potrwa d³u¿ej ni¿ dwie minuty. Nie znasz siê na
technice, nie rozumiesz tych rzeczy.

Fotografii nie kupuje się od Otto Leipziga, tak jak nie kupuje się Degasa od signora Benati, jasne?

- Fa³szuj¹ negatywy?

- Oczywiście. Fa³szujesz odbitkę, fotografujesz j¹ i masz nowy negatyw - a czemu by nie?

- A czy to zdjęcie jest spreparowane?

Toby d³ugo się waha³.

- Myś¹el¹, że nie.

- Leipzig wiele podró³żowa³. Jak mo³żna by³o się z nim kontaktowa^æ, jeżeli by³ potrzebny? - zapyta³ Smiley.

- On by³ zawsze blisko. Tylko sięgn¹æ r¹ek¹. Dos³ownie.

- No więc jak?

- Rutynowe spotkania to og³oszenia matrymonialne w "Hamburger Abendblatt". Petra, lat dwadzie^æcia dwa, drobna

blondynka, by³a piosenkarka... takie tam bzdury. George, pos³uchaj. Leipzig to niebezpieczna ³ajza, maj¹ca wiele paskudnych powi¹zań, wi¹kszo^æ z nich wci¹ę w Moskwie.

- A w nag³ych wypadkach? Mia³ jakie^æ dom, dziewczyn¹ę?

- Leipzig nigdy w życiu nie miał żadnego domu. Ale w nagłych

wypadkach Kretschmar grał klucznika. George, na miłość boską,

wysłuchaj mnie chociaż raz...

- A jak kontaktowaliśmy się z Kretschmarem?

- Ma parę klubów nocnych. Właściwie burdeli. Tam zostawiliśmy dla niego informacje.

Odezwał się ostrzegawczy brzęczyk i z góry dały się słyszeć

podniesione w kolumnie głosy.

- Obawiam się, że signor Benati wyjechał dzieć na konferencję

do Florencji - mówiła blondynka. - Tak to już jest, kiedy prowadzi się międzynarodowe interesy.

Ale gość nie dawał dziewczynie wiary; Smiley słyszał, jak

fala jego protestów narasta. Na ułamki sekundy brzoze oczy

Tobyego uniosły się ku górze, skąd dobiegał nieznajomy głos, a

potem Esterhase otworzy³ z westchnieniem szafê, z której
wydoby³

lepi¹cy siê od brudu p³aszcz i brunatny kapelusz, choæ w oknie
na

suficie œwieci³y promienie s³oñca.

- Jak siê nazywa? - zapyta³ Smiley. - Ten klub Kretzschmara

- jak on siê nazywa?

- "B³êkitny Diament". George, nie ró**3** tego, dobra? Daj sobie
spokój, bez wzglêdu na wszystko. Fotografia jest prawdziwa, no
i

co dalej? Leipzig udostêpni³ Cyrkowi zdjêcie jakiegoœ faceta
tarzaj¹cego siê w poœcieli.

I to ma byæ nagle kopalnia z³ota? Myœlisz, ¿e
Enderbyemu

staje na ten widok?

Smiley spojrze³ na Tobyego, próbowa³ go wspominaæ i
przypomnia³ sobie, ¿e informacja zawsze oznacza³a dla
niego

pieni¹dze, ¿e przez te wszystkie lata, kiedy spotykali siê i
pracowali razem, Toby nigdy nie mówi³ prawdy za darmo i
nie

pozbywa³ siê jej nawet wtedy, kiedy uważa³ swoje wiadomości za bezwartościowe.

- Co jeszcze powiedzia³ ci Vladimir o tej informacji Leipziga? - zapyta³ Smiley.

- To to od³yła jakaś stara sprawa. Ca³e lata inwestycji. Jakieś bzdury o Piaskowym Dziadku. Na mi³ość bosk¹, zachowywa³ siê jak dziecko, wspomina³ stare baenie. Rozumiesz?

- I co z tym Piaskowym Dziadkiem?

- Mia³em ci powiedzieæ, że sprawa dotyczy Piaskowego Dziadka. Tylko tyle. Piaskowy Dziadek przygotowuje legendê dla

jakiejś dziewczyny. Maks zrozumie. George, na mi³ość bosk¹, on

szlocha³. Powiedzia³by byle co.

Chcia³ dzia³aæ. By³ starym szpiegiem, któremu siê spieszy. Sam kiedyœ mówi³eœ, że tacy s¹ najgorsi.

Toby sta³ daleko przy drzwiach, jedn¹ nog¹ by³ ju¿ za progiem.

Zawróci³ jednak pomimo nadci¹gaj¹cego z góry stukotu,
ponieważ zaniepokoi³o go co³e w zachowaniu Smileya -
patrzy³ na

mnie tak ostro - wspomina³ potem Toby - jak gdybym
czym³

śmiertelnie go obrazi³.

- George? George, to ja, Toby, pamiętasz? Jeżeli natychmiast
nie pójdziesz st¹d do diab³a, to ten facet na górze zasekwestruje
ci³e na raty.

S³yszysz?

Ale niewiele dociera³o do Smileya.

- Ca³e lata inwestycji, a Piaskowy Dziadek uk³ada
dziewczynie legend³? - powtórzy³. - I co jeszcze? Toby, co
jeszcze - Znow zachowywa³ si³e jak szaleniec.

- Kto? Genera³? Vladi?

- Nie, Piaskowy Dziadek. George, pos³uchaj. Piaskowy
Dziadek

zachowuje si³e znow jak szaleniec, Piaskowy Dziadek
szykuje

legend³e jakiej³ dziewczynie, Maks b³dzie wiedzia³, o co tu

chodzi. Finito. Kompletne brednie.

Powiedzia³em ci ju^z wszystko. Uwa^zaj na siebie, s³yszysz?

Z góry dobiega³y odg³osy coraz bardziej ha³aceliwej k³ótni.

Trzasn^ê³y drzwi, us³yszeli dudni¹ce ku schodom kroki. Toby po raz

ostatni poklepa³ Smileya po ramieniu.

- Do widzenia, George. Pos³uchaj. Jak b^êdiesz kiedy^o potrzebow³a w^êgierskiego opiekuna, zadzwoñ do mnie. S³yszysz?

Skoro zadajesz si^ê z tak¹ mend¹ jak Leipzig, to powinna si^ê tob¹ opiekowa^æ taka menda jak Toby. Nie wychod^Ź samotnie wieczorami,

za m³ody jeste^o.

Wchodz¹c po stalowej drabince do galerii, Smiley po drodze o

ma³o nie przewróci³ rozw^ocieczonego wierzyciela. Ale nie zwa^za³

na nic; wychodz¹c na ulic^ê nie zwróci³ nawet uwagi na bezczelne

westchnienie platynowej blondynki. Wa^zne by³o to, ^ze uda³o mu si^ê

dopasowaæ nazwisko do drugiej twarzy na zdjęciu; ¿e do nazwiska

do³¹czy³ tak¿e sprawê, która niczym nie rozpoznany ból nie dawa^{3a}

spokoju jego pamięci przez ostatnie trzydzieœci szeœæ godzin.

Toby powiedzia³by zapewne, ¿e by^{3a} to sprawa legendarna. I oto

pojawia siê dylemat ewentualnych kronikarzy, pragn¹cych ledwie

kilka miesiêcy po zakoñczeniu tej historii opisaæ zwi¹zek œwiadomoœci i czynów Smileya. Toby zdradzi³ mu tyle, powiadaj¹,

wiêc Smiley tyle w³acenie uczyni³. Albo inaczej: gdyby nie sta^{3o}

siê to i to, w ogóle nie dosz³oby do pewnych rozstrzygniêæ.

Prawda jest jednak znacznie bardziej skomplikowana i znacznie

mniej wygodna. Podobnie jak znajduj¹cy siê jeszcze pod dzia³aniem

znieczulenia pacjent bada swoje cia^{3o}: porusza to jedn¹, to drug¹ nog¹, sprawdza, czy mo¿e otwieraæ i zaciskaæ d³onie - tak i

Smiley ostrożnymi posunięciami upewnia³ się o sprawności
swojego

cia³a i umys³u, rozpatruj¹c zarówno motywy postępowania
przeciwnika, jak i swoje.

* * *

Jecha³ drog¹ biegn¹c¹ wysokim p³askowyżem, wznoszą¹cym
się

ponad linię drzew, ponieważ sosny zasadzono nisko w
szczelinie

doliny. By³ wczesny wieczór tego samego dnia i pierwsze
ćwiat³a

k³u³y w dole wilgotny mrok. Na horyzoncie leża³o uniesione
bij¹c¹

od ziemi mg³¹ miasto Oxford, akademickie Jeruzalem. Widok z
tej

perspektywy by³ dla niego nowości¹ i powiększy³ jeszcze
towarzysz¹ce mu poczucie nierzeczywistości, jak gdyby
jecha³,

unoszony jak¹œ nieznan¹ si³¹, jak gdyby to nie on kierowa³
samochodem, jak gdyby znajdowa³ siê w mocy nie
podlegaj¹cych mu

myœli. Jego wizyta u Tobyego mieœci³a siê, z grubsza
rzecz

bior¹c, w granicach zakreœlonych przez instrukcje Lacona;
ale

Smiley wiedzia³, Ÿe ta podróŸ wiecie go na dobre i na z³e w
zakazane rejony jego tajemnych zainteresowañ. Nie mia³ jednak
i

nie chcia³ mieæ innej alternatywy. Niczym archeolog, który
ca³e

swoje Ÿycie prowadzi³ bezskuteczne poszukiwania, Smiley
b³aga³ o

jeszcze jeden dzieñ -który w³aœnie nadszed³.

Pocz¹tkowo nieustannie spogl¹da³ w lusterko wsteczne, a
znajomy motocykl trzyma³ siê go uporczywie niby mewa statku.
Ale

kiedy zjecha³ z ostatniego ronda mêŸczyzna o nazwisku
Ferguson

juŸ go nie œledzi³, a gdy Smiley przystan¹³, by spojrzeæ na
mapê,

jego samochodu nie wymi¹³ ȳaden pojazd; a zatem albo tamci

odgadli, dok¹d jedzie, albo na skutek jakiegoȳ tajemniczego przepisu zabronili swojemu cz³owiekowi przekraczaæ granicê

hrabstwa. Chwilami ogarnia³y go dreszcze. Niech sobie ȳyje w spokoju.

S³ysza³ o niej to i owo; niewiele, ale wystarczy³o, ȳeby dopowiedzieæ sobie resztê.

Niech sobie ȳyje w spokoju, niech sama zapewni sobie spokój, na swój sposób. Ale Smiley wiedzia³, ȳe on jej spokoju nie zapewni, ȳe walka, w jak¹ siê zaangażowa³, musi trwaæ ci¹gle, jeœli w ogóle ma posiadaæ jakieȳ znaczenie.

Szyd nad psiarni¹ wygl¹da³ jak krzywy ucemiech:
SCHRONISKO

MERRILLEE DLA WSZYSTKICH ZWIERZŹT, ŒWIEĒE JAJKA. Niechlujnie

nabazgrany ȳó³ty pies w cylindrze wskazywa³ 3ap¹ alejkê

dojazdow¹; by³a tak stroma, że jad¹c ni¹ Smiley mia³ wrażenie,
że

spada. Mijaj¹c s³up sieci elektrycznej s³ysza³, jak gwiżdże wokó³
niego wiatr; wjecha³ na plantację.

Otoczy³y go najpierw m³ode drzewka, potem rozpostar³y
nad

nim ciemnoœæ stare pnie i Smiley znalaz³ siê w Czarnym
Lesie

swojego niemieckiego dzieciñstwa, zmierzaj¹c ku
nieznanemu

wnêtrzu puszczy. W³¹czy³ œwiat³a, wzi¹³ stromy zakrêt,
potem

drugi i trzeci i by³ ju¿ przed domkiem; tak go w³aœnie sobie
wyobra¿a³. By³a to jej dacza, jak j¹ kiedyœ nazywa³a.

Dawniej

mia³a jeszcze dom w Oksfordzie, sk¹d ucieka³a na wieœ.

Teraz

pozosta³a jej tylko dacza; miasto porzuci³a na zawsze. Domek
sta³

w przesiece pomiêdzy drzewami, w rozdeptanym b³ocku.

Mia³

zrujnowan¹ werandê, kryty gontem dach i blaszany komin, z
którego

wydobywa³ siê dym. Oszalowane œciany poczerniono
kreozotem, a

wejœcie na ganek niemal zupe³nie zatarasowywa³ zbiornik
z

galwanizowanego Ÿelaza. Na maleñkim trawniku sta³ wykonany
metod¹

cha³upnicz¹ karmnik zawieraj¹cy tyle chleba, Ÿe wystarczy³oby
go

na wyŸywienie ca³ej arki Noego, a wokó³ przesieki niczym
ogródki

dzia³kowe ustawiono tu ówdzie azbestowe szopy i ogrodzenia
z

drutu, bez Ÿadnej dyskryminacji ograniczaj¹ce zarówno
swobodê

kurcz¹t, jak i wszelkich innych zwierz¹t domowych.

Karla, pomysla³ Smiley. Szukaæ ciê w takim miejscu.

Zaparkowa³ samochód. Wokó³ podnios³a siê wrzawa,
psy

skomli³y w udrêce, a cienkie œcianki szop dudni³y od
desperackich

uderzeń zwierzęcych cia³.

Smiley szed³ do domu, butelki w torbie obija³y mu nogi. W narastaj¹cym harmiderze us³ysza³ szuranie swoich w³asnych stóp na

szeœciu schodkach werandy. Jeœli nikogo nie ma, nie pozostawiaj

zwierz¹t bez opieki - g³osi³a tabliczka na drzwiach. Pod spodem

ktoœ najwyraŹniej w ataku wœciek³oœci dopisa³: "adnych

cholernych ma³p". Ćeby zadzwoniaæ, naleŹa³o poci¹gn¹æ za zalany

plastikiem oœli ogon.

Smiley wyci¹gn¹³ rêkê, ale drzwi juŹ siê otworzy³y i z ciemnego wnêtrza domku spojrze³a na niego ³adna, drobna kobieta.

Mia³a nieœmia³e, szare oczy i tê stylow¹, angielsk¹ urodê, któr¹ nigdyœ odznacza³a siê Anna, pe³n¹ afirmacji i powagi.

Ujrzawszy

Smileya, dziewczyna zamar³a w bezruchu. O BoŹe, wyszepta³a. Ojej.

Spojrza³a na swoje chodaki, jednym palcem odgarniaj¹c z czo³a

pukiel w³osów, a psy, obszczekuj¹ce Smileya z za ogrodzenia,

ochryp³y ju¿ zupe³nie.

- Przepraszam, Hilary - powiedzia³ Smiley z wielk¹ delikatnoœci¹.

-Zajmê nie wiêcej ni¿ godzinê, przyrzekam. To wszystko. Tylko godzinê.

Z mroku za plecami dziewczyny wydoby³ siê niski, mêski,

bardzo powolny g³os.

- Co tam, Hils? - warkn¹³ g³os. - Wo³ek zbo¿owy, papu¿ka czy ¿yrafa?

Rozleg³o siê ospa³e dudnienie, jak gdyby ktoœ przesuwa³ kawa³ek materia³u po jakimœ pustym naczyniu.

- To cz³owiek, Con! - krzyknê³a przez ramiê Hilary, po czym

znów zaczê³a przygl¹daæ siê swoim chodakom.

- Samica, czy któreœ z tych innych straszyde³?

- To George, Con. Nie gniewaj się.

- George? Który? George Ciężarówka, ten, który moczy mój

węgiel, czy George Ochłap, co truje moje psy?

- Chodzi mi tylko o kilka pytań - zapewni dziewczynę Smiley

tym samym głęboko współczującym tonem. - To stara sprawa. Nic

szczególnego, słowo daję.

- Nieważne, George - powiedziała Hilary ze wzrokiem utkwionym nadal w czubkach swoich butów. - Naprawdę. Wszystko w porządku.

- Przestańcie tam flirtować - rozkaza głos. - Pójdźcie j wolno, kimkolwiek jesteście Ponieważ dudnienie zbliżało się stopniowo, Smiley nachylił się obok dziewczyny.

- Connie, to ja! - zawołał od progu. Brzmieniem głosu chciał raz jeszcze zasygnalizować wszystkim swoją dobrą wolę.

Najpierw przydreptało stadko czterech szczeniaków, chyba chartów wyścigowych. Potem zjawił się stary, wynędzniały kundel,

któremu starczy³o si³ jedynie na to, by dowlec siê na werandê i
pacaæ tam na ziemiê.

Nastêpnie otworzy³y siê na oœcie¿ drzwi, ukazuj¹c
ogromn¹

jak góra kobietê, wiesz¹c¹ krzywo pomiêdzy grubymi,
drewnianymi

kulami, których na pozór w ogóle nie trzyma³a. Bia³e w³osy
mia³a

przyciête krótko jak mê¿czyzna, a jej wodniste, przenikliwe
oczy

hipnotyzowa³y Smileya p³omiennym spojrzeniem. Szczera
twarz,

workowaty garnitur, w lewej rêce wiesz¹ca luÿno plastikowa
torba i

postawa cz³owieka czekaj¹cego pos³uszenie na pozwolenie
wejœcia.

Connie przypatrywa³a mu siê d³ugo, spokojnie i tak
dok³adnie, ¿e uzyska³a nad nim niemal królewsk¹ w³adzê,
któr¹

umacnia³ jeszcze jej urywany oddech, jej nieruchoma sylwetka
i

jej kalectwo.

- O, jak rany - oznajmiła, wypuszczając strumień powietrza z płuca i nadal uważnie obserwując Smileya. - Niech ja skonam.

Niech

cię cholera weźmie, George. Niech cholera weźmie ciebie i

wszystkich twoich kompanów.

Witaj na Syberii.

Potem Connie ucieszyła się, a jej ucieszenie było tak niespodziewane, tak niewzruszone i dziewczęce, że niemal zupełnie

unieważniła poprzedzające go drugie cęledztwo.

- Cześć, Con - powiedziała Smiley.

Pomimo ucieszenia nadal nie spuszczała z niego wzroku. Jej

oczy były blade jak oczy noworodka.

- Hils - odezwała się wreszcie. - Powiedziłam, Hils.

- Tak, Con?

- Idź nakarm pieseczki, kochanie. A jak skończysz, nakarm

te paskudne kurczydła. Zapchaj bydlaki. Potem, jak już skończysz

je karmiaæ, przygotuj paszê na jutro, a potem przynieœ mi trochê

tej humanitarnej trucizny, ¿ebym mog³a szybko pos³aæ tego tu

intruza do Raju. ChodŸ ze mn¹, George.

Hilary uœmiechnê³a siê, ale najwyraŸniej nie mog³a siê poruszyæ, dopóki Connie delikatnie nie popchnê³a jej ³okciem.

- Fruwaj, kochanie. On ju¿ ci nic nie mo¿e zrobiæ. Wypali³ siê, tak jak ty, i, na Boga, podobnie jak ja.

By³ to zarazem dom dnia i nocy. Na œrodku, na sosnowym

stole, pokrytym resztkami grzanek z marmolad¹, sta³a stara lampa

naftowa, rzucaj¹ca wokó³ kulê ¿ó³tego œwiat³a, wzmagaj¹c¹ jeszcze

otaczaj¹c¹ j¹ ciemnoœæ.

Wielkie okna w g³êbi wype³nia³y opromienione s³oñcem b³êkitne, deszczowe chmury. Posuwaj¹c siê za boleœnie powoln¹

procesj¹ Connie, Smiley z wolna zda³ sobie sprawê, ¿e jest tu tylko ten jeden drewniany pokój. Biuro stanowi³ rozk³adany

stolik, na którym walały się stosy rachunków i proszek przeciw

pchom; sypialnię zastępowała kobietom mosiężne, dwuosobowe

óko, w którym niczym martwi żonierze leżały pomiędzy

poduszkami wypchane zabawki - zwierzęta; salon to należący do

Connie fotel na biegunach i rozpadająca się wiklinowa kanapa,

kuchnię zaś stanowił zasilany z butli palnik gazowy - całość

mieszkania zdobiły niemożliwe do usunięcia rupiecie starości.

- Connie nie wraca, George! - zawołała kucałykaj na przedzie. - Końmi nie dam się zaciągnąć, choćbyście na gowie

stawali; stara wariatka na zawsze zawiesiła buty na kołku. -

Dowlokła się do swego fotela na biegunach i zaczęła się niezgrabnie odwracać, aż stanęła do niego tyłem. - Więc jeżeli o

to ci chodzi, to możesz powiedzieć Saulowi Enderbyemu, żeby się

wypcha³. - Wyci¹gnê³a do niego d³onie i Smiley s¹dzi³, że chce, aby j¹ poca³owa³. - Nie, ty mania³ku seksualny. Przytrzymaj mnie

za rêce Smiley spe³ni³ jej proœbê i pomóg³ Connie usadowiæ siê na

fotelu.

- Nie po to przyjecha³em, Con - powiedzia³. - Obiecujê, że nie bêdê próbowa³ ciê st¹d wyci¹gn¹æ.

- Bo przede wszystkim to ona umiera - oœwiadczy³a stanowczo

Connie, jak gdyby nie s³ysza³a s³ów Smileya. - Stara wariatka nadaje siê na œmietnik, ju¿ zreszt¹ najwy¿sza pora. Łapiduch oczywiœcie usi³uje mnie wyrolowaæ.

Dlatego, że jest tchórzem. Bronchit. Reumatyzm. Zmiana pogody To wszystko pierdo³y. Jestem chora na œmieræ i tyle.

Powoli nadchodzi pani Kostucha. Co tam masz w torbie, gorza³kê?

- Tak.

- Pysznie. Pijmy, ile wlezie. Jak siê ma ta diaboliczna Anna?

Na suszarce jak zwykle pełnej brudnych naczyń Smiley znalazł

dwie szklanki, które napełnił do połowy.

- Przypuszczam, że świetnie - odpowiedział Smiley.

Sprawił jej widoczną przyjemność swoją wizytą, więc odwdzięczał się Connie miłym uśmiechem podając jej szklankę,

którą chwycił w dłoni obciążone rękawiczkami.

- Przypuszczam - powtórzył jak echo. - Chciałbym, żebyś przypuszczła. Powinieneś wreszcie przypuścić do niej zdecydowany

atak, ot co. Albo dosypać jej do kawy sproszkowanego szkła. No

dobrze, o co chodzi?

- powiedział to wszystko na jednym wydechu. - Wiem, że

nigdy nie robisz nic bez powodu. Twoje zdrowie.

- I twoje, Con - powiedział Smiley.

Musiła pochylić cały swój korpus, żeby się napić. Gdy jej olbrzymia głowa znalazła się w świetle lampy, Smiley przekonał

siê - a mia³ w tym wzglêdzie ogromne doœwiadczenie - ¿e
Connie

ani na jotê nie mija siê z prawd¹, jej cia³o bowiem pokrywa³a ju¿
trêdowata bladoœæ œmierci.

- No ju¿, gadaj - nakaza³a Connie swoim najtwardszym
tonem.

- I tak nie wiem, czy bêdê mog³a ci pomóc. Od kiedy siê
rozstalicemy, odkry³am mi³oœæ. Pobudza hormony. Przytêpia
k³y.

Potrzebowa³ czasu, ¿eby poznaæ j¹ na nowo. Nie by³ jej
pewien.

- To jedna z naszych dawnych spraw, Con, to wszystko -
zac¹³ przepraszaj¹co Smiley. - Znów wyp³ynê³a, jak to siê
czasami zdarza. - Usi³owa³ mówiæ wy¿szym g³osem, ¿eby
nadaæ mu

brzmienie obojêtnoœci. - Musimy poznaæ wiêcej szczegó³ów.
Wiesz

sama, jak podchodzi³aœ do wszystkich dokumentów -
doda³

zaczepnie.

Connie nie spuszcza³a z niego wzroku.

- Kirow - ci¹gn¹³ dalej Smiley, bardzo powoli wymawiaj^{1c} nazwisko. -Kirow, na imiê mia³ Oleg. Przypominasz sobie? Sowiecka

ambasada, Paryż, trzy albo cztery lata temu, drugi sekretarz? S¹dziliœmy, że by³ jakoœ powi¹zany z Centrum Moskiewskim.

- Bo by³ - powiedzia^{3a}, opieraj^{1c} siê w fotelu i przygl¹daj^{1c} Smileyowi.

Gestem pokaza^{3a}, że chce papierosa. W paczce na stole leża^{3o}

ich dziesiêæ. Smiley wetkn¹³ jej jednego do ust i poda³ ogieñ, ale wzrok Connie nie opuszcza³ nadal jego twarzy.

- Saul Enderby wyrzuci³ tê sprawê przez okno - powiedzia^{3a}, uk³adaj^{1c} usta jak do gry na flecie i wydmuchuj^{1c} dym wprost pod swoje nogi, żeby nie chuchaæ Smileyowi w twarz.

- Kaza³ j¹ umorzyæ - poprawi³ Smiley.

- Co za ró¿nica?

Smiley nie spodziewa³ siê, że bêdzie broni³ Saula Enderbyego.

- Zajmowaliśmy się tym przez jakiś czas, a potem, w okresie przejściowym, pomiędzy moją i jego kadencją, Saul uznał, że sprawa jest bezproduktywna, to całkiem zrozumiałe - powiedział

Smiley, dobieraj słowa z przemyślaną starannością.

- A teraz zmień zdanie - powiedział Connie.

- Mam strzępy tej historii, Con. Potrzebna mi całość.

- Jak zawsze - odparł Connie. - George - mruknął. - George

Smiley.

Boże wielki. Boże zachowaj nas i błogosław. George. - W jej

oczach kryła się dezaprobatą i zarazem chęć posiadania, jak gdyby

Smiley był jej ukochanym, najbliższym synem. Przyglądała mu się

jeszcze przez chwilę, a potem przeniosła wzrok na okna i ciemniejże za nimi niebo.

- Kirow - powiedział znowu, chcąc jej o nim przypomnieć.

I

czeka³, zastanawiaj¹c siê na serio, czy to ju¿ rzeczywicie koniec Connie; czy jej umys³ umiera wraz z cia³em i czy to ju¿ wszystko, co jeszcze jej pozosta³o.

- Kirow, Oleg - powtórzy³a w zamyœleniu. - Z jego paszportu

wynika, ¿e urodzi³ siê w paŸdzierniku tysi¹c dziewiêæset dwudziestego dziewi¹tego roku w Leningradzie, co oczywicie nie

oznacza niczego poza tym, ¿e najprawdopodobniej nigdy w ¿yciu nie

przebywa³ nawet w pobli¿u Leningradu. - Uœmiechnê³a siê, jak

gdyby tak w³acenie zwykle by³o na tym nikczemnym œwiecie. -

Przyjecha³ do Pary¿a pierwszego czerwca tysi¹c dziewiêæset

siedemdziesi¹tego czwartego roku w randze drugiego handlowego

sekretarza ambasady. Trzy, cztery lata temu, powiadasz? Wielki

Bo¿e, równie dobrze móg³byœ powiedzieæ dwadzieœcia. Jasne,

kochanie, by³ bandyt¹.

Naturalnie, że tak. Zidentyfikowano go w Paryżu, w siedzibie tej nieszczęsnej Grupy Ryskiej, co nam zreszt¹ wcale nie pomog³o,

zw³aszcza tym na pi¹tym piêtrze. Jak on siê naprawdê nazywa³?

Kurski. Tak, oczywiœcie. Tak, zdaje siê, że kOlega Kirowa vel

Kurskiego dobrze sobie przypominam.

-Na jej ustach zagoœci³ raz jeszcze niezwykle uroczy ucœmiech. - To ju¿ chyba jedna z ostatnich spraw Vladimira. Jak¿e

siê miewa nasz stary gronostaj?

-zapyta³a, a jej m¹dre, wilgotne oczy czeka³y na odpowiedŸ.

- Ach, jeszcze siê trzyma - powiedzia³ Smiley.

- Nadal sieje pop³och wœród dziewczic z Paddington?

- Bez w¹tpienia.

- Niech ci Bóg b³ogos³awi, kochanie - powiedzia³a Connie.

Odwróci³a g³owê profilem i zaczê³a znów wygl¹daæ przez okno.

Otoczy³ j¹ bardzo mroczny cieñ i na jej twarz pada³a teraz tylko

jedna delikatna smuga światła lampy naftowej.

- Serce moje, idź i zobacz, co robi ta szalona suka, dobrze?

- poprosiła ciepło Connie. - Zobacz, czy nie rzuciła się przypadkiem do młynówki albo czy nie wypiła uniwersalnego pynu

chwastobójczego.

Smiley wyszedł, przystanął na werandzie i dostrzegł w gęstniejącym zmroku sylwetkę Hilary, niezdarnie błądząc po omacku pomiędzy klatkami.

Słyszała brzęk żelazki o wiadro i strzępy jej eleganckiego gósu, rozchodzącego się w nocnym powietrzu, kiedy dziecinnymi

imionami przyzywała ptaki:

- Biaśko, Niezdaro, Basiu, chodźcie tu.

- Wszystko w porządku - powiedziała, wracając Smiley. -
Karmi

kury.

- Powinam jej powiedzieć, żeby spieprzyła, prawda,
George?

- spyła Connie, puszczając tę wiadomość mimo uszu. -
Hils,

kochanie, idŹ w œwiat.

Tak jej powinnam powiedzieæ. Nie wiŹ siê z takim starym,

gnij¹cym wrakiem jak Con. WyjdŹ za m¹Ź za jakiegoœ cherlawego

idiotê, zrób sobie bachory, spe³nij swe parszywe pos³annictwo

kobiecoœci. - Smiley przypomnia³ sobie, Źe Connie zawsze mówi³a

za wszystkich; nawet za sam¹ siebie. I robi³a to nadal. - Niech mnie diabli, jeœli jej to powiem. Pragnê jej. Pragnê kaŹdego kawa³ka jej cudownego cia³a. Zabra³abym j¹ ze sob¹, gdybym tylko mog³a.

Sam kiedyœ spróbuj, jak to jest. - Pauza. - Jak tam wszyscy ch³opcy i dziewczynki?

Smiley przez moment nie potrafi³ zrozumieæ jej pytania; myœlami by³ wciŹ przy Annie i przy Hilary.

- Jego Wysokoœæ Saul Enderby wciŹ jest na wierzchu, jak rozumiem?

Mam nadzieję, że dobrze się odżywia? Nie traci piórek?

- Nie, kroczy od sukcesu do sukcesu, dziękuję.

- A ta ropucha, Sam Collins, nadal jest szefem Wydziału Operacyjnego?

W pytaniu dźwięcząca zjadliwa nuta, ale nie miała innego wyjścia, jak tylko odpowiedzieć.

- Sam także ma się dobrze - powiedziała.

- Tę Esterhase pamięta się jeszcze po korytarzach?

- Wszystko wygląda mniej więcej tak, jak zwykle.

Jej twarz ogarnęła teraz taki mrok, że Smiley nie wiedział, czy Connie chce mówić dalej. Słyszał jedynie jej oddech i rzękanie w płucach, ale zarazem zdawał sobie sprawę, że nadal

mierzy go badawczym spojrzeniem.

- Ty nigdy nie pracowałeś dla tej hołoty, George - rzuciła w końcu Connie, jak gdyby był to najbardziej oklepany banał.

-

Nie ty. Należ mi jeszcze.

Zadowolony, że może się ruszyć, Smiley ponownie powędrował w

g³1b pokoju.

- Mówi³eœ o Kirowie?! - zawo³a³a Connie.

- Tak jest - powiedzia³ weso³o Smiley, powracaj¹c z na nowo wype³nion¹ szklank¹.

- Pierwsz¹ przeszkod¹ do wziêcia na jego drodze by³ ten szpicelek, Otto Leipzig - zauwa³y³a ze smakiem Connie, poci¹gn¹wszy g³êboki ³yk. - Pi¹te piêtro nie chcia³o mu wierzyæ,

prawda? Nie naszemu ma³emu Ottonowi -ale³ sk¹d Otto by³
³garzem i

tyle.

- Zdaje mi siê jednak, ³e w sprawie moskiewskiej Leipzig nas

nigdy nie ok³ama³ - powiedzia³ Smiley, podchwytuj¹c jej wspomnieniow¹ nutkê.

- Nie, kochanie, nigdy - powiedzia³a z aprobat¹ Connie. -
Mia³ swoje s³abostki, oczywiêcie. Ale w wa³nych sprawach
zawsze
gra³ uczciwie.

I muszê przyznaæ, ³e rozumia³eœ to tylko ty jeden z ca³ego

twego plemienia. Ale nie mia³eœ wsparcia wœród innych magnatów,

co?

- Vladimira Otto te¿ nigdy nie ok³ama³ - powiedzia³ Smiley.

- To zreszt¹ kontakty Vladimira w ogóle umo¿liwi³y mu ucieczkê z

Rosji.

- Tak, tak - powiedzia³a Connie po kolejnej d³u¿szej chwili milczenia. -Kirow vel Kurski, Ruda Œwinia. Kirow vel Kurski -

powtórzy³a ponownie; szydercze has³o, wywo³ane w jej przepastnej

pamiêci. Tymczasem Smiley oczyma duszy zobaczy³ raz jeszcze

hotelowy pokój i dwóch dziwnych spiskowców, siedz¹cych przed nim

w czarnych p³aszcach: wielki i drobny mê¿czyzna; stary Genera³,

ca³ym cia³em usi³uj¹cy poprzeæ sw¹ b³agaln¹ proœbê; i ma³y

Leipzig z p³on¹cymi oczyma, waruj¹cy u jego boku niczym z³y pies

³añcuchowy.

Connie zosta³a uwiedziona.

Blask naftowej lampy przybra³ teraz ksza³t dymnej kuli
œwietlnej.

Na jej obrze¿u siedzia³a w swoim fotelu Connie. Mateczka
Rosja, jak j¹ niegdyœ nazywano w Cyrku, opowiada³a
historiê

jednego ze swych niezliczonych, b³¹dz¹cych dzieci i jej
odchodz¹c¹ w niebyt twarz otoczy³a aureola wspomnieñ.
Zawiesi³a

wszelkie w¹tpliwoœci, jakie mog³aby ¿ywiæ w zwi¹zku z
przyczyn¹

odwiedziny Smileya: po to w³acenie ¿y³a; to jej piecêñ, nawet
jeœliby mia³a byæ ostatni¹; jej geniusz polega³ na niesamowitej
umiejêtnoœci przypominania sobie dok³adnie minionych
zdarzeñ.

Smiley pamiêta³, ¿e dawniej Connie dra¿ni³aby siê z nim,
kokietowa³aby go swoim g³osem i pod¹¿a³aby szerokimi
zakolami

przez drugorzêdne w¹tki historii Centrum Moskiewskiego,
¿eby w

ten sposób doprowadziæ go do celu. Ale tego wieczora jej opowieœæ

pe³na by³a jakiejœ przera¿aj¹cej trzeŸwoœci, zupe³nie jakby Connie wiedzia³a, ¿e pozosta³o jej ju¿ bardzo niewiele czasu.

- Oleg Kirow przyjecha³ do Pary¿a prosto z Moskwy, powtórzy³a - wtedy w czerwcu, tak jak ci mówi³am, kochanie.

Wtedy, co to tak la³o, i la³o i doroczny mecz krykieta w Sarratt trzeba by³o przek³adaæ trzy razy pod rz¹d.

Gruby Oleg wymieniony by³ w papierach jako kawaler i nie

przyjecha³ nikogo zast¹piaæ. Pracowa³ na drugim piêtrze, okna jego

pokoju wychodzi³y na Rue Saint - Simon - ulicê ruchliw¹, lecz

³adn¹, kochanie - natomiast rezydenci Centrum Moskiewskiego

zapaskudzili trzecie i czwarte piêtro ku wœciek³oœci ambasadora,

który czu³ siê tak, jak gdyby nie lubiani s¹siedzi wcisnêli go po

prostu do szafy. Pozornie na pierwszy rzut oka wygl¹da³o zatem
na

to, że zwany Kirowem stwór nale²ży do rzadko spotykanych
cz³onków

spo³eczności dyplomatów sowieckich, czyli że istotnie jest
po

prostu zwyczajnym dyplomat¹. Ale w tamtych czasach - i o
ile

Connie wie, w dzisiejszych czasach te², s³o^ñce - panowa³ w
Pary²u

zwyczaj rozs³ania fotografii nowo przyby³ych
pracowników

ambasady sowieckiej pomi^êdy wodzów rozmaitych
emigranckich

plemion. Zdjęcie brata Kirowa znalaz³o si^ê rych³o w r^êkach
miejscowych uchod³ców i niemal natychmiast Vladimir, ta
stara

bestia, zacz¹³ w stanie wzmo²onego podniecenia dobija^æ si^ê
do

drzwi swojego oficera. Pary² trzyma³ wtedy Steve
Mackelvore,

niech Bóg błogosławi jego duszy, umarł na atak serca
wkrótce

potem, ale to inna historia. W każdym razie Vladimir twierdzi,
że jego ludzie zidentyfikowali Kirowa jako byłego agent
provocateur nazwiskiem Kurski, który był jeszcze
studentem

Instytutu Politechniki w Tallinie, sformował dysydenckie
kręgi

stoczniovców estońskich, tak zwany niezdyscyplinowany
klub

dyskusyjny, którego członków sprzedał potem tajnej policji.

Informator Vladimira był w rzeczywistości jednym z tych
niefortunnych

robotników i przebywał wtedy w Paryżu, a był to grzesznik,
który

blisko przyjaźnił się z Kurskim, aż do momentu jego zdrady.

I do tej pory wszystko szło dobrze, tyle tylko, że - jak
powiedziała Connie - informatorem Vladimira był nie kto inny,
jak

ten mały niegodziwiec Otto, a to znaczyło, że od samego
początku

zanosi się na niew¹sk¹ awanturę.

Connie snu³a sw¹ opowieść, a pamięć Smileya raz jeszcze

zaczę³a uzupełniać jej wspomnienia. Zobaczy³, jak podczas

ostatnich miesięcy swojej w³adzy jako regencyjny Szef Cyrku

wlecze się z pi¹tego piętra po rozklekotanych, drewnianych schodach na poniedział³kow¹ naradę z plikiem pozaginanych na

rogach akt. Przypomni³ sobie, że w tamtych czasach Cyrk wygl¹da³

jak po bombardowaniu; oficerowie rozproszeni, budżet okaleczony,

agenci spaleni, zabici lub zwolnieni. Zdemaskowanie Billa Haydona

bola³o ich wszystkich jak otwarta rana; nazywali to Upadkiem i

dzielili się uczuciem odwiecznego wstydu. Był może w skrytości

ducha obwiniali o wszystko Smileya, ponieważ to on w³acenie wykry³

zdradê Billa, Zobaczysz siebie prowadz¹cego posiedzenie i pierœcieñ wrogich twarzy, zdecydowanych wyst¹piæ przeciwko niemu,

kiedy jedna po drugiej przedstawiano sprawy bie¼¹cego tygodnia i

zadawano zwyczajowe pytania: bêdziemy kwestiê rozwijaæ czy nie? A

mo¼e poczekaæ jeszcze tydzieñ? Miesi¹c? Rok? Czy to nie pu³apka,

czy mo¼na to podwa¼yæ, czy to jest zgodne z naszym statutem?

Jakie œrodki bêd¹ potrzebne i czy nie lepiej wykorzystaa je gdzie

indziej? Kto weŹmie na siebie odpowiedzialnoœæ? Kogo zawiadomimy?

Ile to bêdzie kosztowaæ?

Przypomnia³ sobie, ¿e samo tylko wspomnienie nazwiska albo

pseudonimu Otto Leipziga prowokowa³o natychmiast nie kontrolowane

wybuchy tak chwiejnych sêdziów jak Lauder Strickland, Sam Collins

i im podobni.

Spróbowa³ sobie przypomnieæ, kto jeszcze mógł³by tam byæ

oprócz Connie i jej kohorty z Badañ Sowieckich. Dyrektor finansów, dyrektor na Europê Zachodni¹, dyrektor Ataku Sowieckiego, w wiêkszoœci ju¿ ludzie Saula Enderbyego. No i

oczywiêcie on sam, Enderby, nominalnie ci¹gle jeszcze urzêdник

Foreign Office, przebrany przez sw¹ w³asn¹ straż pa³acow¹ za ³1cznika z Whitehall, ale jego uœmiech by³ ju¿ ich œmiechem, a

mars na jego czole ich dezaprobat¹.

Smiley widzia³ siebie, przys³uchuj¹cego siê propozycjom Connie, która powtarza³a je teraz w niemal identycznym brzmieniu

wraz z wynikami przeprowadzonych przez ni¹ wstêpnych ustaleñ.

Opowieœæ Leipziga trzyma siê kupy, twierdzi³a Connie. Jak na

razie, nie udało się jej podważyć. Connie przedstawiła
wyniki

swojej pracy:

Jej Sekcja Badań Sowieckich potwierdziła na podstawie
pisemnych Źródła, że niejaki Oleg Kurski, student prawa,
uczêszcza³ we wspomnianym czasie na Politechnikê Talliñsk¹.

W archiwach Foreign Office, pochodz¹cych z tamtego
okresu,

wspomina siê o zamieszkach w stocznjach.

Pewien wschodni uciekinier podawa³ w udostêpnionym
przez

Kuzynów z Ameryki raporcie, że jakiego prawnik nazwiskiem
Kurski

lub Karski o imieniu Oleg ukoñczy³ w tydzieñ dziesiêset
siedemdziesi¹tym pierwszym roku w Kijowie kurs
szkoleniowy

Centrum Moskiewskiego.

Z informacji uzyskanych u tego samego Źród³a wynika,
że

Kurski za rad¹ swoich prze³oonych zmieni³ póŹniej nazwisko
ze

wzglêdu na sw¹ uprzedni¹ dzia³alnoœæ operacyjn¹.

Rutynowe francuskie sprawozdania wywiadowcze, co
prawda

notorycznie ba³amutne, donosi³y, ¿e jak na drugiego
handlowego

sekretarza ambasady w Pary¿u Kirow w samej rzeczy cieszy³
siê

szczególnymi przywilejami; na przyk³ad chodzi³ sam po
zakupy i

bywa³ na przyjêciach w rozmaitych placówkach krajów
Trzeciego

Œwiata bez zwyk³ej asysty piêtnastu towarzyszy.

Krótko mówi¹c, wszystko to potwierdza zarówno
historyjkê

Leipziga, jak i podejrzenia, ¿e Kirow jest agentem wywiadu -
skończy³a Connie o wiele za szybko jak na gust pi¹tego piêtra.

Potem plasnê³a aktami o stó³ i porozdawa³a fotografie - te
same,

które wykonali francuscy tajniacy i które spowodowa³y ca³e
to

pierwotne zamieszanie w kwaterze g³ównej Grupy Ryskiej w
Pary¿u.

Kirow wsiadaj¹cy do s³u³bowego samochodu. Kirow wychodz¹cy z Narodowego Moskiewskiego z aktówk¹ w d³oni. Kirow przed witryn¹ pornograficznej księ³garni, przypatruj¹cy siê gniewnym wzrokiem ok³adkom czasopism.

Ale na Źadnej z tych fotografii, pomysla³ Smiley powracaj¹c do tera³niejszoœci, nie by³o Olega Kirowa i jego niegdysiejszej ofiary, Otto Leipziga, zabawiaj¹cych siê z dwiema panienkami.

- Wiêc tak to wygl¹da³o, kochanie - oznajmi³a Connie, poci¹gn¹wszy d³ugi ³yk. - Mielicemy relacjê ma³ego Ottona i akta pe³ne informacji potwierdzaj¹cych jego œwiadectwo. Mielicemy te³ nieco dodatkowych wiadomoœci z innych Ÿród³, nie by³o tego jakoœ potwornie du³o, ale zawsze coœ.

Kirow by³ bandyt¹, dopiero niedawno dosta³ nominacjê, ale

mogliemy jedynie zgadywać, jaka jest jego bandycka specjalizacja.

Dlatego w³aczenie by³ tak interesuj¹cy, prawda, kochanie?

- Tak - odrzek³ z roztargnieniem Smiley. - Tak, Connie.

Pamiêtam.

Tak by³o w istocie.

- Nie nale¿a³ do g³ównej grupy tamtejszych rezydentów, o tym

wiedzieliemy od pierwszego dnia. Nie rozje¿d¿a³ siê ich samochodami, nie pracowa³ na nocn¹ zmianê, nie brata³ siê z innymi znanymi nam bandytami, nie korzysta³ z pokoju szyfrantów,

nie uczêszcza³ na te ich nabo¿ne, cotygodniowe zebrania, nie karmi³ placówkowego kota i w ogóle nic nie robi³. A znów z

drugiej strony Kirow nie by³ cz³owiekiem Karli, prawda, s³oñce?

Podejrzana sprawa.

- Dlaczego Kirow nie móg³by byæ cz³owiekiem Karli? - Nie

patrz¹c na ni¹ zapyta³ Smiley.

Ale za to Connie przygl¹da³a siê Smileyowi. Zamilk³a na
d³u¹sz¹ chwilê, ¹z¹eby przypatrzeæ mu siê bez poœpiechu, a
na

dworze wœród umieraj¹cych wi¹zów gawrony roztropnie
wybra³y nag³¹

ciszê, ¹z¹eby og³osiaæ szekspirowski omen wrzasków.

- Poniewa¹z Karla mia³ ju¹z swojego cz³owieka w Pary¹u,
kochanie - wyjaœni³a cierpliwie. - I ty dobrze o tym wiesz.
Tego

starego pedanta Pudina, zastêpcê attache wojskowego.

Pamiêtasz

przecie¹z, jak Karla uwielbia³ ¹z¹o³nierzy. O ile wiem, nadal ich
kocha. - Connie urwa³a, by raz jeszcze badawczym
wzrokiem

zmierzyæ jego obojêtn¹ twarz. Smiley opar³ brodê na rêkach.

Jego p³przymkniête oczy zwrócone by³y ku ziemi. -
Ponadto

Kirow by³ idiot¹, a Karla nie znosi³ idiotów, prawda? Zreszt¹ jak
teraz o tym myœlê, ty te¹z nie by³eœ dla nich mi³y. Oleg Kirow
by³

gburem, poci³ siê, cuchn¹³ i gdzie siê nie ruszy³, zwraca³ na

siebie uwagę jak go ty wystajcy z za krzaka.

Karla pierchnby w popochu, zanim zwerbowa by
takiego

ba wana. - Kolejna pauza. - Tak samo jak ty - doda jeszcze
Connie.

Smiley pooy dñ na czole i skierowa palce ku górze, jak
dziecko na egzaminie.

- Chyba e... - powiedzia.

- Chyba e co? Chyba e odbiaby mu szajba. Prêdzej mi tu
kaktus wyrocenie.

- To by okres plotek - odezwa siê Smiley gdzie z gbin
swoich myeli.

- Jakich plotek? Plotki krz zawsze, oele jeden.

- Byy jakie raporty uciekinierów - powiedzia
lekcewa co.

- Opowieci o dziwnych zdarzeniach na dworze Karli.
Drugorzêdne

Ÿródła, oczywiœcie, ale czy nie...

- Co?

- Czy nie wskazywa³y na to, że Karla zacz¹³ op³acaæ jakichœ

dziwnych ludzi? - e g³uch¹ noc¹ przeprowadza z nimi rozmowy?

Wiem,

to nie by³y wysoce wiarygodne informacje. Mówiê o tym niejako na

marginesie.

- A ponadto nakazano nam je zignorowaæ - powiedzia³a twardo

Connie. - Obiektem by³ Kirow, nie Karla. Zarz¹dzenie pi¹tego

piêtra, i ty tak³e przy³o³y³eœ do niego rêkê. Przestañcie gapiæ siê w gwiazdy i zajmijcie siê ziemskimi sprawami, mówi³eœ.

-

Wykrzywi³a usta, przegiê³a g³owê ku ty³owi i z niepokoj¹cym

podobieństwem zaczê³a nacelowaa Saula Enderbyego: -Nasza s³u³ba

polega na gromadzeniu informacji - wycedzi³a Connie.

- A nie na wszczynaniu awantur przeciwko opozycji. I nie mów

mi, kochanie, że Enderby inaczej teraz œpiewa. Zmieni³ siê?

George? - wyszeptała. - Och, George, jakże ty podły.

Smiley przyniósł jej kolejnego drinka, a wróciwszy ujrzał, że oczy Connie rozbiły się szelmowsko. Skubała kępki swojej siwizny

tak jak dawniej, kiedy nosiła jeszcze długie włosy.

- Rzecz w tym, że uprawomocnilibyśmy tę operację, Connie - powiedziała Smiley beznamiętnym tonem, mającym opanować jej

niepokój. - Przegłoszilibyśmy niedowiarków i udzielilibyśmy ci

pozwolenia, żebyś wyćgnęła Kirowa na czerdek boiska. Co byś o

dalej?

Alkohol, wspomnienia i przeżywany na nowo niepokój poczęgu

miotały Connie z siłą, której Smiley nie kontrolował. Miała przyspieszony oddech; dyszała niczym stary parowóz, niebezpiecznie pozbawiony hamulców.

Smiley zdał sobie sprawę, że Connie relacjonuje mu opowieść

Leipziga w takim kształcie, w jakim ten przekazał
Wladimirowi.

Wydawało mu się, że wciąż jest wraz z nim w Cyrku, a
operacja

przeciwko Kierowowi rozpocznie się dopiero za chwila.

Ale Connie przeskoczyła w swojej wyobraźni do
starodawnego

miasta Tallin sprzed dwudziestu pięciu lat. Była tam obecna
nieprzeciętna inteligencja; znała Leipziga i Kierowa z czasów ich
przyjaźni. Ich miłośnicy, twierdziła Connie. Miał Otto i
gruby

Oleg. Oto sedno sprawy, mówiła; stara wariatka opowie ci,
jak

było, a ty, George, rób tymczasem swoje, nikczemniku.

- Byli jak żółw i żółc, kochanie. Kierow to wielkie, smutne
dziecko, rozczytuja się w swoich prawniczych księzkach
na

uczelnia i traktują bestialską tajemniczą policję niczym tatusia; a
diabeł w przeciwy to nasz młody Otto Leipzig, maczający palce
we

wszystkich rozróbach, z krótkim wyrokiem na koncie, całymi dniami

harujący w stoczni, nocami zaczęli podlegać do buntu niezdyscyplinowanych. Spotkali się w barze i byśa to miśocæ od

pierwszego wejrzenia. Otto zaatwia dziewczynki, a Oleg Kirow

podłæ jego œladem, korzystajc z resztek. O co ci chodzi, George? Udajesz Dziewicê Orleańsk¹?

Zapalił dla niej nowego papierosa i wœły jej do ust w nadziei, że zdoła j¹ tym uspokoiæ, ale Connie w trakcie swojej gorczkowej gadaniny paliła tak apczywie, że papieros zaczynał

j¹ już niemal parzyæ. Smiley szybko odebrał jej niedopałek i zgasił go w blaszanej zakrêtce, której Connie uŸywała zamiast

popielniczki.

- Przez jakieœ czas dzielili siê nawet jedn¹ dziewczyn¹ - powiedziała Connie, prawie krzycz¹c. - I nie wiem, czy zdołasz w

to uwierzyć, ale pewnego dnia ta g³uptaska przysz³a do ma³ego

Otona, ¿eby go ostrzec. Twój t³usty przyjaciel jest o ciebie zazdrosny i jest s³ugusem tajnej policji, powiada.

Niezdyscyplinowany klub dyskusyjny dostanie za swoje. Strze¿ siê

Id Marcowych.

- Spokojnie, Con - upomnia³ j¹ nerwowo Smiley. - Opanuj siê.

Connie mówi³a coraz g³oœniej:

- Otto wyrzuci³ dziewczynê za drzwi, a tydzieñ póŹniej zaarrestowano ca³¹ paczkê. Naturalnie razem z grubym Olegiem,

który ich przecie¿ wystawi³; ale oni ju¿ o tym wiedzieli. Och, wiedzieli dobrze. - Zawaha³a siê, jak gdyby zab³dzi³a. - A ta idiotka, która próbowa³a go ostrzec, zginê³a - powiedzia³a Connie. - Zniknê³a gdzieœ, prawdopodobnie by³a przes³uchiwana.

Otto w jej poszukiwaniu przewróci³ wszystko do góry nogami,

a¿ wreszcie natrafi³ na kogoœ, kto siedzia³ z ni¹ w celi. Martwa

jak g³az. Dwa g³azy. Mnie te¿ to czeka, i to ju¿ cholernie szybko.

- IdŸmy dalej - powiedzia³ Smiley.

W³acéciwie chcia³ j¹ powstrzymaæ - zaparzyæ herbaty, pogadaæ

o pogodzie, zrobiaæ coœ, co zahamowa³oby narastaj¹c¹ w niej

gwa³townoœæ. Ale Connie dokona³a kolejnego zwrotu i by³a ju¿ z

powrotem w Pary¿u, opowiadaj¹c o tym, jak to Otto Leipzig za

niechêtn¹ zgod¹ pi¹tego piêtra i z ¿arliw¹ pomoc¹ Genera³a rozpoc¹³ po owych wszystkich straconych latach przygotowania do

spotkania z drugim sekretarzem Kirowem, któremu Connie nada³a

kryptonim Ry¿y Wieprz. Smiley przypuszcza³, ¿e tak go wtedy po

prostu nazywa³a. Zrobi³a siê purpurowa na twarzy, powietrze z

charkotem umyka³o z jej p³uc i chocia¿ ju¿ zaczyna³o brakowaæ jej

tchu, zmusi³a siê jednak, Ÿeby dokończyæ sw¹ opowieœæ.

- Connie - poprosi³ znowu Smiley, ale to nie wystarczy³o, i byæ moŸe nic nie mog³oby jej powstrzymaæ.

- Po pierwsze - powiedzia³a Connie - ma³y Otto podrepta³ w odwiedziny do siedzib rozmaitych towarzystw przyjaŸni francusko -

sowieckiej, w których, jak wiedzieliœmy, czêsto bywa³ Kirow.

- Biedny Otto pewnie z piêtnaœcie razy obejrza³ film Pancernik Potiomkin, ale ani razu nie natkn¹³ siê na RyŸego Wieprza.

- Otrzymaliœmy wiadomoœæ, Ÿe Kirow zacz¹³ okazywaæ powaŸne

zainteresowanie œrodowiskiem emigrantów; pozowa³ nawet na ich

cichego sympatyka i jako m³odszy dyplomata pyta³, czy moŸe coœ

zrobiæ, by ulŸyæ losowi ich rodzin w Zwi¹zku Radzieckim. Z pomoc¹

Vladimira Leipzig usi³owa³ stan¹æ Kirowowi na drodze, ale i tym

razem nie mia³ szczęœcia. A potem Kirow zacz¹³
podró¿owaæ:

jeŸdzi³ wszêdzie, kochanie, istny Lataj¹cy Holender - i Connie
wraz ze swymi ch³opakami zaczê³a siê zastanawiaæ, czy nie by³
po

prostu jakimœ pe³ni¹cym administracyjn¹ funkcjê
urzêdnikiem

Centrum Moskiewskiego, a nie oficerem operacyjnym: móg³ to
byæ na

przyk³ad rewident - ksiêgowy pewnej grupy placówek w
Europie

Zachodniej z centralnym oœrodkiem w Pary¿u - Bonn,
Madryt,

Sztokholm, Wiedeñ.

- Pracowa³ dla Karli, czy dla s³u¿b bardziej oficjalnych? -
zapyta³ cicho Smiley.

- Licho wie - odrzek³a Connie - ale na jej rozum dla Karli.

Mimo, ¿e w Pary¿u siedzia³ ju¿ Pudín. Mimo i¿ Kirow by³
idiot¹, a nie ¿o³nierzem; musia³ pracowaæ dla Karli - twierdzi³a
Connie, perwersyjnie wycofuj¹c siê z wyg³oszonych
uprzednio

przeciwnych opinii. - Gdyby Kirow odwiedza³ oficjalne placówki,

zabawialiby go i gościli znani nam oficerowie wywiadu.

A on zachowywa³ swoje incognito, przebywaj¹c wy³¹cznie z

równymi mu rang¹ urzędnikami z działów handlowych. W każdym razie

powiod³o się nam dzięki tym podró¹om lotniczym, powiedzia³a

Connie. - Ma³y Otto poczeka³, a¹ Kirow zarezerwuje sobie lot do

Wiednia, upewni³ się, że podróżuje samotnie, wsia³ do tego samego samolotu i już mogliemy dział³aæ.

- Chcieliemy go z³apaæ w najzwyklejsz¹, podręcznikow¹ s³odk¹

pu³apkê - wyepiewa³a niezwykle donocenie Connie. - Starocæwiecki

szwindel.

Jakie wiêkszy cwaniak móg³by nas wyemiamæ, ale przecie¹ nie

brat Kirow, szczególnie jeżeli to Karla go op³aca³.

Chcieliemy

œwiñskich fotografii i uzyskanych groŸbami informacji. A
kiedy

juŸ byœmy z nim skoñczyli i wiedzielibyœmy, co knuje, kim s¹
jego

parszywi przyjaciele i kto pozwala mu na tak¹ uderzaj¹c¹ do
g³owy

swobodê, w³owczas kupilibyœmy go jako azylanta albo
wepchnêlibyœmy

go z powrotem w bagno, w zaleŸnoœci od tego, ile jeszcze z
niego

zostanie.

Urwa³a nagle. Otworzy³a i zamknê³a usta, nabra³a powietrza
i

poda³a Smileyowi szklankê.

- Kochanie, nalej starej moczygêbie jeszcze jedn¹
szklaneczkê, ale migiem, co? Odzywaj¹ siê choróbska Connie.
Albo

nie. Zostañ tam.

Przez jedn¹ fataln¹ sekundê Smiley nic nie rozumia³.

- George?

- Tutaj, Connie. Co ci jest?

By³ szybki, ale nie doœæ szybki. Zobaczy³, ¿e sztywnieje jej twarz i ¿e jej dr¿¹ce rêce gwa³townie wyci¹gaj¹ siê przed siebie. Connie wywróci³a z obrzydzeniem oczy, jak gdyby by³a w³aœnie œwiadkiem jakiegoœ strasznego wypadku.

- Hils, szybko! - krzyknê³a. - Och, mój kapelusz.

Obj¹³ j¹ i poczu³, jak zaciska mu na karku ramiona, ¿eby byæ bli¿ej niego. Mia³a ch³odn¹ skórê i dygota³a, ale nie z zimna, lecz z przera¿enia. Przytuli³ siê do niej, czuj¹c zapach whisky, lekarstw i staroœci, i usi³owa³ j¹ uspokoiæ. Policzki mia³ mokre od jej ³ez, czu³ ich s³onawe uk³ucia na twarzy i na jêzyku, kiedy Connie nareszcie odepchnê³a go od siebie. Odszuka³ jej torebkê, otworzy³ j¹ i poszed³ szybko na werandê, ¿eby zawo³aæ Hilary.

Wybieg³a z ciemnoœci z na wpó³ zaciœnietymi piêœciami,

ko³ysz¹c ³okciami i biodrami, co tak czêsto wyœmiewaj¹ mê¿czyŃni.

Przemknê³a ko³o niego z nieœmia³ym uœmiechem i Smiley pozosta³ na

werandzie, czuj¹c, jak noc szczypie go w policzki; przygl¹da³ siê

nadci¹gaj¹cym w³aœnie deszczowym chmurom i sosnom,
posrebrzonym

œwiat³em wschodz¹cego ksiê¹cyca. Ucich³o wycie psów,
tylko

ko³uj¹ce wysoko gawrony s³a³y czasem na ziemiê swoje
chrapliwe

ostrze¹enia. Jed¹Ÿ, powiedzia³ sobie. Wynocœ siê st¹d.
Umykaj.

Samochód czeka³ nieca³e sto metrów st¹d, na dachu ju¹
zaczyna³

gromadziæ siê szron.

Wyobrazi³ sobie, ¹e wskakuje do wozu, wje¹d¹a na
wzgórze,

pêdzi przez plantacjê i dalej gna przed siebie, by nigdy ju¹ tu
nie powróciæ. Wiedzia³ jednak, ¹e nie mo¹e tego zrobiæ.

- Ona chce, ¹ebyœ tam wróci³, George - twardo powiedzia³a
od

progu Hilary z tym szczególnym autorytetem, jaki zwykle
posiadaj¹

osoby pielêgnuj¹ce konaj¹cych.

Ale gdy Smiley wróci³, wszystko by³o ju¹ w porz¹dku.

* * *

Wszystko już było w porządku. Upudrowana Connie siedziała w

bujanym fotelu z surowymi minami i wpatrywała się wprost w Smiley'a,

jak wtedy, kiedy przyszedł po raz pierwszy. Hilary uspokoiła ją i ocuciła, a teraz stała za nią, oparła swoje zwrócone kciukami do orodka dłonie na szyi Connie i delikatnie masowała jej kark.

- Mały atak timor mortis, kochanie - wyjaśniła Connie. - Łapiduch przepisuje valium, ale stara wariatka woli gość. Nie wspomnisz o tym Saulowi Enderbyemu, kiedy będziesz się

odmeldowywać, dobrze, słońce?

- Nie, oczywiście, że nie.

- A tak nawiasem mówiąc, to kiedy zameldujesz się u niego, kochanie?

- Już wkrótce - odparł Smiley.

- Dzień wieczorem, kiedy wrócisz do domu?

- To zależy, co będzie mu miało do powiedzenia.

- Con to wszystko zapisał, George. Raporty starej wariatki z tej sprawy były, jak się działo, niezwykle obszerne. Niezwykle dokładne. Niezwykle szczegółowe, chociaż raz. Ale ty z nich nie

skorzystałeś. - Smiley nie odpowiedział. - Zaginięły. Zostały zniszczone. Zjadły je młczaki. Nie miałeś czasu. No, no.

Ty, taki fanatyk pracy biurowej. Wyżej, Hils - rozkazała, nie spuszczać ze Smileya swoich błąszczących oczu. - Wyżej,

kochanie. Tam, gdzie kręgosłup utkwił mi pomiędzy migdałkami.

Smiley usiadł na starej wiklinowej kanapie.

- Uwielbiam kiedyś te zabawy - przyznała marzycielsko

Connie, kręcąc głowę i pieszcząc w ten sposób dłoń Hilary. -

Prawda, Hils? Było w nich całe życie. Ale teraz już by cię to nie zainteresowało, co? Od kiedy straciłeś cierpliwość.

Wrócił do Smileya.

- Chcesz, żebym mówi³a dalej, kochaneczku? - zapyta³a g³osem

dziwki z East Endu.

- Może mog³abyć przedstawiæ mi rzecz ca³¹ w skrócie - powiedzia³ Smiley. - Chyba że to dla ciebie...

- Na czym to ja stanê³am? Aaa, już wiem. Byli³emy w tym

samolocie razem z Ry³ł¹ Ćwini¹. Leci do Wiednia, racice trzyma w

korycie z piwem.

Unosi wzrok i kogo widzi przed sob¹ niczym wyrzut sumienia,

jeżeli nie swojego starego kumpla sprzed dwudziestu pięciu lat,

czyli ma³ego Ottona, u³emiechniętego szeroko jak sam diabe³. Co

też odczuwa brat Kirow vel Kurski? - zapytujemy sami siebie,

oczywiście pod warunkiem, że on ma jakiegokolwiek uczucia. Czy Otto

wie - zastanawia się Kirow - że to ja, szelma, sprzed³am go do

gu³agu? No i co robi w tej sytuacji?

- I co robi w tej sytuacji? - spyta³ Smiley, nie reaguj¹c na jej kpiny.

- Decyduje siê odstawiaæ milaska, kochaneczku. Prawda, Hils?

Gwi¿d¿e na obs³ugê, zamawia kawior i mówi: Dziêki Bogu. -
Connie

powiedzia³a coœ szeptem i Hilary nachyli³a siê, ¿eby lepiej
s³yszeæ, a potem zachichota³a. - Szampana, ¿¹da Kirow. I, na
Boga, podaj¹ im szampana, pij¹, Ry¿y Wieprz p³aci, a potem
razem

jad¹ taksówk¹ do miasta i robi¹ jeszcze kilka szybkich wódek
w

jakiejœ kafejce, zanim Ry¿y Wieprz zajmie siê swoimi nie
cierpi¹cymi zw³oki sprawami. Kirow lubi Leipziga - upiera³a
siê

Connie. - Kocha go, prawda, Hils?

Dobrana para szalonych g³ów, zupe³nie jak my. Otto jest
seksowny, Otto jest dowcipny, ma wdziêk, nie uznaje
autorytarnej

w³adzy, jest zgrabny i - ach, jest wszystkim tym, czym nigdy nie

mog³aby byæ Ryç a Ćwinia, choæby i za tysi¹c lat.

Dlaczego pi¹te piêtro s¹dzi³o zawsze, çe ludzie musz¹ mieæ tylko jeden motyw?

- Ja na pewno nie by³em tego zdania - odpowiedzia³ gor¹czkowo Smiley.

Ale Connie wcale nie zwraca³a siê do Smileya, tylko znów do

Hilary.

- Kirow siê nudzi³, s³oñce. Otto przywraca³ mu çycie. Tak jak ty mnie.

Nadajesz mym krokom sprêçystoææ, nie, skarbie?
Oczywiêcie

nie przeszkodzi³o mu to donieææ na niego policji, ale takie s¹ prawa natury, co?

Ko³ysz¹c siê wci¹ç za plecami Connie, Hilary skinê³a g³ow¹ z niepewn¹ aprobat¹.

- A czym by³ Kirow dla Otto Leipziga? - zapyta³ Smiley.

- Nienawieci¹, mój drogi - odpar³a bez wahania Connie. -

Czyst¹, niczym nie rozcieńczon¹ nienawiœci¹. Nie cierpia³ go,
nie

znosi³, jak Bóg na niebie. Nienawiœæ i pieni¹dze. To by³y
atuty

Otona. Zawsze uwaŹa³, Źe naleŹy mu siê forsa za te
wszystkie

lata, które spêdzi³ w pudle. Chcia³ teŹ, Źeby Kirow zap³aci³ za
dziewczynê. Marzy³ o tym, Źe pewnego dnia sprzeda Kirowa
vel

Kurskiego za wielkie pieni¹dze. Wielkie, wielkie pieni¹dze.
Które

póŹniej wyda.

Z³oœæ kelnera, pomyœla³ Smiley, przypomniawszy
sobie

odbitkê. I pokój z kraciast¹ tapet¹ w hotelu na lotnisku i cichy
niemiecki g³os Otona o pieszczotliwym brzmieniu; jego
nieruchome

powieki i br¹zowe oczy, bêd¹ce niczym okna gorej¹cej
duszy

Leipziga.

- Po wiedeńskim spotkaniu obaj postanowili zobaczyæ siê

ponownie w Paryżu; Otto roztropnie rozgrywa³ tę partię powoli.

Nie zada³ w Wiedniu żadnego pytania, o które Ryża Œwinia mog³aby

się obraziæ. - Otto to zawodowiec - stwierdzi³a Connie. Czy Kirow

jest żonaty? - zapyta³ Leipzig. Kirow uniós³ ramiona i rykn¹³ cieniem, daj¹c do zrozumienia, że w każdej chwili gotów jest o

tym zapomnieæ. Żonaty, ale żona w Moskwie, donosi³ Otto, co mog³o

zwiększyæ skutecznoœæ s³odkiej pu³apki. Kirow dopytywa³ się, co

Leipzig teraz robi, a ten wspania³omyœlnie odpowiada³, że jego

robota to import - eksport, przedstawiaj¹c się jako sprytny i obrotny cz³owiek interesu, taki co to jednego dnia jest w Wiedniu, drugiego w Hamburgu. W kaŹdym razie Otto odczeka³ ca³y

miesi¹c. Po dwudziestu piêciu latach - powiedzia³a Connie - nie musia³ się juŹ spieszyæ. W tym czasie Francuzi zauwaŹyli, że

Kirow trzykrotnie próbowa³ nawi¹zaæ kontakt ze starszymi wiekiem

rosyjskimi emigrantami, zamieszka³ymi w Paryżu: jeden z nich by³

taksówkarzem, drugi prowadzi³ sklep, nastêpny restauracjê, a wszyscy trzej mieli na utrzymaniu kogoœ w Zwi¹zku Radzieckim.

Kirow zaofiarowa³ siê przekazaæ im listy, wiadomoœci, adresy, a

nawet pieni¹dze i podarunki, jeœli tylko nie by³yby zbyt duŹe.

Obieca³ teŹ us³ugiwaæ im póŹniej na tej samej trasie, ale w drodze powrotnej. Nikt nie przyj¹³ jego propozycji. Pi¹tego tygodnia Otto zadzwoni³ do niego do domu, powiedzia³, Źe w³acenie

przylecia³ z Hamburga i zaproponowa³, Źeby siê trochê rozerwaæ.

Wybieraj^{1c} odpowiedni¹ chwilê przy obiedzie, Leipzig powiedzia³,

Źe kusi go noc; zrobi³ w³acenie niew¹ski interes na pewnym transporcie do pewnego kraju i chcia³by puœciaæ trochê forsy.

- Tak¹ obmyœlilicemy dla niego przynêê, kochanie -
wyjaœni³a

Connie, zwracaj¹c siê nareszcie wprost do Smileya. - I Ry¿y
Wieprz po³kn¹³ j¹ jak oni wszyscy, prawda, niech im Bóg
b³ogos³awi, jak zawsze, jak ³osoœ muchê. Co to za transport?

-

zapyta³ Kirow. Co to za kraj? W odpowiedzi Leipzig
dorysowa³

sobie w powietrzu zakrzywiony nos i wybuchn¹³ œmiechem.
Kirow te¿

siê rozeœmia³, ale ta wiadomoœæ wyraŸnie go
zainteresowa³a.

Izrael? - zapyta³; no to jaki to transport? Leipzig wycelowa³ w
niego palec wskazuj¹cy i uda³, ¿e poci¹ga za cyngiel. Broñ do
Izraela? - zapyta³ zdumiony Kirow, ale Leipzig to zawodowiec
i

nie powiedzia³ ju¿ nic wiêcej. Pili, poszli na striptease i
gawêdzili o starych czasach. Kirow wspomina³ nawet ich
wspól¹n¹

dziewczynê i pyta³, czy Leipzig nie wie przypadkiem, co siê z
ni¹

stało. Leipzig odpar, że nie. Wczesnym rankiem Otto zaproponował, żeby poderwali jakiegoś panienki i pojechali do

niego, ale ku jego rozczarowaniu Kirow odmówił: w Paryżu nie, to

zbyt niebezpieczne. W Wiedniu albo w Hamburgu nie ma żadnego

problemu. Ale w Paryżu nie. Wypili coś do obiadania i pożegnali

się, a Cyrk stał się o sto funtów uboższy. - Wtedy zaczęły się cholerne walki i głównie - powiedziała Connie, przeskakując nagle

na zupełnie inne tory. - Wielka Debata Głównego Urzędu, takiego

waża. Ciebie nie było, Saul Enderby umoczył w tej sprawie swoje

wymanicurowane kopyta, a reszta szybko zwłchała, o co chodzi -

oto, co się stało. - Znow rozległ się jej głos: -Otto Leipzig robi nas w konia... Nie skonsultowaliśmy operacji z ranojadami...

Foreign Office martwi się o reperkusje... Kirow jest

podstawiony...

Grupa Ryska stanowi absolutnie zbyt kruch¹ podstawę przedsięwzięcia na tak¹ skalę. Gdzieś ty wtedy by³? W tym upiornym Berlinie, tak?

- W Hongkongu.

- Ach, tam - powiedzia³a s³abym g³osem, osunę³a się w fotelu i przymknę³a powieki.

Smiley pos³a³ Hilary, żeby zrobi³a herbatę, i dziewczyna dzwoni³a teraz naczyniami w drugim końcu pokoju. Obrzuci³ j¹

wzrokiem, zastanawiaj¹c się, czyjej nie zawo³aa, i widzia³ jej postać tak samo, jak wtedy po raz ostatni w Cyrku, tej nocy, kiedy po niego pos³ali - przycięniête do ust pięćci powstrzymuj¹ce niemy krzyk. Pracowa³ do półna w nocy - tak, to

by³o wówczas, kiedy przygotowywa³ się do wyjazdu do Hongkongu - i

nagle zadzwoni³ wewnętrzny telefon i us³ysza³ bardzo zdenerwowany

męski g³os prosz¹cy, aby natychmiast przyszed³ do pokoju

szyfrantów, panie Smiley, sir, to pilne. W kilka chwil później
już pustym korytarzem, mając na skrzydłach dwóch
zaniepokojonych dozorców. Otworzyli mu drzwi, wszedł do
corridor,

tamci zostali z tyłu. Ujrzał rozbite urządzenia, akta, fiszki i
telegramy rozrzucone po pokoju jak śmieci na boisku
futbolowym i

obsceniczne graffiti nabazgrane na ścianie. A podczas tego
wszystkiego ujrzał winowajczynię, Hilary, wyglądając
dokładnie

tak, jak teraz. Wpatrywała się przez grube żelazne zasłony
w

białe, swobodne niebo za oknem: nasza westalka Hilary, tak
dobrze

ułożona; Hilary, nasza Cyrkowa oblubienica.

- Co ty tam do cholery robisz, Hils? - rzuciła ostro Connie
ze swojego fotela.

- Zaparzam herbatę, Con. George chce herbaty.

- Do diabła z tym, czego chce George - odparowała,
wybuchając gniewem. - George to piąte piętro. George kazał
odwalać sprawę Kirowa, a teraz grają solo na stare lata, próbuje

to naprawiaæ. Prawda, George?

Prawda? Naopowiada³ mi nawet k³amstw o starym
Vladimirze,

który nadzia³ siê na kulê gdzieœ na Hampstead Heath, jak
chc¹

gazety. Ale on widocznie nie czytuje gazet, tak samo jak nie
czyta³ moich sprawozdañ.

Wypili herbatê. Zanosi³o siê na burzê. Pierwsze grube krople
ju¿³ omota³y o drewniany dach.

Smiley j¹ oczarowa³, obsypa³ pochlebstwami, namówi³,
¿eby

ci¹gnê³a dalej. Nitkê z k³êbka odwinê³a ju¿ dla niego do
po³owy.

Upar³ siê, aby wysup³a³a j¹ do koñca.

- Muszê mieæ wszystko, Con - powtórzy³. - Muszê
wys³uchaæ

wszystkiego, tak jak to spamiêta³acæ, nawet jeœli koniec jest
bolesny.

- A ¿ebyœ wiedzia³, koniec jest cholernie bolesny -
odpowiedzia³a Connie.

Lecz jej g³os, jej twarz, a nawet blask jej pamiêci zaczê³y

już blaknąć i Smiley zrozumiało, że jest to wyścig z czasem.

- Teraz był ruch Kirowa - powiedziała Connie znużonym głosem. - Miesiąc później podczas ich następnego spotkania w

Brukseli Kirow nawiązał do historyjki o transporcie broni do Izraela. Powiedziała Leipzigiowi, że wspomnia o tej rozmowie

pewnemu znajomemu z sekcji handlowej ambasady, który prowadzi

specjalne badania nad izraelską ekonomią wojskową i posiada

nawet odpowiednie fundusze na ten cel. Czy Leipzig nie mógłby -

no nie, poważnie, Otto - pogadać z tym facetem albo jeszcze lepiej opowiedzieć wszystko tu i teraz swojemu staremu kumpłowi

Olegowi, który mógłby wtedy to i owo zapisać także i na swoje

konto? Otto odparł: Pod warunkiem, że mi się to opłaci i że nikomu nie stanie się krzywda. Potem z powagą wcisnął Kirowowi

torbê papki przygotowanej dla niego przez Connie i ludzi z sekcji

Bliskiego Wschodu: informacje by³y oczywiście prawdziwe i jak

najbardziej sprawdzalne, nawet jeżeli nikomu nie mog³y siê na nic

przydaæ. Kirow zanotowa³ je skwapliwie, choæ obaj doskonale

wiedzieli, że ani Kirow, ani jego mocodawca, kimkolwiek by nie

by³, w najmniejszym stopniu nie jest zainteresowany ani dostawami

broni, ani Izraelem, ani tym bardziej jego ekonomik¹ wojskow¹ - a

w ka¿dym razie nie w tym wypadku. Kirow stara³ siê natomiast

stworzyæ konspiracyjn¹ atmosferê wokó³ ich spotkań, jak to siê

okaza³o nastêpnym razem w Pary¿u.

Kirow nie posiada³ siê z zachwytu nad raportem Leipziga i nalega³, żeby Otto przyj¹³ w zamian piêæset dolarów, dokonuj^{1c}

jedynie drobnej formalności, jak¹ mia³o byæ z jego strony podpisanie pokwitowania. A kiedy Otto z³o¹u³y³ podpis i wpad³ ju¹

na dobre, Kirow z ca³¹ swoj¹ brutalności¹ - a mia³ jej w sobie niema³o, zauwa¹u³y³a Connie - zacz¹³ wypytywaæ Ottona, w jakich

pozostaje stosunkach z miejscowymi emigrantami rosyjskimi.

- B³agam, Con - wyszepta³ Smiley. - Jesteœmy niemal u celu.

- By³a ju¹ blisko, ale on czu³, u¹e odp³ywa coraz dalej i dalej.

Hilary le¹u³a na pod³odze z g³ow¹ opart¹ o kolana Connie, która d³oñmi w mitenkach bezwiednie bawi³a siê jej w³osami,

niemal ca³kowicie zamkn¹wszy oczy.

- Connie - powtórzy³.

Unosz¹c powieki, pos³a³a mu zmêczony ucemiech.

- To by³a tylko tajemnica poliszynela, kochanie. On wie, u¹e ja wiem, u¹e ty wiesz. Po prostu - powiedzia³a pob³u¹liwie, zamykaj¹c znowu oczy.

- Co odpowiedzia³ Leipzig?

- Leipzig zrobi³ to, co my zrobilibyœmy na jego miejscu, kochanie -mruknê³a. - Gra³ na zw³okê. Przyzna³, ¿e jest w dobrych

kontaktach z grupami emigracyjnymi, a z Genera³em za pan brat.

Potem gra³ na zw³okê.

Powiedzia³, ¿e nie bywa zbyt czêsto w Pary¿u. Czemu nie wynaj¹æ kogoœ z tutejszych? - mówi³. Hils, kochanie, widzisz,

dra¿ni³ siê z nim. Raz jeszcze zapyta³: Czy nikomu nie stanie siê krzywda? A w ogóle o jak¹ robotê chodzi? Ile z tego mo¿na mieæ?

Daj mi trochê gorza³y, Hils.

- Nie - powiedzia³a Hilary.

- Przynieœ.

Smiley nala³ jej whisky na dwa palce i patrzy³, jak popija.

- Czego Kirow chcia³ od emigrantów? - zapyta³.

- Chcia³ legendy - odpar³a Connie. - Szuka³ ¿yciorysu dla dziewczyny.

W zachowaniu Smiley'a nic nie wskazywa³o na to, ¿e s³ysza³ to

samo od Tobyego Esterhasea przed zaledwie kilkoma godzinami. -

Cztery lata temu Kirow szuka³ legendy - powtórzy³a Connie. Tak

jak dzie³, wedle Tobyego i Genera³a, Piaskowy Dziadek, pomy³ela³. -

Kirowowi potrzebny by³ fa³szywy ζ yciorys dla agentki, któr¹ można

by umie³cia³ we Francji. Tu by³ pies pogrzebany - powiedzia³a

Connie. - Kirow naturalnie nic na ten temat nie wspomnia³ i przedstawi³ spraw³e w ca³kowicie innym α wietle. Powiedzia³

Leipzigowi, ζ e Moskwa przekaza³a wszystkim swoim ambasadom tajny

ok³ólnik g³osz¹cy, i ζ w pewnych okoliczno³sciach rozdzielone

rodziny rosyjskie mog³yby po³¹czy³æ si³e za granic¹. Je³eli znalaz³aby si³e odpowiednia liczba rodzin, pragn¹cych skorzysta³æ z

takiej mo³liwo³sci, wówczas Moskwa og³osi³aby sw¹ inicjatyw³e

publicznie, co w oczach œwiata przyczyni³oby siê do polepszenia

obrazu Zwi¹zku Radzieckiego w kwestii praw cz³owieka. Najbardziej

zale¿a³oby im na przypadkach o wzbudzaj¹cym litoœæ wydŹwiêku:

powiedzmy, córki w Rosji, odcieôte od swoich rodzin na Zachodzie,

panny, ale ju¿ mo¿e w odpowiednim wieku do zam¹¿pójœcia.

Dyskrecja jest tu absolutnie niezbêdna, mówi³ Kirow, dopóki nie

zgromadzi siê pe³nej listy odpowiednich przypadków.

Pomyœleæ tylko, jaki rejwach by siê podniós³, gdyby sprawa

wyda³a siê przed czasem.

Ry¿y Wieprz zagra³ tak niedobrze, ci¹gnê³a Connie, ¿e Otto pocz¹tkowo musia³ wyszydziæ jego propozycjê po prostu ze wzglêdu

na jej realnoœæ: za szalone to by³o, zbyt tajemnicze: tajne

listy, có¿ za nonsens. Dlaczego Kirow nie skontaktowa³ siê

bezpośrednio z organizacjami emigracyjnymi i nie kaza³
im

przysięc, że dochowaj¹ tajemnicy? Dlaczego wynajmowaæ do
brudnej

roboty zupełnie obcego cz³owieka? Leipzig dra¿ni³ siê z nim,
a

Kirow coraz bardziej siê rozpala³. Leipzigowi nie wolno siê
wyœmiewaæ z tajnych poleceñ Moskwy powiedzia³ Kirow.
Zacz¹³ na

niego wrzeszczeæ. - Connie te¿ znalaz³a w sobie doœæ energii,
by

krzykn¹æ albo chocia¿ podnieœæ nieco g³os powy¿ej
zwyk³ego

znu¿onego tonu, nadaj¹c mu tak¿e gard³owe, rosyjskie
brzmienie, z

jakim jej zdaniem musia³ mówiæ Kirow. - Nie masz litoœci? -
pyta.

Nie chcesz pomóc ludziom? Dlaczego drwisz z mi³osiernego
gestu

tylko dlatego, że pochodzi z Rosji? Kirow mówi³, że
nawi¹za³

osobisty kontakt z kilkoma rodzinami, ale nie pozyska³ ich

zaufania i nie poczyni³ żadnych postępow. Zacz¹³ wywierae
na

Leipziga presjê, najpierw natury osobistej (Nie chcesz pomóc mi
w

karierze?), a gdy to zawiod³o, podpowiedzia³ mu, że skoro już
przekaza³ ambasadzie tajne informacje za pieni¹dze, to może
by³oby roztropnie czyniæ tak nadal, bo w³adze
zachodnioniemieckie

mog³yby siê dowiedziæ o jego powi¹zaniach ze
s³u¹bami

wywiadowczymi i wydaliæ go z Hamburga - a może nawet w
ogóle z

Niemiec. Czy Otto by³by z tego zadowolony? Wreszcie
Kirow

zaoferowa³ pieni¹dze, i by³a to imponuj¹ca propozycja. Za
ka¹de

pomyœlnie po³¹czenie rodzin dziesiêæ tysiêcy amerykańskich
dolarów

- oznajmi³a Connie. - A za ka¹d¹ odpowiedni¹ kandydatkê
bez

wzglêdu na to, czy po³¹czenie dojdzie do skutku czy nie, tysi¹c

dolarów p³atne natychmiast. ¯yw¹ gotówk¹. Oczywiście -
ci¹gnê³a

Connie - w tym momencie pi¹te piêtro zdecydowa³o, ¿e Kirow
jest

niespe³na rozumu i nakaza³o natychmiast przerwaæ operacjê.

- A ja wróci³em z Dalekiego Wschodu - powiedzia³ Smiley.

- Tak, jak nieszczêsny król Ryszard z wyprawy krzy¿owej,
kochanie - zgodzi³a siê Connie. - Zasta³eœ w kraju powstanie
ch³opskie i z³ego brata na tronie.

Dobrze ci tak. - Connie ziewnê³a. - Sprawa w koszu na
œmieci

- œwiadczy³a. -Szwabska policja ¿¹da³a wydalenia Leipziga
z

Francji; moglibyœmy go z³atwoœci¹ przed nimi
usprawiedliwiæ, ale

nie uczynilibyœmy tego. Nie bêdzie s³odkiej pu³apki, nie bêdzie
zysków, niczego, psiakrew, nie bêdzie. Impreza odwo³ana.

- A jak Vladimir przyj¹³ to wszystko? - zapyta³ Smiley, jak
gdyby naprawdê nie wiedzia³.

Connie z trudem otworzy³a oczy.

- Co przyj¹³?

- Odwołanie imprezy.

- Grzmia, a jak myślisz? Grzmia, grzmia. Mówi, że zrezygnujemy z największej zdobyczy stulecia. Poprzysięgł

dalej prowadzić wojnę innymi środkami.

- Jakiej zdobyczy?

Nie odpowiada pytania.

- To nie jest już wojna na pistolety, George - powiedziała Connie, znów zamykając oczy. - W tym problem. Jest szara.

Pódiabła walczą z potworami. Nikt nie wie, którędy przebiega granica. - adnego pif paf!

Smiley ponownie ujrzał krzaczki hotelowej sypialni, dwa czarne paszki i Vladimira proszącego go o wznowienie

sprawy: Maks, wysłuchaj nas raz jeszcze, posłuchaj, co wydarzyło

się od czasu, kiedy kazał nam zaprzestać.

Przylecieli z Paryża na własny koszt, ponieważ Sekcja Finansowa na polecenie Enderbyego zablokowała konto operacji.

Maks, wysłuchaj nas, proszę, bógu Vladimir Wczoraj
wieczorem

Kirow wezwał Ottona do swego mieszkania. Odbył się jeszcze
jedno

spotkanie. Kirow się upił i opowiadał niesłychane rzeczy.

Ujrzał siebie w swym dawnym gabinecie w Cyrku,
Enderby

urządził się już przy jego biurku. Było to tego samego dnia,
kilka godzin później.

- Wygląda na to, że to ostatnia desperacka próba małego
Ottona, żeby wyrwać się z rąk Hunów - powiedziała
Enderby,

wysłuchawszy Smiley'a. - Za co oni go tam poszukują, za
kradzież

czy za gwałt?

- Za oszustwo - odparł z rozpaczą Smiley, bo była to jedna
prawda.

Connie nuciła coś pod nosem. Próbowała zaciepiwać,
potem

użyła jakiegoś limeryka. Chciała się jeszcze napić, ale Hilary
zabrała jej szklankę.

- Chcê, ¿ebyœ sobie poszed³ - powiedzia³a mu dziewczyna

prosto w oczy.

Pochylaj¹c siê na wiklinowej kanapie, Smiley zada³ swoje ostatnie pytanie. Mo¿na by pomyœleæ, ¿e uczyni³ to niechêtnie,

niemal z niesmakiem. Rysy jego ³agodnej twarzy stwardnia³y na

skutek zdecydowania, ale mimo to nie zdo³a³ ukryæ oznak dezaprobaty.

- Con, pamiêtasz tê historiê, któr¹ opowiada³ Vladimir? Której nigdy nie powtórzylicemy nikomu? Której przechowywalicemy jak

nasz prywatny skarb? Która g³osi³a, ¿e Karla mia³ podobno jak¹œ

ukochan¹ kobietê?

- Swoj¹ Annê - powiedzia³a znu¿onym g³osem.

- ¿e by³a dla niego wszystkim na tym œwiecie, ¿e przez ni¹ zachowywa³ siê czasem jak szaleniec?

Unios³a powoli g³owê i Smiley wyraŹnie zobaczy³ jej twarz, a

jego głos przybiera teraz na mocy i prędkości.

- Pamiętasz tę plotkę, która krążyła wśród dobrze poinformowanych ludzi w Centrum Moskiewskim? - e była jego tworem

- jego dzieckiem, Con? - e znalazł ją podczas wojny, kiedy była

jeszcze małą dziewczynką, błąkała się w jakiejś spalonej wiosce? - e ją zaadoptował, wychował i że się w niej zakochał?

Obserwował Connie i zauważył, że pomimo whisky, pomimo

ośmiertelnego wyczerpania ostatnia iskra podniecenia rozjaśniła

jej oblicze jak ostatnia kropla alkoholu w butelce.

- Przebywał wtedy gdzieś na tyłach niemieckiego frontu - powiedział. - Były to lata czterdzieste. Ciągnęli próbowali wzniecić powstanie wśród narodów bałtyckich. Budowali siatki, organizowali drużyny dywersantów.

Operacja na dużą skalę. Karla był szefem. A ona stała się ich maskotką. Wszędzie ją ze sobą wozili. Była dzieckiem. Och,

George!

Wstrzyma³ oddech, żeby s³yszeæ jej s³owa. Łoskot na dachu

narasta³. Ich twarze niemal siê styka³y; obie wyraża³y jednakowe

ożywienie.

- Co by³o potem? - zapyta³.

- Potem j¹ za³atwi³, kochanie. To by³o potem.

- Dlaczego? - przysun¹³ siê jeszcze bliżej, obawiaj^{1c} siê jak gdyby, że s³owa zawiod¹ j¹ w decyduj¹cym momencie.

-

Dlaczego, Connie? Dlaczego mia³by j¹ zabijaæ, skoro j¹ kocha³?

- Zrobi³ dla niej wszystko. Znalaz³ jej rodzinê zastêpcz¹.

Zapewni³ jej wykszta³cenie. Mia³a byæ dla niego idealn¹ bab¹.

Odgrywa³ tatusia, kochanka, odgrywa³ Boga. By³a jego zabawk¹. Ale

pewnego dnia buntuje siê i przychodz¹ jej do g³owy rozmaite nieodpowiednie myœli.

- Jakie myœli?

- Flirtowa³a z rewolucj¹. Zadawa³a siê z ró¿nymi cholernymi

intelektualistami. Chciała, żeby rozpadła się Ojczyzna.

Zadawała

ważne pytania: Dlaczego? i dlaczego nie? Kazała jej milczeć.

Nie

usłyszała. Miała w sobie diabła. Zamknij do pudełka. Zrobiła się

jeszcze gorsza.

- I było też dziecko - odpowiedziała Smiley, biorąc w dłonie jej rękę. Miała z nim dziecko, pamiętasz? - Dłonie Connie były pomiędzy nimi, pomiędzy ich twarzami. - Badała te sprawy,

prawda, Con? Któregoś piętnastego roku dałem ci wolną rękę.

Rozpracuj to, Con - powiedziałem. Bez względu na to, dokąd

zajdziesz. Pamiętasz?

Pod wpływem słów gorzej zachęty Smileya opowieść Connie

nabrała żaru ostatniej miłości. Mówiła szybko, wylewając potoki

śmierci. Cofała się po własnych celach, kręciła po wszystkich

zakamarkach swej pamięci.

- Karla mia³ t^ê bab^ê... tak, kochanie, to ta historia, s³yszysz mnie?

- Tak, Connie, s³ysz^ê, mów dalej.

- Wi^êc s³uchaj. Wychowa³ j¹, uczyni³ j¹ swoj¹ kochank¹, by³ te³ bachor i k³ótnie dotyczy³y bachora. George, kochanie, kochasz

mnie jak dawniej?

- Och, dokończ, Con, oczywiście, ³e tak.

- Oskar³y³ j¹ o to, ³e wypaczy³a dusz^ê dziecka niebezpiecznymi poj^êciami, jak na przyk³ad wolno^œ_æ. Albo mi³o^œ_æ.

To by³a dziewczynka, wierne odbicie swej matki, podobno niezwyk³a

pi^êkno^œ_æ. W ko^ñcu mi³o^œ_æ starego tyrana zmieni³a si^ê w nienawio^œ_æ,

kaza³ wi^êc swój idea³ zabra^æ i u^œpi^æ, i tyle. Wpierw us³yszeli^œ_{my}

o tym od Vladimira, potem jeszcze kilka plotek, ale nigdy nic pewnego.

Nazwisko nieznane, kochanie, poniewa³ Karla nakaza³

zniszczyæ wszystkie dokumenty i zamordowa³ ka¿dego, kto móg³by

coœ na ten temat s³yszeæ, takie ma obyczaje, niech go Bóg b³ogos³awi. Prawda, kochanie, on zawsze by³ taki? Inni powiadali,

¿e wcale jej nie zabito, ¿e historia jej morderstwa od pocz¹tku do koñca s³u¿y³a dezinformacji. Tak, a wiêc uda³o siê, stara wariatka pamiêta.

- A dziecko? - zapyta³ Smiley. - Dziecko, bêd¹ce wiernym obrazem swej matki? By³ jakieœ raport uciekiniera, o co tam chodzi³o? - Connie nie zrobi³a ¿adnej pauzy. To te¿ pamiêta³a, jej umys³ wyprzedza³ j¹ tak samo, jak jej g³os wyprzedza³ jej oddech.

- Pewien belfer z Uniwersytetu Leningradzkiego - powiedzia³a

Connie. -Twierdzi³, ¿e kazano mu przyj¹æ jak¹œ pomylon¹ dziewczynê na specjalne kursy polityczne, udzielane wieczorami.

By³a kimœ w rodzaju prywatnego pacjenta, wykazuj¹cego sk³onnoœci

antyspo³eczne, córka jakiejœ wysoko postawionej osobistoœci.

Tatiana, zna³ j¹ tylko jako Tatianê.

Rozrabia³a po ca³ym mieœcie jak jasna cholera, ale jej ojciec by³ du¿ym wa¿niakiem w Moskwie i nie wolno by³o jej tkn¹æ.

Dziewczyna usi³owa³a go uwieœæ, co pewnie jej siê uda³o, a potem

opowiedzia³a mu, jak to tatuce kaza³ zabiaæ mamusiê za to, ¿e nie

wykazywa³a odpowiednio silnej wiary w proces historyczny.

Nastêpnego dnia zatelefonowa³ do niego jego profesor, mówi¹c, ¿e jeœli kiedykolwiek powtórzy choæ jedno s³owo, które

pad³o podczas spotkania, to mo¿e siê pocelizn¹æ na bardzo du¿ej

skórce od banana...

Connie pêdzi³a dalej, przedstawiaj¹c wiod¹ce do nik¹d tropy i Ÿród³a informacji, znikaj¹ce ju¿ w momencie ich odkrycia.

Zdawa³o siê niemal niemo¿liwe, aby jej zniszczone i przesi¹kniête

alkoholem cia³o mog³o raz jeszcze zebraæ tyle si³.

- Och, George, kochanie, zabierz mnie ze sob¹. Ju^z wiem, o co ci chodzi. Wiem, kto zabi³ Vladimira i dlaczego. Ujrza³am to w

twojej szkaradnej twarzy, kiedy tylko przyszed³eæ. Nie by³am

pewna, co to jest, ale teraz ju^z wiem. Masz w oczach Karlê, Vladi

otworzy³ ðy³e na nowo, wiêc Karla kaza³ go zabiaæ. To twój sztandar, George. Widzê, jak maszerujesz.

Zabierz mnie ze sob¹, George, na litoææ bosk¹. Zostawiê Hils, wszystko zostawiê, ani kropli go³dy wiêcej, przysiêgam. Zabierz mnie do Londynu, a znajdê ci tê babê, nawet je^zeli nie istnieje, nawet gdybym mia³a zdechn¹æ.

- Dlaczego Vladimir nazwa³ go Piaskowym Dziadkiem? - zapyta³

Smiley, choæ odpowied³ ju^z zna³.

- ¯artowa³ sobie. Niemiecka baceñ, któr¹ Vladi us³ysza³ w Estonii, od któregoæ ze swoich szwabskich przodków. Karla to nasz

Piaskowy Dziadek.

Każdy, kto zanadto zbliży się do niego, zapada w sen. Nigdy
nie mieliśmy pewności, kochanie, no bo skąd? Ktoś spotkał
na

łubiance mężczyznę, który znał kobietę, która znała ją. Ktoś
inny

poznał kogoś, kto pomagał ją pochować. Ta baba była
cewicznymi

Karli, George. I zdradził go. Mówiliśmy, że ty i Karla
byliście

jak dwa bliźniacze, zaprzyjają nione miasta, jak dwie powłoki
tego

samego jabłka. George, kochanie, nie. Proszę.

Urwała i zdała sobie sprawę, że spogląda na niego z
przeżenieniem i że jej twarz zakryta jest jakby jego twarzą;
Smiley stał, przypatrując się jej z góry. Oparta o cecianę Hilary
krzyczała: "Przestańcie, przestańcie".

Stał nad nią, wzburzony nieuczciwym i
niesprawiedliwym

porównaniem, wiedział bowiem, że nie stosował metod Karli i
że

jego absolutyzm był mu obcy.

Usłyszała, jak mówi: "Nie, Connie" i zorientowała się, że uniósł sztywno skierowane ku ziemi dłoń na wysokości piersi, jak gdyby wpychał coś w podłogę.

Zorientowała się też, że przeraziła ją swą pasją; nigdy dotąd nie okazała wobec niej takiego zdecydowania ani takiego uczucia.

- Starzej się - mruknęła, posyłając mu jagnięcy uśmiech.

Odrzuciła się i wtedy zwiotczało także ciało Connie i zniknęło jej sen. Ręce, które ścisnęły go jeszcze sekundę wcześniej, spoczywały teraz na jej dłoni jak ciało w okopach.

- Wszystko to bujdy - powiedziała ponuro Connie. Ogarnęło ją

głębokie i ostateczne przygnębienie. - Znużeni emigranci, lejcy

ży do wódki.

Daj sobie spokój, George. Karła pokonała cię na wszystkich frontach. Wykiwa cię, okpił twój czas. Nasz czas. - Pięta, nie dbaj już o to, co mówi.

Głowa opadła jej znów na piersi i Smiley przez chwilę

myœla³, ¿e Connie naprawdê zasnê³a. - Wykiwa³ ciebie,
wykiwa³

mnie, a kiedy zacz¹³eœ siê czegoe domyœlaæ, Krwawy Bill
Haydon na

jego polecenie wykiwa³ Annê i straci³eœ trop. - Unios³a z
trudem

g³owê, ¿eby popatrzeæ na niego po raz ostatni. - JedŸ do
domu,

George. Karla nie zwróci ci przesz³oœci. B¹dŸ taki, jak stara
wariatka. Za³atw sobie okruszek mi³oœci i czekaj na
Armagedon.

Znów zaczê³a rozpaczliwie kaszleæ, jej cia³em jeden po
drugim szarpa³y suche wstrz¹sy.

Deszcz usta³. Smiley wyjrza³ przez okno i ujrza³ na klatkach
ksiê¿ycowe promienie, dotykaj¹ce pokrytych szronem
drutów;

zobaczy³ oszronione korony jode³, wspinaj¹cych siê na wzgórze
ku

czarnemu niebu; zobaczy³ œwiat na opak, jasne przedmioty
okry³y

siê cieniem, a przedmioty ciemne odcina³y siê od bia³ej ziemi

niczym świetlne boje. Zobaczy³ nieoczekiwanie księżyc,
który

wysun¹³ się przed chmury, zapraszaj^{1c} go w kipi^{1ce}
przecewity.

Zobaczy³ biegn^{1c1} alejk¹ postać w kaloszach i chustce i
zrozumia³, że to Hilary; pewnie nie zauważy³, jak wymknę^{3a} się
z

domu. Pamięta³, że s³ysza³ trzaenięcie drzwi. Wróci³ do Connie
i

usiad³ przy niej na kanapie. Connie ³ka^{3a} i mówi^{3a} coś
chaotycznie o mi³oeci.

- Mi³oeci to si^{3a} pozytywna - powiedzia^{3a} niejasno - zapytaj
Hils. Ale Hilary nie by^{3o} w pobliżu. - Mi³oeci to rzucony w
wodę

kamień i jeżeli by^{3oby} dosyć kamieni, a wszyscy
kochalibyemy

razem, to kręgi na wodzie sta^{3yby} się w końcu tak potężne, że
przekroczy^{3yby} morze, zalewaj^{1c} wszystkich nienawistników
i

cyników - nawet straszliwego Karlę, kochanie - zapewnia^{3a}
go

Connie. - Tak powiada Hils. Bujdy, co? To bujdy, Hils! -
krzyknę³a.

Potem Connie znów zamknę³a oczy i s¹dz¹c po jej
oddechu,

zapad³a w drzemkê. A mo¿e tylko udawa³a, ¿eby unikn¹æ
bólu

po¿egnania. Na paluszkach wyszed³ na spotkanie mroŹnego
wieczoru.

Samochód jakimœ cudem zapali³; jecha³ pod górê alejk¹,
rozgl¹daj¹c siê za Hilary. Ujrza³ j¹ w œwiat³ach za zakrêtem.

Kuli³a siê pomiêdzy drzewami czekaj¹c, a¿ Smiley odjedzie,
nim

ona powróci do Connie. Unios³a d³onie ku twarzy.
Smileyowi

zdawa³o siê, ¿e widzi krew; mo¿e pokaleczy³a siê
paznokciami.

Min¹³ j¹ i obserwowa³ w lusterku, jak spogl¹da w œlad za nim
w

blasku tylnych œwiata³; przez chwilê przypomina³a mu
owe

zab³ocone zjawy, bêd¹ce zawsze prawdziwymi ofiarami
konfliktów:

wy³aniaj¹ce siê na chwiejnych nogach z wojennych
dymów,
z maltretowane, zag³odzone i pozbawione wszystkiego, co
posiada³y
i kocha³y. Zwleka³, dopóki nie zaczê³a schodziæ ze wzgórza
w
stronê œwiate³ ich daczy.

Na Heathrow kupi³ sobie na jutro rano bilet lotniczy, a
potem wyci¹gn¹³ siê na hotelowym ³ó¿ku, byæ mo¿e w tym
samym
pokoju, chocia¿ œciany nie by³y tu kraciaste. Hotel nie spa³
przez ca³¹ noc, a Smiley wraz z nim. S³ysza³ szczêk rur
kanalizacyjnych, dzwonki telefonów i g³uche postêkiwania
kochanków, którzy nie chcieli albo nie mogli zasn¹æ.

Maks, wys³uchaj nas raz jeszcze, powtarza³ sobie; to sam
Piaskowy Dziadek pos³a³ Kirowa pomiêdzy emigrantów,
¿eby mu
znalaz³ legendê.

* * *

Smiley przylecia³ do Hamburga wczesnym przedpo³udniem i specjalnym autobusem pojecha³ z lotniska do centrum. W powietrzu wisia³a mg³a; by³o bardzo zimno. Pomimo wielu pocz¹tkowych niepowodzeñ znalaz³ nareszcie na placu Stacyjnym stary, lichy hotel z wind¹ przystosowan¹ do przewozu trzech osób jednorazowo. Zameldowa³ siê jako Standfast, potem poszed³ piechot¹ do biura wynajmu samochodów, wypo³yczy³ ma³ego opla i zaparkowa³ go w jakimœ podziemnym gara³u, w którym ³agodnie s¹czy³ siê z g³ocœników Beethoven. Samochód stanowi³ jego awaryjne wyjœcie. Nie wiedzia³, czy go bêdzie potrzebow³, ale wiedzia³, Ÿe powinien go mieæ.

Poszed³ w stronê jeziora Alster, odczuwaj¹c wszystko z

niebыва³¹ остроѳци¹: szalony ruch, sklepy z zabawkami dla dzieci

миллионерѳв. Згиле³к miasta uderzy³ go jak burza i spowodowa³,
ѳe

nie zwaѳa³ na zimno. Niemcy by³y jego drug¹ natur¹, drug¹
dusz¹.

W m³odoѳci literatura niemiecka stanowi³a jego pasjê i
g³ѳwn¹

dziedziniê badañ. Mѳg³ jak w mundur przebraê siê w niemiecki
jêzyk

i ѳemia³o siê nim pos³ugiwaæ. A jednak z kaѳdym krokiem
wyczuwa³

niebezpieczeñstwo, poniewaѳ jako m³odzieniec spêdzi³ tu pѳ³
wojny

w samotnym przeraѳeniu szpiega i ѳwiadomoѳæ
obecnoѳci na

terytorium wroga zakorzeni³a siê na dobre w jego duszy. W
dzieciñstwie pozna³ Hamburg jako wdziêczne i bogate
miasto

portowe, ukrywaj¹ce sw¹ swawoln¹ naturê za mask¹
angielskoѳci; w

dojrzałym życiu widział je wtrcone w średniowieczne mroki
na

skutek nalotów tysięcy bombowców. W pierwszych latach
pokoju

widział nie kończące się pogorzelisko po bombardowaniach
i

pozostałych przy życiu ludzi, orzniętych gruz jak pole. I widział

Hamburg teraz, pędzący ku anonimowości muzycznych
nagrań,

betonowych drapaczy chmur i dymnego szkła.

Dotarłszy do Alsteru, poszedł z adnikiem na molo, z
którego Villem wsiadał na statek. Zapamiętał, że w dni
powszednie

pierwszy prom odpływa o siódmej zero jeden, ostatni o
drugiej

piętnaście, a Villem był tu w dzień powszedni.

Następny

parowiec odchodzi za piętnaście minut.

Czekając na niego, Smiley obserwował wioślarzy i rude
wiewiórki, tak jak Villem, a kiedy przypłynął parowiec, tak jak

Villem usiad³ na rufie, na œwie¿ym powietrzu pod baldachimem.

Towarzysz¹cy mu wspó³pasa¿erowie sk³adali siê z t³umu dziatwy szkolnej i trzech sióstr zakonnych.

Siedzia³, niemal ca³kiem zamkn¹wszy oczy pod wp³ywem

oœlepiaj¹cego œwiat³a, i przys³uchiwa³ siê ich paplaninie. Po przebyciu po³owy drogi Smiley wsta³, przeszed³ wzd³u¿ kabin ku

szybie dziobowej, wyrza³ przez ni¹, najwyraŹniej chc¹c potwierdziæ swoje przypuszczenia, spojrze³ na zegarek i powróci³

na miejsce, pozostaj¹c tam a¿ do przybycia do Jungfernstieg, gdzie zszed³ na l¹d.

Opowieœæ Villema mia³a rêce i nogi. Smiley nie spodziewa³

siê, ¿eby mia³o byæ inaczej, ale w œwiecie odwiecznego zw¹tpienia

rozs¹dnie by³o upewniaæ siê o wszystkim.

Zjad³ lunch, a potem uda³ siê na Poczte G³ówn¹, gdzie

przestudiowa³ stare ksi¹¿ki telefoniczne, podobnie jak czyni³a to Ostrakowa w Pary¿u, choœ z zupe³nie innych przyczyn.

Ukoñczywszy

poszukiwania, usadowi³ siê wygodnie w holu hotelu "Cztery Pory

Roku" i czyta³ gazety a¿ do zapadniêcia zmroku.

W hamburskim przewodniku po miejscowych domach rozkoszy

"B³êkitny Diament" nie by³ wymieniony pod has³em klub nocny, lecz

pod has³em amour, gdzie opatrzone go trzema gwiazdkami ze wzglêdu

na ekskluzywnoœæ i wysokie ceny. "B³êkitny Diament" mieœci³ siê w

St. Pauli, po³o¿ony by³ jednak z dala od zgie³ku centrum w pochy³ej, ciemnej, brukowanej alejce, cuchn¹cej rybami.

Smiley

zadzwo³ i zwolni³a siê elektryczna blokada, otwieraj¹c drzwi.

Wszed³ i znalaz³ siê w schludnym przedpokoju, pe³nym jakiejœ

szarej maszynarii, obs³ugiwanej przez eleganckiego m³odzieñca w

szarym garniturze. Na łecianach powoli obraca³y siê szare kr¹¿ki

tacemy magnetofonowej, choæ muzyka, któr¹ odtwarzali,

rozbrzmiewa³a g³ównie gdzie indziej. Na biurku migota³ i tyka³

skomplikowany system telefonów.

- Chcia³bym spêdziaæ u was trochê czasu - powiedzia³ Smiley.

To tutaj odebrali mój telefon, kiedy dzwoni³em do hamburskiego korespondenta Vladimira, pomysla³ Smiley.

M³ody elegant wyci¹gn¹³ z biurka drukowany formularz i konfidencjonalnym szeptem objaeni³ mu obowi¹zuj^{1c}¹ procedurê

niczym prawnik, którym zreszt¹ zapewne rzeczywiêcie by³ za dnia.

Cz³onkostwo kosztuje sto siedemdziesi^{1t} piêæ marek, powiedzia³

spokojnie. By³a to dwunastomiesiêczna subskrypcja, uprawniaj^{1ca}

Smileya do darmowego korzystania z klubu przez ca³y rok tyle

razy, na ile mia³ ochotê. Pierwszy drink bêdzie go kosztowa³ dodatkowe dwadzieœcia piêæ marek, ale dalej ceny, chocia¿

wysokie, nie by³y nieprzystêpne. Pierwszy drink jest obowi¹zkowy,

a op³atê zañ, podobnie jak op³atê za cz³onkostwo, nale¿y wnieœæ

jeszcze przed wejœciem. Za pozosta³e przyjemnoœci nie pobiera siê

op³aty, choæ dziewczêta chêtne przyjmuj¹ drobne podarunki.

Formularz mo¿na wype³niaæ na dowolne nazwisko. M³ody cz³owiek

osobiœcie wci¹gnieje do akt. Wszystko, co bêdzie musia³ zrobiaæ

nastêpnym razem, to zapamiêtaæ nazwisko, pod którym wst¹pi³ do

klubu, a wówczas zostanie wpuszczony bez ¿adnych formalnoœci.

Smiley wyci¹gn¹³ pieni¹dze i do tuzinów fa³szywych nazwisk,

których używa³ w życiu, doda³ jeszcze jedno. Zszed³ po schodach w

stronê drugich drzwi, które równie³ otworzy³y siê elektronicznie,

ods³aniaj¹c w¹ski korytarz, prowadz¹cy do szeregu pustych jeszcze

kabin, poniewa³ w tym œwiatku noc siê dopiero zaczê³a. W koñcu

korytarza znajdowa³y siê trzecie drzwi, za którymi otoczy³a

Smiley³ ca³kowita ciemnoœæ, wype³niona graj¹c¹ na ca³y regulator

muzyk¹ z magnetofonów eleganckiego m³odzieñca. Przemówi³ do niego

mêski g³os, dyskretna lampka zaprowadzi³a go do stolika.

Otrzyma³ listê drinków. "W³aœciciel C. Kretzschmar", przeczyta³ napis wydrukowany ma³yymi literami u do³u strony.

Zamówi³ whisky.

- Chcê zostaæ sam. Ąadnego towarzystwa.

- Powiadomiê obs³ugê, proszê pana - z poufa³1 godnoœci¹

odpowiedzia³ kelner, przyjmuj¹c napiwek.

- Herr Kretzschmar. Czy on przypadkiem nie jest z Saksonii?

- Tak, proszę pana.

"Gorzej niż energowiec - powiedzia³ Toby Esterhase. -
Saksończyk.

Razem kradli, zajmowali się sutenerstwem, fa³szowali
raporty.

Tworzyli ma³eństwo doskona³e".

Popija³ whisky czekaj¹c, a¿ oczy przyzwyczaj¹ się do
œwiat³a. S¹cz¹cy się sk¹dœ niebieski blask upiornie wydobywa³
z

mroku ko³nierzyki i mankiety.

Smiley zobaczy³ bia³e twarze i bia³e cia³a. Pomieszczenie
mia³o dwa poziomy.

Ni¿szy, gdzie siedzia³ Smiley, zastawiony by³ stolikami i
fotelami. Wy¿szy sk³ada³ się z szeœciu chambres
comperes,

wygl¹daj¹cych jak teatralne lo¿e, wype³nione pojedynczo
niebieskim blaskiem. To w którejœ z tych kabin ów kwartet
œwiadomie lub nieœwiadomie pozowa³ do fotografii,
zdecydowa³

Smiley. Przypomnia³ sobie k¹t, pod którym wykonano zdjęcie.

Zrobiono je z góry -ze znacznej wysokości. Ale znaczna wysokość

oznacza³a czerń górnych partii ścian, której nie by³o w stanie przenikn¹æ żadne oko, nawet oko Smileya.

Muzyka umilk³a i przez te same g³ościeniki zapowiedziano występy kabaretowe. Jak powiedzia³ comperes, przedstawienie

nosi³o tytu³ Dawny Berlin i także g³os konferansjera w istocie brzmi³ staroberlińsko: by³ zawadiacki, nosowy i przekonuj¹cy.

Elegancki m³odzieniec zmieni³ taśmę, pomyśla³ Smiley.

Kurtyna rozsunię³a się, ukazuj¹c w g³ębi niewielk¹ scenę. W bij¹cym z niej świetle Smiley ponownie szybko zerkn¹³ ku górze i

tym razem spostrzeg³ to, czego szuka³: ma³e okienko obserwacyjne

z dymnego szk³a, osadzone bardzo wysoko w ścianie.

Fotograf musia³ stosować specjalne aparaty, pomyśla³

mgliœcie; mówiono mu, Ÿe w dzisiejszych czasach ciemnoœæ
nie

stanowi juŸ przeszkody.

Powiniennem by³ zapytaæ Tobyego, on zna te zabawki na
pamiêæ.

Na scenie rozpoczê³o siê mi³osne przedstawienie,
mechaniczne,

bezelowe, przygnêbiaj¹ce.

Smiley zacz¹³ siê przygl¹daæ innym cz³onkom klubu,
rozproszonym po pokoju. Dziewczêta by³y piêkne, nagie i
m³ode,

podobnie jak tamte dziewczyny z fotografii.

Te, które mia³y partnerów, tuli³y siê do nich, najwyraŸniej
zachwycone ich brzydot¹ i staroœci¹.

Te, które by³y same, siedzia³y w milcz¹cej grupce jak
amerykañscy futboliœci, oczekuj¹cy na wejœcie na boisko.

Ha³as z

g³ocœników sta³ siê bardzo g³ocœny; mieszanka muzyki i
histerycznej

narracji. A w Berlinie graj¹ pewnie Dawny Hamburg,
pomyœla³

Smiley. Para na scenie zdwoi³a wysi³ki, ale z mizernym skutkiem.

Zastanawia³ siê, czy rozpozna³by dziewczyny z fotografii, gdyby przypadkiem gdzieœ siê tu pojawi³y. Doszed³ do wniosku, że

nie. Zas³oniêto kurtynê.

Smiley z ulg¹ zamówi³ kolejn¹ whisky.

- Czy Herr Kretschmar jest dzie³ w klubie? - zapyta³ kelnera.

Herr Kretschmar jest bardzo zajê³ym cz³owikiem, wyjaœni³

kelner.

Herr Kretschmar zmuszony jest dzieliæ swój czas pomiêdzy

kilka zak³adów.

- Niech pan bêdzie tak dobry i powiadomi mnie, jeœli przyjedzie.

- Bêdzie tu punktualnie o jedenastej, proszê pana.

Przy barze zaczê³y tańczyæ nagie pary. Wytrzyma³ jeszcze pó³

godziny, zanim powróci³ do biura przy wejściu, przechodz¹c obok

czêściowo zajętych już kabin. Elegancki m³odzieniec zapyta³, kogo

mam zapowiedzieæ.

- Niech pan powie, ¿e chodzi o specjalne ¿yczenie - poprosi³ Smiley.

Elegancki m³odzieniec nacisn¹³ guzik i mówi³ niezwykle cicho, jak przedtem do Smileya.

Biuro na górze by³o czyste jak gabinet chirurgiczny - sta³o w nim wypolerowane, plastikowe biurko i mnóstwo rozmaitych

urz¹dzeñ, o wiele wiêcej ni¿ na dole. Telewizja wewnêtrzna przekazywa³a transmisjê scen z ni¿szego poziomu.

Okienko

obserwacyjne, które wczêtniej zauwa¿y³ Smiley, umieszczone by³o

bezpoœrednio nad separees. Herr Kretzschmar by³ kimœ, kogo Niemcy

nazywaj¹ powa¿n¹ osobistoœci¹. Krêpej budowy cia³a, mia³ oko³o

pięćdziesiątki, ubrany schludnie w ciemny garnitur i białe krawaty.

Jak na dobrego Saksończyka przystało, był blondynem o włosach koloru szarego, a jego dobrotliwa twarz nie była ani serdeczna, ani odpychająca. Raźno uśmiechnął się Smileyowi

gestem wskazał mu krzesło. Sprawiał wrażenie osoby przywykłej do

wypełniania specjalnych życzeń.

- Proszę - powiedział Herr Kretschmar i na tym zakończył

swój wstępny negocjacje.

Nie był do przodu, jedynie do przodu.

- O ile wiem, był pan kiedyś wspólnikiem jednego z moich

znajomych, nazwiskiem Otto Leipzig - powiedział Smiley, swoim

zdaniem nieco za późno. - Tak się składa, że jestem właśnie w

Hamburгу i chciałbym zapytać, czy nie mógłby mi pan powiedzieć,

gdzie on teraz jest. Nie mog³em nigdzie znaleŹæ jego adresu.

Kawa Herr Kretzschmara sta³a w srebrnym imbryku z r¹czk¹

owiniê¹t¹ papierow¹ serwetk¹, Źeby nie poparzyæ palców.

Kretzschmar napi³ siê i uwaŹnie odstawi³ filiŹankê, chc¹c unikn¹æ

stukniêcia.

- Kim pan jest, proszê? - zapyta³ Herr Kretzschmar.

Saksoñski, nosowy akcent nadawa³ jego g³osowi matowe brzmienie.

Drobna zmarszczka na czole wzмага³a jeszcze roztaczaj¹c¹ siê

wokó³ niego aurê szacunku i powaŹania.

- Otto zwa³ mnie Maks - powiedzia³ Smiley.

Herr Kretzschmar nie zareagowa³ na tê wiadomoœæ, ale nie

spieszy³ siê z zadaniem kolejnego pytania. Jego wzrok, jak

zauwaŹy³ Smiley, by³ dziwnie niewinny. Otto w Źyciu nie mia³

Źadnego domu, powiedzia³ Toby. Ale w nag³ych wypadkach

Kretschmar gra³ klucznika.- A jaki interes ma pan do Herr Leipziga, jeżeli wolno spytaæ?

- Reprezentujê pewne du¿e przedsiêbiorstwo - powiedzia³ Smiley. -Oprócz innych rzeczy prowadzimy w³asn¹ agencjê literack¹

i fotograficzn¹ dla pracuj¹cych na w³asn¹ rêkê reporterów.

- Tak?

- W odleg³ej przesz³oœci moje macierzyste przedsiêbiorstwo

mia³o przyjemnoœæ przyjmowaæ od czasu do czasu ró¿ne materia³y od

Herr Leipziga przez poœredników. Potem przekazywalicemy je naszym

klientom do obróbki i syndykalnej produkcji.

- Tak? - powtórzy³ Herr Kretschmar. Uniós³ nieco g³owê, ale

wyraz jego twarzy nie uleg³ ¿adnej zmianie.

- Ostatnio stosunki handlowe ³cz¹ce moje macierzyste przedsiêbiorstwo i Herr Leipziga zosta³y przywrócone. - Smiley

przerwa³ beztrasko. -Najpierw telefonicznie - powiedzia³, ale

Herr Kretschmar mógł o telefonie nic nie wiedzieć. - Więc
znow

przysła nam przez pośredników próbki swojej pracy, które
z

przyjemności wykorzystał. Przyjechał omówić
warunki i

przedstawiać nowe zamówienia. Oczywiście pod warunkiem,
że Herr

Leipzig będzie je w stanie wykonać.

- A przepraszam, Herr Maks, jakiego rodzaju były te prace,
które przysłał wam Herr Leipzig?

- Był to negatyw fotografii o treści erotycznej. Moja firma
zawsze miała negatywów. Herr Leipzig oczywiście o tym
wiedział. -

Smiley ostro i gestem wskazał coś po drugiej stronie
pokoju. -

Jestem skłonny przypuszczać, że zdjęcie wykonane zostało z
tego

okna. Natomiast niezwykłość fotografii polega na tym, że
Herr

Leipzig pozował do niej osobiście. A zatem można by
mniemać, że

aparatus obs³ugiwa³ jego wspólnik lub przyjaciel.

Spojrzenie niebieskich oczu Herr Kretzschmara pozosta³o równie bezpoœrednie i niewinne, jak poprzednio. Smileyowi jego

dziwnie beznamiêtna twarz wyda³a siê odwa¿na, choœ sam nie

wiedzia³, dlaczego.

"Zadajesz siê z tak¹ mend¹ jak Leipzig, wiêc musi siê tob¹ opiekowaæ taka menda jak ja", powiedzia³ Toby.

- Jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy - powiedzia³ Smiley.

- Tak?

- Na nieszczêœcie ów d¿entelmen, który pe³ni³ rolê poœrednika, uleg³ powa¿nemu wypadkowi wkrótce potem, gdy

powierzono nam negatyw. W ten sposób przerwana zosta³a nasza

tradycyjna linia komunikacyjna z Herr Leipzigiem.

Herr Kretzschmar nie stara³ siê ukryæ niepokoju. Mówi³ ostrym tonem i zmarszczka prawdziwej troski zachmurzy³a jego

g³adk¹ twarz.

- Jak to wypadkowi? Jakiemu wypadkowi?

- Ćmiertelnemu. Przyjecha³em ostrzec Ottona i porozmawiaæ z nim.

Herr Kretzschmar by³ posiadaczem piêknego, z³otego o³ówka.

Niespiesznym ruchem wyj¹³ go z wewnêtrznej kieszeni, wysun¹³

koñcówkê i wci¹¿ marszcz¹c brwi narysowa³ w le¹cy¹m przed nim

notatniku idealny okr¹g.

Potem doda³ na górze krzy¿, poprowadzi³ przez swoje dzie³o

liniê prost¹, cmokn¹³ z niezadowoleniem, powiedzia³ szkoda, a

potem wyprostowa³ siê i rzuci³ zwiêz³e polecenie w dyktafon:

- Nie przeszkadzaæ. - G³os szarego recepcjonisty potwierdzi³ pomrukiem odbiór instrukcji.

- Powiedzia³ pan, ¿e Herr Leipzig by³ starym wspó³pracownikiem waszego przedsiêbiorstwa? - podj¹³ rozmowê Herr

Kretzschmar.

- Przypuszczam, że podobnie jak pan, dawno temu, Herr

Kretzschmar.

- Proszę to wyjaśnić nieco bliżej - powiedzia³ Herr

Kretzschmar, powoli obracaj¹c o³ówek w d³oniach, jak
gdyby

sprawdza³ jakość z³ota.

- Mówimy przecież o dawnych czasach - powiedzia³ Smiley

Z

niezadowolaniem.

- Rozumiem.

- Kiedy Herr Leipzig uciek³ z Rosji, przyjecha³ najpierw do

Szlezwika - Holsztynu - powiedzia³ Smiley. - Organizacja,
która

dopomog³a mu w ucieczce, mia³a sw¹ siedzibę w Paryżu, ale on
jako

Ba³t wola³ zamieszkać w północnych Niemczech. Kraj
znajdowa³ się

nadal pod okupacj¹ i by³o mu trudno zarobić na życie.

- Wszystkim by³o trudno - poprawi³ Herr Kretzschmar. -

Wszystkim by³o trudno zarabiać na życie. To by³y niesamowicie

trudne czasy.

Dzisiejsza m³odzież nie ma o tym pojęcia.

- Ąadnego - zgodzi³ się Smiley. - A by³y to szczególnie ciężkie czasy dla uchodźców. Obojętne, czy pochodzili z Estonii,

czy z Saksonii, wiedli ciężkie życie.

- Ąwięta prawda. Uchodźcom by³o najtrudniej. Proszę kontynuować.

- W tamtym okresie można by³o znaleźć niez³1 pracę, gromadzić informacje. Wszelkiego rodzaju. Wojskowe, przemysłowe,

ekonomiczne, polityczne. Zwycięskie mocarstwa gotowe by³y p³acią

znaczne sumy za wnikliwe materiały na swój temat. Moje macierzyste przedsiębiorstwo również prowadzi³o podobne interesy,

utrzymuj¹c w tym kraju swojego przedstawiciela, którego zadaniem

było zbieranie odpowiednich materia³ów i przekazywanie ich

następnie do Londynu. Herr Leipzig i jego wspólnik byli naszymi

sporadycznymi klientami. Pracowali jako wolni strzelcy.

Pomimo wieści o śmiertelnym wypadku Genera³a po twarzy Herr

Kretzschmara, niczym powiew wiatru, przemkn¹³ szybki i nieoczekiwany ucemich.

- Wolni strzelcy - powiedzia³, jak gdyby podoba³y mu się te s³owa i jakby wypowiada³ je po raz pierwszy. - Wolni strzelcy

-

powtórzy³. - Tak, bylicemy wolnymi strzelcami.

- Takie zwi¹zki maj¹ zwykle nietrwa³y charakter - ci¹gn¹³ dalej Smiley. - Ale jako Ba³t Herr Leipzig mia³ także inne zainteresowania i przez d³ugi czas korespondowa³ z moj¹ firm¹

przez pośredników z Paryż³a. - Smiley przerwa³ na chwilę. -

G³ównie przez pewnego Genera³a. Kilka lat temu wskutek

nieporozumienia Genera³ by³ zmuszony przenieœæ siê do Londynu,

ale Otto pozostawa³ z nim w kontakcie. Genera³ ze swej strony

nadal grywa³ miêdzy nami rolê poœrednika.

- Dopóki nie uleg³ wypadkowi - wtr¹ci³ Herr Kretzschmar.

- W³acenie - odrzek³ Smiley.

- Czy to by³ wypadek samochodowy? Starszy, nieco nieuwa¿ny

cz³owiek?

- Zosta³ zastrzelony - powiedzia³ Smiley i zobaczy³, ¿e twarz Kretzschmara wykrzywi³ raz jeszcze grymas niezadowolenia. -

To znaczy zamordowany - doda³ Smiley, jak gdyby pragn¹³ go

upewniaê. - Nie by³o to samobójstwo ani wypadek, ani nic w tym

rodzaju.

- Naturalnie - powiedzia³ Herr Kretzschmar i poczêstowa³ Smileya papierosem. Poniewa¿ Smiley odmówi³, zapali³ sam,

zaci¹gn¹³ siê kilkakrotnie i zgasi³ niedopa³ek. Jego blada cera by³a teraz odrobinê bledsza.

- Zna pan Ottona? Widzia³ go pan kiedyœ? - zapyta³ Herr Kretzschmar tonem cz³owieka, rozpoczynaj¹cego beztrosk¹ rozmowê.

- Widzia³em go raz.

- Gdzie?

- Tego nie wolno mi powiedzieæ.

Herr Kretzschmar zmarszczy³ brwi, raczej ze zdziwieniem ni¿ z dezaprobat¹.

- Proszê mi powiedzieæ jedn¹ rzecz. Jakie kroki podejmowa³a

pañska firma - no dobrze, Londyn - kiedy chcieliœcie siê skontaktowaæ bezpoœrednio z Leipzigiem? - zapyta³ Herr

Kretzschmar.

- Mielicemy pewn¹ umowê dotycz¹c¹ "Hamburger Abendblatt".

- A jeœli by³ wam pilnie potrzebny?

- Wtedy by³ jeszcze pan.

- Jest pan z policji? - zapyta³ cicho Kretzschmar. - Ze Scotland Yardu?

- Nie. - Smiley wpatrywa³ siê w Kretzschmara, który odwzajemni³ mu siê przeci¹g³ym spojrzeniem.

- Ma pan coœ dla mnie? - zapyta³ Herr Kretzschmar. Zaskoczony Smiley nie odpowiedzia³ od razu. - Mo¿e list polecaj¹cy? Albo wizytówkê?

- Nie.

- Nic mi pan nie poka¿e? Szkoda.

- Mo¿e lepiej zrozumie¹m pañskie pytanie, kiedy siê z nim zobaczê.

- Ale tê fotografiê chyba pan widzia³? Ma pan j¹ mo¿e przy sobie?

Smiley wyj¹³ portfel i podsun¹³ mu stykow¹ odbitkê.

Trzymaj¹c zdjêcie za brzegi, Herr Kretzschmar przygl¹da³ mu siê

przez chwilê z uwag¹, ale widocznie chcia³ siê tylko w czymœ

upewnia¹, bo odrzuci³ zaraz fotografiê na plastikowy blat. Jakieœ

szósty zmysł podpowiedzia Smileyowi, że Herr Kretzschmar
złoży

za chwilę oświadczenie w sposób właściwy Niemcom,
wypowiadającym

się na tematy filozoficzne, pragnącym dokonać ekspiacji,
chcącym

się podobać albo oczekiwać dla siebie litości. Zaczyna
podejrzewać, że przynajmniej w swoich własnych oczach
Herr

Kretzschmar jest sympatycznym i niewłaściwie
oceniającym

człowiekiem; człowiekiem serdecznym, wręcz dobrym. Jego
pierwotny

chód byłby jakby części subowego ubrania, niechętnie
noszonego

przez Herr Kretzschmara w świecie nie wykazującym
żadnego

rozumienia dla jego wrażliwej natury:

- Pragnę wyjaśnić, że prowadzę przyzwoity zakład -
zauważymy

Herr Kretzschmar, raz jeszcze spojrzawszy na odbitek leżąca
na

jego biurku w oświetle lampy. - Nie mam zwyczaju fotografować

klientów. Inni sprzedają krawaty, ja sprzedaję seks.

Prowadzenie

interesów w uporządkowany i właściwy sposób jest dla mnie rzeczą

ważną. Ale to nie był interes. To była przyjaźń.

Smiley miał doświadczenie, żeby milczeć.

Herr Kretschmar zmarszczył brwi. Jego głos stał się cichszy

i poufny:

- Zna go pan, Herr Maks? Starego Generała? Pozostawia pan z

nim w kontakcie osobistym?

- Tak.

- Jak rozumiem, to nie byłoby kto?

- Rzeczywiście.

- Lew, co?

- Lew.

- Otto wciąż szaleje na jego punkcie. Na imię mam Claus.

Claus, powiada do mnie. Ten Vladimir, ja kocham tego człowieka.

Rozumie pan?

Otto jest bardzo lojalny. A Genera³?

- By³ lojalny - powiedzia³ Smiley.

- Wielu ludzi nie wierzy³o w Ottona. Pańska firma także nie zawsze w niego wierzy³a. Ale to zrozumia³e. Nie czyniê nikomu

wyrzutów. Za to Genera³ wierzy³ w Ottona. Nie we wszystkich

drobiazgach. Ale w waŹnych przypadkach tak. - Herr Kretzschmar

uniós³ ramiê, zacisn¹³ piêœæ i okaza³o siê, że jest doprawdy ogromna. - Kiedy zaczyna³y siê k³opoty, Genera³ wierzy³ w Ottona

bez zastrzeŹeñ. Ja teŹ w niego wierzê. W waŹnych przypadkach.

Ale jestem Niemcem, nie zajmujê siê polityk¹, jestem biznesmenem.

Jeœli o mnie chodzi, to koniec z tymi uchodŹczymi historiami. Rozumie pan?

- Oczywiście.

- Ale nie Otto. Nigdy. Otto to fanatyk. Mogê uŹyæ tego

s³owa.

Fanatyk.

To jedna z przyczyn, dla których nasze drogi siê rozesz³y.

Mimo to Otto pozosta³ moim przyjacielem. Jeœli ktoœ go skrzywdzi,

bêdzie mia³ z Kretzschmarem do czynienia. - Jego twarz okry³a na

chwilê chmura zadumy. - Jest pan pewien, ¿e nic pan dla mnie

ma, Herr Maks?

- Nic oprócz fotografii.

Herr Kretzschmar raz jeszcze niechêtnie przyj¹³ te s³owa do wiadomoœci, ale trochê to trwa³o; by³ niespokojny.

- Starego Genera³a zastrzelono w Anglii? - spyta³ wreszcie.

- Tak.

- Ale mimo to uwa¿a pan, ¿e Otto równie¿ znajduje siê w niebezpieczeñstwie?

- Owszem, ale myœlê, ¿e od pocz¹tku zdaje sobie z tego sprawê.

Ta odpowiedź zadowoliła widocznie Herr Kretzschmara,
bo

dwukrotnie energiczniej skinął głową.

- Ja też tak się dzę. Ja także. Zawsze robi na mnie takie
wrażenie.

Tyle razy mówiłem mu: Otto, powinienem być zostawiony
linoskoczkiem. Moim zdaniem, Otto uważa, że nie warto
przeżywać

choćby jednego dnia, jeżeli przynajmniej z szeregiu różnych
powodów

nie mógłby to być zarazem jego dzień ostatni. Pozwoli pan,
że

poczynię pewne spostrzeżenia, dotyczące mojej znajomości z
Ottem?

- Proszę - rzekł uprzejmie Smiley.

Herr Kretzschmar oparł ręce na plastikowej powierzchni
biurka i usadowił się w wygodnej do spowiedzi pozycji.

- Był taki czas, kiedy Otto i Claus Kretzschmar wszystko
robili razem; koniecem kradli, jak to się mówi. Byłem z
Saksonii,

Otto pochodzi³ ze Wschodu. By³ Ba³tem. Nie Rosjaninem,

podkreœla³, lecz Estoñczykiem. Wiele przeszed³, przestudiowa³

wnêtrza wiêcej ni¿ kilku wiêzieñ, a jakœ podlec zdradzi³ go kiedyœ, jeszcze w Estonii. Zginê³a jakœ dziewczyna i Otto strasznie siê wœciek³ z tego powodu. Mia³ wujka ko³o Kilonii, ale

on okaza³ siê œwini¹.

Wolno mi to powiedzieæ. Nie mieliœmy pieniêdzy, byliœmy

towarzyszami i wspólnie kradliœmy. To by³o wtedy normalne, Herr

Maks.

Smiley przyj¹³ tê pouczaj^{1c1} uwagê do wiadomoœci.

- Zajmowaliœmy siê miêdzy innymi sprzedawaniem informacji.

Mia³ pan s³usznocæ mówi^{1c}, ¿e w tamtych czasach informacja

stanowi³a cenny towar.

Dowiadywalicemy siê na przyk³ad o jakimœ œwie¿o przyby³ym do

kraju uchodŹcy, którego alianci jeszcze nie zd¹¿yli przes³uchaæ.

Albo o radzieckim dezenterze. Albo o kapitanie statku handlowego.

Zdobywalicemy o nim informacje i bralicemy go na spytki. Jeœli

bylicemy sprytni, to udawa³o nam siê sprzedaæ ten sam raport w

różnych wersjach dwóm albo i trzem rozmaitym kupcom.

Amerykanom, Francuzom, Anglikom. Tak, nawet Niemcom,

siedz¹cym ju¿ z powrotem w siodle. Czasami, je¿eli raport by³ niedok³adny, mogliemy mieæ i piêciu kupców. - Zaczemias³ siê

soczyœcie. - Ale tylko wówczas, kiedy by³ niedok³adny, jasne? W

innych przypadkach, gdy bylicemy pozbawieni odpowiednich Źróde³

informacji, fabrykowalicemy materia³y - to prawda. Mielicemy mapy,

bujn¹ wyobraŹniê, dobre kontakty. Proszê mnie Ÿle nie zrozumieæ:

Kretschmar jest wrogiem komunizmu. Mówimy o dawnych czasach, jak

to juŹ pan zauwaŹy³, Herr Maks. Trzeba by³o utrzymaæ siê przy

Źyciu. Otto mia³ pomys³y, Kretschmar wykonywa³ robotê.

Powiedzia³bym, Źe Otto nie mia³ szczególnych zdolnoœci do pracy -

Herr Kretschmar zrobi³ marsow¹ minê. - Ale pod pewnym wzglêdem

by³ szalenie powaŹnym cz³owikiem. Mia³ do sp³acenia d³ug. Czêsto

o tym mówi³. Byæ moŹe by³ to d³ug wobec faceta, który go zdradzi³

i zamordowa³ jego dziewczynê, byæ moŹe wobec ca³ego rodzaju

ludzkiego. Sk¹d móg³bym wiedzieæ? Otto musia³ byæ aktywny.

Aktywny politycznie.

Dlatego wyjeŹdŹa³ wielokrotnie do ParyŹa. Wielokrotnie.

Herr Kretschmar pozwoli³ sobie na krótk¹ chwilê refleksji.

- Bêdê szczery - oznajmi³.

- A ja uszanujê okazane mi zaufanie - powiedzia³ Smiley.

- Wierzê panu. Pan jest Maks. Genera³ by³ pañskim przyjacielem, Otto mówi³ mi o tym. Raz pana spotka³, podziwia³

pana. Doskonale. Bêdê z panem szczery. Wiele lat temu Otto

Leipzig poszed³ za mnie do wiêzienia. Wtedy nie by³em jeszcze

szanowanym obywatelem. Teraz staæ mnie na to, mam pieni¹dze.

Ukradliemy coœ, z³apali go, sk³ama³ i wzi¹³ ca³¹ winê na siebie.

Chcia³em mu zap³aciæ. Powiedzia³: - Po jak¹ cholerê? Jeœli jest siê Otto Leipzigiem, to rok w wiêzieniu jest jak wakacje.

Odwiedza³em go co tydzieñ, przekupi³em strażników, Źeby

dostarczali mu specjalne jedzenie - raz nawet sprowadzili mu kobietê. Gdy wyszed³, znów próbowa³em mu zap³aciæ. Odrzuci³ moj¹

ofertê.

Pewnego dnia poproszê ciê o coœ, powiedzia³. Mo¿e o
twoj¹

¿onê. Bêdziesz j¹ mia³, odrzek³em. - aden problem. Herr
Maks,

przypuszczam, ¿e jest pan Anglikiem. Zdaje pan sobie sprawê
z

tego, w jakim znajdowa³em siê po³o¿eniu.

Smiley powiedzia³, ¿e tak.

- Dwa miesi¹ce temu - zreszt¹ nie wiem, mo¿e wiêcej, mo¿e
mniej - dzwoni stary Genera³. Pilnie poszukuje Ottona. Nie
jutro,

lecz dzieœ. Czasem dzwoni³ w podobnych okolicznoœciach z
Pary¿a,

u¿ywa³ kryptonimów i wszystkich tych bzdur. Stary Genera³
to

tajemniczy cz³owiek.

Otto te¿. Jak dzieci, wie pan, co mam na myœli? Niewa¿ne.

Herr Kretschmar z ulg¹ przesun¹³ sw¹ ogromn¹ d³oni¹ po
twarzy, jak gdyby odgarnia³ z czo³a pajêczynê. - S³uchaj,
powiadam mu. Nie wiem, gdzie jest Otto. Jak ostatnio
s³ysza³em,

znalaz³ siê w powa¿nych tarapatach w zwi¹zku z jakimœ
swoim

interesem. Muszê go odszukaæ, a to trochê potrwa.

Mo¿e do jutra, mo¿e dziesiêæ dni. Wtedy stary mówi:
Przysy³am dla niego list. Niech go pan strze¿e jak swojego
¿ycia.

Nastêpnego dnia przychodzi ekspres dla Kretzschmara,
stempel

londyñski. W œrodku druga koperta. Pilne i œciœle tajne dla
Ottona. Œciœle tajne, jasne? Stary zwariowa³. Niewa¿ne. Zna³
pan

jego charakter pisma, mocny jak na rozkazach wojskowych?

Smiley powiedzia³, ¿e tak.

- Znalaz³em Ottona. Ukrywa³ siê, by³ w k³opotach, bez
pieniêdzy. Mia³ jeden garnitur, ale ubiera³ siê jak gwiazda
filmowa. Da³em mu list starego.

- Pewnie gruby - podpowiedzia³ Smiley, myœl¹c o
siedmiu

stronach papieru do kopiarek. Myœl¹c o czarnej maszynie
Mikhela,

zaparkowanej w bibliotece niczym stary czo³g.

- Oczywiście. Drugi list. Otworzył go przy mnie...

Herr Kretschmar urwał i zmierzył Smileya wzrokiem, a w jego

twarzy nie bez trudu można było wyczytać, że co go powstrzymuje.

- Drugi list - powtórzył. - Wiele stron. Przeczytał go i strasznie się zapalił. Claus, powiada. Pożycz mi trochę pieniędzy. Muszę jechać do Paryża.

Pożyczę mu pieniądze, pięćset marek, żaden problem. Potem

nie widziałem go przez dłuższy czas. Był tu przy paru okazjach,

żeby zatelefonować.

Nie słuchałem. Miesiąc temu przyjechał zobaczyć się ze mną.

- Znowu urwał i Smiley znowu wyczuł, że co nie pozwala mu mówić. -

Jestem szczery -powiedział, jak gdyby chciał na nowo zobowiązać

Smileya do dyskrecji. -Był... powiedziałbym, że był rozentuzjzmowany.

- Chcia³ wykorzystaæ pañski klub nocny - podpowiedzia³
us³u¿nie Smiley.

- Claus, powiada. Zrób, o co ciê proszê, a sp³acisz swój
d³ug wobec mnie.

Nazywa³ to s³odk¹ pu³apk¹. Mia³ przyprowadziæ do klubu
pewnego mê¿czyznê, Ruska, kogoœ, kogo dobrze zna³ i nad
kim

pracowa³ od wielu lat, jak twierdzi³, wyj¹tkow¹ œwiniê. Ten
facet

to obiekt. Obiekt, tak go nazywa³.

Twierdzi³, ¿e to jego ¿yciowa szansa, ¿e na to w³acenie
czeka³.

Najlepsze dziewczyny, najlepszy szampan, najlepszy pokaz.
Na

jeden wieczór, na koszt Kretzschmara. To, jak mówi³,
ostateczny

efekt jego starañ. Szansa wyrównania starych d³ugów, a
tak¿e

zarobienia pieniêdzy. Ktoœ by³ mu coœ winien, mówi³ Otto.
Teraz

odbierze nale¿noœæ. Przymk³, ¿e sprawa nie bêdzie mia³a
¿adnych

nastêpstw. Nie ma problemu, powiedzia³em. Claus, chcia³bym
tak¿e,

¿ebyœ nas sfotografowa³, powiada. Nie ma problemu, mówiê
mu

znowu.

Wiêc przyjecha³. I przywióz³ swój obiekt.

Opowieœæ Herr Kretschmara sta³a siê nagle niezwykle
oszczêdna. Smileyowi uda³o siê w przerwie zadaæ jedno
pytanie,

którego cel wykracza³ daleko poza jego kontekst: - W jakim
jêzyku

rozmawiali?

Herr Kretschmar zawaha³ siê, zmarszczy³ brwi, ale w
koñcu

odpowiedzia³: -Z pocz¹tku obiekt udawa³ Francuza, ale
dziewczêta

nie zna³y zbyt dobrze francuskiego, wiêc mówi³ do nich po
niemiecku. Z Ottonem natomiast rozmawiali po rosyjsku.

Paskudny

by³ ten jego obiekt. Cuchn¹³, poci³ siê i nie by³ d¿entelmenem jeszcze pod kilkoma innymi wzglêdami. Dziewczyny nie chcia³y z

nim zostaæ. Przysz³y do mnie na skargê. Odes³a³em je, ale nadal

szemra³y.

Herr Kretzschmar wydawa³ siê zak³opotany.

- Jeszcze jedno maleñkie pytanie - powiedzia³ Smiley, kiedy tamtego znowu ogarnê³o skrêpowanie.

- Proszê.

- Jak Otto Leipzig móg³ przyrzekaæ, ¿e sprawa nie bêdzie mia³a ¿adnych nastêpstw, skoro najprawdopodobniej zamierza³

szanta¿owaæ tego cz³owieka?

- Obiekt nie by³ ostatecznym celem - powiedzia³ Herr Kretzschmar, zaciskaj¹c usta, ¿eby podkreœliæ intelektualne znaczenie tej uwagi. - By³ jedynie œrodkiem.

- Œrodkiem umo¿liwiaj¹cym dostêp do kogoœ innego?

- Tego Otto nie okreœli³ dok³adnie. Szczebel na drabinie Genera³a, mawia³.

Mnie wystarczy obiekt, Claus. Najpierw obiekt, potem pieniądze.

Ale dla Genera³a ten facet jest tylko szczeblem na drabinie. Tak jak i dla Maksa. Z niewiadomych dla mnie powodów pieniądze

zależą³y od tego, czy Genera³, a może i pan, będziecie usatysfakcjonowani. - Przerwa³ w nadziei, że może Smiley go

oświeci. Ale Smiley nie oświeci³ go. - Nie chcia³em zadawać pytań

ani stawiać warunków - ci¹gn¹³ dalej Herr Kretzschmar, dobieraj¹c

s³owa że znacznie większ¹ surowości¹. - Otto i jego obiekt weszli

tylnym wyjściem i bezzw³ocznie zaprowadzono ich do separee.

Wszystko tak urz¹dzilibyśmy, żeby nie by³o nigdzie widać nazwy

zak³adu. Niedawno zbankrutowa³ pewien klub na naszej ulicy -

powiedzia³ Herr Kretzschmar tonem pozwalaj¹cym mniemać, że nie

by³ tym wydarzeniem szczególnie przygnębiony. - Nazywa³ się

Freudenjacht.

Kupi³em na wyprzedz³ę trochę ich wyposażenia.
Zapa³ki.

Talerze. Roz³o³ylicemy je w separee. - Smiley przypomnia³ sobie

widoczny na fotografii napis ACHT.

- Czy może mi pan powiedzieć, o czym rozmawiali?

- Nie. - Po chwili poda³ inn¹ odpowied³: - Nie znam rosyjskiego. - Wykona³ r^êk¹ przecz¹cy gest. - Po niemiecku rozmawiali o Bogu i o œwiecie.

O wszystkim.

- Rozumiem.

- To wszystko, co wiem.

- A jak zachowywa³ się Otto? - spyta³ Smiley. - Nadal by³ pe³en entuzjazmu?

- Nigdy w ³yciu nie widzia³em go przedtem w takim stanie. Œemia³ się jak szalony, mówi³ trzema j^êzykami naraz, nie by³

pijany, ale nadzwyczaj ożywiony, opiewa³, opowiada³ dowcipy,
sam

nie wiem, co jeszcze. To wszystko - powtórzy³ z
zak³opotaniem

Herr Kretzschmar.

Smiley zerkn¹³ ukradkiem na okienko obserwacyjne i na
szare

pud³a maszynerii. W oecianie naprzeciwko na ma³ym
ekranie

telewizyjnym znowu zobaczy³ zwijaj¹ce siê i rozdzielaj¹ce
bezd³wiêcznie bia³e cia³a.

Wiedzia³, jakie na koniec chce zadaæ pytanie, dostrzega³
jego logikê i przeczuwa³ zapowiadana¹ przezeñ zdobycz. Ale
mimo to

towarzysz¹cy mu przez ca³e Ÿycie instynkt, który przywiód³ go
aŸ

tutaj, teraz nakaza³ mu siê pohamowaæ.

Nic, Ÿaden krótkoterminowy zysk nie by³ w tym momencie
wart

ryzyka zraŸenia Kretzschmara do siebie i zamkniêcia sobie
drogi

do Otto Leipziga.

- I Otto nie poda³ panu żadnej innej charakterystyki obiektu? - zapyta³ Smiley, byle tylko o co³ zapyta^æ; byle pomóc mu zakończy^æ jako³ t^ê rozmow^ê.

- Tamtego wieczora przyszed³ do mnie tylko raz. Tu na gór^ê.

Przeprosi³ swoje towarzystwo i przyszed³ na gór^ê, żeby sprawdzi^æ, czy wszystko idzie tak, jak ustalili³emy. Spojrza³ na

ten ekran i roze³emia³ si^ê. Teraz wci¹gn¹³em go w przepa³æ i nie

ma ju³ odwrotu, powiedzia³. O nic wi^êcej nie pyta³em.

To wszystko, co si^ê tu wtedy wydarzy³o.

Herr Kretzschmar zapisywa³ instrukcje dla Smileya w notatniku oprawnym w skór^ê ze z³oconymi rogami.

- Otto mieszka w niedobrych warunkach - powiedzia³. - Nie da

si^ê tego zmienia^æ. Wsparcie pieni^êżne nie poprawi jego pozycji

spo³ecznej.

Jest wci¹ż - Herr Kretzschmar zawaha³ si^ê - w g³êbi duszy

jest wci¹cyganem. Cyganem, Herr Maks. Proszê mnie Ýle
nie

zrozumieæ.

- Uprzedzi go pan, ¿e przyje¿d¿am?

- Umówilicemy siê, ¿e nie bêdziemy korzystali z telefonu.

Oficjalnie zerwalicemy ze sob¹ wszelkie kontakty. - Herr
Kretschmar poda³ mu kartkê. -Szczerze radzê panu uwa¿aæ
-

powiedzia³. - Otto bêdzie bardzo z³y, kiedy dowie siê o
œmierci

starego Genera³a. - Odprowadzi³ Smileya do drzwi. - Ile od
pana

wziêli tam na dole?

- S³ucham?

- Na dole. Ile od pana wziêli?

- Sto siedemdziesi¹t piêæ marek za cz³onkostwo.

- Razem z drinkami w œrodku to bêdzie co najmniej
dwieœcie.

Ka¿ê je panu zwróciæ przy wyjœciu. Wy, Anglicy, klepiecie
teraz

biedê. Za du¿o macie zwi¹zków zawodowych. Podoba³ siê panu pokaz?

- Bardzo artystyczny - powiedzia³ Smiley.

Herr Kretschmarowi odpowiedÿ Smileya sprawi³a znowu wielk¹

przyjemnoœæ. Poklepa³ go po ramieniu: - Mo¿e powinien pan wiêcej

siê bawiæ w ¿yciu.

- Tak, mo¿e powinienem by³ siê bawiæ - zgodzi³ siê Smiley.

- Niech pan pozdrowi ode mnie Ottona - powiedzia³ Herr Kretschmar.

- Pozdrowiê - obieca³ Smiley.

Herr Kretschmar zawaha³ siê i ponownie ogarnê³o go chwilowe

zdzumienie.

- I nic pan dla mnie nie ma? - powtórzy³. - ³adnych papierów, na przyk³ad?

- Nie.

- Szkoda.

Kiedy wychodzi³, Herr Kretschmar wisia³ ju¿ na telefonie,

zajmuj¹c siê specjalnymi życzeniami innych gości.

Wróci³ do hotelu. Drzwi otworzy³ mu pijany portier nocny,
sypi¹cy propozycjami dotycz¹cymi wspania³ych dziewcz¹t,
które
móg³ przys³aa Smileyowi do pokoju. Jeżeli w ogóle spa³, to
obudzi³o go bicie kościelnych dzwonów i niesiony wiatrem
dźwięk
okrętowych syren w zatoce.

Istniej¹ jednak koszmary, które nie znikaj¹ w świetle dnia,
i kiedy Smiley przez moczary jecha³ na północ wynajętym
opłem
okaza³o siê, że we mgle czatuj¹ nań te same strachy, które
dręczy³y go noc¹.

* * *

Drogi by³y równie puste jak pejzaż. Przez szczeliny we mgle
udawa³o mu siê czasem dostrzec p³at obsianego zbożem pola
albo
czerwon¹ farmê, przykucniê¹ nisko pod wiatr. KAI - g³osi³
jakiœ

niebieski znak.

Skręci³ ostro z autostrady, zjecha³ dwa poziomy niżej i zobaczy³ przed sob¹ nabrzeże, kompleks niskich, szarych baraków,

pomniejszonych przez pok³ady statków handlowych. Wjazdu strzeg³

czzerwono - bia³y s³up z tabliczk¹ urzęd^u celnego i napisami w kilku jêzykach, ale woko³o nie by³o żywego ducha.

Smiley zatrzyma³ samochód, wysiad³ i swobodnie podszed³ do

barierki.

Czerwony guzik by³ wielkoœci spodka. Nacisn¹³ go i jego przeraŹliwy dŹwiêk poderwa³ parê czapli, trzepocz¹cych skrzyd³ami

w bia³ej mgle. Po lewej rêce mia³ wieŹê kontroln¹ na cylindrycznych nogach. Us³ysza³ trzaœeniêcie drzwi, brzêk metalu i

ujrza³ brodat¹ postacæ w niebieskim mundurze, schodz¹c¹ niepewnie

po Źelaznych schodkach. - Czego pan tu szuka?! - zawo³a³

mêłczyzna. Nie czekaj¹c na odpowiedŸ, podniós³ zaporê i machn¹³

na Smileya, żeby jecha³. Tarmakadam wygl¹da³ jak powierzchnia

zabetonowana po bombardowaniu, przygnieciony bia³ym, mglistym

niebem i obstawiony dŸwigami.

W tle widaæ by³o nisko morze, chyba zbyt delikatne na tak¹ liczbê ³adunków.

Zobaczy³ w lusterku wieŸe nadmorskiego miasteczka, odbite

niczym stary drzeworyt na po³owie strony. Na wodzie poprzez mg³ê

zobaczy³ szereg boi i pomruguj¹cych œwiata³, wyznaczaj¹cych

granicê morsk¹ z NRD i pocz¹tek rozci¹gaj¹cego siê na przestrzeni

siedmiu i pó³ tysi¹ca mil imperium sowieckiego. Tam polecia³y

czaple, pomyœla³. Wlók³ siê pomiêdzy czerwono - bia³ymi

pacho³kami ku parkingowi dla kontenerowców, zawałonemu oponami

samochodowymi i drewnianymi kłocami. Przy parkinga kontenerowców

w lewo, powiedzia³ Herr Kretzschmar. Smiley pos³uszenie powoli

skrêci³ w lewo, szukaj¹c starego domu, choæ stary dom na tym

hanzeatyckim œmietniku zdawa³ siê byæ fizyczn¹ niemo¿liwoœci¹.

Ale Herr Kretzschmar powiedzia³: "Niech pan poszuka starego domu

z napisem Biuro", a Herr Kretzschmar siê nie myli³.

Samochód podskoczy³ na torach kolejowych i skierowa³ siê w

stronê statków handlowych. Snopy œwiat³a porannego s³oñca

przerwa³y mg³ê, przydaj¹c blasku pomalowanym na bia³o kad³ubom.

Wjecha³ w alejkê z³o¿on¹ z dŸwigowych kabin kontrolnych,

wygl¹daj¹cych jak nowoczesne budki nastawcze na kolei, z

zielonymi drzewkami i wielkimi oknami. Na końcu alejki,
dokładnie

tak, jak zapewnia Herr Kretzschmar, stał stary blaszany domek
z

blaszanym szczytem, rzeźbionym niby sufitowa sztukateria i
zwieńczonym uszczelnionym masłem flagowym. Wydawało się go

podtrzymywane prowadzące doń przewody elektryczne; obok
widać było

starą, ciekawą pompę wodną z blaszanym kubkiem
przytwierdzonym

do podstawy. Na drewnianych drzwiach wyblakłym gotykiem
wypisano

wedle reguł francuskiej, a nie niemieckiej ortografii, tylko

jedno słowo: Biuro; wyżej widniało nieco nowszy szyld gószący:
P.

K.

BER

GEN, IMPORT - EXPORT. Pracuje tam jako stróż
nocny,
powiedzia³ Herr Kretschmar. I tylko Bóg i Diabe³ wiedz¹, co
robi
za dnia.

Nacisn¹³ dzwonek i cofn¹³ siê na znacz¹ odleg³oœæ od
drzwi,
¿eby go by³o dobrze widaæ. Rêce mia³ te¿ widoczne, trzyma³
je
bowiem z dala od kieszeni. P³aszcz pozapina³ po szyjê. Nie
w³o¿y³
kapelusza. Samochód zaparkowa³ bokiem do domu tak,
¿eby
mieszkańcy widzieli, ¿e w aucie nikogo nie ma. Jestem sam i
jestem nie uzbrojony, próbowa³ powiedzieæ Smiley. Nie jestem
ich
cz³owiekiem, jestem twój. Zadzwoni³ jeszcze raz i krzykn¹³:
Herr
Leipzig! Na górze otworzy³o siê okno i wyjrza³a z niego
³adna
kobieta z zaspanymi oczami i zarzuconym na ramiona kocem.

- Przepraszam - zawo³a³ grzecznie Smiley. - Szukam Herr

Leipziga.

To dosyæ wa¿na sprawa.

- Nie ma - powiedzia³a i ucemiechnê³a siê.

Podszed³ do niej mê¿czyzna. By³ m³ody i nie ogolony, jego ramiona i piersi zdobi³y tatua¿e. Przez chwilê rozmawiali, jak s¹dzi³ Smiley, po polsku.

- Nix hier - potwierdzi³ ostro¿nie mê¿czyzna. Otto nix hier.

- Jesteœmy tylko tymczasowymi lokatorami! - krzyknê³a dziewczyna. - Kiedy Otto bankrutuje, przeprowadza siê do swojej willi na wsi, i wtedy wynajmuje nam mieszkanie.

Powtórzy³a to swojemu mê¿czyŹnie, który tym razem wybuchn¹³ œmiechem.

- Nie ma pieniêdzy - powtórzy³. - Nikt nie ma pieniêdzy.

Radowa³ ich zarówno rzeœki poranek, jak i towarzystwo.

- Kiedy go ostatnio widzieliœcie? - zapyta³ Smiley.

Wznowili konferencjê. Czy tego, czy mo¿e tamtego dnia? Smiley mia³ wra¿enie, ¿e stracili rachubê czasu.

- W czwartek - oznajmi³a dziewczyna, uc¹miechaj¹c si¹e znowu.

- W czwartek - powt³órzy³ m¹e¹czyna.

- Mam dla niego dobr¹ wiadomo¹œæ - wyjac³eni³ weso³ym tonem

Smiley, przystosowuj¹c si¹e do jej nastroju. Poklepa³ si¹e po bocznej kieszeni. - Pieni¹dze. Wszystko dla Ottona. Zarobi³ za zlecenia. Obieca³em przywie¹Ÿæ mu je wczoraj.

Dziewczyna przet³umaczy³a jego s³owa, m¹e¹czyna sprzecza³

si¹e z ni¹ o coœ, a potem dziewczyna zn³ów si¹e roze¹œmia³a.

- Mój przyjaciel mówi, Ÿebyœ mu ich nie dawa³, bo Otto wróci

i ka¹e nam si¹e wyprowadziæ, i wtedy nie b¹dziemy mieli gdzie si¹e

kochaæ.

Spróbuj na obozowisku, podsun¹e³a dziewczyna, wskazuj¹c

kierunek nagim ramieniem. Dwa kilometry g³ówn¹ drog¹, przez tory

kolejowe, potem obok m³yna, potem w prawo - spojrz³a na swoje

r³ce, a p³niej jedn¹ z nich skin³a wdzi³cznie ku partnerowi - tak, w prawo; i prosto w stron³ jeziora, chocia¿ jest niewidoczne, dop³ki si³ do niego nie dojedzie.

- Jak si³ nazywa to miejsce? - spyta³ Smiley.

- Nie ma nazwy - odpar³a dziewczyna. - Po prostu jest.

Spytaj o domki letniskowe do wynaj³cia, a potem jed³ prosto do

³odek. Znajd³ Walthera.

Je¿eli Otto gdzieœ tam jest, Walther b³dzie wiedzia³, gdzie go szuka³.

- Dzi³kuj³.

- Walther wie wszystko! - zawo³a³a. - Jest jak profesor.

To te¿ przet³umaczy³a, ale tym razem jej przyjaciel wydawa³ si³ rozz³oszczony.

- Z³y profesor! - krzykn¹³. - Walther z³y cz³owiek!

- Ty te¿ jesteœ profesorem? - zapyta³a dziewczyna.

- Nie. Nie, niestety nie. - Za³emia³ si³ i podzi³kowa³ im, a

oni patrzyli, jak wsiada do samochodu, niczym dzieci podczas

jakiegoś festynu. Cały ten dzień, rozlane wokół słońce, wizyta

Smiley - wszystko sprawiało im radość.

Opuścił okno, żeby się pożegnać i usłyszał, że dziewczyna

mówi coś, czego nie zrozumiał.

- Co takiego? - zawołał do niej, uśmiechając się ciagle.

- Powiedziłam: No to Otto dla odmiany miał teraz dwukrotnie

szczęście - powtórzyła dziewczyna.

- Dlaczego? - zapytał Smiley i wyłożył silnik. - Dlaczego miał dwukrotnie szczęście?.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Koc zsuwał się z jej ramion,

a nie miał na sobie nic innego. Mężczyzna dla przyzwyczajenia

otoczył ją ramieniem i podciągnął koc.

- W zeszłym tygodniu ta niespodziewana wizyta ze Wschodu -

powiedzia³a - a dzisiaj pieni¹dze. - Roz³o¹y³a r^êce. - Cho^æ raz Otto jest jak urodzony w niedziel^ê. To wszystko.

Zobaczy³a twarz Smiley^a i ^æmiech zamar³ w jej g³osie.

- Mia³ go^æcia? - powt³rzy³ Smiley. - Kto to by³?

- Kto^æ ze Wschodu - powiedzia³a.

Widz¹c jej konsternacj^ê i obawiaj¹c si^ê, ¹e dziewczyna zniknie, Smiley z trudem przywo³a³ z powrotem na twarz pozory dobrego humoru.

- Przypadkiem nie jego brat, co? - zapyta³ weso³o, pe³en entuzjazmu.

Wyci¹gn¹³ r^êk^ê, kurcz¹c d³o^ñ nad g³ow¹ mitycznego brata. - Taki ma³y facet? Okulary jak moje?

- Nie, nie. Wysoki go^ææ. Bogaty. Mia³ szofera.

Smiley pokr^êci³ g³ow¹, udaj¹c niefrasobliwe rozczarowanie. - W takim razie nie znam go - powiedzia³. - Brat Ottona z ca³¹ pewno^æci¹ nie by³ nigdy bogaty. - Uda³o mu si^ê szczerze roze^æmia^æ. - Chyba ¹e to on by³ tym szoferem - doda³.

Jecha³ dok³adnie wedle uzyskanych informacji, ow³adni^êty

sekretnym spokojem sytuacji krytycznej. Pozwoliæ siê st¹d unieœæ.

Nie mieæ w³asnej woli. Pozwoliæ siê st¹d unieœæ, modliæ siê,

uk³adaæ siê ze Stwórc¹. O Bo¿e, nie pozwól, ¿eby to siê sta³o, nie chcê jeszcze jednego Vladimira.

Brunatne pola sta³y siê z³ote w s³oñcu, ale pot na plecach Smileya by³ jak zimna d³oñ, ¿¹dl¹ca ch³odem jego skórê.
Jecha³

dok³adnie wed³ug uzyskanych od dziewczyny informacji i przygl¹da³

siê wszystkiemu, jak gdyby by³ to ostatni dzieñ jego ¿ycia; wiedzia³ bowiem, ¿e du¿y goœæ z szoferem by³ tam ju¿ przed nim.

Zobaczy³ farmê ze starym p³ugiem konnym w stajni, uszkodzony, pomruguj¹cy neon reklamuj¹cy piwo, w oknach skrzynki z pelargoniami jak krew.

Zobaczy³ m³yn jak ogromny m³ynek do pieprzu i pole pe³ne

bia³ych g^êsi, biegn¹cych razem z porywistym wiatrem.
Zobaczy³

czaple sun¹ce jak ζ agle nad bagnami. Jecha³ za szybko.
Powinienem

cz^êcciej prowadziæ, pomyœla³; wyszed³em z wprawy, nie
panuj^ê nad

wozem. Droga z asfaltowej sta³a si^ê ζ wirowa, ze ζ wirowej
piaszczysta, a piach wirowa³ wokó³ samochodu jak podczas
burzy

piaskowej. Wjecha³ pomi^êdy sosny i za nimi zobaczy³
og³oszenie:

DOMKI LETNISKOWE DO WYNAJ^êCIA, dalej rz¹d
rozpadaj¹cych si^ê

bungalowów z azbestu, oczekuj¹cych na letnie malowanie.

Przejecha³ obok i w oddali dostrzeg³ zagajnik masztów, a
poni^zej brunatn¹ wod^ê w basenie. Skierowa³ si^ê wprost na
maszty,

wpad³ w dziur^ê na drodze i spod podwozia samochodu dobieg³
go

straszliwy trzask. Przypuszcza³, ζ e to rura wydechowa, bo
nagle

silnik zacz¹³ pracowaæ bardzo g³oœno, a przyjazd Smileya

wyp³oszy³ po³owê populacji wodnego ptactwa Szlezwiku -
Holsztyna.

Przejecha³ obok farmy i znalaz³ siê w ochronnej ciemnoœci
pod drzewami, a potem wy³oni³ siê w ograniczonym i
przepiêknym

kadrze, obramowanym biel¹, w którym strzaskane molo i
kilka

oliwkowych trzcín stanowi³o pierwszy plan, natomiast t³o
tworzy³o

ogromne niebo. ³odzie mia³ po prawej rêce, tu¿ ko³o zatoczki.

Zniszczone przyczepy campingowe sta³y wzd³u¿ wiod¹cej do
nich

alejki; pomiêdzy antenami telewizyjnymi wisia³o niechlujne
pranie. Min¹³ namiot, stoj¹cy na poletku warzywnym, i kilka
zrujnowanych chatynek, nale¿¹cych niegdyœ do armii. Na
jednej z

nich namalowano psychodeliczny wschód s³oñca, z którego
³uszczy³a

siê farba. Obok sta³y trzy stare samochody i zgarniête na kupê
œmieci. Zaparkowa³ samochód i b³otnist¹ œcie¿k¹ ruszy³
przez

trzciny ku brzegowi. W trawiastej przystani przymocowano wiele

łodzi s³u¿¹cych jako domki, niektóre by³y przystosowanymi do tego

celu ³odziami desantowymi jeszcze z czasów wojny. By³o tu zimniej

i nie wiadomo dlaczego ciemniej. Łodzie, które widzia³, s³u¿y³y

za mieszkanie jedynie w dzieñ. Cumowa³y bez³adnie, w wiêkszoœci

pod brezentowymi p³achtami. Gra³y radia, ale z pocz¹tku Smiley

nikogo nie zauwa¿y³.

Potem spostrzeg³ cichutk¹ zatoczkê i uwi¹zan¹ tam niebiesk¹ dinghy, a w niej sêkatego starca w marynarce z p³ótna ¿aglowego i

czarnej, spiczastej czapce. Mê¿czyzna masowa³ sobie kark, jak

gdyby dopiero siê obudzi³.

- Czy Walther to pan? - zapyta³ Smiley.

Wydawa³o siê, ¿e starzec nadal masuj¹cy sobie kark skin¹³

lekkow¹.

- Szukam Otto Leipziga. Na nabrzeżu powiedziano mi, że
mogę

go tu znaleźć.

Oczy Walthera otoczone pomarszczon¹, br¹zow¹ papierow¹
skór¹

miał³ kształt migdałów³.

- "Isadora" - powiedzia³.

Wskaza³ rozklekotane molo dalej od brzegu. Na jego
krańcu

stała "Isadora", nieszczęsna motorówka o długości dwunastu
metrów

"Grand Hotel" oczekujący na rozbiórkę. Iluminatory
zasłonięte

były firankami, jeden świetlik był rozbity, inny sklejon
taśm¹

samoprzylepn¹. Deski na molo ustępowały niebezpiecznie
pod

krokami Smileya. Raz o mało nie upadł, a dwukrotnie
pokonując

dziury musiał, jak na jego krótkie nogi, stawiać o wiele za

d³ugie kroki. Na koñcu mola zorientowa³ siê, ¿e "Isadora"
swobodnie dryfuje. Cumy na rufie zsunê³y siê i ³ódÿ odp³ynê³a
na

jakieœ trzy metry od brzegu, co by³o zapewne najd³u¿sz¹
podró¿¹,

jak¹ mia³a kiedykolwiek odbyæ. Drzwi kabin by³y zamkniête,
okna

zas³oniête. Łódki ratunkowej nie by³o.

Starzec siedzia³ w dinghy szeœædziesi¹t metrów dalej,
opar³szy siê na wios³ach. Wyp³yn¹³ z zatoczki, ¿eby
wszystko

obserwowaæ. Smiley zwin¹³ d³onie przy ustach i krzykn¹³:

- Jak siê tam dostaa?

- Niech pan go zawo³a, je¿eli chce siê pan z nim spotkaa -
odrzek³ starzec, na pozór w ogóle nie podnosz¹c g³osu.

Smiley zwróci³ siê ku motorówce i krzykn¹³!

- Otto! - Krzycza³ najpierw z cicha, potem nieco g³oœniej,
ale nic nie porusza³o siê na Isadorze. Obserwowa³ zas³ony.
Obserwowa³ t³ust¹ wodê, rozbijaj¹c¹ siê o rdzewiej¹cy kad³ub.

Nas³uchiwa³ i wyda³o mu siê, ¿e s³yszy muzykê podobn¹ do tej
z

klubu Herr Kretzschmara, ale mog³o to byæ po prostu echo z
innej

³odzi. Walther o br¹zowej twarzy nadal obserwow³ go ze
swojej

dinghy.

- Niech pan go zawo³a jeszcze raz - warkn¹³. - Niech pan
wo³a, je_zeli chce siê pan z nim zobaczyæ.

Ale instykt podpowiada³ Smileyowi, _zeby nie s³uchaæ
starego. Wyczuwa³ jego autorytet i pogardê, i nie móg³
œcierpieæ

ani jednego, ani drugiego.

- Jest tutaj czy nie?! - zawo³a³ Smiley. - Pytam, czy on tu
jest?

Starzec nawet nie drgn¹³.

- Widzia³ pan, jak wchodzi na pok³ad? - dopytywa³ siê
Smiley.

Zauwa_zy³, jak br¹zowa g³owa odwraca siê i zrozumia³, _ze
starzec spluwa do wody.

- Ta dzika œwinia przyje_zd_za i odje_zd_za - us³ysza³ Smiley. -
Co to mnie, do cholery, obchodzi?

- Kiedy by³ tu ostatni raz?

Na d³wiêk ich g³osów unios³o siê kilka g³ów na innych
³odziach. Przygl¹da³y siê Smileyowi bez wyrazu: jakicê ma³y
grubas
stoi na końcu rozbitego mola. Na brzegu utworzy³o siê
zbiegowisko: dziewczyna w szortach, stara kobieta, dwóch
jednakowo ubranych nastoletnich m³odzieñców. Pomimo
ca³ej
odmiennoœci coê ich jednak ³¹czy³o, jakicê wiêzienny
wygl¹d;
podporz¹dkowanie temu samemu z³emu prawu.

- Szukam Otto Leipziga! - zawo³a³ do nich Smiley. -
Możecie

mi powiedzieæ, czy tu jest? - Na jednej z mieszkalnych ³odzi
brodaty m^êczyzna spuszcza³ wiadro do wody. Smiley wybra³
go
wzrokiem. - Jest ktoœ na pok³adzie "Isadory"? - zapyta³.

Wiadro zabulgota³o, nape³niaj¹c siê wod¹. Brodacz wyci¹gn¹³
je, ale nie odpowiedzia³.

- Niech pan obejrzy jego samochód! - przera³liwie
krzykn^ê³a

z brzegu jakæ kobieta; a mo¿e by³o to dziecko. - Zabrali go do

lasu.

Las z³o¿ony z m³odych krzewów i brzóz znajdowa³ siê oko³o

stu metrów od brzegu.

- Kto? - zapyta³ Smiley. - Kto go tam zabra³?

Ktokolwiek przemówi³ przed chwil¹, wola³ ju¿ teraz tego nie robiæ.

Starzec wios³owa³ w kierunku mola. Smiley obserwowa³, jak

siê zbli¿a i podp³ywa ruf¹ ku drewnianym schodkom. Bez wahania

wdrapa³ siê na ponton.

Stary kilkoma poci¹gniêciami wios³ skierowa³ dinghy ku burcie "Isadory".

Pomiêdzy jego starymi, spêkanymi wargami tkwi³ papieros,

który podobnie jak oczy mê¿czyzny nienaturalnie œwieci³ w

z³owieszczym mroku ogorza³ej twarzy.

- Z daleka? - zapyta³ stary.

- Jestem jego przyjacielem - odpowiedzia³ Smiley.

Trap "Isadory" pokrywa³a rdza i wodorosty, pok³ad zaœ
by³

œliski od deszczu. Rozgl¹da³ siê w poszukiwaniu jakichœ
oznak

¿ycia, ale niczego nie zauwa¿y³. Bezskutecznie szuka³ w rosie
œladów stóp. Do wody zwisa³o kilka wêdek,
przymocowanych do

zardzewia³ego relingu, ale mog³y tam przecie¿ tkwiæ od
tygodni.

Nastawi³ uszu i znów us³ysza³ bardzo s³abe dŸwiêki
powolnej

muzyki.

Z brzegu? Czy z jakiegoœ bardziej jeszcze oddalonego
miejsca?

Nie. Muzyka dobiega³a spod jego stóp i brzmia³a tak, jak
gdyby ktoœ odtwarza³ p³ytê na siedemdziesi¹t osiem obrotów
z

prêdkoœci¹ trzydziestu trzech obrotów na minutê.

Spojrza³ w dó³ na starca rozpartego w dinghy z czapk¹

naci¹gniê¹ na oczy i dyryguj¹cego z wolna do taktu. Drzwi kabiny

okaza³y siê zamkniête, ale nie wygl¹da³y zbyt potê¹nie - jak wszystko na tej ³odzi - wiêc Smiley rozejrza³ siê po pok³adzie, a¹ znalaz³ zardzewia³y œrubokrê¹t, mog¹cy mu pos³u¹zyæ jako ³om.

Wcisn¹³ go w szczelinê, szarpn¹³ tam i z powrotem, i nagle ku jego zdumieniu puœci³y ca³e drzwi, framuga, zawiasy, zamek,

wszystko; rozleg³ siê huk jak przy eksplozji ³adunku wybuchowego,

a potem spad³ deszcz czerwonego py³u z przegni³ego drewna.

Wielka, ospa³a æma uderzy³a go w policzek, który dziwnie piek³

potem jeszcze przez d³u¹szy czas, a¹ Smiley zacz¹³ siê zastanawiaæ, czy nie by³a to przypadkiem pszczo³a. W kabinie

panowa³y egipskie ciemnoœci, ale muzyka sta³a siê nieco g³ocenniejsza. Sta³ na najwy¹szym stopniu drabinki, lecz nawet

pomimo wdzieraj¹cego siê z ty³u œwiat³a dziennego
ciemnoœæ

poni¿ej pozostawa³a nieprzenikniona. Nacisn¹³ prze³¹cznik
œwiat³a. Nie dzia³a³, wiêc cofn¹³ siê i rzuci³ do starca w
dinghy:

- Zapa³ki.

Smiley o ma³o nie straci³ cierpliwoœci. Spiczasta czapka nie
drgnê³a, nie ustawa³o te¿ dyrygowanie. Krzykn¹³, i tym razem
u

jego stóp wyl¹dowa³o pude³ko zapa³ek. Wzi¹³ je do kabiny,
zapali³

jedn¹ i ujrza³ wyczerpane radio tranzystorowe, resztkami si³
nadal wydzielaj¹ce z siebie dŸwiêki muzyki. W zrujnowanym
wnêtrzu

by³ to chyba jedyny ca³y jeszcze i funkcjonuj¹cy przedmiot.

Zapa³ka zgas³a. Zanim zapali³ drug¹, zaci¹gn¹³ zas³ony, ale
nie od strony l¹du. Nie chcia³, ¿eby stary zagl¹da³ do œrodka. W
dobiegaj¹cym z boku szarym œwietle Leipzig by³
niedorzecznie

podobny do siebie z fotografii wykonanej przez Herr
Kretschmara.

By³ nagi, leż^a tam, gdzie go skrêpowali, choæ nie by³o przy
nim

ani Kirowa, ani dziewczyny. Ciosana twarz jak z Toulouse -
Lautreca, posiniaczona i zakneblowana kilkoma kawa³kami
sznura,

wygl¹da³a na równie przepit¹ i wyrazist¹, jak¹ Smiley pamiêta³ za
życia Lipsziga. Pewnie g³oœno nastawili muzykê, żeby
zag³uszyæ

krzyki, kiedy go torturowali, pomysla³. W¹tpi³ jednak, aby
sama

muzyka wystarczy³a.

Wpatrywa³ siê w radio jak w punkt odniesienia, coœ, dok¹d
móg³ powróciæ wzrokiem i s³uchem, kiedy nie by³ juŹ w
stanie

patrzeæ na cia³o, zanim zgas³a zapa³ka. Japoñskie, zauwaŹy³
Smiley. Dziwne. Zastanów siê nad t¹ dziwacznoœci¹. Jakie
to

dziwne, że tak rozwiniêty pod wzglêdem techniki naród, jak
Niemcy, kupuje japoñskie radia. By³ ciekaw, czy
Japoñczycy

odwzajemniaj¹ ów komplement. Zastanawiaj się dalej, nak³ania³
sam

siebie gor¹co; skoncentruj się ca³kiem na tym intryguj¹cym
zjawisku ekonomicznym wymiany towarów pomiędzy
wysoko

uprzemys³owionymi państwami.

Nadal wpatruj¹c się w radio, Smiley przyci¹gn¹³ sobie
sk³adany sto³ek i usiad³. Powoli z powrotem skierowa³ wzrok
na

twarz Leipziga.

Niektóre martwe twarze maj¹ taki tęp¹, g³upawy wyraz jak
twarze pacjentów pod narkoz¹, pomyœla³. Inne zachowuj¹
jakieœ

pojedynczy aspekt barwnej niegdyœ natury - oto nie¿yj¹cy
cz³owiek

jako kochanek, jako ojciec, jako kierowca, bryd¿ysta, tyran. A s¹
te¿ i takie twarze, jak twarz Vladimira, które przestaj¹ wyrażaæ
cokolwiek. Ale w twarzy Leipziga nawet i bez przecinaj¹cych
j¹

sznurów widaæ by³o pewien grymas, a by³ to grymas
z³oœci,

wzmoczonej bólem i przemienionej we wściekłość; złości,
która

rosła i całkowicie wypełniała człowieka w miarę, jak jego
ciało

traciło siły.

Nienawistnie, powiedziała Connie.

Smiley zaczął metodycznie badać otoczenie, myślał tak
wolno,

jak tylko umiał i usiłował odtworzyć kolejność zdarzeń,
które

doprowadziły do powstania takich zniszczeń. Najpierw walka,
zanim

go powalili, co wydedukował na widok rozbitych nóg
stołowych,

krzesła, lamp, półek i wszelkich innych przedmiotów, które
dało

się wykorzystać w walce wręcz lub ciskaniu. Potem
przeszukanie,

które nastąpiło, kiedy go już związali, i powtarzało się w
przerwach w przeszukiwaniu. Ich zawiedzione nadzieje wypisane
były

wszędzie dookoła.

Otto Leipzig nadal nie chciał mówić, zerwali więc klepki ze ścian i z podłogi, wyrwali szuflady z szafki, wyciągali ubrania, materace i wszystkie inne przedmioty, które pozwalały się rozszepić, które nie stanowiły samoistnej, dalej nierozkadalnej całości. Smiley spostrzegł, że krew pojawia się w dość niezwykłych miejscach: nad kuchenką, w zlewie. Myślał,

że nie jest to tylko krew Otto Leipziga, sprawiła mu przyjemność.

W końcu zabili go w rozpaczy, ponieważ takie były rozkazy Karli,

bo takie były jego obyczaje.

Najpierw się zabija, dopiero potem przesłuchuje - mawiał Vladimir.

Ja też wierzę w Ottona, pomyślał głośno Smiley, przypominając sobie słowa Herr Kretzschmara. Nie jeżeli chodzi o

każdy drobiazg, ale w ważnych przypadkach tak. Ja też, pomyślał.

W tym momencie wierzy w niego tak mocno, jak w ciemność, jak w

Piaskowego Dziadka. Z Leipzigiem by³o to samo, co z Vladimirem:

ciemieræ pokaza³a, że mówili prawdê.

Od strony brzegu us³ysza³ wo³anie jakiejœ kobiety:

- Co on tam znalaz³? Znalaz³ coœ? Kto to jest?

Wróci³ na górê. Starzec wci¹gn¹³ wios³a i pozwoli³ pontonowi

dryfowaæ.

Siedzia³ plecami do trapu, z g³ow¹ wciœniê¹ w roz³o³yste ramiona. Skończy³ ju³ papierosa i zapali³ sobie cygaro, jakby to by³a niedziela.

W tej samej chwili, kiedy Smiley zobaczy³ starego, zobaczy³ te³ œlad kredy.

Znajdowa³ siê wprost w polu jego widzenia, ale bardzo blisko, rozp³ywaj¹c siê w zaporowanych szk³ach okularów. Musia³

pochyliæ g³owê i spojrzeæ nad oprawkami, żeby mu siê dobrze

przyjrzeæ. WyraŹny œlad ó³tej kredy. Pojedyncza kreska,

poprowadzona starannie poprzez rdzê relingu i trzydzieœci

centymetrów dalej ko³owrotek od wêdkarskiej linki,
przywi¹zany

łeglarskim wêz³em.

Obserwowa³ go starzec, a prawdopodobnie tak³e i rosn¹ca
grupa ludzi na brzegu, ale Smiley nie mia³ innego wyjœcia.

Poci¹gn¹³ wêdzisko i poczu³ jak³œ ciêłar. Ci¹gn¹³
równomiernie,

najpierw jedna rêka, potem druga, a ł wêdka zmieni³a siê w
ły³kê i

Smiley teraz j¹ wyci¹ga³ z wody. Nagle ły³ka naprêły³a siê.

Ci¹gn¹³ ostrołnie. Ludzie na brzegu zastygli w oczekiwaniu;
wyczuwa³ ich zaciekawienie nawet na odleg³oœæ. Stary
znów

wyci¹gn¹³ szyjê i obserwowa³ Smileya przez czarny cieñ
swej

czapki. Wtem zdobycz wyskoczy³a z pluskiem z wody i
wiedzowie

ryknêli gromkim œmiechem: stara, zielona tenisówka, z
tkwi¹cym

jeszcze w dziurkach sznurowad³em, a na ogromny haczyk, na
który

by³a nadziana, mo¿na by³oby z³owiaæ rekina. Œmiech powoli zamar³.

Smiley odczepi³ but. Potem, jak gdyby mia³ jeszcze inne sprawy do

za³atwienia, zszed³ ociê¿a³ym krokiem do kabiny, znikaj¹c obserwatorom z oczu i zostawiaj¹c szeroko otwarte drzwi, ¿eby

wpuœciæ do œrodka œwiat³o.

Ale zabra³ te¿ ze sob¹ tenisówkê.

W czubek buta wszyto owiniê¹ w ceratê paczuszkê.

Wyci¹gn¹³

j¹. By³ to kapciuch, zaszyty u góry i kilkakrotnie zwiniê¹ty.

Regu³y Moskiewskie, pomyœla³ beznamiê¹tnie. Przez ca³y czas Regu³y

Moskiewskie. Ile spadków odziedzic¹ê jeszcze po zamordowanych?

Chocia¿ cenimy tylko cz³owieka poziomego. Smiley rozpru³ szew. W

kapciuchu znajdowa³o siê kolejne zawini¹tko, tylko ¿e tym razem

by³a to zawi¹zana na supe³ prezerwatywa. W œrodku schowano zwitek

elastycznej tekturki, mniejszy niż pudełeczko tekturowych
zapatek. Smiley rozwin¹³ go. Była to pocztówka pocztówki. Nawet
nie

kolorowa, czarno - biała. Pocztówka nieciekawego zdjęcia
pejzażu

Szlezewiku - Holsztyna, pocztówka stada fryzyjskiego bydła,
pasącego

się w szarym słońcu.

Pocztówkę celowo rozerwano nierówno. Z tyłu nie było
żadnego

tekstu, adresu ani znaczka. Była to tylko pocztówka
nieinteresującej, nigdy nie wysłanej pocztówki; ale tamci
torturowali go dla niej, zabili go w końcu i nie znaleźli ani
jej, ani też żadnych skarbów, do których była kluczem.

Smiley

schował ją wraz z opakowaniem do wewnętrznej kieszeni
marynarki i

wrócił na pokład.

Starzec na dinghy podpłyn¹³ do burty "Isadory". Smiley bez
słowa powoli zszedł z drabinki. Zgromadzony na brzegu tłum
ludzi

z obozowiska urós³ tymczasem jeszcze bardziej.

- Pijany? - zapyta³ stary. - Odsypia?

Smiley zszed³ do dinghy i kiedy starzec odbija³ od motorówki, spojrze³ jeszcze raz na "Isadorê". Widzia³ rozbity œwietlik, pomyœla³ o zniszczeniach w kabinie i o jej cienkich jak

papier œciankach, przez które s³ysza³ tupot nóg na brzegu.

Wyobrazi³ sobie walkê i wrzaski Leipziga, wype³niaj¹ce ca³y obóz.

Wyobrazi³ sobie milcz¹c¹ grupê ludzi, stoj¹cych w tym samym

miejscu, gdzie teraz, i nikt spoœród nich nie odezwa³ siê ani nie udzieli³ mu pomocy.

- By³o przyjêcie - powiedzia³ niedbale starzec, przywi¹zuj¹c dinghy do mola. - Ci¹gle muzyka, œpiew. Przestrzegli nas, ¿e bêdzie g³oœno. - Zawi¹za³ wêze³. - Mo¿e siê posprzeczali? No to

co z tego? Mnóstwo ludzi siê k³óci.

Poha³asowali trochê, pos³uchali jazzu. No to co z tego? Jesteœmy muzykalni.

- To by³a policja - zawo³a³a z grupy na brzegu jakœ kobieta. - Jak policja robi swoje, obowi¹zkiem obywatela jest trzymac k³apacz na k³ódkê.

- Poka¼cie mi jego samochód - poprosi³ Smiley.

Ruszyli gromadnie, nikt nie szed³ z przodu. Stary kroczy³ u jego boku, na po³y jak stra¿nik, na po³y jak ochroniarz, toruj¹c mu drogê z facecyjn¹ ceremonialnoœci¹. Wszêdzie doko³a rozbieg³y

siê dzieci, które trzyma³y siê jednak z dala od starca.

Volkswagen sta³ w zagajniku i by³ tak rozpruty, jak kabina na Isadorze". Wyk³adzina dachowa w strzêpach, siedzenia wyci¹gniête

i rozerwane. Brakowa³o kó³, ale Smiley domyceli³ siê, ¿e zabrano

je ju¿ po tym wszystkim, Ludzie z obozowiska stanêli wokó³ z

szacunkiem, jak gdyby by³o to ich przedstawienie.

Usi³owano

podpaliæ samochód, ale ogieñ nie chcia³ p³on¹æ.

- Ten facet to œcierwo - wyjaceni³ stary. - Oni wszyscy tacy.

Niech pan na nich spojrzy. Kryminaliœci, podludzie.

Opel Smiley'a stał tam, gdzie go zostawił, na skraju drogi, w pobliżu puszek na śmieci. Dwóch jednakowo ubranych chłopców o

jasnych włosach pochylał się nad bagażnikiem, waląc młotkami w

klapę. Idąc ku nim, Smiley widział, jak przy każdym uderzeniu

podskakują im loczki na czochach.

Nosili dżinsy i czarne buty, ozdobione stokrótkami.

- Niech im pan powie, żeby przestali walić w mój samochód

-

odezwał się do starca Smiley.

Ludzie z obozu podłżali za nimi w pewnej odległości.

Znow

śyszał ich energiczne kroki, niczym armii uchodźców. Dotarł do

samochoodu, trzymając w dłoni kluczyki, a dwaj chłopcy stali nadal

nad bagażnikiem, tucząc weń z cacych sił. Podszedł bliżej i

okazało się, że wybili klapę bagażnika z zawiasów, wygięli ją i

znow wyklepali, tak że leżała teraz na dnie kufra jak niezgrabna

paczka. Rzuci³ okiem na ko³a, ale wszystko wydawa³o siê
w

porz¹dku. Nie wiedzia³, co jeszcze mó³g³by odkryæ. Dopiero
potem

spozrzeg³, ¿e ch³opczy do tylnego zderzaka przywi¹zali kosz
na

ciemieci.

Stan¹³ z boku i chcia³ zerwaæ sznurek, ale linka nie
puœci³a. Próbowa³ j¹ przegryŸæ, ale bez skutku. Starzec poda³
mu

scyzoryk i Smiley przeci¹³ sznurek, trzymaj¹c siê z dala od
ch³opców z m³otkami. Ludzie z obozowiska utworzyli pó³kole i
na

po¿egnanie unieœli dzieci na rêkach. Smiley wsiad³ do auta, a
stary z ogromnym zamachem zatrzasn¹³ za nim drzwi.

Kluczyk tkwi³ w stacyjce, ale zanim Smiley go przekrêci³,
jeden z ch³opców wdrapa³ siê leniwie na maskê jak modelka
w

autosalonie, drugi z nich natomiast zapuka³ grzecznie w szybê.

Smiley otworzy³ okno.

- Czego chcesz? - zapyta³.

Chłopiec wyciągnął dłoń.

- Naprawa - wyjął. - Pana bagażnik nie zamyka się jak należy. Czas i materiały. Koszty globalne. Parking. - Wskazał paznokcie kciuka.

- Kolega skaleczył się w rękę. Rana mogła być poważna.

Smiley spojrzał na twarz chłopaka i nie zobaczył w niej żadnego ludzkiego uczucia, które potrafiłby zrozumieć.

- Niczego nie zreperowaliście. Narobiliście szkód.
Poproś
swojego kolegę, żeby zszedł z samochodu.

Chłopcy naradzali się i wyglądali na to, że zdania są podzielone. Rozmawiali na oczach tłumy w pewnym wyważony sposób, popychając się i czyniąc retoryczne gesty, nie kłócąc się ze sobą. Gawędzili o przyrodzie i o polityce, i ten platoński dialog mógłby ciągnąć się tak w nieskończoność, gdyby siedzieli na samochodzie chłopak nie wstał, żeby tym dobitniej przedstawić swoje stanowisko w dyskusji. Jednocześnie zerwał wycieraczkę i

podaj³ j¹ staremu, jak gdyby by³ to kwiat. Odjeżdżaj^{1c}, Smiley
spojrza³ w lusterko i ujrze³ skupiony wokó³ starca pieroścień
twarzy gapi¹cych się w oład za nim. Nikt nie pomacha³ mu
na
pożegnanie.

Jecha³ bez poe piechu, rozpatruj^{1c} kolejno wszystkie
możliwości, a samochód klekota³ jak stary wóz strażacki.
Przypuszcza³, że coś jeszcze przy nim zmagstrowali; coś,
czego

nie uda³o mu się zauważyć. Bywa³ już przedtem w
Niemczech,

przyjeżdżaj³ i wyjeżdżaj³ nielegalnie, polowa³ uciekaj^{1c} i choć
teraz by³ już stary i bawi³ w³oeciwie w innym kraju, to jednak
czu³ się tak, jak gdyby znalaz³ się z powrotem w dzikiej g³uszy.

Nie mógł³ wiedzieć, czy ktoś z obozu zatelefonowa³ na policję,
ale

uzna³, że to oczywiste.

Tajemnica 3odzi Leipziga zosta³a rozwi¹zana. Ci, którzy
przedtem udawali, że niczego nie widzi¹, wyst¹pi¹ teraz w roli
lojalnych obywateli. Zna³ takie sytuacje.

Wjecha³ do jakiego^æ nadmorskiego miasteczka. Baga^znik
-
jece^{li} istotnie by³ to бага^znik - wci¹klekota³ z ty³u samochodu.
Chyba ^ze to rura wydechowa, pomye^{la}³; ta dziura, w ktor¹
wpad³em,
jad¹c do obozu. Poranne mg³y zast¹pi³o teraz gor¹ce,
nietypowe
jak na te¹ por^e roku, s³o^ñce. I ^zadnych drzew woko³o.
Otworzy³a
sie¹ przed nim zdumiewaj¹ca jasno^æ. By³o jeszcze wczes^enie i
puste
powozy konne oczekiwa³y na pierwszych tego dnia turyst^ow.
Piach zdobi³y krater^y, wykopane latem przez
umykaj¹cych
przed wiatrem czcicieli s³o^ñca. S³ysza³ blaszany odg³os
swego
pojazdu, odbijaj¹cy sie¹ pomi^edz^y odmalowanymi witrynami i
jakby
wzmagany przez s³o^ñce.
Widzia³, jak mijani po drodze ludzie unosz¹ g³owy, ^zeby
przyjrze^æ mu sie¹ bli^zej ze wzgl^edu na ha³as, jaki czyni auto.

Rozpoznaj¹ samochód, pomyœla³. Nawet je¿eli nikt w obozie

nie zapamiêta³ numerów rejestracyjnych, zdradzi go zmiãd¿ony

baga¿nik. Zjecha³ z g³ównej ulicy. S³oñce naprawdê œwieci³o

wyj¹tkowo jasno. - Przyjecha³ jakieœ cz³owiek, Herr Wachtmeister -

poinformuj¹ policyjny patrol. - Dzieœ rano, Herr Wachtmeister.

Powiedzia³, ¿e jest jego przyjacielem. Buszowa³ na ³odzi, a potem

odjecha³. O nic nas nie pyta³; panie kapitanie. Wydawa³ siê niewzruszony.

Wy³owi³ z wody but, Herr Wachtmeister. Niech pan sobie

wyobrazi: but.

Skierowa³ siê w stronê stacji kolejowej, uwa¿aj¹c na znaki i poszukuj¹c miejsca, w którym mo¿na by³oby zostawiæ samochód na

ca³y dzieñ. Dworzec by³ masywny, z czerwonej ceg³y, zdaniem

Smiley jeszcze przedwojenny. Przejechał obok i po lewej znalazł

wielki parking. Biegł przez niego pasmo nagich drzew i na niektórych samochodach leżały zeschnięte liście. Maszyna przyjęła

pieniędzy, wydał mu kwit, który powinien wsadzić za wycieraczkę. Wjechał tyłem w szereg samochodów naprzeciwko

ziemnego nasypu, żeby bagażnik zbyt nie rzucał się w oczy.

Wysiadł, a niezwykle słońce wymierzyło mu policzek. Powietrze

było zupełnie nieruchome. Zamknął samochód i włożył kluczyki do

rury wydechowej; nie wiedział dlaczego, ale odczuwał skruchę w

stosunku do firmy, w której wynajmował auto. Nogami zagarnął liście i piach, aż niemal całkowicie zasłonił przednie numery. Za godzinę

tego lata w środku zimy przybędzie na parking ponad sto samochodów.

Zauważył na głównej ulicy sklep z męskimi ubraniami.
Kupił w
nim pięć marynarek i nic więcej, zapamiętuje się
bowiem
ludzi kupujących kompletne stroje. Nie znalazł marynarki,
niósł
ją w plastikowej torbie. Na pierwszej butików bocznej ulicy nabył
paradny, słomkowy kapelusz, a potem mapę turystyczną
okolicy i
rozkład jazdy pociągów dla okolic Hamburga, Szlezwiku -
Holsztyna
i Dolnej Saksonii. Smiley kapelusza także nie znalazł, trzymał
go
w torbie razem z marynarką. Pociąg się pod wpływem
nieoczekiwanego
upadu, który psuł mu humor; był równie absurdalny, jak ów
w
lecie. Wszedł do budki telefonicznej i ponownie sprawdził
spis
miejscowych numerów. W Hamburgu nie było żadnego
Claus
Kretschmara, ale jedna z księzek Szlezwiku - Holsztyna

wymienia³a Kretzschmara mieszkaj¹cego w miasteczku, o którym

Smiley nigdy w życiu nie s³ysza³. Poszuka³ na mapie i na trasie linii kolejowej do Hamburga znalaz³ mie³cinê o tej nazwie.

Sprawi³o mu to niebywa³¹ przyjemnoœæ.

Krêpuj¹c inne myœli żelaznymi wiêzami, Smiley raz jeszcze

podsumowywa³ wnioski. Policja bêdzie rozmawiaæ z hambursk¹ firm¹

wynajmuj¹c¹ samochody w kilka chwil po odnalezieniu pojazdu.

Zaraz potem, uzyskawszy nazwisko i rysopis, wezm¹ pod obserwacjê

lotnisko i inne moŹliwe etapy jego podróŹy. Kretzschmar to nocne

stworzenie i pewnie bêdzie d³ugo spa³.

Miasto, gdzie mieszka³, oddalone by³o st¹d o godzinê jazdy poci¹giem.

Wróci³ na dworzec. Hala g³ówna okaza³a siê wagnerowsk¹

fantazj¹ gotyckiego dworku z ³ukowato sklepionym dachem
i

wielkimi witrażami, lej¹cymi kolorowe promienie s³ońca na
wy³ożon¹ kafelkami pod³ogê. Zadzwo³ni³ z budki na lotnisko
w

Hamburgu, podaj¹c siê za pana Standfasta, inicja³ J., Czyli
używaj¹c nazwiska wpisanego w paszporcie, który zabra³ ze
swego

londyńskiego klubu. Najbliższy lot do Londynu mia³ dzie
wieczorem

o szóstej, ale zosta³y już tylko miejsca w pierwszej klasie.

Dokona³ rezerwacji mówi¹c, że dop³aci do biletu klasy
turystycznej po przyjeŹdzie na lotnisko.

W takim razie prosimy przybyæ na p³ godziny przed
odpraw¹,

powiedzia³a dziewczyna. Smiley przyrzek³, że zjawi siê na czas
-

chcia³ pozostawiæ po sobie dobre wrażenie - ale nie, niestety,
pan Standfast nie dysponuje telefonem, pod którym moŹna by
siê z

nim tymczasem skontaktowaæ. W tonie urzêdniczki nie by³o s³ychaæ

niczego, co mog³oby zasugerowaæ, ¿e stoi za ni¹ oficer s³u¿by

wewnêtrznej i z teleksem w rêku szepcze jej do ucha instrukcje.

Smiley odgad³ jednak, ¿e najdalej za dwie godziny rezerwacja

miejsca na nazwisko Standfast spowoduje niema³e zamieszanie,

poniewa¿ to w³aczenie pan Standfast wynaj¹³ przedtem opla. Wróci³

do g³ównej hali, pomiêdzy smugi œwiat³a. Dwie kasy i dwie krótkie

kolejki. Przy pierwszej kasie obs³u¿y³a go jakaœ bystra dziewczyna i Smiley kupi³ sobie bilet drugiej klasy do Hamburga.

By³ to jednak rozmyœlnie mêcz¹cy zakup, pe³en niezdecydowania i

nerwowoœci, a kiedy Smiley nareszcie go dokona³, nakaza³ zapisaæ

sobie godziny przylotu i odlotu, a ponadto po¿yczy³ od kasjerki d³ugopis i notatnik.

W toalecie przebra³ siê w s³omkowy kapelusz i p³ócienn¹
marynarkê, prze³o³lywszy do niej zawartoœæ swoich
kieszoni,
pocz¹wszy od bezcennego kawa³ka pocztówki, znalezione³ na
³odzi
Leipziga. Potem uda³ siê do drugiej kasy, gdzie bez
wiêkszych
ceremonii kupi³ bilet na poci¹g osobowy do miasteczka, w
którym
mieszka³ Kretzschmar. Tym razem w ogóle nie patrzy³ na
urzędnika,
koncentruj¹c siê jedynie na bilecie i reszcie, na któr¹ zerka³
spod runda swego krzykliwego, s³omkowego kapelusza.
Przed
wyjœciem zabezpieczy³ siê na jeszcze jeden sposób.
Wykrêci³
rzekomo przez pomy³kê numer telefonu Herr Kretzschmara i
us³ysza³
od jego oburzonej żony, że to szczyt wszystkiego dzwonia³ do
kogoœ
o tak wczesnej porze. Nastêpnie podejmuj¹c ostatni œrodek

ostrożności, posiada jeszcze swoje plastikowe torby i wsun¹³
je
do kieszeni.

Miasteczko było pokryte liśćmi i leżało na uboczu. Duże
trawniki, starannie ogrodzone domy. Wiejski styl życia dawno
już

padł pod naporem podmiejskich armii, ale wspaniałe słońce
czyniło

pięknym wszystko dokoła.

Numer osiem leżał po prawej stronie; piękna,
dwupiętrowa

willa ze stromymi, skandynawskimi dachami, podwójnym
garażem i

modnymi drzewkami rozmaitych gatunków, posadzonymi
zdecydowanie

zbyt blisko siebie.

W ogrodzie huśtawka o plastikowym siedzeniu w kwiatki i
nowy

staw rybny, utrzymany w stylu romantycznym. Ale główna
atrakcja

domu i dum Herr Kretschmara był odkryty basen, znajdujący
się

na patio z krzycz¹co czerwonych kafelków. Tutaj w³acenie
odnalaz³

go Smiley owego niezwyk³ego jesiennego dnia, na ³onie
rodziny,

bawi¹cego kilku s¹siadów na zaimprovizowanym przyjêciu.
Herr

Kretzschmar w szortach piek³ na ruszcie miêso, ale kiedy
Smiley

zwolni³ zatrzaszk w furtce, gospodarz porzuci³ swoje zajêcie,
¿eby

zobaczyæ, kto przyszed³. Zmyli³ go jednak nowy, s³omkowy
kapelusz

i p³ócienna marynarka, zawo³a³ wiêc po prostu swój¹ ¿onê.

Frau Kretzschmar kroczy³a œcie¿k¹ z kieliszkiem szampana
w
d³oni.

Ubrana by³a w ró¿owy kostium k¹pielowy i przezroczyst¹
pelerynê, której pozwala³a powiewaæ œmia³o po bokach.

- A któ¿ to taki? Co to za mi³a niespodzianka? - pyta³a
figlarnie, jak gdyby mówi³a do swojego pieska.

Przystanê³a na wprost niego. By³a opalona, wysoka i

znakomicie zbudowana, podobnie jak jej m¹ż. Twarzy nie widzia³

zbyt dobrze, ponieważ ma³żonka Kretschmara nosi³a ciemne okulary

z bia³1, przeciws³oneczn¹ os³on¹ na nos.

- Oto rodzina Kretschmarów przy zabawie - powiedzia³a niepewnie, bo Smiley ci¹gle siê jeszcze nie przedstawi³. - Co możemy dla pana zrobić?

Czym możemy panu s³użyc?

- Muszê porozmawiaæ z pani m¹żem - powiedzia³ Smiley.

Odezwa³ siê po raz pierwszy od chwili, kiedy kupowa³ bilet, wiêc

jego g³os brzmi³ grubo i nienaturalnie.

- Clauschen nie robi interesów w dzień - powiedzia³a stanowczo, wci¹ż siê ucemiechaj¹c. - Na mocy rodzinnego dekretu

chêæ zysku w ci¹gu dnia pogr¹żona jest w ucepieniu. Czy mam

na³ożyc Clausowi kajdanki, by udowodniaæ panu, że pozostanie

naszym niewolnikiem aż do zachodu słońca?

Kostium był dwuczęściowy, a jej gałki, pełny brzuch
łoni

od olejku do opalania. Wokół bioder nosiła złoty łańcuszek,
mający prawdopodobnie stanowić kolejną oznakę jej
naturalności.

Na nogach miała złote sandały na bardzo wysokich obcasach.

- Proszę powiedzieć mężczyźnie, że tu nie chodzi o interesy -
rzekł Smiley. - Chodzi o przyjaciela.

Frau Kretschmar wypijała kieliszek szampana i zdjęła
przeciwsłoneczne okulary, jak gdyby odsłaniając twarz na bal
masque. Miała zadarty nos.

Jej twarz, choć sympatyczna, była o wiele starsza niż jej
ciało.

- Jak może chodzić o przyjaciela, skoro nie znam
pańskiego

nazwiska? - zapytała wyzywająco, już niepewna, czy ma
być

ujmująca, czy wyniosła.

Tymczasem ciężko nadchodziło walenie Herr
Kretschmar.

Zatrzyma³ się, spogl¹daj¹c to na swój¹ źonê, to na Smileya,
potem

znów na Smileya. I byæ moŹe jego wyraz twarzy,
zachowanie i

niewzruszonoœæ wzroku powiedzia³y Kretzschmarowi, z
jakiego

powodu przyjecha³.

- IdŸ zaj¹æ się jedzeniem - rzuci³ szorstko.

Ujmuj¹c Smileya pod ramiê, Herr Kretzschmar zaprowadzi³
go

do salonu z mosiêŹnymi Źyrandolami i oknem,
zastawionym

tropikalnymi kaktusami.

- Otto Leipzig nie Źyje - powiedzia³ bez wstêpów Smiley,
gdy

tylko zamknê³y się drzwi. - Zabi³o go dwóch ludzi w
obozowisku

nad wod¹.

Herr Kretzschmar bardzo szeroko otworzy³ oczy, a potem
bez

zajenowania odwróci³ się plecami do Smileya i ukry³ twarz
w

d³oniach.

- Zrobi³ pan nagranie - powiedzia³ Smiley, nie zwracaj¹c najmniejszej uwagi na to przedstawienie. - Jest fotografia, któr¹ panu pokaza³em, i jest gdzieœ jeszcze nagrana taœma, któr¹ pan

dla niego przechowuje. - Po plecach Herr Kretzschmara nie by³o

widaæ, ¿eby cokolwiek s³ysza³. - Sam pan mi o niej mówi³ wczoraj

wieczorem - ci¹gn¹³ dalej Smiley tym samym tonem. - Powiedzia³

pan, ¿e rozmawiali o Bogu i o œwiecie.

Powiedzia³ pan, ¿e Otto œemia³ siê jak szalony, ¿e mówi³ naraz trzema jêzykami, œpiewa³, opowiada³ dowcipy. Zrobi³ pan dla

niego zdjêcie, ale nagra³ pan równie¿ ich rozmowê.

Przypuszczam,

¿e ma pan tak¿e list, który otrzyma³ pan dla niego z Londynu.

Herr Kretzschmar odwróci³ siê i spojrze³ na Smileya wzburzony.

- Kto go zabi³? - zapyta³. - Herr Maks, pytam pana jak

żo³nierza.

Smiley wyj¹³ z kieszeni kawa³ek pocztówki.

- Kto go zabi³? - powtórzy³ Herr Kretzschmar. - Niech pan mi powie.

- Oto, czego oczekiwa³ pan ode mnie wczoraj - powiedzia³ Smiley, nie zważaj^{1c} na jego pytanie. - Ten, kto to panu przyniesie, otrzyma ta⁶emy i wszystko, co jeszcze pan dla niego przechowuje. Tak si⁶e umówili⁶ecie.

Kretzschmar wzi¹³ pocztówk⁶e.

- Nazywa³ to Regu³ami Moskiewskimi - powiedzia³ Kretzschmar

- Nastawali na nie i Otto, i Genera³, cho⁶e mnie osobi⁶ecie wydawa³o si⁶e to absurdalne.

- Ma pan drug¹ po³ow⁶e pocztówki? - zapyta³ Smiley.

- Tak - odpar³ Kretzschmar.

- Wi⁶ec niech pan sprawdzi, czy pasuj¹, i da mi te materia³y.

Wykorzystam je w ca³kowitej zgodzie z zamiarami Ottona.

Musia³ powtórzyæ to dwukrotnie, nim Kretzschmar w ogóle

odpowiedzia³. - Przynræka pan? - zapyta³.

- Tak.

- A mordercy? Co pan z nimi zrobi?

- Najprawdopodobniej s¹ ju¿ bezpiecznie za morzem - powiedzia³ Smiley. - Mieli do przejechania tylko kilka kilometrów.

- No to jaki bêdziemy mieæ po¿ytek z tych materia³ów?

- Kompromituj¹ cz³owieka, który nas³a³ morderców - powiedzia³ Smiley i byæ mo¿e w tej chwili Herr Kretzschmar

zorientowa³ siê, ¿e ¿elazny spokój jego goœcia oznacza, i¿ Smiley

czuje siê równie przygnêbiony jak on, a mo¿e nawet jest osobiœcie

jeszcze g³êbiej przybity.

- Czy doprowadz¹ do jego œmierci? - spyta³ Herr Kretzschmar.

Smiley d³ugo oci¹ga³ siê z odpowiedzi¹.

- Spotka go coœ gorszego ni¿ œmieræ.

Przez chwilę wydawało się, że Herr Kretschmar zamierza

zapytać, co jest gorsze od oemierci, ale nie uczynił tego.

Wyszedł

z pokoju sztywno trzymając pocztówkę w dłoni. Smiley czeka

cierpliwie. Wieczny, mosiężny zegar podłazny pracownicy sw

niewolniczy tras. Z akwarium spogląda na Smileya jak na czerwoną rybkę. Kretschmar wrócił. W dłoni trzyma białe,

tekturowe pudełko. W jego wyłożonym higienicznymi chusteczkami

wnętrzu spoczywał zwitek papieru do fotokopiarek, pokryty znanym

już Smileyowi pismem, oraz sześć miniaturowych kaset z

niebieskiego plastiku - z tych, które preferują mężczyźni nowocześni.

- Powierz mi je - powiedziała Herr Kretschmar.

- Postąpił roztropnie - odrzekł Smiley.

Herr Kretschmar położył Smileyowi dłoń na ramieniu.

- Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, proszę dać mi znać

- powiedział. - Mam swoich ludzi. - yjemy w czasach przemocy.

Smiley raz jeszcze zadzwonił z budki na lotnisko w Hamburgu,

żeby potwierdzić rezerwację pana Standfosta na lot do Londynu.

Następnie zakupił znaczki i mocną kopertę, na której wypisał fikcyjny adres w Adelajdzie w Australii. Włożył do środka paszport Standfosta i wrzucił kopertę do skrzynki.

Potem podróżując już jako zwyczajny pan George Smiley,

urzędnik, powrócił na dworzec i bez żadnych przygód przekroczył

granicę z Danią.

Podczas jazdy udał się do toalety i tam przeczytał list od Ostrakowej, wszystkie siedem stron, odbite przez Generała na

starodawnej kopiarce Mikhela w małej bibliotece tuż obok

British Museum. To, co przeczyta³, i to, co dzie³ prze³,
nape³nia³o go narastaj¹cym i nieodpartym niemal
niepokojem.

Poci¹giem, promem i wreszcie taksówk¹ przyjecha³ na
lotnisko

Castrup w Kopenhadze. Zd¹ł³ z³apaæ popo³udniowy
samolot do

Pary³a i chocia³ lot trwa³ tylko godzinê, w œwiecie Smileya
ci¹gn¹³ siê przez ca³e ł³ycie, unosz¹c go poprzez rozmaitoœæ
wspomnie³ñ, uczua³ i oczekiwa³ñ. T³umiona do tej pory
z³oœæ i

obrzydzenie, wywo³ane morderstwem Leipziga, znalaz³y teraz
ujœcie

tylko po to, ł³eby ust¹piæ miejsca obawie o Ostrakow¹: skoro
obeszli siê w ten sposób z Leipzigiem i Genera³em, to kto wie,
co

jej mogliby uczynia³. Pogo³ñ w Szlezwiku - Holsztynie
przywróci³a

mu refleks odzyskanej m³odoœci, ale teraz, podczas ucieczki,
zaatakowa³a go nieuleczalna obojêtnoœæ staroœci. Jaki jest
sens

walki, skoro œmieræ stoi tak blisko, skoro jest zawsze obecna?

Myœla³ znów o Karli i o jego absolutyzmie, który nadawa³ przynajmniej sens wiecznemu chaosowi, bêd¹cemu warunkiem Źycia;

sens przemocy i œmierci; Karli, dla którego zabijanie nie by³o nigdy niczym wiêcej, niŹ tylko koniecznym dope³nieniem wielkiego

planu. Jak mogê zwyciêŹyæ? - pyta³; sam, krêpowany w¹tpliwoœciami

i poczuciem przyzwoitoœci - jak moglibyœmy odnieœæ zwyciêstwo -

skoro nie ustaje bezlitosna strzelanina?

L¹dowanie i zapowiedŹ kolejnego poœcigu przywróci³y mu

równowagê ducha. Jest dwóch Karlów, myœla³ przypominaj¹c sobie

stoick¹ twarz, cierpliwe oczy i Źylaste cia³o, oczekuj¹ce filozoficznie na w³asny rozk³ad. Jest Karla zawodowiec, tak opanowany, Źe móg³by zaczekaæ i dziesiêæ lat, aŹ jakœ operacja

przyniesie owoce; w przypadku Billa Haydona czeka³ lat dwadzieścia; to Karla stary szpieg, pragmatyk, gotów przehandlować tuzin porażek za jedno wielkie zwycięstwo.

Ale jest jeszcze inny Karla, Karla o mimo wszystko ludzkim

sercu, Karla skazony ludzkości¹. Nie powstrzyma mnie, jeżeli

ucieknę się do zawodowych metod, by bronić swych słabości.

Sięgaj¹c na półkę po słomiany kapelusz, Smiley wspomnia³

przypadkiem rycersk¹ obietnicę, jak¹ niegdyś złożył w związku z

ewentualnym upadkiem Karli. - Nie - odpowiedzia³ wtedy na pytanie

bardzo podobne do tego, jakie postawi³ teraz sam sobie. - Nie, Karla nie jest żaroodporny.

Dlatego, że jest fanatykiem. I pewnego dnia, o ile tylko będzie mógł przyłożyć do tego rękę, ten brak umiarkowania

przyniesie mu klęskę.

Biegn¹c na postój taksówek, przypomina³ sobie, że wygłosi³

powyższ¹ uwagê w obecnoœci niejakiego Petera Guillama, a tak siê

z³o³y³o, ¿e cz³owiek ten akurat teraz szczególnie zaprz¹ta³ jego myœli.

* * *

Ostrakowa, le¿¹c na otomanie, wpatrywa³a siê w zmierzch i ca³k³iem serio myœla³a, czy nie zwiastuje on przypadkiem koñca œwiata.

Przez ca³y dzieñ wisia³ nad podwórzem szary mrok, oddaj¹c

jej maleñki wszechœwiat we w³adanie wiecznemu wieczorowi. O

brzasku pog³êbi³ go jeszcze sepiowy blask; przed po³udniem, zaraz

po wizycie tych ludzi, nast¹pi³a awaria w niebiañskiej elektrowni

i w oczekiwaniu swojego koñca ciemnoœæ przesz³a w jamist¹ czerñ.

A teraz, wieczorem, mgła jeszcze mocniej zwarza chwyt
ciemności

na rejterujących się ścieżkach. Tak samo jest i z Ostrawą,
zdecydowała bez goryczy kobieta: z moim poobijanym,
posiniaczonym

ciałem, z moim obłąkaniem, z moimi nadziejami na
powtórne

przyjęcie odkupiciela; dokładnie to samo, zmierzch
mojego

własnego dnia.

Dzisiaj rano po przebudzeniu czuła się tak, jakby była
związana.

Spróbowała poruszyć nogi i natychmiast wokół jej piersi,
ud

i brzucha zacisnęły się pęknięte sznury. Uniosła ramiona, ale
odczuwała tylko, jak krępują ją ciężkie więzy. Minęło całe życie,
zanim się doczekała do szatni, i potem znów zanim się
rozebrała i weszła do wody. Przeraziła się, że zemdleje, tak
straszenie bolało ją obite ciało w miejscach, w których zetknęło
się z ziemią. Usłyszała szum i pomyślała, że hałas rozlega się
w

jej g³owie; dopiero póŹniej zda³a sobie sprawê, ¿e to robota rozjuszonego s¹siada. Jak policzy³a, koœcielny zegar bi³ cztery razy, a zatem nic dziwnego, ¿e grzmot wody w starych rurach

wywo³a³ protesty w³os³ymieszkañca. Wyczerpa³y j¹ trudy parzenia

kawy, ale pozycja siedz¹ca nagle okaza³a siê nie do zniesienia, a le¿eæ Ostrakowa te¿ nie by³a w stanie. Odpoczywa³a jedynie,

pochylaj¹c siê do przodu i opieraj¹c³okcie na suszarce. Mog³a st¹d obserwowaæ podwórze, dla rozrywki i tak na wszelki wypadek,

i st¹d te¿ widzia³a tych mê¿czyzn, te dwa duchy ciemnoœci, jak

nazywa³a ich teraz w myœlach; klarowali coœ konsjer¿ce, a

konsjer¿ka, ta stara koza, madame la Pierre, coœ klarowa³a im,

trzê¹c sw¹ g³upi¹ g³ow¹: "Nie, nie ma Ostrakowej, nie ma".

Powtarza³a to na dziesiêæ ró¿nych sposobów - nie ma - s³owa

odbija³y siê po podwórzu echem jak aria operowa,
zag³uszaj¹c

odg³osy trzepanych dywanów, gwar dzieciêcych zabaw i plotki
dwóch

starych matron z rêcznikami na g³owach, wychylaj¹cych siê
przez

okna na trzecim piêtrze dwa metry od siebie - nie ma. Nawet
dziecko by jej nie uwierzy³o.

Kiedy chcia³a czytaæ, musia³a po³o_zyaæ ksi¹¿kê na suszarce,
gdzie po wizycie tych ludzi trzyma³a tak¿e pistolet, a¿ wreszcie
zauwa_zy³a okrêtkê na jego kolbie i z kobiec¹ praktycznoœci¹
za

pomoc¹ kuchennego sznurka zmajstrowa³a sobie marynarski
wêze³.

Uwi¹zawszy w ten sposób pistolet na szyi, obie rêce mia³a
wolne,

kiedy chcia³a siê czo³gaæ po pokoju. Jednak gdy broñ obija³a
siê

jej na piersiach pomyœla³a, ¿e zwymiotuje z bólu. Gdy
mê_zczyŃni

odeszli, zaczê³a mówiæ do siebie na g³os, krz¹taj¹c siê wokó³

drobnych codziennych czynności, które przyrzeka sobie wykonywać

podczas dobrowolnego odosobnienia.

- Jeden wysoki, skórzany paszcz, kapelusz typu Homburg

-

pomrukiwa Ostrakowa, racz się pokazać porcję wódki, żeby

pokrzepić ciało. - Drugi barczysty, wysza para, szare buty z dziurkami. - Pisz piosenki twoich wspomnień, myśla; wyćpiwaj

je Czarodziejowi, Generałowi - ach, czemu nie odpowiadaj na mój

drugi list?

Znow by dzieckiem, spada z kucyka, a kucyk wraca i tratowa j.

Znow by kobiet, usiujc zostaje matką. Przypomnia sobie trzy noce nieznośnego bólu, kiedy to Aleksandra gwałtownie

sprzeciwia się swoim narodzinom w szarym i groźnym świetle

niedomytej moskiewskiej kliniki położniczej - w takim samym

świetle, które było teraz widać za jej oknem i które niczym sztuczny kurz spadało się na wypolerowanych podłogach mieszkania.

Słyszała, jak woła Glikmana: "Sprowadźcie go do mnie, sprowadźcie

go do mnie". Pamiętała teraz, jak wydawało się jej czasem, że rodzi swojego kochanka, Glikmana, a nie ich wspólne dziecko - jak

gdyby to mocne, owosione ciało mężczyzny walczyło, żeby z niej

wyjść - a może wejść w nią jak gdyby urodzić, znaczyło wtrącić

Glikmana w niewolę, której tak strasznie się dla niego obawiała.

Dlaczego nie ma go tutaj, dlaczego nie przyjechał? - zastanawiała się, myśląc Glikmana zarówno z Generałem, jak i z

Czarodziejem.

Dlaczego nie odpowiadaj na mój list?

Doskonale wiedzia³a, dlaczego Glikman nie przyszed³,
podczas

gdy ona zмага³a siê z Aleksandr¹. B³aga³a go, ¿eby trzyma³ siê
z

dala. Masz odwagê, by cierpieæ, i to wystarczy - powiedzia³a
mu.

Ale nie masz odwagi, ¿eby przygl¹daæ siê cierpieniom innych,
i

kocham ciê tak¿e i za to.

Chrystusowi by³o ³atwo - powiedzia³a. Móg³ uzdrawiaæ
trêdowatych, przywracaæ œlepcom wzrok i wskrzeszaæ
zmar³ych. Za
godn¹ sprawê móg³ nawet umrzeæ.

Ale ty nie jesteœ Chrystusem, jesteœ Glikman, i nie mo¿esz
ul¿yæ mi w bólu, mo¿esz siê tylko przygl¹daæ i cierpieæ wraz
ze

mn¹, a to nikomu nie przyniesie nic dobrego.

Ale Genera³ i jego Czarodziej to inna sprawa, twierdzi³a z
pewn¹ niechêci¹ Ostrakowa; ustanowili siê lekarzami mojej
choroby

i mam do nich prawo.

O wyznaczonej godzinie przyszedła na górę ta kretyńska,
porykująca jak ocelica konsjerżka, razem ze swoim mężem
-

troglodyt i ze cherubokrętem.

Byli ogromnie podekscytowani i pełni radości, że
przynosi

jej tak pomysłowe wieści. Ostrakowa opanowała się na
czas

odwiedzin, nastawiła muzykę, umalowała twarz i rozłożyła
księżki

wokół otomany, żeby stworzyć atmosferę introspektywnego
relaksu.

- Goście, madame, mężczyźni... Nie, nie chcieli podać
swoich
nazwisk...

Przyjechali na krótko z zagranicy... znali pani męża,
madame. To emigranci, tak jak pani... Nie, chcieli, żeby to była
niespodzianka...

Mówili, że mają dla pani prezenty od krewnych, madame...
to

tajemnica, madame, a jeden z nich był taki wielki i silny, i

przystojny... Nie, przyjd¹ kiedy indziej, przyjechali w interesach, mówili, że maj¹ wiele spraw do za³atwienia... Nie, taksówk¹, i kazali jej czekaæ - jakie to koszty, niech pani sobie tylko wyobrazi Ostrakowa rozcemia³a siê i po³o³y³a rêkê na

ramieniu konsjerżki, niemal fizycznie wci¹gaj¹c j¹ w swe tajemnice, a troglodyta sta³ i owiewa³ je obie oddechem pe³nym

papierosowego dymu i zapachu czosnku.

- Proszê pos³uchaæ - powiedzia³a. - Pos³uchajcie, państwo. S³uchajcie uważnie, monsieur i madame la Pierre. Doskonale wiem,

kim oni s¹, ci bogaci i przystojni goście. To s¹ zepsuci siostrzeńcy mojego m^êza z Marsylii, leniuchy i w³óczêgi. Jeżeli

przywieŹli mi prezent, to moŹecie państwo byæ pewni, że za¹daj¹

tak¹e ³ó¹ek, a moŹe nawet i obiadu. B¹dŹcie tak mili i powiedzcie

im, że pozostanê na wsi jeszcze kilka dni. Bardzo ich kocham, ale

należy mi się także trochę spokoju.

Jakiegokolwiek w¹tpliwości czy zawiedzione nadzieje nie pozosta³yby w ich ko⁵lich g³owach, Ostrakowa wykupi³a się

pieniêdzmami i znów zosta³a sama, z wêz³em na szyi. Le³a³a rozci¹gniêta na otomanie, unosz¹c biodra w pozycji, która na po³y

tylko okaza³a się znoœna. Trzyma³a w d³oni pistolet, wycelowany w

drzwi, i s³ysza³a zbli¹aj¹ce się po schodach kroki dwóch osób; jedna z nich st¹pa³a lekko, druga ociê¹ale.

- Jeden wysoki, skórzany p³aszcz... Drugi barczysty, szare buty z dziurkami... - powtarza³a.

Rozleg³o się pukanie, nieœmia³e, jak dziecinna propozycja mi³oœci. A potem nieznanomy g³os, mówi¹cy po francusku z

nieznajomym akcentem, powoli i klasycznie jak jej m¹ç, Ostrakow,

z t¹ sam¹ powabn¹ czu³oœci¹.

- Madame Ostrakowa. Proszê mnie wpuœciæ. Przyjecha³em pani

pomóc.

Czuj¹c, że wszystko się kończy, Ostrakowa niespiesznie odbezpieczy³a pistolet swego zmar³ego m¹ęża i kilkoma pewnymi,

cho^æ bolesnymi krokami, podesz³a do drzwi. Posuwa³a się bokiem,

by³a bez butów i nie ufa³a judaszowi w drzwiach. Nic nie by³o w

stanie jej przekona^æ, że nie mo¹żna przez niego podgl¹da^æ w obie

strony. Wybra³a okr¹ęⁿ drog¹ę wokó³ pokoju, żeby zej^æ z linii

wzroku ewentualnego obserwatora, przesun¹ę³a się obok niewyra¹wego

portretu Ostrakowa i strasznie zacz¹ę³a ¹ę³owa^æ, że jej m¹ę³ by³ na

tyle samolubny, by umrze^æ tak szybko, zamiast ¹ę³ i broni^æ jej

przed z³em.

Potem pomy¹ęla³a: Nie. Zmieni³am się przecie¹. Mam w³asn¹

odwag¹ę.

Rzeczywiście miała odwagę. Szła na wojnę, każda minuta mogła

być ostatnią chwilą jej życia, ale bóle gdzieś zniknęły, jej ciało było gotowe, jak kiedyś dla Glikmana. Zawsze, obojętne

kiedy, czuła jego wzmacniającą energię, wstępowała w jej człony.

Glikman był przy niej i Ostrakowa przypomniała sobie jego siłę,

wcale sobie tego nie życzyła. Pojawiła się w jej głowie biblijna myśl, że nieustannie uprawiała z nim miłość. Glikman dodał jej

siłę na tę wspaniałą chwilę.

Miała spokój Ostrakowa i honor Ostrakowa; a także jego pistolet. Ale jej rozpaczliwa, samotna odwaga należała już tylko do niej, a była to odwaga matki wstrząśniętej, poniżonej i rozwścieczonej: Aleksandra. Ludzie, którzy przyszli ją zabić, naciemowali się z jej sekretnej macierzyństwa, zabili Glikmana i

Ostrakowa i zabij ten cały, biedny świat, jeżeli ona ich nie powstrzyma.

Chciała tylko wycelować przed strzałem i pojąć, że dopóki

judasz jest na miejscu, a drzwi s¹ zamknięte na ³añcuch i na zamek, może wymierzyć z bardzo bliskiej odleg³ooci - a im bliżej,

tym lepiej, Ostrakowa bowiem realnie ocenia³a swoje umiejętności

strzeleckie. Zas³oni³a palcem judasza, żeby tamci nie mogli patrzeć, a potem sama przy³o³y³a oko do szkie³ka, chc¹c sprawdzić, kim s¹ ci ludzie - i kogo³ to ujrza³a najpierw, jeżeli nie sw¹ g³upi¹ dozorczyń¹e, stoj¹c¹ bardzo blisko drzwi, okr¹g³¹ jak cebulka w znieksztacaj¹cej obraz soczewce; w poblasku kafelków na piêtrze jej w³osy wydawa³y siê zielone, na twarzy

mia³a gumowy ucemiech i nochal, stercz¹cy niczym kaczy dziób.

Ostrakowa s¹dzi³a, że lekkie kroki nale³ają w³acenie do niej - albowiem lekkość, tak jak ból czy szczęście, jest zawsze wzglêdna

w stosunku do przesz³ych lub przysz³ych wydarzeñ. Dalej Ostrakowa

ujrza³a ma³ego jegomościa w okularach, który przez judasza

wydawa³ siê tak gruby, jak cz³owieczek ze znaku firmowego

Michelina. Kiedy tak mu siê przygl¹da³a, z namaszczeniem zdj¹³

s³omiany kapelusz, pochodz¹cy prosto z jakiejœ powieœci Turgieniewa, i sta³ przyciskaj¹c go do boku, jak gdyby s³ucha³ w³acenie swojego hymnu narodowego. Domyœli³a siê na podstawie tego

gestu, ¿e ma³y jegomoœæ chce jej powiedzieæ, i¿ wie, ¿e Ostrakowa

siê boi, wie, ¿e najbardziej boi siê zas³oniêtej twarzy, i ¿e odkrywaj¹c g³owê w pewnym sensie ujawnia wobec niej uczciwe zamiary.

Jego niewzruszonoœæ i powaga roztacza³y wokó³ atmosferê

jakiejœ obowi¹zkowej uleg³oœci, co podobnie jak jego g³os przypomina³o kobiecie Ostrakowa; byæ mo¿e przez judasza istotnie

wygl¹da³ jak ¿aba, ale szk³o nie mia³o wp³ywu na jego zachowanie.

Ostrakowa przypomina³ jej te^z okularami, niezbêdnymi mu tak,
jak

niezbêdna jest laska kulawemu. Ostrakowa d³ugo przypatrywa³a
siê

wszystkiemu z bij¹cym sercem, lecz bardzo spokojnie,
trzymaj¹c

lufê przyciœniê¹ do drzwi i palec na cynglu, rozwa^zaj¹c, czy nie
zastrzelia^e go tutaj i teraz, wprost przez drzwi:

- To za Glikmana, to za Ostrakowa, to za Aleksandrê.

W swojej podejrzliwoœci gotowa by³a bowiem uwierzya^e,
z^e

wybrali takiego w³acenie cz³owieka ze wzglêdu na jego
szlachetny

wygl¹d; wiedzieli dobrze, z^e Ostrakow, choœ gruby, umia³
wygl¹daæ

dystyngowanie.

- Nie potrzebujê pomocy - odkrzyknê³a wreszcie Ostrakowa i
z

przera^zeniem patrzy³a, jakie wra^zenie wywr¹ na nim jej s³owa.
Ale

akurat w tej chwili ta g³upia konsjer^zka postanowi³a zacz¹aæ

wrzeszczeæ na w³asn¹ odpowiedzialnoœæ.

- Madame, to d¿entelmen. Jest Anglikiem. Martwi siê o pani¹.

Jest pani chora, madame, ca³a ulica siê o pani¹ niepokoi.
Madame,

nie mo¿e siê tak pani d³u¿ej zamykaæ. - Pauza. - On jest lekarzem, madame: prawda, monsieur? To renomowany lekarz,

specjalista od chorób duszy. - Potem Ostrakowa us³ysza³a, jak ta

idiotka szepcze: - Niech pan jej powie, monsieur. Niech pan jej powie, ¿e jest pan lekarzem.

Ale nieznamy z dezaprobat¹ pokrêci³ g³ow¹ i odpar³:

- Nie. To nieprawda.

- Madame, proszê otworzyæ, bo wezwê policjê - krzyknê³a

konsjer¿ka. - Rosjanka i robi taki skandal.

- Nie potrzebujê pomocy - powtórzy³a znacznie g³oœniej Ostrakowa.

Ale wiedzia³a ju¿, ¿e pomoc potrzebna jest jej bardziej ni¿

cokolwiek innego; i bez pomocy nigdy nie będzie w stanie
zabić,

podobnie zresztą jak Glikman. Nawet gdyby sam Diabeł był
w

po bliźcu, nie umiałaby nigdy zabić dziecka innej kobiety.

Tymczasem Ostrakowa czuwała nadal, a mały człowiek
podszedł

powoli bliżej, a kobieta widziała w soczewce tylko jego
twarz,

niewyraźnie jak twarz oglądana pod wodą; po raz pierwszy
dostrzegła w niej wtedy zmęczenie i przekrwione, podbite
ciężkimi

sińcami oczy za szkłami okularów; wyczuła w nim żarliwą
troskę o

siebie, troskę, która nie miała nic wspólnego ze śmiercią, lecz z
ocaleniem; wyczuła, że spogląda na oblicze pełne niepokoju, a
nie

na twarz, która na zawsze wyzbyła się współczucia.

Męczyczna

zbliżyła się jeszcze bardziej, ale wystarczył sześć skrzynek na
listy i Ostrakow ogarnęła przerażenie, bo o mały włos nie

poci¹gn^ê³a przez pomy^³k^ê za cyngiel. Pocz^³a konwulsje w d^³oni i

powstrzyma^³a rêk^ê dopiero w ostatniej chwili; potem przystan^ê³a,

¿eby podnieœæ kopert^ê z wycieraczki. By^³ to jej w^³asny list, adresowany do Genera^³a - ten drugi, napisany po francusku, zawieraj¹cy s^³owa: "Ktoœ próbuje mnie zabiæ". W ostatnim odruchu

oporu zacz^ê³a siê zastanawiaæ, czy ten list to nie jakœ sztuczka, czy tamci go przypadkiem nie przejêli, nie kupili lub nie uczynili czegoe, co czyni¹ zwykle z^³oczyñcy. Jednak¿e widz¹c

swój list, rozpoznaj¹c rozpoczynaj¹ce go s^³owa i ich rozpaczliwy

ton, pocz^³a siê nagle okropnie znu¿ona fa^³szem i nieufnoœci¹,

znu¿ona próbami odnalezienia z^³a tam, gdzie przede wszystkim

pragn^ê³a znaleŹæ dobro.

Znów us^³ysza^³a g^³os grubego cz^³owieka, starannie wyuczona

francuszczyzna, choæ nieco kulawa, i przypomnial³y siê jej strzêpy

zapamiêtanych ze szko³y wierszyków. A jeżeli k³ama³, to by³o to

najbardziej przebieg³e k³amstwo, jakie kiedykolwiek w ¿yciu

s³ysza³a.

- Czarodziej nie ¿yje, madame - powiedzia³, pokrywaj¹c judasza mgie³k¹ oddechu. - Przyjecha³em z Londynu, ¿eby go

zast¹piæ i s³u¿yæ pani pomoc¹.

Jeszcze przez wiele lat póŹniej, a byæ mo¿e nawet przez ca³e

¿ycie, Peter Guillam opowiada³ mniej lub bardziej szczerze historiê swojego powrotu do domu owego wieczoru i zawsze

podkreœla³ wyj¹tkowe okolicznoœci, towarzyszy¹ce tamtym

wydarzeniom. Po pierwsze, przez ca³y dzieñ by³ w z³ym humorze. Po

drugie, ambasador wy³aja³ go publicznie za wyg³oszenie

niestosownej i lekkomyślnej uwagi na temat stanu brytyjskiego

budżetu.

Po trzecie, niedawno się ożenił, a jego młodzieńcza żona była w ciąży. Po czwarte, zadzwoniła akurat w chwili po tym,

kiedy odszyfrowała długie i nieprawdopodobnie nudne zawiadomienie

z Cyrku, przypominające mu po raz piętnasty, że na francuskiej

ziemi nie będą podejmowane żadne, powtarzamy żadne operacje, bez

uprzedniego pisemnego zezwolenia z Kwatery Głównej.

I po piąte - le tout Paris wpadł w ciążę w kolejny okres paniki z powodu fali porwań. A wreszcie pozycja głównego

rezydenta Cyrku w Paryżu znana była szeroko jako rodzaj kostnicy

dla oficerów oczekujących rychłego pochówku i nie oferowała wiele

więcej ponad możliwości konsumpcji nie kończących się lunchów z

wyjatkowo przekupnymi i niezwykle nudnymi szefami konkurencyjnych

francuskich służb wywiadowczych, którzy więcej czasu spędzali,

szpiegując wzajemnie siebie aniżeli domniemanych wrogów.

Należy wziąć pod uwagę wszystkie te okoliczności, twierdzi

później Guillam, zanim oskarży się go o zapalczywość.

Dodajmy, że

Guillam był sportowcem i pół - Francuzem, choć ze względu na

zainteresowania można by go uznać raczej za Anglika; był szczupły

i wścieknie przystojny - lecz choć stawia czasowi żarty opór,

wzrostem zbliża się do pięćdziesiątki, stanowicej próg, poza który wykraczają kariery już tylko niewielu oficerów operacyjnych.

Guillam był także właścicielem nowiutkiego porschea, którego

nabył nieco wstydliwie po specjalnej cenie dla dyplomatów i

trzyma³ wbrew zdecydowanej niechęci ambasadora na parkingu dla

pracowników ambasady.

A zatem Marie - Claire Guillam zadzwoni³a do m^ê;^a punktualnie o szóstej, gdy Guillam zamyka³ swoje ksi¹;^{ki} kodowe.

Mia³ na biurku dwa telefony, jeden, przynajmniej teoretycznie, operacyjny i bezpośredni, drugi natomiast po³¹czony z central¹ w

ambasadzie. Marie - Claire dzwoni³a na linii bezpośredniej, a ma³;^{onkowie} uzgodnili, [¿]e b^êd¹ jej u[¿]ywa^æ jedynie w nag³ych

wypadkach. Mówi³a po francusku, który by³ wprowadzie jej ojczystym

j^êzykiem, ale ostatnio porozumiewali si^ê g³ównie po angielsku,

[¿]eby poprawia^æ wymow^ê Marie - Claire.

- Peter - zacz^ê³a.

Od razu wyczu³ napi^êcie w jej g³osie.

- Marie - Claire? Co si^ê sta³o?

- Peter, jest kto^æ u nas. Chce, [¿]eby^æ natychmiast

przyjecha³.

- Kto to jest?

- Nie mogê ci powiedzieæ. To wa¿ne. Proszê, przyjedŸ natychmiast -powtórzy³a Marie - Claire i od³o¿y³a s³uchawkê.

Kierownik biura Guillama, niejaki pan Anstruther, sta³ pod drzwiami skarbcza, kiedy zadzwoni³ telefon, i czeka³, a¿ Guillam

otworzy cyfrowy zamek, zanim obaj schowaj¹ swoje klucze. Pan

Anstruther zobaczy³ przez otwarte drzwi, jak Guillam z trzaskiem

odk³ada s³uchawkê na wide³ki, a po chwili ujrza³, ¿e szef ni st¹d, ni zow¹d rzuca mu - z du¿ej odleg³oœci, co najmniej czterech metrów -œwiêty osobisty klucz G³ównego Rezydenta, niemal

symbol jego funkcji, który pan Anstruther jakimœ cudem pochwyci³:

wzniós³ lew¹ d³oñ i z³apa³ klucz nachwytem, niczym amerykański

baseballista. Przyzna³ siê potem Guillamowi, ¿e nie zdo³a³by tego

uczyniać ponownie, choćby próbowa³ nawet sto razy.

- Nie ruszaj się st¹d, dopóki nie zadzwoniê! - krzykn¹³

Guillam. - Usi¹dŸ przy moim biurku i odbieraj telefony.
S³yszysz?

Anstruther s³ysza³, ale w tym czasie Guillam by³ już w po³owie absurdalnie eleganckich, spiralnych schodów ambasady, roztr¹caj¹c maszynistki, straż¹ników s¹dowych i bystrych m³odzieńców, wybieraj¹cych się na seriê wieczornych koktajli.

Kilka chwil póŸniej siedzia³ już za kierownic¹ porschea, grzej¹c silnik jak kierowca wyścigowy, którym byæ moŸe by³ rzeczywiêcie w

poprzednim Ÿyciu. Guillam mieszka³ w Neuilly i zazwyczaj te

sportowe rajdy w godzinie szczytu stanowi³y dla niego rozrywkê,

przypomina³y mu bowiem dwa razy dziennie, Ÿe - jak to ujmowa³ -

bez wzglêdu na codzienn¹ nudê pracy w ambasadzie Ÿycie wokó³ jest

pe³ne niebezpieczeñstw, czadu i radoœci. Lubi³ nawet mierzyæ czas

przejazdu. Je¼eli jecha³ Avenue Charles de Gaulle i mia³ szcêœcie na œwiat³ach, dwadzieœcia piêæ minut przy wieczornym

ruchu nie by³o niemo¼liwoœci¹. PóŸno wieczorem albo wczesnie rano

móg³ dziêki pustym drogom i tablicom korpusu dyplomatycznego

skrœciaæ trasê do kwadransa, ale w godzinie szczytu trzydzieœci

piêæ minut stanowi³o niez³y wynik, czterdzieœci zaœ normê. Tego

popo³udnia, drêczony wizjami Marie - Claire trzymanej na muszce

przez bandê szalonych nihilistów, pokona³ drogê do domu w

osiemnacie minut. Przekazane póŸniej ambasadorowi raporty

policyjne g³osi³y, Ÿe Guillam trzykrotnie zlekcewa¼y³ œwiat³a i Ÿe na ostatniej prostej rozwin¹³ blisko sto czterdzieœci kilometrów na godzinê; ale by³a to z koniecznoœci jedynie

prawdopodobna wersja wydarzeń, nikt bowiem nie przejawia³ ochoty,

żeby dotrzymaæ mu tempa. Sam Guillam pamięta z tej jazdy jedynie

niedosz³e zderzenie z samochodem meblowym i jakiegoś ob³¹kanego

rowerzystę, któremu wpad³o do g³owy, żeby skręcić w lewo, kiedy

on znajdowa³ się akurat jakieś sto pięćdziesiąt metrów za nim.

Mieszka³ na trzecim piętrze w willi. Jeszcze przed domem przyhamowa³ ostro, zgasi³ silnik, tocz¹c się podjecha³ do krawężnika i stan¹³ na ulicy.

Potem popędzi³ do drzwi na tyle bezszelestnie, na ile tylko pozwala³ mu poëpiech. S¹dzi³, że zobaczy gdzieś w pobliżu

zaparkowany samochód, prawdopodobnie z gotowym do ucieczki

kierowc¹, ale ku chwilowej uldze Guillama w okolicy nie by³o

widacæ żadnego auta. Jednakże w sypialni pali³o się świat³o, więc

widzia³ teraz zakneblowan¹ i przywi¹zan¹ do ³ó³ka Marie -
Claire,

nad któr¹ siedzieli oczekuj¹cy na przyjazd Guillama
porywacze.

Jeżeli to jego chcieli dostać, nie mia³ zamiaru ich rozczarować.

Przyjecha³ bez broni, nie mia³ innego wyboru.

Gospodarze Cyrku bali się broni jak diabe³ oświęconej wody,
a

jego nielegalny rewolwer spoczywa³ w szafce nocnej, gdzie,
bez

w¹tpienia tamci już dawno go znaleźli. Wszed³ po cichutku
na

trzecie piętro, przy drzwiach zdj¹³ marynarkę i rzuci³ ją pod
nogi na pod³ógę. Klucz trzyma³ w ręce, wsun¹³ go w zamek
tak

delikatnie, jak tylko umia³, a potem przez skrzynkę na listy
zawo³a³: Facteur -listonosz - i później jeszcze Express. Czeka³ z
kluczem w d³oni, aż us³ysza³ zbliżaj¹ce się kroki, o których
wiedzia³ od razu, że nie należą¹ do Marie - Claire. By³y powolne,
a nawet ocięża³e i, jak się wyda³o Guillamowi,
znamionowa³y

nadmiern¹ pewnoœæ siebie. Ponadto zbliŹa³y siê od strony sypialni. Potem Guillam robi³ juŹ wszystko jednoczeœnie. Wiedzia³, Źe aby otworzyæ drzwi od wewn¹trz, trzeba wykonaæ dwie

czynnoœci: najpierw naleŹy zwolniaæ ³añcuch, a póŹniej przesun¹æ

zamek zatraskowy. Na wpó³ przykucniêty Guillam odczeka³, aŹ

us³yszy opadaj¹cy ³añcuch, po czym wykorzysta³ swoj¹ jedyn¹ broñ

- zaskoczenie.

Przekrêci³ klucz, ca³ym ciêŹarem rzuci³ siê na drzwi i w tej samej chwili zobaczy³ ku swej ogromnej satysfakcji jak jakœ

pulchna postaæ odrzucona gwa³townie ku ty³owi wpada na wisz¹ce w

przedpokoju lustro i str¹caje ze œcian. Guillam chwyci³ nieznanego, raptownym chwytem za³oŹy³ mu dŹwigniê na ramiê -i

wtedy zobaczy³ przestraszon¹ twarz swojego d³ugoletniego przyjaciela i nauczyciela, Georgea Smileya, który spogl¹da³ na

niego bezradnie.

Epilog tego spotkania Guillam zrelacjonowa³ doœæ mgliœcie;

oczywiœcie nie by³ uprzedzony o przyjeŹdzie Smileya, który

niewiele wyjaœni³ mu w mieszkaniu, byæ moŹe z obawy przed

pod³uchem. Marie - Claire by³a w sypialni, ale nie zosta³a skrêpowana ani zakneblowana; na ³óku, wskutek jej nalegañ,

po³o³y³a siê natomiast Ostrakowa, nadal ubrana w swoj¹ czarn¹

sukniê.

Marie - Claire us³ugiwa³a Rosjance, jak tylko mog³a, podsuwaj¹c jej to pierœ kurczêcia w galarecie, to herbatê miêtow¹, a to znów inne specja³y, które zapobiegliwie przygotowa³a na ten cudowny, choæ niestety wci¹ odleg³y dzieñ,

kiedy takŹe i Peter bêdzie wymaga³ jej opieki. Guillam spostrzeg³, Źe Ostrakowa - której nazwiska jeszcze wtedy nie zna³

- wygl¹da³a na pobit¹. Wokó³ ust i oczu mia³a rozleg³e, szare siniaki, a palce jej d³oni poszatkowane zosta³y na kawa³ki, najprawdopodobniej podczas próby obrony Smiley pozwoli³

Guillamowi przez chwilê przygl¹daæ siê tej scenie - m³odziutka,

zdenerwowana ma³çonka roztaczaj¹ca opiekê nad pokiereszowan¹ dam¹

- a potem zaprowadzi³ Petera do jego w³asnego salonu, gdzie bez

zw³oki przedstawi³ mu swoje ç¹dania z ca³ym autorytetem jego

dawnego szefa, którym zreszt¹ istotnie niegdyçe by³. Teraz dopiero

wczesniejszy pocępiech Guillama otrzyma³ jakieçe uzasadnienie.

Ostrakowa - Smiley wyraż³a siê o niej jedynie jako o naszym

goçeci¹ - musi opuçciæ Paryç¹ dzie wieczorem.

Kryjówka w pobliç¹u Orleanu, któr¹ Smiley nazywa³ wiejsk¹

posiad³oçeci¹, nie jest wystarczaj¹co bezpieczna; Ostrakowej

potrzebne jest miejsce, w którym znajdzie ochronę i opiekę.

Guillam przypomina³ sobie francuskie małżeństwo,
mieszkające w

Arras, pewnego emerytowanego agenta wraz z żoną,
który

kilkakrotnie zapewnia³ już schronienie różnym przelotnym
ptakom

Cyrku. Ustalono, że Guillam zatelefonuje do nich, ale nie z
mieszkania; Smiley posła³ go do budki telefonicznej.

Zanim Guillam załatwi³ wszystko i wróci³, Smiley napisał
kilka zdań na kartce ozdobionej okropnym wizerunkiem
pasujących się

króliczków, wyrwanej z notatnika Marie - Claire. Chcia³,
żeby

Guillam natychmiast przekaza³ do Cyrku wiadomości: Saul
Enderby,

do ręk w³asnych, odszyfrować osobicie. Za namową Smileya
Guillam

przeczyta³ (ale po cichu) tekst, zawierający uprzejmą prośbę o
spotkanie w mieszkaniu Bena dokładnie za czterdzieści
osiem

godzin, a to w zwi¹zku z kolejnym zgonem, o którym ju² ci
z

pewno¹ci doniesiono.

Guillam nie mia³ zielonego poj²cia, o jakiego Bena chodzi.

- Aha, Peter.

- Tak, George - odrzek³ wci¹u nieco oszo³omiony Guillam.

- Przypuszczam, u²e istnieje co²e takiego, jak oficjalny
rejestr akredytowanych w Pary²u dyplomatów. Nie masz
go

przypadkiem w domu?

Guillam przypadkiem go mia³. W³a²ciwie Marie - Claire
wr²cz

u²y³a wed³ug niego. Nigdy nie pami²ta³a nazwisk, wi²ec spis
le²u³

ko³o jej telefonu w sypialni, by mog³a z niego skorzysta²e w
ka²dej chwili, kiedy telefonowa³ jakie²e pracownik obcej
ambasady z

kolejnym zaproszeniem na drinka, na obiad lub - co
najstraszniejsze - na obchody jakiego²e narodowego ²ewi²ta.

Guillam przyni³ós ksi²g²e i w chwil²e p²o²niej zagl¹da³ ju²

Smileyowi przez ramiê. -Kirow - œledz¹c kciuk Smileya przeczyta³

Guillam, ale i tym razem po cichu. - Kirow, Oleg, drugi handlowy

sekretarz ambasady. Kawaler - Dalej nastêpowa³ adres w getcie

ambasady radzieckiej w Siódmej Dzielnicy.

- Natkn¹³œœ siê kiedyœ na niego? - spyta³ Smiley.

Guillam pokrêci³ g³ow¹. - Przygl¹daliœmy siê mu kilka lat temu. Ma adnotacjê przy nazwisku: rêce przy sobie.

- Kiedy sporz¹dzono tê listê? - spyta³ Smiley. OdpowiedŸ by³a wydrukowana na ok³adce: w grudniu zesz³ego roku.

- Cój, a zatem gdy wrócisz do biura... - powiedzia³ Smiley.

- Obejrzê jego akta - obieca³ Guillam.

- Jest jeszcze to - powiedzia³ ostro Smiley i poda³

Guillamowi zwyk³¹, plastikow¹ torbê, zawieraj¹c¹, jak póŸniej zobaczy³ Guillam, kilka miniaturowych kaset i grub¹, br¹zow¹ kopertê.

- Pierwsz¹ poczt¹ dyplomatyczn¹ jutro - powiedzia³ Smiley. -

Ten sam stopieñ tajnoœci i ten sam odbiorca, co w przypadku telegramu.

Pozostawiwszy obie kobiety zamkniête w sypialni i wci¹¿ œelêcz¹cego nad list¹ Smileya, Guillam pogna³ z powrotem do

ambasady, gdzie zwolni³ z telefonicznej warty oszo³omionego

Anstruthera, odda³ mu torbê i przekaza³ odpowiednie instrukcje.

Guillamowi udzieli³o siê zdenerwowanie Smileya i ca³y oblewa³ siê

potem. Powiedzia³ póŹniej, Ÿe przez te wszystkie lata znajomoœci

z Georgem nigdy przedtem nie widzia³ go tak skoncentrowanego,

zdeteminowanego, skrytego i zrozpaczonego. Otworzy³ skarbiec,

osobiœcie zaszyfrowa³ i wys³a³ telegram, czekaj¹c jedynie na potwierdzenie odbioru z Kwatery G³ównej, po czym bezzw³ocznie

wyci¹gn¹³ akta pracowników ambasady sowieckiej i j¹³
prze¹gl¹da^æ

stare listy osób pozostaj¹cych pod obserwacj¹. Nie musia³
daleko

szuka^æ. W serii trzeciej, przekazanej do Londynu, znalaz³
wszystko, co mog³o by^æ mu potrzebne. Kirow, Oleg, drugi
handlowy

sekretarz ambasady figurowa³ ju^ż tutaj jako żona, okaza³o si^ê
jednak, że żona nie przebywa wraz z nim na placówce, a sam
Kirow

powróci³ do Moskwy dwa tygodnie temu.

W rubryce przeznaczonej na rozmaite uwagi dodatkowe
umieszczono notatk^ê francuskich s³u^żb wywiadowczych
g³osz¹c¹, że

wedle dobrze poinformowanych Ÿród³ sowieckich Kirow
zosta³

odwo³any w trybie pilnym przez radzieckie Ministerstwo
Spraw

Zagranicznych w celu obj^êcia nieoczekiwane zwolnionego
wy^ższego

stanowiska. W tej sytuacji wyprawienie Kirowowi
zwyczajowego

przyjêcia poŹegnalnego nie okaza³o siê moŹliwe.

Po powrocie Guillama do Neuilly Smiley wys³ucha³ jego sprawozdania w ca³kowitym milczeniu. Nie wydawa³ siê zaskoczony,

raczej przeraŹony, a kiedy nareszcie przemówi³, co sta³o siê dopiero wtedy, gdy wszyscy troje siedzieli juŹ w pêdz¹cym w

stronê Arras samochodzie, w jego g³osie pobrzmiewa³ niemal

beznadziejny ton.

- Tak - powiedzia³, jak gdyby Guillam zna³ ca³¹ sprawê na wylot. - Tak, oczywiêcie, on dok³adnie tak w³aczenie by post¹pi³,

prawda? Odwo³a³by Kirowa pod pretekstem awansu, aby uzyskaæ

pewnoœæ, Źe naprawdê przyjedzie.

Guillam orzek³, zapewne w przyp³ywie spóŹnionego olœnienia,

Źe George nie mówi³ takich rzeczy od czasu, kiedy zdemaskowa³

Billa Haydona jako kreta Karli i kochanka Anny.

Również w pamięci Ostrakowej nie zachowało się wiele logicznie spójnych wspomnień z owej nocy; ani z podróży samochodem, podczas której udało jej się zasnąć, ani z cierpliwego, lecz uporczywego celedztwa, jakiemu poddał się ten

mały, pulchny człowieczek, gdy obudził się późnym rankiem

następnego dnia. Być może chwilowo utracił zdolność doznawania

wrażeń - a co za tym idzie, także zdolność zapamiętywania.

Odpowiadała na jego pytania, była mu wdzięczna, podała mu - bez

zapachu czy zbędnej ornamentyki - te same informacje, które podała

przedtem Czarodziejowi, choć Smiley wikszość z nich wydawał się

już znać.

- Czarodziej - powiedziałła w pewnym momencie Ostrakowa. -

Nie żyje.

Mój Boże.

Spytała o Generała, ale ledwie zwróciła uwagę na niezobowiązującą odpowiedź Smileya. Myślała o Ostrakowie, potem o

Glikmanie, teraz o Czarodzieju - a nie poznała nawet jego nazwiska. Gospodarze byli mili, lecz jak na razie nie wywarli na

niej większego wrażenia. Padała deszcz i Ostrakowa nie widziała

odległych pól.

A jednak mimo wszystko wraz z upływem tygodni zapadała

pomaleńku w idylliczną hibernację. Surowa zima nadeszła wczesnym

i Ostrakowa pozwoliła otulić się jej ciepłotą; spacerowała trochę,

potem znacznie częściej, wczesnym szła na spoczynek, odzywała się

rzadko, a wraz z jej ciałem regenerowała się także duch. Z początku w jej głowie panował wybaczalny chaos i czasem

się na tym, że myśli o córce w kategoriach, w których przedstawi

ję ryzy nieznamy, że Aleksandra jest chuligańską dysydemką i nieposkromioną buntowniczką.

Później Ostrakowej powoli ujawniła się logika tej całej historii.

Wyrozumaczyła sobie, że gdzieś tam mieszka prawdziwa

Aleksandra, wiedząca swoje życie i posiadająca własny charakter,

tak jak przedtem. Albo, tak jak przedtem, nie posiadająca własnego charakteru. W obu wypadkach kłamstwa ryzyego nieznanego

dotyczyły zupełnie innej osoby, którą tamci wymyślili sobie dla

swoich celów.

Ostrakowej udało się nawet znaleźć pociechę w nie pozbawionym podstaw przypuszczeniu, że jej córka, jeżeli w ogóle

żyje, pozostaje całkowicie nieświadoma prowadzonych wokół niej

machinacji. Byæ moŹe rany, ktre zadano zarwno jej ciaŹu, jak i

duszy, uczyniŹy to, czego nie zdoŹaŹy dokonaæ lata modlitw i trwogi, i oczyœciŹy j¹ z poczucia winy wobec Aleksandry.

Op³akiwaŹa czasem Glikmana, pojêŹa, Źe jest na œwiecie zupe³nie

sama, ale na tle zimowego pejzaŹu samotnoœæ nie byŹa jej niemiŹa.

Pewien emerytowany brygadier poprosiŹ j¹ o rêkê, lecz Ostrakowa

odmwiŹa. OkazaŹo siê pŹniej, Źe prosi o rêkê wszystkie kobiety.

Co najmniej raz w tygodniu odwiedzaŹ j¹ Peter Guillam i wtedy

spacerowali razem godzinê lub dwie. Peter opowiadaŹ jej bezb³êdn¹

francuszczyzn¹ o ogrodnictwie krajobrazowym, a wiadomoœci

Guillama na ten temat byŹy wprost niewyczerpane. W okresie, jaki

obejmuje ta historia, tak w³acenie wygl¹daŹo Źycie Ostrakowej.

PrzeŹyŹa je do koñca, nie maj¹c najmniejszego pojêcia o

wydarzeniach, którym nada³ bieg jej pierwszy list do Genera³a.

* * *

A wiesz, ¿e on siê naprawdê nazywa Ferguson? - wycedzi³
Saul

Enderby z owym klubowym akcentem z Belgravii, stanowi¹cym
szczyt

chamstwa wœród wy¿szych warstw spo³eczeñstwa angielskiego.

- Nigdy w to nie w¹tpi³em - odrzek³ Smiley.

- To wszystko, co pozosta³o z ca³ej stajni latarników.

Mêdrcy nie s¹ ju¿ zwolennikami nadzoru wewnêtrznego.
To

antypartyjne czy coœ w tym guœcie. - Enderby nadal
studiowa³

jakieœ pêkaty dokument, który trzyma³ w d³oni. - Wiêc jak ciê
zwaæ, George? Sherlockiem Holmesem, tropi¹cym
nieszczêsnego,

starego profesora Moriarty? Kapitanem. Lhabem w pogoni
za

wielkim, bia³ym wielorybem? Kim jesteœ?

Smiley nie odpowiedzia³.

- Chcia³bym mieæ wroga, jak pragnê zdrowia - zauwa³y³
Enderby, przewracaj¹c kartki. - Szuka³em go ca³ymi latami.
Prawda, Sam?

- Dniem i noc¹, szefie - przytakn¹³ ochoczo Sam Collins,
posy³aj¹c swojemu panu porozumiewawczy uœmiech.

Mieszkanie Bena by³o pokojem na ty³ach mrocznego hotelu
w

Knightsbridge, gdzie wszyscy trzej spotkali siê godzinê temu.

ZARZËD, OSOBOM OBCYM WSTÊP WZBRONIONY,
g³osi³a tabliczka na

drzwiach. W œrodku mieœci³a siê poczekalnia, mo³na by³o w
niej

zostawiaæ p³aszcze i kapelusze i odseparowaæ siê od œwiata.

Dalej

znajdowa³ siê obity dêbow¹ boazeri¹ gabinet, pe³en ksi¹¿ek i
zapachu pi³ma, wychodz¹cy na prostok¹t zagrabionego
parkowi i

otoczonego murem ogrodu z marmurowym anio³em, stawem rybnym i

œcie¹ do kontemplacyjnych spacerów. To³ samoœæ Bena, jeœli w

ogóle j¹ kiedykolwiek posiada³, zginê³a gdzieœ w niepisanych

archiwach mitologii Cyrku. Ale pozosta³o po nim mieszkanie, nie

udokumentowany, uboczny przywilej stanowiska zajmowanego przez

Enderbyego, a wczesniej Georgea Smileya - miejsce spotkañ, które

siê nigdy nie odby³y.

- Przeczytam jeszcze raz, jeœli nie masz nic przeciwko temu

- powiedzia³ Enderby. - O tej porze trochê wolniej myœlê, -

Uwa³am, œe ponowna lektura mog³aby siê okazaæ niezwykle pomocna,

szefie - powiedzia³ Collins.

Enderby przesun¹³ okulary, œeby móc spogl¹daæ ponad nimi,

ale skryta teoria Smileya g³osi³a, œe i tak by³y po prostu ze

zwyk³ego szk³a.

- Gada Kirow. To już potem, jak Leipzig dobra³ mu siê do skóry, prawda, George? - Smiley s³abo skin¹³ g³ow¹. - Siedz¹ jeszcze w bajzlu ze spuszczoneymi spodniami, ale jest pi¹ta rano i dziewczyny odes³ano do domu. Najpierw mamy tu ³zawę i ale Kirowa:

"Jak mog³eœ mi to zrobiæ? Myœla³em, i³e jesteœ moim przyjacielem,

Otto". Potem sk³ada oœwiadczenie, prze³o³one niepoprawn¹

angielszczyzn¹ przez t³umaczy. Zawarli porozumienie - tak to siê

mówi, George? Stêkania i pochrz¹kiwania opuszczono.

Bez wzglêdu na to, czy tak siê mówi³o, czy nie, Smiley nie udzieli³ Enderbyemu i³adnej odpowiedzi. Byæ mo³e zreszt¹ nikt jej

nie oczekiwa³.

Siedzia³ nieruchomo w skórzanym fotelu, pochylony nad zaciœnietymi d³oñmi, i nie zdj¹³ nawet br¹zowego, tweedowego

paszcza. Z boku leżał maszynopis sprawy Kirowa. Smiley
wyglądał

mizernie i Enderby powiedział później, że musiały być chyba
na

diecie. Sam Collins, szef Wydziału Operacyjnego, siedział
dosłownie w cieniu Enderbyego; wytworny mężczyzna z
włoskiem i

będącym zawsze w pogotowiu wyrazistym ucieniem.
Dawniej Collins

należał do wojowników Cyrku, których lata praktycznej
pracy

operacyjnej nauczyły pogardzać żargonem piątego piętra.
Obecnie z

krusownika stał się strażnikiem, pracującym na swojej emeryturze
i

bezpieczną przyszłość, tak jak pracował dawniej nad
swymi

siatkami wywiadowczymi. Ogarnął go świadoma
bezmocność; wypalał

brzoze papierosy do połowy, a potem gasił je w popękanej
muszli,

wiernie patrz¹c psim wzrokiem na swojego pana, Enderbyego.
Ten

ostatni sta³ zaœ oparty o filar wielkiego okna, gdzie jego
sylwetka rysowa³a siê ostro w padaj¹cym z zewn¹trz
œwietle.

D³uba³ w zêbach kawa³kiem zapa³ki, a z lewego rêkawa
wystawa³a mu
chusteczka do nosa.

Lekko zgiête kolano wysun¹³ w przód, jak gdyby znajdowa³
siê

w lo¿y cz³onkowskiej w Ascot. W ogrodzie niczym delikatna
gaza

k³ad³y siê na murawie strzêpy mg³y. Enderby uniós³ g³owê i
odsun¹³ dokument, jak gdyby to by³ jad³ospis.

- No to jedziemy. Jestem Kirow. Jako oficer finansowy
pracuj¹cy w Centrum Moskiewskim od tysi¹c
dziewiêæset

siedemdziesi¹tego do siedemdziesi¹tego czwartego roku
mia³em

obowi¹zek wykrywaæ wszelkie nieprawid³owoœci w
ksiêgowoœciach

zagranicznych placówek i pociągów winnych do odpowiedzialności. -

Przerwał i znowu uniósł wzrok znad okularów. - To wszystko dzieło

się jeszcze, zanim wysłano Kirowa do Paryża, tak?

- Jak najbardziej - odrzekł skwapliwie Collins i zerknął na Smileya spodziewając się poparcia, którego jednak nie uzyskał.

- Próbuj to jakoś rozgryźć, rozumiesz, George - wyjaśnił

Enderby. - Nie mam tych twoich szarych komórek.

Sam Collins uśmiechnął się promiennie słyszając, jak skromności wykazał się jego szef.

Enderby ciągnął dalej:

- W wyniku prowadzonych przeze mnie niezwykle delikatnych i

poufnych dochodzeń, które w niektórych przypadkach kończyły się

karami dla wysokich oficerów Centrum Moskiewskiego, poznałem

znanego w Centrum jedynie pod pseudonimem Karla szefa

niezależnego Trzynastego Departamentu Wywiadu,
podlegającego

bezpośrednio Komitetowi Centralnemu Partii.

Karla to imię hiszpańskie i stanowiło podobno kryptonim
pierwszej siatki, którą prowadzi ten człowiek. To prawda,
George?

- Podczas wojny domowej w Hiszpanii - powiedział Smiley.

- Wielki plac zabaw. Tak, tak. Idźmy dalej. Trzynasty

Departament jest wydzieloną jednostką Centrum
Moskiewskiego,

ponieważ jego głównym zadaniem jest nabór, szkolenie i
umieszczanie głęboko zakonspirowanych agentów, zwanych
także

kretami, w państwach faszystowskich... bla... bla... bla...

Niejednokrotnie mija wiele lat, nim kret znajdzie sobie
odpowiednie miejsce w kraju docelowym i rozpocznie swoją
tajną

działalność.

Cienie Krwawego Billa Haydona. Obowiązek kierowania
pracą

takich kretów nie jest powierzany zwyczajnym placówkom

zagranicznym, lecz, jak się określa, wysłannikowi Karli, bédnemu

zazwyczaj oficerem wojskowym i pełniłemu oficjalnie funkcję

attache ambasady. Tacy wysłannicy są jak najstaranniej dobierani

osobiście przez Karla i stanowi swoistą elitę... bla... bla...

cieszą się zaufaniem i swobodą, jakiej są pozbawieni inni

oficerowie Centrum. Otrzymują ponadto wysokie wynagrodzenie i

mają możliwość podróży. Z tego też powodu bywają obiektem

zazdrości pozostałych pracowników wywiadu.

Enderby udał, że wzdycha:

- Chryste, ci tłumacze! - zawołał. - A może to Kirow jest takim piekielnym nudziarzem. Wydawałoby się, że człowiek

dokonujący wyznania na ołtarzu cęmierci powinien być na tyle

taktowny, żeby wyrażać się zwięźle, co?

Ale nie nasz Kirow. Jak tam u ciebie, Sam?

- Ćwietnie, szefie, ćwietnie.

- No to wracamy do rzeczy - powiedzia³ Enderby, na nowo

uderzaj¹c w swój obrzędowy ton: W toku moich badań nadużyæ

finansowych pojawi³a się między innymi kwestia uczciwoœci

lizboñskiego rezydenta Karli, niejakiego pu³kownika Or³owa. Karla

zwo³a³ z³ożony ze swoich ludzi trybuna³, żeby rozpatrzyæ sprawê.

Na skutek przedstawionych przeze mnie dowodów pu³kownik Or³ow

zosta³ zlikwidowany w Moskwie pierwszego czerwca tysi¹c

dziewiêset siedemdziesi¹tego trzeciego roku. Zgadza się, Sam?

- Jesteœmy w posiadaniu nie potwierdzonego raportu pewnego

azylanta, który utrzymuje, że pu³kownik Or³ow zosta³ rozstrzelany

przez pluton egzekucyjny - powiedzia³ z zapa³em Collins.

- Moje gratulacje, towarzyszu Kirow, przyjacielu malwersanta.

Jezu. Istne k³êbowisko ¿mij. Oni s¹ gorsi od nas. - Enderby ci¹gn¹³ dalej: - Co do mnie, to Karla osobicie z³o¿y³ mi gratulacje za przekazanie przestêpcy Or³owa w rêce sprawiedliwoœci, a tak¿e nakaza³ mi zaprzysi¹c dyskrecjê, s¹dzi³

bowiem, ¿e nadu¿ycia pu³kownika Or³owa s¹ hañb¹ dla departamentu

i podwa¿aj¹ jego pozycjê w ramach Centrum Moskiewskiego. Karla

jest znany jako towarzysz o wysokich walorach moralnych i z tej

przyczyny ma wielu wrogów w szeregach ludzi, którzy s¹ dla siebie

pob³a¿liwi.

Enderby przerwa³ specjalnie po to, ¿eby raz jeszcze spojrzeæ na Smileya znad okularów.

- Wszyscy krêcimy sobie sznur na w³asn¹ szyjê, co nie, George?

- Jesteśmy grupą samobójczych pajaków, szefie -
powiedzia³

ochoczo Collins i b³ysn¹³ jeszcze szerszym uœmiechem
gdzieœ

pomiêdzy Enderbym i Smileyem.

Ale Smiley zatopiony by³ w lekturze wyznañ Kirowa i nie
trzyma³y siê go ¿arty.

- Opuœamy nastêpny rok ¿ycia i przygód brata Kirowa i
przejdŸmy do jego nastêpnego spotkania z Karl¹ -
zapropozowa³

Enderby, nie zra¿ony mrukliwoœci¹ Smileya. - Nocne
wezwania... to

normalne, jak s¹dzê. - Przewróci³ kilka stron. Naœladuj¹c

Enderbyego, Smiley zrobi³ to samo. - Wiêc pod oknami
moskiewskich

apartamentów Kirowa zatrzymuje siê samochód; czemu, na
Boga, nie

mog¹ mówiæ mieszkanie, jak wszyscy? Wyci¹gaj¹ go z ³ó¿ka i
wioz¹

w nieznanym kierunku. Dziwne ¿ycie maj¹ ci goryle z
Centrum

Moskiewskiego, nie? Nigdy nie wiedz¹, czy dostan¹ medal,
czy

kułê.

- Zajrza³ znów do raportu. - Wszystko pasuje, George?

Podróż

i ca³a reszta? Pó³ godziny samochodem, potem ma³y samolot i
tak

dalej?

- Trzynasty Departament posiada trzy lub cztery obiekty, w
tym duży ośrodek szkoleniowy w okolicach Mińska - odrzek³
Smiley.

Enderby przewraca³ następne kartki.

- A więc Kirow jeszcze tej samej nocy stan¹³ znów przed
Karl¹ gdzieś, gdzie diabe³ mówi dobranoc. Karla i Kirow s¹
zupe³nie sami. Ma³a drewniana chatka, żadnych ozdób,
żadnych

świadków: a w każdym razie nikogo nie widaæ. Karla od
razu

przechodzi do sedna. Czy Kirow chcia³by pojechaæ na
placówkê do

Paryża? Oczywiście, sir, Kirow bardzo pragn¹³by wyjechaæ...

-

Enderby odwróci³ kartkê. - Kirow zawsze podziwia³

Trzynasty

Departament, sir, bla... bla... by³ zawsze wielkim zwolennikiem

Karli; wazeliniarz, wazeliniarz, p³aszczy siê. To coæ tak jak ty,

Sam. Ciekawe, ¿e Kirowowi Karla wydawa³ siê zmêczony;

zauwa¿y³eæ?

I nerwowo. Zestresowany Karla, kopci³ jak komin.

- Zawsze to robi³ - powiedzia³ Smiley.

- Co?

- Zawsze za du¿o pali³ - powiedzia³ Smiley.

- Na Boga, doprawdy? Tak?

Enderby odwróci³ kolejn¹ kartkê.

- Teraz instrukcje dla Kirowa - powiedzia³. - Karla jasno mu

je wyk³ada. "Oficjalnie otrzymaæ mia³em stanowisko
pracownika

sekcji handlowej naszej ambasady, natomiast moim
specjalnym

zadaniem by³a kontrola i prowadzenie ksi¹g finansowych
we

wszystkich placówkach Trzynastego Departamentu w następujących

krajach..." Tu Kirow je wymienia. Jest Bonn, ale Hamburga nie ma.

Kapujesz, Sam?

- Absolutnie, szefie.

- Nie zginięz mi w tym labiryncie?

- Nie ma obawy, szefie.

- Cwane ch³opaki z tych Rusków.

- Jak diabli.

- Znowu Kirow: "Da³ mi do zrozumienia, jak nies³ychanie wa¿ne jest moje przedsiêwziêcie... bla... bla..." Przypomnia³, ¿e w sprawie Or³owa spisa³em siê wyœmienicie i powiedzia³, ¿e "ze

wzglêdu na ogromn¹ delikatnoœæ mojej funkcji bêdê meldowa³ siê

bezpoœrednio w prywatnym biurze Karli oraz otrzymam osobny zestaw

szyfrów..." ZnajdŸcie stronê piêtnast¹.

- Jest strona piêtnasta, szefie - powiedzia³ Collins.

Smiley odszuka³ j¹ ju¿ wczesniej.

- Karla ostrzeg³ mnie ponadto, że oprócz mojej normalnej pracy w charakterze księgowego rewidenta na placówkach

Trzynastego Departamentu w Europie Zachodniej, będę musiał³

poświęcić się także tajnej działalności w celu znalezienia tak zwanych legend, czyli życiorysów dla naszych przyszłych agentów.

Wszyscy członkowie Trzynastego Departamentu bior¹ udział w

wykonywaniu podobnych zadań, jednakże praca nad życiorysami jest

mimo to ściśle tajna i Karla rozkaza³, abym pod żadnym pozorem z

nikim na ten temat nie rozmawia³. Ani z ambasadorem, ani z

majorem Pudinem, który był³ stałym operacyjnym przedstawicielem

Karli w naszej ambasadzie w Paryżu.

Oczywiście przyjm¹³em propozycję i ukończysz specjalny kurs

wywiadowczy oraz ³¹cznoœciowy obj¹³em swoje nowe stanowisko.

Nied³ugo po przyjeŹdzie do ParyŹa otrzyma³em osobiœcie od Karli

wiadomoœæ, Źe potrzebna jest pilnie legenda dla pewnej agentki w

wieku oko³o dwudziestu jeden lat".

Jesteœmy w domu - skomentowa³ z zadowoleniem Enderby. -

"Karla poda³ mi nazwiska rodzin kilku emigrantów, których moŹna

by zmusiaæ do zaadoptowania naszej agentki, jako Źe Karla o wiele

chêtniej pos³uguje siê technik¹ szantaŹu niŹ przekupstwem".
Jak

jasna cholera - potwierdzi³ z zapa³em Enderby. - Przy obecnym

poziomie wzrostu inflacji chyba tylko szantaŹ zachowuje jeszcze

jak¹œ pieprzon¹ wartoœæ.

Sam Collins pospieszy³ us³uŹnie z perlistym œmiechem uznania.

- Dziękujê, Sam - powiedzia³ uprzejmie Enderby. -
Dziękujê
ci bardzo.

Cz³owiek mniejszego formatu ni¿ Enderby - albo mniej
gruboskórny - opuœci³by byæ mo¿e kilka nastêpnych stron,
poniewa¿
zawiera³y g³ównie pochodz¹ce sprzed trzech lat uzasadnienie
b³agañ Smileya i Connie Sachs o wykorzystanie znajomoœci
Leipziga
z Kirowem.

- Kirow pos³uszenie zarzuca sieci na emigrantów, ale bez
rezultatu oœwiadczy³ Enderby, jak gdyby czyta³ napisy w kinie.
-

Karla zachêca Kirowa, by zdwoi³ wysi³ki, ten stara siê jak mo¿e
i
znów nawala.

Enderby urwa³ i spojrze³ na Smileya, tym razem zupe³nie
otwarcie. -Kirow by³ ca³kiem do bani, prawda, George?

- Tak - odpar³ Smiley.

- Chodzi ci o to, ¿e Karla nie móg³ zaufaæ swoim ludziom.

Musia³ daleko szukaæ i zaangażowaæ takiego amatora jak Kirow.

- Tak.

- To ba³wan. Facet, który nigdy nie dosta³by siê do Sarratt.

- Tak jest.

- Innymi s³owy Karla utworzy³ tê swoj¹ machinê, nauczy³ j¹ akceptowaæ swoje ðelazne regu³y i mo³na by powiedzieæ, ðe nie

œmia³ jej w tej sprawie wykorzystaæ. O to ci chodzi?

- Tak - odrzek³ Smiley. - O to mi chodzi.

- A zatem gdy Kirow natkn¹³ siê na Leipziga w samolocie do

Wiednia podj¹³ na nowo Enderby, parafrazuj^{1c} teraz relacjê

Rosjanina - pomyœla³ sobie, ðe samo niebo zes³a³o mu Estoñczyka.

Niewa³ne, ðe mieszka³ w Hamburgu, niewa³ne, ðe kiedyœ w Tallinie

zrobi³o siê nieco nieprzyjemnie: Otto by³ emigrantem, zna³ wszystkie ugrupowania. Otto, Z³oty Ch³opak.

Kirow wys³a³ Karli piln¹ wiadomoœæ z propozycj¹, ðeby

zaangażowaæ Leipziga jako ³owcê emigrantów i informatorów.
Karla

wyrazi³ zgodê.

- Co te¿ jest doceæ dziwne, kiedy siê nad tym zastanowiaæ -
zauwa¿y³ Enderby. - Jezu, czy ktoe trzeŸwy i przy
zdrowych

zmys³ach stawia³by na konia z przesz³oœci¹ Leipziga?
Zw³aszcza

kiedy chodzi o tak¹ robotê?

- Karla dzia³a³ pod presj¹ - powiedzia³ Smiley. - Wiemy o
tym od Kirowa, ale tak¿e z innych Ÿróde³. Spiesz³ siê.
Musia³

podj¹æ ryzyko.

- Na przyk³ad rozwalaj¹c ró¿nych ludzi?

- To dopiero póŸniej - powiedzia³ Smiley tonem tak
niedba³ego usprawiedliwienia, ¿e Enderby pos³a³ mu ostre
spojrzenie.

- Jesteœ coœ ostatnio cholernie mi³osierny, no nie? - rzuci³
podejrzliwie.

- Doprawdy? - Smiley wydawa³ siê zak³opotany pytaniem. -
Byæ

może masz rację, Saul.

- I cholernie zgodny. - Enderby wróci do swoich papierów.

- Strona dwudziesta pierwsza i mamy koniec. - Czyta powoli, żeby

kolejnemu fragmentowi nadać odpowiedni wagę. - Strona dwudziesta

pierwsza - powtórzy. - "Po zwerbowaniu Ostrakowej oraz wydaniu

przez władze francuskie formalnego zezwolenia pobytu dla jej

córki Aleksandry natychmiast nakazano mi pobierać miesięcznie ze

skasowej kasy dziesięć tysięcy amerykańskich dolarów na obsługę

tego nowego kreta, który otrzyma tymczasem kryptonim KOMETA.

Zwanej KOMETĄ agentce przyznano również w departamencie status

najwyższej tajności, co oznacza, że wszelkie informacje jej dotyczące należy bez pośredników przekazywać osobiście

dyrektorowi, stosuj¹c unikalne szyfry. Oczywiście by³oby lepiej,

gdyby te wiadomości przesy³ano przez kurierów, albowiem Karla

jest przeciwnikiem nadużywania ³¹czności radiowej". Jest w tym

choć ziarno prawdy, George? - zapyta³ zdawkowo Enderby.

- Tak w³acenie z³apaliemy go w Indiach - powiedzia³ Smiley,

nie podnosz¹c g³owy znad maszynopisu. - Z³amaliemy szyfr i

poprzysi¹g³ potem, że nigdy już nie będzie używa³ radia. Jak większość przysi¹g i ta podlega³a rewizji.

Enderby odgryz³ kawa³ek zapa³ki i roztar³ go na wierzchu d³oni.

- Nie chcia³być może zdj¹æ p³aszczu, George? Sam, zapytaj

go, czego siê napije.

Sam spyta³, ale Smiley by³ zbyt poch³onięty tekstem, żeby odpowiedzieć.

Enderby znów zaczął czytać na głos: "Nakazano mi także, aby

żadna wzmianka o KOMECCIE nie pojawia się w corocznych

rozliczeniach finansowych dla Europy Zachodniej, które jako

rezydent musiałem podpisywać i przedstawiać Karli do akceptacji

przez Kolegium Centrum Moskiewskiego pod koniec każdego roku

finansowego... Nie, nigdy nie poznałem agentki o kryptonimie

KOMETTA, nie wiem, co się z nią dzieje ani w jakim kraju dzieła.

Wiem tylko, że używa nazwiska Aleksandra Ostrakowa, córka

naturalizowanych francuskich rodziców..." Znowu przewrócił kilka

kartek. - "Pięćnaście co miesiąc suma dziesięciu tysięcy dolarów nie była podejmowana przeze mnie, lecz przelewana do banku w Thun, w

szwajcarskim kantonie Berno. Zgodnie z obowiązującymi rozkazami,

pieniądze przelewane są na konto niejakiego doktora Adolfa Glasera. Jest on jego nominalnym właścicielem, ale gdzie,

nazwisko Glaser jest tylko pseudonimem pracującego w radzieckiej

ambasadzie w Bernie wyśannika Karli, naprawdę nazywanego się

Grigoriew. Przypuszczam tak dlatego, że kiedyś gdy wysłałem

pieniądze do Thun w moim banku popełniono jakby omyłkę i dolary

nie dotarły do Szwajcarii; Karla dowiedziawszy się o tym, nakazał

mi natychmiast wysłać potrzebną sumę bezpośrednio Grigoriewowi,

ponieważ w banku trwało jeszcze wyjaśnienia. Wyполниłem polecenie

i odzyskałem później ten podwójny przelew. To wszystko, co wiem.

Otto, przyjacielu, błagam, zachowaj te zwierzenia dla siebie, oni

mnie mog¹ zabiæ". - Racja, do cholery.

Zabili go. -Enderby z g³ocenym placeniêciem cisu¹³
maszynopis

na stó³. - Mo¿na by rzec, ostatnia wola i testament Kirowa. To
tyle. George?

- Tak, Saul.

- Naprawdê nie chcesz drinka?

- Nie, dziêkujê.

- I tak wy³o¿ê jeszcze kawê na ³awê, bo jestem têpy.

Sprawdzaj, czy dobrze kombinujê. Nawet w przybli¿eniu nie
jestem

tak dobry jak ty. ŒledŸ mój ka¿dy ruch. - Przypominaj^{1c}
Lacona;

podniós³ bia³¹ d³oñ i rozcapierzy³ palce tytu³em wstêpu przed
rozpoczêciem rachunków.

- Po pierwsze, Ostrakowa pisze do Vladimira. Wiadomoœæ
od

niej przypomina mu dawne zdarzenia. Prawdopodobnie Mikhel
przej¹³

i przeczyta³ list, ale tego nie dowiemy siê nigdy. Moglibyœmy
go

przycisn¹æ, ale w¹tpiê, ¿eby to coœ da³o, a poza tym z ca³¹
pewnoœci¹ porz¹dnie przep³oszylibyœmy ludzi Karli. -
Chwyci³

drugi palec. - Po drugie, Vladimir wysy³a Leipzigowi kopiê
listu

Ostrakowej nalegaj¹c, ¿eby ten bez zw³oki odgrza³
znajomoœæ z

Kirowem. Po trzecie, Leipzig gna do Pary¿a, spotyka siê z
Ostrakow¹, przykleja siê do swego starego, drogiego kumpla
Kirowa

i zwabia go do Hamburga, gdzie Kirow i tak mo¿e swobodnie
jechaæ,

bo w ksiêgach Karli Otto wci¹¿ figuruje jeszcze jako agent
Kirowa. Ale w tym coœ jest, George.

Smiley czeka³.

- W Hamburgu Leipzig dobiera siê Kirowowi do skóry.
Tak?

Dowody mamy tu, w naszych spoconych rêkach. Ale chodzi mi
o to,

jak on to zrobi³?

Czy Smiley naprawdê nie rozumia³, czy chcia³ po prostu

zmusiæ Enderbyego do ciê¿szej pracy umys³owej? W ka¿dym razie

wola³ potraktowaæ jego pytanie jako retoryczne.

- Jak on go naprawdê za³atwi³? - naciska³ Enderby. - Na czym

mia³by polegaæ ten szanta¿? Œwiñskie fotki - no dobra. Karla jest

purytaninem, Kirow te¿. Ale, na litoœæ bosk¹, przecie¿ to nie lata piêædziesi¹te, nie?

Chyba ka¿demu wolno dzisiaj trochê siê zabawiæ?

Smiley powstrzyma³ siê od komentarza na temat systemu moralnego Rosjan; za to w kwestii szanta¿u okaza³ siê tak samo

wnikliwy jak Karla:

- To zupe³nie inna etyka ni¿ nasza. Nie toleruj¹ g³upców.

Uwa¿amy, ¿e nas ³atwiej z³amaæ ni¿ Rosjan. To nieprawda. Po

prostu nieprawda. - Zdawa³ siê byæ tego absolutnie pewien,

Prawdopodobnie ostatnio wiele rozmyœla³ o tej sprawie:

- Kirow by³ niekompetentny i niedyskretny. Karla zniszczy³by

go już tylko za sam¹ niedyskrecję. Leipzig mia³ dowody.
Pamiętasz

może, że kiedy prowadziliśmy nasz¹ pierwsz¹ operację
przeciwko

Kirowowi, ten upi³ siê i zacz¹³ paplaæ o Karli. Powiedzia³

Leipzigowi, że to Karla osobiście kaza³ mu przygotowaæ
legendê

dla agentki. Wtedy nie da³o wiary tej historii, ale by³a to
prawda.

Enderby nie należa³ do ludzi, którzy oblewaj¹ siê rumieńcem,
by³ jednak na tyle taktowny, żeby uśmiechn¹æ siê kwaœno,
nim

zacz¹³ grzebaæ w kieszeni w poszukiwaniu kolejnej zapa³ki.

- "A kamieñ wraca na tego, co go toczy", zauważy³ z
zadowoleniem, choæ nie wiadomo, czy mia³ na myœli
zaniedbania

zawinione przez siebie czy przez Kirowa. - "Powiedz nam
resztê,

stary, albo opowiem Karli, czego dowiedzia³em siê od
ciebie",

mówi ma³y Otto do swojej muchy. Jezu, masz racjê,
Leipzig

naprawdê z³apa³ Kirowa za jaja.

Sam Collins odwa³y³ siê wtr¹cia^æ koj¹c¹ uwagê.

- Wydaje mi siê, szefie, że spostrzeżenia Georgea zgadzaj¹
siê z t¹ notatk¹ na stronie drugiej - powiedzia³. - Jest tam
fragment, w którym Leipzig rzeczywiście wspomina o
naszej

rozmowie w Pary³u. Otto wierci mu no³em w ranie, bo Kirow
wygada³

siê o Karli, na pewno. Prawda, George?

Ale Sam Collins móg³ równie dobrze przemawia^æ w
innym

pokoju, bo nikt w ogóle nie zwraca³ na niego uwagi.

- Leipzig mia³ tak³ę list Ostrakowej - doda³ Smiley. - Jego
tre^ææ nie by³a zbyt pochlebna dla Kirowa.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedzia³ Enderby.

- Tak, Saul?

- Cztery lata, tak? Minê³y ca³e cztery lata, od kiedy Kirow
po raz pierwszy rzuci³ siê na Leipziga. Nagle dopada Ostrakow¹
i

¿¹da od niej tego samego. Cztery lata póŹniej. Sugerujesz, ¿e przez ca³y ten czas pêta³ siê po œwiecie z tymi samymi instrukcjami i nikt go nie pogania³?

OdpowiedŹ Smileya by³a dziwnie biurokratyczna.

- Mo¿emy jedynie przypuszczaæ, ¿e legenda najpierw okaza³a

siê zbêdna, a potem znów potrzebna - odpowiedzia³ sztucznie, a

Enderby mia³ doœæ rozwagi, ¿eby go dalej nie wypytywaæ.

- Rzecz w tym, ¿e Leipzig przykrêci³ œrubê Kirowowi i zawiadomi³ o tym Vladimira - podj¹³ na nowo Enderby, rozcapierzaj^{1c} znów palce, ¿eby liczyæ. - Vladimir wysy^{3a} Villema

w charakterze kuriera. Tymczasem na ranczo w Moskwie albo Karla

coœ zw¹cha³, albo sygn¹³ Mikhel, pewnie to drugie. Tak czy owak,

Karla odwo³uje Kirowa do domu pod pretekstem awansu i wiesz go

za uszy. Kirow szybko wszystko wyœpiewuje, ale na jego miejscu ja

też nie post¹pi³bym inaczej. Tymczasem Karla próbuje wszystko

naprawia. Morduje Vladimira, udaj¹cego się na umówione spotkanie

i uzbrojonego w list Ostrakowej. Morduje Leipziga. Próbuje stukn¹æ starsz¹ pani¹, ale partaczy robotê. Co robi teraz?

- Siedzi w Moskwie i czeka, aż dopadnie go Holmes albo kapitan Ahab -rzuci³ aksamitnym g³osem Sam Collins, znów

zapalaj¹c jednego z tych swoich br¹zowych papierosów.

Enderbyego wcale to nie rozbawi³o.

- No to dlaczego Karla nie wykopie swojego skarbu, George?

I

nie przeniesie go gdzieś indziej? Jeżeli Kirow powiedzia³ mu to

samo, co Leipzigowi, to pierwszym posuniêciem Karli powinno byæ

zatarcie za sob¹ wszelkich œladów - Byæ mo¿e skarbu nie da siê

przetransportowaæ - odpar³ Smiley. - Byæ mo¿e Karla nie ma ju¿

alternatywy.

- Ale dalsze utrzymywanie tego konta to czyste szaleństwo -
Czystym szaleństwem byłby wybór takiego idioty jak Kirow -

powiedzia³ Smiley z niezwyk³¹ szorstkoœci¹. - Szaleństwem
by³

werbunek Leipziga i pertraktacje z Ostrakow¹. Szaleństwem
by³o

wierzyæ, ¿e zabijaj¹c trzech ludzi mo¿na powstrzymaæ
przeciek.

Nie mamy ¿adnych podstaw, ¿eby wierzyæ w jego zdrowie
psychiczne.

Zreszt¹ dlaczego mielibyœmy tak myœleæ? -Smiley przerwa³
na

moment. - Ale Karla uwa¿a chyba, ¿e mu siê uda³o, bo w
innym

wypadku Grigoriew nie bawi³by nadal w Bernie. Gdzie,
jak

powiadasz, ci¹gle mieszka? - Przelotny rzut oka na Collinsa.

- Z tego co wiemy wynika, ¿e siedzi na miejscu - powiedzia³
Collins ze swym ucœmiechem na ka¿d¹ pogodê.

- W takim razie przeniesienie konta gdzie indziej raczej nie byłoby logicznym posunięciem - zauważył Smiley. - Nawet jak na szaleńca - dodał po chwili.

To dziwne, ale jak zgodnie twierdzili potem Collins i Enderby, wszystko, co mówił Smiley, zdawało się przepływać przez

pokój niczym chłód; w sposób, którego nie rozumieli, znaleźli się

gdzieś na wyższym poziomie ludzkiej świadomości i nie umieli się

odpowiednio zachować.

- No to kim jest jego czarna dama? - dopytywał się Enderby.

- Kto wart jest dziesięciu patyków miesięcznie i całej cholernej kariery Karli? Kto zmusza go do wynajęcia jakichś cymbałów

zamiast zwyczajnych zawodowych bandziorów? Musi to być nie lada

kobieta.

Kolejną tajemnicę stanowi decyzja Smileya, żeby nie

odpowiadaæ na to pytanie. Wyjaœnia j¹, byæ mo¿e, jedynie jego

zamierzona nieprzystêpnoœæ; chyba ¿e mamy tu do czynienia z

upart¹ niechêci¹ urodzonego wywiadowcy do wyjawienia prze³onemu

tego wszystkiego, co nie jest dla ich wspó³pracy konieczne. U podstaw jego decyzji le¿a³a niew¹tpliwie pewna filozofia.

W g³êbi duszy Smiley uwa¿a³, ¿e nie odpowiada ju¿ przed nikim poza sob¹: dlaczego zatem mia³by udawaæ, ¿e jest inaczej?

Byæ mo¿e rozumowa³ tak:

- Nici sprawy prowadz¹ ich wszystkich w moje ¿ycie. Czy powinienem je oddaæ w rêce mojego przeciwnika tylko dlatego, ¿eby

móg³ mn¹ manipulowaæ? Sk¹din¹d Smiley mia³ prawo przypuszczaæ, ¿e

Enderby zna przesz³oœæ Karli równie dobrze jak on; a jeœli nawet

nie, to kaza³by przecie¿ swojej Sekcji Badañ Sowietologicznych

grzebał się w niej przez całą noc, aż wreszcie znalazłby potrzebne odpowiedzi.

W każdym razie jest faktem, że Smiley zachował milczenie.

- George? - zapytał wreszcie Enderby.

Nisko nad domem przeleciał samolot.

- Wszystko sprowadza się do tego, czy chcesz otrzymać towar

- powiedział w końcu Smiley. - Nie wydaje mi się, żeby inne sprawy miały tu jakiegokolwiek znaczenie.

- Doprawdy, na Boga - powiedział Enderby, odejmując od ust

dużo wraz z zapachem. - No jasne, że go chcę - ciągnął dalej, jak gdyby szło mu jeszcze o coś więcej. - Chcę mieć Monę Lizę i

Pierwszego Sekretarza Chińskiej Republiki Ludowej i przyszłorocznego zwycięzcę Loterii Irlandzkiej.

Chcę, żeby Karla siedział w Sarratt na krześle dla przesłuchiwanym i wydusił z siebie historię swojego życia przed

naszymi sąsiadami. Chcę, żeby Amerykańscy Kuzyni jedli mi potem z

ręki przez wiele lat. Chcę mieć wszystko, oczywiście, i
chcę.

Ale to w niczym nie zmienia mojej sytuacji.

Smiley dziwnym trafem nie przejmowa³ się jako
dylematem

Enderbyego.

- Braciszek Lacon opowiedzia³ ci o pszczo³kach i
motylkach,

tak? O naszej patowej sytuacji? - zapyta³ Enderby. - M³ody,
idealistyczny gabinet, ca³ym sercem za odprêżeniem,
g³osz¹cy

otwartość r¹du i inne tam pierdo³y? Koniec z odruchami
warunkowymi zimnej wojny? - e wêsz¹ konspirację torysów pod
każdym

ś³łkiem w Whitehall, a zw³aszcz³ pod naszym?

Mówi³ ci o tym? Mówi³ ci, i³e proponuj¹ rozpocz¹æ
cholernie

wielk¹ anglobolszewick¹ inicjatywê pokojow¹, jeszcze jedn¹
inicjatywê pokojow¹, któr¹ naturalnie bêdzie mo³na o dupê
pot³uc,

nim minie nastêpne Bo³e Narodzenie?

- Nie. Nie, tego mi nie powiedzia³.

- No, a takie w³aczenie maj¹ zamiary. I nie wolno nam ich pokrzy¿owaæ, tra - la - la. Ale, uwa¿asz, ci sami faceci, którzy wal¹ w pokojowe b³ebny, wrzeszcz¹ jak jasna cholera, kiedy im nie

dostarczamy towaru. Zdaje mi siê, ¿e to oczywiste. Nawet teraz

ju¿ nas pytaj¹, jak zachowaj¹ siê Sowietci.

Zawsze tak by³o?

Smiley nie odpowiada³ tak d³ugo, ¿e móg³by w tym czasie przeprowadziæ S¹d Ostateczny.

- Tak. Myœlê, ¿e tak. Myœlê, ¿e w takiej czy innej formie by³o tak zawsze - powiedzia³ w koñcu, jak gdyby ta odpowiedŸ

mia³a dla niego g³êbokie znaczenie.

- Szkoda, ¿e mnie nie uprzedzi³eœ.

Enderby niespiesznie przeszed³ na œrodek pokoju i nala³ sobie zwyk³ej wody sodowej, któr¹ wzi¹³ z kredensu. Przygl¹da³

siê Smileyowi z pozornie szczerym niezdecydowaniem.

Przygl¹da³ mu

się, przechylił głowę i znów na niego patrzył, stanwszy wedle wszelkich oznak przed, nierozwiązywalnym problemem.

- Trudny orzech, szefie, naprawdę - powiedziała Sam Collins, ale nikt go nie słuchał.

- I jestem pewien, że to wszystko nie jest podłym spiskiem bolszewików, mającym nas doprowadzić do ostatecznego upadku?

- Obawiam się, że już nie jesteśmy tego dla nich warty, Saul - powiedziała Smiley z przeproszającym uśmiechem.

Enderby nie życzył sobie, aby przypominano mu o granicach

brytyjskiej potęgi i jego usta ocieknęły się na chwilę w kwacnym

grymasie.

- No dobra - powiedziała w końcu. - Chodźmy do ogrodu.

Szli ramię przy ramieniu. Enderby skinął Collinsowi głową, żeby pozostał w domu. Powolny deszcz marszczył powierzchnię stawu

i poyskiwał w mroku na marmurowym aniele. Chwilami powiewał

wiatr i ze zwisających nisko gałęzi spływa struga wody,
mocz

któregoś z nich. Enderby był jednak prawdziwym
angielskim

decentnym i gdyby nawet boski deszcz padał na wszystkich
ludzi

na świecie, to on nie zgodziłby się za nic, by padał także i na
niego. Napływają ku nim okruchy światła. Te prostokąty z
okien

mieszkania Bena kładły się w poprzek stawu. Widziane
z nad

cegłanego muru miały chorobliwy, zielony poblask
dzisiejszych

latarni ulicznych. Ukończyli spacer, nim Enderby przerwał
milczenie.

- Wodzą nas za nos, George, tyle ci powiem. Villem,
Mikhel, Toby, Connie. Biedny Ferguson ledwie miał czas
zgodzić

się po zwrot kosztów, a już znów był w drodze. Czy on nigdy
nie

sypia? - pytał. - Nigdy nie pije?

- Przykro mi - powiedzia³ Smiley, żeby co^æ powiedzie^æ.

- Wcale ci nie jest przykro - odpar³ Enderby, przystaj^{1c} nagle. - Przekl^ête sznurowad^{3a} - zamrucza³ pochylony nad butami.

- Z zamsem jest zawsze ta sama historia. Za ma^{3o} dziurek, w tym

problem. Nie przysz³oby ci do g³owy, że nawet przekl^êtym Angolom

uda si^ê gdzie^æ posk¹pi^æ dziurek, co?

Enderby zawi¹za³ but i uniós³ drug¹ nog^ê.

- Chc^ê go mie^æ, George, s³yszysz? Daj mi tu żywego, gadaj¹cego Karl^ê, a przyjm^ê go i dopiero potem b^êd^ê si^ê usprawiedliwia³. Karla poprosi o azyl?

No có[¿], ostatecznie mo^{¿e} go dostae^æ. Zanim M^êdrcy za³aduj¹

broń, żeby wymierzy^æ j¹ we mnie, wycisn^ê z niego tyle, że zamkn^ê

im usta na dobre, Chc^ê mie^æ żywego Karl^ê albo nic, rozumiesz?

Znowu spacerowali, Smiley włók³ si^ê nieco z ty^{3u}, ale Enderby, cho^æ mówi³, nie odwraca³ g³owy.

- I niech ci si^ê nie zdaje, że oni sobie pójd¹ - ostrzega³.

- Gdy ty i Karla znajdziecie siê nad wasz¹ przepaœci¹ przy wodospadzie Reichenbach i kiedy œciœniesz go ju¿ za gard³o,

braciszek Lacon bêdzie sta³ tu¿ za tob¹, trzymaj¹c ciê za po³y i bêdzie ci powtarza³, ¿ebyœ nie by³ okrutny dla Rosjan.

Zrozumia³eœ?

Smiley powiedzia³, ¿e tak, ¿e zrozumia³.

- Co tam tymczasem na niego masz? Nadu¿ycie stanowiska, jak s¹dzê.

Oszustwo. Sprzeniewierzenie pañstwowych pieniêdzy, czyli

coœ, za co zniszczy³ tamtego faceta z Lizbony. Nielegalne operacje za granic¹, w tym dwa morderstwa. Jakby siê dobrze

zastanowiæ, jest tego ca³a cholerna ksiêga, Plus wszyscy ci zazdroœni gorliwcy w Centrum, czyhaj¹cy tylko na okazjê, ¿eby go

zasztyletowaæ. Ma racjê: szanta¿ jest, psiakrew, o ca³e niebo lepszy ni¿ przekupstwo.

Smiley powiedzia³, ¿e tak, ¿e chyba tak.

- Będziesz potrzebowa³ ludzi. Opiekunów, latarników, wszystkich zabronionych zabawek. Nie rozmawiaj o tym ze mn¹,
znajd^Ź ich sobie sam.

Pieni¹dze to inna sprawa. Te b³azny w finansach tak pracuj¹,
¿e mog^ê ciê schowaæ w ksiêgowoœci na ca³e lata. Powiedz tylko
kiedy, gdzie i ile, a ja zabawiê siê dla ciebie w Karlê i
podfa³szujê rachunki. Co z paszportami i ca³¹ t¹ reszt¹?
Potrzebne ci jakieœ adresy?

- Dziêkujê, chyba dam sobie radê.

- Bêdê mia³ ciê na oku dniem i noc¹. Je¿eli sprawa padnie i
bêdzie skandal, nie zniosê, ¿eby mi mówiono, ¿e powinienem
by³

ciê wzi¹æ pod sta³¹ obserwacjê. Powiem, ¿e podejrzewa³em,
i¿

mo¿esz urwaæ siê z ³añcucha w sprawie Vladimira i
postanowi³em

ciê sprawdziæ tak na wszelki wypadek.

Powiem, ¿e ta ca³a katastrofa to jakieœ idiotyczne, prywatne

przedsięwzięcie zgrzybiałego szpiega, któremu brak pi1tej klepki.

Smiley stwierdzi3, że jego zdaniem to doskona3y pomys3.

- Nie mogê moje wystawiaæ zbyt wielu ludzi na ulicê, ale wci1ż mogê kontrolowaæ twoje telefony, otwieraæ ci listy nad par1

i, jeżeli zechcê, za3oçyæ ci pods3uch w sypialni. I tak pods3uchujemy zreszt1 już od soboty.

Nie mamy nic, ale czego mo¿na by siê po tobie spodziewaa?

Smiley ze współczuciem pokiwa3 g3ow1.

- Jeżeli twój wyjazd za granicê wyda mi siê nazbyt pospieszny

albo tajemniczy, doniosê im o tym. Potrzebujê tak¿e jakiejœ bajeczki, t3umacz1cej twoje odwiedziny w Rejestracji Cyrku. Pójdiesz w nocy, ale ktoœ i tak móg3by ciê rozpoznaæ, a nie pozwolê, żeby 31czono mnie z t1 spraw1.

- By3 kiedyœ taki pomys3, żeby przygotowaæ historiê naszych

s3u¿b do " u¿ytku wewnêtrznego - pospieszy3 z pomoc1 Smiley.

-

Oczywiście nie do publikacji, ale mia³a to być zachowuj¹ca

ci¹g³oœæ kronika, przeznaczona dla ; nowych roczników i dla

pewnych sekcji ³¹cznoœciowych.

- Przyœlê ci oficjalny list - powiedzia³ Enderby. - I podam w nim wstecz¹ datê, niech mnie cholera. Jeœli zdarzy ci siê nadużyæ zezwolenia podczas pracy w naszym gmachu, to nie moja

wina. Ten facet w Bernie, o którym wspomina³ Kirow. Grigoriew,

radca handlowy. Ten facet, który odbiera gotówkê?

Smiley wydawa³ siê pogr¹żony w myœlach.

- Tak, tak, oczywiście - powiedzia³. - Grigoriew?

- S¹dzê, ¿e to bêdzie twój nastêpny przystanek, co?

Po niebie przemknê³a spadaj¹ca gwiazda i przez chwilê obaj j¹ obserwowali. ; Enderby wyci¹gn¹³ z wewnêtrznej kieszeni kawa³ek zwyk³ego papieru.

- Masz, to jego dossier, tyle, na ile je znamy. Czysty jak ³za.

Prawdziwa rzadkość. Był spec od ekonomii na jakimś

bolszewickim uniwersytecie. Ma żonę wiedeńską.

- Dziękuję ci - powiedziała grzecznie Smiley. - Bardzo dziękuję.

- Tymczasem masz moje bogostawieństwo, którego zawsze mogę

się wyprzeć - powiedziała Enderby, kiedy ruszyli z powrotem w

stronę domu.

- Dziękuję - powiedziała znowu Smiley.

- Przykro mi, że stała się narzędziem brytyjskiej hipokryzji, ale tyle jej teraz wokoło.

- Nic nie szkodzi - rzekła Smiley.

Enderby przystanął, by Smiley mógł się z nim zrównać.

- Jak tam Anna?

- Ach, dziękuję.

- Ile... - Był najwyraźniej zbity z tropu. - Pozwól, że ujmę to tak, George - zaproponowała Enderby, rozkoszując się przez

chwilê nocnym powietrzem. - Jesteœ w tym dla przyjemnoœci
czy dla

interesów? O co ci chodzi?

OdpowiedŸ nie pad³a szybko i nie by³a tak¿e bezpoœrednia:

- Nigdy nie mia³em w pracy poczucia przyjemnoœci -
powiedzia³. -A mo¿e inaczej: nie odczuwa³em ró¿nicy
pomiêdzy

interesem a przyjemnoœci¹.

- Karla ma wci¿ tê zapalniczkê, któr¹ od niej dosta³eœ? To
prawda, co?

Wtedy, gdy go przes³uchiwa³eœ w Delhi - kiedy próbowa³eœ
go

namówiaæ, ¿eby poprosi³ o azyl - podobno zwin¹³ ci
zapalniczkê.

Ci¹gle j¹ ma, co?

U¿ywa jej? Strasznie wnerwiaj¹ce, postara³bym siê j¹
odzyskaæ, gdyby by³a moja.

- To tylko zwyk³y ronson - powiedzia³ Smiley. - Z drugiej
strony, to jednak dobre, trwa³e zapalniczki, prawda?

Rozstali siê bez po¿egnania.

Przez kilka następných tygodni po spotkaniu z Enderbým George Smiley znajdowa³ siê podczas wykonywania rozmaitych zadañ

przygotowawczych w skomplikowanym i zmiennym nastroju. By³

niespokojny; krótko mówi^{1c} nie mo¿na go by^{3o} traktowaæ jako

cz³owieka o jednej tylko twarzy, a jego kolejne wcielenia ³¹czy^{3a} jedynie si^{3a} zdecydowania. Myœliwy, odludek, kochanek, samotnik w

poszukiwaniu swojego dope³nienia, przebieg^{3y} gracz w Najwiêkszej

Grze, mœciciel, niedowiarek w poszukiwaniu pewnoœci - Smiley by³

nimi wszystkimi, czasami wiêcej ni¿ jedn¹ osob¹ naraz.

Wspominali go potem ró¿ni ludzie - stary Mendel, emerytowany

policjant, jeden z niewielu powierników Smileya; niejaka pani

Gray, w³œcicielka skromnej stancji dla panów w Pimlico, gdzie

Smiley ze wzglêdów bezpieczeñstwa za^{3o}¿y³ swoj¹ tymczasow¹

kwaterê g³ówn¹; Toby Esterhase alias Benati, znany handlarz dzie³

sztuki arabskiej - i prawie wszyscy mówili na swój sposób o tym,

¿e ze Smileyem dzia³o siê wówczas coœ z³owrogiego, ¿e sta³ siê

niezwykle cichy, ¿e szczêdzi³ ludziom s³ów i spojrzeñ. Opisów

tych dokonywano rozmaicie, wedle stopnia za¿y³oœci œwiadców ze

Smileyem i ich pozycji spo³ecznej.

Mendel, sprawny, zimny, spostrzegawczy mê¿czyzna, rozmi³owany w hodowli pszczó³, powiedzia³ od razu, ¿e George po

prostu koncentrowa³ siê przed wielk¹ walk¹. Swego czasu Mendel

walczy³ na amatorskim ringu, boksowa³ w wadze œredniej w dru¿ynie

ligowej i twierdzi³, ¿e rozpoznaje oznaki nastroju, ogarniaj¹cego zawodnika w dniu meczu: trzeÿwoœæ umys³u, oczyszczaj¹ca

samotności, i co, co nazywa³ zapatrzonym wyrazem
twarzy,

świadcz¹cym o tym, że Smiley rozmyśla³ o swoich d³oniach.
Mendel

zdaje się gości³ go kilkakrotnie w domu i przygotowywa³
mu

posi³ki. By³ jednak zbyt spostrzegawczy, żeby nie zauważa³ w
jego

zachowaniu jeszcze innych rzeczy, jak zak³opotanie spowite
w

szaty towarzyskiej niecierpi³oci czy zwyczaj wymykania
się

cichaczem z domu pod byle pretekstem, jak gdyby
bezczyntość

stawa³a się dla niego zbyt d³uga, jak gdyby potrzebowa³ ruchu,
by

uciec od siebie samego.

Pani Gray, jego gospodyni, s¹dzi³a, że Smiley jest po prostu
pogr¹żony w smutku. Nie wiedzia³a o nim nic jako o cz³owieku
poza

tym, że nazywa się Lorimer i że jest emerytowanym
bibliotekarzem.

Innym pensjonariuszom mówi³a jednak, że czuje, iż Smiley utraci³

kogoś i że dlatego porzuci³ pracę, dlatego często, lecz zawsze samotnie, wychodzi³ na miasto, i dlatego spa³ zawsze przy zapalonym świetle. Zachowaniem przypomina³ jej ojca po odejściu matki.

By³o to ze strony pani Gray przenikliwe spostrzeżenie, albowiem następstwa dwóch okrutnych morderstw niezwykle ci¹ż³y

uciążliwej duszy Smileya, choć w żadnym wypadku nie spowolnia³y

jego działań. Pani Gray miała także rację twierdzić, że Smiley jest jakby rozdwojony, że ciągle zmienia zdanie, decydując o rozmaitych drobiazgach; podobnie jak Ostrakowej i Smileyowi coraz

trudniej przychodzi³o podejmować drugorzędne postanowienia

życiowe.

Z drugiej strony, Toby Esterhase, który styka³ się z nim

nader często, wyraża³ znacznie lepiej ugruntowane opinie, które
w

naturalny sposób rozpromienia³o jeszcze podniecenie Tobyego
z

powodu powrotu do czynnej s³u³by. Perspektywa gry z Karl¹
przy

wielkim stole, jak to uparcie okreœla³, uczyni³a zeń nowego
cz³owieka. Pan Benati rzeczywiœcie zacz¹³ prowadziæ
miêdzynarodowe interesy. Przez dwa tygodnie obje³d³a³
boczne

uliczki co paskudniejszych miast europejskich, czyni¹c zaci¹gi
do

swej dziwacznej armii nie chcianych specjalistów -
werbowa³

tropicieli, mistrzów od pods³uchu, kierowców, fotografów - i
co

dzieñ, gdziekolwiek by³, u³zywaj¹c ustalonego has³a,
telefonowa³

do Smileya pod ró³ne numery, mieszcz¹ce siê w niewielkiej
odleg³oœci od pensjonatu, zawiadamiaj¹c Georgea o
poczynionych

postępach. Jeżeli Toby przejeżdża akurat przez Londyn,
Smiley

pojawia się w hotelu na lotnisku i udziela mu instrukcji w
którejsze ze znanych nam już sypialni. Jak twierdzi Toby,
George

dokona Flucht nach vorn, czego nikomu nie udało się
wacciwie

przetłumaczył. Dosłownie wyrażenie to oznacza ucieczkę
naprzód i

zakłada niejaki desperację, lecz sugeruje także słabo
zabezpieczone tyły, jeżeli nie w ogóle spalone mosty. Toby
nie

umia dokładnie wskazać słabego punktu pozycji Smileya.

- Słuchaj - powiada - George był zawsze wrażliwy,
kapujesz?

Jeżeli dużo i uważnie patrzysz, rozboli cię oczy. Być może
George

za wiele widział. - A potem używaj określenia, które
znalazło

sobie skromne miejsce w historii Cyrkowego folkloru,
Toby

dodawa³: - George nosi za wiele g³ów pod kapeluszem. - Mimo to

Esterhase nie mia³ najmniejszych w¹tpliwoœci co do przywódczych

umiejêtnoœci Smileya. Skrupulatny a¿ do przesady twierdzi³ z

szacunkiem Toby. I nawet jeœli przesad¹ by³o sprawdzenie jego

s³u¿bowych wydatków co do ostatniego szwajcarskiego centyma, to

Esterhase przyjmowa³ narzucon¹ mu przez Smileya dyscyplinê z

ponurym wdziêkiem. Mówi³, ¿e George by³ zdenerwowany jak wszyscy;

a jego niepokój siêgn¹³ szczytu, gdy Toby rozpocz¹³ koncentracjê

swych si³ w dru¿ynach po dwie, po trzy osoby w mieœcie bêt¹cym

obiektem ataku, w Bernie, a potem bardzo, bardzo ostro¿nie zaczyna³ podchodziæ zwierzynê. - Zna³ zbyt wiele szczegó³ów -

narzeka³ Toby. - Tak jakby chcia³ byæ razem z nami w trasie.

Oficerowi operacyjnemu trudno kierować ludźmi, kapujesz?

Nawet kiedy poszczególne drużyny zostały już zebrane, uwzględnione i poinstruowane, Smiley ze swej londyńskiej kwatery

nalega jeszcze na trzy dni praktycznej bezczynności, żeby wyczuć

temperaturę miasta, nabyć miejscowe ubrania i ośrodki transportu,

przeanalizować system bezpieczeństwa.

- To koronkowa kurtyna od początku do końca - powtarza nerwowo. - Każdy tydzień spokoju utwierdza Karla w przekonaniu, że jest bezpieczny.

Ale jeżeli choć raz spłoszymy zwierzynę, Karla wpadnie w panikę i wtedy koniec z nami.

Po pierwszych operacyjnych posunięciach Smiley wezwał do

siebie Tobyego, żeby przekaż mu raport:

- Jesteś pewny, że nie nawiązano kontaktu wzrokowego?
Czy

działacie w odpowiednio urozmaicony sposób? Potrzebujesz może

więcej ludzi, więcej samochodów? - A potem, jak mówi³ Toby,

musia³ z użyciem planu miasta i zdjęæ obstawionego domu raz

jeszcze dok³adnie objaœniaæ mu ca³¹ akcjê, wskazaæ, gdzie dok³adnie usytuowane zosta³y stanowiska obserwacyjne, gdzie

wymieniaj¹ siê poszczególne zespo³y. - Zaczekajcie, a¿ poznacie

jego tryb Źycia - powiedzia³ Smiley, kiedy siê Źegnali. -

Przyjadê, kiedy poznacie jego tryb Źycia, jego zwyczaje.

Wczeœniej nie.

Toby twierdzi, Źe wcale siê, cholera, nie spieszy³.

Nie istniej¹ oczywiœcie oficjalne wspomnienia z nie³atwego okresu odwiedzin Smileya w Cyrku. Wchodzi³ tam jak swój w³asny

duch, przelatuj¹c niby niewidzialna istota przez znajome korytarze. Zgodnie z propozycj¹ Enderbyego przyjeŹdŹa³ kwadrans

po szóstej wieczorem, zaraz po zakończeniu pracy przez
dzienn¹

zmian^ê, ale jeszcze zanim rozpoczyna³ dyżur personel
nocny.

Spodziewa³ si^ê przeszkód; mia³ mdl¹ce przeczucia, że
dozorcy,

których zna od dwudziestu lat, b^êd¹ dzwonili na pi¹te pi^êtro,
żeby uzyska^æ dla niego zezwolenie. Ale Enderby
zorganizowa³

wszystko inaczej i kiedy Smiley stan¹³ bez przepustki przed
prowadz¹c¹ dalej paŹdzierzow¹ budk¹ kontroln¹, jakic^æ nie znany
mu

zupe³nie ch³opak beztrosko wskaza³ g³ow¹ otwart¹ wind^ê.
Zjecha³

do sutereny przez nikogo nie niepokojony.

Wysiad³ i pierwsz¹ rzecz¹, któr¹ zobaczy³, by³a tablica
og³oszeniowa, a na niej zawiadomienia, pochodz¹ce s³owo w
s³owo

jeszcze z jego czasów: kotki oddam za darmo w dobre r^êce;
w

pi¹tek w kantynie zespó³ teatralny z³ożony z m³odszych

pracowników przeczyta Wspania³ego Krichtona (z
b³êdem

ortograficznym).

Ten sam turniej squashowy, w którym gracze ze
wzglêdów

bezpieczeñstwa wystêpuj¹ pod pseudonimami. Te same
niespokojnie

szumi¹ce wentylatory. Tak wiêc w chwili, kiedy Smiley
pchn¹³

zbrojone drutem oszklone drzwi Rejestracji i poczu³ zapach
farby

drukarskiej oraz bibliotecznego kurzu, spodziewa³ siê niemal

ujrzeæ sw¹ w³asn¹, beczu³kowat¹ postaæ pochylon¹ nad
biurkiem w

rogu w œwietle wyszczerbionej, zielonej lampy, jak to
bywa³o

czêsto w czasach, gdy odnotowywa³ kolejne szaleñstwa i
zdrady

Billa Haydona, i próbowa³ za pomoc¹ opacznej logiki wskazaæ
s³abe

punkty w pancerzu Centrum Moskiewskiego.

- Ach, wiêc jak s³ysza³am, pisze pan o naszej wspania³ej

przesz³oœci -zaœpiewa³a pob³a¿liwie nocna archiwistka,
wysoka,

wiejska dziewczyna, poruszaj¹ca siê jak Hilary. Nawet siedz¹c,
wydawa³a siê ko³ysaæ. Rzuci³a na stó³ stare blaszane pude³ko
na

dokumenty. - To od pi¹tego piêtra z najgorêtszymi
pozdrowieniami

- powiedzia³a. - Niech pan da g³os, je¿eli trzeba bêdzie panu
coœ

odszukaæ, dobrze?

Kartka na r¹czce pude³ka g³osi³a: Pami¹tki. Smiley uniós³
wieczko i ujrza³ pakiet starych, sp³owia³ych akt, przewi¹zanych
zielonym sznurkiem. Delikatnie rozwi¹za³ i otworzy³
pierwszy

wolumin, ¿eby zobaczyæ zamglon¹ fotografiê Karli,
wpatruj¹cego

siê w niego jak trup z wnêtrza trumny. Ca³¹ noc czyta³ niemal
bez

ruchu. Wczytywa³ siê w sw¹ w³asn¹ przesz³oœæ równie
g³êboko, jak

w przesz³oœæ Karli, i czasem wydawa³o mu siê, ¿e ¿ycie
jednego z

nich po prostu dope³nia³o Ÿycie drugiego; Ÿe byli przyczynami tej

samej, nieuleczalnej choroby. Jak tyle razy przedtem zastanawia³

siê, kim by³by dzisiaj, gdyby przeŸy³ dzieciñstwo Karli, gdyby wypalono go w tych samych piecach rewolucyjnej zawieruchy. Wbrew

sobie, jak juŸ tylekroæ przedtem, nie potrafi³ siê oprzeæ w³asnemu zafascynowaniu rozleg³¹ skal¹ rosyjskiego cierpienia,

beztroskiemu okrucieñstwu, przyp³ywom bohaterstwa. W jego obliczu

czu³ siê ma³y i delikatny, choæ nie uwaŸa³, by w Ÿyciu zabrak³o

mu bólu. Kiedy nocna zmiana zakoñczy³a pracê, Smiley wci¹Ÿ tkwi³

na swoim miejscu, wpatrzony w poŸó³k³e kartki niby œpi¹cy na

stoj¹co koñ, jak powiedzia³a póŸniej ta sama nocna archiwistka,

która bra³a udzia³ w konkursach hippicznych. Nawet gdy zabra³a

już akta, żeby odnieść je na piąte piętro, Smiley spogląda wciła przed siebie, dopóki dziewczyna nie dotknie delikatnie jego ręką.

Przyszedł także następnej nocy i kolejnej; potem zniknął i powrócił tydzień później bez żadnych wyjaśnień. Skończywszy z

Karlem, wyciągnął dalej akta Kirowa, Mikheła, Villema oraz całej Grupy, aby solidnie udokumentować wspomnieniami wszystko, co

słyszał i pamiętał z historii Leipziga i Kirowa. Istnieje bowiem jeszcze jedna strona osobowości Smileya, pedanta czy naukowca,

jak chcecie, dla którego prawdę zawierają jedynie akta, reszta zaś, dopóki się jej nie uwzględni i nie odnotuje w archiwach, jest jedynie zwyczajną ekstrawagancją. Wydobył również akta Otto

Leipziga i Generała, a oddając niejako cześć ich pamięci, dołożył do papierów sprawozdanie, zdając rzeczową relację z

prawdziwych okoliczności śmierci obu mężczyzn.

Na końcu sięgnął po teczkę Billa Haydona. Wahali się

najpierw, czy mu j¹ udostępniæ, i oficer dyżurny pi¹tego piêtra, ktokolwiek to by³ tej nocy, wywo³a³ Enderbyego z prywatnego

przyjêcia w ministerstwie, Ÿeby zapytaæ go o pozwolenie. Należ^y

zapisaa na korzyœæ Enderbyego, Ÿe wpad³ wtedy we wœciek³oœæ:

"Boż^e œwiêty, cz³owieku, przecież on sam to napisa³, nie? Kto

mia³by czytaæ raporty Georgea, jeœli nie on sam?" Ale Smiley i

tak w³œciwie go nie czyta³, jak donosi³a archiwistka, maj¹ca polecenie sekretnego obserwowania Smileya podczas lektury.

Mówi³a, Ÿe raczej przegl¹da³ po prostu te papiery - i opisywa³a, jak powoli i z namys³em przewraca³ kartki, niby ktoœ, kto szuka

zdjêcia, które kiedyœ widzia³, i nie może go znaleŸæ.

Zatrzyma³ akta tylko na mniej wiêcej godzinê, póŸniej odniós³ je z uprzejmym:

"Dziêkujê pani bardzo". Wiêcej już nie przyszed³, ale

dozorcy powiadają, że parę minut po jedenastej tego samego wieczoru, kiedy pozbiera³ papiery, uprz¹tn¹³ biurko i od³o¿y³ kilka nabazgranych notatek do kosza na tajne œmieci, mo¿na by³o

go zobaczyæ stoj¹cego przez d³u¿szy czas na tylnym dziedziñcu.

Ponure miejsce - bia³e kafle, czarne rynny, smród kotów.

Smiley wpatrywa³ siê stamt¹d w budynek, który mia³ w³aœnie

opuœciaæ, i w jarz¹ce siê s³abo œwiat³o w swym dawnym pokoju, jak

starzy ludzie patrz¹cy na domy, w których siê urodzili, na szko³y, w których pobierali nauki, i na koœcio³y, gdzie zawierali zwi¹zki ma³¿eñskie. Ale potem Smiley zaskoczy³ wszystkich,

albowiem z Cambridge Circus - a by³o ju¿ wtedy w³o³ do dwunastej

- pojecha³ taksówk¹ na dworzec Paddington, sk¹d z³apa³ sleeping

do Penzance, odchodz¹cy kilka minut po p³o³nocy. Nie kupi³

wczœniej i nie zamówi³ telefonicznie biletu; nic te¿ ze sob¹ nie

wzi¹³, nawet maszynki do golenia, choæ rano zdo³a³
pożyczyæ

nożyki od konduktora. Dopiero wówczas uda³o siê Samowi
Collinsowi

zgrupowaæ naprêdce zespó³ tropicieli, zespó³, przyznajmy,
nieco

amatorski, którego cz³onkowie zauważyli jedynie, że
Smiley

zadzwo³ni³ gdzieæ z budki, lecz oni nie mieli doææ czasu,
ażeby

cokolwiek w zwi¹zku z tym przedsiêwzi¹æ.

- Cholernie dziwny okres wybra³ sobie na urlop, nie? -
zauważy³ Enderby z rozdrażnieniem, kiedy otrzyma³
informację o

wyjeŹdzie Smileya wraz z ca³¹ seri¹ skarg od personelu: na
nadgodziny, na wyd³użony czas podróży i na diety za roz³¹kê
z

rodzinami. Potem coæ sobie przypomnia³ i rzek³: - O mój
Boże,

pojecha³ zobaczyæ siê z t¹ swoj¹ puszcza¹lsk¹ bogini¹. Nie ma
doææ

problemów, występuj¹c w pojedynkê przeciw Karli? - Ca³a
ta

historia doœæ dziwnie zirytowa³a Enderbyego. Piekli³ siê
przez

ca³y dzieñ i obrazi³ przy wszystkich Sama Collinsa. Jako by³y
dyplomata, wielce pogardza³ abstraktami, choæ sam
nieustannie

poszukiwa³ w nich schronienia.

Dom sta³ na wzgórzu, w zagajniku nagich wi¹zów,
oczekuj¹cych

wci¹¿ na œmieræ. By³ du¿y, granitowy i ju¿ siê rozpada³.
Grupka

œciennych szczytów, skupiona w kioœcie jak czarne,
podarte

namioty, wystawa³a ponad wierzcho³ki drzew. Do domu
prowadzi³y

ca³e akry rozbitych szklarni; poni¿ej w dolinie le¿a³y
zrujnowane

stajnie i nie uprawiany ogród warzywny.

Wzgórza by³y oliwkowe i go³e i niegdyœ sta³y na nich
wojskowe forty.

Nazywa³a je kornwalijskimi stosami Harryego.
Pomiêdzy
wzgórzami bieg³a linia morza, które pod obni¹aj¹cymi siê
brzegami
chmur zdawa³o siê tego rana tak twarde jak dachówka.
Wyboist¹
drog¹ wioz³a go taksówka, stary humber, jak samochód
sztabowy z
czasów wojny. To tutaj spêdzi³a swoje dzieciństwo, myœla³
Smiley;
i tu zaadoptowa³a moje. Droga by³a niebywale wyboista;
korpusy
powalonych drzew le³ay po jej obu stronach niczym ³ó³te
grobowce.
Bêdzie w domu, myœla³. Chatka, w której spêdzali razem
wakacje, le³a³a za wzgórzem, ale kiedy by³a sama, mieszka³a
w
domu, w pokoju, który zajmowa³a jako dziecko.
Powiedzia³
kierowcy, ³eby nie czeka³, po czym ruszy³ w kierunku
ganku,

londyńskimi butami wydeptuj^{1c} sobie drogê pomiêdzy
ka³u²ami,

którym poœwiêca³ tymczasem ca³¹ uwagê. To nie jest ju² mój
œwiat,

myœla³. Jest jej, jest ich. Wzrokiem doœwiadczonego
obserwatora

omiata³ liczne okna frontonu, usi³uj^{1c} uchwyciæ w przelocie jej
cieñ.

Przyjecha³aby po mnie na stacjê, tylko ²e pomyli³a jej siê
godzina, pomyœla³, obdarzaj^{1c} j¹ dobrodziejstwem w¹tpliwoœci.
Ale

w stajni sta³ jej samochód, pokryty nadal porannym
szronem;

zauwa²y³ wóz jeszcze wówczas, kiedy p³aci³ za taksówkê.
Zadzwon³

do drzwi i us³ysza³ jej kroki na kamiennych p³ytach, ale
otworzy³a mu pani Tremedda, zapraszaj^{1c} go do jednego z
salonów -

palarnia, salonik, salon, nigdy nie wiedzia³, który jest który.

Na kominku p³on¹³ ogieñ.

- Zawo³am j¹ - powiedzia³a pani Tremedda.

Przynajmniej nie muszę rozmawiać z szalonym Harrym
o

komunizmie, myśla³ Smiley czekaj¹c. Przynajmniej nie
muszę

wys³uchiwać historii o tym, jak to chińscy kelnerzy w
Penzance

czekaj¹ tylko na rozkaz z Pekinu, żeby pozatruwać swoich
klientów. Albo o tym, że wszystkich strajkuj¹cych należa³oby
postawić pod ocian¹ i rozstrzelać - gdzie ich poczucie
obowi¹zku,

na litoczyć bosk¹? Albo o tym, że Hitler może i by³ 3obuzem,
ale

nie myli³ się, jeżeli chodzi o 7ydów. Albo jakiejś równie
potwornej, lecz z ca³¹ powag¹ wyg³aszanej opinii.

Rodzinie kaza³a trzymać się z daleka, pomyśla³.

Poprzez dym z kominka poczu³ zapach miodu i jak
zawsze

zacz¹³ się zastanawiać, sk¹d on się bierze. Z pasty do mebli?

Czy

może by³ tu gdzieś w podziemiach pokój miodowy, tak jak by³
pokój

z broni¹, pokój wêdkarski, pokój na pud³a i byæ mo¿e pokój
mi³osny? Szuka³ wiesz¹cego niegdyc nad kominkiem rysunku
Tiepola,

przedstawiaj¹cego scenê z ¿ycia mieszkañców Wenecji.
Sprzedali

go, pomysla³. Za ka¿dym razem, gdy przychodzi³,
kolekcja

pomniejsza³a siê o jakicê kolejny ³adny przedmiot. Na co
Harry

wydawa³ pieni¹dze, nie wiedzia³ nikt - ale na pewno nie na
renowacjê domu.

Sz³a do niego przez pokój i Smiley by³ zadowolony, ¿e to nie
on musi iocæ, bo po drodze na pewno na coæ by wpad³.
Mia³

wyschniête usta i k³uj¹c¹ kluchê w ¿o³1dku; nie chcia³ jej
bliskoœci, jej rzeczywistoœæ nagle sta³a siê nie do zniesienia.

Wygl¹da³a piêknie i celtycko, jak zawsze tutaj, i podchodz¹c do
niego mierzy³a go swoimi br¹zowymi oczami badaj¹c, w jakim
jest

nastroju. Poca³owa³a go w usta, k³ad¹c palce z ty³u na jego szyi,

by móc nim 3atwiej kierowaæ, i wtedy cieñ Haydona wpad³ miêdzy

nich jak miecz.

- Nie przysz³o ci do g³owy, ¿eby kupiaæ porann¹ gazetê na stacji, co? - spyta³a. - Harry znów ich powstrzyma³.

Zapyta³a, czy jad³ œniadanie, a Smiley sk³ama³ i powiedzia³, ¿e jad³. W takim razie mo¿e pójdziemy na spacer, zaproponowa³a,

jak gdyby by³ kimœ, kto chcia³by obejrzeæ posiad³oœæ. Zabra³a go

do magazynu broni, gdzie szukali odpowiedniego obuwia. By³y tam

buty leni¹ce jak kasztany i buty, które wygl¹da³y jak gdyby wiecznie by³y mokre. Œcie¿ka nadbrze¿na prowadzi³a z zatoki w obu

kierunkach. Od czasu do czasu Harry przerzuca³ przez dró¿kê

zapory z drutu kolczastego albo ustawia³ na niej znaki nastêpuj¹cej treœci:

"Niebezpieczeñstwo min". Prowadzi³ nieustaj¹c¹ bitwê z

lokalnymi władzami o pozwolenie na budowę kempingu, a ich odmowy

doprowadzały go niekiedy do wściekłości. Wybrali północną odnogę

i wiatr, i Anna wzięła Smileya pod rękę, żeby lepiej słyszeć. Na

północy było wietrzniej, ale na południu musieliby przedzierać

się gęsiego przez janowiec.

- Wyjeżdżam na trochę, Anno - powiedziała, usiłując swobodnie

operować jej imieniem. - Nie chciałem ci nic mówić przez telefon.

- Był to jego głos z czasów wojny i Smiley używał go czuś

się jak idiota.

Powinien był powiedzieć: - Wyjeżdżam szantażować kochankę.

- Wyjeżdżasz w jakieś szczególne miejsce czy po prostu daleko ode mnie?

- Mam pewną robotę za granicą - powiedziała, usiłując nadal

bezsuktecznie wypaææ z roli Walecznego Pilota. - Uwaæam, æe
nie

powinnæe pokazywaæ siê na Bywater Street podczas
mojej

nieobecnoæci.

Splot³a swoje palce z jego palcami, ale taka w³acenie by³a:
ze wszystkim obchodzi³a siê swobodnie. Poniæej w
rozszczepionych

ska³ach pêk³o morze, tworzc z wæciek³oæci¹ róænorodne
desenie w

wiruj¹cej pianie.

- I przyjecha³eæ taki kawa³ drogi tylko po to, æeby
powiedzieæ mi, æe mam nie wracaæ do domu? - spyta³a.

Smiley milcza³.

- Pozwól mi wy³oæyæ to inaczej - zaproponowa³a, gdy uszli
jeszcze kawa³ek. - Czy gdyby moæna by³o odwiedzaæ Bywater
Street,

namawia³byæ mnie, abym tam pojecha³a? Czy chcia³byæ
raczej

powiedzieæ, æe juæ nigdy nie wolno mi wróciæ do domu?

Przystanê³a i spojrze³a na Smileya, nieznacznie odpychaj¹c

go od siebie i usi³uj¹c odgadn¹æ jego odpowiedŸ. "Na
litoœæ

bosk¹" - wyszepta³a i wtedy zobaczy³ w jej twarzy
jednoczeœnie

zw¹tpienie, dumê i nadziejê.

Zastanawia³ siê, co Anna widzi w jego obliczu, sam
bowiem

nie wiedzia³, co czuje, poza tym, ¿e nie tu jest jego miejsce,
nie blisko niej; by³a jak dziewczyna na dryfuj¹cej wyspie,
odp³ywaj¹cej od niego szybko razem z cieniami gromadz¹cych
siê

wokó³ niej kochanków. Kocha³ j¹, by³a mu obojêtna,
obserwowa³ j¹

z przekleñstwem oddalenia, ale ona od niego odchodzi³a. Jak
mogê

ci powiedzieæ, kim jesteœ, skoro nie znam samego siebie?
Zobaczy³

w jej rysach krechy bólu, wieku i wysi³ku, które umieœci³o
tam

ich wspólne ¿ycie. By³a wszystkim, czego pragn¹³, by³a
niczym,

przypomina³a mu kogoœ, kogo zna³ bardzo dawno temu;
by³a mu

daleka, lecz zna³ j¹ na wskroœ. Ujrza³ w jej twarzy powagê i
najpierw zastanawia³ siê, jak kiedykolwiek móg³ dostrzegae w
niej

g³êbiê, a ju¿ po chwili gardzi³ jej zale¿noœci¹ od niego i chcia³
siê po prostu od niej uwolniaæ. Chcia³ zawo³aæ: "Wróæ", ale
nie

zrobi³ tego; nie wyci¹gn¹³ nawet rêki, ¿eby j¹ zatrzymaæ.

- Powiedzia³aœ kiedyœ, ¿ebym nigdy nie przestawa³ szukaæ

-

oœwiadczy³. Wygl¹da³o to na wstêp do jakiegoœ pytania, ale
¿adne

pytanie nie nast¹pi³o.

Czeka³a, a potem przedstawi³a mu w³asne oœwiadczenie.

-

Jestem komediantk¹, George - powiedzia³a. - Potrzebujê
uczciwego

mê¿czyzny.

Potrzebujê ciê.

Ale Smiley przygl¹da³ siê jej z bardzo daleka.

- To ta praca - powiedzia³.

- Nie umiem żyæ z nimi. Nie umiem żyæ bez nich. -

Przypuszcza³, że mówi znowu o swoich kochankach. - Jedna tylko

rzecz jest gorsza od zmiany, a jest ni¹ status quo. Nienawidzê wyborów. Kocham ciê.

Rozumiesz?

Nast¹pi³a pauza, w której Smiley napewno coœ powiedzia³. Nie

polega³a na nim, ale wspiera³a siê na jego ramieniu p³acz¹c, poniewa¿ p³acz odebra³ jej si³y. - Nie wiedzia³eœ nigdy, jak bardzo by³eœ wolny, George - us³ysza³. -Musia³am byæ wolna za nas

oboje.

Zrozumia³a chyba, jak absurdalnie zabrzmia³y jej s³owa i rozcemia³a siê.

Puœci³a jego ramiê i znów zaczêli iœæ, a Anna próbowa³a ratowaæ sytuacjê, zadaj¹c zwyczajne pytania. Mówi³, że kilka tygodni, mo¿e d³u¿ej.

W hotelu, powiedzia³, ale nie wyjaśni³, w jakim mieście
czy
kraju.

Ponownie odwróci³a się do niego twarz¹ i nagle wszędzie
lecia³y jej ³zy, rzęsiociej niż przedtem, ale wci¹ż nie wzrusza³y
go tak bardzo, jak by tego chcia³.

- George, nie ma nic więcej, przysięgam - powiedzia³a
staj¹c, żeby przedstawiać sw¹ prośbę. - Ani w moim, ani w
twoim

świecie nie ma już na co czekać. Jesteśmy skazani na siebie.
Nic

więcej nie ma. Bior¹c pod uwagę światow¹ średni¹,
jesteśmy

najbardziej zadowolonymi z życia ludźmi na świecie..

Skin¹³ g³ow¹, wydaj¹c się rozumieć, że Anna przebywa³a
gdzieś, gdzie nie był³o jego, ale nie przyj¹³ owego stwierdzenia
jako ostateczne.

Pospacerowali jeszcze i Smiley zauważy³, że kiedy nic nie
mówi³a, potrafi³ się z ni¹ identyfikować, ale tylko w tym sensie,
że był³a po prostu inn¹ żyw¹ istot¹, id¹c¹ t¹ sam¹ siebie¹ k¹ co on.

- Sprawa ma zwi¹zek z lud^Źmi, którzy doprowadzili do upadku

Billa Haydona - powiedzia³ Smiley, Źeby j¹ pocieszyæ albo Źeby

usprawiedliwiæ siê ze swej ucieczki. Ale jednocześnie pomyœla³:

Chodzi o ludzi, którzy doprowadzili do upadku ciebie.

Spó^Źni³ siê na poci¹g i pozosta³y mu jeszcze dwie godziny czekania. By³ odp³yw, wiêc przeszed³ siê brzegiem ko³o Marazion,

wystraszony w³asn¹ obojêtnoœci¹. Dzieñ by³ szary, a mewy odcina³y

siê jaskraw¹ biel¹ od kamiennego morza. Dwójka bohaterskich

dzieci pluska³a siê w falach. Jestem z³odziejem ducha, myœla³

pogr¹Źony w beznadziejnoœci. Nie mam wiary, a œcigam przekonania

drugiego cz³owieka; usi³ujê ogrzaæ siê przy cudzym ogniu.

Obserwowa³ dzieci i przypomn³ sobie jakieœ fragmencik poezji z

czasów, w których j¹ jeszcze czyta³:

Jak p³ywacy w czystoœæ skacz¹cy, odwróciæ siê Od
znu¿onego,

wiekowego i zimnego œwiata.

Tak, pomys³a³ ponuro. To ja.

- S³uchaj, George - indagowa³ go Lacon. - Czy uważasz, ¿e
my

za wysoko cenimy swoje kobiety, czy w tym tkwi nasz b³¹d,
b³¹d

facetów nale¿¹cych do klasy œredniej? Czy s¹dzisz - pozwól,
¿e

ujmê to w ten sposób - ¿e my, Anglicy, obci¿eni tradycj¹ i
szko³ami, za du¿o wymagamy od naszych kobiet, a potem
winimy je

za to, ¿e w ogóle nie spe³niaj¹ pok³adanych w nich nadziei -
rozumiesz? Widzimy je jako pojêcia, nie jak istoty z krwi i
koœci.

Czy na tym polega nasza pomys³ka?

Smiley odpar³, ¿e jest to mo¿liwe.

- Bo jeœli nie, to dlaczego Val zakochuje siê zawsze w
jakichœ gówniarzach? - warkn¹³ zaczepnie Lacon ku
zdziwieniu

jakiejœ pary siedz¹cej przy s¹siednim stoliku.

Smiley i na to pytanie nie zna³ odpowiedzi.

Zjedli ohydny obiad w wybranej przez Lacona restauracji.

Wypili podanego w karafce hiszpañskiego burgunda, a Lacon
ca³y

czas rozwodzi³ siê zaciekle nad politycznymi dylematami
Brytyjczyków. Teraz dostali kawê i jakiejœ podejrzanego
brandy.

Antykomunistyczna fobia zosta³a wyolbrzymiona, Lacon
oœwiadczy³,

¿e jest tego pewien. W koñcu komunikacji to po prostu ludzie.
Nie

s¹ ju¿ potworami o czerwonych zêbiskach. Chc¹ tego samego,
co

wszyscy: dobrobytu oraz odrobiny ciszy i spokoju. Szansy
wytchnienia od ca³ej tej przeklêtej nienawiœci. A jeœli nie s¹
tacy, no to co my mo¿emy na to poradziæ? - pyta³. Niektóre
problemy, jak na przyk³ad problem Irlandii, s¹ nie do
rozwi¹zania, ale Amerykanów nigdy nie uda siê przekonaæ,
¿e

istniej¹ nierozwi¹zywalne kwestie. Nie da siê rz¹dziæ Wielk¹

Brytani¹; za kilka lat będzie można powiedzieć to samo o
innych

krajach. Przyszłość to sprawa zbiorowości, ale ocalenie należy
do

jednostki, ten właśnie paradoks zabija nas każdego dnia.

- A więc jak ty to widzisz, George? W końcu pozbyć się
jarzma. Masz obiektywny pogląd na sprawę, patrzysz z
ogólnej
perspektywy.

Smiley usłysza³, jak odmrukuje coś bezsensownego na
temat
różnorodności.

A teraz poruszyli w końcu temat, którego Smiley ba³ się
panicznie przez cały wieczór: rozpoczęło się ich seminarium
ma³żeńskie.

- Zawsze uczono nas adorować kobiety - oznajmi³ z
żalem

Lacon. - Wariowały, jeżeli nie czuły się kochane w każdej
chwili.

Ale ten gość, z którym jest teraz Val... jak ona go wkurzy
albo

jak powie coœ niestosownego, facet z ³atwoœci¹ podbije jej oko.

My nigdy byœmy tak nie post¹pili, prawda?

- Na pewno nie - odpowiedzia³ Smiley.

- Pos³uchaj. Myœlisz, ¿e gdybym poszed³ zobaczyæ siê z ni¹... gdybym stawi³ jej czo³o u niego w domu... postawi³ sprawê

twardo... zagrozi³ s¹dem i tak dalej... myœlisz, ¿e mog³oby to przewa¿yæ szalê? Jestem przecie¿ wa¿niejszy od niego, jak mi Bóg

mi³y. Mam pewne wp³ywy, cokolwiek byœ o tym myœla³.

Stali na chodniku pod gwiazdami, czekaj¹c na taksówkê dla Smileya.

- Ach, przynajmniej urz¹dzimy sobie porz¹dne wakacje. Nale¿¹

ci siê -powiedzia³ Lacon. - Jedziesz do ciep³ych krajów?

- Pomyœla³em sobie, ¿e ruszê po prostu w trasê trochê siê pow³óczyæ.

- Szczêœciarzu. Mój Bo¿e, jak ja ci zazdrozczê wolnoœci. No

có¿, bardzo mi pomog³eœ. Skorzystam z twojej rady co do joty.

- Ależ Oliverze, przecież ja ci nie udziela³em żadnych rad -
zaprotestowa³ lekko zaniepokojony Smiley.

Lacon nie zwróci³ na niego uwagi.

- S³ysza³em, że tamta sprawa też jest podobno za³atwiona -
powiedzia³ z powag¹. - Wszystko zrobione, żadnego ba³aganu.
To

³adnie z twojej strony, George. Lojalnie. Zobaczê, czy uda mi
siê

jakoœ ciê za to wynagrodziæ.

Dosta³ecê juź coœ, bo zapomnia³em? Jakioœ facet mówi³
wczoraj

w Ateneum, że należy ci siê order.

Przyjecha³a taksówka i ku zak³opotaniu Smileya Lacon
upiera³

siê, żeby uœcisn¹æ mu d³oñ.

- George. Niech ci Bóg b³ogos³awi. Bracie. Jesteœmy jednej
krwi, George. Patrioci, dajemy, zamiast braæ. Wyszukoleni w
naszym

fachu. Ńeby s³użyæ ojczyŃnie. Musimy za to zap³aciæ. Gdyby
Anna

by³a twoj¹ agentk¹, a nie twoj¹ żon¹, zapewne œwietnie byœ j¹

poprowadzi³.

Nastêpnego popo³udnia Smiley pod nazwiskiem Barraclough

wyjecha³ cichaczem do Szwajcarii, otrzymawszy od Tobyego telefon

z wiadomoœci¹, Ÿe interes jest juŸ niemal ubity. Z Zurychu pojecha³ autobusem szwajcarskich linii lotniczych do Berna i uda³

siê prosto do hotelu "Bellevue Palace", olbrzymiego i urz¹dzonego

z przepychem budynku o dojrza³ym, edwardiañskim spokoju. W

bezchmurne dni z okien hotelu widaæ by³o zza podnóŸa gór

b³yszcz¹ce Alpy, ale tego wieczora "Bellevue Palace" spowija³a

przecukrzona, zimowa mg³a. Bra³ pod uwagê róŸne mniejsze hotele;

bra³ takŸe pod uwagê któr¹œ z kryjówek Tobyego. Toby jednak

przekona³ go, Ÿe najlepszy bêdzie hotel "Bellevue". Mia³ kilka

wyjœæ, sta³ w centrum miasta i by³o to pierwsze miejsce w Bernie,

gdzie nale¿a³oby Smileya szukaæ, a zatem ostatnie, w którym

spodziewa³by siê go zastaæ Karla, jeœli rzeczywiœcie interesowa³o go miejsce jego pobytu. Wchodz¹c do ogromnego holu,

Smiley czu³ siê tak, jak gdyby wstêpowa³ na pok³ad pustego liniowca gdzieœ daleko na otwartym morzu.

* * *

Jego pokój przypomina³ maleñki, szwajcarski Wersal.
Biuurko

bombe, mosiê¿ne inkrustacje, marmurowy blat, nad niepokalanymi,

podwójnymi ³ó¿ami rycina Bartletta z Childe Harolda lorda Byrona.

Za oknem mg³a uformowa³a szar¹ œcianê. Rozpakowa³ siê i zszed³

znów na dół, gdzie stary pianista gra³ wi¹zankê przebojów z lat

pięćdziesiątych; Anna niezmiernie lubiła te utwory i Smiley
mniemała, że on też. Zjadła trochę sera i wypila szklankę fendant,
myślała: Teraz. Teraz rozpoczynamy. Od tej chwili nie wolno
się

już cofać, nie ma miejsca na niezdecydowanie. O dziesiątej
poszedła na stare miasto, które uwielbiała. Brukowane ulice,
mroźne

powietrze pachniało pieczonymi kasztanami i cygarami.
Stare

fontanny zbliżyły się ku niemu poprzez mgłę, a
średniowieczne

kamienice stanowiły tło dla sztuki, w której Smiley nie grała
żadnej roli. Wszedła pod arkady, mijając galerie sztuki i
antykwariaty, przechodziła przez drzwi tak wysokie, że mogłaby
nimi

przejechać koń.

Przystanęła na moście Nydegg i wpatrzyła się w rzekę. Tyle
nocy, pomyślała.

Wcisnęła tu ulic. Wspomniała Hessego: dziwnie wstydziła
się

we mgle... gdzie nie znaj¹ siê drzewa. Zmro³ona mg³a wi³a
siê

nisko nad pêdz¹cymi wodami; zapora na rzece pali³a siê
kremowymi,
i³ó³tymi barwami.

Z ty³u podjecha³ du³y, pomarańczowy volvo combi, gasz¹c
na

moment œwiat³a. Smiley ruszy³ w kierunku wozu, ktoœ
otworzy³

drzwi od wewn¹trz i wtedy w œwietle samochodowej
lampki

spozreg³ za kierownic¹ Tobyego Esterhasea, a na tylnym
siedzeniu surow¹ damê w stroju berneñskiej gospodyni
domowej,

bawi¹c¹ na kolanach dziecko. U³ywa ich jako zas³ony,
pomyœla³

Smiley; tropiciele nazywaj¹ takie osoby sylwetkami. Odjechali
i

kobieta zaczê³a rozmawiaæ z dzieckiem. W jej
szwajcarskiej

niemczy³nie pobrzmiewa³a stale nutka oburzenia:

- Widzisz dÿwig, Edwardzie... Teraz przeje³d³amy obok

wykopu, Edwardzie... Spójrz, Edwardzie, tramwaj... -
Tropiciele

nie s¹ nigdy zadowoleni, przypomn³ sobie; to los kaźdego
podgl¹dacza. Macha³a rêkami, kieruj¹c wzrok dziecka na
wszelkie

możliwe przedmioty. Rodzinny wieczór, panie w³adzo,
mówi³

scenariusz. JeŸdzimy tu sobie naszym ³adnym pomarańczowym
volvo,

panie w³adzo. Jedziemy do domu. A mêtczyŸni, panie w³adzo,
siedz¹

oczywiœcie z przodu.

Wjechali do Elfenau, dyplomatycznego getta Berna.
Smiley

dostrzeg³ poprzez mg³ê spl¹tane ogrody pobielone mrozem i
zielone

portyki willi. Œwiat³a auta wy³uska³y mosiêt¹n¹ p³yt¹kê z
nazw¹

jakiegoœ arabskiego pañstwa i dwóch pilnuj¹cych jej
ochroniarzy.

Minêli angielski koœció³ i szereg kortów tenisowych;
potem

wjechali w alejê obramowan¹ nagimi bukami.

Latarnie uliczne wygl¹da³y wœród nich jak bia³e balony.

- Numer osiemnasty znajduje siê o piêæset metrów st¹d po lewej stronie - powiedzia³ miêkko Toby. - Grigoriew wraz z ĩon¹

mieszkaj¹ na parterze. - Jecha³ powoli, usprawiedliwiaj¹c siê mg³¹.

- Mieszkaj¹ tu bardzo bogaci ludzie, Edwardzie - wyœpiewywa³a z ty³u kobieta. - Wszyscy z róŹnych zagranicznych krajów.

- Wiêkszoœæ tych z za ĩelaznej kurtyny mieszka w Muri, nie w

Elfenau ci¹gn¹³ dalej Toby. - To jak komuna, robi¹ wszystko w

grupach. Chodz¹ w grupach po zakupy, na spacer, wszêdzie.

Grigoriewowie s¹ inni. Trzy miesi¹ce temu wyprowadzili siê z Muri

i wynajêli to mieszkanie prywatnie.

Trzy i pó³ tysi¹ca miesiêcznie, George. Grigoriew osobiœcie

p³aci czynsz gospodarzowi.

- Gotówk¹?

- Co miesi¹c, w banknotach stufrankowych.

- A jak p³aci siê za inne lokale, wynajmowane przez ambasadê?

- Z konta misji. Ale nie w przypadku Grigoriewa. Grigoriew jest wyj¹tkiem.

Wyprzedzi³ ich samochód policyjny, jad¹cy z szybkoœci¹ barki rzecznej;

Smiley ujrza³, jak g³owy trzech policjantów odwracaj¹ siê ku nim.

- Popatrz, Edwardzie, policja! - krzyknê³a kobieta, próbuj¹c zmusiać dziecko, by pomacha³o funkcjonariuszom.

Tak¿e i Toby uważa³, ¿eby nie przestać mówiać.

- Ch³opcy z policji obawiaj¹ siê bomb - wyjaœni³. - S¹dz¹, ¿e Palestyńczycy zamierzaj¹ wysadziać w powietrze ca³¹ okolicê. To

dla nas i dobrze, i Ýle, George. Jeœli bêdziemy niezdarni,

Grigoriew może pomyśleć, że należymy do lokalnych aniołów

stróżów. Ale policja będzie innego zdania.

Sto metrów, George. Poszukaj na podjeździe czarnego mercedesa. Reszta personelu jeździ służbowymi samochodami

ambasady. Ale Grigoriew nie.

Grigoriew ma własnego mercedesa.

- Kiedy go kupi? - spyta Smiley.

- Używany, trzy miesiące temu. Wtedy, gdy wyprowadzi się z

Muri. To byłoby dla niego wielki skok. Dostałby prezentów jak na urodziny.

Samochód, dom, awans z pierwszego sekretarza na radcę.

Willa była ozdobiona sztukaterią, stała w wielkim ogrodzie, pozbawionym tytu przez mgłę. W wykuszowym oknie Smiley dostrzegł

rysunek palca się za zasłonami okna. W ogrodzie znajdowała

się dziecięca zjeżdżalnia i chyba pusty basen. Na kamiennym

podjeżdżcie stać czarny mercedes na numerach
rejestracyjnych

korpusu dyplomatycznego.

- Wszystkie numery samochodów ambasady sowieckiej
kończą się

na siedemdziesiąt trzy - powiedziały Tobi. - Angole mają
siedemdziesiąt dwa.

Dwa miesiące temu Grigoriewa zrobiła prawo jazdy. W
ich

ambasadzie umieją prowadzić tylko dwie kobiety. Jedną z nich
to

właścicielką Grigoriewa; jest okropnym kierowcą, George.
Naprawdę

okropnym.

- Kto zajmuje resztę domu?

- Gospodarz. Profesor Uniwersytetu Berneńskiego, taka
tam

menda.

Jakiego czasu temu dopadli go Kuzyni. Powiedzieli, że
chcieliby

za³o¿yæ na parterze dwa mikrofony pods³uchowe, zap³acili mu.

Profesor wzi¹³ pieni¹dze i doniós³ na nich na Bundespolizei jak dobry obywatel. Policjanci siê sp³oszyli.

Obiecali Kuzynom, ¿e przymkn¹ na nich oczy, jeœli podziel¹

siê z nimi towarem. Operacjê zarzucono. Wydaje mi siê, ¿e Kuzyni

nie interesowali siê szczególnie Grigoriewem, to tylko rutynowe

postêpowanie.

- Gdzie s¹ dzieci Grigoriewów?

- W Genewie, w szkole przy misji sowieckiej, piêæ dni w tygodniu.

Wracaj¹ w pi¹tki wieczorem. Podczas weekendów rodzina jeŸdzi

na wycieczki. Œa¿¹ po lesie, biegaj¹, graj¹ w badmintona.

Zbieraj¹ grzyby.

Grigoriewa ma fio³a na punkcie œwie¿ego powietrza. Zaczêli

także uprawiać kolarstwo - doda³ Toby ze znacz¹cym spojrzeniem.

- Grigoriew jeŹdzi z rodzin¹ na te wycieczki?

- W soboty pracuje, George; jestem przekonany, że robi to tylko po to, żeby się od nich uwolnić. - Smiley spostrzeg³, że Toby wyrobi³ już sobie zdanie na temat mał³żeństwa Grigoriewów.

Zastanawia³ się, czy znalaz³ w nim echa swego w³łasnego zwi¹zku.

Opuścili alejkę i wjechali w jak¹oś boczn¹ drogę.

- Pos³uchaj, George. - Toby opowiada³ ci¹gle o weekendach

Grigoriewów. - Dobra? Tropiciele fantazjuj¹. Musz¹ to robić, to

ich zawód. W sekcji wizowej ambasady pracuje dziewczyna.

Brunetka, i jak na Rosjankę, seksowna. Ch³opcy nazywaj¹ ją ma³

Natasz¹. Naprawdę nazywa się jakoś inaczej, ale dla nich jest Natasz¹. Przychodzi do ambasady w soboty. Do pracy.

Grigoriew odwozi³ ją kilka razy do Muri. Zrobiliemy kilka

niez³ych zdjêæ.

Wysiada z samochodu jakieœ piêæset metrów od swego

mieszkania i idzie dalej piechot¹. Dlaczego? Innym razem zabra³

j¹ do nik¹d - pojeŹdzili sobie dooko³a Gurten, ale bardzo przyjemnie im siê rozmawia³o. Ale moŹe ch³opcy tylko Źyczyliby

sobie, Źeby tak by³o, ze wzglêdu na Grigoriew¹.

Lubi¹ tego faceta, George. Wiesz, jacy s¹ tropiciele. Zawsze mi³oœæ albo nienawioœæ.

Lubi¹ go.

Hamowa³. We mgle zamigota³y ku nim œwiat³a ma³ej kafejki. Na

parkingu sta³ zielony, dwudrzwiowy citroen na genewskiej rejestracji.

Kartonowe pud³a, piêtrz¹ce siê na jego tylnym siedzeniu, wygl¹da³y na handlowe próbki jakichœ towarów. Z anteny powiewa³a

lisia kita. Toby wyskoczy³ z auta, otworzy³ w¹t³e drzwiczki i

wepchn¹³ Smiley'a na przednie siedzenie; potem poda³ mu
filcowy

kapelusz, który Smiley od razu za³o_ly³. Dla siebie Toby mia³
ju_z

przygotowane rosyjskie futro. Odjechali, a Smiley zobaczy³,
jak

ich berneńska matrona gramoli siê za kierownicê
pomarańczowego

volvo, z którego w³aczenie wysiedli. Kiedy ruszali, dziecko
zaczê³o

machaæ do nich rozpaczliwie przez tyln¹ szybê.

- Jak tam wszyscy? - spyta³ Smiley.

- Œwietnie. Nie mog¹ siê ju_z doczekaæ. Zachorowa³o
dziecko

jednego z braci Sartorów i musia³ wróciæ do domu, do
Wiednia. Z

u_lu prawie mu serce pêk³o. Poza tym wszystko œwietnie.
Jesteœ

dla nich Numer Jeden. Tam po prawej idzie Harry Slingo.
Pamiêtasz

Harryego? By³ kiedyœ moim pomocnikiem w Acton.

- Czyta³em, u_e jego syn dosta³ stypendium w Oksfordzie -

powiedzia³ Smiley.

- Z fizyki. Wadham, Oksford. Ch³opak jest geniuszem.

Patrz

przed siebie, George, nie ruszaj g³ow¹.

Minêli niebiesk¹ furgonetkê z wymalowanym
rozwichrzonymi

literami napisem "Auto - Schnelldienst" i drzem¹cym za
kierownic¹ szoferem.

- Kto w odwodzie? - spyta³ Smiley, kiedy znajdowali siê ju¿
w bezpiecznej odleg³oœci.

- Pete Lusty, by³y ³owca skalpów. By³o bardzo ciê¿ko tym
facetom, George. Nie mieli pracy, nic siê nie dzia³o. Pete
zg³osi³ siê do armii rodezyjskiej.

Zabi³ paru goœci, nie podoba³o mu siê, wróci³. Nic
dziwnego,

¿e ciê kochaj¹.

Znów przeje¿d¿ali obok domu Grigoriewów. W drugim
oknie

pali³o siê œwiat³o.

- Wczeœnie chodz¹ spaæ - powiedzia³ jakby zdziwiony Toby.

Z przodu stała zaparkowana limuzyna na konsularnych numerach

z Zurychu. Kierowca czyta jak o kieszonkowca księżkę.

- To Canada Bill - wyjechał Toby. - Grigoriev wychodzi z domu, skręca w prawo, mijając Petea Lustyego. Skręca w prawo, mijając

Billa.

Dobre chopaki. Bardzo czujni.

- A kto jest za nami?

- Siostry Meinertzhagen. Większa wyszła za mąż.

Dzięki mgłę mogli się poruszać swobodnie i bardzo cicho. Zjechali z wysokiego wzgórza, mijając po prawej rezydencję ambasadora brytyjskiego i jego zaparkowanego na podjeździe rolls

- Royce. Droga zaprowadziła Tobiego na lewo. Wtedy jadący z tyłu

samochód wyprzedził ich i dla wygody Tobiego włączył światła. W

blasku reflektorów Smiley zobaczył porośnięte drzewami cielec

uliczkę, kończą się dwiema wysokimi bramami, strzeżonymi przez

mur i kolumny. Reszta cała to kłosa drzewa.

- Witaj w ambasadzie sowieckiej, George - powiedziało cicho Toby. - Dwudziestu czterech dyplomatów, pięćdziesięciu

innych pracowników - szyfranci, maszynistki i paru kłosa

osob, wszyscy mieszkają tutaj. Placówka handlowa mieści się

w innym budynku, na Schanzeneckstrasse Grigoriew często tam

chodzi. Mamy także w Bernie TASS i "Nowosti", w większości

zwyczajni bandyci. Centralna rezydencja mieści się w Genewie, pod

osłoną O.N.Z., siedzi tam w sile około dwustu osób. To miejsce to

provincialne przedstawienie: dwanaście, piętnaście osób. Liczba

osób personelu rośnie, ale bardzo powoli. Konsulat uwiesili na

ty³ach ambasady.

Wchodzi siê przez furtkê w p³ocie, jakby to by³ bajzel albo palarnia opium.

Maj¹ detektory w poczekalni i kamery telewizji wewnêtrznej

zainstalowane na œcie¿ce. Spróbuj choœ raz z³o¿yæ podanie o wizê.

- Darujê sobie, dziêkujê - powiedzia³ Smiley i rzadko objawiaj¹cy weso³oœæ Toby g³oœno siê rozcœmia³.

- Teren ambasady - powiedzia³ Toby, gdy œwiat³a samochodu

omiot³y po³o¿ony na stromych wzgórzach lasek, teraz przesuwaj¹cy

siê na prawo. -Tu Grigoriewa gra w siatkówkê i udziela instrukcji

politycznych swoim dzieciom. Wierz mi, George, to bardzo

niewygodna kobieta.

Przedszkole przy ambasadzie, zajêcia z indoktrynacji, klub pingpongowy, kobieca sekcja badmintona - rz¹dzi wszystkim.
Jak

myœlisz, ¿e przesadzam, to pos³uchaj, co mówi¹ o niej moi
ch³opcy. - Gdy opuszczali œlep¹ uliczkê, Smiley uniós³ wzrok
ku

górnemu oknu w naro¿nym domu i zobaczy³, jak najpierw
zgas³o, a

potem znów zapali³o siê w nim œwiat³o.

- A tak Pauli Skordeno powiada: "Witamy w Bernie" -
rzek³

Toby. -W zesz³ym tygodniu uda³o nam siê wynaj¹æ górne
piêtro.

Jest korespondentem Reutera. Zdo³alibyœmy wyrobiæ mu nawet
fa³szyw¹

akredytacjê. Karty depeszowe i ca³y ten kram.

Toby zaparkowa³ przy Thunplatz. Zegar na nowoczesnej
wie¿y

ratuszowej bi³ jedenast¹. Pada³ drobny œnieg, ale jak na razie
nic nie rozproszy³o mg³y. Na chwilê obaj zamilkli.

- Dzieœ ogl¹da³eœ schemat z ubieg³ego tygodnia, a ubieg³y
tydzieñ by³ tak¿e schematem z ubieg³ego tygodnia -
powiedzia³

Toby. - Każdy czwartek wygl¹da identycznie. Po pracy jedzie

mercedesem do warsztatu, uzupe³nia olej i paliwo, sprawdza

akumulator, prosi o rachunek. Wraca do domu. Parê minut po

szóstej przed drzwi jego domu podej²d²a s³u²bowy samochód z

ambasady i wysiada z niego Krasski, sta³y, czwartkowy kurier z

Moskwy. Sam.

Bardzo gorliwy facet, zawodowiec. We wszelkich innych

sytuacjach Krasski nigdzie siê nie rusza bez Bogdanowa, swojego

towarzysza. Razem lataj¹, przewo²zi przesy³ki, jedz¹. Ale ²eby odwiedziæ Grigoriewa, Krasski ³amie regu³y i idzie do niego sam.

Siedzi pó³ godziny, odje²d²a. Czemu?

Kurierzy rzadko tak postêpuj¹, George. Nie maj¹c wsparcia, nara²za siê na powa²ne niebezpiecze³stwo, mo²esz mi wierzyæ,

George.

- No i jak widzisz tego Grigoriewa, Toby? - spyta³ Smiley. -

Co to za jeden?

Toby w charakterystycznym dla siebie geœcie pokiwa³ wyci¹gniê¹ rêk¹. -Wyszkolonym bandyt¹ to on nie jest. -adnej fachowoœci, w³œciwie to kompletna fujara. Ale nie jest tak¿e

zwyk³ym dyplomat¹. To mieszaniec, George.

Tak samo jak Kirow, pomyœla³ Smiley.

- Myœlisz, ¿e doœæ na niego mamy? - spyta³ Smiley.

- Z technicznego punktu widzenia nie ma ¿adnego problemu.

Bank, fa³szywe nazwisko, nawet ta ma³a Natasza: z technicznego

punktu widzenia mamy w kartach same asy.

- I s¹dzisz, ¿e pêknie - powiedzia³ Smiley tonem potwierdzenia raczej ni¿ pytania.

D³oñ Tobyego znowu przechyla³a siê w ciemnoœci to w tê, to w tamt¹ stronê.

- Szantaż, George, to zawsze jest ryzyko, kapujesz? S¹ tacy, którzy robi¹ siê nagle bohaterscy i chc¹ umieraæ za ojczyznê. Inni przewracaj¹ siê na grzbiet i przestaj¹ wierzgaæ w momencie, kiedy siê ich dotknie.

Szantaż wywo³uje upór niektórych ludzi. Kapujesz?

- Tak. Tak, s¹dzê, ¿e tak - powiedzia³ Smiley. I znów przypomnia³ sobie Delhi i milcz¹c¹ twarz, obserwuj¹c¹ go przez mg³ê tytoniowego dymu.

- Tylko spokojnie, George. Dobra? Od czasu do czasu trzeba sobie odpuœciæ.

- Dobranoc - odpar³ Smiley.

Z³apa³ ostatni tramwaj jad¹cy do centrum. Kiedy dotar³ do "Bellevue", pada³ ju¿ gêsty œnieg: wielkie p³atki kot³owa³y siê w ¿ó³tym œwietle, by³y zbyt wilgotne, ¿eby le¿eæ na ziemi. Budzik nastawi³ na siódm¹.

* * *

Młoda kobieta zwana Aleksandrą nie spała już dokładnie od godziny, kiedy rozległ się poranny dzwonek na zbiórki, ale słysząc go, dziewczyna natychmiast podkuliła kolana w swojej perkalowej koszuli nocnej, zacisnęła powieki i przysięgała sobie, że nadal śpi, niczym potrzebujące wypoczynku dziecko. Dzwonek na zbiórki zabrzmiał punkt siódma, jak budzik Smiley, ale Aleksandra już o szóstej słyszała bicie zegarów w dolinie, najpierw w kościołach katolickich, potem protestanckich, potem na wieży ratusza miejskiego, nie wierzyła jednak w żaden z nich. Nie wierzyła ani w tego, ani w tamtego Boga, a nade wszystko nie wierzyła w mieszczan o twarzach rzeźników, którzy stawiali

dorocznym festynie na bacznoœæ, wypinaj¹c brzuchy, podczas
gdy

chór stra¿y po¿arnej zawodzi³ jakieœ patriotyczne pieœni w
miejscowym dialekcie.

Wiedzia³a o istnieniu festynu, poniewa¿ by³ on celem jednej
z niewielu Dozwolonych Wycieczek, a ca³kim niedawno, w
drodze

wyró¿nienia, zezwolono jej po raz pierwszy na wziêcie udziału
w

owej ceremonii, która ku jej niebotycznemu zdumieniu
poœwiêcona

by³a zwyczajnej cebuli.

Sta³a pomiêdzy siostr¹ Urszul¹ i siostr¹ Beatitude i
wiedzia³a dobrze, ¿e strzeg¹ jej pilnie na wypadek, gdyby
próbowa³a uciec albo nie wytrzymaæ i dostaæ spazmów, wiêc
przez

godzinê przys³uchiwa³a siê najpierw najnudniejszym na
œwiecie

przemówieniom, a potem œpiewom do wtóru monotonnej
muzyki

wojskowej w wykonaniu orkiestry dętej. Potem obserwowała
pochód

miejscowych mieszkańców, ubranych w ludowe stroje i
niosących na

drugich kijach warkocze cebuli. Na czele, w machują flagi,
szedł

wioskowy wódzirej, który kiedy indziej przynosi mleko do
stróżówki, a czasem, udało mu się przemknąć, aż pod same
drzwi

sanatorium, skąd miała nadzieję ujrzeć przez okno dziewczynę;
a

może to po prostu Aleksandra usiłowała na niego zerkać.

Kiedy zegary we wsi wybiły szóstą, Aleksandra zdecydowała
z

przepastnej głębi żółka liczyć minuty do kresu wieczności.
W

narzuconej sobie roli dziecka przystępowała do tego, odliczając
szepem każdą sekundę: Tysiąc i jeden, tysiąc i dwa. Dwanaście
po

szóstej, wedle jej dziecinnych obliczeń, usłyszała na drodze
warkot paradnego mopeda matki Felicity, powracającej z
porannej

mszy i opowiadaj¹cej ka¹demu, ¹e tylko Felicity - Felicity - prr
prr -i nikt inny - prr prr - jest nasz¹ Kierowniczk¹ i Oficjaln¹
Starterk¹ Dnia; nikt inny - prr prr - siê do tego nie nadaje.
By³o to æmieszne, bo ona wcale nie nazywa³a siê Felicity;
przybra³a to imiê dla pozosta³ych sióstr.

Jak powiedzia³a Aleksandrze w sekrecie, w
rzeczywistoœci
mia³a na imiê Nadie¹da, czyli Nadzieja. Zreszt¹ Aleksandra
powiedzia³a Felicity, ¹e ona nazywa siê Tatiana, a nie
Aleksandra. Jak wyjaœni³a, Aleksandra by³a nowym
imieniem,
przyjêtym specjalnie na czas pobytu w Szwajcarii. Ale Felicity
-
Felicity odpowiedzia³a ostro, ¹eby nie by³a niem¹dra.

Po przyjeŹdzie matki Felicity Aleksandra unios³a do oczu
bia³e przeœcierad³o i uzna³a, ¹e czas wcale nie p³ynie, ¹e
znajduje siê w bia³ym wiêzieniu dziecka, gdzie wszystko jest
pozbawione cieni, nawet Aleksandra, nawet Tatiana. Bia³e
¹arówki,
bia³e œciany, bia³y, ¹elazny szkielet ³ó¹ka. Bia³e grzejniki.

Przez wysokie okna widać bia³e góry na tle bia³ego nieba.

Doktorze Ruedi, pomysla³a, bêdê mia³a dla ciebie nowy sen,

kiedy odbêdziemy nasz¹ czwartkow¹, czy mo¿e wtorkow¹ pogawêdkê?

Niech pan uważnie s³ucha, doktorze. Zna pan na tyle rosyjski?

Czasem udaje pan, ¿e rozumie wiêcej ni¿ naprawdê. No dobrze,

zaczynam.

Nazywam siê Tatiana, stojê w bia³ej koszuli nocnej przed bia³ym alpejskim pejza¿em, usi³uj¹c pisaæ na zboczu góry kawa³kiem bia³ej kredy Felicity - Felicity, która naprawdê ma na

imiê Nadie¿da. Pod koszul¹ nie mam na sobie nic wiêcej.

Udajesz, ¿e takie rzeczy s¹ ci obojêtne, ale kiedy opowiadam ci, jak bardzo kocham swoje cia³o, s³uchasz bardzo uważnie, prawda, doktorze Ruedi? Bazgrzê kred¹ po zboczu góry.

Wciskam j¹

w ska³ê, jak gdybym gasi³a papierosa. Przychodz¹ mi do g³owy

najbardziej œwiñskie wyrazy, jakie znam - tak, doktorze Ruedi,
to

s³owo, tamto s³owo - ale obawiam siê, ¿e pañski rosyjski
s³ownik

ich raczej nie zawiera. Próbujê je tak¿e napisaa, ale biel na
bieli, co mo¿e dzia³aa ma³a dziewczynka, pytam pana,
doktorze?

Doktorze, to straszne, nie wolno panu posiadaæ moich
snów.

Wie pan, ¿e by³am kiedyœ kurw¹ o imieniu Tatiana? ¯e nie
mogê

wyrz¹dziaæ nikomu ¿adnego z³a? ¯e choæbym sta³a siê
podpalaczk¹,

choæbym usi³owa³a nawet dokonaæ samospalenia albo
oczerniaæ

ojczyznê, to i tak mêdrcy u w³adzy nie zdecyduj¹ siê mnie
ukaraæ?

Raczej wypuszcz¹ mnie tylnymi drzwiami:

-Idÿ, Tatiano, idÿ sobie. - Wiedzia³ pan o tym?

S³ysz¹c kroki na korytarzu, Aleksandra ukry³a siê jeszcze
g³êbiej pod ko³dr¹. Prowadz¹ Francuzkê do toalety,
pomyœla³a.

Francuzka jest tu naj³adniejsz¹ dziewczyn¹. Aleksandra kocha³a j¹

za sam¹ tylko urodê. Dziêki niej by³a w stanie zwyciê¹çyæ tutejsz¹

w³adzê. Nawet kiedy zak³adali jej kaftan -za to, çe siê zanieczyœci³a albo coœ st³uk³a, albo podrapa³a kogoœ - nawet

wtedy jej anielska twarz spogl¹da³a na zakonnice jak jedna z ich w³asnych ikon. Nawet kiedy nosi³a bezkszta³tn¹ koszulê nocn¹,

pozbawion¹ guzików, jej piersi unosi³y siê, tworzc soczysty mostek, i nikt - z Felicity - Felicity o tajnym imieniu Nadzieja na czele - nie móg³ nic poradziæ na to, çe wygl¹da³a jak gwiazda

filmowa. Kiedy zdziera³a z siebie ubranie nawet zakonnice wpatrywa³y siê w ni¹ z czymœ w rodzaju skrywanego przerażenia.

Jedynie Amerykanka dorównywa³a jej urod¹, ale Amerykanka by³a tak

niepos³uszna, çe musieli j¹ st¹d zabraæ. Francuzka teç by³a

niepos³uszn³a; obna³ia³a si³e w napadach z³ego humoru,
usi³owa³a

przeci¹æ sobie ζ y³y i w atakach sza³u rzuca³a si³e na Felicity -
Felicity, ale by³o to nic w porównaniu z zachowaniem
Amerykanki

tu ζ przed jej wyjazdem. Siostry musia³y wezwa^æ Kranka
ze

stró ζ ówki, ζ eby pomóg³ j¹ przytrzyma^æ i ζ eby mog³y
dziewczyn^ê

uspokoia^æ. Musia³y wtedy zamkn¹æ ca³¹ rekreacyjn¹ cz^êæ
budynku,

ale kiedy Amerykank^ê zabra³a furgonetka, odczu³y to jak
œmier^æ w

rodzinie i siostra Beatitude ³ka³a przez ca³y czas podczas
wieczornych modlitw. A potem, gdy Aleksandra nak³oni³a j¹
do

wyzna^ñ, nazywa³a j¹ zdrobnia³ym imieniem Sasza, co
stanowi³o

jawn¹ oznak^ê strapienia.

- Amerykanka pojecha³a do Untersee - mówi³a przez ³zy,
gdy

Aleksandra nak³oni³a j¹ do wyzna^ñ. - Och Sasza, Sasza,

przrzeknij mi, że nie pojedziesz nigdy do Untersee. - Tak, jak
w

jej życiu, o którym nie mogła wspominać, bógali j¹ niegdyœ
inni

ludzie: Tatiano, nie czyñ takich szalonych i niebezpiecznych
rzeczy Od tej pory Untersee budzi³o w Aleksandrze
najstraszliwsze

przerażenie, stanowi³o groŸbê, która uspokaja³a j¹ zawsze,
nawet,

kiedy by³a wyj¹tkowo niegrzeczna: Jeżeli bédziesz siê
nie³adnie

zachowywaæ, pojedziesz do Untersee, Sasza. Jeżeli
bédziesz

drażniæ siê z doktorem Ruedi, zadzieraæ spódnicê i krzyżowaæ
przy

nim nogi, matka Felicity każe wys³aæ ciê do Untersee.

B¹dŸ cicho albo poœl¹ ciê do Untersee.

Kroki w korytarzu powróci³y. Zabierali Francuzkê, żeby j¹
ubraæ. Czasem bi³a siê z nimi i wtedy koñczy³a w kaftanie.
Czasem

posy³ali Aleksandrê, żeby j¹ uspokoic³a - w kó³ko czesa³a
wtedy

jej włosy i nic nie mówiła, aż wreszcie Francuzka odprężyła się i zaczynała całować jej dłoń. Wtedy Aleksandr znowu zabierano,

ponieważ miłoścy nie było, nie było w rozkądzie dnia.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i Aleksandra usłyszała dworny

głos Felicity - Felicity, dręczcej j niczym stara pielęgniarka rodem z jakiejś rosyjskiej sztuki:

- Sasza. Musisz natychmiast wstać. Sasza, obudź się natychmiast.

Obudź się, Sasza. Sasza.

Podeszła o krok bliżej. Aleksandra zastanawiała się, czy zakonnica nie ocieni z niej kordy i nie postawi jej szarpniem na nogi.

Pomimo swojego arystokratycznego pochodzenia matka Felicity

umiała być szorstka jak żółnierz. Nie była tyranem, lecz weredyczką, którą nietrudno było sprowokować.

- Sasza, spóńnisz się na śniadanie. Inne dziewczęta będą ci się przyglądać, będą się śmiać i powiedz, że my, grupie

Rosjanki, zawsze się spóŹniamy. Sasza? Sasza, chcesz spóŹniæ
siê

na modlitwê? Pan Bóg bêdzie siê bardzo gniewa³ na ciebie,
Sasza.

Bêdzie smutny i rozp³acze siê. Byæ moŹe bêdzie zmuszony
pomyœleæ,

jak ma ciê ukaraæ.

- Sasza, chcesz pojechaæ do Untersee?

Aleksandra jeszcze szczelniej zacisnê³a powieki. Mam
szeœæ

lat i potrzebny mi sen, matko Felicity.

- Sasza, zapomnia³acæ, Źe dzieæ twój wyj¹tkowy dzieñ?
Zapomnia³acæ, Źe bêdziesz dzieæ mia³a goœcia?

BoŹe, uczyñ mnie dwiema osobami, BoŹe, uczyñ mnie
jedn¹

osob¹, BoŹe, uczyñ mnie nie narodzon¹ i nicoœci¹. Nie, nie
zapomnia³am o swoim goœciu, matko Felicity. Pamiêta³am o
nim,

zanim posz³am spaæ. Œeni³ mi siê, nie myœla³am o nikim
innym od

chwili, kiedy się obudzi³am. Ale matka Felicity, nie chc^ê
widzi^æ

mojego go^æcia ani dzisiaj, ani [¿]adnego innego dnia.

Nie umiem, nie umiem [¿]y^æ k³amstwem, nie wiem, jak si^ê
to

robi, i dlatego nie pozwol^ê, nie pozwol^ê, nie pozwol^ê, [¿]eby
rozpocz¹³ si^ê dzie^ñ.

Aleksandra pos³usznie wygramoli³a si^ê z ³ó[¿]ka.

- No - powiedzia³a matka Felicity i obdarzy³a j¹
rozkojarzonym poca³unkiem, zanim pospiesznie wypad³a z
powrotem

na korytarz wo³aj¹c:

-Znów si^ê spó^ÿnicie! Znów si^ê spó^ÿnicie! - Klaska³a w
d³onie: - Szuu, szuu - jak gdyby zagarnia³a stadko g³upich
kwok.

* * *

Podrój poci¹giem do Thun trwa³a pó³ godziny, a w drodze
ze

stacji Smiley w³óczy³ siê tu i ówdzie, ogl¹da³ wystawy
sklepowe,

wybiera³ okrê¿ne trasy. Niektórzy staj¹ siê bohaterscy i chc¹
umieraæ za ojczyznê, pomyœla³...

Szanta¿ wywo³uje czasem ludzki upór... By³ ciekaw, co
wywo³a³by w nim.

By³ to dzieñ ciemniej¹cej nicoœci. Nieliczni przechodnie
stanowili powolne cienie na tle mg³y, a jeziorne parowce
pozamarza³y w œeluzach. Chwilami nicoœæ rozwiera³a siê na
tyle, by

Smiley móg³ gdzieœ uchwyciæ wzrokiem fragment zamku,
drzewa lub

murów miejskich. Potem luka szybko siê zamyka³a. Œenieg
le¿a³ na

kocich ³bach i w rozwidleniach guzowatych drzew
uzdrowiska.

Nieliczne samochody jeŹdzi³y na œwiat³ach, mlaszcz¹c
oponami w na

wpó³ stopnia³ym œniegu. Kolorowo by³o jedynie na
wystawach

sklepowych: złote zegarki, kombinezony narciarskie jak narodowe

flagi.

"Będę na miejscu najwcześniej o jedenastej - powiedzia³ Toby. - Jedenasta to i tak za wcześnie, George, nie przyjad¹ przed dwunast¹". By³o dopiero wpó³ do jedenastej, ale Smiley

chcia³ mieæ czas, chcia³ kr¹¿yæ po okolicy, zanim znajdzie sobie

miejsce; jak powiedzia³by Enderby, potrzebowað czasu, ¿eby

ustawiæ sobie zwierzynê. Wszed³ w w¹sk¹ uliczkê i ujrza³ wznosz¹cy siê bezpoœrednio przed nim zamek. Arkady przesz³y w

zwyczajny chodnik, potem w schody, a potem w strome wzniesienie,

którym wspina³ siê Smiley. Min¹³ Angielsk¹ Herbaciarniê, Bar

Amerykañski i Klub Nocny Oaza, nawet pod wzglêdem ortografii

sterylne kopie orygina³ów oœwietlone neonami, ale nic nie mog³o w

nim jednak zabiaæ mi³oæci do Szwajcarii. Znalaz³ siê na placu
i

zobaczy³ bank, w³aczenie ten, o który chodzi³o, a naprzeciwko
po

drugiej stronie ulicy hotelik, wygl¹daj¹cy dok³adnie tak, jak
opisa³ go Toby, z restauracj¹ i kawiarni¹ na parterze i z
barakowymi pokojami na g³rze. Zobaczy³ ¿ó³t¹ furgonetkê
pocztow¹,

parkuj¹c¹ æmia³o w zatoczce, gdzie obowi¹zywa³ zakaz postoju,
i

domyœli³ siê od razu, ¿e jest to jedna ze sta³ych pozycji
obserwacyjnych, obsadzonych przez ludzi Tobyego. Toby przez
ca³e

¿ycie wierzy³ w furgonetki pocztowe; krad³ je, gdziekolwiek
by

nie by³, twierdzi¹c, ¿e nikt nie zwraca na nie uwagi i nikt ich
nie zapamiêtuje. Za³o¿y³ nowe tablice rejestracyjne,
wygl¹daj¹ce

starzej ni¿ samochód. Smiley przeszed³ przez plac.

Wywieszka na drzwiach banku g³osi³a: OTWARTE OD
PONIEDZIAŁKU

DO PIĄTKU W GODZINACH 7.45-17.00, W PIĄTKI 7.45-18.15. Grigoriew

lubi porê lunchu, bo w Thun nikt nie chce traciæ przerwy, żeby

pójœæ do banku, wyjaceni³ Toby. Ca³kowicie pomyli³ spokój z

ostro¿noœci¹, George.

Pusto, ¿adnego ruchu, Grigoriew tak rzuca siê w oczy, ¿e to wprost ¿enuj¹ce.

Pokona³ mostek dla pieszych. By³a za dziesiêæ jedenasta. Przeszed³ na drug¹ stronê ulicy i skierowa³ siê do hoteliku, sk¹d roztacza³ siê niczym nie zak³ócony widok na bank Grigoriewa.

Napiêcie w pró¿ni, pomyœla³, przys³uchuj¹c siê szuraniu swoich

stóp i gulgotowi sp³ywaj¹cej œciekami wody; dla tego miasteczka

skończy³ siê sezon i skończy³ siê czas. Szanta¿, George, to zawsze ryzyko. Zastanawia³ siê, jak zrobi³by to Karla. Co takiego

uczyni³by w³adca absolutny, czego nie robimy my? Smileyowi
nie

przychodzi³o do g³owy nic poza zwyczajnym porwaniem.
Karla

skompletowa³by dane operacyjne - myœla³ - a potem
przyst¹pi³by do

dzia³ania, podejmuj¹c ryzyko.

Pchn¹³ drzwi kawiarni i ciep³e powietrze westchnê³o na jego
widok.

Skierowa³ siê ku stolikowi przy oknie, oznaczonemu
napisem

ZAREZERWOWANE. Czekam na pana Jacobi, powiedzia³
dziewczynie.

Skinê³a z dezaprobat¹ g³ow¹, unikaj¹c jego wzroku. Odznacza³a
siê

klasztorn¹ bladoci¹ i brakiem jakiegokolwiek wyrazu
twarzy.

Poprosi³ o ca³e - creme w szklance, ale kelnerka oœwiadczy³a,
¿e

jeœli poda napój w szklance, Smiley bêdzie musia³ zamówiaæ do
tego

jakieœ alkohol.

- W takim razie poproszê o kawê w filiżance - powiedzia³,
kapituluj¹c.

Dlaczego w ogóle za¹da³ najpierw szklanki?

Napiêcie w próżni, pomycela³ znowu, rozgl¹daj¹c siê wokó³.
Ryzyko w pustce.

Kawiarnia urz¹dzona by³a meblami stylizowanymi na antyki.
Na

stiukowych filarach wisia³y skrzyżowane, plastikowe lance.

Z

ukrytych g³oœników dobiega³a jakaœ niewinna muzyka;
poufny g³os

ka¿d¹ zapowiedŹ wyg³asza³ w innym jêzyku. Czterech
mê¿czyzn w

k¹cie gra³o w milczeniu w karty.

Wyjrza³ przez okno na pusty plac. Znow zacz¹³ padaæ
deszcz,

zmieniaj¹c biel w szaroœæ. Na rowerze przejecha³ obok
jakiœ

ch³opak w we³nianej, czerwonej czapeczce, mkn¹c w da³ ulic¹
jak

poходnia, dopóki nie wygasi³a jej mg³a.

Jak zauważy³, drzwi banku by³y dwuskrzyd³owe,
otwierane
fotokomórk¹.

Spojrza³ na zegarek. Jedenasta dziesiêæ. Mrucza³a kasa.
Zasycza³ ekspres do kawy. Karciarze rozpoczêli nowe rozdanie.
Na

æcianach wisia³y drewniane talerze: pary taneczne w
kostiumach
ludowych ró¿nych narodów.

Czemu jeszcze mo¿na by siê tu przygl¹daæ? Lampy
wykonano z

kutego ¿elaza, ale niezwykle surowe æwiat³o pochodzi³o z
pieræcienia jarzeniówek, rozmieszczonych wokó³ sufitu.

Przypomnia³ sobie Hongkong i bawarskie piwiarnie w
piwnicach na

piêtnastym piêtrze, to samo poczucie oczekiwania na
wyjaœnienia,

które nie zostan¹ nigdy udzielone. A dzisiejszy dzieñ to tylko
przygotowania, pomyœla³; dzisiejszy dzieñ to jeszcze nawet
nie

próba. Rzuci³ znów okiem na bank. Nikt nie wchodzi i nikt nie

wychodzi. Pamiêta³, że ca³e życie czeka³ na coœ, czego nie potrafi³ ju¿ okreœliæ, powiedzmy, że na jakieœ rozwi¹zanie.

Pamiêta³ Annê i ich ostatni spacer. Rozwi¹zanie w pró¿ni. Us³ysza³ skrzypniêcie krzes³a i ujrza³ wyci¹gniê¹ do uœcisiku szwajcarskim zwyczajem d³oñ Tobyego, a potem jego jasn¹ i tak

roziskrzon¹ twarz, jak gdyby ukoñczy³ w³acenie d³ugi bieg.

- Grigoriewowie piêæ minut temu wyjechali ze swojego domu w

Elfenau - powiedzia³ cicho. - Prowadzi Grigoriewa.

Najprawdopodobniej zgin¹ w wypadku, zanim dotr¹ tutaj.

- A rowery? - zaniepokoi³ siê Smiley.

- Wszystko normalnie - odpar³ Toby, przysuwaj¹c sobie krzes³o.

- W zesz³ym tygodniu te¿ ona prowadzi³a?

- I tydzieñ przedtem te¿. Upiera siê. George, powa¿nie mówiê, ta kobieta to potwór. - Dziewczyna nie proszona przynios³a

mu kawê. - W zesz³ym tygodniu dos³ownie wyci¹gnê³a
Grigoriewa z za

kierownicy, po czym wjecha³a prosto w s³upek przy bramie,
odciê³a

jedno skrzyd³o. Pauli i Canada Bill tak siê œemiali, ¿e
obawialicemy siê zak³óceñ na ³¹czach. - Toby po³o¿y³ mu
na

ramieniu przyjazn¹ d³oñ. - Pos³uchaj, to bêdzie przyjemny dzieñ.

Uwierz mi. Przyjemne œwiat³o, przyjemna scenografia,
musisz

tylko rozsi¹œæ siê wygodnie i cieszyæ siê przedstawieniem.

Zadzwoni³ telefon i dziewczyna zawo³a³a: "Herr Jacobi".
Toby

podszed³ swobodnie do lady. Kelnerka poda³a mu
s³uchawkê i

zaczerwieni³a siê, s³ysz¹c uwagê, jak¹ rzuci³ jej szeptem

Esterhase. Z kuchni wy³oni³ siê kucharz z ma³ym synkiem:
"Herr

Jacobi". Chryzantemy na stoliku Smileya by³y z plastiku, ale
do

wazonu ktoœ nala³ wody.

- Ciao - zawo³a³ weso³o w s³uchawkê Toby i wróci³ na
miejsce. - Wszyscy gotowi, wszyscy pe³ni radoeci - oznajmi³
z

zadowoleniem. - Zjedz coœ, dobra? Baw siê, George. To
przecie;

Szwajcaria.

Toby raŸnym krokiem wyszed³ na ulicê. Ciesz siê
przedstawieniem, pomysla³ Smiley. Tak jest, ja napisa³em
scenariusz, producentem jest Toby, i wszystko, co mogê teraz
zrobiæ, to tylko ogl¹daæ realizacjê. Nie, poprawi³ siê w
myœlach:

scenariusz napisa³ Karla. I by³y takie chwile, kiedy ten fakt
niepokoi³ Smileya ogromnie.

Do banku przez podwójne drzwi wchodzi³y w³acenie
dwie

dziewczyny w strojach wycieczkowych. Jeszcze chwila i
Toby

pod¹ÿy³ za nimi.

Chce zrobiæ t³ok w banku, pomysla³ Smiley. Ka¿dy
kantor

obstawi podwójnie.

Po nim jakæc m³oda para, ramiê w ramiê, potem przysadzista

kobieta z dwiema torbami. Ó³ta furgonetka tkwi³a na swoim

miejscu: nikt nie oœmieli siê przestawiæ samochodu pocztowego.

Smiley dostrzeg³ budkê telefoniczn¹ i œciœniête w niej dwie osoby, które byæ mo¿e schroni³y siê przed deszczem.

Trudniej zauwa¿yæ dwie osoby ni¿ jedn¹, jak mawiano w

Sarratt, a trzy osoby zauwa¿yæ jeszcze trudniej ni¿ dwie. Ulic¹ przejecha³ pusty autobus turystyczny. Zegar wybi³ dwunast¹ i na

ten sygna³ wynurzy³ siê z mg³y czarny mercedes, jego œwiat³a

b³yszcza³y na bruku. Wtoczy³ siê niezgrabnie na krawê¿nik i stan¹³ przed bankiem, pó³tora metra od pocztowej furgonetki

Tobyego. Numery samochodów ambasady sowieckiej koñcz¹ siê na

siedemdziesi¹t trzy, powiedzia³ Toby. Wysadza go i kilka razy obje¿d¿a w kó³ko ci¹g najbli¿szych ulic, dopóki Grigoriew nie

wyjdzie. Ale dzisiaj, podczas paskudnej pogody,
Grigoriewowie

najwyraźniej zdecydowali się zignorować zakaz parkowania
oraz

instrukcje Karli, mając widocznie nadzieję, że tablice
rejestracyjne korpusu dyplomatycznego wybawi ich z
ewentualnych

konotów. Drzwi samochodu otworzyły się i ku drzwiom
banku

popędziła z aktówką w dłoni krępa postać w ciemnym
garniturze i

okularach.

Smiley miał tylko tyle czasu, by zauważyć gości, siwe
włosy

i okulary bez oprawek ze zdjęciem Grigoriewa; potem jego
pole

widzenia przesłoniła ciężarówka. Gdy odjechała,
Grigoriew

znikł, ale Smiley miał teraz doskonały widok na potężny
korpus

rudowłosej Grigoriewej, siedzącej samotnie za kierownicą z

marsow¹ min¹ ucz¹cego siê jeszcze jeŸdziaæ kierowcy. Uwierz mi,

George, to bardzo niewygodna kobieta. Widz¹c j¹ teraz, widz¹c jej

mocno osadzon¹ szczêkê i spojrzenie rozszerzonego byka,
Smiley

po raz pierwszy, chociaŸ ostroŸnie, zacz¹³ podzielaæ optymizm

Tobyego.

JeŸeli strach jest nieod³¹cznym sk³adnikiem udanego szantaŸu, to Grigoriewa z pewnoœci¹ by³a osob¹, której naleŸa³⁰ siê baæ.

Oczami duszy Smiley zobaczy³ teraz scenê rozgrywaj¹c¹ siê w banku dok³adnie wed³ug planu, który opracowa³ wraz z Tobym. Bank

by³ ma³y, móg³ go wype³niæ siedmioosobowy zespó³. Toby otworzy³

tu sobie prywatne konto: Herr Jacobi, kilka tysiêcy franków. Mia³

wybraæ jeden kantor i zaj¹æ urzêdnika drobnymi transakcjami.
Kasa

wymiany walut równie¿ nie stanowi³a problemu. Dwóch ludzi
Tobyego

uzbrojonych w wachlarze rozmaitych banknotów mog³o
trzymaaæ w

szachu personel przez d³u¿szy czas.

Wyobraz³ sobie, jak harmider wywo³any weso³oœci¹
Tobyego

zmusza Grigoriewa, ¿eby podniós³ g³os. Wyobraz³ sobie
dwie

turystki wystêpuj¹ce razem, jeden z plecaków niedbale rzucony
u

stóp Grigoriewa nagrywa wszystko, co mówi Rosjanin do
kasjera; a

z toreb podró¿nych, plecaków, teczek, materaców i innych
schowków

trzaskaj¹ migawki aparatów fotograficznych. To tak jak z
plutonem

egzekucyjnym, George, wyjaœni³ Toby, gdy Smiley obawia³
siê

szmeru migawek. Wszyscy s³ysz¹ trzask z wyj¹tkiem
fotografowanej

osoby.

Drzwi banku rozsun³y si^ê. Wysz³o dwóch
biznesmenów,

poprawiaj¹cych na sobie p³aszcze przeciwdeszczowe, jak gdyby
byli

przed chwil¹ w ubikacji. Ich œladem pod¹¿y³a kr^êpa kobieta z
dwoma torbami, a potem Toby, zagaduj¹cy ze swad¹ m³ode
turystki.

Grigoriew by³ nast^êpn^y. Niepomny na nic, wskoczy³ do
czarnego

mercedesa i wycisn¹³ poca³unek na policzku swojej ¿ony, zanim
ta

zd¹¿y³a si^ê odwróci^æ. Smiley spostrzeg³ w jej twarzy
niezadowolenie z m^ê¿a i pojednawczy uc^oemiech
odpowiadaj¹cego na

jakieœ pytanie Grigoriewa. Tak, pomysla³ Smiley, z pewnoœci¹
jest

coœ, co wzbudza w nim poczucie winy; tak, pomysla³,
przypominaj¹c

sobie s³aboœ^æ tropicieli do tego cz³owieka: tak, rozumiem to i

ja. Grigoriewowie jednak nie odjeżdżali; jeszcze nie. Ledwie Grigoriew zamkn¹³ drzwi, kiedy ulic¹ nadesz³a wysoka i jakby

sk¹dce znajoma Smileyowi kobieta w zielonym, lodenowym p³aszczu,

która gwa³townie zapuka³a w szybê i najprawdopodobniej wyg³osi³a

homiliê na temat grzechu parkowania na chodnikach.

Grigoriew

stropi³ siê, Grigoriewa natomiast wyci¹gnê³a siê nad nim i zaczê³a wrzeszczeæ - Smiley us³ysza³ nawet wypowiedziane ciê¹k¹

niemczyzn¹ s³owo "Diplomat", wznosz¹ce siê ponad uliczny gwar.

Ale kobieta nie ruszy³a siê z miejsca, pod pach¹ trzyma³a torebkê

i ci¹gle pomstowa³a na odjeżdżaj¹cych Grigoriewów. Zrobi³a im

zdjęcia w samochodzie z drzwiami banku w tle, pomyœla³ Smiley.

Fotografuje siê przez perforacje: wystarczy szeœæ wykonanych

szpilkami otworów, żeby obiektyw widział wszystko idealnie.

Toby wróci i usiad obok niego przy stoliku. Zapali małe cygaro.

Smiley czuje, że trzęsie się niczym pies po pościgu.

- Grigoriew wyjął jak zwykle dziesięć tysięcy - powiedział.

Jego angielszczyzna stała się teraz nieco chropawa. - Jak w zeszłym tygodniu, jak tydzień przedtem. Mamy go, George, cały ten

kram. Chłopcy są bardzo szczepeliwi, dziewczyny też. Oni są wspaniali, George. Najlepsi absolutnie. Nigdy nie miałem takich

dobrych. Co o nim myślisz?

Zaskoczony pytaniem Smiley zaciemnia się.

- Rzeczywiście jest pod pantoflem - zgodzi się.

- A poza tym to miły gość, rozumiesz? Rozsądny. I się, że

będzie się zachowywał rozsądnie. Oto mój pogląd, George.

Chłopcy

myśl tak samo.

- Dokąd jadł stł Grigoriewowie?

Przerwa³ im ostry, m^êski g³os:

- Herr Jacobi".

"

Ale by³ to tylko kucharz, wznosz¹cy szklaneczk^ê sznapsa, by wypia^æ zdrowie Tobyego. Esterhase odwzajemni³ toast.

- Na lunch do bufetu na stacji, pierwsza kategoria.

Grigoriowa je kotlety wieprzowe i frytki, a Grigoriew zamawia befsztyk i szklank^ê piwa. Czasem wypijaj¹ jeszcze kilka

wódek.

- A po lunchu?

Toby ζ ywo skin¹³ g³ow¹, jak gdyby pytanie nie wymaga³o dalszych wyja^ænie^ñ.

- Jasne - powiedzia³. - Jad¹ w³acenie tam. G³owa do góry, George. Facet p^êknie, wierz mi. Nigdy nie mia³e^æ takiej ζ ony. A

ta Natasza to mi³y dzieciak. - Toby zni ζ y³ g³os. - Karla to jego

talon na posi³ki, George.

Czasami nie rozumiesz najprostszych rzeczy. Myœlisz, ¿e ona

pozwoli³aby mu utraciæ nowe mieszkanie? Albo mercedesa?

Przyjecha³ cotygodniowy goœæ Aleksandry, jak zawsze

punktualnie i jak zawsze o tej samej porze, czyli po pi¹tkowej sjeœcie. Lunch by³ o pierwszej -w pi¹tki podawano zimne miêsa,

rosti i kompot z jab³ek albo œliwek, w zale¿noœci od pory roku.

Aleksandra nie mog³a jeœæ i czasem urz¹dza³a przedstawienia

wymiotuj¹c, biegaj¹c do ubikacji albo przyzywaj¹c Felicity - Felicity i skar¿¹c siê szczególnie plugawym jêzykiem na jakoœæ

potraw. Irytowa³o to niezmiennie zakonnicê. Personel sanatorium

by³ niezwykle dumny z w³asnych sadów, a broszury reklamowe w

biurze Felicity - Felicity zawiera³y mnóstwo bez³adnych

fotografii owoców, kwiatów, strumieni alpejskich i gór, jak
gdyby

to Bóg albo siostry, albo doktor Ruedi hodowa³ to wszystko
specjalnie dla pensjonariuszek zak³adu. Po lunchu
nastêpowa³a

godzinna sjesta i ta codzienna godzina by³a dla Aleksandry w
pi¹tki najstraszniejsz¹ godzin¹ ca³ego tygodnia, musia³a
bowiem

leż^æ wtedy na bia³ym, żelaznym ³ó¹ku bez materaca i
udawa^æ, że

odpoczywa, podczas gdy w rzeczywistości modli³a się do
pierwszego

lepszego Boga, który zechcia³by jej wys³ucha^æ, żeby wuj
Anton

wpad³ pod samochód albo dosta³ ataku serca, albo - co
by³oby

najlepsze - żeby przesta³ w ogóle istnie^æ; leż^a zamkniêta ze
swoj¹ przesz³o^æci¹, z tajemnicami i z w³asnym imieniem
Tatiana.

My^æla³a o jego pozbawionych oprawek okularach i w
wyobraŹni

wbijają mu je w głowę, a wychodzą z drugiej strony wraz z

oczami, tak że teraz zamiast napotkania jego wilgotne spojrzenie,

mogła wyglądać na świat wprost przez jego czaszkę.

Sjesta skończyła się wreszcie i Aleksandra ubrana w swój najlepszy szlafrok stała w pustej jadalni, przypatrując się przez okno stróżówce, podczas gdy dwie Marty szorowały wyłożone

kafelkami podłogę. Aleksandrze zrobiło się niedobrze. Miej wypadek. Miej wypadek na tym swoim grupim rowerze. Inne

dziewczęta także odwiedzali goście, ale oni przychodzili w soboty

i nie było wśród nich wuja Antona, zresztą mężczyźni w ogóle nie

było wielu, przyjeżdżały tu głównie różne wymizerowane ciotki i

znudzone siostrzyczki. A poza tym żadna inna dziewczyna nie mogła

zamykać się w prywatnym gabinecie Felicity - Felicity sam na sam

ze swoim gościem; by³ to wy³¹czny przywilej wuja Antona
i

Aleksandry, jak niespołycie podkreœla³a siostra Beatitude.
Aleksandra jednak chêt³nie odda³aby zarówno ten, jak i kilka
innych przywilejów, za przywilej ca³kowitej rezygnacji z
odwiedzin wuja Antona.

Otworzy³a siê brama przy stró¿ówce i Aleksandra
rozmyœlnie

zaczê³a siê trz¹œæ, rêce dr¿a³y jej, jak gdyby zobaczy³a mysz
albo paj¹ka, albo podnieconego jej widokiem mê¿czyznê.

Drog¹

jecha³a na rowerze bary³kowata postae w br¹zowym garniturze.
Nie

by³ urodzonym kolarzem, widzia³a to po jego za¿enowaniu.
Nie

przypeda³owa³ z daleka, choæ przywozi³ z sob¹ tchnienie
œwiata

zewnêtrznego. Z nieba móg³ laæ siê ¿ar, ale wuj Anton nie
by³

nigdy zgrzany albo spocony. Mog³o laæ, ale p³aszcz i
kapelusz

wuja Antona by³y ledwie wilgotne, kiedy pojawia³ siê u drzwi,
a

jego buty nigdy nie by³y zab³ocone. Tylko gdy przed trzema
tygodniami - albo przed trzema laty - spad³ ogromny œnieg,
otulaj¹cy martwy zamek dodatkow¹ warstw¹ puchu metrowej
gruboœci,

wuj Anton zacz¹³ wygl¹daæ jak prawdziwy cz³owiek, ¿yj¹cy
wœród

prawdziwych ¿ywio³ów przyrody; id¹c z trudem skrajem
sosnowego

lasku w grubych, wysokich do kolan butach, kurtce z kapturem
i

futrzaney czapce przybywa³ prosto ze wspomnieñ, których nie
wolno

by³o jej wspominaæ. A kiedy obj¹³ j¹ i nazwa³ swoj¹ ma³¹
córeczk¹, rzucaj¹c rêkawice na wypucowany stó³ Felicity -
Felicity, ogarn¹³ j¹ taki przyp³yw uczuæ rodzinnych i nadziei, ¿e
³apa³a siê potem na uœmiechu jeszcze przez wiele dni.

- By³ taki ciep³y - zwierzy³a siê siostrze Beatitude sw¹
marn¹ francuszczyzn¹. - Obj¹³ mnie jak przyjaciel. Dlaczego
œnieg

czyni go tak mi³ym?

Ale dzie³ pada³ œnieg z deszczem, by³a mg³a i wielkie, miêkkie p³atki nie mog³y ule³æ na ðó³tym ðwirze.

- Przyje³d³a samochodem, Sasza, - powiedzia³a jej kiedyœ siostra Beatitude - z kobiet¹, Sasza. - Beatitude widzia³a ich.

Dwukrotnie.

Oczywiêcie obserwowa³a tê parê. Rowery mieli przytroczone do

góry nogami na dachu samochodu, a prowadzi³a kobieta, wielka,

silna kobieta, przypominaj¹ca nieco matkê Felicity, choæ nie bêd¹ca tak dobr¹ chrzeœcijank¹ i o tak czerwonych w³osach, ðe

mog³aby rozdra³niæ byka. Gdy dojechali na skraj wioski, zaparkowali auto za stodo³1 Andreasa Gertscha, a wuj Anton

odwi¹za³ rower i pojecha³ na nim do stró³ówki. Ale kobieta zosta³a w samochodzie, pali³a i czyta³a "Schweizer Illustrierte", robi¹c czasem do lustra gro³ne miny, jej rower zaœ wcale nie

opuœci³ dachu; tkwi³ na samochodzie jak le¹ca na grzbiecie

cewinia, kiedy kobieta czyta³a tymczasem swoje pismo. - I
wiesz

co? Rower wuja Antona by³ nielegalny. Nie mia³ tablicy
rejestracyjnej ani zezwolenia. - Jako lojalna obywatelka
szwajcarska siostra Beatitude zwróci³a na to uwagê w
sposób

zupe³nie naturalny. Wuj Anton by³ przebywaj¹cym na
swobodzie

przestêpc¹, podobnie jak ta kobieta, choæ ona i tak by³a
prawdopodobnie za gruba, żeby jeŸdziaæ na rowerze Ale
Aleksandry

nic a nic nie obchodzi³y nielegalne rowery.

Chcia³a dowiedzieæ siê czegoœ o samochodzie. Jakiej
marki?

Dla biednych czy dla bogatych?

Jakiego jest koloru, a nade wszystko, sk¹d siê tu wzi¹³? Czy
by³ z Moskwy, czy z ParyŸa, sk¹d? Siostra Beatitude by³a
jednak

prost¹, wiejsk¹ dziewczyn¹, i wszystkie kraje w leŸ¹cym za
górami

cewiecie by³y dla niej jednakowe. Oj, g³upia, wiêc jakie by³y

litery na tablicy rejestracyjnej, na litoœæ bosk¹?

Aleksandra rozp³aka³a siê. Siostra Beatitude na takie rzeczy nie zwraca³a uwagi.

Siostra Beatitude potrz¹sa³a g³ow¹ jak têpa mleczarka, któr¹ zreszt¹ by³a. Rozumia³a siê na krowach i rowerach. Samochody

przekracza³y zdolnoœæ jej pojmowania.

Aleksandra obserwowa³a przyjazd Grigoriewa, czeka³a na tê

chwilê, kiedy pochyła³ g³owê nad kierownic¹, unosi³ w powietrze

t³usty zadek i zamaszyœcie przek³ada³ krótk¹ nogê przez ramê, jak

gdyby schodzi³ z kobiety. Widzia³a, Ÿe od jazdy poczerwienia³a mu

twarz, patrzy³a, jak z bagaŸnika nad tylnym ko³em zdejmuje teczkê. Pobiegi³a do drzwi i spróbow³a go poca³owaæ, najpierw w

policzek, potem w usta, bo przysze³o jej do g³owy, Ÿeby na powitanie wsun¹æ mu w usta jêzyk, ale Grigoriew umkn¹³ jej ze

spuszczon¹ g³ow¹, jak gdyby wraca³ już do swojej żony.

- Witaj, Aleksandro Borysowna - us³ysza³a podniecony szept;

wymawia³ jej patronimik, jak gdyby to by³ sekret wagi państwowej.

- Witaj, wuju Antonie - odpar³a; wtedy siostra Beatitude chwyci³a j¹ za ramiê i szepnê³a, że po³u³je, jeżeli nie bêdzie zachowywaæ siê przyzwoicie.

Gabinet matki Felicity by³ jednocześnie surowy i urz¹dzony z przepychem.

Ma³y, nagi i niezwykle higieniczny. Marty codziennie pucowa³y go i szorowa³y tak, że pachnia³ niczym basen p³ywacki. A

mimo to jej nieliczne pami¹tki z Rosji po³yskiwa³y jak szkatu³y. Posiada³a ikony, a w bogatych ramach tkwi³y te³ sepiove fotografie ksiê³niczek, które kocha³a, i biskupów, którym s³u³u³a. W dniu swojego œwiêtego patrona - czy mo³e na swoje

urodziny, albo na urodziny biskupa - zdejmowa³a je wszystkie i

urządza z nich wystawę wraz ze ówieczami i wizerunkami
Matki

Boskiej z Dzieciątkiem.

Aleksandra wiedzia³a o tym, poniewa¿ wtedy Felicity
zaprasza³a j¹ do siebie, czyta³a jej na głos stare rosyjskie
modlitwy, intonowa³a fragmenty pieśni liturgicznych w
rytmie

wojskowego marsza i czêstowa³a j¹ s³odkim ciastem i
szklank¹

s³odkiego wina tylko po to, ¿eby mieæ rosyjskie towarzystwo
w

dniu ówiêtego patrona -a mo¿e by³a to Wielkanoc albo
Bo¿e

Narodzenie? Rosjanie s¹ najlepsi na ówiecie, mawia³a.
Choæ

Aleksandra po³knê³a przedtem sporo tabletek, stopniowo
zda³a

sobie sprawê, ¿e Felicity - Felicity by³a kompletnie pijana,
unios³a wiêc jej nogi, pod³o¿y³a jej pod g³owê poduszkê,
poca³owa³a j¹ we w³osy i pozwoli³a jej usn¹æ na tweedowej

kanapce, gdzie siadywali rodzice, zapisuj¹cy do sanatorium nowe

pacjentki. By³a to ta sama kanapa, na której siedzia³a teraz Aleksandra, wpatruj¹c siê w wuja Antona, który w³acenie wyci¹ga³ z

kieszeni niewielki notatnik. ZauwaŹy³a, Źe by³ to jeden z jego br¹zowych dni: br¹zowy garnitur, br¹zowy krawat, br¹zowa koszula.

- Powinieneœ kupiaæ sobie br¹zowe noski do roweru - powiedzia³a po rosyjsku.

Wuj Anton nie œmia³ siê. Notes spiêty by³ przypominaj¹c¹ podwi¹zkê czarn¹ gumk¹ i Grigoriew odpina³ j¹ z przebieg³¹, niechêtn¹ min¹, zwilŹaj¹c jêzykiem urzêdowe wargi.

Aleksandra

myœla³a czasem, Źe wuj Anton jest policjantem, czasem, Źe przebrany ksiêdzem, prawnikiem, nauczycielem albo nawet jakimœ

specjalnym lekarzem. Kimkolwiek by³, najwyraŹniej usi³owa³ daæ

jej do zrozumienia za pomoc¹ gumki, notesu i objawów nerwowej

łyczliwości, że istnieje pewne Wyższe Prawo, za które nie odpowiada osobicie ani ona, ani on, że wcale nie zamierza³ być

jej więziennym dozorc¹, że chcia³, aby mu przebaczy³a - a może,

żeby go nawet pokocha³a - za to, że pozostaje w zamknięciu.

Wiedzia³a również, iż chcia³, aby zrozumia³a, że jest mu smutno,

że jest samotny oraz że bardzo j¹ lubi, i że w lepszym świecie byłby dla niej wujkiem, który wiernie przynosi urodzinowe i gwiazdkowe prezenty i co roku skrobie dziewczynę pod brod¹:

"Ojej, Sasza, ale ty wyros³ać. - Potem klepie j¹ wstrzemięśliwie w jak¹oś zaokr¹glon¹ czê³o³a, co znaczy: Ojej,

Sasza, nied³ugo będziesz już nadawać się do garnka".

- Jak idzie ci lektura, Aleksandro? - zapyta³, wyg³adzaj¹c przed sob¹ notatnik i przewracaj¹c kartki w poszukiwaniu swojej

listy. Ale to tylko bzdurki. To nie jest Wyższe Prawo. To jak rozmowa o pogodzie, jak gdyby powiedzia³, że ma ³adn¹ sukienkę

albo że dzisiaj Aleksandra wydaje się radosna - jest całkiem
inna

niż w ubiegłym tygodniu.

- Mam na imię Tatiana i pochodzę z księżycy - odparła.

Wuj Anton zachowywał się tak, jak gdyby sowa te w ogóle
nie

padła, więc może powiedziała jej jedynie do siebie, milcząco,
w

duchu, jak to się często zdarzało przy innych okazjach.

- Skończysz tę powieść Turgieniewa, którą ci dałem? -
zapytała. - Czytasz chyba Wiosenne wody.

- Czytała mi je matka Felicity, ale rozbolało ją gardło -
odparła Aleksandra.

- Ach tak.

Było to kłamstwo. Felicity - Felicity przestała czytać jej
księżkę za karę, że rozrzuciła jedzenie po podłodze.

Wuj Anton odnalazł w notatniku kartkę z listem, odnalazł też
swoją srebrną ołówkę ze sprężynowym guziczkiem; wydawał
się być
niezwykle dumny z posiadania takiego przedmiotu.

- Tak - powiedzia³. - A wiêc tak, Aleksandro.

Nagle Aleksandra nie mia³a ju¿ ochoty czekaæ na jego pytania. Nagle nie mog³a. Przysz³o jej do g³owy, ¿eby mu œci¹gn¹æ spodnie i kochaæ siê z nim.

Przysz³o jej do g³owy, ¿eby napaskudziaæ w k¹cie, jak Francuzka.

Pokaza³a mu krew na pogryzionych rêkach. Musia³a mu wyjaœniæ

poprzez swoj¹ bosk¹ krew, ¿e nie chce s³yszeæ jego pierwszego

pytania. Wsta³a, wyci¹gaj¹c ku niemu d³oñ i jednoczeœnie wbijaj¹c

zêby w drug¹ rêkê. Pragnê³a raz na zawsze pokazaæ wujowi

Antonowi, ¿e pytanie, które chce jej zadaæ, jest dla niej obraŹliwe, bezwstydne, szalone i nie do przyjêcia, i w tym celu

wybra³a przyk³ad Chrystusa jako najbli¿szy i najlepszy: czy¿ On

nie wisi na œcianie u Felicity - Felicity, na wprost niej, i czy

z przegubów nie oćieka mu krew?

Rozla³am j¹ dla ciebie, wuju Antonie, wyjaœni³a, myœl¹c teraz o Wielkanocy i o kr¹¿¹cej po zamku Felicity - Felicity, która t³uk³a gotowane jajka.

Proszê.

Oto moja krew, wuju Antonie. Rozla³am j¹ dla ciebie. Ale z drug¹ rêk¹ wepchniê¹ w usta mog³a zdobyæ siê jedynie na szloch.

Usiad³a wiêc w koñcu, marszcz¹c brwi, ze splecionymi na³onie

d³oñmi, z których w³oœciwie nie lecia³a krew, lecz które by³y jednak wilgotne od œliny.

Wuj Anton dzier¿y³ otwarty notatnik w prawej rêce, a w lewej

trzyma³ o³ówek z guziczkiem. By³ pierwsz¹ leworêczn¹ osob¹, jak¹

zna³a, i czasem gdy pisa³, zastanawia³a siê, czy nie jest tylko lustrzanym odbiciem swojego prawdziwego ja, siedz¹cego w

samochodzie za stodo³¹ Andreasa Gertscha.

Pomyślała sobie, jaki by to cudowny sposób manipulowania

tym, co doktor Ruedi nazywa rozdwojeniem natury - jedną połówką

można by wyprawić gdzieś na rowerze, podczas gdy druga

pozostałaby w samochodzie wraz z siedzącą za kierownicą

kobiet. Felicity - Felicity, jeżeli pożyczysz mi swój przyczepny rower, to niedobrze połówkę siebie odeślę precz.

Wtem usłyszała, jak mówi. Były to cudowne dźwięki. Czyny

Aleksandrę jednym z otaczających ją mocnych, zdrowych

osób: polityków w radio czy pochylających się nad jej

lekarzy.

- Wujku Antonie, proszę, powiedz mi, skąd przyjeżdżasz? -
usłyszała swoje pytanie, zadane z umiarkowaną ciekawością. -
Wujku

Antonie, zwróć na mnie uwagę, kiedy coś mówię.
Odmawiam

odpowiedzi na wszelkie pytania, dopóki nie powiesz mi,
kim

jestes, czy jestes moim prawdziwym wujem i jaki jest
numer

rejestracyjny twojego wielkiego, czarnego samochodu. Przykro
mi,

ale to konieczne. A poza tym, czy ta rudowosa kobieta jest
twoj¹

¿on¹ czy mo¿e to po prostu Felicity - Felicity z ufarbowanymi
w³osami, jak twierdzi siostra Beatitude?

Ale jak¿e czêsto g³owa Aleksandry u¿ywa³a s³ów, których
nie

wypowiada³y jej usta, i wtedy s³owa miota³y siê tylko w jej
wnêtrzu, a ona stawa³a siê ich mimowolnym stra¿nikiem, tak
jak

wuj Anton, który udawa³, ¿e jest stra¿nikiem dziewczyny.

- Kto daje ci pieni¹dze, ¿ebyœe móg³ p³aciæ Felicity -
Felicity za przetrzymywanie mnie tutaj? Kto op³aca doktora
Ruedi?

Kto dyktuje co tydzieñ pytania do twojego notatnika?
Komu

przekazujesz odpowiedzi, które zapisujesz tak pieczołowicie?

Ale i tym razem słowa tłuły się w jej czaszce jak ptaki w cieplarni Kranka w sezonie owocowym i Aleksandra w żaden sposób

nie mogła zmusić ich do tego, żeby wydostały się na zewnątrz.

- A więc? - powiedziała po raz trzeci wuj Anton z wilgotnym uśmiechem, który przybierał doktor Ruedi, kiedy przystępowała do

zrobienia jej zastrzyku. - Najpierw musisz mi powiedzieć swoje

pełne nazwisko, proszę, Aleksandro.

Aleksandra uniosła trzy palce i zaczęła na nich liczyć jak grzeczne dziecko. - Aleksandra Borysowna Ostrakowa - powiedziała

infantylnym głosem.

- Dobrze. A jak się czujesz w tym tygodniu, Sasza?

Aleksandra uśmiechnęła się uprzejmie w odpowiedzi:

- Dziękuję, wuju Antonie. W tym tygodniu czuję się dużo lepiej. Doktor Ruedi powiada, że kryzys dawno już minął.

- Czy otrzymałaś w jakikolwiek sposób - pocztą,

telefonicznie lub ustnie - jak¹œ wiadomoœæ od osó³b spoza zak³adu?

Aleksandra uzna³a, ¿e jest œwiê¹t¹. Splot³a rêce na ³onie i przechyli³a na bok g³owê, wyobra¿aj¹c sobie, ¿e jest jedn¹ z prawos³awnych œwiêtych Felicity - Felicity, wisz¹cych na œcianie

za biurkiem. Wiera, czyli wiara; Liubow, czyli mi³oœæ; Sofia,

Olga, Irina, czy Ksenia - wszystkie imiona, których nauczy³a jej matka Felicity tego wieczora, kiedy zwierzy³a siê jej, ¿e sama nosi imiê Nadzieja - lecz Aleksandra mia³a na imiê Aleksandra lub

Sasza, a nigdy, przenigdy Tatiana, i proszê o tym pamiêtaæ.

Uœmiechnê³a siê do wuja Antona i wiedzia³a, ¿e jej uœmiech jest

wynios³y, pob³a¿liwy i pe³en m¹droœci; i ¿e oto s³yszy g³os Boga,

a nie wuja Antona; wuj Anton te¿ o tym wiedzia³, bo westchn¹³

g³êboko, od³o¿y³ notes i siêgn¹³ rêk¹ do dzwonka, ¿eby wezwaaæ

matkê Felicity na ceremoniê zap³aty.

Matka Felicity zjawi³a siê pospiesznie i Aleksandra odgad³a, ¿e by³a gdzieœ niedaleko za drzwiami. W d³oni trzyma³a przygotowany rachunek.

Wuj Anton przyjrza³ mu siê i jak zawsze zmarszczy³ brwi,
po
czym j¹³ pojedynczo odliczaæ niebieskie i pomarañczowe
banknoty
na stó³ tak, ¿e ka¿dy z nich stawa³ siê na chwilê przezroczysty w
œwietle nocnej lampy. Potem wuj Anton poklepa³ Aleksandrê
po
ramieniu, jak gdyby mia³a lat piênaœcie, a nie dwadzieœcia
piêæ
czy dwadzieœcia, czy ile tam mia³a, kiedy wymaza³a ze
swojego
¿ycia zakazane epizody. Patrzy³a, jak Grigoriew znów ko³ysz¹c
siê
w biodrach wychodzi i wsiada na rower. Patrzy³a, jak prê¿y
zadek,
nabiera rytmu i odje¿d¿a od niej, przez stró¿ówkê, mija Kranka
i

zmierza dalej w dół wzgórza ku wiosce. Patrzyła, patrzyła i nagle

spozregła coś dziwnego, coś, co się nigdy przedtem nie zdarzyło; a w każdym razie nie wujowi Antonowi. Oto zjawili się

znikąd dwie niezwykle energiczne osoby, kobieta i mężczyzna, pchający motocykl.

Siedzieli pewnie na ławeczce z drugiej strony stróżówki, ukryli się, być może po to, żeby się kochać. Wyszli na drogę i przyglądali się Grigoriewowi, ale na razie nie wsiadali jeszcze na motor. Oczekali, aż wuj Anton niemal zniknie im z oczu, zanim

ruszyli jego śladem w dół wzgórza. Wtedy Aleksandra zdecydowała

się przeraźliwie krzyknąć i okazało się, że tym razem jej głos i wrzask rozprętały cały dom od podłogi po dach, nim siostra Beatitude rzuciła się, żeby uciszyć ją potężnym policzkiem.

- To ci sami ludzie! - krzyknęła Aleksandra.

- Kto? - zapytała siostra Beatitude, odsuwając rękę na

wypadek, gdyby musia³a u¿yæ jej ponownie. - Kim s¹ ci sami

ludzie, ty niegrzeczna dziewczyno?

- To ludzie, którzy œledzili moj¹ matkê, zanim wywlekli j¹ gdzieœ, ¿eby j¹ zabiæ.

Siostra Beatitude parsknê³a z niedowierzaniem.

- I przyjechali pewnie na czarnych koniach - zadrwi³a. - A jak¿e, powlekli j¹ na saniach, hen, przez ca³¹ Syberiê.

Aleksandra nieraz ju¿ snu³a podobne opowieœci. O tym, ¿e jej

ojciec by³ jakimœ tajemnym ksiêciem, potê¿niejszym od samego

cara. Ąe rz¹dzi³ noc¹, jak rz¹dzi noc¹ sowa, kiedy odpoczywaj¹ soko³y. Ąe jego tajemne oczy œledzi³y j¹, gdziekolwiek by nie by³a, a jego tajemne uszy s³ysza³y jej ka¿de s³owo. I ¿e pewnej nocy, kiedy pods³ucha³, jak matka modli siê przez sen, pos³a³ po

ni¹ swoich ludzi, którzy zaci¹gnêli j¹ w œniegi i od tej pory nikt jej ju¿ nigdy nie widzia³: nawet Bóg jeszcze wci¹¿ jej szuka³.

* * *

Szantaż Sprytnego Antosia - takim dziwacznym kryptonimem

ochrzcili Grigoriewa tropiciele - wszed³ do mitologii Cyrku jako

jedna z tych rzadkich operacji, gdzie szczęście, czas i przygotowania idealnie zbieg³y się ze sob¹. Wszyscy od dawna

wiedzieli, że najtrudniej będzie z³apaæ Grigoriewa samego w takim

momencie, który pozwoli mu potem w³¹czyæ się na nowo w normalne

życie po up³ywie kilku godzin. Jednakże aż do następnego weekendu

po akcji w banku w Thun najbardziej nawet skrupulatne badania nie

pozwoli³y im znaleŹæ wskazówek co do tego, kiedy mog³aby
nast¹piæ

w³æciwa chwila. Skordeno i de Silsky, dwaj wojownicy
Tobyego,

wymyœlili w rozpaczy szalony plan porwania Grigoriewa w
drodze do

pracy, gdzieœ na kilkusetmetrowym odcinku drogi pomiêdzy
jego

domem a ambasad¹. Toby natychmiast wybi³ im to z g³owy.
Jedna z

dziewcz¹t zaoferowa³a siê jako przynêta: a nuŹ uda siê jej
sk³oniaæ go jakoœ, Źeby j¹ podwióz³? Jej altruistyczna postawa
spotka³a siê z powszechnym aplauzem, ale pomys³ nie
spe³nia³

Źadnych wymagañ praktycznych.

G³ówny problem tkwi³ w tym, Źe Grigoriew znajdowa³ siê
pod

podwójn¹ straŹ¹. Mia³a go na oku nie tylko s³uŹba
bezpieczeñstwa

ambasady, lecz równieŹ jego Źona. Tropiciele nie Źywili
Źadnych

w¹tpliwoœci, ¿e podejrzewa ona Grigoriowa o s³aboœæ do ma³ej

Nataszy. Ich obawy potwierdzi³y siê, kiedy pods³uchiwacze Tobyego

spróbowali dobraæ siê do skrzynki z miêdzycentralowymi³czami

telefonicznymi na rogu ulicy. Podczas jednej tylko ca³odziennej

warty Grigoriowa bez ¿adnego widocznego powodu dzwoni³a do mê¿a

nie mniej ni¿ trzy razy jedynie po to, aby upewniaæ siê, ¿e rzeczywiœcie przebywa w ambasadzie.

- George, chodzi mi o to, ¿e ta kobieta to kompletny potwór
- zagotowa³ siê na tê wiadomoœæ Toby. - No dobrze, rozumiem;

mi³oœæ. Ale posiadanie dla samego posiadania potêpiam stanowczo.

Takie ju¿ mam zasady.

Jedyn¹ lukê stanowi³y czwartkowe wyprawy Grigoriowa do

warsztatu, kiedy jecha³ swoim mercedesem na przegl¹d.
Je¿eli

doświadczony samochodziarz, jak na przykład Canada Bill,
zdołałby

w ośrodku wieczorem wywołać jakiegoś usterkę silnika, która
nie

unieruchomiłaby auta kompletnie, to czy nie dałoby się
pochwylić

Grigoriewa w warsztacie, gdy będzie czekał, aż mechanik
odnajdzie

uszkodzenie? Plan ten powinien być jednak znaków zapytania.

Nawet jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to jak długo
będziemy

mieć Grigoriewa dla siebie? A w czwartki Grigoriew musi
wrócić

do domu na czas, żeby jak co tydzień przyjechał kuriera
Krasskiego.

Mimo to byłaby to jedyna koncepcja, jaka im pozostała -
najgorszy

plan z wyjątkiem wszystkich innych, powiedziałoby Toby.
Przygotowali

się zatem na pięć dni niecierpliwego oczekiwania.

Toby zaczął i jego zespół opracowywali tymczasem
awaryjne

metody zniwelowania rozmaitych nieprzyjemnych
konsekwencji, jakie

mog³y ich spotkaæ, gdyby plan siê nie powiód³: ka¿dy
musi

wymeldowaæ siê z hotelu i spakowaæ rzeczy; zawsze nale¿y
przy

sobie nosiaæ pieni¹dze i dokumenty, spreparowane na
wypadek

ucieczki; sprzêt radiowy trzeba spakowaæ i ukryæ w sejfie
któregoœ z wiêkszych banków na nazwisko jakiegoœ
Amerykanina,

¿eby wszelkie pozostawione tropy wskazywa³y raczej na
Kuzynów,

ani¿eli na nas; nie wolno spotykaæ siê inaczej ni¿ tylko podczas
ulicznych spacerów; d³ugoœæ fal nale¿y zmieniaæ co
cztery

godziny.

- Dobrze znam policjê szwajcarsk¹, powiedzia³ Toby, który
ju¿ tu kiedyœ polowa³. Je¿eli wybuchnie bomba, to im
mniej

naszych ch³opców i dziewcz¹t bêdzie pod rêk¹, ¿eby
odpowiadaæ na

pytania, tym lepiej. Idzie mi o to, że na szczęście Szwajcaria jest tylko neutralna, rozumiecie?

Szukajcie nieco beznadziejnej pociechy i dla wzmocnienia morale tropicielei Smiley i Toby nakazali swym ludziom wzię

Grigoriewa pod baczną obserwację na kilka pozostałych dni oczekiwania. Punkt obserwacyjny w Brunnadernain miał być

obsługiwany przez dwadzieścia cztery godziny na dobę; postanowiono także wzmocnić patrole samochodowe i motocyklowe, a

każdy winien być przygotowany na mało prawdopodobną możliwość, że

w jakimś najmniej spodziewanym momencie Bóg okaże się

sprawiedliwym.

A Bóg tymczasem zesłał w niedzielę cudowną pogodę i rzeczywiście okazała się ona decydującym w całej sprawie

czynnikiem. Już o dziesiątej rano zrobił się taki dzień, jak

gdyby alpejskie s³ońce zst¹pi³o z Oberlandu, aby rozja³eniæ
życie

umêczonych mg³¹ mieszkańc³ów nizin. W hotelu "Bellevue",
gdzie w

niedziele panuje zawsze przyt³aczaj¹cy spokój, kelner rozpostar³
w³acenie serwetkê na kolanach Smileya, który popija³
spokojnie

kawê, próbuj¹c skoncentrowaæ siê na sobotnim wydaniu
"Herald

Tribune".

Nagle uniós³ wzrok i ujrza³ szlachetn¹ postacê Franza, szefa
hotelowych portierów.

- Przepraszam, panie Barraclough, sir, telefon do pana.

Niejaki pan Anselm.

Kabiny telefoniczne znajdowa³y siê w holu g³ównym,
g³os

należ³a do Tobyego, a nazwisko Anselm sygnalizowa³o, że
sprawa

jest pilna:

- Biuro genewskie poinformowa³o nas przed chwil¹, że
dyrektor znajduje siê w³acenie w drodze do Berna.

Biuro genewskie było kryptonimem punktu obserwacyjnego w

Brunnadernain.

- Czy towarzyszy mu żona? - spytał Smiley.

- Niestety, madame musiała udać się z dziećmi na wycieczkę -

odparł Toby. Czy mógłby pan przyjechać do biura, panie Barraclough?

Biuro Tobyego mieściło się w oszklonym pawilonie, położonym

na terenie ozdobnego ogrodu w pobliżu Bundeshaus. Smiley był na

miejscu w pięć minut. Poniżej leżał parów zielonej rzeki. W oddali pod niebieskim niebem wznosiły się majestatycznie szczyty

berneńskiego Oberlandu.

- Grigoriew przed pięcioma minutami opuścił samotnie ambasadę, ubrany w płaszcz i kapelusz - powiedział Toby, gdy

tylko Smiley wszedł. - Kieruje się piechotą w stronę miasta. Tak

jak w pierwsz¹ niedzielê, kiedy wziêliœmy go pod obserwacjê.

Idzie do ambasady, a dziesiêæ minut potem rusza do miasta.

George, nie ma w¹tpliwocci, ¿e wybiera siê na mecz szachowy.

Co ty na to?

- Kto z nim jest?

- Skordeno i de Silsky pieszo, z ty³u ubezpieczenie w samochodzie i jeszcze dwa auta z przodu. Jeden zespó³ udaje siê

w³acenie na teren katedry. George, jedziemy czy nie?

Toby po chwili zda³ sobie sprawê, ¿e w myœli Smileya zawsze

wkrada siê chaos, kiedy tylko operacja zaczyna nabieraæ szybkoœci: najpierw mniej niezdecydowania, a potem tajemnicza

niechêæ do dzia³ania.

- Zielone œwiat³o, George? Czy nie? - naciska³ Toby. -

George, proszê ciê. Ka¿da sekunda jest droga, - Czy dom bêdzie

nadal obstawiony, kiedy powróci Grigoriewa z dzieæmi?

- Ca³kowicie.

Smiley waha³ siê jeszcze przez chwilê. Przez moment rozwaŹa³ skutki podjêtych przez niego dzia³añ, przeciwstawiaj^{1c} je spodziewanej nagrodzie, i wtedy zobaczy³, Źe szara, odleg^{3a} postaa Karli udziela mu upomnienia.

- A wiêc zielone œwiat^{3o} - powiedzia³ Smiley. - Tak. Do dzie^{3a}.

Ledwie skoñczy³ mówiaæ, gdy Toby sta³ juŹ w budce telefonicznej, znajduj^{1cej} siê nieca^{3e} dwadzieœcia metrów od pawilonu. Z sercem ^{3omocz^{1cym}} jak totalny parowóz - twierdzi³

póŸniej Esterhase. Ale takŹe z bitewnym b^{3yskiem} w oku.

W Sarratt istnieje nawet model teatru dzia^{3a}ñ, który od czasu do czasu dowódtwo wydobywa na œwiat^{3o} dzienne, zdradzaj^{1c}

szczegó^{3y} tamtej akcji.

Jak wykazuje model, berneñsk¹ starówkê okreœliæ moŹna

najlepiej jako górê, fortecê i zarazem pó^{3wysep}. Pomiêdzy mostami

Kirchenfeld i Kornhaus rzeka Aare wije siê w kształcie podkowy,

wciêtej w zawrotn¹ rozpadlinê, w której niczym na grzędzie zosta³o przezornie osadzone stare miasto z wznosz¹cymi siê wzgórzami œredniowiecznych uliczek, osi¹gaj¹cych wreszcie

niezrównan¹ wie¿ê póŸnogotyckiej katedry, bêd¹cej szczytem i

chwa³¹ góry. Obok na wysokoœci œwi¹tyni znajduje siê taras, po

po³udniowej stronie nieostro¿ny turysta mo¿e znaleŹæ siê nagle na

skraju stustopowej œciany litej ska³y, spogl¹daj¹c wprost w wiruj¹c¹ poni¿ej rzekê. Miejsce to kusi, ¿eby odebraæ sobie ¿ycie, i niew¹tpliwie nieraz pope³niano tutaj samobójstwa.

Popularna opowieœæ g³osi, ¿e str¹cono tu z konia pewnego

pobo¿nego mê¿a, który dziêki opiece boskiej prze¿y³ jednak upadek

z owej przera¿aj¹cej wysokoœci, s³u¿y³ jeszcze Koœcio³owi przez

kolejnych trzydzieści lat i umar³ spokojnie, dożywszy
prawdziwie

sędziwego wieku. Pozosta³a część tarasu to spokojny
zak¹tek,

pe³en ³aweczek i ozdobnych drzew. Mieści się też tutaj plac
zabaw

dla dzieci, a ca³kiem od niedawna bywaj¹ tu rozgrywane
mecze

szachowe na wolnym powietrzu. Figury maj¹ co najmniej dwie
stopy

wysokości i s¹ na tyle lekkie, żeby można było je przesuwać,
ale

z drugiej strony ich ciężar jest wystarczaj¹cy, by mog³y oprzeć
się po³udniowemu wiatrowi, zrywaj¹cemu się czasem od
okolicznych

wzgórz. Model starego miasta, znajduj¹cy się w Sarratt,
zaopatrzone jest nawet w kopie tych szachów.

Kiedy owej niedzieli na miejsce przyjecha³ Toby Esterhase,
nieoczekiwane s³ońce przyci¹gnę³o już niewielk¹, ale zwart¹
grupkę entuzjastów królewskiej gry, siedz¹cych lub stoj¹cych

wokó³ zamienionego w szachownicę chodnika. A poćrodku,
ledwie

szećæ stóp od Tobyego, sta³ jak na życzenie, zapomniawszy o
bożym

ćewiecie, Anton Grigoriew, radca handlowy radzieckiej
ambasady w

Bernie, wagarowicz, który wymkn¹³ się zarówno z domu, jak i
z

pracy, i teraz przez swoje pozbawione ramek okulary z
uwag¹

ćeledzi³ kaźdy ruch graj¹cych. Za nim stali obserwuj¹cy go
Skordeno i de Silsky.

Gracze byli m³odymi, brodatymi i swawolnymi ludŸmi -
jeźeli

nawet nie byli to studenci akademii sztuk pićknych, to z
pewnoćci¹ za takich pragnęli uchodziæ.

I w pe³ni zdawali sobie sprawę, że prowadz¹ pojedynek na
oczach publicznoćci.

Toby znajdowa³ się juź przedtem w bezpoćredniej
bliskoćci

Grigoriewa, ale nie wtedy, kiedy coć tak niepodzielnie

poch³ania³oby uwagê Rosjanina.

Toby otaksowa³ go wzrokiem ze zwyk³ym przed nadci¹gaj¹c¹

bitw¹ spokojem i jego obserwacje potwierdzi³y g³oszon¹ przezeń do

tej pory opiniê: Anton Grigoriew nie by³ oficerem operacyjnym.

Jego napiêta uwaga i nie kontrolowana szczerocæ zmieniaj¹cego siê

wraz z kaŹdym nastêpnym ruchem wyrazu twarzy Grigoriewa

odznacza³y siê swoist¹ niewinnoœci¹, której nigdy nie zdo³a³by

zachowaæ po ostrym wespół³zawodnictwie w Centrum Moskiewskim.

Kolejny szczêeliwy traf tamtego dnia stanowi³ strój Tobyego.

Z szacunku dla berneñskiej niedzieli za³oŹy³ ciemny p³aszcz i czarn¹, futrzan¹ czapkê. A zatem w zasadniczej dla tej improwizacji chwili wygl¹da³ dok³adnie tak, jak chcia³by wygl¹daæ, gdyby zaplanowa³ wszystko do ostatniego szczegó³u: oto

człowiek na wysokim stanowisku korzysta z niedzielnego wypoczynku.

Ciemne oczy Tobyego wzniosły się ku dzieżnińcowi katedry.

Samochody mające służyć do ucieczki stały na swoich miejscach.

Rozległa się kaskada oemiechu. Jeden z brodatych graczy szerokim gestem uniósł swego hetmana i udając, że figura ma przerażający wprost ciężar, zatoczył się z nią kilka kroków i w końcu opuścił ją z westchnieniem.

Twarz Grigoriewa nachmurzyła się i pociemniała, kiedy rozważał to niespodziewane posunięcie. Toby skinął głową i na ten

znak Skordeno i de Silsky przysunęli się z obu stron do Rosjanina, a stali tak blisko, że Skordeno potrącał ramieniem ramię obiektu, Grigoriew jednak nie zwracał na nic uwagi.

Tropiciele Tobyego potraktowali to jako sygnał dla siebie i weszli w trójkę formując drugi zespół za plecami Skordena i de

Silskyego. Toby nie czekał już dłużej. Stanął wprost przed

Grigoriewem, ucemiechn¹³ siê i uchyl³ czapki. Grigoriew niepewnie

odwzajemni³ ucemiech, jak gdyby mia³ do czynienia z na wpó³

zapomnianym koleg¹ - dyplomat¹, i ze swej strony równie¿ uchyl³

kapelusza.

- Jak pan siê dzisiaj miewa, panie radco? - zapyta³ po rosyjsku Toby ¿artobliwym tonem.

Zupe³nie zaskoczony Grigoriew podziêkowa³ i odpar³, ¿e miewa siê dobrze.

- Mam nadziejê, ¿e pi¹tkowa wycieczka na wieœ dostarczy³a

panu mi³ych wra¿eñ - powiedzia³ Toby tym samym, ale bardzo cichym

g³osem, wsuwaj¹c d³oñ pod ramiê Grigoriewa. - Stare miasto w Thun

jest, jak s¹dzê, niedoceniane wœród szacownych cz³onków naszej

tutejszej spo³ecznoœci dyplomatycznej. Mniemam, ¿e Thun warto

poleciaæ zarówno ze wzglêdu na jego starodawne pochodzenie,
jak i

liczne mieszc¹ce siê tam banki.

Zgodzi siê pan ze mn¹?

Ju¿ ten ciêty wstêp okaza³ siê wystarczaj¹co d³ugi i
niepokoj¹cy, ¿eby Grigoriew bez oporu pozwoli³ siê
wyprowadziæ z

t³umu. Tu¿ za nimi pod¹¿ali Skordeno i de Silsky.

- Nazywam siê Kurt Siebel, proszê pana - Toby nachyli³ siê
poufnie do ucha Grigoriewa, trzymaj¹c go wci¹¿ pod ramiê. -

Jestem naczelnym wywiadowc¹ w Berneñskim Banku
Powszechnym w

Thun. Mamy do pana kilka pytañ dotycz¹cych prywatnego
konta

doktora Adolfa Glasera.

By³oby dobrze, gdyby pan udawa³, ¿e mnie pan zna. - Szli
dalej. Za nimi nieregularn¹ lini¹ posuwali siê tropiciele, niczym
rugbiœci gotowi zablokowaæ raptowny atak. - Nie ma
powodu do

niepokoj¹u - ci¹gn¹³ dalej Toby, licz¹c kroki, poniewa¿ Grigoriew

nie zatrzymywa³ siê. - Gdyby zechcia³ pan poœwiêciæ nam
godzinkê,

proszê pana, to jestem przekonany, że uda siê za³atwiæ sprawê
w

sposób nie zagrażaj¹cy ani pañskiemu życiu rodzinnemu,
ani

pañskiej karierze zawodowej. Proszê, pana.

W œwiecie tajnych agentów bariera pomiêdzy
bezpieczeñstwem i

wyj¹tkowym ryzykiem jest niebywale cienka, jak membrana,
która

może pęk¹æ w ka¿dej chwili. Można wdziêczyæ siê do kogoœ
ca³ymi

latami, zmiêkczaj¹c go przed akcj¹. Ale sama akcja -
zasadnicze

pytanie tak czy nie?

- to skok w zwyciêstwo lub klêskê, i przez chwilê Toby
s¹dzi³, że stoi w³acenie w obliczu klêski. Grigoriew w koñcu
zatrzyma³ siê jak wryty i odwróci³, żeby przypatrzeæ siê
Tobyemu.

By³ chorobliwie blady. Poruszy³ szczêk¹ i otworzy³ usta, chc¹c

zaprotestowaæ przeciwko tak potwornym oszczerstwom.

Szarpn¹³ uwiêzion¹ rêk¹, ¿eby siê uwolniaæ, ale Toby przytrzyma³ go mocno. W pobli¿u kr¹¿yli Skordeno i de Silsky, ale

do samochodu pozosta³o jeszcze piêtnaæcie metrów, co zdaniem

Tobyego stanowi³o zbyt du¿¹ odleg³oœæ, ¿eby ci¹gn¹æ krêpego

Rosjanina si³¹. Tymczasem mówi³ dalej; tak nakazywa³ mu instynkt.

- Zaistnia³y pewne nieprawid³owoœci, panie radco. Poważne

nieprawid³owoœci. Posiadamy informacje, dotycz¹ce pana dostojnej

osoby, które stanowi¹ doprawdy ¿a³osn¹ lekturê. Gdybym zdecydowa³

siê przedstawiaæ te dokumenty szwajcarskiej policji, to nawet protesty dyplomatyczne ca³ego œwiata nie uchroni³yby pana przed

wyj¹tkowo dotkliw¹ publiczn¹ kompromitacj¹, nie mówi¹c ju¿ o

p³yn¹cych z tego konsekwencjach dla pana kariery zawodowej.

Proszê, pana. Powiedzia³em, proszê.

Grigoriew nadal ani drgn¹³. Wydawa³ siê sparali¿owany niezdecydowaniem. Toby usi³owa³ go pchn¹æ, ale Grigoriew sta³ jak

wkopany w ziemiê i najprawdopodobniej w ogóle nie zauwa¿a³, ¿e

ktos stosuje wobec niego fizyczn¹ przemoc. Toby napar³ jeszcze

mocniej, Skordeno i de Silsky przysunêli siê bli¿ej, ale Grigoriew obdarzony by³ si³¹ szaleñca. Otworzy³ usta, prze³kn¹³

œlinê i wbi³ swój g³upawy wzrok w Tobyego.

- Jakie nieprawid³owoœci? - zapyta³ w koñcu. Jedyne wstrz¹s, jakiego dozna³, i cichy ton jego g³osu pozwala³y zachowaæ jeszcze nadziejê.

Grube cia³o Rosjanina twardo opiera³o siê wszelkim próbom

ruszenia go z miejsca, - Kim jest ten Glaser, o którym pan mówi?

- zapyta³ chrapliwie wci¹¿ zaskoczonym g³osem. - Nie jestem

Glaser. Jestem dyplomata¹.

Grigoriew.

Konto, o którym pan mówi, prowadzone jest w ca³kowitej

zgodzie z prawem.

Jako radcê handlowego chroni mnie immunitet. Mam równie¿

prawo mieæ konta w zagranicznych bankach.

Toby wykorzysta³ ostatni pocisk, jaki mu jeszcze pozosta³.

Pieni¹dze i dziewczyna, powiedzia³ Smiley. Wystarczy, jak bêdziesz manipulowa³ pieniêdzmi i dziewczyn¹.

- Pozostaje tak¿e delikatna kwestia pañskiego ma³¿eñstwa, proszê pana podj¹³ Toby, okazuj¹c niejakie wahanie. - Powinienem

pana ostrzec, ¿e romans w ambasadzie wystawia pañskie ¿ycie

rodzinne na powa¿ny szwank. -Grigoriew drgn¹³ i by³o s³ychaæ, jak

zamrucza³ pod nosem s³owo:

"bankier" -choæ nie dowiemy siê nigdy, czy wypowiedzia³ je
z

niedowierzaniem, czy z pogard¹. Zamkn¹³ oczy i znów da³o
siê

s³yszeæ, jak powtarza to s³owo, ale tym razem, jak twierdzi
Skordeno, towarzyszy³o mu wyj¹tkowo plugawe przekleństwo.
Zacz¹³

jednak iœæ. Tylne drzwi samochodu by³y otwarte. Dalej
czeka³o

auto ubezpieczenia. Toby bredzi³ coœ o podatku
dochodowym od

naros³ych odsetek na kontach w szwajcarskich bankach, ale
wiedzia³, ðe Grigoriew w³aœciwie go nie s³ucha. De Silsky
wysforowa³ siê naprzód i wskoczy³ na tylne siedzenie, a
Skordeno

wrzuci³ za nim Grigoriowa, usiad³ obok niego i zatrzasn¹³
drzwi.

Toby siedzia³ obok kierowcy; prowadzi³a jedna z sióstr
Meinertzhagen. Toby po niemiecku nakaza³ jej zachowaæ
spokój i na

litocæ bosk¹ pamiêtaæ, ðe jest berneñska niedziela. Ani
s³owa

przy nim po angielsku, powiedzia³ Smiley.

Gdzieœ w pobliu stacji Grigoriew chyba siê rozmyœli³, bo
w

samochodzie nast¹pi³a krótki szarpanina i kiedy Toby spojrze³
w

lusterko, Rosjanin obiema rêkami zas³ania³ sobie krocze, a
twarz

mia³ wykrzywion¹ grymasem bólu. Pojechali na
Langassstrasse,

d³ug¹, nieciekaw¹ ulicê za uniwersytetem.

Otworzy³y siê drzwi domu, przed którym przystan¹³
samochód.

Na progu czeka³a na nich szczup³a dozorczyini. By³a to Millie
McCraig, dawny o³nierz Cyrku. Widz¹c jej ucœmiech,
Grigoriew

o³achn¹³ siê i teraz refleks liczy³ siê bardziej ni o³stroo³noœæ.

Skordeno wyskoczy³ na chodnik, chwyci³ Grigoriewa za
ramiê i

niemal wyrwa³ mu je ze stawu; de Silsky musia³ go znów
uderzyæ

(choæ przysiêga³ potem, o³e to by³ przypadek), bo Grigoriew

wyszed³ z auta zgięty wpó³ - potem obaj przenieœli
Grigoriewa

przez próg niczym pannê m³od¹ i wszyscy razem wpadli do
pokoju.

Smiley oczekiwa³ ich, siedz¹c w k¹cie. By³ to pokój perkalu i
koronek. Drzwi siê zamknê³y, porywacze pozwolili sobie na
krótki

objaw radoœci. Skordeno i de Silsky z ulg¹ wybuchnêli
œmiechem.

Toby zdj¹³ futro i otar³ pot z czo³a.

- Ruhe - powiedzia³ miêkko, nakazuj¹c ciszê. Us³uchali go
natychmiast.

Grigoriew masowa³ sobie ramiê i chyba nie odczuwa³
niczego

poza bólem. Smiley bada³ Rosjanina wzrokiem i ten jego
gest

troski o samego siebie dodawa³ mu otuchy: Grigoriew
podœwiadomie

przedstawia³ im siê jako ¿yciowy nieudacznik. Smiley
przypomnia³

sobie Kirowa, jego spartaczon¹ akcjê wokó³ Ostrakowej i
wymêczony

werbunek Otto Leipziga. Spojrza³ na Grigoriewa i w nim
równie;

dostrzega³ wszêdzie nieuleczaln¹ przeciêtnoœæ: czai³a siê w
jego

nowym, ale Ÿle dobranym pasiastym garniturze, który
podkreœla³

tuszê Grigoriewa; w jego ukochanych szarych butach,
zaopatrzonych

w zapewniaj¹ce dop³yw powietrza otwory, ale za ciasnych i
niewygodnych; w jego wymuskanych, faluj¹cych w³osach.
Wszystkie

te drobne, bezużyteczne objawy próżnoœci wskazywa³y na
aspiracje

do wielkoœci, która, jak wiedzia³ Smiley i o czym zdawa³ siê
wiedzieæ Grigoriew, nie mia³a staæ siê nigdy jego udzia³em.

By³y nauczyciel akademicki, przypomnia³ sobie jakieœ
dokument, który da³ mu Enderby w mieszkaniu Bena.
Prawdopodobnie

porzuci³ uniwersytet dla szerszych przywilejów w s³u¿bie
pañstwowej.

Podszczytywacz, powiedzia³aby Anna, szacuj¹c jego seksualizm

jednym spojrzeniem.

Odprawia go.

Ale Smiley nie móg³ go odprawia. Grigoriew by³ jak ryba, która po³knê³a haczyk: Smiley mia³ tylko kilka chwil na to, ¿eby

zdecydowaæ, kiedy najlepiej j¹ podci¹æ i wyci¹gn¹æ. Nosi³ okulary

bez oprawek, a podbródek zaczyna³ obrastaæ mu t³uszczem. Ój na

jego w³osach, rozgrzany ciep³em cia³a, wydawa³ cytrynowe opary.

Wci¹¿ miêtosz¹c ramiê, zacz¹³ przygl¹daæ siê swoim porywaczom. Z

twarzy œcieka³ mu pot jak krople deszczu.

- Gdzie ja jestem? - rzuci³ zaczepnie Grigoriew, ignoruj¹c Smileya i wybieraj¹c na przywódcê Tobyego. G³os mia³ chrapliwy i

wysoki. Mówi³ po niemiecku ze s³owiañskim akcentem.

Trzy lata jako pierwszy sekretarz handlowy w misji

radzieckiej w Poczdamie, przypomina³ sobie Smiley.
Prawdopodobnie

w żaden sposób niezwi¹zany z wywiadem.

- ¹dam, aby mi powiedziano, gdzie siê znajdujê. Jestem
wysokim rang¹ radzieckim dyplomat¹. Domagam siê
umożliwienia mi
natychmiastowej rozmowy z moim ambasadorem.

Nieustanne ruchy d³oni po obola³ym ramieniu pohamowa³y
nieco
jego oburzenie.

- Zosta³em uprowadzony. Jestem tu wbrew swojej woli.
Jeżeli
natychmiast nie wrócê do ambasady, dojdzie do poważnego
incydentu
na skalê miêdzynarodow¹.

Grigoriew mia³ ca³¹ scenê dla siebie, ale nie móg³ jej
zape³niæ w pojedynkê. Jedyne George zadaje pytania,
zapowiedzia³

Toby swojemu zespo³owi. I jedynie George udziela odpowiedzi.
Ale

Smiley siedzia³ bez ruchu jak grabarz; wydawa³o siê, że nic nie

jest go w stanie poruszyć.

- Chcecie okupu?! - zawoła do nich Grigoriew. Przyszła mu

chyba do głowy okropna myśl. - Jesteście terrorystami? - wyszeptał. - Ale jeżeli tak, to dlaczego nie zawiążecie mi oczu?

Dlaczego pozwalacie mi oglądać swoje twarze? - Popatrz na

Silskyego, potem na Skordeno. - Powinnicie zakryć sobie twarze.

Zakryjcie je. Nie chcę was znać.

Sporokowany nieustannym milczeniem Grigoriew, uderzył

pięścią w otwartą dłoń i dwukrotnie krzyknął "dam!". W

tym momencie Smiley z miną wyrażającą oficjalne ubolewanie

otworzył na kolanach notatnik, jak pewnie zrobiłby to Kirow, po

czym wydał zgodne i niezmiernie urzędowe westchnienie:

- Grigoriew, radca ambasady radzieckiej w Bernie? - zapytał możliwie najbardziej monotonnym głosem.

- Grigoriew. Jestem Grigoriew. Tak, dobra robota, jestem Grigoriew.

A pan to kto? Al Capone? Kim pan jest? Dlaczego grzmi pan na mnie jak komisarz?

Smiley istotnie zachowywa³ się jak komisarz; by³ niemal obojętny.

- A zatem, panie radco, ponieważ nie możemy pozwolić sobie na zw³okê, zmuszony jestem poprosić pana, żeby przyjrza³ się pan tym kompromituj¹cym fotografiom, leż¹cym za panem na stole -

powiedzia³ Smiley z t¹ sam¹ wyszukan¹ jednostajności¹ w g³osie.

- Fotografie? Jakie fotografie? Jak moglibyście skompromitować dyplomatê? -¹dam, żeby pozwolono mi zatelefonować do ambasadora.

- Radzi³bym jednak panu radcy przyrzeć się najpierw

fotografiom - powiedzia³ Smiley ponurym, nijakim
niemieckim. -

Kiedy im siê pan przyjrzy, bêdzie pan móg³ zatelefonowaæ do
kogo

tylko pan zechce. Proszê zacz¹æ od lewej strony - poradzi³. -

Zdjêcia u³o¿one s¹ od lewej do prawej.

Szanta¿owany cz³owiek posiada godnoœæ naszych
wszystkich

s³aboœci, pomysla³ Smiley, obserwuj¹c ukradkiem Grigoriewa,
który

wlók³ siê wzdu¿ sto³u, jak gdyby dokonywa³ inspekcji
kolejnego

bufetu na przyjêciu dyplomatycznym. Cz³owiek
szanta¿owany to

ka¿dy z nas przytrzaœniêty drzwiami podczas próby
wymkniêcia siê

z pu³apki. Smiley osobiœcie przygotowa³ uk³ad fotografii;

wyobrazi³ sobie, jak zdjêcia w oczach Grigoriewa tworz¹

instrumentalny ci¹g nieszczêœæ. Grigoriewowie parkuj¹
mercedesa

przed bankiem.

Grigoriewa ze swoj¹ marsow¹ min¹, wyrażaj¹c¹ bezustanne niezadowolenie, czeka samotnie w samochodzie, œciskaj¹c w

d³oniach kierownicê na wypadek, gdyby ktoœ usi³owa³ j¹ jej wyrwaæ. Grigoriew i ma³a Natasza z daleka, siedz¹ na ³awce bardzo

blisko siebie. Grigoriew w banku, kilka fotografii, koñcz¹cych siê wykonanym mu przez ramiê wspania³ym zdjêciem, na którym

podpisuje rachunek w kantorze i na linii powyżej jego podpisu

widaa wyraŹnie wypisane na maszynie pe³ne imiê i nazwisko: Adolf

Glaser.

Dalej Grigoriew, nie czuj¹cy siê zbyt wygodnie na rowerze, wjeżdża w³acenie do sanatorium; i obrażona na wszystko Grigoriewa

siedzi znów jak kwoka w samochodzie, tym razem ko³o stodo³y

Gertscha, a rower Rosjanki tkwi wci¹ przywi¹zany na dachu. Ale

Smiley spostrzegł, że zdjęcie, które najdłużej przykuło uwagę Grigoriewa, to zamazana fotografia, wykonana z większej odległości przez siostry Meinertzhagen. Jako że odbitki nie

wysoka, ale bez trudu dało się rozpoznać dwie złączone ustami

głowy w samochodzie.

Jedna z nich należała do Grigoriewa. Właścicielką drugiej, napierającej na niego z góry, jak gdyby dziewczyna chciała porozmawiać

go żywcem, była matka Natasza.

- Telefon jest do pańskiej dyspozycji, panie radco -
powiedziało cicho Smiley, kiedy Grigoriew stał wciśnięty
nieruchomo.

Ale Rosjanin zastygł nad tą ostatnią fotografią i służył po wyrazie jego twarzy, czuł się całkowicie zdruzgotany. Był nie tylko człowiekiem zdemaskowanym, pomyślał Smiley, lecz także

człowiekiem, którego okryty do tej pory tajemnicą sens o miłości

stał się nagle publiczny i absurdalnie śmieszny.

Pos³uguj¹c siê nadal ponurym tonem urzêdowej koniecznoœci,

Smiley przyst¹pi³ do udzielania wyjaœnieñ w kwestii tych czynników, które Karla nazywa³by elementami nacisku. Toby

powiada, Ÿe ka¿dy inny œledczy zaoferowa³by Grigoriewowi wybór,

nieuchronnie budz¹c w nim w ten sposób rosyjski upór i pend do

autodestrukcji: wywo³uj¹c te impulsy, które doprowadzi³yby wprost

do katastrofy. Ka¿dy inny œledczy, twierdzi Toby, pos³ugiwa³by

siê groŸbami, podnosi³by g³os, posuwa³by siê do teatralnych gestów, a nawet do zastosowania przemocy fizycznej. Ka¿dy, tylko

nie George: nigdy. George zagra³ drugorzêdnego, urzêdowego

s³ugusa, a Grigoriew, jak wszyscy Grigoriewowie na ca³ym œwiecie,

potraktowa³ go niczym nieodwracalne zrz¹dzenie losu. George

zlekceważył wybór całkowicie, powiada Toby. Wytłumaczył spokojnie

Grigoriewowi, dlaczego ten w ogóle nie ma wyboru:

- Rzecz w tym, panie radco - mówi Smiley, jak gdyby przedstawia mu roszczenia podatkowe - że najpierw należy

zastanowić się, jakie reakcje wzbudzą owe fotografie w miejscach,

gdzie zostaną szybko zbadane, jeżeli nie uczyni się nic, ażeby nie dopuścić do ich ujawnienia. Przede wszystkim chodzi tu o władze

szwajcarskie, które byćby z pewnością wielce oburzone nadużyciem

szwajcarskiego paszportu przez akredytowanego w ich kraju

dyplomatę, nie wspominając już o poważnym naruszeniu przepisów

bankowych - mówi Smiley. - Szwajcarzy wystosowaliby szczególnie

ostrzy protest, a Grigoriewów odwołano by do Moskwy w ciągu

dwudziestu czterech godzin i nigdy nie zasmakowałiby już
rozkoszy

placówki zagranicznej. Ale w Moskwie Grigoriew też nie byłby
mile

widziany - wyjaśnił Smiley. - Jego przesilenie w
Ministerstwie

Spraw Zagranicznych bardzo nieprzychylnie oceniliby
postępowanie

Grigoriewa, zarówno w sferze osobistej, jak i zawodowej.
Oznaczałoby to dla niego koniec perspektyw dalszej kariery
urzędniczej. Wraz z całą rodziną zostałby banit w własnym
kraju

- powiedział Smiley. - Z całą rodziną.

Smiley wścieknie mówił mu w ten sposób: Niech pan
sobie

tylko wyobrazi, że jest pan narażony na gniew Grigoriewej
przez

dwadzieścia cztery godziny na dobre gdzieś na
pustkowiach

zewnątrznej Syberii.

Wtedy Grigoriew osunął się na krzesło i zapał za głowę, jak

gdyby ba³ siê, ¿e coœ rozsadzi mu czaszkê.

- No i w koñcu... - powiedzia³ Smiley, podnosz¹c na moment

wzrok znad notesu, choœ jak powiada Toby, Bóg jeden wie, co on

tam wyczyta³, bo kartki by³y co prawda poliniowane, ale poza tym

zupe³nie czyste.

- W koñcu, panie radco, musimy tak¿e rozwa¿yæ, jakie wra¿enie uczyni¹ te fotografie w pewnych komórkach radzieckiej

s³u¿by bezpieczeñstwa.

Tu Grigoriew puœci³ swoj¹ g³owê, z górnej kieszonki marynarki wyci¹gn¹³ chusteczkê i zacz¹³ ocieraæ pot z czo³a, ale im mocniej je tar³, tym bardziej siê poci³. Pot la³ siê z niego tak obficie, jak niegdyœ ze Smileya w celi œledczej w Delhi, gdy

siedzia³ twarz¹ w twarz z Karl¹.

Ca³kowicie poch³oniêty rol¹ biurokratycznego wys³añca losu,

Smiley ponownie westchn¹³ i pedantycznie przewróci³ kolejn¹

kartkê w notesie.

- Panie radco, pozwoli pan, ¿e zapytam, o której godzinie pańska ¿ona i dzieci powróc¹ z pikniku?

Przyk³adaj¹cy sobie wci¹¿ chusteczkê do czo³a Grigoriew, by³

chyba nazbyt przejêty, ¿eby us³yszeæ pytanie.

- Grigoriowa uda³a siê z dzieæmi na piknik do lasu Elfenau - przypomnia³ Smiley. - Mamy do pana kilka pytañ, ale by³oby

niedobrze, ¿eby pańska nieobecnoœæ wzbudzi³a w domu

zaniepokojenie.

Grigoriew od³o¿y³ chusteczkê.

- Jesteœcie szpiegami? - wyszepta³. - Jesteœcie zachodnimi szpiegami?

- Panie radco, lepiej, ¿eby pan nie wiedzia³, kim jesteœmy - powiedzia³ otwarcie Smiley. - Takie informacje to niebezpieczny

ciê¿ar.

Jeżeli zrobi pan to, o co prosimy, odejdzie pan stąd wolno.
Zapewniam pana. Ani pańska żona, ani nawet Centrum
Moskiewskie
nie dowiedzi się o niczym. Proszę mi powiedzieć, o której
pańska
rodzina ma wrócić z Elfenau... - Smiley nagle urwał.

Grigoriew bez większego przekonania spróbował jeszcze
ucieczki.

Wstał i skoczył w stronę drzwi. Paul Skordeno jak na
wojownika był dośc ociążony, ale zamknął uciekiniera w
uścisku,
jeszcze zanim Grigoriew zrobił drugi krok, po czym
delikatnie
zaprowadził go z powrotem na krzesło, uważając, żeby nie
pozostawić na jego ciele żadnych śladów. Grigoriew
stęknął
teatralnie i wyrzucił w górę ręce w bezbrzeżnej rozpacz. Jego
obwisła twarz poczerwieniała i wykrzywiła się, a szerokie
ramiona
unoszą się i opadają w śródśnym potoku obelg, miotanych
pod

swoim adresem w poczuciu winy.

Mówi³ trochę po rosyjsku, trochę po niemiecku. Przeklina³ siebie z powolnym i cewiêtym zapa³em, a potem przeklina³ swój¹

matkê, ¿onê i swojego pecha, a tak¿e straszn¹ lekkomyœlnoœæ,

któr¹ okaza³ jako ojciec. Powinien by³ zostaæ w Moskwie, w

Ministerstwie Handlu. Nigdy nie powinien by³ daæ siê wyci¹gn¹æ z

akademii tylko dlatego, ¿e jego g³upiej ¿onie zachcia³o siê zagranicznych ubrañ, muzyki i przywilejów. Dawno powinien by³ siê

z ni¹ rozwieœæ, ale nie potrafi³ porzuciæ dzieci; jest g³upcem i b³aznem. To on powinien znaleŸæ siê w zak³adzie dla ob³1kanych, a

nie dziewczyna. Trzeba by³o odmówiaæ, kiedy pos³ano po niego w

Moskwie, trzeba by³o opieraæ siê naciskom, trzeba by³o po powrocie zameldowaæ o wszystkim ambasadorowi.

- Ach, Grigoriew! - zawo³a³. - Ach, Grigoriew. Jakioœ ty

s³aby, jaki s³aby.

Nastêpnie wyg³osi³ tyradê przeciwko konspiracjom. Konspiracja to dla niego przekleñstwo, a w swojej karierze kilkakrotnie musia³ kolaborowaæ ze znieawidzonymi s¹siadami w

ró¿nych zwariowanych sprawach i za ka¿dym razem wszystko koñczy³o

siê klêsk¹. Ludzie z wywiadu to przestêpcy, szarlatani i g³upcy, to masoneria potworów. Dlaczego Rosjanie s¹ tak w nich zakochani?

Ach, ta zgubna skaza tajemniczoœci w rosyjskiej duszy.

- Konspiracje zast¹pi³y religiê - jêcza³ do nich Grigoriew po niemiecku. - To taki nasz mistyczny œrodek zastêpczy. Jego

agenci to nasi jezuici, niszczy³ wszystko, œwinie!

Zacisn¹wszy piêœci, Grigoriew wepchn¹³ je w policzki i zacz¹³ pod wp³ywem wyrzutów sumienia ok³adaæ siê po twarzy, a¿

Smiley poruszy³ na kolanach notatnikiem i zimno zwróci³ znów

uwagê Rosjanina na sprawê zasadnicz¹:

- Pomyślmy o Grigoriewej i o pańskich dzieciach, panie radco

- rzek³ Smiley. - Naprawdê musimy koniecznie wiedzieæ, kiedy maj¹

wróciæ do domu.

Jak z namaszczeniem podkreœla Toby Esterhase, podczas

ka¿dego uwieñczonego sukcesem przes³uchania uchwyciæ mo¿na jakieœ

nieodwracalny b³d; nieœmia³y albo bezpoœredni gest, choæby tylko

pó³uœmiech czy przyjêcie zaoferowanego papierosa, które oznacza

rezygnacjê z oporu i zgodê na wspó³pracê.

Jak twierdzi Toby, Grigoriew teraz w³aœnie pope³ni³ swój najgrubszy b³d.

- ona wróci o pierwszej - zamrucza³, unikaj¹c wzroku zarówno Tobyego, jak i Smileya.

Smiley popatrzy³ na zegarek. Ku cichemu uniesieniu Tobyego,

Grigoriew zrobi³ to samo.

- Ale może się spóŹni? - zapyta³ Smiley.

- Ona się nigdy nie spóŹnia - odpar³ w zadumie Grigoriew.

- A zatem proszê zacz¹æ od pañskiego zwi¹zku z dziewczyn¹

nazwiskiem Ostrakowa - powiedzia³ Smiley, wal¹c, jak mówi Toby,

prosto z mostu, lecz usi³uj¹c zarazem sugerowaæ, że to pytanie stanowi logiczne nastêpstwo kwestii punktualnoœci pani Grigoriewej. Smiley trzyma³ pióro w pogotowiu w taki sposób, że -

jak opowiada Toby - cz³owiek pokroju Grigoriewa po prostu czu³by

siê zobowi¹zany powiedzieæ mu coœ, co móg³by zanotowaæ.

Pomimo to duch oporu nie opuœci³ jeszcze ca³kiem Grigoriewa.

Jego amour propre ÷¹da³a jeszcze choæ jednej szansy ekspresji.

Grigoriew roz³o¹ÿ³ zatem rêce i zwróci³ siê do Tobyego:

- Ostrakowa - powtórzy³ z przesadzonym wyrzutem. - Pytamnie

o jak¹œ kobietê o nazwisku Ostrakowa? Nie znam nikogo takiego.

Mo¿e on j¹ zna, ale ja nie. Jestem dyplomata¹. Proszê mnie natychmiast wypuœciæ, mam wa¿ne sprawy do za³atwienia.

Ale jego protesty, jak i logika s³ab³y ju¿ teraz w szybkim tempie.

Grigoriew wiedzia³ o tym równie dobrze jak wszyscy.

- Aleksandra Borysowna Ostrakowa - zaintonowa³
Smiley,

czyszcz¹c okulary szerokim koñcem krawata. - Rosjanka z francuskim paszportem. -Smiley na³o¿y³ okulary. - Zupe³nie jak

pan, panie radco: jest pan Rosjaninem, ale ma pan szwajcarski paszport. Wystawiony na fa³szywe nazwisko.

Ciekawi mnie, jakie by³y pocz¹tki waszego zwi¹zku?

- Zwi¹zku? On mówi mi teraz, ¿e istnieje miêdzy nami zwi¹zek. Myœlicie, ¿e jestem tak obrzydliwy, ¿eby sypiaæ z ob³1kanymi dziewczêdami?

Szanta¿owano mnie. Szanta¿owano mnie tak, jak teraz wy mnie

szantażujecie.

Szantaż. Ci¹gle szantaż, zawsze Grigoriew.

- A zatem proszę mi powiedzieć, jak pana szantażowali - zaproponowa³ Smiley, ledwie na niego patrz¹c.

Grigoriew zajrza³ w swoje ręce, podniós³ je, a potem pozwoli³ im znów opierać na kolana. Jego d³onie choć raz przez

chwilę pozostawa³y bezczynne.

Otar³ usta chusteczk¹. Pokiwa³ g³ow¹ nad nikczemności¹ tego

cewiata.

- By³em akurat w Moskwie - powiedzia³, i te s³owa, jak twierdzi³ później Toby, zabrzmia³y w jego uszach jak pieśni

anielskich chórów.

George przyst¹pi³ do akcji i rozpoczą³y się wyznania Grigoriewa.

Z drugiej jednak strony, Smiley nie zdradza³ żadnej radości ze swojego sukcesu. Przeciwnie, grymas irytacji przeszy³ jego pulchn¹ twarz.

- Proszê o datê, panie radco - powiedzia³, jak gdyby miejsce nie by³o istotne. - Proszê podaæ datê pañskiego pobytu w Moskwie.

I od tej pory proszê za ka¿dym razem podawaæ mi daty.

To tak¿e klasyczny chwyt, objaœnienia chêtnie Toby: m¹dry œledczy zawsze podsuwa przez³uchiwanemu kilka fa³szywych tropów.

- We wrzeœniu - powiedzia³ zaskoczony Grigoriew.

- Którego roku? - zapyta³ Smiley, notuj¹c.

Grigoriew znów p³aczliwie popatrzy³ na Tobyego.

- Którego roku. Mówiê, ¿e we wrzeœniu, a on mnie pyta, we

wrzeœniu którego roku. Jest historykiem? Myœlê, ¿e jest historykiem. We wrzeœniu tego roku -powiedzia³ nad¹sany

Smileyowi. - Wezwano mnie do Moskwy na piln¹ konferencjê

handlow¹. Jestem ekspertem w kilku szczególnie w¹sko wyspecjalizowanych dziedzinach ekonomii. Taka konferencja beze

mnie by³aby zupe³nie pozbawiona sensu.

- Czy żona towarzyszy panu w tej podróży?

Grigoriew zaciemnia się głucho.

- A teraz myślimy, że jesteśmy kapitalistami. - Jego komentarz skierowany był do Tobyego. - Myślimy, że fundujemy żonom przeloty

na dwutygodniowe konferencje pierwsz klas szwajcarskimi

liniami.

- "We wrześniu bieżącego roku rozkazano mi polecieć do

Moskwy na dwutygodniową konferencję ekonomiczną" - zaproponowa

Smiley, jak gdyby czytał na głos zeznanie Grigoriewa. - "Moja

żona pozostała w Bernie". Proszę nam przybliżyć cel tej konferencji.

- Temat naszej dyskusji na wysokim szczeblu był ściśle tajny

- odrzekł zrezygnowany Grigoriew. - Moje ministerstwo pragnęło

rozważały sposoby zaostrożenia oficjalnego stanowiska
rządu

radzieckiego wobec krajów, sprzedających broń
Chińczykom.

Mielibyśmy przedyskutować sankcje, jakie należą zastosować
wobec

tych przestępców.

Nijaki styl Smiley'a i jego zachowanie wyrażające
pożądania

godne, biurokratyczne konieczności nie były już po prostu
udawane,

jak powiada Toby, ale zostały jeszcze udoskonalone:
Grigoriew

kupił je hurtem z filozoficznym i bardzo rosyjskim
pesymizmem. Co

do reszty obecnych, to trudno było im potem uwierzyć, że
Grigoriew nie przyszedł od razu w gadatliwym nastroju.

- Gdzie odbywała się konferencja? - spytał Smiley, jak gdyby
tajne wiadomości obchodziły go mniej niż wszelkie
szczegóły
formalne.

- W Ministerstwie Handlu. Na czwartym piêtrze... w sali konferencyjnej. Naprzeciwno ubikacji - odpar³ Grigoriew z beznadziejn¹ weso³oœci¹.

- Gdzie pan mieszka³?

- W hotelu dla wysokich urzêdników pañstwowych - odpowiedzia³ Grigoriew. Poda³ adres, a w przyp³ywie sarkazmu

tak¿e i numer pokoju.

Czasami nasze dyskusje trwa³y do póŹnej nocy - powiedzia³,

swobodnie podaj¹c teraz informacje z w³asnej woli - ale poniewa¿

panowa³a jeszcze gor¹ca, letnia pogoda, wiêc w pi¹tek skoñczyli

wczesniej, ¿eby wszyscy chêtni mogli wyjechaæ na wieœ.

-

Grigoriew mia³ jednak¿e inne plany.

Chcia³ zostaæ w Moskwie, i to nie bez powodu: - Umówi³em

siê, ¿e spêdzê dwa dni u pewnej dziewczyny imieniem Jewdokia,

mojej byłej sekretarki. Jej mąż wyjechał na ćwiczenia wojskowe
-

wyjaśnił Grigoriew, jak gdyby spośród ówcowców był
to

najnormalniejszy w ówiecie układ, który zrozumiałby
przynajmniej

Toby, jako bratnia dusza, jeżeli nie zaakceptowałiby go
bezduszni

komisarze. Potem, ku zdumieniu Tobyego, Grigoriew bez
zwłoki

ciągnął dalej. Od figłów z Jewdokią przeszedł wprost do sedna
przesłuchania:

- Niestety, nie mogłem dotrzymać umowy na skutek
interwencji

Trzynastego Departamentu Centrum Moskiewskiego, znanego
także

jako Departament Karli. Nakazano mi stawiać się natychmiast
na

rozmowę.

W tym momencie zadzwonił telefon. Odebrał Toby,
potem

odłożył słuchawkę i zwrócił się do Smileya.

- Ona jest już w domu - powiedzia³ po niemiecku.

Smiley bez wahania odwróci³ się wprost do Grigoriewa:

- Panie radco, powiadomiono nas, że pańska żona wróci³a do domu.

Musi pan teraz do niej zadzwoniæ.

- Zadzwoniæ do niej? - Grigoriew rzuci³ się ku Tobyemu. -

Mówi mi, żeby do niej zadzwoni³. I co jej powiem?

Grigoriewa, tu

twój kochaj¹cy m¹ż. Porwali mnie zachodni szpiedzy. Wasz komisarz

oszala³. Oszala³.

- Proszê powiedzieæ, że się pan spóÿni - powiedzia³ Smiley.

Jego spokój rozp³omieni³ tylko oburzenie Grigoriewa:

- Ja mia³by³m powiedzieæ żonie coæ takiego?

Grigoriewej?

Myœlicie, że mi uwierzy? Natychmiast doniesie na mnie ambasadorowi. "Panie ambasadorze, mój m¹ż uciek³. Niech go pan

odnajdzie".

- Kurier Krasski przywozi panu co tydzień rozkazy z Moskwy,

prawda? - spyta³ Smiley.

- Komisarz wie wszystko - powiedzia³ Tobyemu Grigoriew i

potar³ d³oni¹ podbródek. - Skoro wie wszystko, to czemu sam nie

porozmawia z Grigoriew¹?

- Niech pan rozmawia z ni¹ urzędowym tonem, panie radco -

poradzi³ mu Smiley. - Proszê nie wymieniaæ nazwiska Krasskiego,

ale proszê daæ jej do zrozumienia, że poleci³ panu spotkaæ siê z nim na tajnej rozmowie gdzieœ w mieœcie. Nag³y wypadek. Krasski

zmieni³ plany. Nie ma pan pojêcia, kiedy pan wróci, ani czego on

od pana chce. Jeżeli Grigoriewa zacznie protestowaæ, niech j¹ pan

przywo³a do porz¹dku. Proszê jej powiedzieæ, że to tajemnica

państwowa.

Widzieli, że się martwi, widzieli, że się zastanawia. I wreszcie ujrzeli, jak na jego twarzy pojawił się drobny uśmiešek.

- Tajemnica - powiedziało do siebie Grigoriew. - Tajemnica państwowa.

Tak.

Podszedł do telefonu i wykręcił numer. Tędy stanął nad Grigoriewem, dyskretnie trzymając w pogotowiu wyciągnięty

dłoń, żeby trzasnęło w widełki, gdyby Rosjanin próbował jakichś

sztuczek, ale Smiley gestem nakazał mu odejść. Usłyszeli, jak

Grigoriewa pyta po niemiecku:

Tak? Potem rozległa się odważna odpowiedź Grigoriewa i głos

jego żony (wszystko jest na taśmie), pytający ostro, gdzie jest.

Zobaczyli, że Grigoriew sztywnieje, porusza szczęką i przybiera

urzędowemu minę; usłyszeli, jak rzuca kilka krótkich zdań oraz

zadaje jakieś pytanie, pozostając najwyraźniej bez odpowiedzi.

Widzieli, jak z zaróżowioną z rozkoszy twarzą i rozpromienionymi

oczami odkłada szychawkę i z zadowoleniem wyrzuca w górę krótkie

ramiona, jak gdyby strzelił w stronę bramki. Po chwili nieoczekiwanie wybuchł śmiechem, dźwięki, soczyste porywy

śmiańskiego śmiechu, wędrują w górę i w dół muzycznej skali.

Ich też ogarnął wtedy nieopanowany śmiech - śmiali się Skordeno,

de Silsky i Toby. Grigoriew uściśnął Tobyemu dłoń.

- Bardzo podoba mi się dzisiaj konspiracja! - wołał

Grigoriew w przerwach pomiędzy dalszymi wybuchami katartycznego

śmiechu. - Konspiracja jest dzieło bardzo dobra.

Smiley nie brał jednak udziału w tym powszechnym śmiechu.

Występuje świadomie w roli psującego innym zabawę malkontenta,

siedzia³ przewracaj¹c kartki notesu i czekaj¹c, a² objawy weso³oœci ustan¹.

- Mówi³ pan, ²e przyszli do pana cz³onkowie Trzynastego Departamentu - powiedzia³ Smiley, kiedy znowu zapad³a cisza.

-
Znanego tak²e jako Departament Karli. Bardzo proszê, niech pan

kontynuuje opowieœæ, panie radco.

* * *

Czy Grigoriew wyczu³ wokó³ siebie napiê¹t ponownie uwagê -

dyskretnie powstrzymane gesty? Czy zauwa²ly³, jak oczy Skordeno i

de Silskyego znalaz³y niewzruszon¹ twarz Smileya i zmierz³y j¹

wzrokiem? Jak Millie McCraig wymknê³a siê w milczeniu do kuchni,

²eby raz jeszcze sprawdzaæ magnetofony, tak na wszelki wypadek,

gdyby jakieś złośliwe bóstwo sprawiło, że nawali
jednocześnie

zestaw główny i zapasowy? Czy zauważysz orientalny już
niemal

pokorę Smileya - przeciwieństwo zainteresowania - ucieczkę
całego

jego ciało w obfite fałdy brązowego tweedowego płaszcza
podróźnego i cierpliwy gest, jakim oblizywa kciuk i palec
wskazujący, przewracając kolejne kartki w notesie?

Toby w każdym razie zauważysz to wszystko. W ciemnym
kciuku

koło telefonu miało swoje miejsce jak na trybunie, z której mógł
obserwować obecnych, samemu pozostając w świecie
niewidocznym.

Nawet gdyby przez pokój przeleciała mucha, uważne oczy
Tobyego

zarejestrowałby jej całą odyseję. Toby opisuje także ogarniające
go objawy zmiany nastroju - mówi, że poczuł, jak parzy go
kołnierzyk na szyi, jak coś ociska mu krtań i łożek - nie tylko
znosi te dolegliwości, ale wiernie je ponadto zapamiętał. Inna
sprawa, czy Grigoriew też podda się panującej w pokoju

atmosferze.

Najprawdopodobniej był zbyt zaabsorbowany swoją główną rolą

w tej sprawie. Uwieńczony sukcesem telefon do niego pobudził go i

przywrócił mu pewność siebie; i jest rzeczą wielce znamienne, że

kiedy Grigoriew ponownie odzyskał głos, jego pierwsze oświadczenie nie dotyczyło Departamentu Karli, lecz jego wysokich

umiejętności w roli kochanka matki Nataszy:

- Facetom w naszym wieku potrzebne są takie dziewczyny

-

wyjaśnić, mrugać okiem do Tobyego. - Robi z nas młodzińców,

jakimi niegdyś bylibyśmy.

- Doskonale, poleciał pan do Moskwy sam - powiedział do

zgrzyliwie Smiley. - Konferencja trwa, poproszono pana na

rozmowę.

Proszę od tego zacząć. Nie mamy całego popołudnia.

- Konferencja rozpoczyna się w poniedziałek - zgodzi się

Grigoriew - podejmując posłusznie swoje oficjalne zeznanie.

W

piątek po południu wrócę do hotelu po swoje rzeczy,

żeby

zabrać je do mieszkania Jewdokii, gdzie mieliśmy spędzić

razem

weekend. Stało się jednak inaczej, bo po drodze spotkałem

trzech

mężczyzn, którzy kazali mi wsiąść do samochodu,

udzielając

jeszcze mniej wyjaśnień niż pan. - Rzut oka na Tobyego. -

Powiedzieli mi, że jestem im potrzebny do wykonania

specjalnego

zadania. Podczas jazdy wyjaśnili, że są członkami

Trzynastego

Departamentu Centrum Moskiewskiego, a wszyscy urzędnicy w

Moskwie

wiedzą, że tacy ludzie zaliczani są do ówczesnej elity. Odniosłem

wrażenie, że są inteligentni i wybijają się w swoim zawodzie

ponad przeciętny poziom, który, proszę mi wybaczyć, proszę pana,

zwykle nie jest zbyt wysoki. Odniosłem wrażenie, że s¹chyba

oficerami, nie zwykłymi lokajczykami. Mimo to nie denerwowałem

się przedwzecznie.

Przypuszczałem, że jest im potrzebna moja ekspertyza w jakiejś tajnej sprawie, i tyle. Byli uprzejmi, a nawet schlebiali mi nieco...

- Jak długo trwa jazda? - przerwał Smiley, notując bez przerwy.

- Jechaliśmy przez miasto - odparł niejasno Grigoriew. - Przez miasto, a potem dalej, dopóki nie zapadł zmrok. W końcu

przyjechaliśmy do takiego małego czowieczka, przypominającego

mnicha, który najprawdopodobniej był ich panem.

W tym miejscu Toby ponownie nalega, by dać świadectwo

wyj¹tkowemu wrêcz mistrzostwu Smileya, jakie wykaza³
prowadz¹c

sprawê Grigoriewa. Otó¿ podczas rozwlek³ego opowiadania
Rosjanina

George ani razu nie wypad³ ze swojej przybranej na czas
œledztwa

roli urzêdnika bez twarzy, nie zada³ ani jednego pochopnego
pytania uzupe³nij¹cego, nie zmieni³ ani razu tonu g³osu. By³ to,
jak twierdzi Toby, najpowa¿niejszy jak dot¹d dowód
wysokich

kwalifikacji zawodowych Smileya, który bez reszty
podporz¹dkowa³

sobie Grigoriewa. Usuwaj¹c siê w ciêñ, twierdzi Toby,
George

panowa³ subtelnie nad sytuacj¹, jak gdyby trzyma³ w d³oni
kruche

jajo drozda.

Nawet najl¹ejszy nieostro¿ny ruch z jego strony móg³
zniszczyæ wszystko, ale Smiley nie robi³ ¿adnych
nieostro¿nych

ruchów. Koronnym przyk³adem, jaki najchêtniej przytacza w
swych

wywodach Toby, jest zwykle w³acenie ów kulminacyjny moment, w

którym po raz pierwszy pojawia się postać samego Karli.

Każdy inny oledczy na samo wspomnienie ma³ego cz³owieczka,

przypominaj¹cego mnicha, który najprawdopodobniej by³ ich panem,

za¹da³by dok³adniejszego opisu - informacji na temat jego wieku,

stopnia wojskowego, wygl¹du. Każdy, tylko nie Smiley. Smiley

bowiem ze st³umionym okrzykiem irytacji stukn¹³ d³ugopisem w

notes i cierpiêtnicznym g³osem poprosi³ Grigoriewa, ¿eby zarówno

teraz, jak i w przysz³oœci, ³askawie nie próbowa³ pomijaæ istotnych szczegó³ów:

- Pozwoli pan, ¿e postawiê pytanie ponownie. Jak d³ugo trwa³a jazda?

Proszê opisaæ podró¿ tak dok³adnie, jak j¹ pan zapamiêta³, i zaczniemy jeszcze raz od tego miejsca.

Zbity z tropu Grigoriew nawet go przeprosi³.

- Powiedzia³bym, że jeŹdzili przez jakieœ cztery godziny z duŹ¹ szybkoœci¹, proszê pana; a moŹe i trochê d³uŹej.

Przypominam

sobie teraz, że stawali dwukrotnie za potrzeb¹. Po czterech godzinach wjechali na teren strzeŹony. Nie, proszê pana, nie widzia³em przy drodze Źadnych znaków, straŹnicy chodzili po

cywilnemu - a potem jechalicemy dalej jeszcze przez pó³ godziny.

Koszmar, proszê pana.

Zdecydowany utrzymaæ moŹliwie najniŹsz¹ temperaturê

przes³uchania Smiley znów zaoponowa³. Dlaczego koszmar, skoro

Grigoriew twierdzi³ przed chwil¹, że nie by³ wcale przestraszony?

No, moŹe nie ca³kiem koszmar, to by³o raczej jak sen.

Grigoriew mia³ wraŹenie, że zabieraj¹ go przed oblicze dziedzica

- użył rosyjskiego określenia, i Tobi musiał je tłumaczyć - a on

zaczynał czuć się coraz bardziej jak ubogi chłop. I dlatego nie bał się, bo nie miał przecież żadnej kontroli nad tym, co się dzieje, a zatem nie miał też powodów, żeby czynić sobie wyrzuty.

Ale kiedy samochód w końcu stanął, a jeden z mężczyzn położył mu dłoń na ramieniu i wystrzelił ostrzeżenie pod jego

adresem, to wtedy jego postawa uległa całkowitej zmianie: "Za

chwilę poznacie wielkiego radzieckiego bojownika i potężnego

człowieka - powiedzcie mu mężczyzna. Jeżeli nie okażecie mu

szacunku albo spróbujecie kłamać, możecie już nigdy nie zobaczyć

swojej żony i dzieci".

- Jak się nazywa ten człowiek? - zapytał Grigoriew.

Ale tamci odpowiedzieli mu bez uśmiechu, że ów wielki

radziecki bojownik nie ma nazwiska. Grigoriew spyta³, czy jest to sam Karla; wiedzia³ bowiem, że Karla to pseudonim szefa Trzynastego Departamentu.

MêłczyŃni powtórzyli mu tylko, że wielki bojownik nie ma nazwiska.

- I wówczas sen sta³ się koszmarem, proszę pana - powiedzia³

pokornie Grigoriew. - Oznajmili mi także, że nici z mojego mi³osnego weekendu. Ma³a Jewdokia będzie musia³a poszukaæ sobie

rozrywki gdzie indziej, powiedzieli. Potem któryœ z nich się rozcemia³.

Grigoriewa, jak mówi³; ogarn¹³ teraz wielki strach, a kiedy wszed³ do pierwszego pokoju i zbliż³ się do drugich drzwi, ba³ się już tak strasznie, że trzês³y się pod nim nogi. Mia³ nawet czas, żeby się baæ o swój¹ ukochan¹ Jewdokiê. Zastanawia³ się

zdumiony, kim może być ta nadprzyrodzona osoba, która
wiedzia³a

nieomal wcześniej od niego samego, że był umówiony z
Jewdoki¹ na

weekend?

- A więc zapuka³ pan do drzwi - powiedzia³ Smiley, piszc¹c.

- I kazano mi wejœæ - ci¹gn¹³ dalej Grigoriew.

Rós³ jego entuzjizm dla czynionych wyznañ i podobnie
wzrasta³o uzale¿nienie Rosjanina od przes³uchuj¹cego go
œledczego. Mówi³ g³oœniej i gestykulowa³ swobodniej.

Wygl¹da³o to

tak, powiada Toby, jak gdyby usi³owa³ niemal fizycznie
zmusiæ

Smileya do porzucenia powœci¹gliwej pozy; tymczasem
w

rzeczywistoœci to w³acenie udawana obojêtnoœæ Smileya
sk³oni³a

Grigoriewa do wyp³yniêcia na szerokie wody.

- I oto wcale nie znalaz³em siê w ogromnym i wspania³ym
biurze, jak przysta³o na wysokiego dygnitarza i wielkiego

radzieckiego bojownika, lecz w tak sk¹po umeblowanym pokoju, że

móg³by s³u³ż³yæ jako cela więzienna, z nagim drewnianym biurkiem na

cerodku i twardym krzes³em, przeznaczonym dla go³ści. - Niech sobie

pan wyobrazi, proszê pana, wielki radziecki bojownik i cz³owiek

potê³ny. I wszystko, co mia³, to nagie biurko, oświetlone jedynie

wyj¹tkowo s³abym oświet³em A za biurkiem siedzia³ jak³o ksi¹dz,

proszê pana, cz³owiek nie zmanierowany i bezpretensjonalny,

rzek³bym o wielkim do³świadczeniu, cz³owiek z ko³ści i krwi swojego

narodu, o ma³ych, uczciwych oczach i krótkich, siwych w³łosach.

Mia³ zwyczaj sk³adaæ d³onie, kiedy pali³.

- Co pali³? - spyta³ Smiley.

- Proszê?

- Co pali³? Pytanie jest chyba oczywiste. Fajkê, cygara,

papierosy?

- Papierosy, amerykańskie, ca³y pokój pe³en by³ ich aromatu.

Jakbym by³ znów w Poczdamie, kiedy prowadzilibyśmy rokowania z

amerykańskimi oficerami z Berlina. Skoro ci¹gle pali amerykany,

pomyśla³em sobie, to bez w¹tpienia musi być znac¹cym

cz³owikiem. - Podekscytowany Grigoriew zwróci³ się znów do

Tobye³go i powiedzia³ mu to samo po rosyjsku. - Paliæ amerykany,

jednego po drugim: wyobra³cie sobie tylko koszty i wp³ywy, jakie

trzeba posiadaæ, ¿eby zdobyæ tyle papierosów.

Smiley, zgodnie z u¹dan¹ pedanteri¹, poprosi³ wtedy Grigoriewa, ¿eby pokaza³, co ma na myœli mówi¹c, ¿e tamten mia³

zwyczaj sk³adaæ d³onie, kiedy pali³. A potem patrzy³ niewzruszony, jak Grigoriew wyjmuje z kieszeni br¹zowy, drewniany

o³ówek, trzymaj¹c go w obu d³oniach sk³ada je przy ustach i naceladuj¹c Karlê, ssie drewnienko jak ktoœ, kto dzier¹c kufel obur¹cz, próbuje siê z niego napiæ.

- W³acenie tak - wyjaceni³, i znów zmieniaj¹c nastrój, krzykn¹³ coœ ze œmiechem po rosyjsku do Tobyego, czego Toby nie

uwa¹a³ wówczas za rzecz godn¹ t³umaczenia, a co w przek³adzie

pisemnym okreœlono jedynie jako wyra¹enie sproœne.

Ksi¹dz nakaza³ Grigoriewowi usi¹œæ i przez dziesiêæ minut

przedstawia³ mu najbardziej intymne szczegó³y jego zwi¹zku

mi³osnego z Jewdoki¹, a tak¹e zrad pope³nionych z dwiema innymi

dziewczêdami, jego sekretarkami z Poczdamu i z Bonn, które

dzieli³y z nim ³ó¹ko bez wiedzy Grigoriewej.

Je¹eli wierzyæ Grigoriewowi, wykaza³ siê wówczas odwag¹,

podnosz¹c siê na nogi i pytaj¹c, czy przewieziono go przez pó³

Rosji po to, żeby postawić go przed sądem moralnym:

- Powiedziałem, że sypianie z sekretarkami nie jest zjawiskiem nie znanym nawet w Biurze Politycznym. Zapewniłem też,

że nie zadawałem się z zagranicznymi dziewczętami, tylko z

Rosjankami. O tym także wiem, powiada. Ale Grigoriewa zapewne nie

doceni tej różnicy.

Wtedy ku nieustającemu zdumieniu Tobyego, Grigoriew dał

upust kolejnej kaskadzie gardłowego śmiechu; i choć dyskretnie

przyłączyli się do niego zarówno Skordeno, jak i de Silsky, wesołość Grigoriewa trwała najdłużej, tak że musieli zaczekać, aż

wygasną jej objawy.

- Proszę nam łaskawie powiedzieć, po co człowiek, którego

nazywa pan księdzem, wezwał pana do siebie - powiedział Smiley z

g³êbin br¹zowego p³aszcza.

- Oœwiadczy³, ¿e ma dla mnie specjalne zadanie w Bernie
z

ramienia Trzynastego Departamentu. Twierdzi³, i¿ sprawa jest
tak

tajna, ¿e nie wolno mi informowaæ o niej kogokolwiek,
nawet

mojego ambasadora. Ale, powiada ksi¹dz, poinformuje pan
o

wszystkim swoj¹ ¿onê. Pañska sytuacja rodzinna uniemo¿liwia
panu

pe³nienie tajnej s³u¿by bez wiedzy pañskiej ¿ony. Wiem o
tym,

Grigoriew. Wiêc niech jej pan powie. I mia³ racjê -
skomentowa³

Grigoriew. - To bardzo m¹drze z jego strony. W ten sposób
dowiód³, ¿e zna siê na ludzkiej naturze.

Smiley przewróci³ kartkê i pisa³ dalej.

- Proszê, niech pan kontynuuje - powiedzia³.

Najpierw, powiedzia³ ksi¹dz, Grigoriew musi otworzyæ
konto w

szwajcarskim banku. Wręczy³ mu tysi¹c franków w banknotach

stufrankowych i kaza³ mu ich uży^æ jako pierwszej wp³aty. Nie

powinien otwiera^æ konta ani w Bernie, gdzie jest osob¹ znan¹, ani

w Zurychu, gdzie mie^æci si^ê radziecki bank handlowy.

- Wozhod - wyja^æni³ bez pytania Grigoriew. - Bank ten jest miejscem wielu oficjalnych i nieoficjalnych transakcji.

A zatem nie w Zurychu, lecz w ma³ym miasteczku Thun, kilka

kilometrów od Berna. Konto otworzy na nazwisko Glaser, jako

obywatel szwajcarski:

- Ale^ç ja jestem radzieckim dyplomat¹ - zaprotestowa³ Grigoriew. - Nie nazywam si^ê Glaser, tylko Grigoriew.

Nie zniech^êcony ksi¹dz wręczy³ mu szwajcarski paszport, wystawiony na niejakiego Adolfa Glasera. Na konto b^êd¹ co miesi¹c

nap³ywa³y pieni¹dze, kilka tysi^êcy franków, czasem nawet dziesi^êæ

albo piêtnaœcie. Za chwilê Grigoriew zostanie poinformowany,
jaki

bêdzie z nich musia³ zrobiæ u¿ytek.

Sprawa jest œciœcie tajna, powtórzy³ cierpliwie ksi¹dz, a za
tajnoœci¹ kry³a siê zarówno nagroda, jak i groŸba. Podobnie
jak

przed godzin¹ Smiley, ksi¹dz œmia³o przyst¹pi³ do
przedstawienia

mu kolejno korzyœci, jak i niebezpieczeñstw.

- Proszê pana, szkoda, ¿e pan nie widzia³, jak¹ on
zachowywa³ zimn¹ krew - powiedzia³ Grigoriew Smileyowi
z

niedowierzaniem. - Co za spokój, niezachwiany autorytet
bez

wzglêdu na sytuacjê. W szachy wygra³by ka¿dy mecz sam¹
si³¹

nerwów.

- Ale on nie gra³ w szachy - zaoponowa³ sucho Smiley.

- Nie, proszê pana, nie gra³ - zgodzi³ siê Grigoriew i
smutno kiwaj¹c g³ow¹, podj¹³ opowiadanie na nowo.

Nagroda i groŸba, powtórzy³.

Jeżeli chodzi o gróŃbê, to macierzyste ministerstwo Grigoriewa mia³o zostaæ poinformowane, ¿e jako kobieciarz jest on

cz³owiekiem niepewnym, a co za tym idzie, nale¿a³oby zabroniaæ mu

pe³nienia jakichkolwiek urzêdowych funkcji za granic¹.

Zniszczy³oby to karierê Grigoriewa, jak równie¿ jego ma³¿eñstwo.

Tyle w kwestii gróŃb.

- By³oby to dla mnie szczególnie okropne - uzupe³ni³ niepotrzebnie Grigoriew.

Dalej sz³a nagroda, a by³a ona znaczna. Jeżeli Grigoriew spisze siê dobrze i zachowa sprawê w absolutnej tajemnicy, kariera stanie przed nim otworem i przyknie siê oczy na jego

mi³ostki. W Bernie uzyska mo¿liwoœæ przeniesienia siê do

wygodniejszego mieszkania, co sprawi przyjemnoœæ Grigoriewej;

otrzyma tak¿e œrodki na zakup okaza³ego samochodu, który wielce

przypadnie i onie do gustu; uniezalei ni siê ponadto od kierowców

ambasady, z których wiêkszoœæ by³a s¹siadami, to prawda, ale nie

dopuszczonymi do owej wielkiej tajemnicy. Wreszcie, powiedzia³

ksi¹dz, przyspieszy siê jego awans na stanowisko radcy, co wyt³umaczy poprawê jego warunków iyciowych.

Grigoriew popatrzy³ na stos szwajcarskich franków, le¿¹cych pomiêdzy nimi na biurku, potem na szwajcarski paszport, potem na ksiêdza.

Zapyta³, co by siê sta³o, gdyby oznajmi³, iê woli nie braæ udzia³u w tym spisku. Ksi¹dz pokiwa³ g³ow¹. Zapewni³ Grigoriewa,

iê i on tak iê rozwa¿a³ tê trzeci¹ mo¿liwoœæ, ale niestety, pilny charakter sprawy wyklucza podobn¹ alternatywê.

- A zatem proszê mi powiedzieæ, co mam zrobiæ z pieniêdzmami -

powiedzia³ Grigoriew.

- To zwyk³a formalnoœæ - odpar³ ksi¹dz, zreszt¹ jest to

kolejny powód, dla którego wybrano Grigoriewa. - Mówiono mi, że

jest pan znakomity w sprawach formalnych, powiedział³.

Grigoriewowi pochlebi³a ta pochwa³a, choć s³owa księdza na wpo³

sparaliżowa³y go ze strachu.

- Dostawa³ na mój temat dobre raporty - wyjaśni³ z zadowoleniem.

Potem ksi¹dz powiedział³ Grigoriewowi o ob³1kanej dziewczynie.

Smiley nawet nie drgn¹³. Oczywiście mia³ niemal zamknięte, kiedy

pisa³, ale pisa³ bez przerwy - choć Bóg jeden wie, co pisa³, mówi³ Toby, bo Georgeowi nigdy nie wpad³oby do g³owy, żeby

powierzyć notesowi cokolwiek, co choć przypomina³oby tylko poufne

informacje. Od czasu do czasu, twierdzi Toby, g³owa Smileya

wychyla³a się zza ko³nierza jego p³aszczu na tyle, żeby mógł³

obserwowaæ d³onie i twarz opowiadaj¹cego Grigoriewa. Pod
ka¿dym

innym wzglêdem wydawa³ siê odciêty od wszystkiego i
wszystkich w

pokoju. W progu sta³a Millie McCraig, Skordeno i de Silsky
tkwili

na miejscach nieruchomo jak pos¹gi, a Toby modli³ siê tylko,
¿eby

Grigoriew opowiada³ dalej, za wszelk¹ cenê, wszystko jedno.

S³uchalibyśmy przecie¿ informacji o rzemieœle Karli prosto
z

pierwszej rêki.

Ksi¹dz zapewni³ Grigoriewa, ¿e nie zamierza niczego
ukrywaæ

- co, jak od razu domyœlili siê wszyscy w pokoju z
wyj¹tkiem

Grigoriewa, stanowi³o oczywiœcie wstêp do ukrycia czegoœ.

- Otó¿ - jak mówi³ ksi¹dz - w pewnej prywatnej klinice
psychiatrycznej w Szwajcarii przebywa m³oda Rosjanka,
cierpi¹ca

na zaawansowan¹ schizofreniê: W Zwi¹zku Radzieckim nie
rozumie

się tej choroby w wystarczającym stopniu - powiedzia³.
Grigoriew

wspomnia³, ¿e dziwnie poruszy³ go kategoriyczny ton w
g³osie

księdza. - Diagnozê i leczenie komplikuj¹ nazbyt czêsto
wzglêdy

natury politycznej - ci¹gn¹³ dalej ksi¹dz. - Podczas czterech lat
leczenia w naszych szpitalach lekarze oskar¿ali ma³¹ Aleksandrê
o

wiele rzeczy. O z³udne idee paranoidalno - reformistyczne... o
zawy¿on¹ samoocenê osobowoœci... O s³abe
przystosowanie

spo³eczne... o przecenianie swoich mo¿liwoœci... O
bur¿uazyjn¹

dekadencjê w zachowaniach seksualnych.

Lekarze radzieccy wielokrotnie nakazywali jej odrzuciæ te
niew³aœciwe pogl¹dy. Ale to nie jest medycyna, ze
smutkiem

powiedzia³ Grigoriewowi ksi¹dz.

To polityka. W szpitalach szwajcarskich obowi¹zuje
znacznie

nowocześniejsze podejście do podobnych przypadków. Stało się tedy

konieczne, by wysłać małą Aleksandrę do Szwajcarii.

Dla Grigoriewa stało się jasne, że ów wysoki dygnitarz zna każdy szczegół wszystkich problemów dziewczyny i jest nimi osobiście zainteresowany.

Grigoriew również zaczyna się nad nią litować.

- Jest córką radzieckiego bohatera - powiedział ksiądz - byłego oficera Armii Czerwonej, który w trudnych warunkach żyje wśród kontrrewolucyjnych zwolenników caratu w Paryżu w przebraniu rosyjskiego zdrajcy. Jego nazwisko - powiedział ksiądz, dopuszczając Grigoriewa do największej tajemnicy - brzmi pułkownik Ostrakow. Jest jednym z naszych najlepszych i najaktywniejszych tajnych agentów. W sprawach dotyczących kontrrewolucyjnych spiskowców w Paryżu polegamy na nim całkowicie.

Toby powiedzia³, ¿e nikt w pokoju nie okaza³
najmniejszego

zdziwienia, s³ysz¹c o tej nag³ej deifikacji zmar³ego radzieckiego
dezertera.

Jak oznajmi³ Grigoriew, ksi¹dz zwiêŹle przedstawi³ mu
teraz

historiê ¿ycia bohaterskiego agenta Ostrakowa, wtajemniczaj¹c
go

jednocześnie w szczegó³y s³u¿by wywiadowczej. Aby
unikn¹æ

inwigilacji imperialistycznych kontrwywiadów, nale¿a³o
znaleŹæ

agentowi legendê, czyli fa³szyw¹ biografiê, która by³aby do
przyjêcia dla elementów antyradzieckich. Ostrakow udawa³
zatem

dezertera z Armii Radzieckiej, który uciek³ do Berlina
Zachodniego, a stamt¹d do Pary¿a, pozostawiaj¹c w Moskwie
¿onê i

córkê. Ale by zabezpieczyæ pozycjê Ostrakowa wœród
emigrantów

paryskich by³o logiczn¹ koniecznoœci¹, ¿e jego ¿ona
powinna

ponieœæ karê za zdradzieckie dzia³ania ma³onka.

- Bo przecie¿ mimo wszystko - powiedzia³ ksi¹dz - gdyby imperialistyczni szpiedzy donieœli, ¿e Ostrakowa, ¿ona renegata i

dezertera, ¿yje sobie dostatnio w Moskwie i na przyk³ad otrzymuje

pensjê mê¿a albo mieszka nadal w ich wspólnym mieszkaniu, to

niech pan sobie tylko wyobrazi, jaki wp³yw mog³aby mieæ podobna

wiadomoœæ na wiarygodnoœæ Ostrakowa.

Grigoriew odpar³, ¿e mo¿e to sobie doskonale wyobraziæ. Ksi¹dz, wyjaceni³ jakby nawiasem Grigoriew, nie zachowywa³ siê

wobec niego wynioœle, lecz traktowa³ go raczej jak równego sobie,

niew¹tpliwie ze wzglêdu na jego wysokie kwalifikacje naukowe.

- Niew¹tpliwie - powiedzia³ Smiley i coœ sobie zanotowa³.

- A zatem - powiedzia³ nieco gwa³townie ksi¹dz, za pe³n¹ zgod¹ mê¿a Ostrakowa wraz z córk¹ zosta³a przeniesiona na dalek¹

provincjê, gdzie obie kobiety otrzyma³y dom i nowe nazwiska,
a

tak²e z wrodzon¹ pokor¹ przyjê³y nawet przygotowane dla
nich

legendy. Taki jest bolesny los tych, którzy poœwiêcaj¹ siê
zadaniom specjalnym. I pomyœlcie tylko, Grigoriew - ci¹gn¹³
dalej

ksi¹dz z przejêciem - pomyœlcie tylko, jak taka strata, taki
podstêp, powiedzmy nawet: ob³uda, mog³y odbiæ siê na
wraŹliwej i

byæ moŹe juŹ niezrównowaŹonej psychicznie córce
Ostrakowa: oto

zabrak³o jej ojca, którego imiê wymazano z Źycia dziewczyny.
I

matka, która przed przewiezieniem w bezpieczne miejsce
musia³a

przyj¹æ na siebie ca³e odium publicznej hañby. Przedstawcie
sobie

wy, którzy jesteœcie ojcem - nalega³ ksi¹dz -jakiemu stresowi
poddana zosta³a m³oda i delikatna natura dorastaj¹cej
dziewczyny.

Chyl¹c g³owê przed tak przekonuj¹c¹ retoryk¹, Grigoriew

szybko przyzna³, że jako ojciec z ³atwoœci¹ jest w stanie przedstawiæ sobie podobne stresy. Tobyemu, podobnie zreszt¹ jak

chyba wszystkim obecnym w pokoju, wyda³o siê wtedy, że Grigoriew

by³ rzeczywicie tym, za kogo siê podawa³: ludzkim i przyzwoitym

cz³owiekiem, schwytanym w sieæ wydarzeñ, rozgrywaj¹cych siê poza

jego rozumieniem i kontrol¹.

- Przez kilka ostatnich lat - kontynuowa³ ksi¹dz ciê¿kim od żalu g³osem - ma³a Aleksandra, czy te¿ Tatiana, jak siê sama nazywa³a, da³a siê poznaæ w okrêgu, w którym mieszka³a, jako

kobieta rozwi¹z³a i spo³eczny wyrzutek. Na skutek niekorzystnej

sytuacji życiowej pope³ni³a wiele rozmaitych przestêpstw, w tym

podpalenia i kradzie¿e. Zwi¹za³a siê z pseudo intelektualnymi kryminalistami i najgorszymi elementami antyspo³ecznymi, jakie

można sobie tylko wyobrazić. Bez żenady oddawa³a siê
mê¿czyznom,

czasem kilku jednego dnia. - Z pocz¹tku, kiedy j¹ aresztowano,
ksiêdzu i jego wspó³pracownikom uda³o siê powstrzymaæ
ramiê

prawa. Ale stopniowo ze wzglêdu na bezpieczeñstwo kraju
trzeba

by³o wycofaæ protekcjê i Aleksandra bywa³a
niejednokrotnie

przetrzymywana w pañstwowym klinikach
psychiatrycznych,

specjalizuj¹cych siê w leczeniu chorych od urodzenia
spo³ecznych

malkontentów - ze wszystkimi zreszt¹ negatywnymi skutkami,
które

ksi¹dz opisa³ ju¿ przedtem.

- Aleksandra kilkakrotnie przebywa³a tak¿e w pospolitym
wiêzieniu -powiedzia³ cicho ksi¹dz. Potem, jak twierdzi
Grigoriew, podsumowa³ swoj¹ opowieœæ w nastêpuj¹cy sposób:
- Mój

drogi, jako naukowiec, ojciec i œwiatowiec z ³atwoœci¹
zdacie

sobie sprawê, jak tragiczny wp³yw mia³y coraz gorsze wieœci
o

nieszczêœciach córki na skuteczn¹ dzia³alnoœæ naszego
bohaterskiego agenta Ostrakowa, przebywaj¹cego na
samotnym

wygnaniu w Pary¿u.

Grigoriew znalaz³ siê znów pod wra¿eniem wyj¹tkowego
wrêcz

poczucia troski o dziewczynê, a nawet bezpoœredniej,
osobistej

odpowiedzialnoœci, jak¹ przejawia³ ksi¹dz w swojej opowieœci.

Smiley ponownie przerwa³ mu ja³owym jak zwykle g³osem.

- A gdzie przebywa teraz jej matka, panie radco, wedle
pañskiego ksiêdza? - spyta³.

- Nie ¿yje - odpar³ Grigoriew. - Umar³a na prowincji. Tam,
dok¹d j¹ pos³ano. Pochowano j¹ oczywiêcie pod innym
nazwiskiem.

Zgodnie z tym, co mi opowiedzia³, pêk³o jej serce. To tak¿e
stanowi³o dodatkowy cios dla tego bohaterskiego agenta w
Pary¿u -

dorzuci³ Grigoriew. - I dla rosyjskich w³adz.

- Naturalnie - powiedzia³ Smiley, a jego powagê dzieli³y jeszcze cztery osoby, stoj¹ce nieruchomo w pokoju.

W koñcu ksi¹dz przeszed³ do bezpoœredniego powodu, dla

którego wezwano Grigoriewa. Ćmiera Ostrakowej w po³¹czeniu z

okropnym losem, jaki spotka³ Aleksandrê, wywo³a³a g³êboki kryzys

w Ÿyciu bohaterskiego agenta Moskwy za granic¹. Przez krótki

okres kusi³o go nawet, Ÿeby porzuciæ sw¹ najwyŸszej wagi pracê,

wróciæ do Rosji i zaopiekowaæ siê ob³¹kan¹ i pozbawion¹ matki

córk¹. Wybrano jednak inne rozwi¹zanie. PoniewaŸ Ostrakow nie

móg³ powróciæ do Rosji, naleŸa³o pos³aæ na Zachód jego córkê i

umieœciæ j¹ pod fachow¹ opiek¹ w jakiejœ prywatnej klinice, gdzie

ojciec móg³by siê z ni¹ widywaæ za kaŸdym razem, kiedy tylko

przysz³aby mu ochota j¹ odwiedziæ. Francja by³a zbyt niebezpieczna, ale po drugiej stronie granicy, w Szwajcarii, mo¿na by³o poddaæ dziewczynê leczeniu z dala od podejrzliwych

spojrzeñ kontrrewolucyjnych przyjació³ Ostrakowa. Jako obywatel

francuski, ojciec mia³ upomnieæ siê o Aleksandrê i wyrobiæ jej

niezbêdne dokumenty.

Zlokalizowano ju¿ odpowiedni¹ klinikê, po³o¿on¹ w pobli¿u

Berna. Grigoriew musi teraz zadbaæ o byt materialny dziewczyny od

chwili jej przybycia do Szwajcarii. Musi j¹ odwiedzaæ, p³aciæ klinice i co tydzieñ przesy³aæ do Moskwy raporty, dotycz¹ce stanu

jej zdrowia, aby mo¿na by³o natychmiast przekazaæ te informacje

ojcu. Po to w³aczenie za³o¿ono wspomniane ju¿ konto i za³atwiono

Grigoriewowi szwajcarsk¹ to¿samoœæ, jak to okreœla³ ksi¹dz.

- I zgodzi³ siê pan - powiedzia³ Smiley, kiedy Grigoriew urwa³ i wszyscy us³yszeli gorliwy chrobot d³ugopisu na papierze.

- Nie od razu. Zada³em mu najpierw dwa pytania - powiedzia³

Grigoriew w dziwnym przyp³ywie pró¿noœci. - Rozumiecie chyba, ¿e

nas, naukowców, nie tak ³atwo wyprowadziæ w pole. Po pierwsze,

spyta³em go oczywiœcie, dlaczego zadania tego nie móg³by siê

podj¹æ jeden z wielu przedstawicieli naszej s³u¿by bezpieczeñstwa

w Szwajcarii.

- Znakomite pytanie - powiedzia³ Smiley z tak rzadkim u niego uznaniem. - Jak brzmi³a odpowiedŹ?

- Te sprawa jest zbyt tajna. "Tajnoœæ - powiedzia³ ksi¹dz - to kwestia odpowiedniego podzia³u pracy". Nie chcia³, ¿eby nazwisko Ostrakowa kojarzy³o siê z ludŹmi zwi¹zanymi blisko z

Centrum Moskiewskim. "A tak jak rzeczy stoj¹ - mówi³ ksi¹dz
-

bêdzie wiedzia³, że za jakiegokolwiek przecieki odpowiedzialny
jest

wy³cznie sam Grigoriew". Wcale nie by³em mu wdziêczny za
takie

wyró²nienie - powiedzia³ Grigoriew, ucemiechaj¹c siê sztucznie
i

blado do Nicka de Silskyego.

- A pañskie drugie pytanie, panie radco?

- Dotyczy³o przebywaj¹cego w Pary²u ojca: pyta³em o
czêstotliwoœæ jego odwiedzin. Je²eli mia³by przyje²d²æ
czêsto,

to oczywiœcie moja rola zastêpczego ojca okaza³aby siê
zbêdna.

Klinice mo²na by³oby p³aciæ bezpocœrednio, a ojciec
móg³by

przyje²d²æ co miesi¹c z Pary²a i troszczyæ siê o byt swojej
córki osobiœcie. Ksi¹dz odpar³, że ojciec bêdzie w stanie
odwiedzaæ Aleksandrê bardzo rzadko, a ponadto nigdy nie
nale²y o

nim wspominaæ w rozmowach z dziewczyn¹. Potem niezbyt

konsekwentnie doda³, że temat córki jest również wielce bolesny

dla ojca, który najprawdopodobniej w ogóle nie będzie jej odwiedza³. Powiedzia³ mi, że powinienem czuć się zaszczycony,

wykonuj¹c tak donios³e zadanie w imieniu tajnego bohatera Zwi¹zku

Radzieckiego. Sta³ się surowy. Powiedzia³, że stosowanie amatorskiej logiki w rzemiośle zawodowców nie jest z mojej strony

postępowaniem w³acęciwym.

Przeprosi³em go. Powiedzia³em, że oczywiście czuję się zaszczycony. Ńe jestem dumny, mog¹c w miarę moich możliwości

dopomagaæ w zmaganiach z imperializmem.

- Ale mówi³ pan bez wewnêtrznego przekonania? -
podsun¹³

Smiley, podnosz¹c znowu g³owê i przerywaj¹c na chwilê pisanie.

- Tak w³acenie.

- Dlaczego?

Grigoriew z pocz¹tku chyba nie by³ pewien, dlaczego. Byæ mo¼e nigdy przedtem nie poproszono go, ¿eby ujawni³ swoje

prawdziwe uczucia.

- Mo¼e nie wierzy³ pan ksiêdzu? - podsun¹³ Smiley.

- Jego opowieœæ zawiera³a wiele niekonsekwencji - powtórzy³

Grigoriew, marszcz¹c brwi. - Niew¹tpliwie w tajnej s³u¿bie by³o

to nieuniknione.

A jednak wiele z tego, co mówi³, wyda³o mi siê nieprawdopodobne albo nieprawdziwe.

- Czy mo¼e pan wyjaœniaæ, dlaczego?

W oczyszczaj¹cym nurcie wyznania Grigoriew raz jeszcze

zapomnia³ o gro¼¹cym mu niebezpieczeñstwie i ucæmiechn¹³ siê z

wy¿szoœci¹.

- By³ poruszony - powiedzia³. - Zadawa³em sobie wiele pyta^ñ.

Ju^ż potem, b^êd¹c z Jewdoki¹, nast^êpnego dnia, le^ż¹c u jej boku i omawiaj¹c z ni¹ t^ê spraw^ê, zada³em sobie pytanie: co ³1czy ksi^êdza i tego Ostrakowa?

Czy^żby byli bra^emi? Starymi towarzyszami? Ten wielki

bojownik, do kt^órego mnie zabrali, tak pot^êżny, tak zakonspirowany - organizuje spiski na ca³ym œwiecie, szanta^żuje

ludzi, podejmuje specjalne akcje. Jest bezwzgl^êdny w cz³owiekiem w

bezwzgl^êdny zawodzie. A jednak kiedy ja, Grigoriew, siedz^ê razem

z nim, rozmawiaj¹c o ob³1kanej c^órce jakiego^o faceta, to ogarnia

mnie uczucie, jak gdybym czyta³ jego najintymniejsze listy mi³osne.

Powiedzia³em mu: "Towarzyszu. M^ówicie mi za du^żo. Nie m^ówcie

tego, o czym nie muszę wiedzieć. Powiedzcie mi tylko, co mam

robić". Ale on powiada: "Grigoriew, musicie zostać przyjacielem

tego dziecka. Wtedy będziecie i moim przyjacielem. Skomplikowane

życie ojca miało na niego fatalny wpływ.

Nie wie, kim jest, ani gdzie jest jej miejsce. Mówi o wolności, nie odwołuje się do jej znaczenia. Padła ofiarą zgubnych, burżuazyjnych rojeń. Używa plugawego języka, który nie

przystoi młodej dziewczynie. Jest szalonym geniuszem kłamstwa.

Ale to wszystko nie jest jej winą". Spytałem go wtedy: "Czy zna

pana tego dziewczynę? A on mi na to tylko: Grigoriew, musicie być

dla niej ojcem. Jej matka pod wieloma względami także nie była

prostą kobietą. Cechuje was współczucie dla takich ludzi. A ona, zgorzkniała na starość, nawet wspierała swoją córkę w jej

niektórych antyspo³ecznych rojeniach".

Grigoriew umilk³ na chwilê i Toby Esterhase, któremu nadal

krêci³o siê w g³owie na myœl, ¿e Grigoriew omawia³ propozycjê

Karli ze swoj¹ kochank¹ zaledwie kilka godzin póŹniej, by³ mu

wdziêczny za zw³okê.

- Czu³em, ¿e jest ode mnie zale¿ny - podj¹³ Grigoriew. -
Czu³em, ¿e ukrywa nie tylko fakty, ale i uczucia. Pozosta³y
jeszcze szczegó³y techniczne - powiedzia³ Grigoriew. Wyjaœni³
mu
je ksi¹dz.

Nadzorczyni¹ kliniki by³a Bia³a Rosjanka, zakonnica,
poprzednio nale¿¹ca do spo³ecznoœci prawos³awnej w
Jerozolimie,
ale kobieta dobrego serca.

"W takich sprawach nie powinniœmy byæ zbyt
rygorystyczni

politycznie - mówi³ ksi¹dz. Ta zakonnica pozna³a
Aleksandrê

jeszcze w Paryżu i towarzyszy³a jej w drodze do Szwajcarii.

Na

us³ugach kliniki pracowa³ tak¿e lekarz, w³adaj¹cy jêzykiem rosyjskim. Ze wzglêdu na germañskie pochodzenie matki dziewczyna

zna³a równie¿ niemiecki, ale niejednokrotnie odmawia³a prowadzenia rozmowy w tym jêzyku. Wszystkie te czynniki

zadecydowa³y o wyborze wspomnianego sanatorium, które posiada³o

ponadto tê zaletê, ¿e po³o¿one by³o na uboczu. Pieni¹dze, które wp³yn¹ na konto w banku w Thun, wystarcz¹ na op³acenie kosztów

pobytu dziewczyny w klinice i opieki lekarskiej (do tysi¹ca franków miesiêcznie), a tak¿e stanowiæ bêd¹ ukryte Ÿród³o utrzymania Grigoriewa, prowadz¹cego ¿ycie o wy¿szym standardzie.

Je¿eli Grigoriew uzna to za konieczne, mo¿na bêdzie jeszcze podnieœæ fundusze; nie powinien przechowywaæ ¿adnych rachunków

ani kwitów; ksiądz szybko się zorientuje, jeżeli Grigoriew
dopuści

się oszustwa. Powinien odwiedzać klinikę co tydzień, żeby
opracować

rachunki i zasięgnąć informacji o stanie zdrowia
dziewczyny;

radziecki ambasador w Bernie zostanie poinformowany,
że

powierzono Grigoriewowi tajną misję i że należy pozostawić
im

swobodę ruchów".

Potem ksiądz przeszedł do sprawy utrzymania ścisłości z
Moskwą.

- Znać kuriera Krasskiego? - zapytał. Odpowiadam, że
naturalnie znam tego kuriera; raz, a czasem dwa razy w
tygodniu

Krasski przyjeżdża do ambasady w towarzystwie obstawy. Jak
być

dla niego miłym, to może przywieźć bochenek razowego
chleba

prosto z Moskwy.

Ksi¹dz oznajmi³, że w przysz³ości Krasski podczas swoich rutynowych wizyt w Bernie będzie regularnie kontaktowa³ się z

Grigoriewem prywatnie w ka³dy czwartek, u Grigoriewa w domu albo

w jego s³u³bowym pokoju w ambasadzie, najlepiej jednak w domu.

adne konspiracyjne rozmowy nie b^êd¹ mia³y miejsca, natomiast

Krasski przeka³e Grigoriewowi kopert^ê, zawieraj¹c¹ pozornie

osobisty list od zamieszka³ej w Moskwie ciotki Grigoriewa.

Grigoriew umieści list w bezpiecznym miejscu i potem w

odpowiedniej temperaturze podda go działaniu trzech roztworów

chemicznych, szeroko dost^êpnych obecnie na wolnym rynku - tu

ksi¹dz wymieni³ nazwy chemikaliów, które Grigoriew teraz

powtórzy³. W uzyskanym w ten sposób tekście, mówi³ ksi¹dz,

Grigoriew znajdzie listê pytañ, które powinien zadaæ
Aleksandrze

podczas swojej nastêpnej wizyty w klinice. W trakcie spotkania
z

Krasskim Grigoriew winien dostarczyæ mu list,
przeznaczony

rzekomo dla ciotki, w którym niby to przedstawi
szczegó³owo

aktualny stan psychiczny i fizyczny swojej ¿ony, ale w
rzeczywistoœci bêd¹ to informacje o ma³ej Aleksandrze, do
wy³¹cznej wiadomoœci ksiêdza. Nazywa³o siê to szyfrem
s³ownym.

Gdyby zasz³a taka potrzeba, to ksiêdz dostarczy
Grigoriewowi

materia³y niezbêdne do zastosowania bardziej utajnionych
form

³¹cznoœci, ale tymczasem wystarczy pisany szyfrem s³ownym
list do

ciotki Grigoriewa.

Ksiêdz wrêczy³ Grigoriewowi zaœwiadczenie lekarskie,
podpisane przez pewnego wybitnego moskiewskiego lekarza.

- Podczas pobytu w Moskwie przeszliście lekki atak serca na skutek stresu i przepracowania - powiedzia³ ksi¹dz. - Zalecono wam uprawianie turystyki rowerowej w celu poprawienia waszej kondycji fizycznej. W ćwiczeniach będzie wam towarzyszyć ona.

Przyjeżdżaj¹c do kliniki rowerem lub przychodz¹c piechot¹, Grigoriew będzie mógł³ ukryć dyplomatyczne tablice rejestracyjne samochodu, wyjaśni³ ksi¹dz.

Potem upoważni³ Grigoriewa do zakupu dwóch używanych rowerów.

Pozostała jeszcze do rozstrzygnięcia kwestia odpowiedniego dnia, w którym Grigoriew miał³by odwiedzać klinikę. Zwykłym dniem odwiedzin był³a sobota, ale sobota mog³aby okazać się zbyt niebezpieczna; kilku pacjentów pochodzi³o z Berna i zawsze

istniało ryzyko, że Glaser może zostać rozpoznany.

Powiadomiono

zatem kierowniczkę placówki, że soboty nie wchodzi w grę,
i

zakonnica w drodze wyjątku zgodziła się na stałe wizyty w
piłkowe popołudnia. Ambasador nie będzie miał nic
przeciwko

temu, ale jak Grigoriew pogodzi urzędowanie w ambasadzie
z

nieobecności w pracy w piłki?

- Żaden problem - odparł Grigoriew. - Zawsze można by
zamieniać wolne soboty na piłki, więc zgłosi się po prostu do
pracy w soboty; wtedy piłki będzie miał wolne.

Skończywszy swoje wyznania, Grigoriew obdarował
słuchaczy

byстрыm i przesadnie jasnym ucieniem.

- Tak się składa, że w soboty w sekcji wizowej pracuje
również pewna młoda dama - powiedziała, puszczając oko do
Tobyego.

- Dzięki temu mogliśmy razem spędzać trochę czasu w
samotności.

Tym razem ogólny ucieniech nie zabrzmia³ już tak serdecznie.

Kończy³ się czas, podobnie jak opowieść Grigoriewa.

Znależyli się z powrotem w punkcie wyjścia i nagle pozosta³

im tylko Grigoriew, o którego musieli się k³opotać, którym musieli kierować, któremu należa³o zapewnić bezpieczeństwo.

Rosjanin siedzia³ z wymuszonym ucieniem na kanapie i opuszcza³a

go powoli arogancja. Splót³ pokornie d³onie i przygl¹da³ się kolejno obecnym w pokoju ludziom, jak gdyby spodziewaj¹c się

rozkazów.

- Moja żona nie potrafi jeździć na rowerze - zauważy³ ze smutnym ucieniem. By³ chyba szalenie przejęty brakiem jej

umiejętności kolarskich. - Ksi¹dz napisa³ mi z Moskwy: Zabierzcie

żonę ze sob¹. Może Aleksandra potrzebuje także matki. - W

oszo³omieniu potrz¹sn¹³ g³ow¹. - Nie potrafi je^Ÿdziaæ na rowerze
-

powiedzia³ Smileyowi. - Taka ogromna konspiracja, to jak ja
mam

powiedzieæ Moskwie, ¿e Grigoriewa nie umie je^Ÿdziaæ na
rowerze? -

Byæ mo¿e najwy¿szym sprawdzianem kwalifikacji Smileya
jako

prowadz¹cego sprawê funkcjonariusza by³ sposób, w jaki
niemal

mimoходом przeistoczy³ Grigoriewa - informatora w
Grigoriewa -

kolaboranta.

- Panie radco, jakiegokolwiek by³yby pañskie d³ugofalowe
plany, pozostanie pan w ambasadzie jeszcze przez co najmniej
dwa

tygodnie - oznajmi³ Smiley, zamykaj¹c starannie notatnik. -
Jeœli

przyjmie pan moj¹ propozycjê, spotka pana ciep³e przyjêcie, o
ile

zdecyduje siê pan rozpocz¹æ nowe ¿ycie gdzieœ na
Zachodzie. -

Smiley wsun¹³ notes do kieszeni. - Ale w nastêpny pi¹tek nie odwiedzi pan ma³ej Aleksandry. Powie pan żonie, że tego w³acenie

dotyczy³o pañskie dzisiejsze spotkanie z Krasskim. Kiedy kurier

Krasski przywiezie panu list w kolejny czwartek, odbierze go pan

jak zwykle, ale bêdzie pan potem utrzymywa³, że nie należ y wiêcej

odwiedzaæ Aleksandry.

Niech pan bêdzie tajemniczy wobec swej żony. Oœlepi j¹ pan tajemnic¹.

Grigoriew przyj¹³ instrukcje do wiadomoœci i niespokojnie skin¹³ g³ow¹.

- Jednakże muszê pana ostrzec, że jeżeli pope³ni pan najmniejszy b³d, lub, z drugiej strony, bêdzie pan próbowa³ jakichœ sztuczek, ksi¹dz dowie siê o tym i zniszczy pana. Zniweczy pan również swoje szanse na przyjazne przyjêcie na

Zachodzie. Czy jest to dla pana jasne?

Podano Grigoriewowi numery telefonów, pod które

dzwoniæ, pozosta³y tak¿e do wyjaœnienia regu³y
obowi¹zuj¹ce

podczas telefonowania z jednej budki do drugiej, i wbrew
prawom

szpiegowskiego rzemios³a Smiley pozwoli³ Grigoriewowi
wszystko

zapisæ, wiedzia³ bowiem, ¿e w przeciwnym wypadku
niczego nie

zapamiêta. Po tym wszystkim Grigoriew wyszed³ w
nastroju

zamyœlonego przygnêbienia. Toby osobiœcie odwióz³ go w
bezpieczne

miejsce, a póŹniej wróci³ do mieszkania i zarz¹dzi³ krótkie,
po¿egnalne posiedzenie.

Smiley siedzia³ na tym samym krzeœle ze z³o¿onymi na
kolanach rêkami.

Reszta na polecenie Millie McCraig skrzêtnie usuwa³a
œlady

swojej obecnoœci, poleruj¹c, odkurzaj¹c, opró¿niaj¹c
popielniczki

i kosze na oemeci. Wszyscy oprócz mnie i Smileya
wyjeżdżaj¹

dzisiaj, powiedzia³ Toby, także ludzie z zespo³ów tropicieli. I
to nie dziec wieczór, nie jutro.

Natychmiast. Powiedzia³, że siedz¹ na wielkiej bombie
zegarowej: w tej w³acenie chwili Grigoriew pod wp³ywem
impulsu

nieustaj¹cego wyznania opowiada byæ moze ca³¹ tê historiê
swojej

żonie. Skoro Jewdokii opowiedzia³ o Karli, to kto moze im
zagwarantowaæ, że o dzisiejszym spotkaniu z Georgeem nie
opowie

Grigoriewej albo i choæby ma³ej Nataszy? Nikt nie powinien
czuaæ

siê zbyteczny ani lekceważyony, powiedzia³ Toby.
Wykonali

wspania³¹ robotê i wkrótce znów siê spotkaj¹, żeby j¹
ukoronowaæ.

Œciskano sobie d³onie, spad³a nawet jedna czy dwie ³zy, ale
perspektywa rozegrania ostatniego aktu radowa³a serca ich
wszystkich.

A co czu³ Smiley, siedz¹cy tak spokojnie, tak nieruchomo,
podczas gdy spotkanie wokó³ niego dobiega³o końca?
Mog³oby siê
wydawaæ, że jest to dla niego chwila wielkiego sukcesu.
Osi¹gn¹³
wszystko, co zamierzy³, a nawet wiêcej, choæ musia³ w tym
celu
uciec siê do metod Karli. Zrobi³ to sam; a dzisiaj, jak wykaż¹
dokumenty, w ci¹gu dwóch godzin z³ama³ i sk³oni³ do
wspó³pracy
agenta wybranego osobiœcie przez Karlê. Ci, którzy wezwali
go z
powrotem do s³uż¹by, nie tylko mu nie pomogli, a nawet
krêpowali
jego ruchy, lecz mimo to walcz¹c uporczywie, Smiley znalaz³
siê w
miejscu, z którego móg³ zupe³nie szczerze powiedzieæ, że uda³o
mu
siê zerwaæ ostatni¹ waż¹n¹ k³ódkê. By³ już w podesz³ym wieku,
ale
jego kunszt zawodowy nigdy dot¹d nie osi¹gn¹³ równie
wysokiego

poziomu; po raz pierwszy w karierze uzyska³ przewagê nad swoim

starym przeciwnikiem.

Z drugiej znów strony, ów przeciwnik przybra³ tymczasem

ludzki¹ twarz o niepokoj¹cej wyrazistoœci. To nie robota, nieokrzesanego bydlaka czy niekompetentnego fanatyka œciga³ z

takim mistrzostwem Smiley. Œciga³ cz³owieka; cz³owieka, o upadku

którego, jeœli Smiley zdecyduje siê do niego przyczynia, zadecyduje jedynie z³owieszcza, niepohamowana mi³oœæ, a zatem

s³aboœæ, z któr¹ Smiley sam mia³ okazjê zapoznaæ siê bliiej w

swym popl¹tanym Ÿyciu.

* * *

Mitologia powiada, Ÿe na kaŸd¹ tajn¹ operacjê sk³ada siê

więcej dni oczekiwania niż dni pisanych człowiekowi w Raju.

Georgeowi Smileyowi i Tobyemu Esterhaseowi istotnie wydawało się,

choć każdemu inaczej, że liczba dni dzielących piątek od niedzielnego wieczora jest nieskończona, lecz okres ten z pewnością nie kojarzy im się z życiem pozagrobowym. Byli nie

tylko według Regu Moskiewskich, mówi Toby, lecz według wojennych

regu Smileya. Jeszcze tego samego wieczoru w niedzielę zmienili

lokalesami i hotele; Smiley przeniósł się do małego hotelu garni

starym mieście zwanym Arca, Toby zamieszkał natomiast w jakimś

ohydny motelu poza miastem. Od tej pory obaj porozumiewali się,

dzwoniąc do siebie z budek telefonicznych według ustalonej wcześniej kolejności, a jeżeli musieli się spotkać, wybierali rozmaite tłumnie uczęszczane miejsca na wolnym powietrzu i

spacerowali trochę przed pożegnaniem. Tomy powiedzia³,
że

postanowi³ zatrzeæ za sob¹ celady i stara³ siê jak najrzadziej
korzystaæ z samochodów. Jego zadaniem by³a obserwacja
Grigoriewa.

Tomy przez ca³y tydzieñ uporczywie trzyma³ siê swojego
przekonania, że skoro Grigoriew tak niedawno posmakowa³
rozkoszy

jednego wyznania, to z pewnoœci¹ rych³o zafunduje sobie
drugie.

Chc¹c temu zapobiec, Tomy trzyma³ Grigoriewa tak krótko,
jak

tylko móg³, ale dotrzymanie mu kroku okaza³o siê w ogóle
koszmarem. Grigoriew ka¿dego ranka wychodzi³ na przyk³ad z
domu

za piêtnaœcie ósma i szed³ piêæ minut piechot¹ do
ambasady.

Doskonale: dok³adnie za dziesiêæ ósma Tomy przeje¿dza³
ulic¹.

Je¿eli Grigoriew niós³ teczkê w prawej rêce, Tomy wiedzia³, że
nie dzieje siê nic z³ego.

Lewa d³oñ oznacza³a jednak alarm, a co za tym idzie pilne spotkanie w ogrodach pa³acu Elfenau albo gdzieœ w mieœcie, jeceli

z jakiegoœ powodu rozmowa w Elfenau nie dosz³aby do skutku. W

poniedzia³ek i we wtorek Grigoriew szed³ do ambasady, nios¹c

teczkê w prawej rêce. W œrodê jednak pada³ œnieg, Grigoriew

chcia³ przeczyœciaæ sobie okulary, przystan¹³ wiêc, ¿eby poszukaæ

chusteczki i Toby zobaczy³ aktówkê w jego lewej d³oni, lecz kiedy

b³yskawicznie przejecha³ jeszcze raz ulic¹, ¿eby siê upewniaæ, Grigoriew uœmiecha³ siê szeroko jak szaleniec i macha³ ku niemu

trzyman¹ ju¿ w prawej rêce teczk¹. Toby, jak sam powiedzia³, prze¿y³ totalny atak serca.

Nastêpnego dnia, owego krytycznego czwartku, Tobyemu uda³o

siê zaaran¿owaæ samochodowe spotkanie z Grigoriewem we wsi

Allmendingen, tuż za miastem, chcia³ bowiem porozmawiać z

Rosjaninem w cztery oczy.

Godzinę wcześniej przyjecha³ kurier Krasski, przywozi¹c cotygodniowe rozkazy od Karli: Toby widzia³ Krasskiego wchodz¹cego do rezydencji Grigoriewów.

"Więc jak brzmi¹ instrukcje z Moskwy?" - zapyta³ Toby.

Grigoriew by³ trochę podpity i w k³ótliwym usposobieniu.

Za¹da³

dziesięciu tysięcy dolarów za list, co tak rozwścieczy³o

Tobyego,

że grozi³ Grigoriewowi natychmiastowym zdemaskowaniem;

grozi³, że

dokona obywatelskiego aresztowania, zabierze go prosto na

posterunek policji i osobiście oskarży o podawanie się za

obywatela szwajcarskiego, nadużywanie statusu

dyplomaty,

obchodzenie szwajcarskich praw podatkowych i oko³o

piętnaście

innych wykroczeń, w tym lubieżność i szpiegostwo. Bluff

odniós³

skutek, Grigoriew wyci¹gn¹³ poddany już wczesniej
obróbce

chemicznej list, na którym pomiędzy wypisanymi
odrêcznie

wierszami widnia³o tajne pismo. Toby wykona³ kilka fotografii,
po

czym zwróci³ list Grigoriewowi.

Nades³ane z Moskwy pytania Karli, które Toby pokaza³
Smileyowi w pewnej wiejskiej gospodzie póŹnym wieczorem
podczas

jednego z ich rzadkich spotkañ, posiada³y b³agalny
wydŹwiêk:...

opiszcie pe³niej wygl¹d Aleksandry i stan jej ducha... Czy
odzyskuje œwiadomoœæ? Czy siê œmieje, i czy jej œmiech
sprawia

wraŹenie radosnego czy smutnego? Czy zachowuje higienê,
czy

czyœci paznokcie, szczotkuje w³osy? Jak brzmi ostatnia
diagnoza

lekarza; czy nie zaleca jakiejœ nowej kuracji?

Ale podczas spotkania w Allmendingen okaza³o siê, Źe
g³ównym

problemem Grigoriewa nie był ani Krasski, ani list, ani także jego autor. Oto moja przyjaciółka z sekcji wizowej zaczęła otwarcie, żeby wytłumaczyć jej, dokąd wyjeżdżam w piątki,

powiedziała Grigoriew. Dlatego jest taki przygnębiony i pijany.

Grigoriew udzielił jej niejasnej odpowiedzi, ale zaczął podejrzewać, że jest szpiegiem Moskwy, podsunęty mu przez

księdza, albo co gorsza, przez jakiegoś inny przerażający organ radzieckiej Służby Bezpieczeństwa. Tak się złożyło, że Toby był

tego samego zdania, uważał jednak, że mówił o tym Grigoriewowi,

niczego nie zmieni.

- Powiedziałem jej, że nie będę się z nią kochał, dopóki nie nabędzie do niej całkowitego zaufania - wyjaśnił szczerze Grigoriew. - I nie zdecydowałem jeszcze, czy będzie mogła mi

towarzyszyć, kiedy rozpocznę nowe życie w Australii.

- To dom wariatów, George - powiedział Smileyowi Toby za

pomoc¹ piorunuj¹cej mieszanki metafor, podczas gdy Smiley nadal

studiowa³ troskliwe pytania Karli, choæ napisane by³y po rosyjsku. - Pos³uchaj, jak d³ugo jeszcze mo¿emy utrzymaæ tamê?

Ten facet to kompletny œwirus.

- Kiedy Krasski wraca do Moskwy? - zapyta³ Smiley.

- W sobotê po po³udniu.

- Grigoriew musi umówiaæ siê z nim na spotkanie przed wyjazdem. Powie Krasskiemu, ¿e ma dla niego specjaln¹ wiadomoœæ.

Piln¹.

- Jasne - rzek³ Toby. - Jasne, George. - I tyle.

Co on zamyœla? - zastanawia³ siê Toby patrz¹c, jak George znów znika w t³umie. Zdawa³o siê, ¿e instrukcje Karli dla Grigoriewa zupe³nie nie wiadomo dlaczego zmartwi³y Smileya.

Znalaz³em siê nagle pomiêdzy totalnym szajbusem z jednej strony i

kompletnym melancholikiem z drugiej - tak oto wspomina Toby

ostatnie chwile przed startem.

Kiedy Toby mógł się przynajmniej zadręczać wybrykami swojego

szefa i swojego agenta, Smileyowi czas wypełniały znacznie mniej

poważne problemy i być może to właśnie wpłynęło na niego tak

niekorzystnie. We wtorek pojechał pociągami do Zurychu i zjadł

spokojny lunch w towarzystwie Petera Guillama, który przyleciał

po drodze do Londynu z polecenia Saula Enderbyego.

Rozmowa była

niezwykle powściągliwa, i to nie tylko ze względów

bezpieczeństwa. Guillam podjął się porozmawiać w Londynie z Anną

i chciał wiedzieć, czy ma jej przekazać jakichś wiadomości.

Smiley

odpowiedział łagodnie, że nie będzie żadnej wiadomości i o tym

nie zwymyślał Guillama, co nigdy dotąd mu się nie zdarzało.

Zaproponowa³, żeby następnym razem Guillam by³ tak dobry i nie

wsadza³ swojego cholernego nosa w sprawy Smiley'a. Guillam szybko

zmieni³ temat i zacz¹³ rozmawiaæ o interesach. Jeæli chodzi o Grigoriewa, to Saul Enderby wpad³ na pomys³, żeby sprzedaæ go na

pieniu Kuzynom, zamiast obrabiaæ Rosjanina w Sarratt. Co na to

George? Saulowi wydaje siê, że wysoki rang¹ radziecki azylant

przyda tak wielce potrzebnego blasku wizerunkowi Waszyngtonu,

nawet jeæli Grigoriew nie bêdzie mia³ nic do powiedzenia, natomiast radca w Londynie móg³by, by tak powiedzieæ, zepsuaæ

markowe wino, na które czekamy; no i co na to w³acéciwie George?

- S³uszenie - powiedzia³ Smiley.

- Saul jest teæ bardzo ciekawy, czy twoje plany na pi¹tek s¹

absolutnie konieczne - powiedzia³ Guillam z widocznym wahaniem.

Smiley wzięła ze stołu nóż i przygląda się ostrzu.

- Ona warta jest dla niego karierę - powiedziała w końcu z wyjątkowo paraliżującym napięciem. - Kradnie dla niej, kłamie dla

niej, nadstawia dla niej karku. Musi wiedzieć, czy czyści sobie

paznokcie i czy szczotkuje włosy. Nie uważasz, że uczciwość

nakazuje zobaczyć jej wizytę?

Uczciwość wobec kogo? - myślała nerwowo Guillam, lecąc

zameldować się w Londynie. Czy Smileyowi chodzi o uczciwość w

stosunku do siebie?

Czy może do Karli? Ale Guillam był zbyt ostrożny, żeby ujawniać te teorie Saulowi Enderbyemu.

Z daleka można było ten budynek wziąć za zamek albo jedną z

wielu małych farm, przyklejonych do szczytów wzgórz na pięknej

winnic wsi szwajcarskiej - wieżyczki i fosy z zadaszonymi

mostkami prowadz¹ tam zwykle na wewnêtrzne dziedziñce. Z bli¿szej

odleg³oœci sanatorium przybiera³o nieco bardziej uytlitarny wygl¹d: by³ tam piec do spalania œmieci, sad i nowoczesne zabudowania z rzêdami osadzonych doœæ wysoko ma³ych okien.

Zak³ad wskazywa³ stoj¹cy na skraju wioski drogowskaz, wychwalaj¹c jego odosobnione po³o¿enie, wygodê i troskliwoœæ personelu. Miejscow¹ spo³ecznoœæ przedstawiono jako miêdzywyznaniow¹ grupê chrzeœcijañskich teozofów, a specjalnoœæ zak³adu stanowili pacjenci zagraniczni. Ciê¿ki, stary œnieg zalega³ na dachach i polach, ale droga, któr¹ jecha³ Smiley, by³a czysta. Dzieñ by³ ca³y bia³y; niebo i œnieg utworzy³y jedn¹, nie zbadan¹ pustkê.

Srogi dozorca zatelefonowa³ ze stró¿ówki, ¿eby zaanonsowaæ jego przybycie, i uzyskawszy od kogoœ zezwolenie, machniêciem rêki nakaza³ mu przejechaæ.

Dalej by³y dwie zatoczki, jedna oznaczona napisem
LEKARZE,

druga napisem GOŁECIE, i Smiley zaparkowa³ w tej drugiej.
Nacisn¹³

dzwonek; drzwi otworzy³a mu posêpnie wygl¹daj¹ca kobieta w
szarym

habicie, która zaczerwieni³a siê jeszcze, zanim zd¹ł³y³
cokolwiek

powiedziaæ. S³ysza³ naraz krematoryjn¹ muzykê, brzêk
kuchennych

naczyñ i ludzkie g³osy. Dom o nagiej posadzce pozbawiony
by³

tak³e zas³on.

- Matka Felicity oczekuje pana - powiedzia³a niecœmia³ym
szepem siostra Beatitude.

Krzyk wype³ni³by ca³y ten dom, pomyœla³ Smiley.
Spostrzeg³

kwiaty doniczkowe, umieszczone poza zasiêgiem r¹k.
Jego

przewodniczka energicznie zastuka³a do drzwi z napisem
BIURO,

potem otworzy³a je pchniêciem.

Matka Felicity była potężną kobietą o gniewnym wyglądzie i niepokojącym przywiązaniu do spraw ziemskich w oczach.
Smiley

usiadł naprzeciwko niej.

Na rozłożystych piersiach zakonnicy spoczywał ozdobny krzyż,

który jej ciężkie ręce kilkakrotnie tuliły podczas rozmowy.

Niemczyzna Matki Felicity była powolna i dostojna.

- A więc - powiedziała. - A więc to pan jest Herr Lachmann, a Herr Lachmann jest znajomym Herr Glasera, Herr Glaser zaś jest

w tym tygodniu niedysponowany. - Bawiła się nazwiskami, jak gdyby

wiedziała równie dobrze jak on, że to kłamstwa. - Nie był na

niedysponowany, żeby nie móc zatelefonować, ale czuł się źle

na

tyle, że nie mógłby jechać na rowerze. Czy tak?

Smiley powiedziała, że tak.

- Proszę nie zniżać głosu tylko dlatego, że jestem

zakonnicy¹. Prowadzimy tu ha³aceliwy dom i nikt z tego powodu nie

sta³ się mniej pobożny.

Jest pan blady. Czy ma pan grypę?

- Nie. Nie, jestem zdrow.

- Więc czuje się pan lepiej niż Herr Glaser, który zapad³ na grypę.

W ubieg³ym roku mieliśmy tu grypę egipską¹, rok wcześniej

azjatycką¹, ale teraz malheur jest chyba wy³cznie miejscowego pochodzenia. Mogę zapytać, czy Herr Lachmann posiada dokumenty,

które potwierdza³yby jego tożsamość?

Smiley wręczy³ jej szwajcarską¹ kartę osobistą¹.

- Proszę. Dźy panu ręką. Ale nie ma pan grypy. Z zawodu profesor -przeczyta³a na g³os. - Herr Lachmann skromnie ukrywa

swe umiejętności.

Jest profesorem. Profesorem czego, jeżeli wolno zapytać?

- Filologii.

- Ach tak. Filologii. A Herr Glaser, czym on się zajmuje?

Nigdy mi tego nie ujawni³.

- Z tego, co wiem, jest biznesmenem - powiedzia³ Smiley.

- Biznesmen mówi¹cy znakomicie po rosyjsku. Czy pan też tak

dobrze zna rosyjski, profesorze?

- Niestety, nie.

- Jeste^oecie jednak przyjació³mi. - Odda³a mu kartê.

Szwajcarsko - rosyjski biznesmen i skromny profesor filologii s¹ przyjació³mi. Cóż.

Miejmy nadzieję, że jest to owocna przyja^Yñ.

- Jeste^oemy także s¹siadami - powiedzia³ Smiley.

- Wszyscy jeste^oemy s¹siadami, Herr Lachmann. Pozna³ pan już

kiedy^o Aleksandrê?

- Nie.

- M³ode dziewczêta przyje^zd^zaj¹ tutaj w ró^znych rolach. Mamy

córki chrzestne. Dzieci znajduj¹ce się pod kuratel¹.

Siostrzenice.

Sieroty. Kuzynki. Kilka ciotek. Kilka sióstr. A teraz profesor. Ale by³by pan zdumiony, gdyby pan wiedzia³, jak niewiele córek jest na świecie. Jakie na przyk³ad wiêzy rodzinne

³cz¹ Herr Glasera z Aleksandr¹?

- O ile wiem, Herr Glaser jest przyjacielem monsieur Ostrakowa.

- Który przebywa w Paryżu. I jest niewidzialny. Podobnie jak madame Ostrakowa. Też niewidzialna. Podobnie jak dziecko Herr Glaser.

Pojmuje pan, jak trudno jest nam zrozumieć świat, Herr Lachmann? Skoro same w³aciecie nie wiemy, kim jesteśmy, to jak

możemy mówić im, kim s¹ one? Musi pan być z ni¹ bardzo ostrożny.

- Zabrzmia³ dzwonek, oznajmiaj¹cy koniec popo³udniowej ciszy. -

Czasami żyje w mroku. Czasami za dużo widzi.

Jedno i drugie jest bolesne. Wychowa³a się w Rosji. Nie wiem, dlaczego.

To skomplikowana historia, pełna kontrastów, pełna luk. Jeżeli nie to jest przyczyną choroby, jest to z pewnością jej, powiedzmy, fundament. Nie sędzi pan na przykład, że to Herr

Glaser jest ojcem dziewczyny?

- Nie.

- Ja też nie. Widział pan kiedyś niewidzialnego Ostrakowa?

Nie. Czy niewidzialny Ostrakow istnieje? Aleksandra upiera się,

że to widmo. Aleksandra pochodzi z zupełnie innej rodziny. Zresztą, tak jak wielu z nas.

- Czy mógłby wiedzieć, co jej pani o mnie powiedziała?

- Wszystko, co wiem. Czyli nic. Tę jest pan przyjacielem wuja Antona, którego ona nie chce zaakceptować jako swojego wuja.

Tę wuj Anton jest chory, co wydaje się sprawiać jej radość, ale

prawdopodobnie wielce ją niepokoi. Powiedziłam jej, że jest życzeniem ojca, by ktoś odwiedzał ją co tydzień, ale ona powiada,

że jej ojciec jest bandyt¹ i ciemn¹ noc¹ zepchn¹³ matkê ze ska³y.

Powiedzia³am, żeby mówi³a po niemiecku, ale może sobie
w mówia^æ, że

najlepszy będzie rosyjski.

- Rozumiem - powiedzia³ Smiley.

- No to ma pan szczęście - odpar³a Matka Felicity. - Bo ja
nie.

Wesz³a Aleksandra i najpierw zobaczy³ tylko jej oczy: tak
czyste, tak bezbronne. W wyobraŹni nie wiadomo dlaczego
wydawa³a

mu siê nieco wiêksza. Usta mia³a w œrodku pe³ne, ale w
k¹cikach

juŹ zwêŹone i nazbyt ruchliwe, a jej ucœmiech odznacza³ siê
niebezpiecznym blaskiem. Matka Felicity kaza³a jej usi¹œæ,
powiedzia³a coœ po rosyjsku i poca³owa³a j¹ w p³ow¹ g³owê.

Wysz³a

i s³yszeli brzêk jej kluczy, kiedy kroczy³a korytarzem,
wrzeszcz¹c po francusku na jedn¹ z sióstr, żeby posprz¹ta³a ten
ba³agan.

Aleksandra ubrana by³a w zielon¹ tunikê z zebranymi w

przegubach drugimi rękawami i rozpinany z przodu sweter,

narzucony jak peleryna na ramiona. Zdawało się, że dżwiga

ubranie, zamiast je nosić, jak gdyby to ktoś inny odział ją na spotkanie.

- Czy Anton nie żyje? - spytał, i Smiley spostrzegł, że nie istnieje żaden naturalny związek pomiędzy wyrazem jej twarzy i myślami w jej głowie.

- Nie - odpowiedział. - Anton ma ciężką gripę.

- Anton twierdzi, że jest moim wujem, ale to nieprawda - wyjaśnił.

Mówił dobrze po niemiecku i Smiley był ciekaw, czy pomimo

tego, co Karla powiedział Grigoriewowi, Aleksandra rzeczywiście

odziedziczył niemiecki po matce, czy może zdolności językowe po

ojcu, czy też jedno i drugie. - Udaje także, że nie ma samochodu.

- Jak niegdyœ jej ojciec, przygl¹da³a mu siê bez emocji i bez
¿adnego zaangażowania. - Gdzie twoja lista? - spyta³a. -
Anton

zawsze przywozi listê.

- Ja mam pytania w g³owie.

- Nie wolno zadawaæ pytañ bez listy. Pytañ z g³owy
absolutnie zakaza³ mój ojciec.

- Kim jest twój ojciec? - spyta³ Smiley.

Przez chwilê znów widzia³ tylko jej oczy, przygl¹daj¹ce mu
siê z ich prywatnej samotni. Wziê³a z biurka Matki Felicity
rolkê

taœemy klej¹cej i delikatnie wodzi³a palcem po jej b³yszcz¹cej
powierzchni.

- Widzia³am twój samochód - powiedzia³a. - BE oznacza
Berno.

- Tak - powiedzia³ Smiley.

- Jaki samochód ma Anton?

- Mercedesa. Czarnego. Wspania³e auto.

- Ile za niego zap³aci³?

- Kupi³ u¿ywanego. Myœlê, ¿e jakieœ piêæ tysiêcy franków.

- W takim razie dlaczego przyjeżdża mnie odwiedzać na rowerze?

- Być może musi uprawiać jakiś sport.

- Nie - odparł. - Kryje jakiego tajemnicę.

- Czy i ty kryjesz jakiego tajemnicę, Aleksandro? - spytał Smiley.

Usłyszał jego pytanie i uśmiechnął się, kiwając kilkakrotnie głową do kogoś, kto znajduje się bardzo daleko.

- Moja tajemnica ma na imię Tatiana.

- To żadne imię - powiedział Smiley. - Tatiana. Skąd ci przyszło do głowy?

Uniosł głowę i uśmiechnął się promiennie do ikon na ościanie.

- Nie wolno mi o tym mówić - powiedział. - Jeżeli się o tym mówi, to nikt w to nie wierzy i umieszczają człowieka w klinice.

- Przecież już jesteś w klinice - zauważył Smiley.

Nie podniósł głosu, mówił po prostu szybciej. Siedział tak nieruchomo, że wydawało się, iż nie nabiera powietrza w płuca

pomiędzy kolejnymi słowami. Jej przytomność umysłu i
uprzejmość

były przerażające. Odpowiedział, że szanuje jego dobro, ale
że

wie, iż jest szalenie niebezpiecznym człowiekiem, bardziej
niebezpiecznym niż nauczyciele czy policja.

Twierdził, że doktor Ruedi wymyśla własność
prywatną,

więzienia i wiele jeszcze innych argumentów, za pomocą
których

świat usprawiedliwia swoje kłamstwa. Matka Felicity jest
zbyt

blisko Boga i nie rozumie, że Bóg to ktoś, kogo trzeba
ujednać i

kopać jak konia, żeby wiozł ludzi w pożądanym kierunku.

- Ale pan, Herr Lachmann, jest reprezentantem państwa.

Tak, obawiam się, że tak.

Westchnął i obdarzył go uśmiechem przebaczenia, ale
kiedy

spojrzał na biurko, zobaczył, że chwyta swój kciuk i wygina go
ku

ty³owi tak, że wygl¹da³ jak zwichni^êty.

- A mo³że jest pan moim ojcem, Herr Lachmann -
zasugerowa³a z
uc^æmiechem.

- Nie, niestety, nie mam dzieci - odpar³ Smiley.

- Czy jest pan Bogiem?

- Nie, jestem zwyk³ym cz³owikiem.

- Matka Felicity powiada, że w ka³dy^m zwyczajnym
cz³owieku
tkwi cz¹stka Boga.

Tym razem nadesz³a kolej Smileya, żeby odczeka^æ
d³u³sz¹

chwil^ê przed odpowiedzi¹. Otworzy³ usta, a potem z
niezwyk³ym u
niego wahaniem zamkn¹³ je z powrotem.

- Te³ o tym s³ysza³em - odpowiedzia³ i nie patrzy³ na ni¹
przez chwil^ê.

- Powiniene^æ mnie zapyta^æ, czy nie czuj^ê si^ê lepiej.

- Lepiej si^ê czujesz, Aleksandro?

- Mam na imi^ê Tatiana - odpar³a.

- A zatem, jak się czuje Tatiana?

Rozeœmia³a siê. Jej oczy sta³y siê radoœnie jasne.

- Tatiana to córka cz³owieka, który jest zbyt wa¿ny, ¿eby istnieæ - powiedzia³a. - Sprawuje kontrolê nad ca³¹ Rosj¹, ale nie istnieje.

Kiedy j¹ aresztuj¹, ojciec za³atwia jej zwolnienie. Nie istnieje, ale wszyscy siê go boj¹.

Tatiana te¿ nie istnieje - doda³a. - Jest tylko Aleksandra.

- A co z matk¹ Tatiany?

- Ukarano j¹ - powiedzia³a spokojnie Aleksandra, zdradzaj¹c tê informacjê raczej ikonom ni¿ Smileyowi. - Nie by³a pos³uszną historii.

To znaczy uwa¿a³a, ¿e historia przybra³a niew³aœciwy obrót.

Myli³a siê. Ludzie nie powinni próbowaæ zmieniaæ biegu historii.

To raczej zadaniem historii jest zmieniaæ ludzi. Chcia³abym, ¿ebyœ mnie st¹d zabra³. Chcê opuœciæ tê klinikê.

Jej rêce walczy³y wœciekle ze sob¹, a ona tymczasem nadal

ucemiecha³a siê do ikon.

- Czy Tatiana pozna³a kiedykolwiek ojca? - zapyta³.

- Jakicœ ma³y cz³owieczek pilnowa³ id¹cych do szko³y dzieci -
odpar³a.

Smiley czeka³, ale ona nie powiedzia³a ju¿ nic wiêcej.

- I co dalej? - zapyta³.

- Z samochodu. Otwiera³ okno, ale tylko po to, ¿eby
popatrzeæ na mnie.

- A ty patrzy³acœ na niego?

- Oczywiście. Inaczej sk¹d bym wiedzia³a, ¿e na mnie
patrzy?

- Jak wygl¹da³? Jak siê zachowywa³? Uciemiecha³ siê?

- Pali³. Zreszt¹ proszê, jeœli masz ochotê. Matka Felicity
sama lubi sobie zapaliæ od czasu do czasu. Ale to przecie¿
normalne, prawda?

Mówiono mi, ¿e palenie uspokaja sumienie.

Nacisnê³a dzwonek: wyci¹gnê³a rêkê i przyciska³a d³ugo
guzik. Us³ysza³ znowu brzêk kluczy Matki Felicity, zbli¿aj¹cej
siê korytarzem, a potem szuranie jej stóp, kiedy zatrzyma³a siê

przed drzwiami, żeby je otworzyć.

Wydało mu się, że to dźwięki dobiegające z pierwszego
lepszego więzienia na świecie.

- Chciałabym odjechać twoim samochodem -
powiedziała

Aleksandra.

Smiley zapłacił jej rachunek i Aleksandra patrzyła, jak
George niczym wuj Anton odlicza banknoty w świetle lampy.
Matka

Felicity spostrzegła badawcze spojrzenie Aleksandry i była
może

wyczuła zaistniały problem, ponieważ obrzuciła Smileya
ostrym

spojrzeniem, jak gdyby spodziewała się po nim jakiegoś
nietaktu.

Aleksandra odprowadziła go do drzwi i pomogła otworzyć
je

siostrze Beatitude, potem z szaloną elegancją uściśliła mu
dłoń,

unosząc na zewnątrz rękę i chyląc wysunięte ku przodowi
kolano.

Usi³owa³a poca³owaæ go w rêkê, ale powstrzyma³a j¹
siostra

Beatitude. Patrzy³a, jak wsiada do samochodu i zaczê³a
machaa

Smileyowi, który odje¿d¿a³ ju¿, kiedy us³ysza³, jak
Aleksandra

przeraŸliwie krzyczy z bardzo bliska, zobaczy³, ¿e chc¹c z
nim

jechaæ, usi³uje otworzyæ drzwi wozu, ale siostra Beatitude
oderwa³a j¹ od nich i wci¹¿ krzycz¹c¹, wci¹gnê³a z powrotem
do

domu.

Pó³ godziny póŸniej w tej samej kawiarni w Thun, z której
przed tygodniem obserwowali wizytê Grigoriewa w banku,
Smiley w

milczeniu wrêczy³ Tobyemu przygotowany wczesniej list.
Grigoriew

mia³ oddaæ go Krasskiemu dzie wczorem albo podczas
najbli¿szego

spotkania, powiedzia³ Smiley.

- Grigoriew chce dzie poprosiaæ o azyl - zaprotestowa³ Toby.

Smiley krzykn¹³. Krzykn¹³ po raz pierwszy w życiu. Bardzo szeroko otworzy³ usta i krzykn¹³, a ca³a kawiarnia wzdrygnê³a siê

i usiad³a prosto - to znaczy barmanka unios³a wzrok znad swoich

og³oszeñ matrymonialnych, a co najmniej jeden z czterech karciarzy w k¹cie odwróci³ g³owê.

- Jeszcze nie!

Potem, chc¹c pokazaæ, że ca³kowicie panuje nad sob¹, powtórzy³ to samo po cichu:

- Jeszcze nie, Toby. Wybacz mi. Jeszcze nie.

Nie istnieje kopia listu, który Smiley wys³a³ Karli przez Grigoriewa, co by³o byæ mo¿e intencj¹ Smileya, ale trudno mieæ

w¹tpliwoœci co do treœci pisma, albowiem Karla tak czy inaczej

by³ zaprzysiê³onym zwolennikiem sztuki, zwanej przez niego

szanta¿em. Smiley zapewne przedstawi³ mu nagie fakty: wiedz¹, że

Aleksandra jest jego cór¹, któr¹ mia³ z nie¿yj¹c¹ ju¿ kochank¹ o

wyraŹnie antyradzieckich pogl¹dach, i Źe umoŹliwi³
dziewczynie

nielegalny wyjazd ze Zwi¹zku Radzieckiego utrzymuj¹c, Źe
jest

jego tajnym agentem; Źe sprzeniewierzy³ spo³eczne œrodki i
pieni¹dze; Źe w celu ochrony swojego zbrodniczego planu
zorganizowa³ dwa morderstwa i prawdopodobnie takŹe
oficjalnie

zatwierdzon¹ egzekucjê Kirowa.

Smiley wskaza³by takŹe niechybnie, Źe bior¹c pod uwagê
chwiejn¹ pozycjê Karli w Centrum Moskiewskim, jego
towarzysze w

Kolegium z pewnoœci¹ zdecydowaliby siê go zlikwidowaæ; i Źe
gdyby

to wszystko rzeczywiœcie siê zdarzy³o, to przysz³oœæ jego
córki

na Zachodzie, gdzie mieszka³a na fa³szywych papierach,
stanê³aby

co najmniej pod znakiem zapytania. Nie otrzyma³aby juŹ
Źadnych

pieniêdzy i sta³aby siê wieczn¹, chor¹ tu³aczk¹, przewoŹon¹ z

jednego publicznego szpitala do drugiego, pozbawion¹
przyjació³,
odpowiednich dokumentów i bez grosza przy duszy. A w
najgorszym
razie sprowadzono by j¹ z powrotem do Rosji, gdzie spotka³by
j¹
gniew wrogów ojca.

Potem, po kiju, Smiley zaoferowa³ Karli tê sam¹
marchewkê,
któr¹ zaproponowa³ mu dwadzieœcia lat temu w Delhi: ocal
skórê,
przyjedŸ do nas, powiedz nam, co wiesz, a urz¹dzimy ci dom.

Szybka powtórka, powiedzia³ Saul Enderby, który lubi³
czasem

pos³uŸyæ siê porz¹dn¹ metafor¹. Smiley zapewne obieca³
Karli

zwolnienie od odpowiedzialnoœci za wspó³udzia³ w
morderstwie

Vladimira; s¹ takŸe dowody, Ÿe Enderby przez swoje
kontakty

niemieckie uzyska³ podobne ustêpstwa ze strony tamtejszych
w³adz

w sprawie zabójstwa Otto Leipziga. Nie ulega wątpliwości,
że

Smiley napomkn¹³ także o ogólnych gwarancjach w
kwestii

przyszłości Aleksandry na Zachodzie - opieka lekarska,
godne

warunki bytowe, a nawet obywatelstwo, jeżeli okaże się
konieczne.

Czy próbowa³ście rodzin¹ drog¹, jak niegdyś w Delhi? Czy
może

odwo³ływa³ się do ludzkich uczuć Karli, tak wyraźnie
wydobytych

teraz na powierzchni? A może doda³ sprytnie trochę
przypraw,

pragn¹c oszczędzić Karli upokorzenia i, znaj¹c jego duszę,
chc¹c

go uchronić przed aktem samozniszczenia?

Z ca³¹ pewnością¹ pozostawi³ mu niewiele czasu na decyzję.

Jak Karla dobrze wiedzia³, by³ to jeden z aksjomatów
szantażu:

czas do namys³łu stanowi niebezpieczeństwo, choć w tym
wypadku

można było przypuszczać, że zagraża także Smileyowi, lecz z

całkiem innych powodów; mógł wzruszyć się w ostatniej chwili.

Mitologia Sarratt głosi, że jedynie natychmiastowe działanie zmusza zwierzę do pozbycia się krępujących ją więzów i wypłynięcia na pełne morze wbrew wszystkim wrodzonym lub

wyuczonym bodźcom. Ale w tym przypadku powyższa teoria odnosiła

się też i do myśliwego.

* * *

o tak, jak gdybyś wszystkie pieniądze postawił na czarne, myślał Guillam, wyglądając przez okno kawiarni: stawiasz wszystko, co tylko masz na świecie - żonę, nie narodzone jeszcze

dziecko. A potem z godziny na godzinę czekasz, aż krupier zakręci

koło ruletki.

Znał Berlin z czasów, kiedy to miasto było jeszcze
cewiatow¹

stolic¹ zimnej wojny, kiedy na każdym przejściu granicznym
ze

Wschodu na Zachód panowało takie napięcie, jak podczas
poważnej

operacji chirurgicznej.

Pamiętał³ podobne noce, gdy grupki policjantów berlińskich i
żołnierzy wojsk alianckich gromadziły się w cewiat³ach
żukowych

lamp, przytupuj¹c i przeklinaj¹c mróz, przek³adaj¹c broń z
ramienia na ramię i chuchaj¹c sobie nawzajem w twarze
zamarzniętymi oddechami. Pamiętał³ stoj¹ce w gotowości
czo³gi,

które powarkiwa³y podgrzewanymi silnikami, szukaj¹c lufami
celów

po drugiej stronie i demonstruj¹c sw¹ pozorn¹ si³ę. Pamiętał³
raptowny jęk klaksonów alarmowych i pogoń na
Bernauerstrasse czy

może gdzieś indziej, gdzie w³acenie podjęto kolejn¹ próbę
ucieczki.

Pamiêta³ sun¹ce w górê drabiny wozów stra¿ackich;
rozkazy

odpowiadania ogniem na ogieñ; rozkazy zabraniaj¹ce
odpowiadaæ

ogniem na ogieñ; pamiêta³ zabitych ludzi, w tym tak¿e
agentów

s³u¿b wywiadowczych. Ale wiedzia³, ¿e nim up³ynie dzisiejsza
noc,

zapamiêta Berlin ju¿ tylko w jednej postaci: by³ taki mrok, ¿e
chcia³oby siê zabraæ ze sob¹ latarkê na ulicê, panowa³a taka
cisza, ¿e mo¿na by³o us³yszeæ repetowany karabin po
drugiej

stronie rzeki.

- Jak¹ to¿samocæ przybierze? - spyta³.

Smiley siedzia³ naprzeciwko niego przy ma³ym,
plastikowym

stoliku, z fili¿ank¹ wystyg³ej kawy obok opartego na blacie
³okcia. W g³êbi p³aszczka wygl¹da³ nie wiedzieæ czemu na
bardzo

drobnego mê¿czyznê.

- Coœ skromnego - powiedzia³ Smiley. - Coœ, co nie wzbudzi

podejrzeñ. O ile wiem, ci, którzy przekraczaj¹ tu granicê to w wiêkszoœci emeryci. - Pali³ papierosa Guillama i ta czynnoœæ

zdawa³a siê poch³aniaæ ca³¹ jego uwagê.

- Czego, na Boga, szukaj¹ tu emeryci? - zapyta³ Guillam.

- Niektórzy pracy. Niektórzy maj¹ tam kogoœ na utrzymaniu.

Obawiam siê, ¿e nie wypytywa³em o to bardziej szczegó³owo.

OdpowiedŸ nie zadowoli³a Guillama.

- My, emeryci, nie zadajemy siê raczej z innymi ludŸmi - doda³ Smiley, sil¹c siê na dowcip.

- Co ty powiesz - rzek³ Guillam.

Kawiarnia mieœci³a siê w dzielnicy tureckiej, bo Turcy stali siê teraz najbiedniejszymi bia³ymi mieszkañcami Berlina, zaœ

najgorsze i najtañsze nieruchomoœci znajduj¹ siê w pobli¿u Muru.

Smiley i Guillam byli tu jedynymi obcokrajowcami. Przy d³ugim

stole siedzia³a ca³a rodzina Turków, ¿uj¹c swój p³aski chleb,
popijaj¹c kawê i coca - colê. Dzieci mia³y ogolone g³owy i
szerokie, zdumione oczy uchodŸców. Ze starego
magnetofonu

dobiega³a wschodnia muzyka. Znad ³ukowatej, orientalnej
framugi z

p³yty pilœniowej zwisa³y paski kolorowego plastiku.

Guillam przeniós³ znów wzrok na okno i na most. Na
pierwszym

planie widaæ by³o filary wiaduktu kolejowego, a potem
stary

ceglany dom, który Sam Collins dyskretnie wynaj¹³ ze
swoim

zespo³em na centrum obserwacyjne. Jego ludzie
ukradkiem

wprowadzali siê tam przez ostatnie dwa dni. Dalej widnia³a
bia³a

aureola sodowych lamp ³ukowych, potem zapory, bunkier i
wreszcie

most. Przeznaczony by³ wy³¹cznie dla pieszych, a moŸna by³o
po

nim przejeżdża jedynie ogrodzonym stalowym korytarzem,

przypominającym wybieg dla kur o zmiennej szerokości, w

niektórych bowiem miejscach mogło w nim naraz stanąć obok siebie

trzech mężczyzn, w niektórych zaś zmieściłby się tylko jeden. Od

czasu do czasu ktoś nim pokornie przechodził miarowym krokiem,

żeby nie zaalarmować więźniów strażniczej, a potem wkraczał już po

zachodniej stronie w sadową aureolę. W świetle dziennym wybieg

był szary; w nocy nie wiedział czemu wydawał się żółty i dziwnie

jaskrawy.

Bunkier, którego dach sięgał tuż nad barykadę, znajdował się metr albo dwa po zachodniej stronie granicy, ale nad wszystkim

górowała wieża strażnicza, stojący pośrodku mostu samotny słup z

czarnego żelaza. Unika³ go nawet cienie. Leża³ natomiast
na

betonowych żebach, uniemożliwiających ruch pojazdów na
moście,

wirowa³ wokół bunkra i aureoli, i teatralnie osiada³ na
mokrym

bruuku; lecz wieża strażnicza pozostawa³a nietknięta, jak gdyby
nawet cienie nie chcia³ zbliżyć się do niej dobrowolnie. Tuż
przed

aureol¹ ptasi zagon zwęża³ się, przechodz¹c w ostatni¹ bramę i
dalej w bydlęc¹ zagrodę.

"Ale bramę - powiedzia³ Tobie - można by³o na sygna³
natychmiast zamkn¹æ elektronicznie z wnętrza schronu".

By³o wpo³ do jedenastej, ale mog³a to być równie dobrze
trzecia w nocy, bo wzd³uż swych granic Berlin Zachodni
k³adzie

się spa³ wraz z zapadnięciem zmroku. Dalej w g³ębi to miasto

-

wyspa gawędzi, pije, kurwi się i wydaje pieni¹dze; reklamy
Sony,

odbudowane kościoły i sale konferencyjne b³yszczy¹ niczym weso³e

miasteczko, ale wzd³u¿y wybrze¿y terenów przygranicznych od

siódmej panuje cisza. W pobli¿u œwietlnej aureoli sta³a œwi¹teczna choinka, ale lampki pali³y siê jedynie w górnej czêœci

jej korony i jedynie jej górna czêœæ widoczna by³a z drugiej strony rzeki. To bezkompromisowe miejsce, pomys³a³ Guillam,

pozbawione trzeciego wyjœcia. Bez wzglêdu na to, jakie wysuwa³

czasami zastrze¿enia pod adresem zachodnich swobód to tu, na tej

granicy, gdzie umiera³o niemal wszystko, koñczy³y siê tak¿e jego

w¹tpliwoœci.

- George? - powiedzia³ cicho Guillam, rzucaj¹c Smileyowi pytaj¹ce spojrzenie.

W aureolê wkroczy³ jakiœ robotnik. Zdawa³o siê, ¿e wzniós³

siê w kr¹g œwiat³a, niby zrzucaj¹c z ramion nieznany ciê¹ar, jak
zreszt¹ wszyscy, którzy opuszczali kurzy zagon. Niós³ w rêce
ma³¹

aktówkê i coœ, co z daleka wygl¹da³o na kolejow¹ latarkê.
By³

drobnej budowy cia³a. Ale Smiley, je¹eli w ogóle zauwa¹zy³
tego

cz³owieka, powróci³ ju¹ do wnêtrza ko³nierza swojego
br¹zowego

p³aszcza i swoich samotnych, odleg³ych myœli. "Je¹eli
przyjdzie,

przyjdzie na czas" - powiedzia³ Smiley. W takim razie po co
przyjechalicemy tu dwie godziny wczesniej? - chocia³
zapytaæ

Guillam. Czemu siedzimy jak dwóch obcych sobie ludzi,
czemu

sk¹pani w oparach paskudnej tureckiej kuchni pijemy s³odzon¹
kawê

z maleñkich fili¹anek i rozmawiamy o g³upstwach? Ale
Guillam i

tak zna³ ju¹ odpowiedŸ. Poniewa¹ jestecemy mu to
winni,

powiedzia³by Smiley, gdyby znajdowa³ siê w rozmownym nastroju.

Jesteœmy mu winni troskê i czekanie, winniœmy sprawowaæ pieczê

nad wysi³kami cz³owieka, próbuj¹cego uciec systemowi, który

pomaga³ zbudowaæ. Tak d³ugo, jak bêdzie usi³owa³ do nas dotrzeæ,

jesteœmy jego przyjació³mi. Nikogo innego nie ma ju¿ po swojej

stronie.

Przyjdzie, myœla³ Guillam. Nie przyjdzie. Mo¿e przyjdzie.
Co

to jest, je¿eli nie modlitwa?

- Jeszcze kawy, George?

- Nie, dziêkujê, Peter. Nie, raczej nie. Nie.

- Maj¹ tu chyba jak¹œ zupê. Chyba ¿e to by³a kawa.

- Dziêkujê. Zjad³em i wypi³em ju¿ wszystko, co mog³em -

powiedzia³ Smiley normalnym g³osem tak, ¿e ka¿dy móg³ go

us³yszeæ.

- No to może zamówię byle co, żeby mieli na czynsz -
powiedzia³ Guillam.

- Czynsz? Przepraszam. Oczywiście. Bóg jeden wie, z
czego
oni tu żyj¹.

Guillam zamówi³ jeszcze dwie kawy, za które zap³aci³ w
biegu, na wypadek, gdyby musieli nagle wyjść.

Przyjd^Ÿ dla Georgea, myćla³; przyjd^Ÿ dla mnie. Przyjd^Ÿ
dla

wszystkich, do jasnej cholery, i pozwól nam zebrać żniwo, o
którym marzyliśmy tak d³ugo.

- To kiedy ma się urodzić twoje dziecko?

- W marcu.

-- Ach. W marcu. Jak mu dacie na imię?

- W³aciewie jeszcze nie myśleliśmy o tym.

Po drugiej stronie ulicy w świetle lamp sklepu z meblami,
sprzedaj¹cego także kopie kutych w żelazie ozdób, Guillam
rozpozna³ okutan¹ postać Tobyego Esterhasea, ubranego w
futrzan¹

ba³kañsk¹ czapkê i usi³uj¹cego ogl¹daæ towary na wystawie.
Toby

wraz z zespo³em dosta³ ulicê, Sam Collins obsadzi³
stanowisko

obserwacyjne: taka by³a umowa. Toby upar³ siê, ¿eby do
odwrotu

u¿yæ taksówek, i oto w mroku stacyjnych arkad sta³y trzy
odpowiednio podniszczone samochody z zatknietymi za
wycieraczki

napisami AWARIA; kierowcy krêcili siê ko³o budki z
daniami

barowymi, jedz¹c kie³baski w s³odkim sosie na
papierowych

talerzach.

- To miejsce to totalne pole minowe, Peter - ostrzega³ Toby.

- Turcy, Grecy, Jugos³owianie, masa ³obuzów - nawet koty
nosz¹

tam, cholera, mikrofony, bez ¿adnej przesady.

- Ani s³óweczka - rozkaza³ Smiley, - Ani mru - mru, Peter.

Powiedz Collinowi.

PrzyjdŸ, myœla³ niecierpliwie Guillam. Wszyscy ci

kibicujemy.

PrzyjdŸ.

Guillam powoli podniós³ wzrok znad pleców Tobyego na górne

okno starego domu, w którym mieœci³ siê punkt obserwacyjny

Collinsa.

Guillam odpracowa³ juŸ swoje w Berlinie, by³ tu ze dwanaœcie

razy. Teleskopy i aparaty fotograficzne, mikrofony kierunkowe,

wszystkie te bezuŸyteczne urz¹dzenia, które podobno u³atwiaj¹

czekanie; trzaski w eterze, odór kawy i tytoniu; piêtrowe ³óŸka,

Pomyœla³ o bior¹cym takŸe udzia³ w akcji zachodnioniemieckim

policjancie, który nie mia³ zielonego pojêcia, po co go tu sprowadzono, a musia³ pozostaæ na s³uŸbie, dopóki operacja nie

zostanie odwo³ana lub nie zakończy siê sukcesem - chodzi³o wszak

o cz³owieka, znaj¹cego most na pamiêæ, umiej¹cego odró¿niæ

¿o³nierzy zawodowych od rezerwistów i zauwa¿yæ najdrobniejszy

nawet z³y znak natychmiast, kiedy tylko siê pojawi: milcz¹c¹ zmianê warty, snajperów zajmuj¹cych miêkko swoje pozycje.

A jeœli go zastrzel¹? - myœla³ Guillam. Je¿eli go zaaresztuj¹? Je¿eli zostawi¹ go, jak tylu innych, je¿eli bêd¹ chcieli, ¿eby siê wykrwawi³ na œmieræ, le¿¹c¹ twarz¹ do ziemi w

tym kurzym zagonie nie wiêcej ni¿ dwa metry od aureoli?

PrzyjdŸ, myœla³ ju¿ mniej pewnie, zanosz¹c¹ swoje mod³y do

czarnego nieba na wschodzie. Mimo wszystko przyjdŸ.

Niewielkie, bardzo jasne œwiat³o punktówki przesunê³o siê w

poprzek wychodz¹cego na zachód okna w wykorzystywanym jako punkt

obserwacyjny domu i Guillam na ten widok zerwa³ siê na nogi.

Odwróci³ siê i ujrza³ Smileya, ju¿ w pó³ drogi do wyjœcia. Na

ulicy czeka³ na nich Toby Esterhase.

- To tylko możliwoœæ, George - powiedzia³ ³agodnie takim

tonem, jak gdyby chcia³ ich przygotowaæ na rozczarowanie.

-

Maleñka szansa, ale to mo¿e byæ nasz cz³owiek.

Bez s³owa ruszyli za Tobym, Panowa³ okrutny mróz.
Minêli

pracowniê krawieck¹; dwie ciemnow³ose dziewczyny szy³y
coœ na

wystawie. Minêli rozwieszone na murach plakaty, proponuj¹ce
tanie

urlopy na nartach, œmieræ faszystom i szachowi. Zimno
zapiera³o

im dech w piersiach.

Odwracaj¹c twarz od wiruj¹cego œniegu, Guillam
dostrzeg³

plac zabaw dla dzieci, zbudowany ze starych kolejowych
wagonów

sypialnych. Szli pomiêdzy martwymi, czarnymi budynkami,
potem

skrêcili w prawo, przeszli na drug¹ stronê brukowanej ulicy i w

zmroźonej, nieprzeniknionej ciemności dotarli na brzeg rzeki,

skąd mogli obserwować most na całej długości ze starego,

drewnianego schronu z otworami strzelniczymi. Po lewej stronie,

czarny na tle nieprzyjaznej rzeki, stał wysoki, drewniany krzyż, przystrojony drutem kolczastym, upamiętniający jakiegoś nieznanego człowieka, któremu niezupełnie udało się uciec.

Toby w milczeniu wyciągnął spod paszczy lornetkę i polował i podał ją Smileyowi.

- George. Słuchaj. Powodzenia, jasne?

Dłoń Tobiego zacisnęła się na chwilę na ramieniu Guillama.

Potem Esterhase pomknął znów gdzieś w ciemność.

Schron cuchnął wilgoci i gnijącymi liśćmi. Smiley przykucnął przy otworze strzelniczym, pochylił twędowego

paszczy walały się w boku, a on przyglądał się rozciągającemu

się przed nim widokowi, jak gdyby mieściły się w nim granice
jego

życia. Rzeka była szeroka i powolna, zasnuta zimnem. Na
jej

powierzchni igrały słoneczne światła, w blasku których
tańczyły

ośniegi.

Most wspiera się na szczycie lub ośmiu grubych,
kamiennych

filarach, które w wodzie rozrastały się w plebejskie buciory.

Most pomiędzy filarami miał kształt słupka, kwadratowy był
wyjątkowo szeroki, co umożliwiało swobodny przepływ, ale
jedyną

jednostką na rzece była przycumowana na wschodnim brzegu
szara

łódź patrolowa, a jedynym towarem, jakim handlowała, była
ośmiernia.

Dalej za mostem, niczym jego wyolbrzymiony cień, stał
pusty

jak rzeka kolejowy wiadukt, po którym nie jeździły żadne
pociągi.

Magazyny na odległym brzegu wyglądały jak jakieś potworne ruiny

dawnej, barbarzyńskiej cywilizacji, a pomiędzy nich wznosiła się

mostek z żółtym zagonem dla kur, niby fantastyczna ościeżka

oświetla, bijąca z ciemności ku górze. Smiley ze swojego punktu

obserwacyjnego widział go przez lornetkę na całej długości, od

zalanego światłem białego baraku na wschodnim brzegu, przez

czarną wieżę strażniczą w najwyższym punkcie, potem niżej ku

stronie zachodniej aż po byłe zagrodę, bunkier panujący nad

bramą i wreszcie aureolę.

Guillam stał zaledwie metr za nim, ale dla Smileya mógłby równie dobrze być w Paryżu: Smiley zobaczył bowiem, jak samotna,

czarna postać rusza w drogę; zobaczył błysk niedopałka, kiedy

mê¿czyzna zaci¹gn¹³ siê po raz ostatni i nad ¿elaznym ogrodzeniem

kurzego zagonu wyrzuci³ do wody jarz¹cego siê jak kometa

papierosa. Jakicœ drobny cz³owieczek w œredniej d³ugoœci roboczej

kufajce i z robociarsk¹ torb¹ przewieszon¹ przez pierœ nie szed³ ani wolno, ani szybko -szed³ jak ktoœ, kto wiele przeszed³.

Jakicœ

drobny cz³owieczek, pomimo padaj¹cego œniegu bez czapki, o

odrobinê za d³ugim tu³owiu w stosunku do nóg. To tylko tyle,

myœla³ Smiley; jakicœ ma³y cz³owieczek idzie przez most.

- Czy to on? - zaszep³ta Guillam. - George, powiedz mi. Czy to jest Karla?

Nie przychodŸ, myœla³ Smiley. Strzelajcie, mówi³ w myœlach

do ludzi Karli, nie do swoich. By³o nagle coœ okropnego w przeczuciu, ¿e ta maleñka istota wyrzeknie siê za chwilê pozostawionego z ty³u czarnego zamku. Strzelajcie z wiê¿y

strażniczej, strzelajcie z bunkra, z białego baraku, z bocianiego gniazda na więziennym magazynie, zatrzaśnijcie przed nim bramę,

zabijcie go, zabijcie, on was zdradzi³. Widział³ wszystko w rozpędzonej wyobraźni: Centrum Moskiewskie w ostatniej chwili

odkrywa nikczemność Karli; telefony na granicy: - Zatrzymaj go za

wszelk¹ cenę. I strzelanina, nigdy nie za wielka - wystarczy trafić raz albo dwa i czekać.

- To on - wyszept³ Guillaum. Wyj¹³ lornetkę z d³oni nie stawiaj¹cego oporu Smiley. - To ten sam człowiek. To zdjęcie,

które wisia³o na ścianie w twoim pokoju w Cyrku, George, ty

cudotwórco.

Ale Smiley wyobraża³ sobie tylko, jak światła reflektorów Vopo krzyżuj¹ się na Karli jak światła samochodu na zaj¹cu, ciemniej¹cym na tle śniegu; ogl¹da³ beznadziej¹, starcz¹ ucieczkę Karli, dopóki kule nie zbi³y go z nóg jak szmacian¹

lalkê. Smiley, podobnie jak Guillam, widzia³ ju¿ przedtem
takie

sceny.

Spojrza³ znów w ciemnoœæ przez rzekê i dozna³
niesamowitego

zawrotu g³owy, jak gdyby z³o, z którym przez ca³y czas
walczy³,

dosiêg³o go, ogarnê³o i zaw³adnê³o nim pomimo jego
wysi³ków,

nazywaj¹c go w dodatku zdrajc¹; drwi³o z niego, oklaskuj¹c
równoczenie jego zdradê. Przekleñstwo mi³osierdzia
Smileya

spad³o na Karlê; przekleñstwo fanatyzmu Karli spad³o na
Smileya.

Zniszczy³em go broni¹, której siê brzydzi³em, i by³a to jego
broñ. Przekroczylimy dziel¹ce nas granice, jesteœmy
niczymi

ludŸmi na niczyjej ziemi.

- Po prostu idŸ - zamrucza³ Guillam. - Po prostu idŸ, niech
nic ciê nie powstrzyma.

Zbli¿aj¹c siê do czerni wie¿y stra¿niczej, Karla post¹pi³

kilka krótszych kroków i Smiley przez chwilę naprawdę
myśla³, że

może zmieni³ zdanie i odda się w ręce energowców. Potem
zobaczy³

koci jęzor ognia, gdy Karla zapala³ nowego papierosa. Zapal³ czy

zapalniczk¹? - zastanawia³ się Smiley:

"Najukochańszemu Georgeowi od Anny".

- Chryste, ale ma zimn¹ krew - powiedzia³ Guillam.

Mała postać ruszy³ a znowu, ale tym razem wolniej, jak
gdyby zmęczona. Zbiera odwagę na ostatni krok, myśla³
Smiley,

albo może próbuje ją ostudzić. Przypomina³ sobie Vladimira,
Otto

Leipziga i niezłomnego Kirowa; pomyśla³ o Haydonie i o
zrujnowanej pracy swego całego życia; pomyśla³ o Annie,
któr¹

przebieg³ o Karli splami³ a dla niego na zawsze, i o
intryganckim

uścisku Haydona. W rozpaczy powtarza³ sobie ca³¹ listę
zbrodni -

tortur, morderstw, nieskończonego kręgu podłości - składają
je

wszystkie na wrotach barkach przechodnia na moście, które
nie

mogły jednak podtrzymaæ oskarżenia:

Smiley nie pragnął zdobytego w taki sposób łupu.

Poszarpane

jak przepaść niebo ponownie na niego skinęło, a wirujący
cienie

zamienił horyzont w piekło. Nad brzegiem tlejącej się rzeki
Smiley

pozostał jeszcze przez sekundę.

Poszli flisacki łódźką, Guillam przodem, za nim niechętnie
Smiley.

Z przodu jarzyła się aureola, rosnąca w miarę, jak
podchodzili bliżej. "Niby dwóch zwyczajnych przechodniów
-

powiedziały Tobie. - Podejdźcie po prostu pod most i
poczekajcie,

to normalne". W otaczającej ich ciemności Smiley słyszał
szepty i

szybkie, stłumione odgłosy nerwowych ruchów.

- George - ktoś szepnął. - George. - Jaką nie znaną mu postać w ósmej budce telefonicznej uniosła dłoń w dyskretnym

pozdrowieniu i Smiley uchwycił przemyślane dla niego w marzycy,

wilgotnym powietrzu słowo triumf. Cienię zasłania mu okulary, nie

widział dobrze. Stanowisko obserwacyjne mieli po prawej, w oknach

domu nie paliło się ani jedno światło.

Dostrzegł zaparkowaną przy wejściu furgonetkę i zdał sobie

sprawę, że to berlińska furgonetka pocztowa, jeden z ulubionych

pojazdów Tobyego.

Guillam marudzi z tyłu. Smiley usłyszał, że ktoś mówi coś o

odebraniu nagrody.

Dotarli na skraj aureoli. Pomarańczowy wąz zasłania most i

budkę strażniczą¹. Znaleźli się poza zasięgiem wzroku i o³nierzy
z

wartowni. Toby Esterhase sta³ z lornetką¹ na platformie
obserwacyjnej powyżej choinki, spokojnie udając
zimnowojennego

turystę. Towarzyszy³a mu jakaś pulchna tropicielka.

Stara tablica informacyjna ostrzega³a, że przebywaj¹ tu na
w³asn¹ odpowiedzialność. Z ty³u na rozbitym, ceglanym
wiadukcie

Smiley zauważy³ jakiegoś herb. Toby wykona³ nieznaczny ruch
rę¹:

wszystko w porz¹dku, teraz to już nasz cz³owiek. Zza wa³u
dobieg³y Smileya lekkie kroki i drżenie żelaznego
ogrodzenia.

Poczu³ zapach amerykańskiego papierosa, kiedy niesiony
lodowatym

wiatrem dym wyprzedzi³ palacza. Jeszcze elektroniczna
brama,

pomyśla³; czeka³, aż furka zamknie się z trzaskiem, ale nic
takiego nie nast¹pi³o. Przysz³o mu do g³owy, że nie zna nawet

prawdziwego nazwiska swojego wroga, nie wie, jak siê do niego

zwracaæ; zna³ tylko jego pseudonim, i to bêd¹cy w dodatku imieniem kobiety. Tajemnicê stanowi³ nawet jego stopieñ wojskowy.

I Smiley wci¹¿ siê oci¹ga³, nie chc¹c wejœæ na scenê.

Guillam przysun¹³ siê bli¿ej i usi³owa³ chyba wypchn^{1æ} go naprzód. S³ysza³ miêkkie kroki tropicieli Tobyego, gromadz¹cych

siê kolejno na skraju aureoli, skrytych w cieniu wa³u, oczekuj¹cych z zapartym tchem na pojawienie siê zwierzyny. I

nagle jest, jak cz³owiek, który niepostrze¿enie wœlizn¹³ siê do zat³oczonego holu. Niczym nie os³oniêta prawa d³oñ zwisa^{3a} mu

bezw³adnie z boku, w lewej trzyma³ wstydliwie papierosa na

wysokoœci piersi.

Jakiœ ma³y cz³owieczek, bez czapki, z torb¹. Post¹pi³ krok naprzód i Smiley zobaczy³ w aureoli jego twarz, sêdziw¹, zmêczon¹

i steran¹, zobaczy³ krótkie, pobielone oeniegem w³osy. Nosi³ lepk¹ od brudu koszulê i czarny krawat: wygl¹da³ jak nêdzarz id¹cy na pogrzeb przyjaciela. Szczypi¹cy mróz wyci¹gn¹³ mu obwis³e policzki, postarzaj¹c go jeszcze bardziej.

Stali twarz¹ w twarz; mo¿e metr od siebie, jak w wiêzieniu w Delhi. Smiley us³ysza³ kolejne kroki i tym razem by³ to Toby, schodz¹cy cicho z platformy po drewnianych stopniach drabiny.

S³ysza³ st³umione g³osy i oemiech; wyda³o mu siê tak¿e, ¿e rozlegaj¹ siê ciche oklaski, ale nie mia³ wcale pewnoœci; wszêdzie by³o pe³no cieni, a kiedy Smiley znalaz³ siê ju¿ wewn¹trz aureoli, nie³atwo by³o mu rozpoznaæ ludzi i przedmioty,

pozostaj¹ce poza krêgiem oewiat³a. Paul Skordeno wysun¹³ siê

naprzód i stan¹³ przy Karli; z drugiej strony stan¹³ Nick de Silsky. Smiley us³ysza³, jak Guillam ka¿e komuœ podjechaæ tu tym

cholernym samochodem, zanim tamci przejd¹ przez most, ¿eby go

odbię. Usłysza brzęk padającego na oblodzony bruk metalowego ;

przedmiotu i domyśli się, że jest to zapalniczka Anny, ale oprócz niego nikt jej nie zauważył. Wymienili jeszcze jedno spojrzenie i być może przez tę ; sekundę Smiley widział w nim

naprawdę czystkę samego siebie.

Usłysza chrzęst opon samochodowych i odgłos otwieranych

drzwi; silnik pracował przez cały czas. De Silsky i Skordeno ruszyli do samochodu i Karla poszedł z nimi, chociaż go nawet nie

dotknęli; zdawało się, że przyjął już uległą postawę więdnięcia; uczy się jej w twardej szkole. Smiley przystanął i tamci trzej , cichutko przemaszerowali obok niego, nazbyt przejęci całą tą ceremonią, by zwrócić na niego uwagę. Aureola była pusta.

Usłysza, że drzwi zatrzasnęły się cicho i auto odjeżdża.

Usłysza, że razem z nim, a może w chwilę potem, ruszają dwa

pozosta³e samochody. Nie patrzy³, jak odjeżdżaj¹. Poczuc³, że
Toby

Esterhase obejmuje jego ramiona i zobaczy³ jego oczy pe³ne ³ez.

- George - zacz¹³. - Przez ca³e życie. To fantastyczne. ,

Potem ch³ód Smileya odepchn¹³ Tobyego i Smiley opuści³
szybko

aureolê, mijaj¹c po drodze zapalniczkê Anny. Leża³a na
samym

skraju aureoli, lekko przechylona i b³yszcza³a na bruku jak
tombak. Przysz³o mu do g³owy, żeby j¹ podnieœæ, ale jakoœ
nie

by³o po co, prawdopodobnie i tak nie spostrzeg³ jej nikt inny.

Ktoœ œciska³ mu d³oñ, ktoœ klepa³ go po ramieniu.

Toby powstrzyma³ ich spokojnie.

- Uważaj na siebie, George - powiedzia³ Toby. -
Powodzenia,

s³yszysz?

Smiley s³ysza³, jak ludzie z zespo³u Tobyego odchodz¹ jeden
po drugim, a¿ pozosta³ ju¿ tylko Peter Guillam. W krótkiej
drodze

powrotnej wzd³u nabrze¿a, nieomal z miejsca, w którym sta³

krzy¿, Smiley raz jeszcze rzuci³ przeci¹g³e spojrzenie na most, jak gdyby chcia³ siê przekonaæ, ¿e nic siê nie zmieni³o, ale najwyraŹniej wszystko by³o jak dawniej, i chocia¿ wiatr wydawa³

siê teraz nieco silniejszy, to p³atki œniegu nadal wirowa³y we wszystkich kierunkach.

Peter Guillam dotkn¹³ jego ramienia.

- ChodŹ, stary przyjacielu - powiedzia³. - Pora siê przespaa.

Smiley z przyzwyczajenia zdj¹³ okulary i w zamyczeniu zacz¹³

je czyæciaæ choæ musia³ go szukaæ g³êboko pomiêdzy fa³dami

tweedowego p³aszcza. : - Zwyciê¿y³eœ, George -- powiedzia³

Guillam, kiedy szli wolnym krokiem do samochodu. ; - Naprawdê? -

powiedzia³ Smiley. - Tak. Tak, myœlê, ¿e chyba tak.

